

„Victor del Árbol to eden z najlepszych europejskich autorów powieści noir”. — *Le Point*

MILION KROPLI

VÍCTOR
DEL ÁRBOL

VÍCTOR
DEL ÁRBOL

MILION
KROPLI

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Joanna Ostrowska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
UN MILLÓN DE GOTAS

Copyright © Victor del Árbol, 2014
Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bogusława Wójcikowska
Korekta: Marta Chmarzyńska, Aneta Iwan, Agnieszka Majewska

ISBN: 978-83-8110-153-0

Ta książka została wydana dzięki dotacji Hiszpańskiego Ministerstwa Edukacji, Kultury i Sportu



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Wstęp. Początek października 2001 roku

Część pierwsza. Wychudzony wilk

1. Barcelona, 20 czerwca 2002 roku
- 2.
3. Moskwa, styczeń 1933 roku
4. Barcelona, 6 lipca 2002 roku
- 5.
6. Moskwa, początek lutego 1933 roku
7. Barcelona, 12 lipca 2002 roku
- 8.
9. Tomsk. Zachodnia Syberia, początek marca 1933 roku

Część druga. Żółte listy

10. Barcelona, 15 sierpnia 2002 roku
11. Początek maja 1933 roku. Wyspa Nazino (Syberia)
12. Barcelona, wrzesień 2002 roku
13. Moskwa, styczeń 1934 roku
14. Barcelona, 9 września 2002 roku
15. Moskwa, koniec marca 1934 roku
16. Barcelona, wrzesień 2002 roku
17. Barcelona, 1936–1937
18. Barcelona, wrzesień 2002 roku
19. Barcelona, marzec 1938 roku
20. Barcelona, październik 2002 roku

Część trzecia. Milczenie

21. Argelès, Francja, luty–wrzesień 1939 roku
22. Barcelona, 8 października 2002 roku

23. Niedaleko granicy z Polską, styczeń 1941 roku

24. Barcelona, listopad 2002 roku

25. Berlin, 1945–1947

26. Barcelona, listopad 2002 roku

27. Barcelona, czerwiec 1967 roku

28. Barcelona, listopad 2002 roku

29. Jezioro. Noc świętojańska 1967 roku

30. Barcelona, listopad 2002 roku

Epilog. Luty 2010 – styczeń 2014 roku. Barcelona

Podziękowania

Przypisy

Mojemu ojcu i naszym murom milczenia

Także wilczyce są matkami.

Antonio Reyes Huertas,
Opowiadania estremadurskie, 1945

„Wszelka prawda jest prosta”. – Czyż nie jest to dwojakim kłamstwem?¹

Friedrich Nietzsche,
Zmierzch bożyszcz, czyli jak filozofuje się młotem, 1888

Wstęp

POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 2001 ROKU

Po deszczu krajobraz wyglądał jak narysowany grubą kreską, kolory lasu stały się bardziej rozmyte. Wycieraczki uderzały w szybę od prawej do lewej mniej desperacko, niż kiedy godzinę wcześniej wyjeżdżali z Barcelony. Przed nimi wznosiły się góry, które teraz, o zmierzchu, były już tylko majaczącą w oddali ciemną bryłą. Młody mężczyzna prowadził ostrożnie, wpatrzony w szosę, która zwężała się po każdym kolejnym zakręcie, w miarę jak pięła się w górę; cementowe słupki wyznaczające drogę nie wyglądały na solidne zabezpieczenie przed głęboką przepaścią otwierającą się po prawej stronie. Kierowca spoglądał od czasu do czasu we wsteczne lustro i pytał chłopca, czy nie jest mu niedobrze. Rozespany malec kręcił głową, był jednak blady i co chwila przykładał czoło do szyby.

– Już niedaleko – powiedział mężczyzna, żeby podnieść go na duchu.

– Mam nadzieję, że nie zwymiotuje; tapicerka jest nowa.

Ochrypły głos Zinowiewa sprawił, że mężczyzna znów skupił całą uwagę na drodze.

– Ma zaledwie sześć lat.

Zinowiew wzruszył ramionami. Olbrzymią dłonią z wytatuowanym pajakiem, podobnym do tego, który zakrywał mu pół twarzy, sięgnął po zapalniczkę w desce rozdzielczej i przytknął ją do papierosa.

– Tapicerka ma zaledwie trzy i jeszcze ją spłacam.

Wzrok mężczyzny spoczął na moment na telefonie komórkowym leżącym w przegródce pod radiem. Wyciszył go na wszelki wypadek, ale Zinowiew zauważył, jeżeli rozświetli się ekran.

Szosa przeszła w wysadzaną drzewami drogę prowadzącą do doliny. Miejsce to nazywano jeziorem, choć w rzeczywistości był to mały zbiornik

wodny zasilający wybudowaną w latach czterdziestych elektrownię. Latem przyjeżdżali tu turyści spragnieni spędzenia czasu na łonie natury. Z biegiem lat powstały nieco lepsze dojazdy, wybudowano też hotelik z łupkowym dachem, kamienną fasadą, huśtawkami i kawiarnią. Jednak w październiku budka strażnika leśnego była zamknięta, zniknęli wycieczkowicze, których można by obsługiwać w małym baraku z reklamą coca-coli, a plastikowe krzesła piętrzące się przy zakratowanych drzwiach kawiarni przedstawiały smutny widok.

Mężczyzna zatrzymał samochód tak blisko brzegu, że przednie koła delikatnie musnęły wodę. Wyłączył silnik. Po północnej stronie, na zagrodzonym terenie oznaczonym wielkimi tablicami informacyjnymi Ministerstwa Rozwoju, stały ciężkie maszyny. Zamierzano osuszyć jezioro i wybudować w tym miejscu luksusowe osiedle. W planach były domy szeregowe z basenami, otaczające duże pole golfowe. Zaczęto już karczować i znakować drzewa w lasku na brzegu jeziora – pośród żelastwa, betonu i gór piasku piętrzyły się zwalone byle jak pnie. Panowała kompletna cisza, nie licząc wycia wiatru potrząsającego jodłami i nieustannego stukotu niedomkniętej okiennicy w hotelu. Krople deszczu spadały na powierzchnię jeziora, tworząc delikatne fale. Wszystko to wydawało się nierealne.

Zinowiew otworzył drzwi. Kiedy młody mężczyzna chciał zrobić to samo, powstrzymał go.

- Ty tu zaczekaj.
- Lepiej z tobą pójdę. Chłopiec ufa tylko mnie.
- Powiedziałem, żebyś tu czekał.

Zinowiew otworzył tylne drzwi i poprosił chłopca, żeby wysiadł. Starał się być miły, ale nie przywykł do tego rodzaju subtelności. W dodatku jego głos i wytatuowana twarz budziły strach. Malec wybuchnął płaczem.

– Nic ci się nie stanie. Idź z nim – zachęcił go młody mężczyzna, siląc się na uśmiech.

Patrzył, jak Zinowiew prowadzi chłopca za rękę ku szarej tafli jeziora. Kiedy malec odwrócił głowę w stronę samochodu, przyjaźnie mu pomachał. Przez poruszające się wycieraczki dostrzegł drewniany pomost i taras widokowy. Zrobiło się już niemal zupełnie ciemno. Łamiąc zakaz, wysiadł z samochodu i ruszył za Zinowiewem. Opadłe liście szeleściły pod jego stopami, wilgoć przenikająca przez podeszwy butów szybko przemoczyła mu skarpetki. Kiedy dotarł do punktu widokowego, zobaczył szerokie plecy

Zinowiewa. Trzymał ręce w kieszeniach, a nad jego ramieniem unosiła się spirala niebieskawego dymu. Odwrócił się powoli i z niesmakiem spojrział na mężczyznę.

– Powiedziałem ci, żebyś czekał w samochodzie.

– Nie musimy tego robić, na pewno jest inny sposób.

Zinowiew wyjął z ust papierosa i dmuchnął na tłącą się końcówkę.

– Już po wszystkim – powiedział i ruszył w stronę auta.

Mężczyzna podszedł do brzegu pomostu. Gładka tafla jeziora błyszczała niczym mosiądz. „Chodź – wzywała go ciemna toń. – Chodź, zapomnijmy o wszystkim”.

Chłopiec unosił się na powierzchni twarzą do wody. Wyglądał jak rozgwiazda. Krople deszczu, miliony kropli, uderzały w jego ciało, które powoli zaczęło opadać na dno.

Minęło osiem miesięcy. W tym momencie Zinowiew skupiał się wyłącznie na własnym oddechu. Lubił biegać rano, pokonywał w niezłym tempie osiem albo dziesięć kilometrów, dopingowany płynącą ze słuchawek muzyką (tamtego ranka *Dziadkiem do orzechów* Czajkowskiego). Kiedy biegł, przychodziły mu do głowy myśli niemożliwe do wyrażenia konkretnymi zdaniami. Rozmyślał o wszystkich tych ludziach, którymi mógł być, gdyby nie był tym, kim jest.

Całą winę ponosiły pająki. Najbardziej skrywany lęk Zinowiewa miał korzenie w pewnej piwnicy z dzieciństwa – zimnej, pełnej pajęczyn spiżarni. W mroku żyły tysiące pajaków, małych lub wręcz mikroskopijnych. Czuł w ciemnościach, jak wspinają mu się po nogach, rękach, szyi, ustach. Na darmo próbował je strząsnąć, ich odnóża macały jego skórę jak włochate palce, chcąc owinać go w pułapkę z lepkiego jedwabiu. Gdyby nie tamta piwnica, prawdopodobnie byłby teraz innym człowiekiem. Nauczył się pokonywać swoje lęki, zmieniać strach w siłę. Wytatuowanie sobie pajęczyny było jak list intencyjny – co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Ostatni odcinek trasy był najtrudniejszy. Kiedy dostrzegł we mgle dom, zacisnął zęby i przyspieszył. Zza ogrodzenia dobiegło go znajome ochryple szczekanie Lionela, jego doga argentyńskiego.

– Nie jest źle, nie jest źle – powiedział do siebie, łapiąc oddech, i zatrzymał stoper zegarka. Walące serce uspokajało się, aż odzyskało równy rytm. Otworzył furtkę prowadzącą do posesji i przyjaźnie szturchnął nogą Lionela.

Dog jeszcze trochę utykał. Podczas ostatniej walki ten przeklęty amerykański staffordshire terier niemal wyrwał mu tylną łapę. Zinowiew pogłaskał psa po kwadratowym łbie o potężnej szczęce. Powinien się go pozbyć. Na co mu, do diabła, pies do walki, który nie może już walczyć? Sęk w tym, że go polubił.

– Co powiesz, stary wojowniku? Mieliśmy dziś jakichś gości?

Podszedł do drzwi i usiadł na schodku, szukając w saszetce papierosów. Lubił sobie zapalić, zanim jeszcze odzyskał normalne tętno. Tytoń wdzierał się do płuc niczym lawina. Otarł pot rękawem bluzy i wypuścił z ust duży obłok dymu. To był dobry pomysł, żeby wynajść ten dom. Stał na uboczu, w spokojnej okolicy, pośród sielskiego, wiejskiego krajobrazu. Nawet z punktu widokowego na wzgórzu trudno było go dostrzec w gęstym sosnowym lesie. A jeśli już ktoś przypadkiem zabłądziłby w poblizze ogrodzenia, Lionel wiedziałby, jak go zniechęcić do kontynuowania przechadzki. Gdyby jednak i to nie wystarczyło, no cóż, wtedy musiałyby użyć glocka trzymanego za telewizorem.

Zdjął zabłocone adidasy i przeszedł po skrzypiącej drewnianej podłodze. Przez wilgotne skarpetki przenikało ciepło bijące od rozpalonego kominka. Włączył telewizor i uśmiechnął się na widok kanału z kreskówkami. Uczył się angielskiego z seriali Disneya, ale też naprawdę lubił tę olbrzymią mysz. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, ze zdziwieniem myślał, że on także miał kiedyś osiem lat. Od tamtej pory minęło dużo czasu. Zbyt dużo. Oderwał wzrok od plazmowego ekranu i poszedł do kuchni przygotować sobie koktajl proteinowo-węglowodanowy. Nawet tu docierały do niego dźwięki z telewizora.

Mimo to nagle usłyszał głuchoe warknięcie psa. Cofnął się do holu i zobaczył, że zapomniał zamknąć drzwi. Dog siedział ze zjezoną na grzbiecie sierścią i warczał, patrząc na ogrodzenie. Zinowiew głośno westchnął.

– Co się dzieje, Lio...?

Pierwsza kula rozerwała na kawałki pierś psa, który wyleciał w powietrze z gardłowym jękiem, po czym upadł u stóp swojego pana. Potężny strzał z obrzyna, oddany z bardzo bliskiej odległości. Zinowiew rzucił się do telewizora po glocka. Nie zauważył, że Miki właśnie podarował Mini bukiet róż. Chwycił pistolet. Zdążył się jeszcze odwrócić. Gdyby nie chwila wahania, miałyby czas, żeby dobrze wycelować. Ale przez ułamek sekundy stał bez ruchu, szeroko otwierając usta. Na jego twarzy malował się wyraz zdziwienia i żalu.

– Ty?

Odpowiedziało mu jedynie zimne spojrzenie. Spojrzenie, które nie pozostawiało miejsca na wątpliwości odnośnie do tego, co zaraz nastąpi. Zanim Zinowiew zdążył zareagować, dostał kolbą strzelby w sam środek czoła.

Ile zakończeń może mieć ludzkie życie? Wszystkie, jakie tylko człowiek zdoła sobie wyobrazić. Przez głowę Zinowiewa przemknęły najgorsze przeczucia, kiedy otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że twarz ściska mu wełniany kaptur. Kłaczki wchodziły mu do ust, czuł, że się dusi. Kaptur śmierdział potem. Bolały go ramiona i nogi. Został rozebrany do naga i w nienaturalnej pozycji przykuty kajdankami do jakiegoś słupa czy belki. Ciężar całego ciała utrzymywały nadgarstki, stopy ledwo dotykały wilgotnej podłogi. Wisząc jak kiełbasa, czuł, że ma zerwane włókna mięśniowe, a metal kajdanek wrzyna mu się w skórę.

– Nie trzeba było go zabijać. To było tylko bezbronne dziecko.

Głos, który rozbrzmiał za plecami Zinowiewa, sprawił, że jego ciało napięło się, jakby wsadzono mu w kręgi pręt. Zaczął się pocić i drzeć. Najgorsze zawsze może ulec pogorszeniu. Przeszedł go dreszcz, gdy poczuł na plecach coś zimnego i ostrego. Nóż.

– Ilu osobom wstrzyknąłeś już swoją truciznę? Najpierw je paralizujesz, żeby nie mogły się ruszać, kiedy będziesz się nad nimi pastwić?

„Opanuj się. Opanuj. Chce cię tylko nastraszyć”. Zinowiew uczeplił się tej myśli. Pierwsze cięcie maczety wyprowadziło go z błędu. Szybkie, między żebrami. Zacisnął zęby. „Nie krzycz. To tylko ból”.

– Niewinni nie boją się potworów, wiedziałeś o tym? Dzieci nie boją się zła.

Zinowiew poczuł ostrze maczety przesuwające się w dół po obojczyku, w stronę sutka.

– Chciałbym, żeby to trwało długo. Wyświadcz mi przysługę i nie umieraj od razu.

Zinowiew zrozumiał, że jego śmierć będzie okrutna, jakby wrócił do tamtej piwnicy z dzieciństwa, gdzie czekały na niego pająki. Miliony pajaków.

Wytrzymał, ile był w stanie. W końcu jednak wydał z siebie krzyk, którego nikt nie mógł usłyszeć.

Laura obserwowała kawałki drewna wyrzucone na piasek, plastikowe butelki i śmieci, w których mewy grzebały zapamiętałe niczym sępy w padlinie. Nocny przypływ zostawił na brzegu wszelakie świństwa. Nie był to specjalnie idylliczny widok, ale podobał jej się ten nagi krajobraz, wołała go od panującego latem gwaru, parasoli, awionetek z reklamowymi transparentami krążących w powietrzu niczym dokuczliwe muchy na jej balkonie.

Odwróciła głowę w stronę sypialni i zobaczyła, że on nadal śpi w skłębionej pościeli. Usiadła w nogach łóżka i przyglądała mu się przez kilka minut. Przedstawił jej się? Pewnie tak, ale zapomniała jego imię, zanim zdążyła się go nauczyć.

Wydarzenia ubiegłej nocy nie składały się jeszcze w jej głowie w wyraźną całość. Piła do późna, on od razu do niej podszedł, niczym drapieżnik, któremu wystarczy rzut oka, by wyłowić ofiarę z całego stada. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był seks w pomieszczeniu z bankomatami. Rozerwał jej zapięcie od stanika i ugryzł w sutek. Kontynuowali w taksówce, potem tutaj. Na szafce nocnej zostały resztki kokainy. Leżała tam także jej obrączka. Zawsze ją zdejmowała, kiedy szła do łóżka z innym. Nie miała powodów, żeby to robić – koniec końców Luis ją rzucił, nie przywykła jednak jeszcze do jego nieobecności.

Wysunęła nogę i potrząsnęła łydką śpiącego królewicza. Nawet się nie poruszył, wydał jedynie cichy jęk niemowlęcia, które zaśliniało jej pościel. W pokoju pachniało wyschniętą spermą. Sądząc po zadrapaniach na jego plecach, to musiał być dobry seks. Szkoda, że niczego nie pamiętała.

– Posłuchaj, Adonisie, na pewno masz gdzie dalej sobie pochrapać, a ja muszę załatwić parę spraw. – Uśmiechnął się, nie otwierając oczu. Wyciągnął rękę, próbując złapać Laurę za nadgarstek, ale uwolniła się od jego niepewnych palców. Jeden błąd na noc wystarczy. Postanowiła dać mu jeszcze trochę czasu i wziąć prysznic. Zamknęła się w łazience, odkręciła kran i zdjęła przed lustrem koszulkę i majtki. Wyglądała żałośnie, nie tylko dlatego, że począwszy od pewnego wieku, nocne ekscesy kosztują znacznie więcej niż wówczas, kiedy ma się dwadzieścia lat. Sposób, w jaki patrzyły na nią jej oczy, wskazywał na znacznie dotkliwszą porażkę niż seks z nieznanymi, nadużycie alkoholu czy narkotyków.

– Mogę wejść? Zaraz się zeszczę.

Laura otworzyła drzwi i wpuściła go do łazienki. Spojrzała na jego penisa we wzwodzie i nie poczuła żadnego podniecenia, wyłącznie lekkie mdłości.

– Sikaj na siedząco. Nie chcę, żebyś zalał sedes swoim węzem.

Dziwnie było dzielić tak intymne rzeczy, jak higiena, łazienka, wydalanie, z mężczyzną, który nie jest Luisem. Kiedy zamieszkali razem, zaskoczyła ją jego mania, żeby zamykać od środka drzwi w łazience, kiedy chciał się wypróżnić. Jej nie przeszkadzało, że może go zobaczyć siedzącego na sedesie z majtkami na łydkach, on natomiast miał z tym problem, jakby ta jego strona nie pasowała do weekendowych wyjazdów na narty, kolacji w drogich restauracjach, wieczorów w teatrze Liceu czy sposobu, w jaki kochał się z nią na katamaranie cumującym w zatoce w Cadaqués. Luis nigdy nie zrozumiał, że nie musi być doskonały, żeby go kochała. Teraz była wręcz pewna, że to właśnie jego słabości trzymały ją przy nim przez te wszystkie lata.

Nieznajomy zrozumiał, że to nie na niego patrzą szare oczy Laury. Nadszedł czas, by zebrać swoje ubrania i wyjść, zanim gorycz, która zaczynała wpływać na jej ładne usta, zamieni się w coś znacznie gorszego.

– Ubieram się i spadam.

– I o to chodzi.

Laura weszła pod prysznic i zaciągnęła zasłonę w kwiaty. Ledwo się mieściła na wyłożonym małymi płytkami prostokącie, mimo to ubiegłej nocy jakimś cudem byli tutaj oboje. Na kafelkach widniały odciski czterech dłoni. Z żołądkiem ściśniętym z powodu mdłości wytarła ślady i odkręciła kran.

Wyszła z łazienki z nadzieją, że jest już sama. Nieznajomy wprowadził się ubrał, ale wciąż tu był. Wieczorowy strój – czarna, błyszcząca, dopasowana koszula i obcisłe skórzane spodnie – w świetle dnia wydawał się nie na miejscu. Myszkował w kącie salonu, który służył Laurze za miejsce do pracy.

– Nie powiedziałaś mi wczoraj, że jesteś policjantką. – Między książkami stało zdjęcie przedstawiające podinspektora Laurę Gil w galowym mundurze, a na ramce wisiało policyjne odznaczenie za zasługi.

– Przypuszczam, że nie powiedziałam ci o wielu innych sprawach – odparła Laura, zła, że facet grzebie w jej rzeczach.

– Nie wspomniałaś też, że jesteś mężatką – dodał, wskazując ślubne zdjęcie.

Czas, którego użył, był dla Laury jak kolec wbity w skórę. Niemal się uśmiechnęła, widząc, jacy byli młodzi. Luis w smokingu i aksamitnej muszce, ona w sukni z tiulu, bez welonu, ale za to z długim trenem. Inna epoka.

– Powinieneś już iść. Zaraz.

Nieznajomy przytaknął, nieco zawiedziony. Chciał dotknąć wilgotnej szyi

Laury, ale powstrzymała go bezwzględny spojrzeniem. Nie miał tu nic do roboty. Wykrzywił usta nie tyle z powodu rozczarowania, ile urażonej dumy. Naprężył bicepsy pod koszulą i wypiął pierś, jakby chciał jej pokazać, co traci. Ruszył w stronę drzwi, ale zanim wyszedł, rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– Potrzebujesz pomocy, pani podinspektor. Pieprzysz się jak modliszka. Nie wydajesz się zbyt zrównowazona, a ludzie tacy jak ty mają bronić ludzi takich jak ja. Jestem zaniepokojony jako obywatel.

Laura miała ochotę podejść i jednym kopnięciem w jaja sprawić, by to muskularne ciało zgięło się w pół.

– Skoro pieprzę się jak modliszka, powinieneś mi podziękować, że nie oderwałam ci głowy. Jeśli chodzi o ciebie, trenuj dalej. Wiesz, że są ćwiczenia na powstrzymanie przedwczesnego wytrysku?

Kiedy została sama, otworzyła szafę, szukając czegoś czystego do włożenia. Ubrania Luisa zniknęły: jego koszulki polo, letnie koszule, bermudy, które nosił w weekendy, mokasyny i japonki. Plastikowe wieszaki były metaforą przestrzeni, której Laura nie potrafiła zapełnić. Włożyła koszulkę Nirvany z długim rękawem, a na nią atłasowy sweter w serek, po czym wsadziła płytę do odtwarzacza. Początkowe dźwięki symfonii *Patetycznej* rozprzestrzeniły się w powietrzu niczym wirus.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

– Czego znowu chce ten palant?

Poszła otworzyć z zamiarem pokazania temu gościowi, jak nieprzyjemna potrafi być, kiedy ktoś ją wkurzy, tymczasem natknęła się na twarz całkiem inną niż ta, którą spodziewała się zobaczyć.

– Minąłem przed chwilą jakiegoś wariata. Zbiegał po schodach, miotając przekleństwa, których nawet ty nie chciałybyś usłyszeć. Nie wiem, co mu zrobiłaś albo co przestałaś mu robić, w każdym razie był nieźle wnerwiony.

Alcázar stał oparty o ścianę, a na jego twarzy malował się jak zwykle ironiczny uśmiech. Laura zmarszczyła czoło, zezłoszczona.

– To tylko kolejny dupek. Co tu robisz?

Lubiła Alcázara. Jego okazałe siwe wąsy marszałka, których nie tknęła od pięćdziesięciu lat, budziły w niej zaufanie, choć miał nieprzyjemny zwyczaj wciągania ich dolną wargą i ssania, kiedy się nad czymś zastanawiał. Gdy wykrzywił usta, wąsy poruszały się jak zasłona, z prawej strony na lewą, przez co nie sposób było zobaczyć jego zębów.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – zapytał, spoglądając ponad ramieniem swojej najlepszej uczennicy. Zobaczył w głębi pokoju porozrzucane na podłodze ubrania. A także resztki kokainy na szklanym blacie szafki nocnej i puste butelki.

– To nie jest odpowiedni moment.

Alcázar przytaknął, wyciągnął wykałaczkę i włożył ją do ust.

– Nic dziwnego, skoro słuchasz takiej muzyki. Jaki to ma tytuł? Zachęta do samobójstwa?

Laura pokręciła głową.

– Powinieneś spróbować posłuchać czegoś innego niż bolera i meksykańskie ranchery. Mógłbyś przestać dłużyć tym w zębach? To obrzydliwe.

– Taki już jestem, nieznośny i obrzydliwy. Dlatego wysyłają mnie na emeryturę. Tym właśnie są starzy ludzie, czarnymi plamami i chmurzyskami na horyzoncie młodych i ich płonnych nadziei.

– Nie bądź cyniczny. Nie to miałam na myśli.

Alcázar schował wykałaczkę.

– Widziałem bar na plaży po drugiej stronie zatoki. Serwują śniadania.

– Nie jestem głodna – zaprotestowała Laura, ale Alcázar przerwał jej, podnosząc palec wskazujący. Tym gestem zwykł narzucać swoją wolę na komisariacie, kiedy zaczynały go irytować przeciągające się dyskusje. Podnosił palec i kończyła się demokracja.

– Zarezerwowałem z obrusem, świeczkami i kwiatami. Za pięć minut na plaży.

Wiatr szarpał wyblakłą markizę. W barze zalatywało starymi linami i nieświeżą rybą. Nie było nikogo poza znudzonym właścicielem, który czytał gazetę, opierając się łokciem o ladę. Nie ucieszył się specjalnie na ich widok. Alcázar poprosił o kawę. Laura nie zamówiła niczego, bolała ją głowa i miała rozstrojony żołądek. Chociaż szorowała zęby, jakby chciała je wyrwać, smak cointreau uparcie utrzymywał się w głębi gardła. Alcázar zamówił za nią – kanapkę z serem i coca-colę light.

Z miejsca, gdzie siedzieli, widać było kawałek plaży i skały klifu. Mewy latały ponad prądami powietrza, niektóre zawisały, nieważkie, a inne składały skrzydła i pikowały, muskając grzbiety szarych fal.

– Jak znalazłaś to miejsce? Jest przygnębiające – rzucił Alcázar. Był człowiekiem miasta, tłumów, zapachu benzyny i zanieczyszczeń.

Laura lubiła morze, bo wystarczyło na nie popatrzeć, by zniknąć za horyzontem.

– Miejsce dobre jak każde inne. Po co przyjechałaś? Żeby się upewnić, że nie robię nic głupiego?

Właściciel baru przyniósł zamówienie i nie siląc się na uprzejmości, postawił je na stoliku. Alcázar splótł dłonie na blacie, jakby chciał pobłogosławić kanapkę z serem, której Laura nie zamierzała tknąć.

– Zinowiew nie żyje. Powiedziałbym, że nawet więcej, niż nie żyje. Nieźle go skatowali, zanim z nim skończyli.

Laura zbladła. Machinalnie oderwała skórkę od bułki.

– Jak to wyglądało?

– Nieprzyjemnie. Bardzo nieprzyjemnie. Obdarli go żywcem ze skóry, kawałek po kawałku. Obcięli mu jaja i zmusili, żeby je połknął.

– Nie powiem, żeby było mi przykro. Szczerze mówiąc, mam ochotę krzyczeć z radości jak wariatka.

Sceptyczne spojrzenie Alcázara wprowadziło Laurę w zakłopotanie, jak wtedy, kiedy była początkującą policjantką, a szef proponował jej cukierka ze szklanego słoja, który stał na jego biurku. Nie znosiła tych cukierków, były niemal zawsze zlezałe i przyklejały się do papierka, jednak kiedy Alcázar zachęcająco kiwał głową, nie pozostawało jej nic innego, jak z uśmiechem włożyć sobie jednego do ust i trzymać go pod językiem do chwili, aż wyszła z gabinetu i ukradkiem wypluła go do ręki. Gorycz utrzymywała się przez kilka dni. Mimo to kiedy wracała do gabinetu, brała kolejny cukierek.

– Jakiej reakcji się spodziewałaś? Ten skurwysyn zabił mojego syna.

– Nie mamy na to dowodów. Nigdy nie mieliśmy. – Własne słowa wydały mu się przykre i obsceniczne.

Laura zacisnęła szczęki i przez kilka sekund z zagadkowym wyrazem twarzy przyglądała się swojemu szefowi.

– Ale oboje wiemy, że to zrobił.

– To, co się wie, ma niewielkie znaczenie, jeśli brak dowodów.

– Kilkadziesiąt lat temu dowody nie miały dla ciebie znaczenia.

Alcázar dzielnie zniósł cios. Spokojnie dopił kawę, mocząc w niej koniuszki wąsów.

– Czas się zmieniły. Lata siedemdziesiąte są już za nami.

Laura drżała, jakby dostała nagle ataku malarii.

– Oczywiście, ty lubieś straszyć dzieci. Od nich łatwo było ci wyciągnąć zeznania, prawda?

Alcázar wytrzymał jej spojrzenie.

– Zakłada się, że demokracja została wymyślona po to, by faceci tacy jak ja nie mogli dalej robić tego, co robili. Ty najlepiej powinnaś o tym wiedzieć.

Zapadła napięta cisza; Alcázar był wyraźnie zakłopotany.

– Przepraszam – powiedziała Laura, patrząc niewidzącym wzrokiem na plażę. Zobaczyła swojego sześciolatniego syna, jak biegnie brzegiem, a za nim jej mąż. Zobaczyła inne czasy, sprzed zaledwie ośmiu miesięcy, które zniknęły, jak gdyby nigdy nie istniały.

– Przyjechałeś mnie aresztować?

Alcázar nabrał powietrza i wypuścił je jednym dmuchnięciem, jakby wynurzył się z lodowatej wody. Nie wahał się.

– Chcę, żebyś mi powiedziała, jeśli to ty. Mogę ci pomóc, ale muszę to wiedzieć.

Laura odwróciła nieco wzrok, unikając spojrzenia szefa.

– Rozumiem, że mnie podejrzasz. Doskonale to rozumiem – szepnęła.

– Mam wrażenie, że jednak nie rozumiesz. Zinowiew był przykuty kajdankami do belki sufitowej. Policyjnymi kajdankami. Twoimi. Miał też zdjęcie twojego syna, przytwierdzone do piersi gwoździarką.

Laure przeszedł dreszcz; wbiła paznokcie w papierowy obrus, jakby to były czarne oczy Zinowiewa, jakby w ten sposób mogła je z siebie wyrwać, usunąć je ze swoich koszmarów. Wstała z trudem, musiała się chwycić stolika.

– Jeśli sądzisz, że to ja, wiesz, jak powinieneś postąpić.

– Nie rób niczego głupiego, Lauro.

– Aresztujesz mnie?

– Ja nie, ale przed twoim domem stoi już pewnie radiowóz.

Spojrzała na niego, jakby uszło z niej całe życie i jedynie powietrze utrzymywało w pionie jej puste ciało.

– Nie mam zamiaru iść do więzienia.

Alcázar uniósł wąsy.

– Myślę, że będziesz musiała zacząć rozważać taką możliwość. Nie zabronię ci wyjść przez te drzwi. Mnie tu nie było, rozumiesz?

Tak. Świetnie rozumiała.

Część pierwsza

WYCHUDZONY WILK

1.

BARCELONA, 20 CZERWCA 2002 ROKU

Pan nie rozumie. Ta dziwka i tak wszystko mi zabierze, a jeszcze żąda, żebym płacił jej dożywotnio alimenty.

Gonzalo nigdy nie chciał być adwokatem, wbrew temu, co głosiła tabliczka wisząca na drzwiach jego gabinetu: „Gonzalo Gil. Ekspert w dziedzinie prawa cywilnego, małżeńskiego i handlowego”. Nie obesłoby go specjalnie, gdyby skończył za ladą w sklepie mięsnym. Po prostu pozwolił, żeby zdecydował za niego los, a w wieku czterdziestu lat nie było już sensu się skarżyć.

– Prawo stoi po stronie pańskiej żony. Myślę, że powinien pan zabiegać o rozwód za obopólnym porozumieniem. Zaoszczędziłby pan pieniądze i energię.

Klient spojrzał na niego, zadzierając podbródek, jak gdyby ten prawnik, równie szary jak jego garnitur, wsadził mu palec w dupę.

– Co z pana za adwokat?

Gonzalo rozumiał jego zaskoczenie: klient liczył na to, że go okłamie. Liczyli na to wszyscy, którzy przekraczali próg jego kancelarii, jakby szukali nie porady prawnej, ale chiromanty, który w magiczny sposób rozwiąże ich problemy. Kłopot w tym, że on nie potrafił kłamać. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dać klientowi jednej z pretensjonalnych wizytówek z danymi kancelarii swojego teścia. Wystarczyłoby, aby wyszedł z gabinetu Gonzala i udał się na koniec korytarza. Nie musiałby nawet opuszczać budynku.

– Powinien był pan skonsultować się ze specjalistą, zanim przepisał pan dom i majątek na żonę. Nie mogę panu pomóc.

Wyobraził sobie, jak zareagowałyby na takie stwierdzenie jego teść – wywracając oczami, powiedziałyby: „Kiedy się nauczysz, że w naszym zawodzie kłamstwo niekoniecznie oznacza brak prawdy, jest po prostu sposobem na to, by tak ubrać ją w prawne wykręty, że będzie nie do

rozpoznania”. Jego teść, don Agustín González, był nie tylko jednym z najlepszych prawników w mieście, ale i nieuleczalnym cynikiem. Gonzalo widział, jak hipnotyzuje swoich klientów argumentacją tak zawiłą, że głupieli i podpisywali dokumenty, które im podsuwał, choćby tylko dlatego, by nie przyznać, że nie rozumieją ani słowa z całego tego żargonu, i uniknąć karcącego spojrzenia starego, który zawsze żegnał ich swoim najlepszym uśmiechem. Uśmiechem, który w uprzejmy sposób mówił „pierdol się”.

Dziesięć minut później w drzwiach pojawiła się Luisa, jego asystentka. Zawsze wchodziła bez zapowiedzi; po latach Gonzalo zaniechał prób przekonania jej, by pukała. Luisa sprawnie obsługiwała biurowe programy komputerowe, telefony komórkowe i wszelkie inne urządzenia, za którymi on sam nie nadążał, co czyniło go funkcjonalnym analfabetą. Poza tym podobało mu się geranium, które posadziła na balkonie. „Strasznie tu smutno, potrzebuje pan kolorów i ja je panu dam”, powiedziała, kiedy pierwszy raz weszła do kancelarii, pewna, że po takim argumencie Gonzalowi nie pozostanie nic innego, jak ją zatrudnić. Miała rację; zanim w jego życiu pojawiła się ta dziewczyna, kwiaty nieuchronnie więdły, tworząc bryły, które kruszyły się przy dotknięciu. Zatrudnił ją, rzecz jasna. Nie żałował swojej decyzji; miał tylko nadzieję, że będzie mogła zachować stanowisko po fuzji z kancelarią teścia.

– Widzę, że zdobyliśmy kolejnego stałego klienta. – Luisa była nie tylko skuteczna i barwnie się ubierała, lecz także miała sarkastyczne usposobienie.

Gonzalo wzruszył ramionami.

– Przynajmniej nie wyciągnąłem od niego forsy złudnymi obietnicami.

– Uczciwość przynosi zaszczyt wyłącznie uczciwym, mecenasie. A my musimy mieć na rachunki, na zapłacenie twojemu teściowi czynszu za ten piękny gabinet i... taki drobny szczegół – na moją pensję.

– Ile masz lat?

– Jestem dla ciebie za młoda; mogłabym cię oskarżyć o wykorzystywanie nieletnich.

– Zacznę się ciebie bać, kiedy będziesz miała własną kancelarię.

Luisa zaczęła wydeła usta.

– I słusznie. Ja nie pozwolę, żeby moi klienci odpływali, jakbym łowiła ich dziurawą siecią. A właśnie, dzwoniła twoja żona. Mówiła, żebyś nie zapomniał, że dziś masz być w domu o szóstej. Punktualnie.

Gonzalo rozparł się w fotelu z imitacji skóry. No tak, coroczne urodzinowe

przyjęcie „niespodzianka”. Prawie udało mu się zapomnieć o tym rytuale.

– Lola czeka przy telefonie?

– Powiedziałaś jej, że jesteś bardzo zajęty.

– Dobra dziewczynka. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Rezolutny wyraz twarzy Luisy został szybko zmazany przez cień rozczarowania i smutku.

– Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętał, kiedy spotkasz się ze starym.

Gonzalo chciał coś powiedzieć, ale oszczędziła mu tego, pospiesznie opuszczając gabinet. Odetchnął głęboko, zdjął okulary w szylkretowej oprawce, równie niemodne jak jego garnitury i krawaty, i potarł powieki. Jego spojrzenie padło na portret Loli i dzieci – wiszący na ścianie olejny obraz, który żona podarowała mu, kiedy otwierał kancelarię i wszystkie jego złudzenia były jeszcze nietknięte. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, i to nie tak, jak tego oczekiwał.

Wyszedł na balkon zaczerpnąć powietrza. Geranium dzieliło niewielką powierzchnię z klimatyzatorem i rowerem, z którego nigdy nie skorzystał. Na barierce nadal wisiał baner reklamujący jego kancelarię. Przez te wszystkie lata nie przyszło mu do głowy, żeby go zmienić. Litery wyblakły od słońca i deszczu, chociaż, prawdę mówiąc, i tak ledwo dawało się je odczytać z ulicy, nawet kiedy baner był jeszcze nowy. Stanowił pewnego rodzaju symbol, absurdalną flagę, którą na próżno machał, domagając się autonomii swojej wyspy w stosunku do sąsiednich, należących do kancelarii „Agustín González i Wspólnicy, od 1895 roku”. Gonzalo czasami myślał, że klienci wchodzi do jego gabinetu wyłącznie dlatego, że pomylili drzwi. Podejrzewał też, że od czasu do czasu teść podsyła mu beznadziejne przypadki, nieistotne sprawy, okruchy. W końcu jest mężem jego córki i ojcem jego wnuków, co miało pewne znaczenie, chociaż don Agustín i tak uważał go za miernotę. Ściślej mówiąc, za tchórza.

Po wielu latach oporu Gonzalo musiał wreszcie pogodzić się z rzeczywistością – przyjmie ofertę teścia, by zostać jego współnikiem, kiedy tylko ten mu to zaproponuje. Choć jeszcze formalnie niczego nie ustalili, wiedział, że w praktyce będzie dla niego pracował. Baner zniknie, a wraz z nim może i geranium. Winił za to nowy kredyt hipoteczny, angielskojęzyczną szkołę córki i studia Javiera na prywatnej uczelni, gdzie pod auspicjami jezuitów kształcili się przyszli patrycjusze. A także brak odwagi, żeby postawić się teściowi, i zgodę na to, by jego życie zamieniło się w parodię,

w której odgrywał jedynie rolę statysty.

Palił, spoglądając na miasto. Niedługo zrobi się ciepło, nadejdą prawdziwe upały, jednak tego popołudnia mógł się jeszcze wychylić przez balkon, nie czując uderzenia powietrza z pracującego na pełnych obrotach klimatyzatora. Wszyscy przyjmowali za oczywiste, że jest szczęśliwy, mając gabinet w sercu miasta, ale on w rzeczywistości nigdy nie lubił Barcelony. Tęsknił za niebem z dzieciństwa, widocznym między górami, kiedy słońce barwiło na czerwono jezioro, a ojciec zabierał go na ryby. Tak naprawdę nie miał prawdziwych wspomnień z tamtego okresu, o ile wspomnienia w ogóle mogą być prawdziwe; ojciec zniknął, kiedy on miał zaledwie pięć lat, ale tyle razy słyszał od matki historie o wyprawach na ryby, że w jego pamięci faktycznie miały miejsce. Trudno tęsknić za czymś wymyślonym – to równie dziwne jak składanie co roku 23 czerwca kwiatów na grobie, w którym nie ma nikogo poza dżdżownicami i mrówkami zostawiającymi po sobie latem kopczyki.

Latami spierał się z Lolą, próbując ją przekonać, że warto wyremontować stary dom nad jeziorem i przeprowadzić się do niego z dziećmi. Byliby zaledwie godzinę drogi samochodem od miasta, w dzisiejszych czasach można mieszkać na wsi z wszelkimi wygodami; mała Patricia mogłaby dorastać na świeżym powietrzu, a on zabierałby ją na ryby, żeby kiedy będzie duża, nie miała wrażeń, że jej ojciec był tylko niewyraźną zjawą. Może w tej spokojnej okolicy poprawiłyby się jego relacje z synem, Javierem. Ale Lola zawsze stanowczo odmawiała.

Odcięcie żony od miejskich alei, butików, centralnych dzielnic i zgiełku byłoby jak amputowanie jej nóg. W końcu dał się przekonać do kupna domu w wyżej położonej części miasta, z basenem, widokiem na całe wybrzeże, czterema łazienkami, ogrodem o powierzchni czterystu metrów kwadratowych i bogatymi, dyskretnymi sąsiadami. Kupił samochód terenowy, który zużywał więcej oleju napędowego niż czołg, i uznał, że właśnie takiego życia pragnie, chociaż wiedział, że nie będzie go na nie stać.

Kiedy człowiek się zakochuje, robi to, czego nie chce robić, i uważa, że działa z własnej inicjatywy, choć w rzeczywistości jest to zwykła rezygnacja.

Pogrążony w jałowych rozważaniach, odwrócił głowę w stronę sąsiedniego balkonu, na którym jakaś kobieta paliła papierosa, zatopiona w lekturze książki. Podniosła niewidzący wzrok, rozmyślając być może nad tym, co właśnie przeczytała. Wyglądała na mniej więcej trzydzieści pięć lat, była wysoka, miała rude włosy, a jej fryzura mogła uchodzić za dzieło Edwarda

Nożycorękiego – nierówno ostrzyżone boki i długa grzywka sięgająca czubka nosa, którą ciągle odgarniała z czoła. Na szyi miała wytatuowane dwa duże motyle skrzydła. Jej oczy, szare z brunatnymi plamkami, były jednocześnie sympatyczne i prowokujące.

– Co za zbieg okoliczności, czytasz mojego ulubionego poetę.

Sądząc po minie kobiety, Gonzalo musiał jej się wydać rekonwalescentem, od którego nie można wymagać dużo wysiłku.

– Dlaczego zbieg okoliczności? Sądziś, że jesteśmy jedynymi osobami na świecie, które czytają Majakowskiego?

Gonzalo uruchomił maszynę swojej pamięci, szukając w niej dawno zapomnianych, starych słów. Jego rosyjski był mocno zardzewiały.

– Chyba żartujesz. Można policzyć na palcach jednej ręki osoby, które w tym mieście są w stanie czytać Majakowskiego w oryginale.

Kobieta posłała mu nieco zdziwiony uśmiech.

– Rozumiem, że ty jesteś. Gdzie nauczyłeś się mojego języka?

– Mój ojciec nauczył się rosyjskiego w latach trzydziestych. Kiedy byłem mały, kazał mnie i siostrze recytować wiersz na cześć Lenina.

Nieznamoma wysłuchiwała go, jakby niemal wyłącznie z grzeczności, po czym zamknęła książkę.

– Brawo – powiedziała i pożegnawszy się kolejnym półuśmiechem, wróciła do mieszkania.

Gonzalo poczuł się idiotycznie. Chciał po prostu być miły. Tylko miły? Fakt, może zbyt nachalnie spojrział na jej dekolt. Tracił wprawę w byciu dżentelmenem. Zgasił papierosa i wszedł do łazienki przylegającej do gabinetu. Dokładnie umył mydłem ręce, po czym powąchał palce i ubranie, żeby sprawdzić, czy pachną tytoniem. Poprawił węzeł krawata i wygładził marynarkę.

– Jesteś gdzieś tutaj, prawda, ty mały sukinsynie? – powiedział przez zęby, stojąc przed lustrem.

Matka przypominała mu w każdą niedzielę, kiedy ją odwiedzał, że był bardzo ładnym dzieckiem. „Byłeś identyczny jak twój ojciec”. Miał te same zielone oczy o badawczym spojrzeniu, szerokie czoło, wyraźne brwi i kości policzkowe, i jeszcze ta cecha tak charakterystyczna dla rodziny Gilów – mała przerwa między przednimi zębami, szczegół, który zdołał naprawić po dwóch długich latach noszenia aparatu. Do tego gęste, ciemne włosy, szeroka szyja i ten zwyczaj unoszenia podbródka, który dla tych, co go nie znali, świadczył

o arogancji. Nikt nie wspominał o nieco odstających uszach, o zbyt szerokim nosie boksera ani o ustach wykrzywionych w wyrażającym gorycz grymasie. W sumie te cechy sprawiały, że nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Tak więc nawet jeśli w dzieciństwie zanosilo się na to, że będzie wiernym odbiciem ojca, czas pokazał, że stało się inaczej. Na zdjęciach, które zachował, w wieku czterdziestu lat jego ojciec wprost promieniował przytłaczającą osobowością, choć nie miał jednego oka. Wysoki i krzepki, wydawał się niekwestionowanym autorytetem, mężczyzną twardo stąpającym po ziemi. Natomiast Gonzalo zboczył z kursu ku pulchnemu, słabemu ciału, niskiemu wzrostowi, płaskiemu nosowi i miękkiemu brzuchowi, którego nigdy nie miał czasu ani ochoty wcisnąć za pasek. Zakola na skroniach zwiastowały rychłe, przedwczesne wyłysienie, jego spojrzenie bynajmniej nie było przenikliwe, a w oczach nie dało się dostrzec nawet błysku inteligencji. Jedynie kruchą dobroć, nieśmiałą niepewność, które w najlepszym wypadku budziły obojętną pobłażliwość. Dzieci bohaterów nigdy nie dorównują rodzicom. Nie była to bolesna refleksja, ale stwierdzenie niezaprzeczalnego faktu.

Przed wyjściem zajrzał do Luisy.

– Wiesz, kto wynajął mieszkanie po prawej?

Luisa lekko postukała w usta czubkiem ołówka.

– Nie. Widziałam, jak się przeprowadzali. Nie przejmuj się, w poniedziałek będę wiedziała.

Gonzalo skinął głową i pożegnał się z lekko wymuszonym uśmiechem. Kobieta z balkonu go zaintrygowała.

– A właśnie, wszystkiego najlepszego. Kolejny rok – powiedziała sekretarka, kiedy wychodził.

Gonzalo podniósł rękę, nie odwracając głowy.

Dwadzieścia minut później zaparkował terenówkę przed swoim domem. Ktoś namalował na ogrodzeniu tarczę strzelniczą z jego imieniem pośrodku. Wynajęci przez Lolę robotnicy próbowali oczyścić mur myjką ciśnieniową. To było jak zabawa w kotka i myszkę; po zmroku graffiti znów znajdzie się w tym samym miejscu. Gonzalo nie musiał być grafologiem, żeby wiedzieć, kto jest jego autorem. Z drugiego końca ogrodu dobiegł go szmer, z którego od czasu do czasu przebijały śmiechy i czyjś głos, bardziej przenikliwy niż inne. Goście już przyjechali, słyszał nastrojową muzykę Sergia Gatiki. Nigdy nie umieli dojść z Lolą do porozumienia, jeśli chodzi o gust muzyczny. Podczas sporów, dość częstych, zazwyczaj to żona narzucała swoją wolę. W przeciwieństwie

do niego Lola nie miała nic przeciwko kłótniom.

Przez chwilę wazył w dłoni kluczyki od terenówki; zapragnął, by wszyscy ci ludzie znaleźli się gdzie indziej. Tak naprawdę jednak on sam chciałby zniknąć. Oczywiście tego nie robi. Coś tak nieoczekiwanego było nie do pomyślenia u zawsze przewidywalnego, nudnego, zdziwaczałego człowieka, za jakiego wszyscy go uważali. Odetchnął więc głęboko, wyprostował plecy i włożył klucz do zamka, starając się ze wszystkich sił, by zaskoczenie na jego twarzy wyglądało na autentyczne, choć nikomu i tak na tym nie zależało. Chcieli jedynie, żeby był przekonujący. I udało mu się.

Obszedł salon, ściskając ręce, rozdając całusy i słowa powitania. Zobaczył stojących w kółku kolegów z kancelarii teścia. Znajomi z ostatniej chwili, sąsiedzi z osiedla, których Lola ściągnęła, żeby zrobić tłok, składali mu życzenia z przesadną wylewnością. Jego córka Patricia bawiła się z innymi dziećmi między klombami przy basenie. Odwróciła się i pomachała mu ubrudzonymi ziemią rączkami. Gonzalo odpowiedział na powitanie, owładnięty słodko-gorzkiem uczuciem. Rosła zbyt szybko. Już niemal nie musiała stawać na palcach, żeby pocałować go w policzek. Wymykała mu się z rąk. Jak wszystkie dobre rzeczy, które przytrafiły mu się w życiu, dzieciństwo jego pociech umykało, nie dając mu czasu, żeby się nim nacieszyć.

Lola wyróżniała się spośród obecnych w swojej eleganckiej malwowej sukni odsłaniającej ramiona. Jego żona, dobrze po czterdziestce, lepiej niż większość kobiet wkroczyła w ten wiek pełen niepokojów. Wyglądała na pewną siebie i szczęśliwą, reszta zabiegała o jej towarzystwo, każdy chciał jej dotknąć, uścisnąć ją, by zarazić się jej energią. Była śliczna, znacznie ładniejsza, niż mógłby sobie wymarzyć. Ale uroda nie ma już większego znaczenia, pomyślał, kiedy podeszła złożyć mu życzenia i musnęła pocałunkiem jego usta.

– Spodziewałeś się czegoś takiego?

Gonzalo zrobił stosowną minę. Łatwiej kłamać, kiedy słuchający kłamstwa jest gotów w nie uwierzyć.

– Oczywiście, że nie.

– Przyszli wszyscy – oznajmiła Lola z triumfalnym wyrazem twarzy.

Nie było to do końca zgodne z prawdą. Ciężko jest ukryć niektóre luki. Życie, w miarę jak posuwało się naprzód, zostawiało za sobą zwłoki. Gonzalo dostrzegł z daleka swojego teścia.

– Co tu robi twój ojciec?

Lola położyła mu na ramieniu dłoń o pomalowanych paznokciach. Chciała zachowywać się swobodnie, ale była zdenerwowana. Gonzalo poznał to po lekkim drzeniu palców spoczywających na poduszce swojej marynarki.

– Postaraj się być dla niego miły, dobrze? Dziś powie ci o fuzji kancelarii.

Gonzalo przytaknął bez entuzjazmu. „Fuzja” była wspaniałomyślnym sposobem na uniknięcie słowa „poddaństwo”. Miał zostać sługusem, a żona prosiła go, żeby jeszcze był uprzejmy. Dobijał go ten niekończący się teatr, w którym ona zdawała się doskonale odnajdywać.

Lola zmarszczyła nos, przymykając nieznacznie powieki o długich rzęsach sklejonych tuszem.

– Paliłeś?

Gonzalo zachował kamienną twarz. Udało mu się nawet udać oburzenie.

– Przecież ci obiecałem. Od pięciu miesięcy nie wypaliłem ani jednego papierosa.

Lola spojrzała na niego z niedowierzaniem. Zanim waga przechyliła się na jej stronę, Gonzalo zmienił temat.

– Widziałem przy ogrodzeniu robotników.

Lola ze złością odrzuciła do tyłu włosy.

– Powinieneś złożyć na policji donos na tego wariata. To trwa już zbyt długo. Rozmawiałam z ojcem i...

Gonzalo przerwał jej, urażony.

– Mówisz mu też, ile razy chodzę do toalety?

– Nie bądź niemiły. Chcę tylko powiedzieć, że to musi się skończyć.

Gonzalo dostrzegł zbliżającego się teścia. Lola cmoknęła go czule i zostawiła ich samych przy basenie.

– Wspaniałe przyjęcie – pogratulował mu teść. Nawet kiedy chciał coś pochwalić, jego głos brzmiał arogancko, a wyraz twarzy zawsze graniczył z pogardą. Jego oczy straciły kolor, ale emanowały z nich przebiegła inteligencja i godna pozazdrosczenia energia, jowialna i pełna pasji. „Całkowite przeciwieństwo ciebie”, zdawało się wyrzucać mu to spojrzenie. Gonzalo nie potrafił przewyciężyć poczucia małości, które ogarniało go w towarzystwie teścia. Prawie siedemdziesięcioletni Agustín González nie doszedł jeszcze do krytycznego momentu, w którym niektórzy mężczyźni zaczynają się nad sobą uzalać. Pod wieloma względami był odstręczający, a jego zła sława – zasłużona. Twardy zawodnik, prawnik procesowy z licznymi sukcesami na koncie, pozbawiony skrupułów korsarz, arogancki,

a czasami grubiański, obnoszący się z pogardliwą miną kogoś, kto już tak długo jest na szczycie, że uważa, iż ma święte prawo tam pozostać. Ale był także człowiekiem rzetelnym, wykształconym i bez wątpienia rozsądnym. Ważył każde słowo, starając się nie powiedzieć niczego, czego później mógłby żałować. Być może wiele osób czuło do niego nienawiść, ale nawet jego wrogowie nie byli na tyle głupi, żeby śmiać się z niego za jego plecami.

– Chciałbym spokojnie porozmawiać z tobą o naszej spółce. Zajrzyj w poniedziałek do mojego biura, tak około dziesiątej.

Gonzalo czekał, że coś doda, ale jego teść, równie oszczędny w słowach, jak w gestach, wydał z siebie jedynie burknięcie – w założeniu może przyjacielskie – po czym oddalił się w stronę grupki gości.

Partnerka teścia pozdrowiła Gonzala z daleka uniesionym kieliszkiem wina. Była znacznie młodsza od Agustína. Zapomniał, jak się nazywa, o ile w ogóle mu się przedstawiła, za to długo będzie pamiętał jej obcisłą suknię, bezwstydnie opinającą ciało, i koronkę stanika uwydatniającego piersi, walczące, by wydostać się na zewnątrz. Teściowi podobały się takie kobiety, wyzywające i posłuszne. Odkąd owdowiał, zaczął je kolekcjonować. Kobieta kołysała biodrami, jakby poruszała się po planie filmowym pośród dekoracji z papier-mâché i skupiała na sobie światła wszystkich reflektorów. Dotknęła kącika ust, po czym z niesmakiem spojrzała na poplamione szminką palce.

Pod drewnianą pergolą zdobiącą skraj ogrodu Gonzalo zobaczył Javiera. Jak zawsze trzymał się z dala od innych, odstawał od reszty niczym niepasujący do niej przedmiot. Stał oparty o jedną z kolumn, pochłonięty płynącą z odtwarzacza muzyką, i obojętnie obserwował przyjęcie. Bermudy, które miał na sobie, odsłaniały długą bliznę na prawej nodze. Choć minęło już dużo czasu, za każdym razem, kiedy Gonzalo widział tę bliznę, czuł się winny.

Do wypadku – jeśli w ogóle można tak to nazwać – doszło, kiedy Javier miał dziewięć lat. Stali obaj na szczycie skały, Javier spoglądał w głąb spokojnej, przejrzystej wody. Tak naprawdę wysokość nie była duża, ale chłopcu musiała się wydawać nie do pokonania. Lola wołała do niego z dołu, żeby skoczył. Strach walczył w nim z chęcią, by zamknąć oczy i rzucić się w próżnię. „Zrobimy to razem. Nic się nie stanie, zobaczysz”, zachęcał Gonzalo, ściskając mocno dłoń syna. Javier uśmiechnął się do niego. Skoro był z nim ojciec, nie mogło mu się przytrafić nic złego. To było dla niego coś jak początek wieczności. Wrażenie, że spada, i jednocześnie uczucie, że nic nie waży, ryczące głosy, jego i ojca. Świat zamieniony w krąg intensywnego

błękitu, morze otwierające się, żeby wciągnąć go w pęcherze powietrza i wyrzucić z powrotem na powierzchnię. Ojciec śmiał się, dumny z syna, ale jego spojrzenie szybko pociemniało. Wokół Javiera woda barwiła się na bordowy kolor. Chłopiec poczuł w nodze straszliwy ból.

Wtedy pierwszy raz Gonzalo zawiódł syna. Prawa noga, na którą utykał Javier, codziennie mu o tym przypominała.

– Pewnie powinienem ci złożyć życzenia. – Głos Javiera był senny, znudzony i ochrypły. Nedorobiony.

– Nie ma takiego obowiązku, ale byłbym ci wdzięczny za ten gest.

Chłopak rozejrzał się wokoło jak nastolatek, który bada różne możliwości.

– Założę się, że połowa tych ludzi ma cię w dupie. Ale wygląda na to, że wszyscy potraficie doskonale udawać.

Co mógł wiedzieć ojciec o wewnętrznym świecie swojego siedemnastoletniego syna? W Internecie chłopcy w tym wieku otwarcie mówią o swoich przeżyciach i uczuciach. Mówią i mówią, ale ciężko jest wyciągnąć jednoznaczne wnioski na temat tego, kim są albo za kogo się uważają. Gonzalo obserwował bolesną przemianę syna, czuł ciężar jego samotności, sposób, w jaki zaczyna zaciskać się wokół niego reszta jego życia.

– Widzę, że nie możesz się oprzeć pokusie, żeby zadać mi ból, kiedy tylko nadarzy się okazja. Prawda? – Gonzalo nie potrafił uwolnić się od swoistego poirytowania, które czuł za każdym razem, kiedy rozmawiał z synem. Jakby mówili dwoma różnymi językami i żaden z nich nie podejmował najmniejszego wysiłku, żeby zrozumieć drugiego.

Javier podniósł wzrok i spojrzał na ojca z mieszką tęsknoty i skrępowania, jakby pragnął mu coś powiedzieć, ale nie potrafił wyrazić tego słowami. Ostatnio wydawał się starszy i bardziej markotny, wyglądało na to, że pierwszy rok studiów rzuci go na ziemię niczyją, gdzie przestanie być dzieckiem, ale też nie będzie jeszcze w pełni należał do świata dorosłych.

– Co mam ci powiedzieć? To tylko kolejne przyjęcie „niespodzianka”. Jak co roku.

Gonzalo przeszył syna spojrzeniem.

– Można wiedzieć, o co ci chodzi?

– O nic mi nie chodzi. Po prostu potrzebuję chwili spokoju.

– Nie chcę, żebyśmy zaczęli się kłócić. To nie jest odpowiedni moment.

Gdyby mogli na siebie nakrzyczeć, naubliżyć sobie, wyrzucić z siebie wszystkie żale, które się za nimi ciągnęły. Ale to nigdy nie następowało. Taki

był porządek rzeczy.

– W takim razie nie róbmy tego.

Gonzalo zamyślił się na chwilę, obserwując krążącą między gośćmi Lolę. Javier był jej żywym odbiciem: miał jej oczy, jej usta, a mimo to w jego szerokim czole, w mocnych, kędzierzawych, czarnych włosach było coś, co budziło w Gonzalu odrazę. Starał się powstrzymać to uczucie wstrętu, ale Javier w jakiś sposób się go domyślał.

– Czasami mam wrażenie, że za bardzo przypominasz matkę. Posiadasz szczególną umiejętność odsuwania od siebie ludzi, którzy cię kochają.

Javier potarł skroń; pragnął zostać sam.

– Ty nie znasz mamy. Mieszkasz z nami, ale nas nie znasz.

Gonzalo uśmiechnął się ze smutkiem. Javier podziwiał matkę w takim samym stopniu, w jakim nienawidził ojca, bez prawdziwego powodu, innego niż instynkt. Tak naprawdę wielbił zjawę. Zresztą, czy on sam tego nie robił?

Jego uwagę zwrócił mężczyzna stojący przy bramie. Krzepki, podstarzały typ przyglądał mu się uważnie, paląc papierosa. Dym osiadał na jego bujnych wąsach. Gonzalo miał niejasne wrażenie, że kogoś mu przypomina, chociaż był pewien, że nigdy nie widział go na oczy. Może zmylił go jego wygląd, całkowicie bezbarwny, nie licząc gęstych wąsów. Był ubrany w kremowe, pogniecione spodnie i koszulę, która teraz miała plamy potu pod pachami. Duży brzuch groził wyrwaniem guzików, jakby na siłę wepchnął go za pasek. Mimo to wąsy w różnych odcieniach siwizny kogoś mu przypominały. W jego zdezorientowanej głowie torowało sobie drogę pytanie.

Nie odrywając od niego wzroku, nieznajomy przetarł chusteczką ogoloną na łyso czaszkę.

Gonzalo podszedł do niego.

– Przepraszam, czy my się znamy?

Mężczyzna wyjął z kieszeni odznakę, pokazał ją Gonzalowi i ze smutkiem pokiwał głową.

– Co pan tu robi?

Alcázar spojrział na niego nieporuszony.

– Chodzi o pańską siostrę, Laurę.

To imię zabrzmiało dla Gonzala obco, niczym dawno zapomniana, drobna nieprzyjemność. Siostra zniknęła z jego życia bez słowa wyjaśnienia przed ponad dziesięć laty. Od tamtej pory jej nie widział.

– Co znów zrobiła ta wariatka?

Alcázar wyrzucił niedopałek i zgniótł go, kręcąc obcasem. Jego skośne oczy ukryte pod grubymi, zmierzwionymi siwymi brwiami przewiercały Gonzala na wylot.

– Zabiła człowieka i popełniła samobójstwo. Swoją drogą, ta wariatka była moją koleżanką z pracy.

Niesiony od plaży kurz pokrywał fotele i stół na tarasie delikatną błoną, a białe ściany wydzielały piekielny żar.

Siaka z obojętnością i spokojem spoglądał przez okno na morze. Kobieta drzemała, leżąc na brzuchu, z twarzą rozpląszczoną na poduszce; z rozchyłonych ust spływała ślina, a do jej czoła kleiły się mokre od potu włosy w kolorze wina. Była tęga, miała zaróżowioną skórę i kolczyk w nosie, mały brylancik. Na przypieczonej słońcem skórze odznaczały się białe ślady po majtkach i staniku. Turyści zawsze popełniali ten sam błąd – gdy tylko znaleźli się na plaży, kładli się na ręczniku niczym jaszczurki, jakby miało im zabraknąć słońca. Siaka ostrożnie zdjął rękę, która obejmowała go w pasie, i odsunął się od lepkiej jak dżem skóry. Zanim doszła, wydała z siebie odgłos przypominający rzenie konia. Potem spojrzała na niego z obscenicznie figlarną iskrą w oku. „Gdzie nauczyłeś się wszystkich tych rzeczy?”, zapytała. „Urodziłem się z tą wiedzą”, odpowiedział. Uśmiechnęła się. Siaka był przekonany, że nawet go nie zrozumiała. Wreszcie zasnęła jak niemowlę.

Ubrał się możliwie najciszej, zostawiając buty na koniec, i przeszukał torebkę kobiety. Znalazł portfel z grubym plikiem dolarów w środku, zegarek wyglądający na dość drogi i telefon. Wyjął też paszport (amerykańskie paszporty były w cenie), jednak po chwili zastanowienia włożył go z powrotem do torebki razem z komórką. Tatuś na pewno wysłał jej pieniądze z jakiegoś banku w New Jersey czy skąd tam, kurwa, przyleciała, ale utrata paszportu byłaby dla niej większym problemem. Dziesiątki takich Suzanne, Louise, Marie przyjeżdżały ze Stanów Zjednoczonych i innych miejsc świata, pragnąc przeżyć wakacje życia, które mogłyby potem wspominać podczas długich zimnych nocy w Bostonie czy Chicago. Rosjanki, Chinki i Japonki też były niczego sobie, ale on wołał jankeski. Miały w sobie naiwność, która budziła w nim rozbawienie, wystarczało im niewiele więcej, niż dawali im ich partnerzy czy mężowie, a do tego były hojne. Żadnych tanich pensjonatów czy numerków w wynajętym samochodzie. Zabierały go do swoich

apartamentów, a Siaka miał słabość do pięciogwiazdkowych hoteli. Do minibarów, haftowanej pościeli, szlafroków, soli kąpielowych i czystej wykładziny. Ale najbardziej lubił flagi. Chorągwie powiewające na masztach pięciogwiazdkowych hoteli zawsze były nowe i błyszczące.

Ktoś, kto nie widział tych flag z tarasu pięciogwiazdkowego hotelu z widokiem na morze, nie był w stanie zrozumieć, czym jest pierwszy świat. Kiedy turystki napalonym głosem, z którego przebijały miłosne zamiary, pytały, skąd jest, kłamał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Dla większości ludzi Afryka była tylko ciemnożółtą plamą na mapie. Wszystkie granice i państwa wyglądały tak samo. Miejsce nieszczęść, głodu, chorób i wojen. Wystarczyło kilka łzawych historii, a słuchały go z litościwym spojrzeniem, wyciągały swoje długie palce nad stolikiem w drogiej restauracji, uważały się za lepsze, co sprawiało, że czuły się źle i miały wyrzuty sumienia. Wtedy Siaka uderzał w inny ton, lubił bombardować je wiedzą o muzyce afrykańskiej, mówił o mbirze, bardzo popularnym w jego ojczyźnie, Zimbabwe, instrumencie z metalowymi języczkami zamontowanymi w tykwie, które trąca się kciukiem. Albo opowiadał o Nicholasie Mukomberanwie, jednym z najwybitniejszych artystów swojego kraju. Wówczas współczucie przechodziło w podziw, a w miarę trwania kolacji i opróżniania kolejnych butelek wina brał górę kolonialny duch dawnych lat – turystki kładły pod stołem dłonie albo stopy na jego kroczu, a w ich nietrzeźwym spojrzeniu pojawiała się pytanie, czy to prawda, co mówią o czarnych, że mają ogromne, bo każdy czarny musiał mieć okazały męski atrybut. Tak sądziły i to oferował im Siaka. Miał okazałego członka i potrafił wypełnić go energią swoich dziesiętnastu lat. Miał też plany na przyszłość.

Wyszedł z pokoju, po czym założył buty na korytarzu, chowając w nich dolary. Nie zdarzało się to często, ale czasami hotelowa ochrona przeszukiwała go, zwłaszcza jeśli zapamiętała jego twarz.

Tym razem bez problemu wyszedł na ulicę i złapał taksówkę.

– Dokąd pan życzy sobie jechać?

Siaka uśmiechnął się z zadowoleniem. Lubiał, kiedy zwracano się do niego *per pan*; może i był Murzynem, imigrantem bez papierów, ale drogie ubranie i markowe okulary przeciwsłoneczne wybielały. Jeśli zaś chodzi o papiery, ludzi interesowały wyłącznie te, które miał w bucie.

– Przyjmuje pan dolary? – zapytał, podając kierowcy setkę. Dzięki pieniądzom imigrant staje się mniej nielegalny.

Dom Gonzala Gila znajdował się na luksusowym osiedlu położonym na wzgórzu z widokiem na morze. Jego fasadę niemal całkowicie zasłaniał wysoki mur z nieobrobionego kamienia, zza którego dobiegały śmiechy i plusk wody w basenie. Z okna taksówki Siaka dostrzegł furgonetkę firmy cateringowej. Ciemnowłosa kobieta, wysoka i elegancka, która otworzyła furtkę, musiała być żoną prawnika. Siaka próbował przypomnieć sobie jej imię, ale do głowy przyszło mu tylko jedno określenie: „ta arogancka dziwka”. Z tego, co wiedział, Gonzalo miał dwoje dzieci – syna prawie w jego wieku i młodszą dziewczynkę. Widział je kilka razy, gdy wsiadały do szkolnego autobusu, który zatrzymywał się niedaleko ich domu.

– Taksometr zrobi ze mnie bogacza.

– Jeśli zadzwonię do pana, powiedzmy, za pół godziny, przyjedzie pan po mnie? Dostanie pan duży napiwek.

Przeszedł wzdłuż muru, wdychając woń orchidei. Zapach kwiatów i świeżo skoszonego trawnika przypomniawszy mu powieści Fitzgeralda i nieco bardziej mgliście szkołę, w której uczył się jako dziecko. Uśmiechnął się na widok robotników zmywających graffiti. Ten dom musiał być dla nich żyłą złota. Co trzy, cztery dni wracali, żeby usunąć wyzwiska pod adresem prawnika i groźby wobec jego atrakcyjnej żony i dzieci o twarzyczkach cherubinków. Jeden z robotników przyglądał mu się przez chwilę. Siaka przywitał się z nim jak gdyby nigdy nic i mężczyzna wrócił do swojej pracy. Na wszelki wypadek chłopak przeszedł na drugą stronę chodnika i przespacerował się między sąsiednimi posiadłościami. Pomyślał, że niektórzy ludzie wiedzą, jak żyć, ale nie ma to nic wspólnego ze szczęściem.

Oparł się o mur i zapalił papierosa. Poprawił okulary przeciwsłoneczne i zamknął oczy, wypuszczając dym przez białe zęby.

– Wszystkiego najlepszego, mecenasie.

2.

Gonzalo podniósł wzrok i porównał widniejący na budynku numer z tym z adresu otrzymanego w sądzie. Wśród rzeczy osobistych jego siostry był klucz do mieszkania, w którym spędziła ostatnie miesiące życia. Na domu zachowała się jeszcze zniszczona tabliczka z frankistowskim symbolem, pękiem strzał i napisem: „Własność Ministerstwa Mieszkalnictwa”. W splocie kabli, który wystraszyłby każdego elektryka, można było dostrzec datę budowy. W wąskim korytarzu zalatywało wilgocią. Światło na schodach nie działało, połowa skrzynek na listy została brutalnie wyrwana, a te, które ocalały, miały wyłamane zamki albo powyginaną blachę. Nie robiąc sobie większych nadziei, Gonzalo poszukał nieistniejącej windy, po czym z rezygnacją spojrzął na strome, kręte schody.

Kiedy dotarł na ostatnie piętro, po plecach spływał mu pot. Przez chwilę łapał oddech, zanim wyjął z kieszeni klucz i włożył go do zamka jedynych tam drzwi. Rozległ się zgrzyt odsuwanej rygla. Uderzył go odór zaschłego potu i czarnego tytoniu. Dotknął ściany w poszukiwaniu kontaktu; w głębi długiego przedpokoju zapaliła się żarówka bez klosza.

Do środka ledwo docierało światło z zewnątrz. Salon był bardzo mały, z lepką podłogą z lastryka i nagimi ścianami. Znajdowały się w nim tylko komoda, stary fotel i przedpotopowy telewizor. Na wieszaku wisiał szlafrok z wypalonymi papierosem dziurami na mankietach. Przy oknie bez firanki stało wiklinowe krzesło. Gonzalo próbował wyobrazić sobie siostrę, jak pali i pije na umór w ciemnym pokoju ze spuszczoneymi żaluzjami.

Po lewej stronie stało małe biurko, zavalone papierami, książkami i czasopismami. Wszędzie walały się puszki po piwie i niedopałki. Na podłodze leżało ślubne zdjęcie w ramce z rozbitym szkłem. Gonzalo schylił się, żeby je podnieść, i wytarł odcisk buta, chcąc mu się lepiej przyjrzeć. W dniu ślubu Laura, wystraszona, błędziła wzrokiem po całym kościele, szukając go wśród gości; w jej spojrzeniu szamotała się zdezorientowana jaskółka. To samo spojrzenie miała na fotografii, uciekała na swój sposób

przed obejmującym ją w talii ramieniem Luisa. Były szwagier wyglądał na zdjęciu bardzo młodo. Gonzalo zawsze darzył go sympatią, szkoda, że dziesięć lat temu wszystko tak nagle się skończyło; żałował, że stracili kontakt.

Poszedł do kuchni. Cuchnęło zepsutym jedzeniem. Na wbitym w ścianę gwoździu, obok niedziałającego zegara, wisiał kalendarz sprzed kilku lat. Drewniane części mebli poczerniały od brudu, na stole pokrytym laminatem stały szklanka i talerz z resztkami jedzenia. Miało się wrażenie, że Laura musiała na chwilę wyjść, ale zaraz wróci, żeby skończyć obiad. To tutaj strzeliła sobie w brzuch. Kiedy znalazła ją policja, trzymała w dłoni pistolet. Nie była to jej służbowa broń, tę odebrano jej po śmierci syna, kiedy psycholog wysłał ją na przymusowe zwolnienie. Nikt nie przewidział, że może mieć w domu drugą.

Lekarz sądowy zapewniał, że śmierć nie była bolesna, w żołądku znaleziono barbiturany i alkohol, którymi Laura najprawdopodobniej się naszprycowała, zanim do siebie strzeliła. Gonzalowi pozwolono zobaczyć jedynie twarz siostry, dostrzegł jednak prześwitujący przez prześcieradło szew biegnący od pępka aż do tchawicy. Ciało Laury, pozbawione organów, zwiotczało niczym pusty bukłak.

Gonzalo nie wierzył, że była to przyjemna śmierć. Ślad zaschniętej krwi wił się od drzwi aż pod stół. Schroniła się pod nim niczym porzucony, umierający pies. Wielka kałuża wyschła, pozostawiając ogromną ciemną plamę na starym linoleum, na którym ratownicy stoczyli daremną bitwę, by przywrócić ją do życia – zostały po nich lateksowe rękawiczki, bandaż, osłonki igieł i jakaś rurka. Kiedy policjanci weszli do mieszkania, muzyka grała na cały regulator. Nie potrafili powiedzieć, co to była za melodia, zdenerwowali się, kiedy Gonzalo nalegał, jakby nie miało to znaczenia. A przecież miało, oczywiście, że miało; zobaczył na wieży pudełko od płyty. Laura wybrała siódmą symfonię *Leningradzką* Szostakowicza, żeby ukryć przed sąsiadami huk wystrzału i jęki agonii. Ich matka nie znosiła tego kompozytora, może dlatego Laura sięgnęła właśnie po niego.

Usiadł na krześle i przyglądał się miejscu, które było mu równie obce jak osoba (a raczej to, co z niej zostało, zwłoki) leżąca w kostnicy na zimnych metalowych noszach. Chociaż bardzo się starał poczuć coś więcej, śmierć siostry wywołała u niego jedynie zaniepokojenie, jakie budzi wiadomość o odejściu kogoś, kogo ledwo znamy, dalekiego krewnego, o którym nic nie wiemy i z którym nic nas nie łączy. Chmura w oddali w słoneczny dzień. Ale

im dłużej tam siedział, tym więcej podnosiło się warstw kurzu, pozwalając, by wypłynęły na powierzchnię wspomnienia z dzieciństwa, w których Laura była jedynym pewnym punktem odniesienia, jaki zachował.

Po wejściu do sypialni poczuł zakłopotanie, absurdalne, zważywszy na okoliczności. Nikogo nie powinny obchodzić porozrzucane po całym pokoju majtki i staniki, niepościelone łóżko, mocny zapach seksu i alkoholu. Na komodzie zobaczył ślady kokainy. Palce Laury wciąż tu były, odcisnięte w kryształowym proszku. A także palce innej osoby, może któregoś z jej kochanków. Usiadł na brzegu łóżka i wyjrzał przez okno wychodzące na taras z widokiem na plażę. To oglądała Laura każdego ranka po przebudzeniu – skrawek nieba, kawałek ziemi i wodę. Może ten obraz przynosił jej pewną ulgę, kiedy otwierała oczy. Może w nocy patrzyła stąd na gwiazdy i wdychała wilgotne, przesycone saletrą powietrze, może w tle rozbrzmiewał jej ukochany Bach albo Wagner, kolejny kompozytor znieawidzony przez matkę, a tym samym jeden z ulubionych Laury. Może rano, kiedy wschodziło słońce, szła pływać (pamiętał, że zawsze pływała znacznie lepiej od niego), dopóki nie opadła z sił, docierała do unoszącej się w oddali boi i wracała. A może tylko siadała, opierając brodę i ręce na zardzewiałej barierce, mijały godziny, a ona paliła, piła i myślała o swoim synu.

Jakim był bratem? Bratem, który nic nie wie o swojej siostrze. Przypomniawszy sobie jedną z ich rozmów. Miał wówczas czternaście lat, w szkole zadali mu pracę domową – musiał zrobić kolaż ilustrujący przeszłość któregoś z członków rodziny. Gonzalo bez zastanowienia wybrał ojca i poprosił Laurę, żeby pomogła mu dobrać zdjęcia i pamiątki: kawałek materiału z jego kamizelki, guzik, pudełko zapalek, którymi zapalał swoje wielkie cygara... Chciał, by wszystkie te przedmioty otaczały niczym aureola świętego zdjęcie ojca ubranego w mundur sowieckiego oficera. Gonzalo chodził wówczas do szkoły prowadzonej przez klaretynów, wiedział, że nie spodoba im się taka prowokacja i że nie zaliczą mu pracy. Nie miało to jednak dla niego znaczenia.

– Kochałeś go? – Pamiętał, że siostra zadała mu to pytanie, kiedy w skupieniu pracował nad kolażem. Zapisywał zwrotki wiersza na cześć Lenina, mieszając hiszpańskie zdania z długimi fragmentami po rosyjsku, ale urywał niektóre słowa, jakby się niecierpliwił, jakby wystarczyło je tylko zaznaczyć, żeby były obecne.

– Czy kochałem kogo? – zapytał z roztargnieniem.

– Naszego ojca.

Gonzalo ze zdziwieniem spojrział na siostrę. Ile lat miała wtedy Laura? Dwadzieścia jeden? Może dwadzieścia dwa? Była już wówczas pewną siebie dziewczyną, dużo podróżowała, miała znajomych, którzy nie bardzo podobali się ich matce, a których on uważał za interesujących i zabawnych. Gości, którzy czytali Kerouaca, słuchali Dylana i częstowali go papierosami, kiedy w pobliżu nie było matki.

– Tak, oczywiście, że go kochałem.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Był naszym ojcem.

– Jak się kocha kogoś, kogo się nie zna? Tylko dlatego, że jest twoim ojcem? – Siostra posłała mu spojrzenie, które trwało tyle, ile mrugnięcie oka, ale które zapamięta do końca życia. Pełne bólu, niezrozumienia, żalu.

Tamto pytanie i tamto spojrzenie nadal tu były, w tym mieszkaniu, w którym Gonzalo nie miał już nic do roboty. Przyszedł w nadziei, że znajdzie jakąś więź z przeszłością, ale mu się nie udało. Osoba, która tu żyła i umarła, nie miała z nim nic wspólnego.

Zamierzał już wyjść, kiedy zwrócił uwagę na uchylone drzwi szafy w sypialni. Po lewej stronie wisiały bluzki, sukienki i spodnie Laury, a po prawej puste plastikowe wieszaki. Z dolnej półki wystawał ogromny worek na śmieci. Kiedy rozchylił go z ciekawości, jego oczy rozblęły pod wpływem wspomnień jak u dziecka patrzącego na prezenty pod choinką. Kurtka lotnicza ich matki!

Wyjął kurtkę z worka i rozłożył na łóżku, spoglądając na nią z niedowierzaniem. Ile czasu minęło, odkąd widział ją ostatni raz? Ponad trzydzieści lat. Skóra popękała i pociemniała, ale widać było, że Laura o nią dbała. Na naszywce po prawej stronie można było nadal dostrzec łopatę śmigła umieszczoną pod sierpem i młotem, symbol sowieckiej szkoły lotniczej, a pod nią flagę Republiki Hiszpańskiej. Podszycie z wełny jagnięcej przy kołnierzu poszarzało z brudu, ale zachowało miękkość, którą Gonzalo zapamiętał z dzieciństwa. Nieco zawstydzony, postanowił ją przymierzyć. Kiedyś rękawy były dla niego za długie i potykał się o dół kurtki, także wykończony wełną. Teraz nie mógł jej dopiąć, bał się, że zepsuje suwak. Powąchał skórę noszącą jeszcze ślady oleju, którym posmarowała ją Laura, i przeniósł się w czasie do 1968, 1969, a nawet do 1970 roku, kiedy bawili się z siostrą w pilotów. Gonzalo zawsze prosił matkę, żeby pożyczyła mu kurtkę. Godziła się pod warunkiem, że będzie uważał, by jej nie rozedrzyć.

Nie zawsze mu się to udawało; jeśli turlał się zboczem, zestrzelony przez wroga (Laura była niemieckim messerschmittem, a Gonzalo spitfire'em z Royal Air Force; teoretycznie to ona powinna przegrywać, ale zawsze uparcie broniła się przed uznaniem swojej porażki), i zabrudził albo zadarł kurtkę, wybuchał płaczem, częściowo na myśl o laniu, które sprawi mu matka, ale także dlatego, że kochał tę kurtkę bardziej niż cokolwiek innego. Już dawno temu uznał, że gdzieś przepadła, nie podejrzewał, że Laura mogła ją zachować.

Wciąż rozemocjonowany, wyczuł coś w jednej z wewnętrznych kieszeni. Znalazł niezaadresowaną kopertę, a w niej przedmiot ze starego srebra, przypominający zabytkowy zegarek na łańcuszku z przykrywką i zamknięciem. Nie zdejmując kurtki, usiadł w nogach łóżka i uważnie obejrzał dziwne znalezisko. Zegarek miał wygrawerowany z jednej strony napis, topornie, jakby za pomocą scyzoryka czy innego ostrego narzędzia. Litery uległy częściowemu zatarciu, Gonzalo musiał przysunąć ozdobę do szkielek okularów, żeby z trudem je odcyfrować. Układały się w żeńskie imię: Wielkie „I”, „m” lub „n”, nie był w stanie tego stwierdzić z pewnością, a na końcu „a”. Reszta była nieczytelna.

Manipulował przy zamknięciu dotąd, aż w końcu ustąpiło: wieczko odskoczyło na czymś w rodzaju sprężyny, odsłaniając wyblakłe zdjęcie w sepii przedstawiające młodą kobietę. Widać było zaledwie fragment prawej strony jej twarzy i głębokie spojrzenie kontrastujące powagą z wyrazem ust, które zdawały się rozchyłać w uśmiechu. Zdjęcie musiało zostać zrobione w zakładzie fotograficznym – za fotelem, na którym kobieta siedziała skromnie z nogą założoną na nogę, można było dostrzec fragment zasłony. Chociaż nie dało się tego stwierdzić na sto procent, wydawało się, że trzyma na kolanach małą dziewczynkę. Jedyne widocznymi elementami tej drugiej postaci były czarny bucik z klamerką, dół jasnej sukienki oraz słaby zarys warkoczyka z kokardką.

Gonzalo nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej widział ten medalion, nie miał pojęcia, jak znalazł się w kieszeni kurtki. Może matka będzie wiedziała. Matka. Nie wyobrażał sobie, jak poinformuje ją o śmierci Laury; bał się, jak zareaguje na tę wiadomość. W wieku osiemdziesięciu sześciu lat nie była już tak silna jak kiedyś. Coraz częściej plotła coś od rzeczy i traciła poczucie rzeczywistości. Nagle zaczynała mówić o sprawach z przeszłości, po czym patrzyła na syna, jakby go nie poznawała. Czas uległ dla niej zniekształceniu, był jak elastyczna guma, którą rozciągała według własnego

widzimi się. Lekarze, którzy się nią zajmowali, zapewniali, że to nie alzheimer. Esperanza zachowała niesamowitą pamięć i błyskotliwą inteligencję, jaką zawsze się odznaczała. Wytrwale czytała dzieła rosyjskich pisarzy ze swoich zbiorów, a ostatnio pochłaniało ją rysowanie węglem. Krajobrazy z dzieciństwa, martwa natura i portrety Eliása ozdabiały ściany jej pokoju. Opiekunowie twierdzili, że jego matka po prostu decydowała, kiedy i gdzie chce żyć, bez konieczności opuszczania ośrodka; narzucała swoją wolę wspomnieniom, wzywając je lub oddalając wedle uznania. Mimo nieprzyjemnego charakteru nie sprawiała problemu pielęgniarkom, które darzyły ją sympatią. Przechadzała się z balkonikiem po pobliskim lasku sosnowym, siadała na ławce twarzą do morza, żeby sobie poczytać, i bardzo dbała o higienę. Nie znosiła prosić o pomoc przy myciu się pod prysznicem czy ubieraniu. Często w nocy wlokła się do toalety, żeby zmienić sobie pieluchę, jeżeli zdarzyło jej się ją zabrudzić. Pielęgniarki nieraz znajdowały ją rano na podłodze w łazience, jednak mimo połajanek Esperanza nie zamierzała pozwolić, żeby patrzyły na jej upokorzenie, kiedy zrobiła pod siebie.

– Dziś nie jest niedziela – powiedziała na powitanie, kiedy zobaczyła, że nadchodzi.

W niedzielę, punktualnie o ósmej rano, siedziała nienagannie ubrana, czekając, aż po nią przyjedzie. Zatrzymywali się zawsze w tej samej kwiaciarni, Esperanza wybierała najładniejsze róże ze skrupulatnością, do której sprzedawczyni zdążyła się już przyzwyczaić, i jechali do domu nad jeziorem, by złożyć je na tym grobie, gdzie była pochowana tylko pamięć. Gonzalo na chwilę zostawiał matkę samą pod figowcem ocieniającym grób i robił obchód tego, co zostało z domu, aż Esperanza uznała, że mogą wracać. Drogę powrotną zawsze odbywali w milczeniu, czasami matka płakała. Gonzalo ścisnął jej chudą, kościstą dłoń, ale staruszka niemal nie dostrzegła tego gestu. Była daleko, bardzo daleko.

– Nie, dziś nie jest niedziela.

Przez kretonowe zasłony widać było dogasający dzień. Nieruchome cyprysy, stojące jak strażnicy po obu stronach zwirowej drogi, wyglądały zimno smutno. W innych porach roku ich widok był zaledwie do zniesienia. Oczywiście Esperanza zmagali się ze zmęczeniem, mimo to uparcie odmawiała noszenia okularów korekcyjnych, które kupił jej Gonzalo. Tego dnia siedziała przy

małym biurku w swoim pokoju i rysowała, trzymając ołówek przy samym czubku, z długim nosem przyklejonym do poślódkłych kartek.

– Przyjechałem, bo wydarzyło się coś ważnego.

– Czyżby skończył się świat? – zapytała, nie odrywając wzroku od papieru.

– Tylko dla Laury, mamó. Nie żyje.

Staruszka zastygła w bezruchu. Była tak krucha, że sam jej widok budził strach. Z wrażenia jej twarz jakby utraciła resztki pokrywającego kości ciała. Odchyliła szyję, ukazując żyły z trudem torujące sobie drogę pod cienką skórą. Wydała z siebie ciche czknięcie, nie zdołała nawet jęknąć. Wyłamała palce i wróciła do rysowania, ale ledwo mogła zapanować nad drzeniem ręki.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

Staruszka powoli poruszyła głową.

– Nie żyła już od dawna. Teraz trzeba ją tylko pochować. W porządku, zrób to.

Gonzalo poczerwieniał.

– Nie mów tak, była twoją córką.

Esperanza zamknęła oczy. Miała prawo tak mówić. Gonzalo był zbyt mały, żeby pamiętać, co się wtedy wydarzyło, a ona za stara, żeby teraz o tym zapomnieć. Odłożyła ołówek i zwróciła twarz w stronę wpadającego przez okno światła. Nie od razu zaczęła mówić, a kiedy wreszcie się odezwała, jej głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

– Na stole w kuchni stała patera z ceramicznymi owocami: awokado, bananami, winogronami. Ich gładkie powierzchnie, doskonalsze niż u prawdziwych owoców, kusząco błyszcząły. Były to jednak zwykłe malowane gliniaki. Pamiętam, że po paterze chodziła mucha. Twój ojciec drzemał na krześle, mucha przeniosła się na jego policzek i przez dłuższą chwilę siedziała tuż przy jego rozchyłonych ustach. Poraził cię ten widok, byłeś wtedy bardzo mały. W końcu twój ojciec zamknął buzię, połykając niechcący muchę, i dalej spał. Miałeś nadzieję, że mucha wyjdzie, ale już się nie pokazała. Przez całe lato czułeś się winny. Byłeś przekonany, że mucha złoży jaja w brzuchu twojego ojca i że pewnego dnia z ust, uszu i nosa wyfruną mu setki, tysiące owadów. Dręczyły cię koszmary, myślałeś, że umrze straszliwą śmiercią, a ty będziesz ponosił za to winę, bo nie odważyłeś się przegonić muchy ze strachu, że go obudzisz. Któregoś popołudnia usłyszałam, jak opowiadasz o wszystkim siostrze. Płakałeś zrozpaczony i przekonany, że zrobiłeś coś strasznego. Usłyszałam też, co ci odpowiedziała: „Obyś miał

rację i on rzeczywiście umrze”. Miała trzynaście lat, powinna była cię pocieszyć, wytłumaczyć, że nic się nie stało, ale wołała, żebyś myślał, że jesteś mordercą. Taka była twoja siostra.

– To tylko dziecięca podłość... Jak kiedy prosiłem ją, żeby weszła w korkociąg i dała się strącić pociskom z mojego spitfire’ a, a ona odmawiała, albo kiedy biegła ci donieść, że pobrudziłem kurtkę.

Esperanza spojrzała na syna kątem oka.

– Co to za bzdury?

– Zobacz, co znalazłem w mieszkaniu Laury. – Gonzalo sięgnął do torby, którą ze sobą przyniósł.

Skóra Esperanzy odzyskała dawną konsystencję; odsunęła się od biurka, a kiedy wzięła kurtkę, na kilka sekund odmłodziła o sześćdziesiąt osiem lat. Zasłoniła usta dłonią i spojrzała na syna z błyskiem nostalgii w oku, który pojawia się jedynie pod koniec życia.

– W kieszeni kurtki znalazłem to. – Gonzalo podał jej srebrny medalion z wygrawerowanym imieniem.

Esperanza zmarszczyła usta, uwydatniając meszek, który wyrósł nad nimi z biegiem lat. Przycisnęła ołówek do kartki, chciała go popchnąć, ale nie ruszał się z miejsca. W końcu gwałtownym ruchem złamała grafit. Oko zaczęło jej obficie łzawić. Gonzalo ukucnął przed nią i ujął jej twarz w dłonie. Między jego palcami skapywały wielkie łzy. Matka uparcie unikała jego wzroku.

– Co się dzieje, mamó?

– To było nieuniknione – powiedziała cichym głosem.

Zdezorientowany Gonzalo przyjrzał się stosom leżących na podłodze kartek, otaczającym łóżko książkom, różowemu szlafrokowi wiszącemu na wieszaku za drzwiami. Nagle w pokoju coś się zmieniło. Światło. Pociemniało, mimo że na zewnątrz niebo wciąż było przejrzyste.

– Co było nieuniknione?

– Śmierć – szepnęła staruszka.

Trzy dni później Gonzalo otrzymał z sądu pozwolenie na pochowanie Laury. Lekarz szukał śladów krwi albo skóry Zinowiewa, które powięzłyby ją z jego zabójstwem. Niczego nie znalazł, prokurator uznał jednak, że ma wystarczające dowody jej winy: kajdanki Laury, którymi był przykuty Zinowiew, zdjęcie jej syna przybite do jego piersi gwoździami, które zdaniem

biegłych zostały wystrzelone z pistoletu pneumatycznego leżącego w skrzynce na narzędzia w jej mieszkaniu, okrucieństwo, z jakim zadano mu śmierć, wskazujące na silny czynnik emocjonalny, oraz znaleziona na jej biurku mapa okolicy, w której znajdowała się potencjalna kryjówka Rosjanina. Fakt, że Laura popełniła samobójstwo zaledwie kilka godzin po tym, jak przyznała w rozmowie z Alcázarem, że nie zamierza iść do więzienia, był kolejnym dowodem jej winy. Dla policji i dla prokuratora sprawa była zamknięta, chyba że pojawiłyby się nowe tropy.

Z prawnego punktu widzenia zwłokami powinna się zająć matka Laury, ale Esperanza zrzuciła formalności na syna. Gonzalo nie wiedział nawet, czy jego siostra posiada ubezpieczenie, które pokryłoby koszty pogrzebu. Szybko odkrył, że nie, i musiał sam zabrać się za przygotowania. Laura nie zostawiła testamentu, nie spisała ostatniej woli, nie wiadomo było, czy chciałaby zostać skremowana, czy pochowana. Rozeźlony Gonzalo postanowił skontaktować się z Luisem. W końcu były szwagier najlepiej znał jego siostrę.

Luisa zdziwił jego telefon. Gonzalo nieporadnie przekazał mu wiadomość, nie znajdując właściwych słów. Przez długą chwilę po drugiej stronie słuchawki nie rozlegał się żaden dźwięk poza odgłosem fotokopiarki.

– Nie wiem, czy masz świadomość, że rozwiedliśmy się niedługo po śmierci naszego syna Roberta.

Jego głos nie zdradzał żadnych emocji. Mimo to zgodził się na spotkanie. Powiedział, że może być za godzinę w kawiarni naprzeciwko kancelarii Gonzala.

Jedyną rzeczą, jaką Gonzalo mógł powiedzieć o swoim ekszwagrze, było to, że darzył go sympatią. Skromny chłopak z porządnej rodziny, do przesady dobrze wychowany, ktoś, kogo jak by na to nie patrzeć, nigdy nie wyobrażałby sobie w roli męża swojej siostry. Luis powiedział mu, że mieszka teraz w Londynie i ma kogoś. Gonzalo zastał go w pracowni architektonicznej, którą prowadził z dwoma braćmi w górnej części miasta, przez czysty przypadek. Był w Barcelonie przejazdem, nadzorował budowę, ale jeszcze tego wieczoru zamierzał wrócić do Anglii.

Jednak mężczyzna, którego zobaczył po wejściu do kawiarni, nie miał nic wspólnego z chłopakiem, którego znał przed laty. Początkowo Luis niemal się nie odzywał, jakby byli sobie obcy. Garnitur o nowoczesnym, prostym kroju

i półdługie, starannie zaczesane do tyłu włosy dodawały mu autorytetu. Zegarek na ręce, spinki w mankietach i włoskie buty wskazywały na jednego z kandydatów na pana świata. Nieco przytył, ale nie tak jak Gonzalo: dodatkowe kilogramy pasowały do jego naturalnej opalenizny, zdobytej dzięki sportom uprawianym na świeżym powietrzu, wspinaczce, żeglowaniu i innym tego rodzaju rozrywkom, którym oddają się ludzie z jego sfery, żeby dodać życiu nieco adrenaliny. Jednak mimo stroju Luisa Gonzalo domyślił się, że gdzieś w jego wnętrzu pozostała zasłona nocy, patyna smutku, który mimowolnie przebijał z jego ciemnych oczu i którego nigdy nie będzie w stanie się pozbyć.

Gonzalo poczuł absurdalne współczucie dla tego mężczyzny, na którego kobiety spoglądały ze skrywaną przyjemnością, a mężczyźni nieufnie. Był czarujący pod każdym względem. Należał do osób, dzięki którym wierzysz, że błyszczysz własnym światłem, choć w rzeczywistości świecisz jedynie dlatego, że jesteś pod ich wpływem.

Wymienili kilka grzecznościowych zdań, niezdolni przewyciężyć skrępowanie, jakie budziło w nich to spotkanie; żaden nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Luis wyglądał na bardziej zestresowanego. Jego zdenerwowanie przekładało się na irytujące opanowanie ruchów, na sposób, w jaki stawiał na spodku filiżankę z kawą, w jaki zadawał pytania i udzielał odpowiedzi, nie zmieniając maski, którą miał na twarzy.

– Myślę, że wolałaby kremację. Nasz syn spoczywa w kolumbarium. Tam właśnie chciałaby się znaleźć. Oczywiście pokryję wszystkie koszty.

Gonzalo fizycznie nie miał czasu, by opłakać swoją siostrę, przyjął jej nieobecność jako coś ostatecznego. Tym bardziej żeby myśleć o kosztach pogrzebu. Na razie śmierć Laury była czymś, o czym inni mówili z żalem, a co on przyjmował do wiadomości jako część sztuki teatralnej, w której nie czuł się zbyt swobodnie. Tego ranka zatrzymał się przed wystawą sklepową, na której leżała książka kucharska – na jej widok przypomniał sobie, że Laura robiła najlepsze sałatki owocowe na świecie. Wydawały się proste do przygotowania, ale wcale takie nie były, nie wystarczyło obrać owoce i podać ich we własnym soku albo z odrobiną cukru (ona dodawała cynamon). Laura mówiła, że sekret tkwi w połączeniach, kwaśnego ze słodkim, mięsistego z wodnistym, na przykład dojrzałego banana i grejpfruta. Należało właściwie dobrać składniki i odstawić je na jakiś czas, ani za długi, ani za krótki.

Nie rozumiał, dlaczego jej były mąż mówi mu o kosztach pogrzebu.

– Nigdy mi nie powiedziała, jak się poznaliście, zastanawiam się, cóż to za przypadek połączył wasze losy.

Na kilka sekund twarz Luisa rozjaśnił błysk niemal zapomnianej radości.

Poznał Laurę w Afganistanie. Jego ojciec prowadził interesy w Kabulu, a on skorzystał z okazji, by samotnie zwiedzić kraj na zakurzonej, obwieszonym tobołami motocyklu marki Guzzi. Wyglądał jak bandyta, z mocno opaloną skórą i wielkimi goglami na czole. Lubił wtapiać się w miejscową ludność, nosząc obszerne stroje i zakrywając głowę tradycyjnym afgańskim beretem w kształcie naleśnika. Jego przewodnikiem był niski, ogorzały mężczyzna z dwiema ładownicami naboju dużego kalibru skrzyżowanymi na piersiach i starym kałasznikowem przewieszonym przez plecy. Luis zapomniał, jak miał na imię, ale nie to, że uśmiechał się ustami bez połowy zębów, jakby nie bał się życia. To właśnie on powiedział mu o małym schronisku na Przełęczy Chajberskiej między Pakistanem a Afganistanem, gdzie zatrzymywali się podróżni z Europy. „Także kobiety”, wyznał przewodnik, puszczając do niego oko.

Kiedy pierwszy raz zobaczył Laurę, siedziała na tarasie z suszonej na słońcu cegły i kamienia, patrząc na słońce zachodzące nad kamienistą pustynią w kolorze ochry. Wydawała się tak zamyślona, tak oddalona od tego miejsca, że można było ją wziąć za cenny posąg wyrzeźbiony przed tysiącem lat. „Powiedzieli mi, że jest tu jedna Hiszpanka”. Rzuciła mu niewidzące spojrzenie, niezadowolona, że jej przeszkadza. Potem odwróciła się i dalej wpatrywała w pustynię. Pod wpływem impulsu Luis usiadł obok niej, chcąc przesiąknąć tą prawdą, która zdawała się łączyć ją z krajobrazem. Impulsu, którego być może powinien był żałować.

– Gdybym powstrzymał pokusę, by musnąć łokciem jej przedramię, prawdopodobnie dalej wiódłbym spokojne życie, jakie czekało mnie po powrocie do kraju. Byłem wtedy zaręczony z przyjaciółką z dzieciństwa, córką wspólników mojego ojca. Skończyłbym w Stanach Zjednoczonych studia architektoniczne i miałbym śliczne bliźnięta, które pewnego dnia odziedziczyłyby rodzinne imperium. Gdybym nie stanął między spojrzeniem Laury a pustynią, oboje kontynuowalibyśmy podróż każde we własnej bańce, nie ingerując w przestrzeń drugiego... – Luis musnął filiżankę z kawą, jakby to była jakaś myśl, nad którą długo się zastanawiał. – Wystarczy jeden gest, żeby wprawić coś w ruch. W końcu skałę zaczyna drążyć pierwsza kropla, która na nią spadnie, nieprawdaż?

Gonzalo nie wiedział, co odpowiedzieć. Może to była prawda; zmiany, hekatomby, rewolucje i zmartwychwstania – wszystko kiedyś się zaczyna, w jakimś ułamku sekundy.

Luis rozparł się na krześle i pogłaskał po spodniej części dłoni, jakby odkurzał stary rękopis, w którym zostały zapisane jego wspomnienia z tamtych czasów.

– W latach osiemdziesiątych nie było wskazane podróżować po Afganistanie, tym bardziej dla kobiety. Kraj zajęli Sowieci, a miejscowi watażkowie nie zamierzali tego tolerować. Ale Laura nigdy nie przejmowała się poważnie swoją przyszłością. Spalała młodość, podróżując i pisząc artykuły dla jednego z czasopism historycznych. Poza tym dorabiała, tłumacząc z rosyjskiego dla prosowieckiego rządu, nie miała jednak oporów, by przemierzyć kraj i spotkać się z walczącymi z najeźdźcą lokalnymi przywódcami.

Gonzalowi przemknęło przez myśl wspomnienie zabaw z dzieciństwa, kiedy to jego siostra nie dawała się pokonać innym dzieciom w żadnej walce, udawanej czy prawdziwej.

– Była wyjątkowa – stwierdził, uśmiechając się z niewczesną dumą. Luis potwierdził energicznym skinieniem głowy.

– Laura należała do kobiet, za którymi bez względu na wiek oglądasz się na ulicy. Była prześliczna. Więcej: niesamowita. Wyróżniała ją stanowczość, która zmieniała panującą wokół atmosferę. Zarażała innych chęcią życia, nie wystarczał jej sam fakt, że oddycha, musiała zamieniać w cud wszystko, co robiła.

Spojrzeni na siebie z niedowierzaniem, jakby po takim stwierdzeniu dalsza rozmowa o jej pogrzebie była niedorzeczna. Luis ożenił się z Laurą zaledwie dziesięć miesięcy po tym, gdy się poznali, i nie żałował tego pośpiechu mimo niesnasek, które jego decyzja wywołała w rodzinie. Rodzice i przyjaciele byli zbyt zadowoleni z siebie i ze swojej egzystencji, nigdy nie zdołał ich przekonać, że ta buzująca energią, zdecydowana kobieta żyje pełnią życia dopiero wówczas, gdy nie liczy się nic innego poza tym, by oddać się drugiej osobie.

Luis podniósł swoją piękną głowę rzymskiego senatora, godną dłuta Michała Anioła: jego oczy błyszczały, bliskie rozpaczliwej melancholii.

– Dała mi to, co najbardziej kochałem w życiu. Naszego syna. On pokazał mi, czym jest pełnia. Sam masz dzieci, wiesz, o czym mówię.

Gonzalo odwrócił wzrok. To stwierdzenie zmusiło go do stawienia czoła własnym ograniczeniom jako ojca. Pomyślał o swojej córce Patricii. To prawda, że zanim wziął ją na ręce, nie wiedział, co znaczy żyć. Córeczka była środkiem, punktem, wokół którego krążyły jego uczucia, jego obawy i jego nadzieje. Jednak na myśl o Javierze te uczucia traciły kontury, stawały się bardziej złożone, miłość i czułość wplątywały się w kłębek wyrzutów i głuchych uraz.

– Bez reszty oddaliśmy się z Laurą naszemu synkowi. Wszystko, co robiliśmy, co zamierzaliśmy, nasze plany na przyszłość, kręciło się wokół niego. Wydobyłem z siebie ukryte siły, żeby pracować, żeby zbudować coś, co mogłoby uczynić dla niego świat nieco wygodniejszym. Jego pojawienie się zdołało nawet ponownie zjednoczyć moją rodzinę, rodzice z wdzięcznością zaakceptowali Laurę, dumni i szczęśliwi, że mogą trzymać w ramionach wnuka. – Luis zamilkł na kilka sekund, szukając słowa, które oddałoby dokładnie to, co wydarzyło się później. Zawahał się, nie był w stanie go znaleźć, zastanawiał się jeszcze chwilę, po czym spojrzał na Gonzala, jakby błagał go o pomoc w poszukiwaniach. – Laura zawsze bardzo cię kochała, Gonzalo, nigdy nie przestała o tobie myśleć. Kiedy urodził się Roberto, sugerowałem, że może to dobry moment, żeby zawarła pokój z tobą i z matką, nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak się od siebie oddaliliście, a ona też nie chciała mi tego wyjaśnić.

Gonzalo również tego nie rozumiał, przynajmniej nie do końca. Nienawiść i urazy są mocniejsze, jeżeli się wcześniej kochało. Tamten konflikt ostatecznie zniszczył ich rodzinę. Może powodem była decyzja Laury, by porzucić obiecującą karierę historyczki i dziennikarki i wstąpić do policji – rzecz niezrozumiała dla ich matki, mając na uwadze dramat, jaki przeżywał jej mąż podczas trwającej ponad sześćdziesiąt lat walki. A może tamten artykuł opublikowany w 1992 roku, w którym Laura obaliła mit ich ojca. Matka nigdy jej tego nie wybaczyła, z kolei Gonzalo nigdy nie przyjął wyrzutów siostry, że ożenił się z córką znanego działacza frankistowskiego. Laura zawsze gardziła rodziną jego żony, w takim samym stopniu, w jakim Lola patrzyła z góry na nią.

Nie dało się uniknąć wybuchu nagromadzonej złości, ale przez ostatnie lata rozłąki Gonzalo nie żywił już do Laury nienawiści, lecz jedynie pogardę i obojętność, które stopniowo narastały, aż stały się nie do pokonania.

– Wszystko to nie ma już większego znaczenia, prawda?

Gonzalo zdjął ciężkie okulary i potarł kciukiem wgłębienia zostawione przez noski. Bez szkieł otoczenie stawało się rozmazane jak we śnie rozrzedzonym terpentyną. Pomyślał z ironią, że ten świat cieni jest może prawdziwszy niż to, co zobaczy, kiedy znów założy okulary.

– Skoro byliście tacy szczęśliwi, łączyła was ta żelazna więź, której wszyscy zazdroszą, to dlaczego się rozwiedliście?

Luis wyciągnął szyję i napiął mięśnie ramion. Marynarka nie zdołała ukryć tego, że nagle zeszywniał. Nie lubił o tym rozmawiać. Stopniowo sztywność przechodziła w swego rodzaju niemoc, jakby jego ciało ustąpiło w obliczu faktów i wyciekło na obrus.

– Nigdy nie wybaczyłem jej śmierci naszego syna – stwierdził stanowczo, chociaż bez złości, która musiała się już rozłożyć, tak długo ją przeżuwał, połykał i wypluwał, każdego dnia w ciągu ośmiu miesięcy, które upłynęły od momentu, kiedy Laura powiedziała mu, odchodząc od zmysłów, że ktoś porwał ich syna przed szkołą, w środku dnia, na oczach zdumionych, osłupiałych nauczycieli i rodziców. – Niedługo po tym, jak się poznaliśmy, zastałem ją siedzącą po ciemku w łazience. Płakała i trzęsła się jak osika. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie, wystraszyłem się. Mamrotała coś, szlochając, nieukojone łzy mieszały się ze smarkami. Powiedziała, że nie można kochać kogoś, kogo się nie zna, że miłość może być jedynie owocem prawdy i że milczenie jest kłamstwem. Nie zdołałem z niej wyciągnąć, co się stało, wybełkotała tylko kilka niespójnych zdań. Wtedy jeszcze nie mieszkaliśmy razem. Kiedy zobaczyliśmy się następnego dnia, pocałowała mnie namiętnie i poprosiła, żebym o nic nie pytał. A ja uszanowałem jej wolę. Powinienem był zdać sobie wtedy sprawę, że ten atak rozpaczy świadczy o tym, że pod jej pozorną radością kryje się coś, co wyrządza jej krzywdę, Bóg wie, od jak dawna. Jedną z jej obsesji były dzieci, bieda, w jakiej żyją i nadużycia, jakim są poddawane. Za każdym razem, kiedy w telewizji mówiono o jakimś tego rodzaju przypadku, słuchała z uwagą, ale praktycznie go nie komentowała. Dla mnie, który zaznałem w dzieciństwie rodzinnego ciepła i miłości bliskich, znęcanie się nad dziećmi było czymś niepojętym, przygnębiało mnie, ale tak naprawdę traktowałem je jako coś dalekiego od naszej rzeczywistości. Natomiast Laura przeżywała to, jakby chodziło o nią samą, widziałem, jak się sypie, jakby doświadczała tego na własnej skórze. Zaczęła pisać na ten temat artykuły, szukać informacji, wstąpiła do różnych stowarzyszeń, kilkakrotnie przyjmowaliśmy nawet w domu dzieci jako rodzina zastępcza, dzieci, które nie

potrafiły się bawić, które płakały nocami, a kiedy je kąpaliśmy, odsłaniały przed nami poranione ciała przypalone papierosami, dziewczynki, które opowiadały straszne historie o chorych ojcach. Laura czuła bezgraniczną pogardę i nienawiść do ludzi, którzy dopuszczali się tych nadużyć, nazywała ich „złodziejami dzieciństwa” i próbowała z nimi walczyć, dzień po dniu, dwoiła się i troiła do upadłego, i wkrótce zrozumiałem, że zżera ją to od środka. Powiedziałem, że nie może walczyć sama z całym złem świata, że jej starania są jedynie kroplą w morzu. Wiesz, co mi odpowiedziała? „Czym jest morze, jeśli nie milionem kropli?” Musiała zrobić coś, co pozwoliłoby jej wziąć czynny udział w wydarzeniach; nie chciała pozostać jedynie ich statycznym świadkiem czy narratorem. Nie rozumiałem tej jej obsesji, mieliśmy pieniądze i dobrą pozycję, mogliśmy robić wszystko, na co przyszła nam ochota, dlatego osłupiałem, kiedy któregoś dnia powiedziała, że rzuca wszystko, żeby wstąpić do policji. Miesiącami toczyliśmy ostre dyskusje, ale nie dało się nic zrobić. Laura podjęła decyzję i tylko to się liczyło. Patrzyłem, jak stopniowo zamienia się w kobietę zmęczoną wiarą, że życie jest cudem, jak gdyby kłamstwo, kiedy przestało działać, stało się nie do zniesienia. Próbowałem ją przekonać, że ta praca ją niszczy, że powinna ją rzucić. Ale ona zapewniała, że wszystko jest w porządku, że czuje się potrzebna, że ma siłę pracować dalej. Może w końcu zrozumiała, że ptaki nie mogą latać w nieskończoność, że potrzebują odpoczynku i miejsca, do którego mogłyby wrócić. Trwało to trzy, cztery lata. Kiedy przyszedł na świat Roberto, myślałem, że wszystko się zmieni, że może znów skupi się na mnie, na naszym dziecku, na naszej przyszłości. Pomyliłem się jednak. Jej praca zaczęła odbijać się na naszym życiu, dużo się kłóciliśmy, Laura piła, miała coraz trudniejszy charakter. Nie wiem dokładnie, jakie prowadziła sprawy. Nigdy nie chciała opowiadać o swojej pracy. Wiem jedynie, że była niebezpieczna i że całkowicie ją pochłaniała. Czasami znikwała na kilka tygodni i dzwoniła tylko nocą, na pięć minut, żeby usłyszeć głos naszego synka. Wyobrażałem sobie, że włóczy się po przydrożnych motelach, zapyziałych miejscach, w których nie powinna przebywać. Powiedziałem jej kilka ostrych słów, że jest egoistką, że pozwala, by nasz syn dorastał pod opieką moich rodziców, że zamiast ratować wszystkie dzieci świata, powinna być zaniepokojona tym, że kiedy wraca do domu, jej własne dziecko płacze, gdy chce wziąć je na ręce, bo nie poznaje matki.

Luis przerwał swoją opowieść. Mówienie przychodziło mu z trudem,

przełknął ślinę, zorientował się, że kawa wystygła, i poprosił kelnera o drugą. Gonzalo niczego nie zamówił, wpatrywał się w tego mężczyznę, tak opanowanego na zewnątrz i tak rozbitego w środku. Zaproponował, żeby zrezygnowali z kawy i się przeszli. Luis się zgodził, że dobrze im zrobi, jeśli zaczerpną trochę zanieczyszczonego powietrza. Powiedział, że tęskni za słońcem Barcelony, za wodą i kolorem Morza Śródziemnego. Gonzalo zdał sobie sprawę, że tak naprawdę tęskni za nią, za Laurą.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

Gonzalo odrzekł, że nie, choć musiał zdobyć się na duży wysiłek, żeby odmówić papierosa. Przysięgał Loli, zaklinał się, że nie pali od pięciu miesięcy. Nie spełnił obietnicy, ale teraz uznał, że koniecznie musi dotrzymać słowa. Ani jednego papierosa więcej. Luis wypuścił duży obłok dymu, nie zauważając albo nie przykładając wagi do pełnego uznania spojrzenia, jakie rzuciła mu przechodząca obok ładna dziewczyna. Przywiodła Gonzalowi na myśl kobietę z balkonu z wytatuowanymi na szyi skrzydłami. Czytelniczkę Majakowskiego. Luis, już nieco spokojniejszy, wrócił do relacjonowania wydarzeń z tamtych miesięcy.

– We wrześniu ubiegłego roku ktoś zadzwonił rano do naszych drzwi. Roberto poszedł otworzyć. Żartowałem, że nasz syn jest powołany do bycia chłopcem na posyłki; za każdym razem, kiedy dzwonił dzwonek albo telefon, biegł otworzyć drzwi czy podnieść słuchawkę. Kiedy przyszedłem sprawdzić, kto to taki, zobaczyłem, że mój syn stoi bez słowa w otwartych drzwiach z oczami jak spodki. Na podeście leżał martwy kot. Ktoś poderzwał mu gardło i przybił do piersi zdjęcie Roberta. Zostało zrobione w parku aparatem z teleobiektywem. Poprosiłem Laurę, żeby zostawiła to, nad czym pracuje, cokolwiek to jest. Obiecała, że tak zrobi, że poprosi o przeniesienie na stanowisko w administracji, ale skłamała. Dowiedziałem się o tym kilka dni później, kiedy jakiś facet mówiący z rosyjskim akcentem zadzwonił do mojego biura i powiedział, że zabiją Roberta. Wiedzieli, do jakiej szkoły chodzi, jaki jest nasz rozkład dnia, wszystko. Wystraszyłem się tak bardzo, że wynająłem prywatną ochronę i wywiozłem syna z Barcelony do rodzinnej posiadłości w Empordà. Postawiłem Laurze ultimatum: albo zostawi pracę, albo ja zostawię ją i zabiorę Roberta. Dwa tygodnie później wydawało się, że wszystko wróciło do normy. Tak myślałem. Roberto poszedł do szkoły, Laura dotrzymała słowa (przynajmniej tak sądziłem), pracowała w godzinach biurowych, spędzała więcej czasu z naszym synem, planowaliśmy nawet

pojechać na święta do Orlando. Chcieliśmy, żeby Roberto poznał dom Myszki Miki.

Luis zamilkł. Może liczył na to, że Gonzalo w jakiś sposób go zachęci albo że coś przeszkodzi mu w kontynuowaniu opowieści. Gonzalo nie miał jednak odwagi udźwignąć ciężaru tak wielkiej rozpacz.

– Któregoś popołudnia Laura zadzwoniła roztrzęsiona do mojego biura. Nasz syn został porwany sprzed szkoły. Dwa dni później znaleziono go na dnie jeziora niedaleko waszego domu. Policja odebrała anonimowy telefon z informacją, gdzie jest ciało... Odchodziłem od zmysłów, twoja siostra także. Ale gdy ja pogrążałem się w bezdennej rozpacz, jakbym nie rozumiał, co nam się przytrafiło, ona z monstualną wściekłością oddała się ściganiu tego, kto to zrobił. Nie spała, nie jadła, już niemal w ogóle nie pojawiała się w domu, często wracała pijana albo naćpana, czuć było od niej zapach innych mężczyzn. Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodziło, miałem to gdzieś, nie potrafiłem wydostać się ze swojej własnej otchłani, a co dopiero wydobyć ją z jej. Uświadomiłem sobie, że zaczynam jej nienawidzić, i którejś nocy wszystko jej wygarnąłem, wykrzyczałem, że to jej wina, że to ona zabiła naszego syna. Podrapała mi twarz, zaczęliśmy się bić, uderzyłem ją z całej siły i rozkwaśiłem jej wargę. Przeraziłem się, widząc ją zakrwawioną na łóżku, nie chciałem jej jednak uspokajać, pragnąłem dalej ją bić, aż pozbędę się wszystkiego, co mam w środku. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby się powstrzymać, rozumiałem, że to koniec. Następnego ranka, kiedy wyszła z domu, spakowałem swoje rzeczy i odszedłem. Tydzień później wysłałem jej przez prawnika pozew rozwodowy, podpisała wszystkie dokumenty i tyle. Wyjechałem do Londynu, poznałem kogoś, pozwoliłem, żeby ten ktoś mnie pokochał, i udawałem, że jestem w stanie dalej żyć. Nadal udaję, ale może któregoś dnia faktycznie tak będzie.

Gonzalo przez chwilę myślał o wszystkich tych ludziach, których życie opiera się na aksjomacie, że człowiek powinien pogodzić się z klęską rzeczywistości, że mimo wysiłków nie zawsze można być tym, kim by się chciało, i że jedyną podporą w takiej sytuacji jest marzyć, pragnąć i udawać, że może istnieć coś innego.

Zorientował się, że Luis uważnie mu się przygląda.

– To ten Rosjanin z tatuażami, Zinowiew, zabił mojego syna, prawda?

– Zdaniem Alcázara, inspektora, który prowadził śledztwo, nie znaleziono na to żadnych dowodów.

– Ale Laura tak właśnie myślała, jestem pewien. Sądysz, że to zrobiła...? Że to ona zabiła tego człowieka?

– W tym przypadku dowody są przytłaczające. Alcázar jest przekonany, że to ona.

Luis pokręcił powoli głową, dopalając papierosa. Założył okulary przeciwsłoneczne, ciemne szkła nie pozwalały dostrzec wyrazu jego oczu.

– Nie pytam cię o dowody ani o to, co myśli inspektor. Była twoją siostrą, moją żoną. Naprawdę sądzisz, że Laura mogłaby zrobić coś takiego?

Gonzalo przypomniał sobie ich powietrzne bitwy, kiedy gonili się z rozłożonymi rękami – brum, brum, brum, dźwięki, jakie wydawali, naśladując silniki. Dzień, kiedy Laura wreszcie weszła w korkociąg i machając ramionami jak wiatrak, upadła na zboże w spichlerzu. „Dlaczego dałaś mi wygrać?”, zapytał Gonzalo. „Bo dziś sobie na to zasłużyłeś”, powiedziała, przytulając brata; we włosach miała pełno kłosów. Gonzalo odwrócił głowę i zobaczył przez okno spichlerza matkę. Uśmiechała się, ona także to słyszała. Ale może już tego nie pamięta.

– Nie, nie sądzę – odparł z przekonaniem, które nie wiadomo skąd się w nim wzięło, ale wiedział, że jest niezachwiane.

– Ja też nie – powiedział z naciskiem Luis, wrzucając niedopałek do sztucznego jeziora.

3.

MOSKWA, STYCZEŃ 1933 ROKU

Funkcjonariusz policji kolejowej z nieprzeniknioną miną spoglądał to na twarz Elíasa, to na jego paszport. Studencka wesołość, która panowała w przedziale jeszcze przed kilkoma minutami, gdzie się ulotniła. Słyszając rozkaz „dokumenty”, czterej młodzi ludzie zaniemówili i automatycznie wykonali polecenie. Po pięciu długich minutach policjant zwrócił paszport Elíasowi, po czym z równie surowym wyrazem twarzy powtórzył całą procedurę z trzema pozostałymi studentami. Dopiero kiedy okazało się, że wszystko jest w porządku, i policjant wyszedł, odetchnęli z ulgą. Martin, rudy Anglik, który dosiadł się do nich na dworcu w Warszawie, pozwolił sobie na kilka żartów, ale pozostali zareagowali na nie wymuszonym śmiechem. Do grupki młodych stypendystów dotarło nagle, że pobyt w Moskwie niekoniecznie musi być zabawnym doświadczeniem – bolszewicy bardzo poważnie podchodzili do swojej rewolucji proletariackiej, a lodowate spojrzenie policjanta powinno stanowić dla nich ostrzeżenie. Kilka kilometrów przed wielkim moskiewskim dworcem pociąg wyraźnie zwolnił. Elías wtulił głowę w kołnierz płaszcza i wychylił się przez okno, niezrażony ostrym powietrzem ani tym, że ten raj, o którym tyle opowiadał mu ojciec, na pierwszy rzut oka wydawał się strasznie brzydki. Czteromilionowa Moskwa, która w 1918 roku odzyskała status stolicy, wciąż była ogromną, pogrążoną w chaosie wioską o wąskich ulicach, jednak nieustannie się rozrastała i zmieniała w szybkim tempie. Zastępy robotników dniem i nocą pracowały przy budowie metra, niszczone stare zabudowania, a wielkie pałace z epoki cara przenoszono w inne miejsca kamień po kamieniu, żeby nie zaważały przy tworzeniu gigantycznych, nowoczesnych alei. Szukano nowych lokalizacji dla tego co stare i tego co nowe, Moskwa miała stać się wkrótce pięknym miastem, ale na razie pogrążona była w chaosie robót, rusztowań, ruchu

ulicznego i gruzów. Jednak nawet widoczne w oddali olbrzymie słupy czarnoniebieskiego dymu wydobywającego się z kompleksu hut imienia Stalina nie były w stanie ostudzić zapału i podniecenia młodego inżyniera z Asturii.

– Bycie niesowieckim komunistą jest nieco podejrzane nawet w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich – stwierdził z ironią Claude, młody architekt z Marsylii, który dostał stypendium Lenina i miał kontynuować naukę w Moskiewskim Instytucie Architektury. Wskazał kolegom grupkę osób, która czekała na nich przy ogromnym muralu przedstawiającym Stalina w marszałkowskim płaszczu pod hasłem planu pięcioletniego: „W ciągu dziesięciu lat odrobimy sto lat zacofania względem krajów uprzemysłowionych”. Mimo że mieli uśmiechnięte twarze i cywilne ubrania, było bardziej niż oczywiste, że są policjantami.

– Nie będą spuszczać z nas oka, a przecież jesteśmy tu, żeby pomóc.

– Nie przyjechaliśmy jedynie po to, żeby budować mosty czy kanały. Przyjechaliśmy, żeby się uczyć, stać się apostołami, którzy rozpropagują na Zachodzie to, co tu się rodzi. Ale, jak mówi Stalin, nie można stworzyć nic nowego bez dogłębnej znajomości tego, co stare. To naród pełen mądrości – stwierdził Michael, niski Szkot o krzywych, mocnych nogach, który nie odstępował na krok Martina. Wiedział, o czym mówi. Już drugi raz komórka partii w Edynburgu wysyłała go do Moskwy, a jego ojciec handlował skórami z Syberii. Michael miał pracować w olbrzymiej hydroelektrowni na Dnieprze, by wykorzystać w praktyce swoją teoretyczną wiedzę na temat sposobów otrzymywania taniej energii. Z całej czwórki to on najlepiej mówił po rosyjsku i był najlepiej zorientowany w przemysłowych i technicznych osiągnięciach ZSRR.

Elías uśmiechnął się na myśl o swoim ojcu, z którym przed tygodniem pożegnał się przed ich domkiem w Mieres mocnym, pełnym emocji uściskiem. Ogarniała go czułość na wspomnienie dłoni starego górnika trzymających jedno z jego ulubionych dzieł Czechowa, *Mewę*. Elías miał świadomość, że jest szczęśliwcem, mogąc skończyć studia inżynierskie w ojczyźnie Gorkiego i Dostojewskiego. Liczył na to, że zostanie tu wystarczająco długo, by opanować język bogów, których czcił jego ojciec, i po powrocie będzie recytował Puszkina jak prawdziwy Sowiet. Wiedział, że nic bardziej nie uszczęśliwi ojca.

– Myślisz, że Stalin przyjmie nas na powitalnej audiencji na Kremlu?

Mówią, że ma niesamowitą bibliotekę.

Trzej koledzy spojrzeli na niego z osłupieniem i jednocześnie wybuchnęli śmiechem. W ich chichocie, zwłaszcza Claude'a, Elías wyczuł raczej wisielcze poczucie humoru.

– Uważaj, przyjacielu, jakie życzenia wypowiadasz, bo a nuż się spełnią.

Przewodnik, którego im przydzielono, uścisnął im mocno dłonie i przedstawił się jako Nikołaj Ozegow. Nalegał, że pomoże przy niesieniu bagaży. Posługiwał się doskonałą angielszczyzną, a i hiszpański, którym zwracał się do Elíasa, był więcej niż poprawny. Elías od razu poczuł sympatię do tego niezgrabnego, gadatliwego blondyna, choć rozumiał, z czym wiąże się jego obecność. Tak jak sugerował chwilę wcześniej Claude, Nikołaj był rabkorem, teoretycznie przedstawicielem robotników, a w rzeczywistości policyjnym informatorem. Rabkorzy byli wszędzie, w fabrykach i w szkołach. Stanie się ich „cieniem” i będzie regularnie przekazywał raporty o tym, jak się zachowują, co robią, a nawet co myślą. Elíasowi to nie przeszkadzało. Nie miał niczego do ukrycia, był zdeklarowanym komunistą i zamierzał chłonać, co tylko się da, zanim wróci do domu.

Po czterech przyjaciół przyjechał czarny samochód Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (później Elías odkryje, że moskwianie złowieszczo nazywają policyjne pojazdy „wronami”) i przewiózł ich aleją Frunzego oraz nieregularną ulicą Twerską, przechrzczoną na najszerszym odcinku na aleję Gorkiego. Przewodnik z dumą pokazywał im stary budynek z XVIII wieku, w którym mieścił się szpital okulistyczny, Muzeum Historyczne i Bramę Iwerską, prowadzącą na ogromny Plac Czerwony i na Kreml. Elías oniemiał na widok będącej w budowie gigantycznej biblioteki imienia Lenina, wspaniałego budynku w stylu klasycznym, który miał pomieścić czterdzieści milionów książek i dokumentów, wciśniętego między fortecę Kremla a Maneż, carskie stajnie. Na północy skręcili w aleję Leningradzkiego i przejechali przed główną siedzibą telefonii i bankiem centralnym. Elías przyglądał się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami, z dziwnym wrażeniem, że to, co widzi, kryje w sobie jakąś tragiczną wielkość. Kiedy dostrzegł w oddali ósmy cud świata, sobór Wasyla Błogosławionego, nie był w stanie oderwać od niego wzroku.

– Jak ci się podoba? – zapytał Nikołaj swoją szorstką hiszpańszczyzną.

Elías pokręcił głową, zdumiony. Słyszał tyle oskarżeń pod adresem Stalina, burzyciela tysiąca kościołów, nieokrzesanego Gruzina, okrutnego wieśniaka,

że nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nikołaj uśmiechnął się z nieskrywaną ironią.

– Kiedy wrócisz do domu, będziesz mógł opowiedzieć, że barbarzyńcy zaczynają się cywilizować.

Samochód zatrzymał się przed drzwiami budynku rządowego zwanego „domem na nabrzeżu”. Był to ogromny blok mieszkalny o kubaturze ponad pół miliona metrów sześciennych, wzniesiony nad rzeką Moskwą w dość skromnym, wręcz ponurym stylu. Budowę rozpoczęto zaledwie pięć lat wcześniej i jeszcze nie ukończono robót, ale w niemal pięciuset mieszkaniach zakwaterowano już znaczną część proreżimowej inteligencji: wszelkiego rodzaju artystów, wysokich urzędników i techników. Duże, nowoczesne, przyzwoicie umeblowane mieszkania z centralnym ogrzewaniem były przedmiotem zazdrości w całej Moskwie. Tu też mieli się zatrzymać nowo przybyli.

Martin, młody rudowłosy Anglik, zagwizdał z podziwem. Liczył na to, że będzie mógł pracować z Borisem Iofanem, projektantem tej budowli, jednym z architektów odpowiedzialnych za plan modernizacji miasta.

– Nie ekscytuj się tak – ostrzegł go cicho Claude. – Mistrzowskie zagranie; zbierają w jednym budynku najbłyskotliwsze umysły kraju, obsypują je przywilejami, a przy okazji mogą je łatwiej kontrolować. Założę się, że pełno tu dziur w ścianach i mikrofonów OGPU.

Szkot Michael, który już znał Rosję, przyjaźnie ścisnął go za ramię.

– Proszę cię, Claude! Przyjechaliśmy tu jako przyjaciele, nie jesteśmy szpiegami ani kontrrewolucjonistami. Wręcz przeciwnie. Nie strasz naszego hiszpańskiego kolegi podejrzeniami i pogłoskami.

Claude posłał mu pobłażliwy uśmiech.

– Wiedziałeś, że przywódcą najbardziej poważanym przez wielkiego Stalina jest Iwan Groźny? Ja tylko ostrzegam, żebyście uważali na to, co będziecie robić i mówić tam w środku.

Mieszkanie przydzielone Elíasowi było znacznie większe niż te, w których wcześniej mieszkał – skromny pokój w madryckim akademiku czy mała sypialnia w domu w Mieres. Wyposażenie wydało mu się spartańskie: składany stolik, pojedyncze łóżko, niewielka szafa, kuchnia i osobna łazienka. Mieszkanie sprawiało ponure wrażenie, może nie przypominało lochów, raczej zakonną celę kartuza; zachęcało do umiaru i pracy. Pozbawione firanki okno wychodziło na olbrzymi cementowy dziedziniec, poprzecinany drózkami

prowadzącymi do innych zabudowań. Z tej wysokości ludzie przypominali mrówki, które chodziły wte i wewte, na pozór beładnie. Świeciło zimne, ostre słońce. Temperatura była znośna, przynajmniej w środku. Nikołaj oprowadził Eliasa po mieszkaniu niczym usłużny dozorca, po czym pożegnał się z nim kolejnym w tym dniu uściskiem dłoni.

– Przyjadę po ciebie jutro o szóstej. Od razu zaczniesz pracę. Teraz odpocznij. Witamy w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Eliás z trudem odgrzebał w pamięci rosyjskie słowa podziękowania. Nikołaj, rozbawiony, poklepał go po ramieniu.

– Miejmy nadzieję, że budujesz mosty lepiej, niż mówisz.

Jeszcze tego samego wieczoru Eliás napisał do ojca list, by podzielić się z nim swoimi pierwszymi wrażeniami. Opowiedział mu o miastach, przez które przejeżdżali w drodze do Moskwy, o niezmiernych, pustych przestrzeniach i o ludziach, których poznał w pociągu, łącznie z trzema zagranicznymi kolegami. Dziwiła go duża wiedza, jaką na pozór prości ludzie, robotnicy i wieśniacy, mają na temat literatury czy klasycznej i ludowej muzyki. Często toczono ożywione dyskusje o tym, kto jest lepszy, Verdi czy Bizet, a w kawiarniach grano na pianinie utwory Bacha i Prokofiewa.

Na świecie panuje przekonanie, że wszyscy żyją tu na kolanach. Nie jestem jeszcze w stanie tego potwierdzić ani temu zaprzeczyć. To prawda, że wszędzie są policjanci, że kiedy ludzie mówią o Stalinie, nazywają go *wozd*, że ściszą głoś, jeśli nie są pewni uszu, które ich słuchają. Sowietnicy mają specyficzne poczucie humoru, raczej czarnego moim zdaniem, używają słowa *sidieta* na określenie zarówno siedzenia na krześle, jak i odbywania kary w więzieniu. Ale czy znasz wielu naszych wieśniaków, którzy potrafiliby zagrać fugę Bacha? Albo recytować któregoś z naszych poetów, jak tu handlarze ryb recytują na przykład Majakowskiego? Mówią, że Stalin jest wielkim melomanem, bez wątplenia to człowiek wykształcony, który dzieli się z innymi swoją pasją – muzyka klasyczna jest obowiązkowym przedmiotem, począwszy od szkoły podstawowej. Nie ulega wątpliwości, że to, co tutaj tworzy, nie da się porównać do niczego, co do tej pory stworzyła ludzkość. Jestem naprawdę podekscytowany, pilno mi zacząć pracę.

Uważaj na siebie i uściskaj ode mnie matkę.

Kolejne dni były bardzo pracowite. Wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, Nikołaj odbierał Elíasa sprzed bloku i jechali tramwajem na obrzeża miasta. Elías wtapiał się w tłum portowych i kolejowych robotników, upajając się zapachem, jaki wydzielają ich ubrania – liści tytoniu, mocnej kawy i alkoholu. Przyglądał się ich zmęczonym twarzom, kiedy drzemali z głowami opartymi o szyby tramwaju, przysłuchiwał się rozmowom kobiet i zamęczał swój „cień” prośbami, żeby przez cały czas mówił do niego po rosyjsku, i pytaniami o to, co zwróciło jego uwagę. Interesowało go wszystko: architektura budynków, historia miasta, literatura, muzyka i oczywiście polityka. Chciał wiedzieć, kto jest kim, jak układają się sprawy po wojnie domowej, jednak przede wszystkim przyciągała go jak magnes wszechobecna postać Stalina. Wszędzie widział jego podobizny, jego portrety przy dużych alejach, plakaty z jego odezwaniami w wagonach tramwajów, na państwowych budynkach, na ścianach domów w byle uliczce. Był niczym wszechwiedzący bóg o bujnych węsach, który śledził wszystko oczami o głębokim spojrzeniu.

Nikołaj na niektóre pytania odpowiadał szczerze, dumny z kultury swojego kraju. Pochodził z miasta na Uralu, o nazwie, której Elías nie był w stanie wymówić, i twierdził, że gdyby nie program alfabetyzacji wprowadzony przez wielkiego wodza, nigdy nie miałby szansy przeczytać Tołstoja czy Dostojewskiego, a tym bardziej przyjechać do Moskwy. Na kłopotliwe pytania udzielał jednak dwuznacznych odpowiedzi albo po prostu pomijał je milczeniem. Po kilku spędzonych z nim dniach Elías zorientował się, że także w ZSRR brakuje tej rzadkiej cnoty, jaką jest szczerłość. Nikołaj ostrożnie dobierał słowa, stawiając instynkt samozachowawczy wyżej niż czyste sumienie. Elías nigdy się nie dowiedział, co naprawdę myśli o niektórych kwestiach. Własny instynkt ostrzegł go wkrótce, że on sam powinien oględniej wygłaszać opinie i komentarze, w końcu jako hiszpański student nie był w stanie zrozumieć uwarunkowań tego, co się tu działo. Entuzjazm i naiwna otwartość utrudniały mu jednak trzymanie buzi na kłódkę.

Przydzielono mu pracę przy największym dziele inżynierii, jakie kiedykolwiek zaprojektował człowiek – olbrzymim kanale łączącym rzeki Moskwę i Wołgę, który miał zaopatrywać miasto w wodę i zapewnić mu dostęp do wielkiego Kanału Białomorskiego. Ciągnął się tysiącami metrów,

obejmując system śluz i bocznych kanałów, przekierowujących wody z naturalnych koryt rzek, które za żadną cenę nie chciały dać się okiełznać. Setki tysięcy mężczyzn, kobiet, starców i dzieci dzień i noc pracowały niewolniczo przy tym gigantycznym przedsięwzięciu.

– Moskwa stanie się portem pięciu mórz – oznajmił z nieskrywaną dumą Nikołaj. Wielki kanał miał się łączyć z kanałem Wołga-Don i otworzyć dostęp do mórz: Białego, Bałtyckiego, Kaspijskiego, Azowskiego i Czarnego. – Wszyscy wielcy przywódcy, od Aleksandra Macedońskiego po Piotra Wielkiego, marzyli o czymś takim. Ale to my, bolszewicy, ryjemy koryta rzek na stepie, żeby uczynić to możliwym.

Po przestudiowaniu planów tego dzieła na miarę faraonów Elías musiał przyznać, że projekt bez wątpienia robił wrażenie. Jednak rzeczywistość uderzała go brutalnie, ukazując nieludzkie środki, jakimi zamierzano osiągnąć ten cel. Ogromną większość robotników stanowili pracujący pod przymusem więźniowie, skazani pod byle pretekstem, w niektórych przypadkach za śmieszne przewinienia. Kradzież bochenka chleba mogła oznaczać karę pięciu lat robót. Więźniowie skazani na śmierć za poważne przestępstwa mieli szansę na złagodzenie wyroku, pracując jak niewolnicy pod ścisłym dozorem uzbrojonych oddziałów OGPU czy GUŁagu – policji politycznej i instytucji odpowiedzialnej za łagry – kierowanych odpowiednio przez Jagodę i Bermana. Na sam dźwięk tych nazwisk twarz Nikołaja przybierała twardy wyraz.

– Ty tego nie rozumiesz – skarcił Elías pewnego ranka, kiedy chłopak uparcie drążył temat. Nikołaj wychwalał działalność edukacyjną prowadzoną wśród skazanych, tymczasem Elías widział, jak dwóch strażników brutalnie okładało jednego z więźniów pałkami, a nikt nie chciał albo nie miał odwagi interweniować. Także Nikołaj z obojętnością przyglądał się tej scenie. Elías zapytał przerażony, gdzie on tu widzi działalność edukacyjną. W śmierci wywołanej szkorbutem, malarią, wyzyskiem czy cięgami?

– To nauka milczenia i śmierci. Lekcja, której uczą się żywi i której nie zapominają – odpowiedział Nikołaj z właściwą Sowietom ironią.

– A co z ludem?

– Lud to żywiołowa masa, nieobrobiona siła, zmienna i podatna na manipulację. Głupotą byłoby wierzyć w jego miłość. Jediną gwarancją wierności jest strach.

– Ale ci ludzie muszą poprawić sobie warunki życia. W przeciwnym razie

jaki to wszystko ma sens?

Nikołaj wzruszył ramionami.

– Chłopi chcą mieszkać w pałacach. Ale nie ma pałaców dla wszystkich.

Rzeczywistość i jej liczne kontrasty raz po raz uderzały młodego Elíasa, mącąc mu w głowie. Ledwo zaczynał wpasowywać się w jakieś ramy, a już przenoszono go na przeciwległy biegun, nie dając mu czasu, by wszystko pojął. Z kanału, w którym godzinami stał zanurzony po uda w błocie, otoczony trudną do nazwania udręką, przeskakiwał wprost do wspaniałego Mauzoleum Lenina, na przedstawienie baletowe w Teatrze Bolszój albo na przyjęcie z udziałem lokalnych władz, zasypujących go pustymi słowami, których nie był w stanie zrozumieć. Ledwo miał czas, żeby odpocząć czy napisać do ojca list zawierający podsumowanie dnia, który wręczał Nikołajowi, by ten zaniósł go na pocztę. Listy były pełne sprzeczności, podobnie jak jego emocje i odczucia wobec tego, co stopniowo ukazywało się jego oczom. Zapał z pierwszych dni nie osłabł po trzech tygodniach pobytu, pojawiły się jednak odcienie szarości, które kazały mu kwestionować środki, jakimi Stalin postanowił za wszelką cenę wprowadzić ZSRR w nowoczesność. W listach zastanawiał się, co by się stało, gdyby młoda Republika Hiszpańska przyjęła te same metody: czystki w wojsku, przymusowe prace, nadmierny, pragmatyczny entuzjazm. Wniosek był oczywisty – Hiszpanie nie udźwignęłyby takiego ciężaru. Brakowało im sowieckiego stoicyzmu i zdolności do wyrzeczeń.

Nikołaj nie dawał mu chwili wytchnienia. Jakby dostał rozkazy, by nie zostawiać mu czasu na myślenie. Przychodził po niego wieczorem i ciągnął go do barów przy alei Frunzego, gdzie śpiewano i pito na umór. Rosjanie mieli dusze równie melancholijne i piękne jak ich folklor. Kiedy sobie popili, recytowali wiersze z tak tragiczną intonacją, że Elías, choć nie rozumiał wszystkiego, słuchał ich ze ściśniętym gardłem. Dzieła poetów wyklętych i pisarzy odrzuconych przez państwo deklamowano jedynie wówczas, gdy stopień upojenia sięgał granic. Wtedy też można było usłyszeć najbardziej nieprawdopodobne opowieści, jak ta o samobójstwie Majakowskiego czy pamiętnym momencie, kiedy to Mandelsztam spoliczkował publicznie „czerwonego hrabiego” Tołstoja. W późnych godzinach nocnych wśród oparów alkoholu pojawiali się jurodwi, święci szaleńcy, boscycy prorocy, których radzili się carowie i którzy nadal cieszyli się dużym szacunkiem. Jedynie oni mogli mówić prawdę, otwarcie krytykować członków Biura Politycznego czy samego Stalina, robili to z okrutnym sarkazmem, któremu

wtórowały wybuchy śmiechu. Przywodzili Elíasowi na myśl dworskich błaznów, mistrzowsko sportretowanych przez Velázquezę. Tylko oni mieli odwagę powiedzieć królom prosto w twarz, że są jedynie kolosami na glinianych nogach. Podczas tych nocy Elías poznawał Rosję Gogola, Gorkiego i Dostojewskiego i zastanawiał się, która z otaczających go twarzy mogła zainspirować postaci Anny Kareniny czy braci Karamazow.

Którejś nocy czterej koledzy spotkali się ponownie w towarzystwie Nikołaja. Widzieli się pierwszy raz od przyjazdu do Moskwy przed trzema tygodniami. Uściskali się serdecznie i wśród śmiechów zaczęli prześcigać w opowiadaniu anegdot i wymianie wrażeń. Zjedli kolację i pili bez umiaru pod czujnym okiem przewodnika, który obserwował ich nieco z boku wzrokiem wyrażającym to zrozumienie, to znowu pewną ironię, niczym ojciec, który wreszcie popuścił cugli swoim synom i z rozbawionym zaciekawieniem przygląda się, jak sobie radzą. Coś jednak uległo zmianie w podejściu czterech studentów do gospodarzy. Każdy z nich w różnym stopniu miał świadomość tego, że przeżywają historyczną chwilę, jednocześnie piękną i straszną, i mówił o tym głośno. Porównania między tym, co działo się w ich krajach i w ZSRR, były nieuniknione. W ten czy inny sposób wszyscy doszli do tego samego wniosku, upojeni młodością i wódką: Europa umiera, stara i schorowana, podczas gdy nowa siła, nieubłagana i miażdżąca, rozpycha się, by zrobić sobie miejsce w historii. A oni są uprzywilejowanymi świadkami tego wydarzenia.

Najbardziej małomówny był chyba marsylczyk Claude. W odróżnieniu od pozostałych kilkakrotnie zdołał uwolnić się od natrętnego towarzystwa „cienia”, żeby pospacerować ulicami i swobodniej porozmawiać z ludźmi. Tamtej nocy, pogrążony w milczeniu, wypijał dużymi haustami jedną szklaneczkę wódki za drugą.

– Co tam, Claude? Nie wyglądasz na specjalnie zadowolonego – wypalił Martin, rudy Anglik. Był bardzo pijany, trzymał się w pionie wyłącznie dzięki oparciu krzesła, choć jego ciało chwiało się niebezpiecznie jak statek, który zaraz ma iść na dno. Michael i Elías, siedzący po jego obu stronach, pomagali mu utrzymać równowagę, kiedy ryzykownie przechylał się na boki.

Claude zerknął na przewodnika, który siedział przy sąsiednim stoliku. Zachowywał się swobodnie, rozmawiał z kolegami i pił, ale Francuz był pewien, że ma ich na oku.

– Nie rozumiem waszego entuzjazmu – odpowiedział tak cicho, że jego głos

był niemal niesłyszalny we wrzawie panującej w wypełnionym po brzegi lokalu. – Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłem Lenina, w Wiedniu, jeszcze zanim miał udar. Wojna z carską Białą Gwardią osiągnęła punkt kulminacyjny, a takie mocarstwa jak Anglia czy Francja szykowały się do interwencji, by przechylić szalę zwycięstwa na stronę cara. Lenin tryskał energią, jeździł po Europie, by przekonać świat, że bolszewicy nie stanowią zagrożenia. Ale je stanowili, wielkie, stare europejskie dynastie drżały przed tym człowieczkiem, który postanowił uczynić z teorii Marksa rzeczywistość. Za nim stał milczący, małomówny „Niedźwiedź”. Nazywaliśmy go tak ze względu na krępą budowę, gęste brwi i przenikliwe spojrzenie. Wówczas Stalin nie był jeszcze sekretarzem partii, zaledwie jednym z przywódców, nawet niespecjalnie błyskotliwym. Ale pamiętam, że kiedy tak mu się przyglądałem, pomyślałem, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego, byle zrealizować swoje dążenia. Nie wiadomo było tylko, do czego dąży.

– Do czego zmierzasz? – zapytał zniecierpliwiony Michael, przeczuwając, że rozmowa może zbroczyć na niebezpieczne tory. – Nie wiem, czego pragnie Stalin, ale widziałem, co robi, i jestem pod wrażeniem. Wywija Związek Radziecki na drugą stronę jak skarpetkę! To niebywałe.

Claude ze śmiechem pokiwał głową. Pozostali poczuli się urażeni – sprawiał wrażenie, jakby wiedział o czymś, o czym oni nie mieli pojęcia. Wskazał szklanką Elíasa.

– Pracowałeś razem z brygadami więźniów przy budowie wielkiego kanału. Widziałeś, w jakich warunkach harują ci nieszczęśnicy.

Elías szybko rzucił okiem na Nikołaja, który na pozór nie zwracał na nich uwagi, i nagle zmieszany uświadomił sobie coś, co do tej pory nie przyszło mu do głowy – że udziela mu się strach przed swobodnym wyrażaniem opinii.

– Większość tych ludzi to przestępcy. Zaciągnęli u społeczeństwa dług i spłacają go swoją pracą. – Natychmiast mimowolnie poczuł odrazę do tego, co właśnie powiedział. Wyobraził sobie, jak rozczarowany byłby jego ojciec, gdyby usłyszał te słowa. – To prawda, że warunki są opłakane – spróbował się poprawić. – Ale co my możemy zrobić?

Claude mocno uderzył dłonią w stół. Na szczęście wokół panował taki hałas, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Nie pierdol! Mamy oczy, żeby widzieć, uszy, żeby słyszeć, i głowę, żeby myśleć. Mówisz, że ci, którzy pracują przy kanale, to więźniowie, więc zasługują na swój los, bo coś zrobili. Nie zgodzę się z tobą, ale nawet gdyby

rzeczywiście tak było, to co z tymi, którzy nic nie zrobili, którzy zgodnie z twoimi słowami nie mają długu u społeczeństwa?

Martin wpatrywał się uważnie w kolegę, mrużąc powieki, równie ciężkie jak język, który wystawał mu zza zębów. Pozwolił, by głowa opadła do tyłu, i wyrznął nią w oparcie krzesła. To najwidoczniej rozchyliło nieco alkoholową zasłonę w jego umyśle.

– Słyszałem to i owo – ciągnął Claude. – Mówią, że Jagoda i Berman przedstawili Stalinowi plan zsyłek. Oczyszczają Moskwę z wyrzutków: żebraków, pijaków, złodziei, ale także wieśniaków, którzy uciekają ze wsi przed kolektywizacją. Wygląda na to, że ci łajdacy postanowili zasiedlić daleką północ kraju poprzez masową emigrację. A że, kurwa, nikt nie chce umierać z zimna na Syberii, policja wysyła tam ludzi pod byle pretekstem, bez procesu w sądzie, bez niczego. Wystarczy, że nie masz wewnętrznego paszportu.

– To wymysły! – wykrzyknął Michael. – Propaganda defetystów i przeklętych mienszewików, którzy siedzą ukryci w kołchozach.

Trzech przyjaciół pochłonęła dyskusja, której Elías przysłuchiwał się zdumiony. Był pijany, jednak nie na tyle, by nie zorientować się, że podniesiony ton, jakim mówią jego koledzy, zwrócił uwagę Nikołaja i jego towarzyszy. Przewodnik przyglądał mu się uważnie z ironicznym uśmiechem, jakby zachęcał go, by przyłączył się do dyskusji. „Ty nie masz nic do powiedzenia?”, pytały jego oczy. Elías poczuł, że przewraca mu się w żołądku.

– Zaraz zwymiotuję – szepnął, po czym zakrył dłonią usta.

Co ciekawe, jego wyznanie ucięło dyskusję trzech chłopaków.

– Ani mi się waż puszczać tu pawia. Co pomyślą sobie o nas nasi sowieccy towarzysze? Mężczyzna, który nie umie pić, nie jest godzien zaufania – ostrzegł go ze śmiechem Claude.

Elías z trudem podniósł się z krzesła. Owszem, wypił dużo, może niewystarczająco jak na możliwości swoich kolegów, ale zdecydowanie za wiele jak na swoje. Bar mieścił się w piwnicy, Elías wpełzł po schodach, podtrzymując się ściany, żeby nie stracić punktu odniesienia. Pozostali pozwolili mu wyjść, śmiejąc się i żartując. Poza Nikołajem. On się nie uśmiechał.

Na zewnątrz panował mróz, jakiego Elías nie doświadczył w całym swoim życiu, i mimo grubego płaszcza, który miał na sobie, trząsł się jak chory na

malarię. Niebo było ciemne, zasnute chmurami, padał deszcz ze śniegiem. Księżyc w pełni otoczył się poświatą, która wydała się Elíasowi piękna i uświadomiła mu, że jest daleko, bardzo daleko od domu. Ciężar rozmowy, którą prowadzili na dole jego koledzy, i przenikliwego spojrzenia Nikołaja wydawał mu się teraz jakby lżejszy. Nie mają się czego bać. Są młodzi, nieco popędliwi, idealistycznie nastawieni, ale uczciwi i chętni do pracy. Koniec końców, jakie znaczenie mogło mieć kilka słów krytyki wypowiedzianych po wódce? Rozpiął rozporek, sikał, nucąc starą kołysankę w asturyjskim dialekcie, i dla zabawy kreślił moczem kółka na śniegu.

Nie widział, jak podjechali.

Było ich dwóch. Jeden palił papierosa ze stopą opartą o stopień samochodu, drugi przyglądał mu się, stojąc z szeroko rozstawionymi nogami i dłońmi w kieszeniach. Elías zorientował się, że są policjantami, dopiero kiedy ten, który palił, cisnął w niego tłącym się niedopałkiem. Zaprotestował i wtedy zobaczył pasy i ładownice. Zaczął ich nieudolnie przeproszać. Przekłęte rosyjskie słowa uciekły mu z głowy. Jeden z mężczyzn zażądał od niego dokumentów tonem przypominającym szczeknięcie dzikiego psa. Nie miał ich przy sobie, chciał im powiedzieć, że jest studentem, że Nikołaj i reszta są na dole, że oni mogą za nim poświadczyć, ale kiedy ruszył w stronę lokalu, jeden z mężczyzn podstawił mu nogę i Elías upadł twarzą w śnieg. Poczł w ustach jego lodowate zimno, a także but wgniatający mu głowę w ziemię. Tamci się śmiali. Byli pijani, bardziej pijani niż on, ale w ten niepokojący, wrogi sposób, w jaki upijają się strażnicy, którzy nienawidzą swojej pracy. Pamiętał takie upokarzające sytuacje, policjantów z jego wioski, którzy bez powodu rewidowali mężczyzn, a także kobiety w obecności mężów. Wszędzie jest tak samo: ci, którzy sprawują władzę, nie potrafią się powstrzymać, by jej nie nadużywać.

Elías przekręcił się na plecy z całą skumulowaną wściekłością i brutalnie pociągnął za stopę, pod którą był uwięziony. Policjant upadł na ziemię, a on zdołał wstać. Drugi mężczyzna wyjął pistolet, przynajmniej próbował to zrobić. Elías odruchowo uderzył go w twarz i puścił się biegiem. Ucieczka w złym kierunku przesądza często o naszym losie. To takie absurdalne. Gdyby zbiegł po schodach do piwnicy, może i miałby problemy, ale Nikołaj mógłby się za nim wstawić. Jednak Elías bezwiednie pobiegł w przeciwną stronę, ku torom kolejowym, oddalając się od policjantów i od słabego światła baru, będącego jego jedyną nadzieją. Słyszał okrzyki mężczyzn, mieszały się

z odgłosem jego oddechu i szybkich kroków na skrzypiącym śniegu. Wtedy trzask, podobny do wybuchu petardy, skrócił dzielącą ich odległość.

Na śniegu pojawiły się pierwsze ślady krwi. Zdziwił się, widząc, że kapie z jego ręki. Zatrzymał się, obserwując duże krople, które zwisały z jego palców, zanim cicho spadły na ziemię. Nie poczuł uderzenia kuli. Był tak przerażony, że nie zorientował się, że jeden z policjantów użył broni. Ta myśl przeszła go jak strzała i wprawiała w zdumienie – strzelili do niego! Próbowali go zabić, bez powodu, w wyniku absurdalnej sprzeczki, nieporozumienia.

Nie zdążył zareagować. Policjanci dopadli go i rzucili się na niego jak rozwścieczone psy. Kopali go, oszalali. Próbował osłaniać rękami twarz, zwinął się w kłębek, by chronić genitalia. Wtedy coś trzasnęło mu w boku i poczuł bolesne ukłucie. Złamali mu kopniakiem żebro. Nie mógł przestać myśleć, że to musi być jakieś straszliwe nieporozumienie. Wykrzyknął imię Nikołaja, wybełkotał kilka słów, które znał po rosyjsku, ale policjanci go nie słuchali. Rozsierdzeni, zaciekle okładali go pięściami. W którymś momencie Elías poczuł mocne uderzenie w skroń i ogarnęła go ciemność. Ta sama ubrana na biało, mroźna ciemność, przed którą chciał uciec.

Plama na suficie przypominała smoka. Rozpostarte skrzydła, szpony gotowe chwycić zdobycz. W zależności od światła wpadającego przez wysokie, zakratowane okno smok zmieniał kształt, można było odnieść wrażenie, że przesuwa się po suficie: to rósł, to znów się zmniejszał. Czasami Elías wyciągał rękę i wydawało mu się, że ta szara plama nabiera życia i siada na jego dłoni niczym oswojony wróbelek. Mięły cztery długie dni i noce, powoli wszystko, co wydarzyło się poza tym zamkniętym pomieszczeniem, stawało się rozmazane i nierealne. Jego podróż do Moskwy, twarze jego towarzyszy, zebrane doświadczenia rozbijały się o rzeczywistość tej cementowej klatki o ścianach pokrytych napisami, których nie rozumiał: zdaniami, imionami, datami wrytymi w wilgotnym gipsie paznokciem albo szpilką. Elías godzinami siedział w kącie naprzeciwko siennika, wodząc wzrokiem od hermetycznych drzwi, nieprzepuszczających odgłosów z zewnątrz, do brudnej dziury, gdzie załatwiał swoje potrzeby. O określonych porach, jakby chodziło o jakąś ustanowioną rutynę, z dziury w podłodze wychylał pyszczek szczur, obchodził pomieszczenie wzdłuż ścian, nie zwracając uwagi na Elíasa, zjadał

resztki czarnego chleba, którego on nie ruszał, i znikał. Prawie za nim tęsknił. Z istotami ludzkimi kontaktował się jedynie przez okienko w drzwiach. Otwierało się dwa razy dziennie, rano i o zmierzchu, i czyjaś dłoń – nie zawsze ta sama – podawała mu tacę z kawałkiem chleba i przesoloną zupą jarzynową. Ani kropli wody.

Niecierpliwość i strach doprowadzały go do obłądu. Na szczęście kula ledwo musnęła rękę i kiedy już doszedł do siebie po pobiciu, zaczął przekonywać sam siebie, że zaraz pojawi się Nikołaj i wyjaśni to straszliwe nieporozumienie. Oczywiście zamierzał złożyć oficjalną skargę, prawdopodobnie zażąda, by winnych aresztowano albo ukarano. Słyszał już w głowie przeprosiny, jakie padną z ust jego przewodnika, i z lubością wyobrażał sobie przerażone twarze swoich oprawców. Nie jest jakimś tam chłopem czy pijakiem, którego mogli ot tak sobie pobić. Jest gościem partii, doskonałym, obiecującym inżynierem, który dobrowolnie ofiarował swój talent sprawie narodu sowieckiego, nie zasługuje, by traktowano go jak psa. Jednak mijały godziny i dni, a Nikołaj się nie pojawiał. Nikt nie udzielił mu żadnych wyjaśnień, a kiedy trzeciego dnia domagał się ich, waląc z wściekłością w drzwi, te wreszcie się otworzyły i dostał pałką po szyi. Teraz kulił się wystraszony za każdym razem, kiedy słyszał odgłos otwieranego okienka.

Musiało być więcej takich jak on. Dobiegały do niego krzyki i odgłosy kroków po drugiej stronie drzwi, skrzypienie otwieranych krat. Głosy mężczyzn i kobiet. A także płacz, który szargał mu nerwy, zwłaszcza podczas długich nocnych godzin. Te krzyki i zawrota utrzymywały go w stanie nieustającego pobudzenia, nie pozwalały mu zasnąć, a kiedy otulony kocem, zdołał wreszcie zamknąć oczy, jego koszmary wcale nie były lepsze niż rzeczywistość, która otaczała go, kiedy znów je otwierał. W jakimś odległym miejscu, za wysokim zakratowanym oknem, przez które ledwo wpadało dzienne światło, rozlegało się bicie dzwonów. Wywnioskował, że to karylion jakiegoś kościoła czy klasztoru. Niedaleko musiały się też znajdować zakłady chemiczne, wnosząc po widocznych w oddali słupach dymu i smrodzie zepsutego jajka, który od czasu do czasu wypełniał celę, kiedy wiatr wiał w stronę więzienia. Kościelne dzwony, fabryka, cele i szczur wyłaniający się spośród jego własnych odchodów. Z pewnością nie taką wizję Związku Radzieckiego wpajał mu od dziecka ojciec. Zawsze sądził, że Rosja jest jak obraz Pasternaka, na którym bolszewicy jeźdźcy czerwonej kawalerii atakują

niewidzialnego wroga, jakby płynęli nad chmurami, albo jak zachody słońca nad Wołgą, jałowe, nagie piękno stepów, prosty, ofiarny bohater z powieści Dostojewskiego, stawiający czoło głupiemu, pyszałkowatemu arystokracie.

Wreszcie drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem, które zaalarmowało Elíasa. Oficer dał mu znak, żeby wstał. Jego pachnące nowością skórzane ładownice i świeżo ogolona broda rozbudziły w chłopaku absurdalną nadzieję. Poza tą celą istnieją w końcu rozsądni, cywilizowani ludzie. Wszystko się wyjaśni. Wjechali windą na wyższe piętro; kiedy otworzyły się kraty, przeszli kolejnym korytarzem, szerszym, z dużymi oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec. Padał deszcz, korony wielkich drzew gwałtownie kołysały się na boki. W oddali widać było zakole rzeki Moskwy i kopuły prawosławnego klasztoru. Na pewno to jego dzwony słyszał. Oficer zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami i zapukał. Po drugiej stronie rozległ się niski głos. Mężczyzna wpuścił Elíasa do środka i wskazał mu krzesło przy ścianie. Chłopak usiadł skulony, oszołomiony nagłą zmianą otoczenia.

Myślał, że prowadzą go do pokoju przesłuchań, zapyziałego i ponurego, a tymczasem znalazł się w ogromnej sali. Wysoki sufit zdobiły klasyczne freski, które na wzór scen biblijnych przedstawiały wielkie wydarzenia z sowieckiej historii: ich bohaterami byli generałowie Armii Czerwonej, chłopci o byczych torsach dzierżący w dłoniach sierpy i robotnicy maszerujący z pięściami w górze na tle dźwigów i ceglanych kominów. Po obu stronach pomieszczenia wznosiły się grube granitowe kolumny z liśćmi winogron pokrytymi płatkowym złotem na kapitelach, pasujące do barokowych mebli, krzeseł z wymyślnymi nogami i ogromnego mahoniowego biurka. Ze środka sufitu zwisał wielki, kunsztowny kryształowy żyrandol mieniący się blaskiem, a ściany zdobiły klasyczne portrety. Elías rozpoznał niektóre twarze: Piotra Wielkiego, Iwana Groźnego, a nawet carycę Katarzynę II.

– Zaskoczony? – zapytał urzędnik, który czekał na niego za biurkiem. Był to mały człowieczek z cienkim wąsikiem, jasnym jak jego krótkie włosy, pasujące do niebieskich oczu. Zapukał go być może po to, by dodać powagi swojej dziecięcej twarzy. – To jeden z letnich pałaców Mikołaja II – wyjaśnił niepotrzebnie, wskazując oficerowi oschłym ruchem dłoni, że może odejść, co ten uczynił jak automat. – Znajduje się na obrzeżach Moskwy, car przyjeżdżał tu, by medytować w pobliskim klasztorze, który z pewnością widział pan, idąc do tego pokoju. Mikołaj II był bardzo pobożny, wiedział pan o tym?

Elías ledwo rozumiał, co mówi ten człowieczek. Urzędnik obszedł biurko i stanął naprzeciw niego. Hiszpan mechanicznie pokręcił głową. Pragnął jedynie wyjaśnić sytuację i zapomnieć o całym nieporozumieniu.

Urzędnik rozłożył ramiona, jakby chciał objąć nimi całą salę.

– Właśnie tak. Przyjeżdżał tu, żeby się modlić, po wydaniu rozkazu stracenia swoich przeciwników. Dręczyło go poczucie winy, czyniło go słabym – stwierdził z okrutnym śmiechem.

– Nie wiem, co tutaj robię. Jestem hiszpańskim inżynierem, przyjechałem na praktyki. Nikołaj może to poświadczyć. To jakaś żalosna pomyłka.

Urzędnik spoglądał na niego nieporuszony.

– Hiszpania to wielki kraj – powiedział zaskakująco radosnym tonem. – Tu, w Rosji, bardzo cenimy Cervantesa; prawdopodobnie pan tego nie wie, ale *Don Kichot* cieszy się dużą popularnością wśród naszych dzieci. Osobiście podziwiam Calderóna. Używa metafor i innych środków stylistycznych, które można wykorzystać. Fascynuje mnie jego obnażony romantyzm, jego zjadliwa, rozpaczliwa siła. Ale jeśli dobrze pamiętam, Napoleon powiedział, że jesteście narodem przesądnych, zaślepionych, krwawych morderców, zdominowanych przez swój skory do zdrady i niegodny zaufania kler. Jak pan myśli, Cervantes i Calderón trafnie opisują pański naród czy też bardziej słuszna jest opinia Bonapartego?

Było oczywiste, że urzędnik się z nim bawi. Niczym kot krążył wokół myszy, która wiedziała, że nie ma możliwości ucieczki, nie chciał jednak zabić jej jednym pacnięciem łapy, bo to byłoby nudne. Podszedł do okrągłego stolika i nalał sobie wody z dzbanka. Pił powoli, przyglądając się Elíasowi z nieskrywanym zadowoleniem. Wystarczyło spojrzeć na zsiniałe usta więźnia, żeby wiedzieć, jak wielkie pali go pragnienie. Nie zaproponował mu jednak wody. Jeszcze nie. Postawił szklankę w zasięgu jego ręki i pozwolił, by patrzył na spływające po szkle krople, które nikały w wilgotnej plamie na blacie biurka. Oczy Elíasa poczerwieniały.

– Mogę się napić? Proszę.

Urzędnik westchnął.

– Woda pitna jest w Moskwie deficytowym dobrem. Żeby zwiększyć zaopatrzenie, budujemy wielki kanał, po to pan tu przyjechał. Żeby nam pomóc. Czyż nie takie były pańskie pobudki?

Elías skupił całą swoją uwagę na płynie, przez co pył, który miał w ustach, zgęstniał i zmienił ślinę w cement. Jego gardło było szorstkie jak tarka.

– Jest pan judaszem, Elíasie?

Pytanie, zadane bez cienia wrogości, brzmiące raczej jak stwierdzenie oczywistego faktu niż wyrażenie wątpliwości, wstrząsnęło chłopakiem.

– Nie! Oczywiście, że nie. Incydent z policjantami był nieszczęśliwym wypadkiem. Strzelili do mnie! – powiedział, pokazując zabandażowaną rękę.

Spojrzenie i milczenie urzędnika wyrażały napięcie.

– Jeżeli wyzna mi pan prawdę, będzie pan mógł się napić – powiedział uprzejmie po kilku sekundach.

Prawdę? Co to znaczy? Dlaczego mu nie wierzy? Mówi prawdę!

– Niech pan przyzna, że jest trockistowskim agentem, który przyjechał do Moskwy, by wejść między robotników i sabotować naszą pracę. Taka jest prawda, czyż nie?

– Co za bzdury pan opowiada? Mój ojciec uwielbia Stalina, ja jestem komunistą od piętnastego roku życia. Przyjechałem tu z własnej woli, żeby pracować i kontynuować studia.

Elías dostrzegł w oczach urzędnika nagły przypływ złości. Mężczyzna skinął powoli głową, odwrócił się na pięcie i podszedł do biurka. Podniósł słuchawkę i wydał suchy rozkaz. Kiedy skończył rozmowę i spojrzał na Elíasa, na jego twarzy malowało się okrucieństwo.

Nikołaj mył ręce w kamiennej umywalce. Z jego palców spływały krople krwi, które znikwały w pianie. Zanim je wytarł, przyjrzał się im z odrobiną zdziwienia. Był pokojowo nastawionym człowiekiem, jako dziecko chciał być piekarzem jak ojciec, piec chleb, wyrabiać miękkie ciasto dające się kształtować. Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś te silne dłonie będą kształtować coś tak nieelastycznego jak ludzkie dusze. Wytarł ręce ręcznikiem, spoglądając na odbite w lustrze spuchnięte ciało Claude’a. Chwilowo stracił przytomność, ale strażnicy postarają się, by szybko doszedł do siebie. Zawsze jest tak samo, pomyślał lekko rozczarowany. Ci, którzy wyglądają na najsilniejszych i najtwardszych, pierwsi dają się złamać. Opuścił rękawy koszuli i włożył marynarkę. Piekły go knykcie prawej dłoni – rano pojawi się opuchlizna, którą trudno mu będzie wytłumaczyć w domu.

– Ocućcie go i niech podpisze zeznania – rozkazał strażnikom, spoglądając z pogardą na zmasakrowaną twarz młodego Francuza i krwawiące kikuty w miejscach, gdzie kiedyś miał palce, które teraz leżały rozrzucone po

podłódze. On był ostatni. Został już tylko Hiszpan.

Zamyślony, wjechał windą na wyższe piętro. Strażnik pilnujący drzwi wpuścił go, nie żądając wyjaśnień, i Nikołaj przeszedł przez próg żołnierskim krokiem. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odwzajemnić zaskoczone i – biedny głupiec – pełne nadziei spojrzenie Elíasa. Podeszedł wprost do biurka i wręczył urzędnikowi oświadczenia. Rozmawiali szeptem przez chwilę, po czym człowieczek zbliżył się do Elíasa, wyraźnie zadowolony. W jednej dłoni trzymał zeznania jego kolegów. W drugiej coś, czego Hiszpan nie spodziewał się zobaczyć – wszystkie listy, które napisał w ciągu minionych tygodni do ojca i których najwyraźniej Nikołaj wcale nie zaniósł na pocztę. Jeden po drugim, urzędnik wkładał je w drżące ręce chłopaka – były pełne podkreśleń na czerwono i napisanych cyrylicą komentarzy na marginesie.

Elías, przygnębiony i zdezorientowany, podniósł głowę i spojrzał na Nikołaja, starając się zrozumieć, co to za pułapka. Przewodnik patrzył na niego nieporuszony, jakby nigdy wcześniej go nie widział.

– Wygląda na to, że uważa pan, iż stosowane przez nas metody są barbarzyńskie i okrutne. Nie ma pan oporów, by wyjawiać, kto pracuje przy kanale, jakie są plany budowy i trudności, z którymi się borykamy, a nawet ryzykuje pan stwierdzenie, że zamysł jest przesadnie ambitny, szalony i niemożliwy do zrealizowania. Nie wspominając o pańskiej opinii na temat osób kierujących projektem – beżużytecznych biurokratów, którzy traktują ludzi jak bydło.

Elías był otumaniony. W najgorszych snach nie podejrzewałby, że jego korespondencja może zostać otwarta, a zdania i słowa, które napisał, wyjęte z kontekstu i użyte do stworzenia wypaczonego obrazu jego osoby. Dlaczego? W jakim celu? Spojrzał pytająco na przewodnika. Wtedy ze zdumieniem przypomniał sobie ich spotkanie w swoim mieszkaniu w wielkim rządowym bloku, na pozór niewinny sposób, w jaki Nikołaj wyciągał z niego zdania, które teraz okazywały się jadowite, kontrowersyjne poglądy, krytyczne opinie na temat tego, co widział i słyszał. W jego głowie rozbrzmiało ostrzeżenie Claude'a: „Uważajcie na wszystko, co będziecie mówić w tym budynku, założę się, że pełno tu mikrofonów i dziur w ścianach”. Ile zdań, przypadkowych słów zebrał przeciwko niemu ten nędznik?

– Tamci policjanci nie byli pijani ani nie pojawili się przypadkiem. Przyjechali pana zatrzymać, a pan stawiał czynny opór – oskarżył go urzędnik, wyraźnie zadowolony z destrukcyjnego efektu, jaki wywołało pojawienie się

Nikołaja. – Jakby tego było mało, pańscy trzej towarzysze podpisali zeznania, w których stwierdzają, że jest pan przywódcą komórki trockistowskich szpiegów. Ci naiwni biedacy wypełniali pańskie rozkazy, mające na celu sabotaż budowy wielkiego kanału.

Cała ta historia nie trzymała się kupy, była śmieszna, absurdalna. Gdyby nie pragnienie, ciało obolałe od uderzeń i ran oraz kamienne spojrzenie Nikołaja, Elías odpowiedziałby śmiechem na podobną nedorzecznosc. Tyle że oni mówili bardzo poważnie.

– Proszę się przyznać, a będzie pan mógł się napić. Woda, której tu używamy, jest świeża i zdrowa. Pańscy koledzy już to zrobili. Wszyscy twierdzą, że jest pan przywódcą.

– Przywódcą czego?

Umysł zasnuwa się mgłą w obliczu tego, co absurdalne; milczymy, oniemiałymi, wobec oczywistych faktów. Chciało mu się pić, był zmęczony, ogłuszony. Pragnął zamknąć oczy, zasnąć i obudzić się w pociągu jadącym do Hiszpanii. Zapomnieć o tym koszmarze. Skierował spojrzenie na szklanke z wodą, przezroczystą, krystaliczną. Pomyślał o szczurze ryjącym pyszczkiem w jego gównie, o wszach w kocu, o smoku z sufitu latającym nad jego głową. Zadrżał na wspomnienie krzyków, które słyszał nocą za drzwiami. Krzyczeli jego towarzysze? Claude, Martin, Michael, torturowani, donieśli na niego. Dlaczego na niego? Dlaczego?

Urzędnik podał mu szklanke. Potrafił przybrać taki wyraz twarzy – dziwnej, jak z obrazka, dziecinnej – że budził sympatię.

– Proszę się napić – zachęcił go.

Elías w końcu sięgnął po szklanke, przyłożył ją do ust i jednym łykiem przypieczętował swój los.

4.

BARCELONA, 6 LIPCA 2002 ROKU

We śnie Gonzalo widział nagie plecy mężczyzny, jego ramiona i ciało pochylone w świetle lampki nad maszyną do pisania (densmore'em z klawiszami z masy perłowej); uderzał dwoma palcami w przyciski, a na spodku od filizanki po kawie zbierały się jeden po drugim niedopałki papierosów. Dziewczyna z wytatuowanymi na szyi skrzydłami, w jego śnie znacznie młodsza, tak naprawdę jeszcze dziecko, stała za krzesłem w sznurowanych lakierkach, wyprostowana jak struna, ze złączonymi piętami, jej spódnica w kratę kończyła się tuż nad kościstymi, zaróżowionymi kolanami, prawa skarpetka z luźnym ściągaczem opadła na kostkę, lewa była naciągnięta na łydkę. Drżał jej głos, kiedy recytowała coś, czego we śnie nie dało się usłyszeć. Jakby oglądał telewizję z wyciszonym dźwiękiem. Jej słowa niknęły, zagłuszane przez stukanie w klawisze i odgłos przesuwanego wałka. Mężczyzna wrywał kartki z maszyny, coraz bardziej wściekły. Od czasu do czasu dziewczyna z motylimi skrzydłami odwracała głowę w prawo, próbując uśmiechnąć się do chłopca, który przyglądał jej się skulony w kącie pokoju. Tym chłopcem był on. Nie mógł go dostrzec, ale wiedział, że tam jest. Że wszystko słyszy. Chciała go uspokoić, ale w jej spojrzeniu malowało się przerażenie.

Skoncentruj się, mówiło mu to spojrzenie; rozumiał je, wiedział, że musi znaleźć jakieś słowa i wypowiedzieć je na głos, wiedział, że tam są, w jakimś zakamarku jego mózgu, ale na darmo ich szukał. Nagle mężczyzna chwycił dziewczynę za nadgarstki. Miał zdeformowaną twarz, jak gdyby języki ognia, który trawił go od środka, spaliły mu tylko jej połowę, podczas gdy reszta pozostała zimna, zamarznęta, a kiedy obie maski się zetknęły, jedna zniszczyła drugą, tworząc rozmazaną plamę. Wpadł w szal, podniósł ją za ramiona, jakby nic nie ważyła, i brutalnie rzucił na ziemię. Leżała na brzuchu, z nosa płynęła

jej krew, na podłodze tworzyła się mała kałuża. Wtedy wyciągnęła palce w stronę mroku, gdzie krył się chłopiec, którym był Gonzalo, dotknęła jego butów i pomyślała, że powinna go nauczyć wiązać sznurówki. Musisz sobie przypomnieć, wypowiedz te słowa, prosiła go błagalnym wzrokiem. Stopy chłopca odsunęły się i ponownie zniknęły w ciemności. Nagle przypomniał sobie słowa i chciał je wyartykułować. Ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk, choć ze wszystkich sił starał się krzyczeć.

Gonzalo otworzył oczy i pomyślał, że umrze. Nie w jakiejś dalekiej czy abstrakcyjnej przyszłości, ale teraz, w tym momencie. Dotknął dłonią piersi, próbując ukoić płacz chłopca, który każdej nocy ukazywał się w snach dorosłemu mężczyźnie, w jakiego się zamienił. Sprawdził godzinę na cyfrowym budziku. Była trzecia dwadzieścia. Lola spała na brzegu łóżka w embrionalnej pozycji, na dobrowolnym wygnaniu po drugiej stronie materaca, na które udawała się za każdym razem, kiedy dochodziło między nimi do kłótni. Oddychała rytmicznie rozchyłonymi ustami, prawy łokieć trzymała pod poduszką, a lewy schowany między kolanami i brzuchem. Gonzalo pogłaskał ją przez koszulę nocną po wygiętych plecach. Mógł policzyć jej kręgi. Lola poruszyła się we śnie, więc odsunął rękę.

Po ciemku poszedł do kuchni, chwytając się mebli. Nie przywykł jeszcze do nowej topografii domu. W schowku wciąż stało sporo nierozpakowanych pudeł. Znajdowały się w nich rzeczy, które nie były niezbędne w codziennym życiu i które Gonzalo obiecał przejrzeć, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę. Lola zarzucała mu, że cierpi na łagodną odmianę zespołu Diogenesa; rzeczywiście, wiele z tych rzeczy już do niczego się nie nadawało, a mimo to nie chciał się ich pozbyć.

Na jednym z kartonów napisał markerem „Rzeczy Laury”. Lola nalegała, żeby pozbył się jej ubrań i osobistych przedmiotów. Zapalił lampkę, usiadł na podłodze i zaczął przeglądać jej książki, kolekcję muzyki barokowej, artykuły biurowe, rzeczy, których nie chciał zatrzymać Luis. Niektóre z tych przedmiotów pachniały jego siostrą, jej perfumami.

Ceremonia kremacji była smutna, niemal żałosna. Luis powiedział mu, że ciężko zrozumieć, dlaczego niektóre osoby gładko przeżywają sto lat, a w życiu innych każda minuta wymaga heroicznego wysiłku; Gonzalo się z nim zgodził. Spalenie zwłok nie wyglądało tak, jak to sobie wyobrażał, nie miało nic wspólnego z hinduskim rytuałem pogrzebowych stosów ani z płonącą łódką, którą śpiący bohater wypływa na pełne morze. Wszystko było

aseptyczne, komora nie różniła się niczym od piekarskiego pieca czy magazynu rzeźni. Wyjaśniono im, że trumna bez krzyża ulega całkowitemu spaleniu, jakby obchodziła ich ekologia, to, by zmarli nie zanieczyszczali środowiska. Jeden guzik podniósł trumnę do wlotu pieca. Drugi guzik wepchnął ją do środka, skąd dobiegał odgłos buzującego ognia, choć nie widać było płomieni. Pracownik zakładu zamknął drzwiczki i wręczył im owalny kamień. Był zrobiony z ogniotrwałego materiału i miał wyryty numer identyfikacyjny w celu zapobieżenia ewentualnym pomyłkom. Kiedy wydadzą im prochy, ten numer poświadczy, że należą do Laury. Za dziesięć tysięcy lat, kiedy nie będą już istniały prochy ani zwłoki, potomkowie ludzi zaczną się zastanawiać, gdzie są kości ich przodków. Gonzalo pomyślał, że znajdą w wykopaliskach tysiące, miliony takich kamieni.

Podczas uroczystości zaskoczyła ich ulewa, gwałtowna letnia burza, i zniszczyła wieńce, które Luis zamówił do ozdobienia karawanu. Gonzalo przyniósł wieniec z tulipanów (wiedział, że jego siostra lubiła te kwiaty) ze złotą wstęgą i napisem: „Od twojego brata i matki, którzy cię kochają”. Matka nie chciała jednak za nic podejść do otwartej trumny wystawionej w kaplicy pogrzebowej, żeby pożegnać się z córką. Przez całą uroczystość trwała nieporuszona w swojej czarnej żałobnej sukience, nieobecna, a kiedy podszedł do niej Luis, nawet na niego nie spojrzała. Mimo że Gonzalo chronił ją przed deszczem parasolem, przeziębila się i temperatura podskoczyła jej o kilka kresek, co w jej wieku mogło być groźne. Zareagowała dopiero wówczas, kiedy dostrzegła trzymającego się z boku głównego inspektora Alcázara.

– A to kto? – zapytała, wpatrując się w niego swoimi biednymi, krótkowzrocznymi oczami.

– Kolega i szef Laury.

Później, kiedy Alcázar podszedł, by złożyć im kondolencje, matka nie chciała się z nim przywitać.

– Minęło tyle lat, Esperanzo.

– Dla mnie niewystarczająco dużo – zaoponowała, odwracając się do niego plecami.

Gonzalo był zaskoczony.

– Znacie się?

Alcázar spojrział na niego jak na idiotę.

– Tak jak znają się wilki i baranki.

Kiedy odwiózł matkę do domu opieki, zapytał ją, co miały oznaczać słowa

inspektora, ale odmówiła odpowiedzi. Przez całą drogę powrotną ani razu nie wspomniała o śmierci Laury ani o pogrzebie. Stwierdziła natomiast, że szkoda zniszczonej przez deszcz sukienki.

Zdanie wypowiedziane przez Alcázara nie dawało mu spokoju, niczym zbite w kulę jedzenie, ciężkie do strawienia.

– Nie idziesz spać?

W świetle z przedpokoju ciało Loli prześwitywało przez nocną koszulę. Nie miała na sobie bielizny. Widok był podniecający, ale nierealny. Gonzalo poczuł ukłucie tęsknoty, jednak nieprzenikniony wyraz malujący się na twarzy żony wyznaczał między nimi granicę.

– Nie mogłem spać, a nie chciałem cię budzić, przewracając się w łóżku.

Lola spojrzała na przygnębioną twarz męża, po czym jej wzrok padł na to, co trzymał w dłoniach. Od pewnego czasu czuła, że dzieli ich jakaś ukryta uraza, coś nieokreślonego, co przeżera fundamenty ich związku. I wiedziała, że nie chodzi jedynie o umowę dotyczącą fuzji kancelarii, którą niebawem miał podpisać z jej ojcem.

– Znowu koszmary?

Gonzalo przytaknął, choć nie powiedział, że tym razem zamiast siostry widział twarz rudowłosej kobiety z tatuażem na szyi.

Lola omiotła wzrokiem zawartość pudła. Nigdy nie lubiła szwagierki, nie zamierzała zmieniać o niej zdania tylko dlatego, że nie żyła. Byłoby to z jej strony niepotrzebną hipokryzją. Nie powiedziała tego Gonzalowi, żeby go nie zranić, ale trudno jej było pojąć uczucie, jakim nagle zapalał do siostry. Nigdy nie rozmawiali o Laurze, nie rozumiała, dlaczego jej śmierć tak go poruszyła. Wiedziała, że to z jej strony okrutne, ale nie znosiła wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z rodziną męża: opowieści o jego ojcu, wyniosłej pogardy, z jaką traktowała ją teściowa, kiedy od czasu do czasu zdobywała się na to, by ją odwiedzić, jakby dlatego, że była córką swojego ojca, ona i ludzie z jej klasy społecznej ponosili winę za wszystkie nieszczęścia tej kobiety, prawdziwe i wymyślone. Jednak najbardziej drażniło i przerażało ją to, że w otoczeniu swojej rodziny Gonzalo zdawał się zmieniać i stawać kimś, kto budził w niej niepokój.

– Lubiała zbierać słowa... – powiedział Gonzalo, gładząc grzbiet starego słownika rosyjsko-hiszpańskiego.

– Jak to?

– Laura. Chwytała je w locie i zapisywała w małym kołonoatniku, który

nosiła w kieszeni. Potem powtarzała je po kilka razy, jakby je przeżuwała albo chciała je oswoić.

– Jakiego rodzaju słowa?

– Dzikie. Odnajdywała ich znaczenie w słowniku i podkreślała je odblaskowym flamastrem. Kiedy później szukała jakiegoś słowa i odkrywała, że już je wcześniej zaznaczyła, złościła się jak dziecko.

– Nie wiedziałam – przyznała Lola, delikatnie dotykając głowy męża, jakby zrobiła już wszystko, co mogła, żeby go pocieszyć. Gonzalo zamrugnął oczami, jak gdyby właśnie odkrył coś okropnego. Przez kilka sekund badawczo wpatrywał się w twarz żony.

– Tak naprawdę ja też niezbyt dużo o niej wiedziałem. Dziesięć lat rozłąki to bardzo długo.

– To nie była twoja wina. To ona postanowiła się odsunąć.

Gonzalo mechanicznie skinął głową; nie był jednak przekonany o prawdziwości tego stwierdzenia. Popatrzył na profil Loli, jakby chciał się upewnić, że jej oczy nie kłamią. Światło lampki odbijało się od jej twarzy, zamieniając ją w rozmazany obraz, jak sylwetki widziane za oknem w deszczowy dzień.

Lola wygładziła sobie włosy i rozciągnęła dłońmi policzki.

– Chyba potrzebuję kawy.

W milczeniu przygotowała śniadanie; od lat nie zadawała sobie trudu, żeby zaparzyć dla Gonzala kawę czy wycisnąć sok z pomarańczy z dodatkiem łyżeczki cukru. On pozwolił jej na to, bezmyślnie patrzył, jak krząta się po kuchni. Wreszcie usiadła przy nim z dymiącą filiżanką ożywczego płynu.

– Rozmawiałeś ostatnio z Javierem?

– Przynajmniej próbowałem – przyznał Gonzalo. Spojrzał na żonę w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Nie jestem w stu procentach pewna, ale ostatnio ginęły mi pieniądze, drobne sumy, za to regularnie. Kiedy go o to zapytałam, wpadł w szal.

– Nic dziwnego, oskarżyłaś go o kradzież.

Lola spojrzała na męża jak na osobę, do której nie docierają racjonalne argumenty. Trudno było skłonić Gonzala, by naprawdę się w coś zaangażował, zwłaszcza jeżeli miało to związek z jego synem.

– O nic go nie oskarżyłam, po prostu zapytałam, i to nie z powodu pieniędzy, ale dlatego, że się martwię. Ostatnio jest bardzo roztargniony, smutny, jakby nieobecny. Przeszukałam jego rzeczy.

Gonzalo spojrział na nią z dezaprobatą.

– Co spodziewałaś się znaleźć?

– Czy ja wiem... narkotyki, cokolwiek. Wiesz, co powiedział mi po kolacji? Że kiedy skończy osiemnaście lat, na zawsze wyniesie się z tego domu.

– Osiemnastolatkiem zawsze chcą się dokądś wynieść. Przejdzie mu.

– Nie powinieneś mówić w ten sposób o własnym synu, nie stawia cię to w dobrym świetle jako ojca.

Gonzalo spojrział na żonę. Czasami miał ochotę powiedzieć jej, co zobaczył tamtego ranka, osiemnaście lat temu. Zawsze jednak bezszelestnie wycofywał się po schodach, tak jak wówczas, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby tamte drzwi były zamknięte.

– A w jakim świetle stawia ciebie jako matkę?

Lola zebrała puste filiżanki i wstawiła je do zlewu.

– Kobiety, która zrobi wszystko, co konieczne, żeby nie dopuścić do rozpadu rodziny... Powinieneś się trochę przespać. Rano masz spotkanie z moim ojcem, stary wykorzysta sytuację, jeśli zobaczy, że jesteś w gorszej formie.

Ciemna skóra Siaki w magiczny sposób stawała się żółta za każdym razem, kiedy padał na nią snop światła. Gdy mijał pokryte pnączami ogrodzenia, oczekiwali go psy. Nie widział światła w oknach, jedynie oświetlone ogrody i baseny. Zawsze lubił to wrażenie, że w nocy miasto należy do niego, że zostało zbudowane z myślą o nim. Zwłaszcza o wczesnych godzinach porannych, tuż przed tym, zanim rozproszona jasność zaczynała wychylać się zza grzbietu horyzontu. W nocy dom prawnika wyglądał inaczej: jakby budynki także musiały zamknąć oczy i pozwolić sobie na chwilę lenistwa. Usiadł naprzeciwko na ziemi i oparł się plecami o murek. Wiała przyjemna bryza, pachniało jaśminem i suchymi igłami sosny. Pomyślał, że może kiedyś mógłby mieć taki dom, chociaż wołał hotele. Nic nie dało się porównać z poczuciem, że nie musisz się z niczym wiązać, że możesz mieć wszystko, wystarczy tylko nacisnąć guzik. Bogaci ludzie byli z reguły mało atrakcyjni. Może dlatego kupowali sobie duże samochody i duże domy. Żeby patrzono nie na nich, ale na to, co posiadają.

Był zmęczony swoim życiem i zdecydowany je zmienić, chwycić je za

cugle. Nadeszła jego chwila. Planował wrócić do Zimbabwe, miał oszczędności, a ciotka napisała mu o starym kompleksie w parku Chizarira, który niewielkim kosztem można było przebudować na hotel dla turystów. Hotel z nieskazitelnie czystymi flagami. Laura obiecała, że pomoże mu załatwić dokumenty – zmienić tożsamość, wymyślić przeszłość, której nie musiałby się wstydzić po powrocie w rodzinne strony, może jakiś tytuł uniwersytecki, czemu nie? Coś, czego nikomu nie chciałoby się sprawdzać. Ojciec byłby szczęśliwy, pierwszy absolwent w rodzinie, i to europejskiego uniwersytetu. Ale Laura nie żyła. Jak Zinowiew, jak chłopiec. Wszyscy byli martwi, oprócz niego.

Podinspektor miała rację, kiedy mówiła, że istnieje wiele sposobów na zabicie dzieciństwa. Sam znał ich kilka: ojciec, który tłucze cię bez powodu, starsza siostra, która pozwala, by jej chłopak wziął cię od tyłu, rebeliant, który przytrzymuje ci rosyjski karabin, żebyś strzelał do wieśniaków, pijani żołnierze, którzy każą ci zgwałcić umierającą kobietę... Ale wszystko to jest lepsze od siedzenia w luksusowym mercedesie na kolanach starego grubasa, który prosi cię, żebyś mu obciągnął, albo bycia zmuszonym do bzykania się z dziewczynką w twoim wieku w luksusowej posiadłości, podczas gdy goście zaproszeni na imprezę, mężczyźni i kobiety, stoją wokół łóżka, podnieceni, i przyglądają się chorem wzrokiem w tych swoich drogich strojach i biżuterii. Dzień po dniu, godzina po godzinie dzieciństwo ucieka przed tymi potwornościami, szuka schronienia w jakimś wspomnieniu: w zabawach nad jeziorem Kariba, w kołysankach czy filmie rysunkowym. Tylko jeśli uda ci się ocalić którąś z tych rzeczy, będziesz w stanie wierzyć, że wciąż jesteś człowiekiem.

Wiaterek przelatywał między rozsuniętymi nogami Siaki. Przez chwilę zastanawiał się, jak by to było móc spełnić swoje marzenia. Nie pożyczać ich na kilka godzin czy dni, ale wziąć w posiadanie – je i cały świat. To byłoby lepsze, pomyślał. Świat byłby lepszy.

Światła w kuchni domu prawnika zgasły. Siaka spojrzął na świeży napis na murze. „Wszystko, co robimy, ma swoje konsekwencje, Gil. I ty je poniesiesz”.

– Ładny dezyderat – szepnął. Podobało mu się to słowo, którego nauczyła go podinspektor Laura.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, Luisa weszła do gabinetu, roztaczając wokół aureę skutecznej asystentki. Był poniedziałek, zaczynało się nowe życie. Gonzalo czuł wdzięczność, że nie patrzy na niego jak na kalekę. Złożyła mu kondolencje z powodu śmierci Laury, przyniosła mocną kawę i tabletkę naproksenu, po czym wzięła się do pracy.

– Don Agustín czeka na ciebie w sali konferencyjnej.

– Teraz mówisz o nim „don Agustín”? Do piątku był „starym bezwstydnikiem”.

Luisa spojrzała na niego nieporuszona.

– Najprawdopodobniej kiedy wyjdiesz z tego spotkania, będziesz częścią kancelarii „Agustín González i Wspólnicy”. Chciałabym dalej z tobą pracować, więc jeśli będę musiała paść na kolana – bez konieczności zbliżania ust do jego rozporka – zrobię to.

Gonzalo uśmiechnął się, słysząc bezczelny komentarz Luisy. Lubił ludzi, którzy się nie oszukiwali.

– Może podejmę walkę i zdołam zachować naszą niezależność.

Asystentka rzuciła mu ironiczne spojrzenie, ale była na tyle miła, że powstrzymała się od komentarza.

– Jeszcze jedno. Prosiłeś mnie, żebym sprawdziła, kto wynajął mieszkanie po prawej. Laska ze skrzydłami motyla nazywa się Tania jakaś tam, nazwisko jest nie do wymówienia.

– Achmatowa, jak poetka – przeczytał Gonzalo na wizytówce, którą podała mu Luisa.

– Jest fotografką i muszę przyznać, że mimo wyglądu słowiańskiej modelki i cycków, których jej zazdrozczę, to przesympatyczna dziewczyna. Powiedziała mi, że ma małe studio pod tym adresem, jeśli kiedyś chciałabym skorzystać z jej usług. Moim zdaniem nie jest zamężna, w każdym razie nie nosi obrączki, i musi być cudzoziemką, ale to można wywnioskować z nazwiska, prawda? Ciekawe. Ona też o ciebie wypytywała.

Gonzalo lekko się zaczerwienił.

– I co jej powiedziałaś?

Luisa spojrzała na niego zaczepnie.

– A co miałam jej powiedzieć? Prawdę: że jesteś prawnikiem bez środków, nudnym, w kiepskiej formie fizycznej, krótkowzrocznym, który za dużo pracuje i skąpi na wynagrodzenie swojej asystentki.

Gonzalo odpowiedział uśmiechem. Świeżość Luisy mogła pomóc

w złagodzeniu napięcia przed konfrontacją z teściem. Schował wizytówkę, nie wiedząc dobrze, co z nią zrobi, po czym mechanicznym ruchem poprawił krawat i marynarkę.

– Do dzieła.

Sala konferencyjna miała onieśmielać klientów. Dawała strategiczną przewagę, którą Agustín González potrafił wykorzystać. Kiedy miał do omówienia jakąś ważną sprawę, zapraszał tu rozmówcę i czekał na niego w fotelu prezesa, udając, że jest pochłonięty lekturą jakiegoś dokumentu. Tym razem jednak faktycznie był skoncentrowany. Przez większość weekendu studiował dossier firmy ACASA, jednego ze swoich najważniejszych klientów. Projekt, który miał w rękach, oznaczał kilkumilionowe zyski, o ile uda mu się dobrze odegrać swoją rolę. Problem polegał na tym, że jak na ironię losu ta wielka inwestycja opierała się na mikroskopijnym kamyczku, który zaraz miał wejść do sali.

Agustín położył okulary na dokumentach i pociągnął łyk whisky, spoglądając na zdjęcie córki i wnuków. Nigdy nie przepadał za Gonzalem. Od dnia, kiedy Lola przyprowadziła go do domu, wiedział, że ten chłopak o nieśmiałym wyglądzie nigdy nie wykaże wystarczająco dużo charakteru, by dać jego córce to, na co zasługuje, i stać się częścią ich rodziny. Kazał go sprawdzić, odkrył, że jest synem komunisty, który zniknął w 1967 roku, kiedy Gonzalo był małym chłopcem. Jego matka miała białoruskie korzenie i nie po kolei w głowie, siostra zaś pojechała do Afganistanu podczas konfliktu z Sowietami i pisała stamtąd podejrzanej treści artykuły. To, że Gonzalo do szesnastego roku życia uczył się w prowadzonej przez klaretynów szkole z internatem, należało uznać za plus, nie była to co prawda, uczelnia jezuicka, jak ta, w której studiował Agustín (i na którą dzięki jego protekcji przyjęto Javiera), ale uszłaby w tłoku, gdyby nie to, że został z niej dyscyplinarnie wyrzucony. Był na ostatnim roku prawa w systemie zaocznym, łączył studia z dorywczymi pracami kelnera i pomocnika w magazynie.

Gonzalo nie miał wprawdzie politycznej przeszłości jak jego ojciec, ale sympatyzował z ugrupowaniami skrajnej lewicy i uczestniczył w ich seminariach. Agustín nigdy nie pokazał Loli tego raportu, który jasno wskazywał, że Gonzalo nie jest najlepszym kandydatem na nowego członka rodziny. Początkowo nie był dla niego bardzo niemiły; skoro jego córce zachciało się zakochać i zabawić z kimś z niższej klasy, nie mógł jej tego zabronić. Znał ją, była niczym tramontana, która wieje zaciekle przez kilka dni,

po czym nagle cichnie. Wierzył, że któregoś dnia się ustatkuje, skończy ekonomię, przestanie umawiać się z wałkoniami i jeździć po świecie. Mylił się jednak. Ten syn komunisty zdołał wejść do rodziny z cicha pęk, bezszelestnie, bez szemrania, odrzucając jego pomoc (a tym samym kontrolę). Zanim Agustín zdał sobie sprawę, że pomylił się w szacunkach, organizował już huczne wesele.

Szukając dobrych stron w tym, co nieuniknione, pomyślał, że mógłby jakoś wykorzystać tego śmiecia, na przykład zatrudnić go jako pomocnika i powoli urabiać. Znow się pomylił: po ślubie Gonzalo otworzył własną kancelarię, odrzucał jego rady i pomoc i dopiero przed kilku laty zgodził się wynająć za umiarkowany czynsz biuro, które Agustín zaproponował mu w swoim budynku. Minęło dwadzieścia lat, miał dwoje wspaniałych wnucząt, Lola wyglądała na względnie szczęśliwą. Musiał przyznać, że Gonzalo to inteligentny facet, przyjmował jedynie te sprawy, które miał szansę wygrać, przytakiwał, kiedy Agustín zastawiał na niego pułapkę, udawał, że się korzy, ale skurczybykowi zawsze udawało się wymknąć i iść dalej własną drogą.

To musiało się skończyć, tutaj, tego ranka.

Punktualnie o dziesiątej sekretarka poinformowała go, że Gonzalo już przyszedł.

– Każ mu zaczekać dziesięć minut. – Tyle powinno wystarczyć, żeby zaczął się niecierpliwić. – Potem go wpuścisz.

Gonzalo musiał przyznać, że nie rozumie kubizmu. Obraz wiszący na ścianie na pewno miał ogromną wartość, jego teść nie kupował niczego, co by jej nie miało. Ale to połączenie form geometrycznych ponakładanych na siebie niczym odłamki szkła jedynie wprawiało go w zakłopotanie. Próbował skupić się na obrazie, żeby nie patrzeć na sekretarkę. Kiedy minęło odpowiednio dużo czasu i ta poinformowała go, że może przejść przez duże masywne drzwi (zabrzmiało to tak, jakby pozwalano mu wstąpić do *sancta sanctorum*), Gonzalo przybrał minę, jakiej od niego oczekiwano: skruszoną. Teść siedział na końcu ogromnej sali i przeglądał jakieś dokumenty. Po swojej prawej stronie strategicznie umieścił tacę z wodą i whisky. Podłoga z szarego gresu porcellanato odbijała światło wpadające przez ogromne okna. A więc tak wygląda sukces, pomyślał Gonzalo, onieśmielony nagim przepychem pomieszczenia.

Agustín podniósł głowę i skinął na niego, by podszedł. Nie wstał, żeby się przywitać, nie starał się też być miły. Przyniosłoby to efekt odwrotny do zamierzonego. Powiesił marynarkę na oparciu fotela i poluźnił węzeł krawata. Był to jego sposób na powiedzenie, że nie ma czasu na ceregiele. Gonzalo usiadł po jego prawej stronie. Nie zdjął marynarki ani nie poluźnił krawata. Wyjął jedynie pióro i mały notes. Agustín odchylił się do tyłu, zatrzeszczała skóra na oparciu fotela.

– Na wstępie chcę, żebyś wiedział, że przykro mi z powodu twojej siostry.

Kłamie, pomyślał Gonzalo. I nawet się nie sili, żeby to ukryć.

– Z tego, co słyszałem, nie miałeś z nią żadnego kontaktu. Tym lepiej, ta cała sprawa z morderstwem i samobójstwem jest dość makabryczna. Obiektywnie rzecz ujmując, twoja siostra była osobą *skomplikowaną*.

Dziwny sposób na powiedzenie „niewygodną”. Gonzalo badawczo spojrział na teścia, chciał mu powiedzieć, że nie ma pojęcia, o czym mówi. Nienawiść, jaką czuł do starego, była równie duża jak pogarda, którą ten darzył Gonzala. Obaj o tym wiedzieli, musieli jednak trzymać się ustalonego scenariusza.

– Moglibyśmy skupić się na interesującej nas sprawie?

Na czole teścia zarysowała się zmarszczka sprzeciwu.

– Jak się na pewno domyślasz, chcę ci zaproponować, żebyś został moim współnikiem. Wciąż jeszcze możesz zrobić błyskotliwą karierę.

Gonzalo miał świadomość, że każdy kolega po fachu na jego miejscu skakałby z radości. Praca z Gonzálezem oznaczała wkroczenie na ścieżkę prowadzącą prosto do prawniczego nieba. Ale żaden z jego kolegów nie był zięciem Agustína. Widok starego siedzącego naprzeciw niego z szeroko rozłożonymi nogami wyraźnie wskazywał, dokąd nieuchronnie zmierza jego życie, jego wysiłki, wszystkie młodzieńcze marzenia z czasów nauki w szkole z internatem dla dzieci z ubogich rodzin prowadzonej przez klaretynów, kiedy to chciał być taki jak ojciec. A ponieważ nie wiedział, jaki tak naprawdę był, wszystko sprowadzało się do mglistego pragnienia, by być wolnym, jak wygłodniały wilk z bajki, której nauczyciel łaciny kazał mu się nauczyć na pamięć, kiedy miał szesnaście lat. Wiedział, że nie powinien przerywać, dopóki Agustín nie skończy, i że odpowiedzią, jakiej oczekuje jego teść, jest bezwarunkowe „tak”. Całkowite poddanie. Był na to przygotowany. Przez dwadzieścia długich minut konsultowali dokumentację. Gonzalo ograniczał się do spokojnego przewracania kartek, nie przykładając wagi do ich treści. Rzucił jedynie kilka mało istotnych komentarzy.

– Chciałbym nadal korzystać z usług Luisy.

Agustín nie zgłosił żadnych obiekcji. Wszystko zmierzało gładko do logicznego zakończenia. Do momentu, kiedy stary wstał, obszedł salę i wrócił do stołu z aktami ACAS-y.

– Co o tym sądzisz? Luksusowe osiedle, pięciogwiazdkowy hotel, pola golfowe, nowe drogi, nowa sieć kanalizacyjna, instalacja elektryczna i sieć telefoniczna. Masa kontraktów dla wykonawców i podwykonawców, które będziemy musieli negocjować. To będzie twoje pierwsze zadanie jako mojego wspólnika. Mówimy o milionach.

Gonzalo poczuł, że zalewa go fala gorąca. Nigdy nie miał do czynienia z tego rodzaju negocjacjami – procesowaniem się z wywłaszczonymi właścicielami, składaniem odwołań w urzędach, doradzaniem koncesjonariuszom.

– Dlaczego ja? Nie znam całej dokumentacji, musiałbym ją dogłębnie przestudiować.

Teść niecierpliwie pokiwał głową. Wszystko przewidział.

– Wiesz, że kiedy byłem młody, lubiłem biegać w maratonach? Właśnie tak. Trenowałem miesiącami, pilnowałem diety, studiowałem trasę biegu i profile moich potencjalnych rywali. Nie pozostawiałem niczego przypadkowi. A mimo to przegrałem najważniejsze zawody z powodu głupiego drobiazgu. Żeby przygotować mięśnie, w dniu poprzedzającym wyścig biegałem po nadmorskiej promenadzie, łatwą trasą. Nie zorientowałem się, że do buta wleciało mi małe ziarenko piasku, nic nieznaczący kamyczek. Kiedy zacząłem biec w dniu maratonu, poczułem, że coś mnie uwiera, ale nie przywiązywałem do tego wagi, pomyślałem, że przejdzie, że w którymś momencie dolegliwość zniknie. Ale tak się nie stało. Z każdym kolejnym kilometrem ten kamyczek na mojej stopie wydawał mi się coraz większy, zaczął zadawać mi męki niczym ostry odłamek szkła. W końcu musiałem się zatrzymać, zdjęć but i skarpetkę. Wypadłem z rytmu, straciłem cenny czas. To była porażka, której nigdy nie zapomnę.

– Nie wiem, czy cię rozumiem.

Agustín González rozłożył przed nim plany terenów pod zabudowę i wskazał palcem punkt pośrodku. Gonzalo spojrział na teścia. Teraz już rozumiał, dlaczego był tak skłonny do ustępstw w kwestii fuzji.

– Na terenie przyszłego osiedla znajdują się ziemie należące do mojej rodziny. To twój kamyk w bucie.

- Otóż to, kamyk, który może wszystko zaprzepaścić.
- Ale ta działka nie należy do mnie, jest własnością mojej matki.
- Jedynie w pięćdziesięciu procentach. Pozostałe pięćdziesiąt należy po połowie do ciebie i do twojej siostry. A ponieważ umarła, nie pozostawiając testamentu, jej dwadzieścia pięć procent przeszło na twoją matkę. Siedemdziesiąt pięć dla niej i dwadzieścia pięć dla ciebie.
- Widzę, że przestudiowałeś problem.
- Nigdy nie należy się zdawać na przypadek. Ta działka paraliżuje całą inwestycję. Na razie musimy się skoncentrować na twojej matce. Spróbuj ją przekonać, jesteśmy w stanie dobrze zapłacić za dom, który w rzeczywistości jest nic niewarty. Wystarczająco dużo, żeby starczyło na opłacenie jej pobytu w luksusowym ośrodku w Marbelli, jeśli takie byłoby jej życzenie.
- „Oburzaj się, ile chcesz, ale tak mają się sprawy” – spojrzenie teścia nie pozostawiało miejsca na wątpliwości. Gonzalo poruszył się niespokojnie na krześle, zdjął okulary i jego zielone oczy zamieniły się w dwie kropeczki pośród fałd tłuszczu, jak szklane kulki w wykopanej w ziemi dziurze.
- Zostaje jeszcze moje dwadzieścia pięć procent.
- Agustín González wykonał dłonią ruch, jakby odpędzał bzyczącą, natrętą muchę.
- Fuzja z moją kancelarią i praca dla ACAS-y. Te rzeczy idą w parze. Jeśli nie zdołam pozyskać tej działki w stu procentach, nie ma umowy. Dużo ryzykujemy, a ty najwięcej. Zabierz dokumenty do domu, przestuduj je, przemyśl wszystko i zadzwoń. Dziś wieczorem spodziewam się twojej odpowiedzi.
- Nawet jeśli zdobędziesz moją część, matka nie sprzeda swojej za nic w świecie. Ten dom jest dla niej wszystkim.
- Agustín złośliwie zachichotał.
- Zapewniam cię, że to zrobi.

Główną ścianę recepcji zajmował pejzaż marynistyczny w pastelowych kolorach. Statek z trzema okazałymi masztami pruł rozszalałe fale, wznosząc kil nad grzywą piany. Na twarzy Alcázara pojawił się uśmiech. Cecilia dostałaby choroby morskiej na sam jego widok, potrafiła zwymiotować na łódce w parku Ciutadella. Roztkliwił się na wspomnienie żony. Oczami wyobraźni zobaczył, jak siedzi zgięta w pół, blada jak płótno, trzymając się

rękami za brzuch, i mówi z tym swoim południowym poczuciem humoru, którego nigdy nie straciła, że woda jest dobra dla żab i ryb.

Przez duże okno ze szprosami zobaczył zgarbioną postać Esperanzy. A może powinien nazywać ją Kateriną Orłowską? Nie mógł się nadziwić żywotności, jaką nadal wykazywała w tym wieku. Pomyślał, że Cecilia pewnie nie zachowałaby do końca takiej energii. Esperanza była ulepiona z innej gliny. Opuścił budynek bocznymi drzwiami i wyszedł staruszce naprzeciw, dając jej czas, by go rozpoznała. Podniosła głowę jak kret, jakby próbowała go wywęszyć, zanim znajdzie się wystarczająco blisko, by mogła mu się przyjrzeć. Nie było to łatwe, pomijając słaby wzrok Esperanzy, upłynęło trzydzieści pięć lat, w czasie których oboje bardzo się zmienili.

– Witaj, Katerino.

Esperanza od lat nie słyszała swojego prawdziwego imienia. Na jego dźwięk aż podskoczyła.

– Kim pan jest?

– Wiele lat temu, kiedy oboje byliśmy nieco młodszy, nosiłem tupecik. Może dlatego mnie nie pamiętasz. Nazywam się Alberto Alcázar. Poznaliśmy się w sześćdziesiątym siódmym roku, prowadziłem śledztwo w sprawie zniknięcia Elíasa. Widzieliśmy się na pogrzebie Laury.

Alcázar pozwolił, by jego słowa powoli przedarły się do świadomości Esperanzy. Był to klucz, którego potrzebował, by otworzyć jej pamięć i dostać się do niej przez powstałą szczelinę. Staruszka odruchowo przyłożyła do wilgotnych od śliny warg zmiętą chusteczkę, którą trzymała w dłoni zapewne po to, by ocierać łzy płynące nieustannie z jej prawego oka.

– Na pewno wiesz, że przez ostatnie lata pracowałem z twoją córką.

Esperanza pokręciła głową, ruchem wyglądającym raczej na objaw dystonii niż na wyraz jej woli.

– Nie mam panu nic do powiedzenia, proszę odejść.

Alcázar wessał wąsy dolną wargą. Dzieliło ich zaledwie dwadzieścia lat, Esperanza była na końcu swojej drogi, a on wkroczył właśnie na ostatnią pochyłość. Może dlatego czuł przygnębienie, bo stojąc obok tej staruszki, wspominał pięćdziesięcioletnią kobietę, pełną życia, która w 1967 roku plunęła mu w twarz na oczach jego podwładnych i nazwała go mordercą. Wtedy Alcázar był innym człowiekiem, miał zaledwie trzydzieści lat i musiał udowodnić tyle rzeczy, że uderzył ją w twarz i kazał zamknąć w areszcie. Żadne z nich nie zapomniało tamtego policzka ani tego, co się wydarzyło

w noc świętojańską, kiedy zniknął Elías Gil.

– Absurdem byłoby przepraszać cię po tylu latach za to, co się wtedy stało, nie sądzisz? Nowe grzechy, dużo cięższe, pogrzebały stare. Ale widzę, że nadal nie dajesz sobie w kaszę dmuchać, jak dawniej.

Esperanza trwała w upartym milczeniu. Próbowwała odejść, pomagając sobie balkonikiem, w stronę przedniej części ogrodu, ale jej ruchy były tak powolne, że Alcázar niemal nie musiał się przemieszczać, żeby dotrzymać jej kroku. Szedł z rękami w kieszeniach, nie spuszczać z niej oczu.

– Nie widziałem, żebyś uroniła choćby jedną łzę na pogrzebie córki. Czy to nie czyni cię wyrodną matką?

Staruszka odwróciła się do niego z wściekłością. Ten gwałtowny ruch mógł złamać jej delikatną, pomarszczoną szyję. Kosmyk w kolorze słomy dzielił twarz kobiety na dwie części.

– Córka, która bezczęści pamięć swojego ojca i zdradza krew płynącą w jej żyłach, pracując z policjantem, który go zamordował, nie zasługuje na to miano. Z mordercą swojego własnego ojca! – Twarz Esperanzy zmieniła się pod wpływem ogromnej złości i nienawiści, które jakimś cudem mieściły się w jej wątłym ciele. Alcázar jednak pozostał niewzruszony i nie stracił opanowania.

– Jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy, nie musisz dalej odgrywać roli matki Courage i żony dochodzącej sprawiedliwości. Nie przede mną, Katerino. Laura знаła prawdę, dlatego przyszła do mnie po tak długim czasie i dlatego poprosiła, żebym przyjął ją do mojej ekipy. Zgodziłem się z tych samych powodów, dla których ty uznałaś, że dla ciebie twoja córka umarła. Nigdy nie byłaś sprawiedliwa ani odważna, bez względu na to, co mówią ci wszyscy ludzie potrzebujący bohaterek i świeckich świętych. Prawda – jedyna prawda – jest taka, że zniknął. I oboje wiemy dlaczego.

– Nie! To ty go zamordowałeś! Tamtej nocy strzeliłeś mu w plecy i wrzuciłeś go do jeziora!

Alcázar wyjął wycinek z gazety sprzed kilku tygodni.

– Sama przeczytasz czy wolisz, żebym ja to zrobił? „Ministerstwo Robót Publicznych i Transportu postanowiło zamknąć starą stację elektroenergetyczną w Cal Guardia. Wybudowana w latach czterdziestych elektrownia jest zasilana dzięki zbiornikowi wodnemu, który zgodnie z raportami technicznymi wykazuje poważne uszkodzenia strukturalne, dlatego przed zburzeniem zostanie osuszony. Nazywany potocznie jeziorem, zbiornik

zagroza okolicznym ziemiom uprawnym i ekosystemom. Organizacje ekologiczne sprzeciwiają się projektowi, argumentując, że za tymi technicznymi decyzjami kryją się w rzeczywistości plany urbanizacyjne dużego konsorcjum, zainteresowanego przekwalifikowaniem gruntów”. Dlatego nie chcesz sprzedać działki Agustínowi Gonzálezowi, prawda? Nie z powodu tego starego domu, rodzinnych wspomnień czy tego absurdalnego pustego grobu, na który jeździsz co niedzielę z twoim naiwnym synem, żeby złożyć tam kwiaty. Nie chcesz, żeby osuszono jezioro, bo wiesz, że na jego dnie niczego nie ma. A skoro niczego nie ma, nie będziesz mogła dalej podtrzymywać kłamstwa, w którym żyłaś przez wszystkie te lata. Wolisz mieć wątpliwości, niż zyskać pewność. Gonzalo o niczym nie wie, prawda? Nawet nie podejrzewa, co się wydarzyło tamtej nocy. Miał zaledwie pięć lat, uwierzył we wszystko, co mu opowiedziałaś.

Esperanza zachwiała się, niemal tracąc równowagę. Kiedy Alcázar przytrzymał ją, żeby nie upadła, próbowała go odepchnąć, nie puścił jej jednak, dopóki nie usiedli na ławce między dwoma cyprysami. Morze mrucało za nimi jak zaspany kot. Wkrótce miało się ściemnić, ale wciąż dobiegały do nich z plaży śmiechy dzieci, a po bezchmurnym niebie latały mewy. Alcázar wyjął z kieszeni firmową kopertę kancelarii „Agustín González i Wspólnicy” i delikatnie włożył ją w dłonie Esperanzy.

– Podpisz umowę sprzedaży. Podpisz ją i bądź dalej tym, kim chciałaś być przez wszystkie te lata: wdową po bohaterze, strażniczką wymarzonych wspomnień – w świecie, który sobie wymyśliłaś, żeby nie zwariować. Albo jej nie podpisuj i stań się z powrotem Kateriną Orłowską; ale wtedy twój syn pozna prawdę, dam ci na to moje słowo.

Odchodząc, Alcázar nie miał odwagi odwrócić głowy. Czuł się nikczemnie, podle, pomyślał, że jeśli Cecilia jest w miejscu, w którym chciałby, żeby była, patrzy na niego ze smutkiem i żalem. Słyszał jej wyrzuty przebijające przez nieruchome fale obrazu w recepcji: „Jak możesz z tym żyć, Alberto?”. Odpowiedział, że może jedynie być tym, kim jest. Po tym, jak go opuściła, wierność samemu sobie była jedyną rzeczą, która mu została.

5.

Patricia siedziała na brzegu basenu, mocząc nogi w wodzie. Ich ruchy tworzyły łagodne fale, które rozchodziły się koncentrycznie po powierzchni. Patrzyła zamyślona na wyłożone płytkami dno, zafascynowana świetlnymi odbłaskami. Nie zauważyła, że Javier od dłuższej chwili obserwuje ją przez okno w kuchni. Uwielbiał swoją młodszą siostrę, jej piegowaty nosek i włosy, które pod wpływem słońca zmieniały kolor z kasztanowego na złoty. Była ulubienicą ojca, małą, rozpuszczoną i czasami kapryśną mądrą, bezgranicznie naiwną. Wiedział, że jej go brakuje, że go podziwia, że boli ją jego obojętność, i czasami źle się czuł z tym, że nie poświęca jej więcej uwagi.

Ale nie zawsze miał ochotę znosić jej niekończące się pytania. Ciekawość Patricii była nie do zaspokojenia, momentami absurdalna, każdego mogła wyprowadzić z równowagi. Kilka dni wcześniej przyłapał ją z maszynką do golenia w rękę i twarzą wysmarowaną pianką. Zamiast się zezłościć, wybuchnął śmiechem i przez dwadzieścia długich minut objaśniał jej techniki golenia. Nie przypominał sobie, żeby w ciągu ostatnich miesięcy tak się śmiał. Przeważnie jednak starał się jej unikać.

Chociaż nie miałby odwagi się do tego przyznać, zazdrościł jej łatwości, z jaką przyjmowała ojcowską miłość, niekończących się rozmów, które prowadzili, cierpliwości, jaką do niej miał, i uczuć, jakie jej okazywał. Myślał, że kiedy Patricia podrośnie, pewnie te więzy się rozluźnią, jego siostra będzie miała własny, zupełnie inny świat, a ojciec poczuje się bezradny i onieśmielony, nie będzie wiedział, jak stawić czoła tej zmianie. Stanowiło to jednak dla niego marne pocieszenie. On nigdy nie był z ojcem w tak bliskich stosunkach, zasługiwał jedynie na oziębłość i dystans z jego strony, a czasami odkrywał w jego spojrzeniu zdumienie, jakby nie uważał go za swojego syna, ale za dziwne stworzenie, które nie wieciec jak wdarło się do jego życia. Javier był przekonany, że ojciec go nie kocha, że nigdy go nie kochał, i nie rozumiał dlaczego. Miał wrażenie, że Gonzalowi przeszkadza

jego obecność i że na swój sposób daje mu to odczuć. Nie robił mu żadnych wymówek, po prostu milcząc, okazywał niezadowolenie. Tego właśnie najbardziej nie znosił Javier – ciągłego milczenia ojca.

Zawsze starał się sprostać jego oczekiwaniom, ale męczyło go życie ze świadomością, że ojciec bierze każdy jego krok pod lupę, jakby poddawał go niekończącemu się egzaminowi – przeglądał jego oceny z uniesioną brwią, zadawał głupie pytania o dziewczyny i przyjaciół, ukradkiem wąchał jego ubranie i oddech, kiedy wracał do domu w sobotnie noce. Javier podejrzewał, że grzebie nawet w jego rzeczach, chociaż pilnował się, by nie zostawiać śladów. Odkrył kilka drobnych zmian: część bielizny przełożoną w inne miejsce, książkę odstawioną na niewłaściwą półkę... Uśmiechnął się złośliwie – czyżby ojciec spodziewał się znaleźć teczki z pornografią, zdjęcia kobiet z dużymi silikonowymi cyckami, akrobatek z wulgarnego cyrku, torebkę z narkotykami, strzykawkę albo pliki pieniędzy niewiadomego pochodzenia? Byłoby znacznie prościej, gdyby po prostu usiedli i porozmawiali, gdyby zapytał go wprost, ale Gonzalo nie poruszył tematu. Wolał milczeć, unikać zmierzania się z rzeczywistością.

Javier podniósł głowę i zobaczył stojącą w progu siostrę. Nie wysuszyła stóp i zostawiała na podłodze mokre ślady.

– Co jest?

– Jakiś czarnoskóry mężczyzna obserwuje nasz ogród.

Javier wyszedł, żeby to sprawdzić. Przez furtkę zobaczył „czarnoskórego mężczyznę”. W rzeczywistości był to chłopak mniej więcej w jego wieku. Schodził w dół ulicy z przewieszoną przez ramię lnianą marynarką i dłonią w kieszeni. W żadnym razie nie wyglądał podejrzanie.

– Pewnie tylko się rozglądał – powiedział Javier, wchodząc do domu. Wtedy z przerażeniem zobaczył, co trzyma w dłoni jego siostra.

– Oddaj mi to natychmiast!

Przez kilka sekund Patricia manipulowała przy trzydziestce ósemce. Rewolwer był stary i zardzewiały, ale nadal działał, Javier sprawdził to, strzelając na łące. Na szczęście opróżnił bęben. Brutalnie wyrwał siostrze pistolet.

– Jak go znalazłaś?

– Widziałam, jak chował się w garażu.

Jak widać, nie ukrył dobrze broni. Skoro znalazła ją Patricia, mógł ją znaleźć każdy.

– Mnie to nie przeszkadza, ale tata bardzo się zdenerwuje, jeśli odkryje, że to masz – powiedziała, spoglądając na niego ze stanowczością niepasującą do dziesięcioletniej dziewczynki. Javier nagle dostrzegł w niej mądrość przezierającą przez szpary jej dzieciństwa.

– Nie musi się dowiedzieć, jeśli nic mu nie powiesz i obiecasz mi, że nigdy więcej go nie dotkniesz.

Patricia siedziała na obrotowym krześle w salonie. Odbijała się od podłogi i obracała w kółko z podniesionymi stopami. Javier zatrzymał krzesło tak gwałtownie, że dziewczynka poleciała do przodu. Miała zaróżowione policzki i wyglądała, jakby trochę kręciło jej się w głowie.

– Obiecaj mi!

– Nie musisz na mnie krzyczeć.

– Nie krzyczę na ciebie.

– Krzyczysz, ja wiem, dlaczego ciągle chodzisz zły.

Javier poczuł, że oblewa się rumieńcem.

– Co wiesz?

– Co robisz... A potem zawsze płaczesz. Mnie to nie przeszkadza. Będiesz musiał powiedzieć o wszystkim tacie.

Javier wytrzymał spojrzenie siostry, spoglądając na nią wyzywająco.

– Gównu wiesz.

Patricia nie dała się zbić z tropu.

– Wiem, co wiem.

Javier wpadł we wściekłość i chwycił ją mocno za ramiona.

– Boli mnie.

– Uważasz, że to jest ból? A wiesz, co się dzieje, kiedy dorastasz?

Dziewczynka pokręciła głową z wystraszoną miną.

– Dowiadujesz się, czym jest prawdziwy ból.

– Kiedy wróci tata, wszystko mu powiem.

Javier podniósł rękę, ale powstrzymał się i nie uderzył siostry w twarz.

– Nie zrobisz tego. Obiecuj mi. Bo jeśli to zrobisz, pójdę sobie i już nigdy mnie nie zobaczysz.

Patricia z ulgą patrzyła, jak opada podniesiona na nią ręka.

– Jeśli ty mi obiecasz, że zabierzesz mnie ze sobą, ja ci obiecuję, że nie powiem nic o tym. Nie chcę, żebyś zostawił mnie samą, nigdy, nigdy, nigdy.

Javier z zakłopotaniem przyjął uścisk siostry – obejmowała go w pasie tak mocno, jakby chciała się do niego przykleić. Przełknął ślinę, wzruszony,

smutny i wystraszony. Pogłaskał Patricię po wilgotnych włosach i pocałował w czubek głowy.

– Zawsze będziemy razem, obiecuję.

Umówił się z matką na obiad. Biuro podróży, które prowadziła Lola, mieściło się w dzielnicy Gràcia, przy ulicy, gdzie rzadko zaglądało słońce, nawet latem. Lokal był nieduży, ale należał do niej, co znacznie obniżało koszty prowadzenia interesu, a dla jego pragmatycznej matki był to najważniejszy wyznacznik. Na ulicy panował niewielki ruch, biuro znajdowało się na parterze brzydkiego budynku i nie miało witryny – o tym, że się tu mieści, informowała jedynie metalowa tabliczka na fasadzie, niezauważalna dla przechodniów. Javier wiedział, że matka nie potrzebuje tego biura i że działa ono zaledwie na pół gwizdka. Dziadek Agustín dbał, żeby niczego im nie brakowało, matka chciała jednak mieć jakieś zajęcie i wierzyć, że nadal jest niezależną kobietą.

Dwie olbrzymie hebanowe figury przedstawiające nagich mężczyznę i kobietę stały po obu stronach drzwi niczym nieruchomi strażnicy. Penis sięgał mężczyźnie do kolan, a srom kobiety został przedstawiony tak sugestywnie i był tak wyeksponowany, że niektórzy klienci peszyli się na jego widok. Javier pogłaskał środkowym palcem wargi sromowe rzeźby, wyobrażając sobie, że przechodzi ją dreszcz i że typ z dużym kutasem zamknięty w posągu złorzeczy mu, zielony z zazdrości.

Usłyszał dobiegający z góry schodów głos matki. Ktoś musiał u niej być – zanosila się tak przesadnie długim śmiechem tylko wtedy, kiedy rozmawiała z kimś, kogo zbyt dobrze nie znała. Wszedł na piętro krętymi schodami, omijając stopy folderów, i zobaczył ją stojącą z założonymi rękami, opartą o ścianę. Coś bardzo ją rozśmieszyło. Javier podążył za jej wzrokiem i zobaczył osobę, która wygłupiała się w masce czarownika. Pajac, widząc, że ma większą widownię, przestał błaznować i zdjął maskę. Śmiech Loli zamarł, odwróciła się w stronę schodów.

– Javier! Co tutaj robisz? Mieliśmy się spotkać później.

Lola dotknęła włosów, jej głos drżał nieco, jakby syn nakrył ją na czymś nieprzyzwoitym. Jej skrępowanie stało się bardziej widoczne, kiedy niepotrzebnie zapięła guzik bluzki, która wcześniej odsłaniała może nieco zbyt duży dekolt. Javier nie spuszczał wzroku z przebranego czarownika. W jego

oczach malowało się pytanie: Co to ma znaczyć?

– Znasz Carlosa, prawda? Zajmie się naszą sierpniową trasą po Burkinie Faso. – Lola podeszła do chłopaka i wzięła od niego maskę, nie wiedząc, co ma z nią zrobić.

Javier skinął głową. Oczywiście, że znał Carlosa. Matka zapomniała, że to on ich sobie przedstawił. Carlos powtarzał ostatni rok studiów humanistycznych, był o pięć czy sześć lat starszy od Javiera; poznali się kilka miesięcy wcześniej w barze i zaprzyjaźnili. Carlos szukał zajęcia na wakacje, a ponieważ pracował już jako przewodnik na afrykańskich trasach, Javier doszedł do wniosku, że mógłby przedstawić go matce. Jego CV było dłuższe niż kandydata na stanowisko w NAS-ie. Pewnie połowę zawartych w nim informacji wyssał z palca, ale jego matce najwyraźniej to nie przeszkadzało. Carlos był urodzonym uwodzicielem – miał długie blond włosy, opadające niedbale loki à la wiking, starannie wymodelowaną rudawą bródkę, nosił naszyjnik ze sztucznych kłów krokodyla Dundee i bransoletki z makramy, które nadawały mu wygląd retro. Ubrany był z rozmyślną niedbałością, w sprane dzinsy podkreślające jego atrybuty – niezły tyłek i niezłego kutasa, który mógłby konkurować z penisem figury stojącej na dole – w wytarte na noskach kowbojki i koszulkę Greenpeace’u. Profesjonalny podrywacz, świadom swojej atrakcyjności, którą potrafił wykorzystać.

– Pokazywałeś mojej matce szamańskie rytuały?

– Tylko się trochę wygłupialiśmy dla odprężenia. – Głos Carlosa był niski, ale sympatyczny, mógłby pracować jako prezenter radiowy albo grać w telenowelach. Na dodatek miał idealne zęby. Chociaż uśmiechał się do Javiera, jego migdałowe oczy wyrażały zupełnie coś innego. Ostrzegął go, że jest dla niego miły ze względu na obecność Loli, ale jego przyjazne nastawienie do podejrzliwego młokosa ma pewne granice. Mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund, w czasie których jakby rozrzedziło się powietrze. W końcu Carlos rozluźnił ramiona. Javier wyczuł ironię w sposobie, w jaki uściśnął mu rękę na pożegnanie.

– Do zobaczenia.

Lola odprowadziła Carlosa do wyjścia. Javier zszedł za nimi i zdążył zobaczyć, jak zegnają się przyjacielskim cmoknięciem w policzek.

– Wydawało mi się, czy byłeś troszeczkę nieprzyjemny? – zapytała matka, kiedy zostali sami. Była zła i podenerwowana.

– Podoba ci się ten gość?

Spojrzała na syna wyraźnie wystraszona.

– Co to za pytanie?

– Na to wyglądało.

Matka stanęła przed nim, trzymając się pod boki. Starła się, by ten gest oddawał cały autorytet, na jaki było ją stać w tej chwili, ale nie wypadło to przekonująco.

– Skąd te głupie pomysły? Obrażasz mnie.

– Uwierz mi, mamó, ten gość do ciebie nie pasuje. Wiem, o czym mówię.

Lola wybuchnęła chłodnym śmiechem, jakże różnym od tego, który Javier słyszał przed kilkoma minutami. Teraz brzmiał jak trzask łamanej suchej trzciny.

– Proszę, odezwał się ekspert. Po pierwsze, nie wiem, dlaczego prowadzimy tę rozmowę. Carlos będzie dla nas pracował, to wszystko. Po drugie, co niby wiesz? Masz zbyt wybujałą wyobraźnię. Nie musi do mnie pasować, wystarczy, żeby dobrze wykonywał swoją pracę, a zapewniam cię, że zna się na tym, co robi.

Javier wzruszył ramionami.

– Mówię ci tylko, żebyś na niego uważała.

Lola powiesiła torebkę na ramieniu i zadzwoniła kluczami od biura, które trzymała w dłoni.

– Nie podoba mi się obrót, jaki przybiera rozmowa, którą prowadzę z moim siedemnastoletnim synem, więc chodźmy coś zjeść i zapomnijmy, że w ogóle do niej doszło. Zgoda?

– Mam prawie osiemnaście lat. – I rewolwer, dodał w myślach.

– Możesz sobie mieć nawet czterdzieści – ucięła zniecierpliwiona Lola.

Dotarli do placu z wieżą zegarową i znaleźli wolne miejsce w jednej z restauracji. Lola siedziała sztywno, obserwując stadko gołębi walczących o okruchy pozostawione na stoliku w ogródku. Czuła się niezręcznie z powodu błędnych wniosków, jakie wyciągnął jej syn z tego, co widział. Zastanawiała się jednak, jak sama powinna to interpretować.

Co niby robiła z Carlosem, chłopcem niewiele starszym od swojego syna? Może czuła dziecianną potrzebę, by pokazać, że jest na jego poziomie, że zasługuje na jego podziw, na bycie w jego oczach kimś więcej niż tylko dojrzałą, atrakcyjną kobietą, na dodatek jego szefową. Niewinne potknięcie bez znaczenia. Nie zamierzała iść do łóżka z przyjacielem swojego syna. Była to historia zbyt banalna, opowiedziana już tyle razy, że wydawała się żalonna.

Dojrzała kobieta i młody chłopak. Nie posunęłyby się do tego? Czy aby na pewno?

Spojrzała na syna. Zrobiłaby to nie po raz pierwszy. Kochała Gonzala, nie miała co do tego wątpliwości. Ale kochała go również przed osiemnastu laty, może nawet bardziej niż teraz, a przynajmniej namiętniej. Mimo to przekroczyła wtedy czerwoną linię, którą sama sobie wyznaczyła – możesz fantazjować, że prowadzisz inne życie, ale masz takie, jakie masz, sama je wybrałaś i powinnaś o nie walczyć. Złamała zasady i wdała się w kilkumiesięczny romans z dawnym kolegą ze studiów, z tych, co to pojawiają się w twoim życiu, żeby przekonać cię, że straciłaś coś w przeszłości i jeszcze masz czas, żeby to odzyskać. Tamten mężczyzna niewiele dla niej znaczył, jednak zaszła z nim w ciążę. To była jej tajemnica i musiała dźwigać ją sama. Mogła wtedy zostawić Gonzala, mogła wybrać inną drogę, ale się nie odważyła albo nie chciała tego zrobić. Co za różnica. Przez wszystkie te lata próbowała przekonać samą siebie, że podjęła właściwą decyzję. Potem pojawiła się Patricia, a jej narodziny były niczym ciężki głaz, który na dobre odcina drogę odwrotu. Nie mogła się już cofnąć, niemniej jednak nie potrafiła uwolnić się od wrażenia, że odkąd wyszła za mąż, żyje przygnieciona, nieświadomie wyrzeka się części samej siebie na rzecz rodziny. A teraz znów na jej poczuciu bezpieczeństwa pojawiły się drobne pęknięcia, ledwo widoczne rysy. Kim jest ta kobieta, która żyje ukryta w jej wnętrzu i nieustannie próbuje zachwiać jej równowagę?

– Dlaczego zaprosiłaś mnie na obiad? – zapytał Javier, wyrrywając ją z tych rozterek.

– Powinniśmy porozmawiać o twoich relacjach z ojcem. Będzie cię potrzebował w najbliższych dniach. Nie chodzi jedynie o to, co go spotkało, cała ta sytuacja jest dla niego trudna: śmierć siostry, zmiana kancelarii, nowy dom... prawdę mówiąc, nie ułatwiasz mu życia.

Javier wytrzymał spojrzenie Loli. Jego twarz była pozbawiona wyrazu – nie chciał, by matka zobaczyła na niej cokolwiek poza oziębłością.

– A ty to co? Ty ułatwiasz mu życie?

Lola oniemiała ze zdumienia, otworzyła i zamknęła usta, zmieniła ułożenie skrzyżowanych pod stołem nóg i udała, że skupia uwagę na stojącym na blacie wazoniku z fiołkami. Były uschnięte, podobnie jak kwiaty na innych stolikach, nikt ich nie podlewał ani nie zmieniał im wody. Na jej powierzchni unosiły się niebieskie i białe płatki. Wkrótce fiołki wylądują w koszu na śmieci.

– Mamy z twoim ojcem wspólne życie. Czasami łatwo jest iść tą drogą naprzód, a kiedy indziej czujesz, że stoisz w miejscu. Ale rozwiązujemy nasze problemy, bo się kochamy.

– Przemilczenia, udawanie. To właśnie widzę w domu. Na tym polega miłość? Na okłamywaniu się? Tak podtrzymuje się uczucie?

Twarz Loli zamieniła się w ciężką maskę, jakby pokrywała ją warstwa kremu ujędrniającego, który nakładała co wieczór. Jej syn nie wiedział, o czym mówi. Ignorancja zawsze jest zuchwała, a on wierzył w arogancję słów. Przeceniał ich wartość, nieświadomy, że czasem są jak odłamki szkła i nie można nikogo popychać, żeby szedł po nich bosą.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić.

W odpowiedzi Javier tylko pogrzebał widelcem w spaghetti i wypił kilka łyków niegazowanej wody. Matka natarczywie mu się przyglądała. Ledwie spróbowała swoich tortellini, za to była już po dwóch kieliszkach białego wina.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – nalegała, czekając na przeprosiny.

Javier pomyślał, że jest jak worek treningowy, który wisi na łańcuchu w garażu i bez skarg przyjmuje frustrację innych w postaci kopniaków i ciosów pięścią, jedynie lekko się kołysząc. Widział, jak ojciec wali w niego z wściekłością po pracy czy ostrej dyskusji z matką. Kiedy kończył, zielona powierzchnia worka na powrót stawała się gładka, znikaly ślady pięści, jak gdyby nic się nie stało. Ojciec szedł pod prysznic, ubierał się jak zawsze starannie i siadał przy stole z powagą luterańskiego pastora. Tak wyglądało życie jego rodziny. Dorastał wśród nieznamy, którzy silili się, by zachowywać pozory, że mają wszystko pod kontrolą, ale nie byli w stanie uniknąć gestów, które ich zdradzały. Czuł mdłości na myśl, że pozwolił, by schwytali go w pułapkę, że stał się jednym z nich – z tymi ich sekretami, kłamstwami i krępującym milczeniem.

Odchylił się na krześle i powoli pokręcił głową. Pomyślał, co działałoby się w domu, gdyby opowiedział, co zrobił, albo jeszcze gorzej – kim jest. Ojciec wbiłby pięty w podłogę, skrzypiąc butami, wpatrywałby się w niego uważnie przez kilka minut i prawdopodobnie wypowiedziałby jakieś straszliwe zdanie. Zrobiłby to jednak w tak cywilizowany sposób, że ledwo dałoby się wyczuć okrucieństwo zawarte w jego nieodwołalnym wyroku. Z kolei matka zareagowałaby osłupieniem, wodziłaby rozpaczliwie oczami z jednej strony na drugą, może by się rozplakała, ale szybko doszłaby do siebie, wzięłaby go

w ramiona, pocałowałyby we włosy i obsypałyby pieśczołliwymi określeniami, których tak lubiła nadal używać, bo przerażało ją, że jej chłopczyk ma już włosy łonowe, i przez kilka dni przynosiłaby mu śniadanie do łóżka. Wieczorami Javier musiałby zatykać Patricii uszy, żeby nie słyszała straszliwych rzeczy, które mówiliby do siebie rodzice, tych odwiecznych wymówek, tego, jak uchylaliby się od odpowiedzialności, zrzucając ją z nienawiścią jedno na drugie. I po co to wszystko? Żeby otrzymać rozgrzeszenie, które nie było już możliwe i którego może nawet nie chciał? Kim oni są, żeby go osądzać?

– Masz rację, mamó. Przepraszam, nie powinienem był tak do ciebie mówić. Wszystko naprawię, będę miły dla taty.

Lola popatrzyła nieufnie na syna.

– Obiecujesz?

Javier obserwował szare gołębie walczące pod stołem o okruchy chleba. Dziobały się zaciekle, biły skrzydłami, zostawiając w powietrzu chmurę zgubionych piór. Spojrzał na matkę z anielskim uśmiechem. Najlepszym, na jaki potrafił się zdobyć. W tej rodzinie wszyscy składali obietnice, których później nie dotrzymywali. Jaką różnicę zrobi jeszcze jedna?

– Oczywiście. Obiecuję.

Jego komórka wydała dźwięk informujący, że dostał wiadomość.

„Spotkamy się dziś wieczorem tam gdzie zawsze? Potrzebuję twojej pomocy”.

Javier zamyślił się na chwilę. Wystukał szybką odpowiedź.

„Nie chcę cię więcej widzieć. Myślałem, że ostatnim razem dałem ci to jasno do zrozumienia”.

Zatrzymał palec, zanim wcisnął „wyślij”. Zastanowił się chwilę, po czym pełen sprzecznych uczuć – mieszanki pragnienia i porażki – napisał inną odpowiedź.

„Mam nadzieję, że tym razem mnie nie wystawisz”.

Wysłał wiadomość, zanim zdążył tego pożałować, i wykasował ją z pamięci telefonu.

Matka przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Dziewczyna?

Javier zacisnął pięści pod blatem. Po co ludziom oczy? Równie dobrze mogliby mieć dwie zaślepki pustych dziur.

– Coś w tym rodzaju. Pożyczyłabyś mi trochę pieniędzy?

Lola otworzyła portfel i podała mu trzy złożone banknoty.

– Nie sądzę, byśmy musieli wspominać o tym twojemu ojcu.

Javier obejrzał nowe banknoty, zanim je schował.

– Masz na myśli pieniądze, naszą rozmowę czy to, co wydarzyło się w biurze?

Lola wytrzymała ironiczne spojrzenie syna. Może Gonzalo nie jest jego prawdziwym ojcem, ale bez wątplenia mają identyczne charaktery.

Jadąc z góry szosą, z daleka można było dostrzec ogromną dziurę, wyłupaną przez maszyny w skale przy zbiorniku wodnym, oraz ciężarówki, które poruszały się w tę i z powrotem, wypełniając powietrze gęstym wapiennym pyłem. Gonzalo wysiadł z samochodu i zszedł kamienistym zboczem, trzymając w dłoni plan, który dostał od Agustína Gonzáleza. Zdziwiło go, że matka tak nagle zmieniła zdanie. Kiedy pojechał do niej, żeby przedstawić jej propozycję teścia, był przygotowany na długą, bezowocną dyskusję, ale ku jego zaskoczeniu nie zgłosiła sprzeciwu, wydawało mu się wręcz, że chce jak najszybciej zamknąć całą sprawę. Miał wrażenie, że spodziewała się, co chce jej powiedzieć, i że już wcześniej podjęła decyzję.

Drewniany mostek nad strumykiem przetrwał aż do teraz. Gonzalo zastanawiał się, czy stare deski utrzymają jego ciężar. Wolał tego nie sprawdzać. Byłoby mu przykro, gdyby się okazało, że dorośli ważą więcej niż dzieci z powodów, które nie mają nic wspólnego z budową ciała. Może na drewnianej poręczy zachowały się wyryte imiona jego i Laury? Pomyślał, że chciałby, żeby tak było – żeby niektóre rzeczy pozostały nienaruszone mimo zaniedbania. Dom stał wciśnięty między chropowatą skałę i przepaść, prowadziły do niego tylko dwie strome ścieżki. Zawahał się, jakby chciał go minąć i wrócić do samochodu, ale w ostatniej chwili wyjął z kieszeni klucze i otworzył kłódkę na furtce.

Po dawnej wyłożonej kamieniami ścieżce prowadzącej do głównego wejścia niemal nie było śladu, a klomby, o które tak troskliwie dbała jego matka, oswobodziły się ze sztywnych ram francuskiego stylu, dzikie i rozszalałe. Pnące róże urosły na wolności bez pomocy podpór. Nieubłagane zaatakowane przez mszyce, zwiędły i zamiast rozweselać ogród, upodabniały go do opuszczonego cmentarza. Fasada niebezpiecznie popękała, mimo to nadal wznosiła się dumnie, obojętna na otaczającą ją rdzę. Ten dom od zawsze

skazany był na zapomnienie.

Wnętrze było w ruinie. W salonie ktoś wyważył siłą drzwi, zostawiając w zawiasach tylko drzazgi. Meble zostały zdewastowane, poza stojącą w kącie komodą, która jakimś cudem przetrwała w nienaruszonym stanie, chroniona gęstymi pajęczynami. Po kupce wyschniętych kwiatów przechadzała się polna mysz, obgryzając kawałki łądy. Obserwowała Gonzalo szklanymi oczkami, zastanawiając się, co on tu robi. Na cementowym parapecie stało stare radio z pękniętą obudową. Gonzalo wcisnął guzik. W pustym pokoju rozległ się dźwięk przypominający stare piosenki, które czasami nucili obydwój, wyglądając przez okno, kiedy matka czuła się lepiej. „I szukałem pośród twoich pozółkłych listów jakiegoś kocham cię, moja najdroższa...” Piosenki z innej epoki. Otworzył szufladę i zobaczył znikającą w głębi komody jaszczurkę. Pośród wystrzępionych szmat, które niegdyś były płóciennymi obrusami, znalazł stary szkolny zeszyt w zielonej okładce z tabliczką mnożenia na odwrocie. Strzepnął kurz i wytarł go. Pięć razy jeden równa się pięć, pięć razy dwa – dziesięć, pięć razy trzy – piętnaście... Uśmiechnął się na wspomnienie wyliczanki, którą recytowali jednym głosem na lekcji, podczas gdy nauczyciel, z linijką w ręce, kierował nimi niczym dyrygent chórem. Na wspomnienie podwójnych ławek z otworem na kałamarz w blacie, mapy z rzekami Hiszpanii, alfabetu zapisanego gotyckim pismem na ścianie. Nudnych popołudni i całych lat, kiedy patrzył, jak pada za oknem, słuchał księży opowiadających o świętym Pawle, scholastykach czy teoriach Kopernika, i marzył o tym, by latem wrócić nad jezioro, pobiec nad nie z Laurą, żeby wykąpać się w jego mętnej wodzie. Na wspomnienie o tym, że stawali się sobie coraz bardziej obcy, kiedy każdego czerwca zjawiał się w domu ze starą walizką. Wciąż się czerwienił na wspomnienie wrażenia, jakie zrobiło na nim odkrycie, że jego siostra ma piersi: białe, jędrne, z różowymi sutkami. I jej zawstydzonych oczu, kiedy poczuła, że na nią patrzy. Po tym pierwszym spojrzeniu już nigdy więcej nie kąpała się z nim nago. Na tym polegało dorastanie – na chowaniu się przed innymi.

Wyszedł na dwór i okrążył dom. Słońce kryło się za horyzontem. Na bokach ścieżki piętrzyły się przegniłe liście. W wąwozie zachowała się część szopy. Kiedy zajrzał do niej przez niedomykające się drzwi, poczuł, jak wiatr przynosi wspomnienie ojca naprawiającego stare renault, pochylającego się nad otwartą maską z podwiniętymi rękawami, ze szmatką i patyczkiem w dłoni, sprawdzającego wał, świece czy co tam naprawiał. Gonzalo stał za

nim, niczym karzeł czekający na polecenie, by podać mu klucz czy młotek, który ledwo mógł udźwignąć.

Pchnął drzwi, ustąpiły bez oporu, jakby czekały na jego powrót. Dach przeciekał, wewnątrz szopy pachniało niewietrzonym pomieszczeniem. Powitał go niemożliwy do uporządkowania bałagan. Przesuwał dłonią po ścianach, jak gdyby za pomocą dotyku był w stanie wskrzesić wspomnienia – myślał o wielogodzinnych pogawędkach z ojcem, prowadzonych po cichu, żeby nie obudzić matki w porze sjesty, o zapachu tanich cygar, które palił, o wieczorach, kiedy ojciec siadał na krześle i z uczuciem uderzał w klawisze starej maszyny do pisania marki Densmore. Pamięć jest zastanawiająca: zapominamy o najważniejszych wydarzeniach, a zachowujemy szczegóły bez znaczenia. Gonzalo pamiętał doskonale tamtą maszynę, tę samą, która pojawiała się w jego śnie – działała bez zarzutu, mimo że był to model z 1896 roku, czarno-złoty z okrągłymi klawiszami z masy perłowej, na których starła się część liter. Wałek też funkcjonował, kiedy dochodził do końca, wydawał dźwięk przypominający dzwonek rowerowy. Ułożone w formie wachlarza dźwignie, które wybijały litery, nie pozwalały na zmianę wielkości ani typu czcionki. Trzeba było mieć silne palce i mocno uderzać, żeby zapełnić kartkę. Powoli, jedna po drugiej, litery tworzyły słowa, a słowa – zdania. Gonzalo zastanawiał się, gdzie trafiały te słowa, jakie było ich przeznaczenie. O czym opowiadały.

– Kim chcesz być, kiedy dorośniesz, Gonzalo? – zapytał go kiedyś ojciec.

– Nie chcę dorosnąć. Chcę być zawsze twoim synem. – Jakby to wymagało pozostania pięciolatkiem.

Wyszedł z szopy i obszedł ją dookoła. Na dolinę wychodził mały taras zarośnięty chaszczami. Z chwastów wystawał grób bez krzyża i płyty, kopczyk ubitej ziemi, porośnięty makami, pośród których bzyczały osy. Gonzalo zgodził się go wykopać na prośbę matki i pochował w nim szary garnitur ojca zamiast ciała, którego nigdy nie znaleziono. Był to garnitur, który Elías miał na sobie w dniu ślubu. Matka latami troskliwie go przechowywała, długo myślała, że jej mąż wróci, że znów założy garnitur i że wszystko będzie jak za dawnych czasów. Czasów, które należały tylko do nich dwojga, nie do świata, dzieci, legend. Jedynie do ich intymności. A teraz nagle była gotowa oddać tę nadzieję zębom koparki. Dlaczego?

Przy grobie rosło drzewo figowe. Gonzalo przywiązał kiedyś liną do jednej z gałęzi starą oponę. Pamiętał, jak się huśtał, obserwując dolinę. Miał wtedy

szesnaście lat, wrócił z internatu na wakacje, niedługo przed tym, zanim wyrzucili go ze szkoły. Ksiądz prowadzący lekcje religii opowiadał im o Judaszu Iskariocie i jego tragicznym końcu. Gonzala nie obchodził dramat zdrajcy, interesowało go jedynie to, czy powiesił się na oliwce, czy na figowcu, jakie drzewo wybrał, by dać wyraz swojemu tchórzostwu. Samobójstwo jest dobre dla tchórzy, pomyślał tamtego lata, kiedy był nastolatkiem. Teraz już nie był tego taki pewny. Miłość udowadnia bezsensowność stereotypów.

Widoczne w oddali, upstrzone chmurami niebo wyglądało tak jak zawsze. Gonzalo usiadł, opierając się plecami o pień, i obserwował krajobraz, który należał do nich dwojga, do niego i do jego siostry. Dziwnie było tu siedzieć jak dawniej, choć minęło tyle lat. Gonzalo zawsze milczał, a Laura bez przerwy mówiła, o byle czym. Musiała myśleć, że jej brat jest niedorozwinięty, ale nie kochała go przez to mniej, martwiło ją jednak jego milczenie, pogrążanie się we własnym świecie. Zwłaszcza kiedy wracał z internatu, Laura szpiegowała go, jakby się bała, że wybuchnie to, co w sobie nosi.

Kiedy byli mali, zimą często padał śnieg. Laura wyskakiwała przez okno w sypialni i nurkowała w górach gąbczastej bieli, on zaś wołał ją ugniatać, lepiąc rozmaite zwierzęta i figury. Wstawał wcześniej rano i wycinał dziwne, ulotne kształty ze stwardniałego przez noc śniegu. Już wtedy bardzo się od siebie różnili, łącząca ich miłość nie wystarczała, by zatuszować tę odmienność. Gonzalo był cierpliwy i oddany, Laura zaś niszczyła jego śniegowe twory wyłącznie po to, by zobaczyć, jak czerwienieje ze złości. Uśmiechnął się na myśl o tych drobnych okrucieństwach. Laura nigdy nie potrafiła usiedzieć spokojnie, uważała, że on jest zbyt poważny, że za bardzo przejmuje się życiem innych, nie troszcząc się o swoje własne. Miała rację, Gonzalo zawsze postępował za rozważnie jak na swój wiek, już wtedy, gdy był małym mównym malcem z dużymi uszami, który łajał siostrę, kiedy spotykała się ze starszymi chłopcami z miasteczka.

Tęsknił za nią, nie za kobietą, którą się stała, ale za swoją starszą siostrą, która brała go za rękę i zabierała nad jezioro, kiedy był zaledwie pięcioletnim smarkaczem, strachliwym jak wróbelek. Zniszczyło ich to oddalenie. Kiedy odwiedzał matkę w ośrodku, często siadał naprzeciw niej i pytał, skąd ta uraza, dlaczego się nie pogodzą. W odpowiedzi spoglądała na niego i nie widział w tym spojrzeniu żalu ani poczucia winy. Jedynie głęboką nienawiść.

Teraz było już za późno, nie miało sensu wyrównywać rachunków z kimś, kto nie może ich spłacić. Mimo to Esperanza uparcie trwała w oschłej nienawiści do Laury. Wszystko przez ten jej przekłety artykuł o ojcu.

Lepiej by było, gdyby go nie napisała. Słowa to tylko myśli, które nigdy nie przenikają do rzeczywistości, ale jego siostra tego nie rozumiała; gromadziła je, zapisywała, szukała ich znaczenia, zapamiętywała je, dawała się ponieść sile wyrażenia, ale nie zdawała sobie sprawy, że często słowa są tak banalne, że umierają. Były zbyt napuszone, zbyt wiele od nich oczekiwała, zaślepiona ich dźwiękiem, nie rozumiała głuchej ciszy, jaka po nich zostaje. Ważne rzeczy nie muszą zostać wypowiedziane, żeby były prawdziwe, milczenie jest nieraz jedyną możliwą prawdą. Czy mogliby zapomnieć o tych zapisanych słowach, o tych kalumniach pod adresem Elíasa? Wymazać je z pamięci, spalić? Ale jak pali się to, co płonie w twoim wnętrzu? Co zrobić z prochami, które uparcie rozrzucasz, a mimo to wiatr raz po raz przynosi je pod drzwi twojego domu?

– Nie powinienem był tu wracać – szepnął Gonzalo. Może jego teść miał rację i najlepiej było pozwolić, żeby maszyny zrównały wszystko z ziemią. Wspomnienia zawsze przegrywają w konfrontacji z nagą rzeczywistością. Nie było sensu upierać się przy powracaniu do miejsc z przeszłości, które nadal istniały. Efekt przynosił rozczarowanie. To, co odeszło, nie wraca. Chciałby wierzyć, że wystarczy pootwierać drzwi i zatkać dziury w dachu, żeby wszystko było jak dawniej. Wyremontować dom, znów w nim zamieszkać, jak pragnął zrobić przed kilkoma laty, zanim uległ stylowi życia narzuconemu mu przez Lolę i teścia. Ale jak odbudować obraz ich wszystkich: jego ojca, jego matki, jego siostry i jego samego? Gdzie go wpasować? Mimo to Gonzalo pozostanie na zawsze przywiązany do tego miejsca. Jak łańcuchowy pies z bajki o wychudzonym wilku, której kazali mu się uczyć w dzieciństwie. Ezop miał rację: możemy wydłużać łańcuch, ale nadejdzie moment, kiedy poczujemy, jak szarpie nas za szyję.

Zamknął oczy, jak wtedy, kiedy Laura kazała mu się bawić w chowanego. Ukrywała się wystarczająco blisko, żeby mógł ją znaleźć, bo bał się samotności. Gdzie jestem? Daleko, Lauro, pomyślał. Bardzo daleko. Nic nie jest do końca prawdziwe i nic nie jest do końca fałszywe. Wśród pozorów istnieje oczywistość, a w niej kolejna. Gonzalo zastanawiał się, którą częścią rzeczywistości była jego siostra, którą on sam, a którą ten dom i jego przeszłość. Razem stanowili całość, podzieleni na błakające się części byli jedynie utraconymi marzeniami.

Wrócił bez pośpiechu na drogę. Zanim wsiadł do samochodu, rzucił ostatnie spojrzenie na podwórko przed swoim dawnym domem. Z tego miejsca nie mógł zobaczyć grobu za szopą ani tego, co kryło się w jej ruinach. Chmura pyłu z placu budowy nad jeziorem unosiła się nad doliną niczym dym po wybuchu wulkanu.

6.

MOSKWA, POCZĄTEK LUTEGO 1933 ROKU

Turbina śmigła powodowała ogłuszający hałas. Mężczyźni idący po obu stronach samolotu pchali skrzydła, podczas gdy pilot skręcał o sto osiemdziesiąt stopni na pokrytym lodem placu. Wokół maszyny wirował śnieg. SPAD XIIC1 produkcji francuskiej z 1918 roku, wydedukował Elías. Poznał to po odgłosie silnika. Przystarzały model, mało wydajny w porównaniu z angielskimi camelami czy niemieckimi fokkerami, za to bez wątpienia piękny. Kiedyś widział jeden z tych dwupłatów lecący nisko na szarym niebie w Mieres. Po wielkiej wojnie w Europie służba pocztowa towarzystwa górniczego kupiła kilka takich samolotów; raz w miesiącu maszyna pojawiała się między wieżami szybów, wylądowana workami i paczkami, po czym lądowała na małym aerodromie na tyłach zespołu kopalni.

Jego ojciec i inni górnicy przerywali na kilka minut pracę, żeby pomachać czapkami lecącemu nisko pilotowi, a ten odpowiadał im kołysaniem skrzydeł. Dzieci biegły za ogonem, kiedy samolot dotykał ziemi, podniecone, jak gdyby nad czarnymi od sadzy dachami ich chałup przelatował prawdziwy smok. Górnicy podziwiali pilota nie tylko dlatego, że przywoził im ich marne wypłaty, ale też dlatego, bo zazdrościli mu, że może oderwać się od ziemi. Elías nigdy nie miał okazji z nim porozmawiać. Marzył, by zostać jednym z tych eksploratorów chmur, by móc zobaczyć świat z góry, przesywać z dużą prędkością słupy węglowego dymu, słyszeć z oddali buczenie wiertel rozrywających góry. Dlatego postanowił studiować inżynierię. Nie żeby budować mosty, co w końcu przyszło mu robić, ale by pruć powietrze.

– Rusz się!

Uderzenie kolbą karabinu sprawiło, że ruszył chwiejnym krokiem w stronę ciężarówki. Wspiął się na pakę bez plandeki i usiadł na wolnym miejscu. Odwrócił głowę w stronę placu. SPAD niepewnie wzniósł się w górę niczym

piszkę pierwszy raz wyrzucone z gniazda. W końcu jednak odzyskał równowagę i zniknął z zasięgu potężnych reflektorów aerodromu. Marzenia i dzieciństwo wydały się Elíasowi równie odległe jak ten samolot niknący pośród moskiewskiej nocy.

– Dokąd nas zabierają? – zapytała nerwowo kobieta, którą posadzili obok Elíasa. Chłopak spojrział na nią kątem oka i przesunął się, żeby zrobić jej miejsce na ławce. Chociaż przyczepa ciężarówki była już pełna ludzi, strażnicy zapędzali na nią kolejnych mężczyzn, kobiety, a nawet dzieci. Towarzyszka podróży tak mocno ścisnęła swoje delikatne palce, że aż bieląły jej kłykcie. Wyglądała na nauczycielkę z podstawówki, pewnie była surowa wobec nieposłusznych uczniów i łagodna dla najpilniejszych. Teraz jej cała pewność siebie gdzieś wyparowała.

Pytanie, z jakiego powodu znalazła się tu razem z tymi wszystkimi ludźmi, nie miało sensu. Większość pasażerów wojskowej ciężarówki łączyło niepewne spojrzenie wyrażające zdumienie połączone z niedowierzaniem. Nikt Elíasowi niczego nie wyjaśnił. Po tym, jak podpisał zeznania, powiedzieli, że za „kontrewolucyjną i antybolszewicką działalność” odstawia go do granicy.

Co się stało z Michaelem i jego nieodłącznym przyjacielem Martinem? A z Claude'em? Choć mogło się to wydawać dziwne, nie żywił do nich urazy. Odczuwał jedynie głęboki smutek; w końcu sam podpisał stek kłamstw w zamian za szklankę wody. Jednak on nie będzie musiał dźwigać ciężaru zdrady ani oczerniania nikogo poza samym sobą. Tamci byli bici, może całymi dniami, zmuszono ich, by na niego donieśli, będą taszczyć to brzemie przez resztę życia. Jak zdołają jeszcze kiedykolwiek uwierzyć w jakąkolwiek sprawę? Chciałby móc ostatni raz ich zobaczyć, spojrzeć im w oczy, pożegnać się z nimi uściskiem, może nie ciepłym ani uzdrowicielskim, ale wystarczającym, by każdy z nich mógł dalej normalnie żyć.

Wiadomość, że zostanie deportowany z kraju, niemal go ucieszyła. Zdał sobie jednak sprawę, że coś się nie zgadza, kiedy zobaczył zasmucone twarze swoich towarzyszy niedoli i zwrócił uwagę na sposób, w jaki matki przytulają dzieci, żeby chronić je przed ostrym zimnem, które odczuwało się na odsłoniętej przyczepie ciężarówki. Samochód ruszył z gwałtownym szarpnięciem, które zatrzęsło wszystkimi pasażerami; na pełnym gazie wjechał na drogę biegnącą wzdłuż rzeki Moskwy i zniknął w mroku.

– Zabierają nas na przyjemną przejażdżkę w świetle księżyca. Uprzejmość

OGPU – oznajmił sarkastycznie jakiś starzec.

Igor Stern nie czuł strachu. Uodpornił się w wieku dziewięciu lat, kiedy w Sewastopolu oddział Kozaków obdarł ze skóry jego ojca. Przez wiele godzin słyszał, jak krzyczy, jego skóra odrywała się od mięśni i zwisała z łydek niczym strzępy starej koszuli. Jeden z Kozaków skropił go benzyną i zmusił Igora, żeby ją podpalił. Zrobił to bez wahania i przez kilka minut przyglądał się zahipnotyzowany, jak ludzka pochodnia, w którą zamienił się jego ojciec, tarza się w śniegu, rozświetlając noc.

Po tym wydarzeniu jego życie stało się znacznie prostsze.

To, że mieli go teraz rozstrzelać, nie było niczym nadzwyczajnym. Sam Stalin powiedział: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Takie są fundamenty narodu rosyjskiego”. Igor przeżył swoje dwadzieścia lat tak, jak żyją wilki: wolny, dziki, biorąc siłą to, czego odmawiał mu los. Zabijanie, umieranie, przyjemność, cierpienie, miłość, nienawiść – tego można było oczekiwać od życia. Nie jest tchórzem, nie zamierza błagać o litość jak ci, których rozstrzelano przed nim pod murem więzienia. Niektórzy zesrali się w gacie, ich gówno zostawiło ślady na zdeptanym śniegu. Gdyby nie miał związanych rąk, sam przebiłby ich bagnetem. Nienawidził słabych ludzi. Skazanie na śmierć. Czyż nie taki los jest pisany wszystkim żywym?

Czekając na swoją kolej (rozstrzeliwano ich parami), nucił piosenkę spopularyzowaną przez wielką Orłową, muzykę kina i tańca. Jeżeli już miałyby się na coś uskarżać, to na to, że nie dane mu było korzystać z tego rodzaju przyjemności. Chociaż, podobnie jak Lenin, przyznawał bez wstydu, że nie zna się na sztuce, przedstawienia teatralne i koncerty budziły w nim jakieś szczególne uczucie. Niczym dzikie zwierzę odgadywał, że w uczuciach rodzących się w głębi ludzkiej duszy kryje się niemożliwa do opanowania siła. Czasami żartował ze swojego losu, zastanawiając się, czy zostałby wodzem, jak Stalin, gdyby zamiast trafić do bandy najemników, wpadł w ręce popów. Co by się stało, gdyby miał szansę rozwinąć piękny głos, który ponoć posiadał? Mógłby śpiewać w moskiewskiej operze Teatru Bolszoi? Mógłby zostać kochankiem Orłowej? Mógłby. Ale najłatwiej było przyjąć, że jego śpiew brzmi lepiej w samotności nocy – jak wycie wilka do księżyca oświetlającego mur obryzganym kawałkami mózgu. Kiedy nadeszła jego kolej, sam ruszył na miejsce egzekucji. Nikt nie musiał go do tego zachęcać czubkiem

bagnetu, w przeciwieństwie do jego towarzysza spod ściany, tego płaksy Gruzina. Też płakał, kiedy gwałcił i zabijał dziewczynki i kobiety? Na pewno nie. Wtedy prawdopodobnie był okrutny jak wściekły pies.

– Zachowuj się, cioto, albo sam przegryzę ci gardło, zanim te patałachy wpakują ci kulkę w serce – warknął ze złością.

Ile osób zabił Igor? Z jakich powodów? Nie miało to teraz znaczenia. Kradzieże, gwałty, zabójstwa. Setki bójek, o których świadczyły blizny pokrywające jego całe ciało, lata w poprawczakach i więzieniach, które pozostawiły mu skórę usianą tatuażami: jeden na każdy rok odsiadki. Nie mógł liczyć na długie życie, ale lata, które przeżył, dostarczyły mu dużo satysfakcji. Niech się pierdola miłosierdzie i litość, Bóg i aniołowie. W życiu liczy się tylko chwila. A jego dobiegała właśnie końca. Dlaczego wreszcie nie strzelą? Miał już dość jęków tego pierdolonego Gruzina. Było zimno, zaraz znowu zacznie padać śnieg. Dowódca plutonu nie rozkazał żołnierzom wycelować broni. Sześć karabinów przeciwko dwóm sercom; łatwo skierować ogień w jedno miejsce, wystarczy, że będą pewnie trzymać broń i nie zamkną oczu podczas oddawania strzałów. Igor patrzył na nich z nienawiścią. Dzieci, pomysłał, rekruci, którzy umierają ze strachu.

– Marznie mi dupa, towarzyszu!

Dowódca plutonu, doświadczony sierżant, obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, po czym skupił całą uwagę na kartce, którą pokazywał mu mężczyzna w czarnej pelerynie. Igor wyczuł, że dzieje się coś niedobrego. Znał tych z GUŁagu, policji odpowiadającej za zsyłki. Należało uważać na tych skurwysynów. Mogli obedrzyć ze skóry nawet takiego starego wyjadacza jak on, zmuszając go, by krzyczał z bólu. Po kilku minutach dyskusji sierżant kazał strzelcom spocząć. Do Igora podszedł czeczeński strażnik – tak blisko, że niemal dotknął jego twarzy.

– Masz szczęście, żydowska świnió. Ale obawiam się, że nie będą go mieli nieszczęśnicy, którzy staną na twojej drodze.

Igor wyszczerzył zepsute zęby.

– Gdybym mógł, wyrwałbym ci język, wiesz o tym, prawda?

Sierżant wybuchnął donośnym śmiechem. Bez ceregieli z całej siły walnął Igora głową w czoło, rozcinając mu brew.

– Zabierzcie stąd tę hołotę! Załadujcie ich na ciężarówki, szybko!

Po trzech godzinach jazdy, niedługo przed świtem, ciężarówka zatrzymała się niespodziewanie pośrodku pustkowia, spowita gęstą mgłą rozchodzącą się znad brzegu rzeki. Po obu stronach ciągnęły się rozległe brzoźowe lasy. Elías pomyślał, że chcą ich tu rozstrzelać. Podobnie musieli sądzić inni – zaczęli się niespokojnie kręcić i szeptać między sobą. Kiedy otworzyła się kłapa i strażnicy kazali im wysiąść, szepty przeszły w krzyki i ataki hysterii. W jednej chwili zapanowało straszliwe zamieszanie. Strażnicy siłą zmuszali ludzi, by schodzili z ciężarówki, ci zaś odmawiali i czepiali się jedni drugich, lamentując wniebogłosy. Elíasowi przyszło nagle do głowy, że to absurdalne.

– Może tylko wyrzucili nas z miasta – szepnął jeden z pasażerów. Była to mało przekonująca, wymyślona na poczekaniu teoria, dawała im jednak nadzieję. Nawet najbardziej krucha nadzieja staje się uzasadniona, kiedy nie ma nic innego, czego można by się uchwycić. Kazali im stanąć gęsiego. Na miejscu czekały już inne ciężarówki, a na skraju lasu migotały reflektory kolejnych. Elías ze zdumieniem odkrył, że w tej samej sytuacji co on są setki osób. Musiało chodzić o operację zakrojoną na szeroką skalę. Kolumna stopniowo się wydłużała, aż osiągnęła kilkaset metrów. Na znak ruszyli niczym zdyscyplinowana armia, eskortowani przez uzbrojonych strażników. Wkrótce ich oczom ukazały się tory kolejowe i światła pozycyjne wagonu towarowego. A potem kolejnego i jeszcze jednego. W sumie było ich dwanaście. Lokomotywa buchała parą niczym niecierpliwy koń czystej krwi. Paradoksalnie wiele osób odetchnęło z ulgą – ten złowrogi pociąg, niezależnie od tego, dokąd miał ich zawieźć, oznaczał, że podróż nie dobiegła końca. Dopiero się zaczynała.

– Na wschód – szepnął młody chłopak idący obok Elíasa. Miał rękę na temblaku i twarz zdeformowaną od niedawnych ciosów.

– Co masz na myśli?

Chłopak wskazał koryto rzeki, a następnie biegnące równoległe tory i przód lokomotywy. Nazywał się Anatolij i był geografem. Pochodził z Leningradu. W jego oczach malowała się rezygnacja.

– Syberia, może Kazachstan. W każdym razie jedziemy na step. – Spod spuchniętej powieki spojrzął taksująco na gruby płaszcz Elíasa. – Lepiej dbaj o tę kapotę. Uwierz mi, będzie ci potrzebna.

Horyzont stopniowo przybierał stalowoszary kolor, kontrastujący z długim konwojem drewnianych wagonów. Strażnicy próbowali kierować tłum do pociągu, ogarnięci nagłym pośpiechem, jakby musieli skończyć przed świtem.

Noc wypełniały różne dźwięki: skargi, przeprosiny, błagania, obelgi i groźby. Głosy te były jednak jeden po drugim uciszane i wpychane siłą do ciemnych wnętrz.

W wagonach panował zaduch. Podłoga była wyłożona zgniłą słomą. Dziesiątki osób tłoczyły się przy wąskich szparach w deskach, zazdrośnie strzegąc otworów, przez które mogły oddychać wpadającym z zewnątrz mroźnym powietrzem. Popychany przez tych, którzy wchodzili za nim, Elías wylądował w głębi wagonu. Zastanawiał się, ile jeszcze osób tu wcisną; nie było już miejsca, żeby się ruszyć, czuł oddechy otaczających go ludzi. Postarał się ulokować tak, by móc choć trochę manewrować rękami. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego – choć panował coraz większy ścisk, osoby stojące w głębi nie chciały przesunąć się do przodu i jedna trzecia wagonu była wolna.

– Ruszcie się, w przeciwnym razie się udusimy! – krzyknął swoim słabym rosyjskim.

Nikt go nie posłuchał. Przepchnął się łokciami do ludzkiego muru, żeby sprawdzić, o co chodzi. Otaczający go ludzie wystraszeni odwracali głowy albo wbijali wzrok w podłogę, niektórzy woleli wręcz cofnąć się w tłum.

– Co się dzieje? Dlaczego nie zajmiecie reszty wagonu?

Pod drewnianymi ścianami rozłożyło się wygodnie kilku mężczyzn, niektórzy z nich nawet palili papierosy. Jeden leżał jak długi z workiem pod głową.

– Nie zadzieraj z nimi. To więźniowie kryminalni, mordercy, gwałciciele, źli ludzie – ostrzegła Elíasa jakaś staruszka na widok jego oburzonej miny.

Jeden z mężczyzn miał wytatuowaną twarz, poprzecinaną licznymi bliznami. Siedział w kucki i bawił się zaostrozonym kawałkiem drewna, który wyrwał ze ściany i zastrugał zardzewiałym gwoździem. Elías dostrzegł w jego oczach wesołość, jakby bawił go strach pozostałych.

– Powinniście się trochę ścisnąć – powiedział stanowczo. – Musimy dzielić wagon.

Igor Stern zmierzył Elíasa przeszywającym wzrokiem. Grymas na jego twarzy świadczył o olbrzymiej władzy i braku skrupułów.

– Tutaj prawa się zdobywa, a nie dostaje w prezencie. Chcesz więcej przestrzeni? Chodź o nią zawalczyć – wyzwał go pośród śmiechów innych więźniów.

Elías był silny, prawdopodobnie silniejszy niż ten facet o groźnym

wyglądzie. Ale wiedział, że w świecie, do którego trafił, sama brutalna siła nie zapewnia przewagi. Duma podpowiadała mu, że powinien przekroczyć niewidzialną linię wytyczoną na zgniłej słomie, że kiedy wejdzie do królestwa wymyślonego przez tę grupkę więźniów, pozostali pójdą w jego ślady. Było ich więcej, jakie szanse miało kilku zbirów w starciu ze zdesperowaną masą? Mimo to nie ruszył się z miejsca, przeczuwając, że reszta wcale nie stanie po jego stronie. Tu liczyła się siła strachu. Ten, kto zdołał go wzbudzić, miał władzę. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Kilka osób obdarzonych szczególnym okrucieństwem panowało nad uległą masą.

Igor przyglądał się spod przymkniętych powiek chłopakowi, który ledwo mówił po rosyjsku. Umiał trafnie oceniać ludzi, zdołał przeżyć dzięki temu, że rozpoznawał, z kim ma do czynienia, i nie lekceważył swoich przeciwników. Inni, wielu innych popełniło ten fatalny błąd, także w zetknięciu z nim. Oni byli martwi, a on nadal żył. Postanowił poddać próbie determinację chłopaka.

– Podoba mi się twój płaszcz.

Elías poczuł paraliżujący strach, który wzrósł, kiedy zobaczył, że otaczający go ludzie kurczą się w sobie i przywierają jedni do drugich jak owce przeczuwające atak wilków. Odwracali twarze w absurdalnym przekonaniu, że jeśli oni nie dostrzegą niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwo nie dostrzeże ich. Ten, kto zostawał sam, poza zbitą masą, był kozłem ofiarnym. Elías poczuł, że wokół niego robi się pusto.

– Przyjdź po niego – powiedział nieświadomy własnych słów, za którymi wcale nie stała determinacja. Wypłynęły z jego wnętrza, z czasów spędzonego w kopalni dzieciństwa. Kiedy brygadziści przydzielali prace na dany dzień, a pozostali chłopcy próbowali odebrać mu zajęcie polegające na ciągnięciu wagonetek, bo nikt nie chciał wchodzić do tuneli wentylacyjnych, niebezpiecznych i szkodliwych dla zdrowia. Brygadziści i starsi górnicy często podjudzali dzieci, by biły się o pracę na powierzchni, robili zakłady, otaczali je kołem i krzykami zagrzewali do walki. Elías za każdym razem czuł ciężar strachu, wstręt do przemocy sprawiał, że drżał z przerażenia i z wściekłości. Mimo to nigdy nie odstąpił swojego miejsca pracy.

Igor potarł zaostrozonym kawałkiem drewna zapadły policzek. Wtulił głowę w ramiona i wydał z siebie chichot, który wstrząsnął jego ciałem, stopniowo przechodzący w gromki śmiech. Lubił pantomimę, tragedie życia, odgrywanie w nich wszystkich ról. Tak, nie tylko miał ładny głos, był też zawsze dobrym aktorem, zakładał maski w zależności od okoliczności albo kaprysu. Jakiego

wybitnego artystę straciła matka Rosja, mówił o sobie, jakiego wielkiego histriona. Zerwał się na nogi niczym kolos wyłaniający się z otchłani i oparł o ścianę, obserwując Elíasa z udawanym spokojem. Chłopak zrozumiał, że źle oszacował możliwości więźnia. Był niemal jego wzrostu, a ze sposobu, w jaki manewrował odłamkiem drewna, wynikało, że włada białą bronią dużo lepiej, niż on kiedykolwiek będzie w stanie się nauczyć.

– Szczeniak chce wypróbować swoje zęby. Myśli, że jest gotowy do walki.

Świta hien niczym groźny chór zawtórowała śmiechem dowcipnej uwadze Igora. Czekały tylko, aż wymierzy pierwszy cios, żeby rzucić się na Elíasa. Więźniowie nadal cieszyli się szczęściem, jakie ich spotkało. Kilka godzin wcześniej modlili się w celach do swoich matek (przynajmniej ci, którzy je znali), podczas gdy z więziennego dziedzińca dobiegał paraliżujący, monotony odgłos wystrzałów. Modlili się ci, którzy wierzyli w Boga, i ci, którzy w niego nie wierzyli. Z wściekłością lub żalem robili przegląd ostatnich chwil swojego życia, niektórzy ocenili, że nie było ono takie złe, większość widziała jednak już tylko rów, w którym zostaną zasypani, zanim zamarzną ziemia. A potem dokonał się cud. Wpuścili ich niczym niecierpliwą sforę psów pomiędzy stado owiec. Wszyscy dla nich. To było jak sen.

„Chłopak, który się postawił, jest odważny czy głupi?”, zastanawiał się Igor, szacując możliwości zwycięstwa. Poznał ludzi wszelkiego autoramentu, od większości nie dało się za wiele nauczyć. Podobali mu się ci, których odwaga nie była szaleństwem czy samobójczą głupotą, ale siłą niepozwalającą im być nikim innym, tylko sobą, nawet jeśli mogłoby się to dla nich źle skończyć. Ileż siniaków i blizn pokryło jego ciało dlatego, że nie usłuchał strażnika czy nie uchylił się od walki, choć był na straconej pozycji? Gardził mięczakami, robakami, które zawsze zginały się zgodnie z kierunkiem wiatru i nigdy do końca się nie łamały. Lizusami, wtyczkami, donosicielami, słabymi wobec silniejszych, a okrutnymi wobec słabszych. Ulubieńcami klawiszów. Nie, jedyną rzeczą, jaka się liczyła, jedyną rzeczą, jaka zasługiwała na jego szacunek, była chęć pozostawania sobą, nieważne, czy aniołem, czy diabłem; pozostawania wiernym własnej naturze, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Taki właśnie był ten chłopak? Czy też trafił po prostu na fanfaroną, schwytanego w pułapkę pustej, bezsensownej dumy? Mógł oddać mu płaszcz bez szemrania, tyle że to wcale by go nie ocaliło. Potem Igor zażądałby od niego butów i kolejnych części garderoby, aż zostałby nagi, i prawdopodobnie przejechałby mu też po ciele swoim drewnianym rylcem ku przestrodze

tchórzliwej masy.

Nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek uzurpował sobie prawo do jego pozycji, nie na oczach tych wilków, które mu towarzyszyły, a ponadto przymierzały się, by stanąć na czele stada. Problem w tym, że podobał mu się ten chłopak. Sposób, w jaki na niego patrzył, bez nienawiści, bez udawania, że się go nie boi, w jaki stał, z rozstawionymi nogami i lekko ugiętymi kolanami, gotów walczyć o swój płaszcz, który w tym momencie był symbolem wszystkiego, co miał, i którego nie pozwolił sobie ot tak odebrać. Mógł go zostawić w spokoju, na razie. Będą inne okazje i inne łatwiejsze łupy. Pomyślał, że mógłby nawet przyjąć go do stada. Ale wiedział, że to niemożliwe, dostrzegł to w wyrazie jego twarzy. Był porządnym człowiekiem. Niemal wybuchnął śmiechem na tę myśl. Porządny człowiek. Tysiące porządnych ludzi wiosłowało łodziami w piekło, żałując utraconej przyzwoitości.

Nawet nie nakazał ręce, żeby wykonała jakikolwiek ruch. Jego umysł nie musiał myśleć. Działał bez zastanowienia i bez wątpliwości, kiedy instynkt brał górę nad upodobaniem do rozumowania. W ułamku sekundy Igor Stern, syn żydowskiego furmana, obdartego żywcem ze skóry przez oddział Kozaków, pokonał dystans dzielący go od Elíasa Gila, inżyniera, syna górniczego związkowca, nadziei na lepszą przyszłość rodziny, i wbił mu zaostriżony koniec drewna w prawe oko. Mógł wkłuć go głębiej, wepchnąć z całej siły, przerwać mu nerw wzrokowy i utorować sobie drogę do zaskoczonego mózgu. Nie zrobił tego jednak, pozwolił, by chłopak, wyjąc z bólu, cofnął się o kilka kroków z drzazgą wbitą w oko i wstrząsany drgawkami poleciał do tyłu, gdzie nie było nawet miejsca, by mógł upaść na podłogę.

– Powiedziałem, że podoba mi się twój płaszcz – powtórzył chłodno Igor. Bierz, co chcesz, dopóki ktoś ci tego nie zabroni. Tak brzmiała jego dewiza. Pochylił się nad zakrwawioną twarzą Elíasa i brutalnie pociągnął za płaszcz. Nikt mu w tym nie przeszkodził. Szarpnął najpierw za jeden rękaw, potem za drugi.

– Nie! – krzyknął Elías, z niespodziewaną siłą czepiając się palta.

Igor oniemiał ze zdumienia. Zanim jego zaskoczenie zdążyło zamienić się w furję, poczuł na nosie czubek buta Elíasa, a po odgłosie trzaśnięcia wywnioskował, że ten szaleniec złamał mu przegrodę nosową. Wstał, oszołomiony dotknął twarzy i z osłupieniem przyjrzał się zakrwawionym

opuszkom palców. Otaczająca go sfora, podniecona bójką, rzuciła się na leżącą ofiarę. Świdrujący ból w oku był nie do zniesienia, Elías jęczał, ale nie puszczał płaszcza.

Za sprawą cudu, do jakiego może dojść wyłącznie pośród istot ludzkich, uległych i zmiennych, różnorodna masa twarzy i anonimowych egzystencji rozstąpiła się, ale tym razem nie po to, by uciec, ale by ponownie zacisnąć się wokół nieszczęsnego młodzieńca i jego płaszcza. Dłonie i ramiona osłoniły Elíasa przed okrucieństwem wilków, ukrywając go w środku stada. W wyniku dziwnego paradoksu owce niespodziewanie uformowały i zwały szyki, żeby stawić czoła wilkom. Te, zbite z tropu, wołały wycofać się na swój bezpieczny teren. Warczą, ze zjezoną na grzbiecie sierścią, ale w tył, krok za krokiem.

Przez kolejne dni i noce Elías żył na granicy rzeczywistości i majaków, nie do końca świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Kiedy chwilami odzyskiwał przytomność, widział twarz kobiety, która przyglądała mu się zmartwiona, słyszał jej głos przypominający szum oceanu, ale nie docierały do niego słowa. Potem znowu pogrążał się w burzliwej ciemności, pełnej obrazów i myśli niemożliwych do połączenia w logiczną całość. Jego ciało dawało za wygraną, a umysł wrzał jak lawa, zanim na zawsze skamienieje. Kiedy odzyskiwał świadomość, czuł mrowienie w ukrytym pod brudnym bandażem, zainfekowanym oku, smród wydobywający się z gnijącej rany, słyszał krzyki rozdających ciosy strażników.

Kobieta wciąż przy nim siedziała, zmuszała go, by pił, podsuwając mu miseczkę z zupą, która tak naprawdę była tylko gotowaną wodą. Potem kazała mu połykać okruchy zlodowaciałego chleba, które najpierw rozmiękczała w swoich ustach. Karmiła go cierpliwie, jak robią dzieci z umierającymi wróblami. A w tym czasie podróż ciągle trwała, bezkres pochłaniał ludzkie istoty, zamieniając je w małe, nieznaczące cząsteczki, niewiele się różniące od płatków śniegu, niewzruszenie opadających na drzewa.

Elías obudził się pewnej nocy rozświetlonej gwiazdami, tak bliskimi, że mógł podnieść drżące palce i dotknąć ich, jakby były niesamowicie ozdobnym sklepieniem. Ciężyła mu głowa, całe jego ciało było jak z galarety, stracił na wadze, a policzki pokrył mu szorstki zarost.

– Witamy na świecie.

Głos należał do kobiety, która go doglądała. Miała rozchyłoną bluzkę, jej ciepłe piersi muskały swoim zapachem twarz Elíasa, kiedy podnosiła mu bandaż i palcem wskazującym macała pusty oczodół, jakby chciała namalować nowe oko i przywrócić je na miejsce, z którego zostało wyrwane.

– Zakażenie powoli ustępuje, ale nie odzyskasz już swojego ładnego zielonego oka. Wyobraź sobie, że od tej pory będziesz widział świat, jakbyś mrugał.

– Gdzie jesteśmy?

– Gdzieś pośrodku niczego, pomiędzy Moskwą a Tomskiem.

Elíasa przeszedł dreszcz, kiedy pomacał bandaż. Przypomniał sobie Igora wbijającego mu odłamek drewna w prawe oko i walkę o płaszcz, który nadal miał na sobie. Cały incydent wydał mu się bardzo odległy, choć doszło do niego zaledwie przed dziesięcioma dniami. Obok kobiety stał mężczyzna z narzuconym na głowę kocem, Elías widział jedynie jego dłonie, szukające słabego ciepła bijącego od płomieni ogniska. W lewej ręce, owiniętej brudną szmatą, brakowało mu dwóch palców. Elías usiadł z trudem, wspierając się na łokciu, i skupił wzrok na twarzy nieznanego.

– Nie rób takiej miny. Powinieneś zobaczyć się w lustrze.

– Claude?! To ty?

Chłopak odkrył głowę i przez kilka sekund w milczeniu mierzyli się wzrokiem.

– Lepiej zostawię was samych. – Kobieta wstała i oddaliła się w stronę grupki ludzi stłoczonych przy innym ognisku. Były ich setki, pokrywały całą powierzchnię rozległego terenu – małe źródła ciepła, wokół których poruszały się cienie. Pociąg zatrzymał się pośrodku równiny.

Claude podał Elíasowi małego pieczonego ziemniaka. W tym geście zawarte były przeprosiny, których nie wypowiedział na głos.

– To luksus, połowa mojej racji, nie gardź nim.

Elías przyjął prezent. Przez kilka minut Claude przyglądał się cierpliwie, jak je.

– Michael. On pierwszy podpisał obciążające cię zeznania, potem to samo zrobił Martin... – powiedział w końcu, spoglądając na niedające ciepła niebieskawe płomienie, jakby mówił sam do siebie.

– Co ci się stało w rękę?

Francuz podniósł dłoń bez palców, niczym trofeum, z którego już nie czuł się dumny.

– Ja podpisałem ostatni – odparł lakonicznie.

Elías odwrócił wzrok w stronę tego, co działo się poza kręgiem światła bijącego z ogniska. Mimo że obozowisko wypełniali ludzie, panowała przejmująca cisza, jak gdyby byli sami.

– Co się stało z Michaeliem i Martinem?

– Okazało się, że nasi koledzy mają wrodzony instynkt samozachowawczy. Szybko przyłączyli się do bandy Igora, więźnia, który ci to zrobił. Są jego dziwkami; wystarczy, że ten skurwiel gwizdnie, a przybiegają jak salonowe pieski.

Elías potrząsnął głową. Trudno mu było uwierzyć, że jego dawni towarzysze mogli okazać się tak ulegli, zwłaszcza Szkot Michael.

– To ziemia cudów, gdzie chłopcy mogą być carami – powiedział Claude z goryczą w głosie. – Dowożą coraz więcej więźniów. Nie wiem, skąd, do diabła, ich biorą, „socjalistyczna ojczyzna” przypomina niewyczerpaną wylęgarnię winnych – dodał, wpatrując się w ciemność.

Elías nie odpowiedział. Nie miał jeszcze siły na wysłuchiwanie diatryb Claude’a. Szukał wzrokiem kobiety wśród ognisk. W końcu ją odnalazł. Trzymała na rękach małą, zaledwie dwuletnią dziewczynkę.

– Kto to?

– Nazywa się Irina. Mówią, że była chirurgiem w szpitalu w Kilonii. To dzięki niej nie straciłem całej ręki. Ty także zawdzięczasz jej życie, przez wszystkie te dni nie odstępowała cię na krok.

Elías obserwował ją z daleka. Miała na sobie za duże, obszarpane męskie ubranie, była w łachmanach, jak oni wszyscy, brudna i ponizona, a jej blada cera wskazywała, że ma gruźlicę. Mimo to emanowała światłem i godnością, niczym odległe słońce.

– A dziewczynka?

– Anna. To jej córka.

– Co z ojcem?

Claude wzruszył ramionami.

– Nie mówi o nim.

Spojrzenia Iriny i Elíasa na moment się spotkały. Na twarzy kobiety malowała się determinacja, równie zawzięta, jak smutna.

Przed świtem strażnicy, wspierani przez więźniów kryminalnych, zaczęli

poganiać ludzi, żeby wracali do wagonów. Elías obudził się z twarzą w śniegu, pokryty białym puchem, który zebrał się na jego ramionach i plecach płaszcz. Przez buty i skarpetki przeniknęła wilgoć, a w twarz wbijały mu się szpilki zawiei. Czuł się jeszcze bardzo osłabiony; kiedy próbował wstać, zakręciło mu się w głowie. Ludzie zwijali obóz. Irina zniknęła bez śladu, Claude także gdzieś przepadł. Strażnicy zmuszali mężczyzn do przenoszenia pakunków z szopy do pociągu. Jeden z nich kopnął Elíasa.

– Do roboty!

Worek, który mu przydzielili, ważył zbyt wiele, musiał go więc ciągnąć między szynami, jakby holował trupa. Wciąż czuł się osłabiony, zakażenie rany spowodowało gorączkę, a ciężar był ogromny. Włókł worek przez dwa, trzy metry, potem upadł na pokryte śniegiem tory. Wstał, pociągnął worek i nogi znów odmówiły mu posłuszeństwa. Po piętnastu długich minutach dał za wygraną. Był tak wyczerpany, że nie mógł się ruszyć mimo krzyków i kopniaków strażników. Wolał leżeć nieruchomo i czekać, aż śnieg zamieni się w jego całun, jak stało się z wieloma innymi.

Kiedy tak leżał, zatęsknił za rzeczami, o których już zapomniał: za dawnym ciepłem życia, które wydawało się tak odległe, jakby nigdy nie istniało, za widokiem ojca siedzącego w fotelu o wysokim oparciu, czytającego na głos Czechowa, za niewyraźną sylwetką matki przy ogniu... Zaledwie kilka tygodni wcześniej był chłopakiem, który pragnął chłonąć życie, spacerował ulicami Madrytu, chodził do kawiarni, na wiece, do kina, miał przyjaciół, którzy go kochali, plany na przyszłość; wszyscy wierzyli, że będzie w stanie pokonać los, przerwać krąg biedy, która przez pokolenia niewoliła jego rodzinę. Całe oszczędności rodziców, kuzynów i wujów poszły na jego studia; obiecał sobie, że ich wysiłek nie pójdzie na marne.

Ale los przestał go rozpieszczać. Miał umrzeć absurdalną, nieoczekiwaną śmiercią na ziemi, której nawet nie zdążył poznać. Zresztą nawet gdyby zdążył, i tak nie byłby w stanie objąć rozumem jej ogromu. To, co zawsze uważał za bezkres, stanowiło jedynie przedśmiatek tej niekończącej się przestrzeni.

Mimo to nie czuł się źle. Otaczający go krajobraz był tak piękny, że aż nierealny; nieprzekupna przyroda narzucała ludziom swoją wolę, nie pozostawiało mu więc nic innego, jak przestać opierać się temu, co oczywiste. Na pustkowiu wstawał dzień, we mgle rysowały się nagie drzewa, na dachu szopy siedziały kruki. Po prawej stronie, równoległe do torów, płynęła spokojnie rzeka, a za nią ciągnęły się bezkresne lasy.

Wtedy go zobaczył: ogromnego łosia, pięknego i obojętnego, pana czasu i władcę swojego królestwa; wyłonił się z mgły i zatrzymał w odległości kilku metrów, zerkając na Elíasa swoim dużym okiem, wypełnionym płynną czernią, jakby chciał odkryć zamiary leżącego człowieka. To było przywidzenie! Elías pragnął mieć siłę, żeby podejść do łosia, i zdobyć się na odwagę, by go dotknąć.

Nagle w powietrzu rozległ się wystrzał, potem kolejny i jeszcze jeden. Elías zanurzył twarz w śniegu, osłaniając głowę rękami. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, jak majestatyczne zwierzę cofa się z wytrzeszczonymi oczami, aż w końcu uginają się pod nim przednie nogi i pada martwe na ziemię. Strażnicy nadal strzelali ze swoich karabinów pośród radosnych śmiechów, robili to jeszcze długo po tym, jak łosć zwałił się na śnieg. Kiedy powróciła cisza, wszystko umarło. Kruki odleciały z głośnym krakaniem, ustała zawieja, nawet rzeka jakby się zatrzymała. Jedynym ruchomym elementem był strumyk płynącej z nozdrzy i pyska łosia krwi, która krzepła na miękkim śniegu.

Elías rozplakał się jak dziecko.

Irytujący gwizd oznajmił, że pociąg jest gotów do dalszej drogi. Jeden ze strażników kazał Elíasowi wstawać, ale chłopak nie zareagował. Mężczyzna szturchnął go czubkiem buta, by sprawdzić, ile zostało w nim życia, po czym wzruszył ramionami i odszedł, zostawiając go jak ścierwo. Elías nie miał nic przeciwko temu, żeby tam leżeć i patrzeć w oczy łosia, zamienione w zaschnięte błoto, na wchłanianą przez śnieg krew. Było to lepsze niż znosić cierpienia tylko po to, by umrzeć zaledwie dzień później, kilka metrów dalej.

– Nie dawaj im tej satysfakcji, Elíasie. Zależy im, żebyśmy poumierali, żeby nie musieli brudzić sobie rąk. Co to za kat, który nie chce wykonywać swojej pracy?

Kilka centymetrów od swojego nosa zobaczył stare, dziurawe buty bez sznurówek. Widział zginające się nogi i dłonie o delikatnych, zaskakująco czystych palcach, które musnęły jego sztywne, zamarzniete włosy. To była ona, Irina.

– Jeśli chcą z tobą skończyć, będą musieli się bardziej wysilić.

Rozedrgane spojrzenie Elíasa zatrzymało się na jej dużych, szarych oczach, które parzyły na niego przenikliwie, jakby mówiły: „wstań”. Przyjął tę dłoń, wiedząc, że osoba, która mu ją podaje, także jest rozbitkiem i może mu zaoferować jedynie obietnicę wspólnego pójścia na dno.

7.

BARCELONA, 12 LIPCA 2002 ROKU

Samiec był stary, ale nawet w niewoli otaczała go aura siły, która kiedyś, gdy przemierzał dziesiątki kilometrów terenu łowów, pozwoliła mu zostać przewodnikiem potężnej watahy. Przezroczysta ściana o wysokości około dwóch metrów oddzielała jego wybieg od zwiedzających, o tej porze raczej nielicznych. Mimo ostrzeżeń w wielu językach zabraniających rzucania jakichkolwiek przedmiotów i jedzenia fosę otaczającą sztuczną wyspę wilka wypełniały śmieci: puszki po napojach orzeźwiających, resztki owoców, opakowania po lodach. Gonzalo dostrzegł nawet wyschniętego adidasa. Po prawej stronie znajdowała się tabliczka informacyjna – wielki wilk szary może ważyć do osiemdziesięciu pięciu kilogramów, występuje na większości obszarów Europy, Eurazji i Ameryki Północnej, ma potężne kły do rozgryzania zdobyczy, a jego naturalnym środowiskiem są chłodne strefy klimatyczne, stąd szara sierść na grzbiecie i brzuchu, a biała na łapach. Jest królem stepów, gdzie nic nie przeżyłoby bez instynktu samozachowawczego.

Czasy świetności wilka wydawały się jednak należeć do przeszłości. Leżał z pyskiem ukrytym między przednimi łapami przy wejściu do jaskini, w której miał legowisko. Jego biało-szara sierść była brudna, wypadła garściami, przechodził bowiem okres linienia. Mimo termostatu, który próbował utrzymać niską temperaturę na wybiegu, syberyjski wilk nigdy nie zdoła przywyknąć do wilgotnego upału śródziemnomorskiego miasta. Odchylił do tyłu masywną głowę i przeciągle ziewnął. Gonzalo pomyślał, że w innych czasach ziewnięciu towarzyszyłoby pewnie długie, gardłowe wycie, od którego zdrząłyby ze strachu leśne zwierzęta. Ale lata spędzone w niewoli podkopały dumę wilka, dawniej widoczną w jego niemal białych oczach, które teraz obojętnie spoglądały na Gonzala. Nie pozostało w nich nic z instynktu, zdradzały jedynie poddanie i smutek.

Gonzalo obserwował zwierzę, jakby na coś czekał. Chciałby, żeby wilk odzyskał dzikie spojrzenie, pragnął przynajmniej raz zobaczyć, jak wypręży ciało na zrobionej z papier-mâché i kamieni skale i wyje, upominając się o dziedzictwo po swoich przodkach. Wyzywający i wolny, mimo wszystko. Ale wilk tylko leżał spokojnie, liżąc sobie łapy. Kilka minut później wstał z trudem, otrząsnął się niczym bezański kundel na deszczu i powlókł (to właściwe słowo) w najciemniejszy kąt jaskini.

Gonzalo pomyślał, że to on jest tym wilkiem. Oswojonym wilkiem. Odkąd wrócił z domu nad jeziorem, nie dawała mu spokoju ta szalona, bezsensowna myśl, tak nie w jego stylu. A jednak nie mógł wybić jej sobie z głowy.

– Pan wybaczy. Będziemy zamykać.

Gonzalo spojrzął z ukosa na pracownika zoo i skinął głową.

Tej nocy nie miał ochoty wracać do domu, do rutyny. Czuł się dziwnie, jakby coś w nim próbowało wydostać się na powierzchnię, a on nie był pewien, czy potrafi nad tym czymś zapanować. Nikt nie wiedział, że wciąż płaci czynsz za mieszkanie w dzielnicy La Barceloneta, które wynajął przed rokiem, kiedy niemal rozstał się z żoną. Lola nawet nie podejrzewała, jak bliscy byli rozvodu. Gonzalo przezwyciężył tamten kryzys, ale postanowił zachować przestrzeń, która należała wyłącznie do niego. Czasami, nie za często, jeździł do tego mieszkania, kiedy miał potrzebę побыć sam.

Portiernią budynku zawiadywał niski, łysy człowieczek. Gonzalo nawet nie znał jego imienia. Za każdym razem, kiedy szedł do mieszkania, zbywał go krótkim powitaniem. Wjeżdżał windą, opierając się plecami o ścianę wyłożoną drewnem, któremu przydałaby się warstwa lakieru. W małym lustrze widział swoje odbicie: worki pod oczami, poluzowany węzeł krawata, potargane włosy, opadnięte kąciki ust, zwiotczałą skórę.

Powitał go niegościnnie, smutny widok pustej przestrzeni. Na wyposażenie mieszkania składał się drewniany stół, dwa krzesła, odtwarzacz muzyki i DVD, stojące na ciemnym parkiecie. Ponadto stos płyt kompaktowych, popielniczka, butelka wody mineralnej i kilka owoców w małej lodówce. Po przeciwnej stronie stelaż łóżka i materac, wciąż jeszcze w plastikowym pokrowcu. Książki na podłodze. Z kabli na suficie zamiast halogenów zwisały trzy żarówki. W oknach nie było zasłon, przesuwane drzwi prowadziły na taras, wychodzący na Palau de Mar. Miejskie hałasy przypominały dalekie bzyczenie. Światła migotały niczym bijące powoli serce. Gonzalo postawił torbę z kolacją na marmurowym blacie w kuchni i napił się wody prosto

z kranu. Cuchnęła chlorem. Włożył płytę, włączył odtwarzacz i ustawił niską głośność. Złamany głos Arethy Franklin powiedział mu, że to nie jest dobry moment, by być samemu. Ale samotność nie wyrządzała mu krzywdy, nigdy mu nie szkodziła.

Otworzył przesuwane drzwi i wychylił się na balkon. Powietrze stało, wilgoć znad morza robiła się lepka. Samotność, muzyka w tle, przestrzeń, której z nikim nie dzielił, pozwoliły mu udawać, że wciąż ma dwadzieścia lat, że nic nie jest jeszcze przesądzone. Dlatego dokupował meble stopniowo, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądało mieszkanie, kiedy już je urządzi. Chciał jak najdłużej podtrzymywać fikcję niezależności. To było jego terytorium, ostatnia twierdza, której nie oddał. Tu przez kilka godzin mógł być tym, kim chciał. Nie musiało to być zgodne z prawdą, wystarczyła mu wiara, że jest możliwe.

Jego dom, jego rodzina znajdowały się niedaleko. Ta odległość, dziesięć minut drogi samochodem, była metaforą. Całym światem. Lola już pewnie zjadła kolację, może zdrzemnęła się na kanapie, czytając jedną z tych powieści podróżniczych z kobietami w rolach głównych, które tak ją pasjonowały, w oczekiwaniu, że zadzwoni, by powiedzieć, że wyszedł już ze spotkania z jej ojcem, że fuzja z kancelarią teścia stała się faktem dokonanym. Patricia na pewno czuwa w swoim pokoju, wyęzając słuch, by nie umknęły jej odgłosy otwieranego zamka i pikanie kodu wyłączającego alarm, gotowa w każdej chwili opuścić swoje łóżko i wskoczyć do jego. Javier siedzi zapewne przed komputerem, pogrążony w niekończącej się rozmowie na czacie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Czyjeś palce uderzyły lekko dwukrotnie. Gonzalo nie spodziewał się wizyty; nikt go tu nigdy nie odwiedzał. O to przecież chodziło. Palce ponownie zastukały, tym razem natarczywiej. W korytarzu paliło się światło. Gonzalo dostrzegł przez szparę pod drzwiami przesuwający się cień. Kiedy otworzył, ujrzał portiera z małym kartonowym pudełkiem w rękach.

– Przyniosłem panu paczkę. Przed chwilą zostawiono ją w portierni.

Gonzalo nieufnie spojrział na mężczyznę. Nikt nie znał adresu tego mieszkania, przede wszystkim jednak nikt nie roznosił przesyłek o tej porze. Portier zrozumiał jego zdziwienie.

– Przyniósł ją jakiś czarnoskóry chłopak, nalegał, że powinienem ją panu pilnie dostarczyć, do rąk własnych. – Pomiął szczegół, że Murzyn, przystojny i dobrze ubrany, wręczył mu suty napiwek w dolarach, by mieć pewność, że

portier wykona zadanie.

Gonzalo przyjrzał się pudełku.

– To na pewno pomyłka.

Mężczyzna wskazał wypisane markerem nazwisko. Jego nazwisko.

Gonzalo podziękował, wziął paczkę i zamknął drzwi, udając, że nie widzi wyczekującego wyrazu twarzy portiera. Poszedł z pudełkiem do kuchni, położył je na marmurowym blacie i otworzył lodówkę. Nalał sobie soku ananasowego do dużej szklanki i usiadł, uważnie przyglądając się przesyłce. Wreszcie postanowił ją otworzyć. W środku znajdował się mały laptop. Na najczęściej używanych klawiszach zostały tłuste ślady. Wzrok Gonzala padł na leżące na dnie pudełka zdjęcie. Było częściowo zwęglone, najwyraźniej ten, kto je podpalił, zmienił zdanie i zgasił płomień, zanim wyrządził nieodwracalne szkody.

– Kurwa mać... – szepnął, kiedy rozpoznał osoby z fotografii.

Zobaczył wielkie czarne jodły, pokryte lodem jezioro i stojący niedaleko dom. Jego dom. Laura uśmiechała się, wtulając twarz w szczelnie zapięty polar. Trzymała na rękach synka: miał buzię zasłoniętą szalikiem, niesforne włosy zakrywały mu czoło, duże oczy patrzyły przez grzywkę, jakby szpiegowały kogoś zza firanki. Spalony fragment był nie do odtworzenia, zachowały się jedynie ramię i dłoń ściskająca rączkę dziecka. Dłoń o czystych białych paznokciach i palcach równie mocnych jak ramię. Czarne ramię i czarna dłoń.

Gonzalo odwrócił zdjęcie. Z tyłu widniało jedno słowo, zapisane wielkimi literami. MATRIOSZKA. Spojrzał na laptop, włączył go, a kiedy na ekranie pojawiło się pytanie o hasło, instynktownie wpisał słowo z fotografii. Ekran się odblokował, wyskoczyła seria ikon na tle zdjęcia przedstawiającego Laurę, Luisa i ich synka Roberta. W oddali widać było plażę, a na poboczu szosy tablicę z napisem „Argelès-sur-Mer”. Wakacje na południu Francji. Wyglądali na szczęśliwych. Laptop należał do Laury?

Kliknął w pierwszą ikonę – otworzył się arkusz Excela, wypełniony mnóstwem cyfr i kodów. Gonzalo nie bardzo wiedział, do czego się odnoszą, wyglądały jak szczegółowy rejestr przelewów bankowych, numerów kont i skrótów, które mogły oznaczać nazwiska albo nazwy firm. W kilku miejscach pogrubiono litery ZW. Zinowiew? Kolejne dokumenty były podobne, zawierały wykaz portów z całej Europy i nazwy, prawdopodobnie kontenerowców – niemieckie, angielskie, francuskie, holenderskie,

hiszpańskie. Odnotowano daty zawinięcia do portu i nazwy portów macierzystych (głównie w Afryce i Ameryce Środkowej, ale także w Kanadzie i Rosji). Przy każdym wpisie figurował ciąg imion i numer. Assam, Miriam, Bodski, Remedios, Matthew, Jérôme, Louise, Siaka, Pedro, Paula, Nicole... I tak dalej, grubo ponad sto osób. Liczby, które towarzyszyły imionom, były niemal wyłącznie jednocyfrowe, niektóre – dwu. Najwyższą było 15, najniższą 2.

Jedna z ikon na pulpicie nosiła nazwę „poufne”. Gonzalo próbował ją otworzyć, ale folder był chroniony i wymagał hasła dostępu. Kiedy na chybił trafił wpisał „Laura”, pojawiło się okienko z ostrzeżeniem, że może spróbować jeszcze dwa razy, po czym dokument automatycznie się zablokuje. Zrezygnował i otworzył folder ze zdjęciami. Na niemal wszystkich widniał Zinowiew. Zostały zrobione z daleka potężnym obiektywem. Na niektórych był sam, na innych często w towarzystwie wysokiego, czarnoskórego chłopaka, przystojnego i dobrze ubranego. Gonzalo raz jeszcze spojrzął na nadpaloną fotografię. Czy to jego ręka trzymała Roberta? Czy to on przekazał portierowi laptop?

Przez dłuższą chwilę przyglądał się wytatuowanej twarzy Zinowiewa. Według inspektora Alcázara Laura zabiła tego człowieka, ale jak mogła zrobić to w sposób, jaki opisał mu policjant? Nie zastrzeliła go, ale obezwładniła, zabrała do opuszczonego magazynu, przykuła do belki swoimi kajdankami i okrutnie torturowała, prawdopodobnie godzinami. Zważywszy na dziki wygląd tej bestii, potężną budowę ciała i niemal dwa metry wzrostu, wydawało się więcej niż nieprawdopodobne, że Laura mogła zrobić coś takiego. Potrzebna była wielka fizyczna siła, by ujarzmić tego mężczyznę i potraktować go jak kukłę, tym bardziej że na pewno zaciekle się bronił. Lekarz sądowy powiedział, że na ciele Laury nie znaleziono śladów obcej skóry ani krwi. Kiedy Luis zapytał, czy myśli, że jego siostra torturowała i zabiła tego mężczyznę, odruchowo zaprzeczył. Teraz był tego niemal pewien.

Nagle wydało mu się bardziej niż oczywiste, co oznaczają wszystkie te informacje z laptopa – chodziło o śledztwo Laury, z powodu którego straciła syna i męża; o jej obsesję z ostatnich lat... W takim razie te imiona i liczby...

Otworzył kolejny folder ze zdjęciami.

Poczuł mdłości i omal nie zwymiotował soku ananasowego na klawiaturę. Zobaczył setki fotografii przedstawiających straszliwie krzywdzone dzieci, niektóre bardzo małe, niemal niemowlęta. Wiele zdjęć było tak jednoznacznie

pornograficznych, że miało się ochotę rzucić z okna.

– Dobry Boże, Lauro... Jak mogłaś sama dźwigać to wszystko?

Zamknął folder, powstrzymując odruchy wymiotne, i wyjrzał przez okno. Drżały mu palce, kiedy zapalał papierosa. Złożył Loli obietnicę, ale jakie, kurwa, mogło to mieć teraz znaczenie? Zaciągnął się głęboko i poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Jak to możliwe? Jak może istnieć tyle zła? Nie był naiwniakiem, jako adwokat znał ludzkie słabości, podłość, ale to... to przekraczało wszystko, co potrafił sobie wyobrazić. Nabrał w płuca powietrza, spoglądając w mrok. Łagodny, spokojny, delikatny. Jakaś para całowała się na masce samochodu, przerwali, wybuchnęli śmiechem i znów zaczęli się całować. Gonzalo miał ochotę krzyknąć, żeby zmykali, żeby uciekli tak daleko i tak szybko, jak tylko będą mogli, zanim dosięgnie ich zło. Jak Laura mogła patrzeć na świat, gdy już zeszła do tego piekła?

Wrócił do laptopa dopiero po przeszło godzinie. Grzebał w dokumentach na chybił trafił: otwierał foldery, pliki, ponownie spróbował uzyskać dostęp do poufnych informacji. Tym razem wpisał „Roberto”, ale znów pojawiło się okienko z ostrzeżeniem, że została mu jeszcze tylko jedna próba. Postanowił jej nie zmarnować.

Co powinien z tym zrobić? Musi iść na policję. Przyszło mu do głowy, żeby od razu zadzwonić do inspektora Alcázara, on będzie wiedział, jak postąpić. Sprawa Laury i Zinowiewa została zamknięta, ale w obliczu nowych dowodów policja nie miałaby wyjścia, musiałyby ją wznowić i przeprowadzić dokładne śledztwo. Sięgnął po telefon, ale coś go powstrzymało – pytanie, które od początku nie dawało mu spokoju. Dlaczego to jemu wysłano komputer siostry? Dlaczego?

Odpowiedź na pewno była w laptopie. W dokumencie, którego nie umiał otworzyć. Hasło musiało być gdzieś zapisane. To absurdalne, żeby osoba, która przekazała mu paczkę, umożliwiła dostęp do laptopa, do pornograficznych zdjęć z udziałem dzieci, do wszystkich tych informacji, nie pozwalała mu na otwarcie tego jednego folderu. Zajrzał do pudełka, które przyniósł portier. Spomiędzy tekturek na dnie wystawał róg szarej wizytówki z nazwą pięciogwiazdkowego hotelu. Kiedy po nią sięgał, waliło mu serce; liczył, że znajdzie na niej hasło do zablokowanego folderu.

Nie było to jednak hasło, ale lakoniczne ostrzeżenie: „Jeżeli komuś o tym powiesz, obaj jesteśmy martwi, uwierz mi”.

Na wizytówce znajdował się także adres, pod którym nieznajomy miał się

z nim spotkać za trzy dni, o konkretnej godzinie. Groził, że jeśli Gonzalo się nie pojawi albo powiadomi policję, zniknie na zawsze.

Kiedy kilka godzin później wrócił do domu, tego, który dzielił z Lolą i dziećmi, wszedł do pokoju córki i usiadł, żeby popatrzeć, jak śpi. Pachniała tak ładnie, jej twarzyczka wydawała się taka ufna, taka szczęśliwa, taka delikatna. Pomyślał o nocach, które Laura spędzała w nogach łóżka swojego synka, obserwując, jak śpi, ufny, bezpieczny, chroniony; wyobraził sobie, co czuła, kiedy głaskała go po zaspanej twarzyczce po tym, jak oglądała wszystkie te dzieci. A później, kiedy już go nie było, pewnie nadal siadała na pustym łóżeczku i gładziła poduszkę, kołdrę, jego pizamę.

Z oczu Gonzala popłynęły łzy. Płakał w milczeniu, tak jak nigdy w życiu.

Tamtej nocy przekroczył niewidzialną granicę dzielącą go od Loli i przytulił się do niej, przywarł do jej zgiętych nóg, objął ją w talii i powiedział, że ją kocha. Lola go nie usłyszała, ale jej ciało owszem: poddało się dotykowi Gonzala, zdziwione i zadowolone.

Rano wyglądał inaczej, chciał być inny. Lola i Patricia także zauważyły, każda na swój sposób, że coś się zmieniło, i ta zmiana, a przynajmniej chęć zmiany, jednakowo je zaskoczyła i wprowadziła w radosne zdumienie. Gonzalo wstał przed nimi i przygotował śniadanie, a ponieważ nie miał wprawy, wyszło mu zbyt obfite, kontynentalne. Soki, tosty, kawa, płatki zbożowe, odważył się nawet zrobić sałatkę owocową według przepisu Laury, ale niezbyt mu się udała i zmarnował sporo owoców. Odsłonił firankę w kuchni, jakby chciał, by wpadające z ogrodu światło było świadkiem jego dobrych intencji. Wazon na stole zawadzał i niepotrzebnie zajmował miejsce, ale Lola była wdzięczna za ten gest, nie miała też żalu o to, że Gonzalo nie wiedział, iż ona rano tylko pije podwójną kawę, a Patricia jest uczulona na sok grejpfrutowy.

Kiedy mąż przywitał się z nią pocałunkiem w usta, przeszedł ją dreszcz szczęścia, a jednocześnie poczucia winy. To, że Patricia rzuciła mu się w ramiona, jakby wciąż miała cztery lata, nie było niczym nowym, za to Lolę zaskoczyło uwielbienie, z jakim tego ranka Gonzalo znowu patrzył na córkę. Usiedli przy stole, podekscytowani, każde na swój sposób. Gonzalo rozgadał się z właściwym sobie poczuciem humoru, zawsze nieco powściągliwym i niezgrabnym, ale liczyło się to, że pragnie wyjść z odrętwienia, w którym

trwał w ostatnim czasie. Lola obserwowała go, nie mając odwagi zgłębiać tej niespodziewanej radości, bała się, że to uniesienie nie potrwa długo. Jednocześnie zastanawiała się, co jest przyczyną tej demonstracji uczuć, tej potrzeby pogłaskania jej po leżącej na stole dłoni, spojrzenia jej w oczy czy przypochlebiania się Patricii. Niewłaściwie odgadła powody.

– Co świętujemy? Fuzję z kancelarią mojego ojca?

Na ułamek sekundy twarz Gonzala stężała, rezultatem był nadmiar masła na czubku noża.

– Jeszcze nie. Nie chcę się spieszyć z podjęciem tak ważnej decyzji.

Z wdzięczności za niecodzienne starania Gonzala tego ranka Lola była gotowa pominąć milczeniem słabości męża, jednak jego odpowiedź ją zaniepokoiła.

– Nie ma innej możliwości, myślałam, że już wszystko zostało postanowione.

Gonzalo wyczuł w jej słowach wyniosłą pretensję, ale tym razem był gotów znieść to bez szemrania.

– Nie mogę ot tak wyrzucić do śmieci ośmiu lat walki o to, by utrzymać się na powierzchni jako niezależny adwokat. – Użył przezornie tonu perswazji, który odwiódł Lolę od dalszego brnięcia tą drogą i niszczenia tego, co tak dobrze się zaczęło.

Ale między nimi znowu pojawił się cień. To, że w pełni się nie ujawnił i nie zepsuł świątecznej atmosfery, było zasługą niewyczerpanej paplaniny podnieconej Patricii, która zrozumiała, że to wyjątkowa chwila i musi zrobić wszystko, by nie pozwolić jej przeminąć. Rodzice milcząco zgodzili się nagrodzić jej wysiłki: śmiali się, rozmawiali o sprawach ważnych i tych codziennych, chcąc miło zakończyć śniadanie.

– A gdzie jest nasz domowy pustelnik? Wczoraj w nocy nie widziałem go w łóżku – zapytał pod koniec śniadania Gonzalo. Nie starał się ukryć lekko ironicznego tonu, który zdenerwował Lolę, czujnie śledzącą milczący pojedynek, jaki Gonzalo toczył ze swoim pierworodnym synem. Za każdym razem, kiedy mąż atakował Javiera, czuła, jakby zwracał się przeciwko niej.

– Pozwoliłam mu spać u kolegi.

– Jakiego kolegi? Ma siedemnaście lat, powinien wracać na noc do domu. Na pewno przez cały czas się uczyli. – Jego sceptyczny komentarz miał zabrzmieć przyjaźnie, ale Lola wyłowiła ojcowską pogardę. Gonzalo był mistrzem w psuciu nastroju swoimi dwuznacznymi uwagami. Kiedy sprzątnęli

ze stołu, w kuchni panowała atmosfera kontrataku, rozpoczętego energicznie z nadzieją na odzyskanie utraconych pozycji, zakończonego jednak sromotną porażką w postaci smutnej, przygnębiającej pustki.

– W nocy pojawiły się nowe napisy na ogrodzeniu. Sąsiadów zaczyna to niepokoić; nikomu się nie podoba, że po osiedlu krąży jakiś psychopata, sama też zaczynam się bać – powiedziała Lola oschłym tonem, jakby to Gonzalo był autorem graffiti.

Gonzalo od razu zrozumiał sens tego ostrzegawczego spojrzenia. Do tej pory nie przykładął dużej wagi do tych pogrózek, był zbyt pochłonięty śmiercią Laury, poza tym przyjął powściągliwą postawę, bagatelizując całą sprawę, żeby nie straszyć bliskich. Niemniej jednak, kiedy pojawiły się pierwsze graffiti, postanowił kupić stary rewolwer, który schował w garażu, poza zasięgiem dzieci. Lola nie wiedziała, że trzyma broń w domu – nigdy by na to nie pozwoliła. Nie zamierzał jej użyć, nie umiałby nawet z niej wycelować, był to środek zapobiegawczy, ale to nie wystarczało. Wiedział, że musi coś z tym zrobić.

Miranda Acebedo z pewnością była kiedyś niezwykle atrakcyjną kobietą. Miedzianą pięknnością, która dostarczała rozkoszy turystom podróżującym na Kubę w poszukiwaniu dziewczyn takich jak ona. Ściany jej małego salonu wypełniały pamiątki z czasów, kiedy pracowała jako tancerka kabaretowa w salach balowych luksusowych hoteli. Tańczyła średnio, najlepiej wychodziła jej cumbia, która nie jest kubańskim tańcem, ale dla turystów nie miało to znaczenia, pod warunkiem, że poruszała krągłymi biodrami tak, jak tego oczekiwali, ubrana w spódniczkę z falbankami równie mikroskopijną jak jej cekinowy staniczek. Któregoś razu pianista Bebo Valdés usłyszał, jak śpiewa, i powiedział, że ma talent. Ale talent jest niczym, jeśli nie idzie w parze z odrobiną szczęścia.

– Bycie dziwką jest lepsze od bycia żebraczką – powiedziała, kiedy pierwszy raz zjawiła się w kancelarii Gonzala jakieś półtora roku wcześniej. Przyszła z podbitym okiem i ręką w gipsie. Przyjaciele wypisali na nim słowa pocieszenia, narysowali serduszka i karykatury, ale zostawili ją samą z mężczyzną, który, kiedy brali ślub w Hawanie, przysiągł przed Bogiem kochać ją i chronić, po czym zaczął się nad nią znęcać, gdy tylko wylądowali w Barcelonie.

Miranda chciała się rozwieść z Florenem Atxagą i wydrzeć mu, co tylko się da. „Niech zapłaci za każdy dzień piekła”, zawyrokowała. Gonzalo z trudem przekonał ją, by zgłosiła na policji, że się nad nią znęcał – tylko w ten sposób mogła się od niego uwolnić i mieć szansę na zachowanie mieszkania, w którym – lepiej czy gorzej – zdołała wychować dwójkę dzieci, „skundlonych bękartów”, jak nazywał je Atxaga. Gonzalo osobiście poszedł z nią na komisariat, doradzał jej podczas całego postępowania, a po długim procesie uzyskał, poza rozwodem i domem, także karę czterech lat więzienia dla Atxagi za stosowanie siły, gwałty i znęcanie psychiczne. Miranda była mu tak wdzięczna, że przygotowała dla niego suty podwieczorek z karmelizowanych bananów i batatów, a pod koniec posiłku zaproponowała, że może dla niego zatańczyć. Gonzalo zjadł banany, ale wolał wyjść, zanim taniec zamieniłby się w pułapkę.

Miranda, która otworzyła mu drzwi, owinięta w wyblakły pikowany szlafrok, była zupełnie inną osobą.

– Nie powinni byli dawać mu tej przepustki, musieli się domyślać, że ucieknie – stwierdziła, jakby bolała ją ta oczywistość.

Gonzalo nie odpowiedział. Życie zawsze przestawało być takie, jak się oczekiwało, jeżeli oczekiwało się zbyt wiele. Miranda miała pecha, trafiła na sukinsyna.

– Był tutaj?

Zaprzeczyła, przerażona taką możliwością.

– Kilka razy odwiedziła mnie policja, dali mi numer telefonu... Jakby to mogło mnie ochronić przed tą świnią – powiedziała, pokazując mu przytwierdzoną magnesem do lodówki wizytówkę Biura Pomocy Ofiarom Przemocy.

– Przychodzi pani do głowy, gdzie może być?

– Pewnie szuka jakiejś kolejnej naiwniaczki, która da się złapać w jego sidła.

– Kluby nocne, sale bingo?

Miranda uśmiechnęła się, jakby zamierzała z niego zadrwić.

– Nie, nie. Floren należy do tych, którzy w każdą niedzielę biegną do kościoła. Nie gra nawet w warcaby, nie pije, a już na pewno nie chodzi na dziwki. Nawet kurwy wyśmiałyby jego śmiesznego, bezużytecznego kutasa. Miły, uśmiechnięty, jak porzucony psiak, na widok którego ściska się serce. Był taki, zanim wzięliśmy ślub i przylecieliśmy do Hiszpanii. Najpierw zaczął

czepiać się moich kubańskich znajomych, potem krytykować moją – jak to nazywał – manię czytania książek o każdej porze, że niby udaję intelektualistkę – sam pan widzi, że czytam tylko powieści z kiosku – i chcę wystawić go na pośmiewisko, jego, który nie skończył studiów – jakbym ja była inżynierem jądrowym – a wreszcie moją kolejną manię, podśpiewywania przez cały dzień – że niby się z niego wyśmiewam. Pierwszy raz uderzył mnie dlatego, że mu nie stanął. Drugi, bo nie stanął mu wystarczająco. Trzeci, bo zaszłam w ciążę. Za czwartym razem nie było już żadnego powodu. Za to w niedzielę msza i pieczony kurczak w domu teściów, jak gdyby nigdy nic, chociaż czasami siniaki były tak duże, że nie mogłam ich ukryć pod makijażem.

– Do jakiego kościoła chodził?

– W naszej dzielnicy, tu niedaleko. Matki Boskiej z Lourdes.

Gonzalo spojrzął w stronę salonu. Nastolatek o musztardowej karnacji leżał rozwalony na kanapie i ze znużoną miną oglądał telewizję. Starszy syn Mirandy musiał mieć jakieś piętnaście lat. Nie wyglądał na skorego do obrony matki, gdyby Floren Atxaga pojawił się w domu.

– Nie sądzę, żeby się pokazał. Wie, że szuka go policja, ale jeśli będzie się kręcił w okolicy, proszę natychmiast do mnie zadzwonić, bez względu na porę.

Gonzalo zauważył za uchem kobiety zadrapanie. Brzydkie i świeże. Dostrzegł też niebieskawą plamę na ramieniu, kiedy rozchylił jej się szlafrok.

– Spotyka się pani z kimś?

Miranda szybko zakryła ramię.

– To dobry chłopak. Jeżeli pojawi się tu ten dupek, da mu nauczkę. Kobieta potrzebuje ochrony, prawda?

Gonzalo poczuł pełną rezygnacji litość. Pech jest przeznaczeniem niektórych osób. Są błędy, które zawsze trzeba dzwigać. Właśnie to zobaczył w spojrzeniu Mirandy, a także strach, smutek i żal – żadnej dumy ani miłości.

– Zadzwoni pani do mnie, jeżeli byłyby mąż będzie próbował się z panią skontaktować?

Powiedziała, że zadzwoni, ale Gonzalo wiedział, że tego nie zrobi. Wiedział także, że pewnego dnia, jeżeli ktoś szybko nie zainterweniuje, ciało Mirandy wypadnie z balkonu na błyszczącą maskę zaparkowanego na ulicy samochodu. Zginie z rąk jednego z wielu Atxagów, którzy krążą po świecie, polując na swoje ofiary.

Pomyślał o laptopie Laury i kolejny raz rozważył pomysł, by przekazać go Alcázarowi. Na świecie żyło za dużo wilków, a on, mimo że uparcie chciał

uchodzić za jednego z nich, był tylko owieczką. Przerastało go to, był zwykłym specjalistą od prawa cywilnego, a kiedy jeden jedyny raz zapuścił się na teren prawa karnego, musiał sobie kupić zardzewiały rewolwer, bo zaczął mu grozić ten znęcający się nad swoją żoną świętoszek. Skoro nie potrafił zapanować nad tą sytuacją, jak miał stawić czoła gigantycznej fali, która porwała jego siostrę? Czuł pokusę, żeby zadzwonić do inspektora, jednak odwiodło go od tego ostrzeżenie, które znalazł w pudełku. Kiedy trzymał w dłoni telefon, pomyślał, że lepiej będzie poczekać trzy dni, poznać osobę, która przyniosła mu laptop, i dopiero wtedy podjąć decyzję. W tym czasie powiadomi policję o pogroźkach Atxagi i zadzwoni do towarzystwa ubezpieczeniowego, żeby zainstalowało kamery wokół jego domu. Lola będzie spokojniejsza, a on częściowo odzyska poczucie, że jest w stanie stawić czoła zagrożeniu.

Zamiast zadzwonić do Alcázara, wybrał numer Loli. Chciał jej powiedzieć, że dzisiejsze śniadanie nie było urojeniem, że zajmie się sprawą graffiti, będzie ich chronił i nie dopuści, żeby stało im się coś złego.

– Javier już wrócił? – zapytał, zanim się rozłączył. Lola powiedziała, że nie, i Gonzalo wyczuł w jej głosie niepokój.

Pokój był przyzwoity, jedynie tyle dało się o nim powiedzieć. Ledwo mieściło się w nim małżeńskie łóżko, które zaskrzypiało, kiedy usiadł na jego brzegu. Sprana kołdra w kolorze purpury miała ślady po wybielaczu. Spod poduszki wystawał rąbek prześcieradła. Drewniana rama okna była zbyt szeroka a po otwarciu zasłaniała część ściany, na której wisiał telewizor. Okno wychodziło na splot cementowych rur obsranych przez gołębie. Zapalił światło w łazience, jarzeniówka zabzyczała jak uwięziona mucha. Umywalka miała jeden mosiężny kran, z którego kapłała woda, pozostawiając przy odpływie rdzawy ślad. W kącie przy prysznicu leżała rozpakowana kostka mydła. Sedes miał otwartą deskę, spłuczka trzęsa się za każdym razem, kiedy rozlegał się odgłos wody spływającej z wyższych pięter.

Wrócił na łóżko. Zdjął adidas, nie rozwiązując sznurówek, położył się z rękami pod głową i wpatrywał w sufit. Do jego nozdrzy doleciał zapach dezodorantu. Zastanawiał się, ile osób leżało wcześniej w tym łóżku, ostatnie może przed kilkoma godzinami, ukrytych przed światem, uciekających jak przestępcy. Musiał przyznać, że bywał w lepszych hotelach.

- Dość dziwne miejsce na spotkanie.
- Nie podoba ci się widok z okna? Jest wspaniały.

Carlos zdjął koszulę i powiesił ją na oparciu krzesła. Liczył banknoty, które dostał od Javiera.

- Za mało, potrzebuję więcej.
- Tylko tyle udało mi się zdobyć. Nie jestem twoim bankomatem.

Carlos zmarszczył brwi, rozczarowany. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Położył się obok Javiera i pocałował go w usta. Chłopak odepchnął go ze wstrętem. Carlos przyglądał mu się spokojnie, z pogardą. Jakby umiał czytać w jego myślach, jakby z nich kpił.

- Co to za mina?

Jego spojrzenie raniło Javiera, czuł je niczym małe nacięcia na skórze. Nagle uświadomił sobie prostactwo Carlosa, tego małodusznego i odrażającego kombinatora. Kiedy go poznał przed pięcioma miesiącami, wydał mu się interesujący. Tamtej nocy usiadł obok niego w gejowskim barze. Początkowo nic nie mówił, nawet na niego nie spojrzał. Zamówił napój bezalkoholowy i pił, spoglądając na parkiet. „Jestem Carlos”, powiedział nagle, odwracając się w jego stronę z kilkoma fistaszkami w dłoni, które podrzucał, jakby bawił się kostkami do gry, i swoim pełnym obietnic uśmiechem. Światowy człowiek, bez zobowiązań i moralnych zahamowań, wolny duch, który bierze, co chce i kiedy chce, a potem idzie dalej swoją drogą. Taki mu się wydał. Zbyt późno zrozumiał, że źle go ocenił.

Carlos nieprzypadkowo usiadł obok niego przy barze. Wybrał go sobie wcześniej, zaraz po wejściu do lokalu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że to on będzie jego ofiarą. „To twój pierwszy raz, prawda?”, zapytał, kładąc mu swoją ciepłą dłoń na udzie w okolicach pachwiny. Ta dłoń i puste spojrzenie Carlosa powinny były wzbudzić czujność Javiera, jednak płonęła mu głowa. Godzinę później leżał skulony na tylnym siedzeniu szarego forda i przy akompaniamencie Depeche Mode robił swoje pierwsze w życiu fellatio; nie przypuszczał, że twardy penis ma tak słodki smak, choć wyobrażał to sobie w samotności tysiące razy. Potem poczuł ciężki oddech Carlosa muskający jego włosy łonowe i potężną eksplozję przyjemności oraz poczucia winy, kiedy spuścił się w jego usta. To był jego gwóźdź do trumny. Od tamtej pory jadł Carlosowi z ręki jak bezbronny wróbelek. Był na każde jego zawołanie, o każdej porze, w każdym miejscu, byle tylko spędzić choć kilka minut u jego boku. Czasami Carlos wcale się nie pojawiał na umówionym

spotkaniu, a kiedy znów się widzieli albo rozmawiali przez telefon, nawet nie silił się na wyjaśnienia.

Z czasem Javier odsunął na bok wszystko, co nie było obsesją na punkcie Carlosa. Wiedział, że to chore, ale nie mógł temu zaradzić. Obecność kochanka wprowadzała go w stan upojenia, nie potrafił uwolnić się spod jego wpływu, choć miał świadomość, że Carlos zwyczajnie go wykorzystuje. Wkrótce zaczął brać od niego pieniądze. Za każdym razem coraz większe sumy. Czasami go o nie błagał, kiedy indziej ich żądał, grożąc w mniej lub bardziej zawołowany sposób, że go porzuci. Dlatego pomógł mu znaleźć pracę w biurze swojej matki. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Carlosowi od początku chodziło o to, by zbliżyć się do jego rodziny.

– Nie jestem idiotą. Może i jestem młodszy od ciebie, może jestem zakochany i wolę nie dostrzegać pewnych rzeczy. Ale nie jestem głupi.

– Nie rozumiem.

– Doskonale rozumiesz. W co pogrywasz z moją matką?

– W nic nie pogrywam. Nie zrozumiałbyś tego.

– Co mam rozumieć? Że chcesz ją przelecieć? Wiem, co widziałem w biurze, twoją gierkę z maską i jej głupawy śmiech. Znam was oboje.

Spojrzenie Carlosa stało się przezroczyście. Zrobił rozbawioną minę i wybuchnął śmiechem.

– Jesteś zazdrosny o własną matkę? Nie sądzisz, że to trochę perwersyjne? Niczego od niej nie chcę. W porządku, trochę z nią flirtowałem, to moja szefowa, a do tego jest atrakcyjna. Ale nie zamierzam jej uwodzić, nic z tych rzeczy.

– To właśnie zrobiłeś ze mną? Uwiodłeś mnie?

Carlos przecząco pokręcił głową. Czasami trudno mu było uwierzyć, że wciąż istnieją osoby takie jak Javier, naiwne, przekonane, że świat kręci się wokół nich, pełne egzystencjalnych wątpliwości, kompleksów, z głową nabitą bzdurami. Kiedy byli razem, patrzył na jego nieskazitelną skórę i miał wrażenie, że kocha się z marmurowym posągami. Kiedy indziej czuł się tak, jakby wkładał rękę do słoika z miękkim, dającym się lepić masłem.

– Nikt ci nie kazał wchodzić do tego baru, zrobiłeś to, bo wiedziałeś, co tam znajdziesz. Przyszedłeś do mojego samochodu z własnej woli i nikt cię nie zgwałcił, prawda? Podobnie było podczas kolejnych spotkań. O ile dobrze pamiętam, powiedziałem ci, żebyś nie miał co do mnie złudzeń. Posłuchaj, nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz, czy nie, w każdym razie nie chcę przelecieć

twojej matki. Potrzebuję kasy i pracy, to wszystko. Chociaż widziałeś, jak się przy mnie zmienia. Śmieje się, ubywa jej lat, jakby wyłaniała się z niej prawdziwa Lola, którą ma w środku.

– Nie tłumacz mi, jaka jest moja matka. Znasz ją od trzech miesięcy, a ja spędziłem z nią całe życie.

– Mylisz się. Nie masz pojęcia, jaka jest.

Carlosowi trudno było powstrzymać pokusę, by dać mu nauczkę, jedną z tych, jakie sam bez prośzenia otrzymywał w dzieciństwie. Ale nie po to tu przyszedł. Wyciągnął bibułkę z kokainą i wysypał ją na małą szybkę, którą nosił w kieszeni spodni. Uformował dwie kreski, po czym wciągnął nosem jedną z nich.

– Posłuchaj, ostatnio nie widujemy się zbyt często. Mamy tracić czas na kłótnie, jak małżeństwo starych tetryków? Jeśli nie chcesz się ze mną więcej spotykać, po prostu powiedz. Odejdę i już mnie nie zobaczysz, przysięgam ci.

Milczenie Javiera wywołało na jego twarzy uśmiech. Zostanie, będzie przy nim, dopóki nie wycisnie go jak gąbki. Dobrze znał swoje ofiary. Umiejętnie je wybierał. Podsunął mu szkiełko, żeby wciągnął swoją kreskę. Javier upadł na łóżko, miał szklany, zagubiony wzrok. Człowiek wie, kiedy zmierza ku destrukcji, ale brak mu woli, żeby temu zapobiec. Carlos rozpiął mu rozporek i pocałował go w pępek, muskając jego skórę brodą.

– Liczy się tu i teraz. Przeszłość jest czymś, co już się wydarzyło. Przyszłość nie istnieje. Znaczenie ma tylko chwila. A ta należy do nas.

Javier pociągnął nosem; jego oczy stały się wodniste. Wiedział, jaki jest Carlos, wiedział, że nie powinien dopuścić do tego, by zbliżył się do jego matki, bo zniszczy ich rodzinę, skrzywdzi ich wszystkich. Już to robił, był jak korniki w drewnie, widoczne dopiero wówczas, kiedy stają się plagą. Gdyby tylko mógł porozmawiać z ojcem, o wszystkim mu opowiedzieć. Gdyby potrafił znaleźć sposób, jak to zrobić. Musiał mu wyjaśnić, że nie wini go za to, że kiedy był mały i skakali z tamtej skały, zranił się w nogę i okulał. Ważne było, że to zrobili, że skoczyli razem. Chciał mu powiedzieć, że pragnie jeszcze raz z nim skoczyć, gdziekolwiek. Był razem.

Ale słowa, podobnie jak myśli, uwięzły mu w gardle, po czym przeszły w przeciągły jęk, kiedy poczuł na swojej żołądki ciepły oddech Carlosa.

8.

W pokoju panował upał nie do wytrzymania, ciężki jak kamień. Szyba drżała za każdym razem, kiedy biegnącą w pobliżu drogą krajową przejeżdżał duży tir. A działo się tak co pięć minut. Z okna motelu widać było stację benzynową i dwie prostytutki siedzące na składanych brezentowych krzeselkach. Jedna z nich nie miała majtek i rozkładała nogi za każdym razem, kiedy jakiś samochód zatrzymywał się, żeby zatankować. Druga rozmawiała przez komórkę, wachlując się jakimś czasopismem. Miała tak obcisłą sukienkę, że trudno było sobie wyobrazić, jak jest w stanie oddychać. „Murzynom nie jest gorąco, prawda, Śnieżynko?“, zapytał go kiedyś Zinowiew. Ochrzcił tak Siakę, kiedy pierwszy raz go zobaczył. Wtedy chłopak nie wiedział, że istnieją goryle albinosy. Kiedy wiele lat później w barcelońskim zoo zobaczył jednego z nich za szklaną ścianą, poczuł łączącą ich więź. On także zarabiał na życie jako jarmarczna atrakcja.

Siaka otworzył usta, jakby chciał połknąć powietrze wprawiane w ruch przez śmigła wentylatora. Położył się na podłodze w dżinsowych szortach i japonkach; jego nagi tors błyszczał od potu. Na prawym boku miał kilka blizn po starych ranach. Pchnięciach nożem i kulach. Pociągnął łyk wody z otwartej butelki i pozwolił, by ożywczy strumyczek spłynął mu po brodzie.

Pierwszy raz został sprzedany za niespełna trzy tysiące dolarów. Miał wtedy sześć lat, a sprzedającym był jego ojciec. Przekazał go w brudnej szopie jednemu z lokalnych watażków, trzydziestoletniemu Angolczykowi, który tworzył oddziały milicji. Mężczyzna trzymał go przez tydzień w budzie z kartonu i blachy. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi i Siaka widział jego buty oblepione zaschniętym błotem, zwijał się w kłębek jak szczenię. Ciosy, znowu ciosy i znowu. Bez wyraźnego powodu, jedynie po to, żeby zbić go na kwaśne jabłko. Potem przyszły narkotyki, wykorzystywanie, kazali mu walczyć w zagrodzie z innym chłopcem, równie wystraszonego jak on, przywiezionym z jednego z regionów po drugiej stronie jeziora, jakby byli kogutami o śmiercionośnych ostrogach. Walczył – i to jak walczył – nie

przestał nawet wtedy, kiedy przeciwnik próbował uciec z zagrody z ręką złamaną w trzech miejscach. Zmiażdżył mu głowę kamieniem cięższym niż on sam, nie wiedząc, skąd się w nim wzięło to okrucieństwo, ten zwierzęcy instynkt. Kiedy było po wszystkim, mężczyzna podniósł go do góry i pokazując otaczającej ich rozbawionej sforze jego zakrwawione dłonie, nazwał go „swoim synem”.

Spojrzał na zegarek. Pociąg do Paryża odjeżdżał za trzy godziny. Tam wsiądzie w samolot do Frankfurtu. A potem poleci do Afryki i zniknie na zawsze. O ile wcześniej nie pojawi się brat Laury. Założył się sam ze sobą i był pewien, że wygra. Adwokat nie przyjdzie na spotkanie.

Kiedy sprzedano go po raz drugi, miał jedenaście lat. Ale nie był już dzieckiem. To umarło, a przynajmniej tak sądził podczas lat spędzonych w dżungli, na pustyni i w obozach szkoleniowych, w czasie długich tygodni marszu, kiedy niczym niewolnik dźwigał broń, amunicję i narkotyki. Zabić było łatwiej niż umrzeć. Ale umrzeć było łatwiej niż przeżyć. Szybko odkrył, że serce przestaje mu bić, a strach znika, kiedy przenosi się spojrzenie na tych, których trzyma na muszce karabinu czy pod ostrzem maczety. Zinowiew zapłacił za niego dwiema skrzyniami kałasznikowów, trzema amunicji i jedną granatów rosyjskiej produkcji. Stwierdził, że bawi go jego zaciekłość, identyczna jak u psów do walk, które tak lubił, ale przede wszystkim podobała mu się jego twarz, mimo wszystko dziecinna, jego sprężyste ciało małego mężczyzny. Wyjaśnił, że zabierze go na inną wojnę, z użyciem innej broni. Do Europy. Tam nauczą go nowych umiejętności, rzeczy, które perwersyjna, wymagająca klientela doceni u tak ładnego jedenastoletniego chłopczyka. Siaka wzruszył ramionami – wszystkie piekła są do siebie podobne. Nieważne, czy będzie się smażył w tym, czy w innym. Mylił się jednak. Zawsze można zejść o jeden stopień niżej. I przekonał się o tym z nawiązką.

Podszedł do okna i spojrzał przez brudną szybę. Przy stacji została już tylko dziwka gadająca przez komórkę. Dalej rozmawiała, wachlując się czasopismem. Zdjęła buty na obcasie i położyła nogi na krzeselku zwolnionym przez koleżankę bez majtek. Jej gołe stopy i porzucone na żwirze buty przedstawiały smutny widok. Wtedy Siaka zobaczył Gonzala. Wysiadał z zaparkowanej przy dystrybutorze paliwa terenówki i niczym zdezorientowane dziecko rozglądał się po szosie, ocierając chusteczką pot. Kiedy dziwka powiedziała mu coś sprośnego, poczłapał na drugą stronę drogi. Koniec końców może Laura miała rację, kiedy mówiła, że jej brat jest

zdecydowanie najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znała.

Pięć minut później stali naprzeciw siebie w pokoju, nieufnie mierząc się wzrokiem. Gonzalo dostrzegł kątem oka leżącą na łóżku rozbebeszoną walizkę. Na ramieniu miał torbę z laptopem. Siaka poruszył lekko głową, przyglądając się prawnikowi. Obserwował go od tygodni; teraz, kiedy był tak blisko, wydał mu się całkowitym przeciwieństwem jego siostry. Sprawiał wrażenie, jakby chodził na palcach, emanował formalizmem w swoim garniturze za ciepłym na panujący upał, z węzłem krawata ściśniętym pod szyją tak, że zasłaniał wszystkie guziki koszuli. Okulary nadawały mu roztargniony wygląd. Siaka pomyślał, że na pewno prowadzi rutynowe, uporządkowane życie, należy do ludzi, którzy robią wszystko jak należy: każda książka na swojej półce, każda płyta w swoim pudełku, każda koszula na swoim wieszaku. Każdy martwy i każdy żywy na swoim miejscu. Był gotów się założyć, że Gonzalo ustawia konserwy w spiżarni według kolorów etykietek, że nie ma żadnych tajemnic ani żadnych nałogów. Nigdy nie lubił osób bez nałogów, wydawały mu się podejrzane. Wbrew opinii pani podinspektor jej brat nie wyglądał na bohatera.

– Przejrzałeś zawartość laptopa?

– Częściowo... Kim jesteś?

Trudne pytanie, uznał Siaka.

– Nie znalazłeś w folderach mojego imienia i moich zdjęć?

– W tych folderach jest dużo imion i dużo zdjęć.

Za dużo, pomyślał Siaka. Ile było ich na całym świecie? Miliony, setki tysięcy? A wśród nich on. „Żyjesz, jesteś młody, bardzo młody, mimo twojego spojrzenia. Dasz sobie radę”. W ten sposób Laura przekonała go, żeby włożył sobie pod ubranie mikrofon i nagrywał rozmowy z Zinowiewem. Kilka miłych słów, coca-cola w kawiarni przy plaży w nadmorskiej miejscowości i obietnica, że jego życie, mimo tego wszystkiego, przez co przeszedł, dopiero się zaczęło. Tyle mu wystarczyło, czyste spojrzenie, które nie szufladkowało go jako szatana. „Nie zapominaj nigdy o jednym. Nie jesteś tym, do czego zmusili cię inni. To oni są degeneratami, nie ty”.

– Współpracowałem z twoją siostrą przy śledztwie, które prowadziła. Byłem jej informatorem.

Tylko tyle? Nie, był kimś więcej. Lubił tę kobietę, a jeszcze bardziej polubił małego Roberta w dniu, kiedy poznali się w parku. Nieźle musieli wyglądać w oczach starsuszków karmiących gołębie. Czarnoskóry młodzieniec

i spacerujący z nim za rękę chłopiec, obserwowani z daleka przez atrakcyjną kobietę. Początkowo Siace trudno było zrozumieć, co mówi do niego Roberto, potrafił za to interpretować jego dziecięce zachowania: to, jak biegał za piłką, nieudolnie ją kopiąc, jak dostawał ataku hysterii, bo matka nie chciała mu kupić loda, jak zasypiał w jego czarnych ramionach, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz pod słońcem. Pokochał tego malca jak brata, stanowili parę normalnych dzieci, jedno było ukryte wewnątrz wystraszonego młodzieńca, drugie za szczególną twarzą. Parę aniołów błędzących po niezrozumiałym dla nich świecie, którego niebezpieczeństwa rozbijały się o dzikie spojrzenie Laury. Ona ich chroniła, dawała im złudzenie normalności.

– Jej informatorem?

– Matroszka. Byłem jednym z nich.

Po mile spędzonym popołudniu w towarzystwie Laury i jej synka, w czasie którego udawali normalną rodzinę, wracał do meliny, gdzie Zinowiew urządzał swoje imprezy, i rzeczywistość wymierzała mu mocny cios w żołądek. Coraz trudniej było mu uspokajać nigeryjskie dziewczynki, które płakały, kiedy przebierał je za zachodnie dziwki i oddawał w ręce zboczonych klientów. Dzieci, jak kiedyś on, jak mały Roberto. Poza wyjątkowymi sytuacjami Zinowiew nie kazał mu już chodzić z kimkolwiek do łóżka. Po skończeniu szesnastego roku życia zrobił się za stary jak na gusta klienteli. Stał się maskotką Zinowiewa, na wzór tych, z którymi afiszowali się starożytni satrapowie, chcąc uchodzić za wyrafinowanych i egzotycznych. Miał za zadanie przewozić dziewczynki, pilnować, żeby nienagannie wyglądały, dokonywać prezentacji, czasami w opływających w luksusy salonach, czasami w zapyziałych spelunkach albo fabrycznych piwnicach. Siaka był czarnym koniem Zinowiewa, jego umięśnione ciało i wysoki wzrost robiły takie samo wrażenie jak płaskonosa twarz i kręcone włosy. Eunuch, strażnik haremu.

– Byłem z Zinowiewem w dniu, kiedy zabił Roberta. Zawiozłem go nad jezioro, widziałem, jak topi chłopca. Byłem jego prawą ręką, jego pomocnikiem.

Laura miała do niego cierpliwość, potrafiła czekać, nie naciskała, nie groziła mu, świadoma, że w ten sposób może osiągnąć tylko tyle, iż Siaka ucieknie, zabierając ze sobą wszystko, co wie, a wiedział dużo. Tak naprawdę wiedział wszystko – potwory słabną, kiedy pożą już wszystkich swoich wrogów, stają się nieostrożne, ufne. Zostawiona na stole kartka z imionami, notes z numerami kont, trasy statków i ciężarówek ujawnione w łóżku po

nocnej orgii. A także wyznania o późnych porach, kiedy nawet potwory marzą o tym, by być miłe.

Siaka latami gromadził wszystkie te informacje, cierpliwie, dzień po dniu. Nikt nie wiedział o Matrioszce tyle co on, nawet sama Matrioszka, jeśli ta tajemnicza postać, o której ze strachem mówił Zinowiew, rzeczywiście istniała. Robił to bez określonego celu, wiedziony instynktem, jak wtedy, kiedy jako jedenastoletniego chłopca wysyłano go naszprycowanego narkotykami, żeby dokonał masakry w jakiejś wiosce, a on upewniał się, by widziano, jak znęca się nad zwłokami, udając, że jest bardziej okrutny od innych. „Zrobię to – powiedział zniecka któregoś dnia Laurze. Roberto biegał za gołębiami, które udawały, że dadzą się złapać, ale uciekały mu w ostatniej chwili. – Pomogę ci wykończyć tych skurwieli; wszystkich, poczynając od Zinowiewa”. Kilka tygodni później chłopiec nie żył. Siaka nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak bardzo poruszyła go śmierć tego dziecka. Na jego drodze zginęło wiele innych, widział to wszędzie w całym swoim krótkim życiu, ale nigdy nie traktował tych śmierci jako osobistej straty. Z Robertem było inaczej.

– Ten chłopiec był dla mnie jak rodzina, jedyna, jaką miałem. – I pozwolił, żeby Zinowiew go zabił. Rosjanin nie żył, przez co świat stał się nieco lepszym, mniej szkodliwym miejscem. Stanowiło to jednak marną pociechę.

W głowie Gonzala kłębiły się głosy. Głos jego siostry – głos z dzieciństwa – wołający go, kiedy zgubił się w lesie. Głos matki śpiewającej po rosyjsku, wymyślony głos ojca, którego już nie potrafił sobie przypomnieć, mówiący mu, że najważniejsze jest to, by dzieci mogły czuć się dumne ze swoich rodziców. Był wystraszony i zdezorientowany.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? Dlaczego wysłałeś mi laptop? Tą sprawą powinna się zająć policja.

Siaka wybuchnął śmiechem, szyderczym i smutnym.

– Przypuszczam, że próbowałeś otworzyć poufny folder.

Gonzalo przytaknął. Dwa razy, została jedna szansa.

– W tym folderze twoja siostra trzymała listę nazwisk przywódców Matrioszki na całym świecie, informacje dotyczące jej schematu organizacyjnego, kanałów, których używa do prania pieniędzy otrzymywanych z nielegalnej działalności, rajów podatkowych, banków i przedsiębiorstw, a także długi wykaz urzędników, którzy dla niej pracują, wśród nich wielu adwokatów, prokuratorów, sędziów i policjantów. Zinowiew był zwykłym wykonawcą. Oficjalnie zajmował się importem i eksportem sprzętu

sportowego. W rzeczywistości jednak był płatnym mordercą organizacji z główną siedzibą w Rosji i oddziałami w połowie krajów Europy. Laura rozpracowywała ją od lat. Prowadzą wszelkiego rodzaju nielegalną działalność, ale największe zyski przynosi im dziecięca prostytutka. Chłopcy i dziewczynki ze wszystkich zakątków świata, im młodsze, tym lepiej, zresztą widziałeś część materiałów. Policji nie obchodzą zamknięte sprawy. Po śmierci Zinowiewa i Laury bilans się zgadza. Jesteś prawnikiem. Powinieneś dobrze o tym wiedzieć.

Gonzalo poruszył się niespokojnie. Owszem, był prawnikiem, ale prawnikiem przeciętnym, specjalistą od prawa cywilnego, o zbyt słabych nerwach, by brać się za niektóre rzeczy; nigdy nie miał ochoty angażować się w tego rodzaju sprawy i nigdy nie rozumiał, dlaczego jego siostra zostawiła wszystko, by zanurzyć się w tym szambie.

– Czego ode mnie chcesz?

– Nie chodzi o to, czego ja chcę, ale o to, czego chciałaby twoja siostra.

Siaka obiecał jej, że znajdzie miejsce, w którym przetrzymują Roberta, że go uratuje. Poprosił, żeby mu zaufała, nie mogli zaprzepaścić tylu lat cierpliwego oczekiwania. Kiedy Zinowiew pojawił się z chłopcem i kazał mu wsiąść do samochodu, Siaka próbował ją ostrzec, wysyłając wiadomość z jednym tylko słowem: jezioro. Ale przyjechała za późno. Siaka nigdy nie zapomni, co mu wtedy powiedziała, bliska utraty zmysłów, ani straszliwej nienawiści, którą zobaczył w jej spojrzeniu. Kiedy dowiedział się, że popełniła samobójstwo, pojechał do jej mieszkania. Był wystraszony, niepokoiło go, że policja znajdzie coś, co mogłoby go z nią powiązać. Bał się jednak nie policji, ale Matrioszki. Znalazł ukryty za szafą laptop i zdjęcie ich trojga, które zrobili sobie tego popołudnia, kiedy Laura pokazała mu dom, w którym się wychowała, i zabrał te rzeczy.

Był przekonany, że to oni sprzątnęli Zinowiewa. Stał się zbyt krnąbrny, robił wokół siebie za dużo szumu walkami psów, pobiciami i innymi wyskokami. Nikt nie kazał mu porywać, a tym bardziej zabijać Roberta. Na pewno przygotowali wszystko tak, żeby dowody obciążąły Laurę – kajdanki i zdjęcie przybite do piersi gwoździarką, którą policja znalazła później w jej mieszkaniu. Nikt nie przewidział, że popełni samobójstwo, ale oszczędziła im przez to pracy. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Znał sposób działania tych ludzi i znał Laurę. Nie potrafiłaby zrobić czegoś takiego Zinowiewowi, bez względu na to, jak bardzo go nienawidziła. To była

sprawka profesjonalistów, miał co do tego stuprocentową pewność. Obdarcie ze skóry, obcięte jądra... Jeśli znaleźliby jego, zrobiliby z nim to samo. Siaka mógł wydać wtyczki w policji, ujawnić nazwiska klientów, pokazać nagrania, po obejrzeniu których opinia publiczna zwróciłaby całą zawartość żołądka i nie mogłaby już dalej udawać, że to jej nie dotyczy. Obiecał Laurze, że doprowadzi sprawę do końca, dla Roberta, dla siebie samego, pod warunkiem, że go nie opuści. Przysięgła mu, że tego nie zrobi. Ale popełniła samobójstwo, zostawiając go samego.

Zamiast uciec, kiedy poczuł się zwolniony ze swojego zobowiązania, i zacząć nowe życie z dala od tego wszystkiego, przekazał laptop temu nieznanemu mężczyźnie. I stał tu teraz, zastanawiając się, czy powinien wsiąść do pociągu do Paryża. Dlaczego? Z powodu tamtej rozmowy, tamtego popołudnia nad jeziorem z fotografii. Znał Laurę i pracował dla niej już od trzech lat. W tym czasie mógł obserwować, jak rośnie Roberto, raz nawet zaprosiła go do domu i przedstawiła Luisowi, swojemu mężowi. Ale nigdy, aż do tamtego popołudnia, nie opowiadała mu o swoim życiu: o ojcu, o wspomnieniach zamkniętych w tamtych ścianach. Dobrych wspomnieniach, chociaż kiedy je przywoływała, jej twarz niespodziewanie zasnuwał cień.

Wtedy też pierwszy raz usłyszał o prawniku. Laura pokazała mu ich imiona wyryte na kładce nad strumieniem i miejsca, gdzie bawili się w lotników, opowiedziała mu o rzeźbach ze śniegu i lodu, które jej brat tworzył każdej zimy. Była z niego dumna, bolało ją, że tak się od siebie oddalili. „Jeżeli kiedyś coś by mi się stało, odszukaj go. Gonzalo zawsze potrafi sprawić, że rzeczy wracają na swoje miejsca. On ci pomoże”.

Siakę przestało obchodzić, co mogą mu zrobić. Najgorsze już zrobili, wszystko mu odebrali. Ale chciał się zdobyć jeszcze na ostatnie tryumfalne wejście, tym razem do sali rozpraw pełnej kamer i stenografów. Ostatni pokazowy numer Śnieżynki, zanim na zawsze rozpułynie się we mgle. Ten mężczyzna, którego tak wychwalała Laura, a w którym on na próżno starał się znaleźć odwagę, był jego jedyną nadzieją na odkupienie.

– Przekażę ci wszystkie materiały, którymi dysponuję: dowody, nagrania, wykazy, nazwiska... I hasło do tego poufnego folderu, ale zrobię to dopiero wówczas, kiedy będę miał pewność, że doprowadzisz sprawę do końca, bez względu na konsekwencje. Tego właśnie pragnęłaby Laura.

Gonzalo poruszył się z trudem, przykładając rękę do boku.

– Nie będę cię oszukiwał. To mnie przerasta.

Siaka otarł dłonią kroplę potu spływającą po karku. Gdyby ktoś przepowiedział mu w tym momencie przyszłość, orzekłby, że jest tak czarna jak jego skóra.

– Mój pociąg odjeżdża za trzydzieści minut. I nie mam zamiaru spóźnić się na niego bez powodu. Potrzebuję odpowiedzi, teraz. Ale najpierw chcę cię przed czymś ostrzec. Możliwe, że czujesz pokusę, by zająć się tą sprawą, bo sądzisz, że jesteś to winien swojej siostrze; jeśli tak jest, popełniasz błąd. Braterska miłość bardzo się chwali. Ale nie masz pojęcia, z kim zadzierasza. Nie wezmą się tylko za ciebie czy za mnie. Wezmą się za twoją rodzinę, za twoje dzieci, jak zrobił Zinowiew z Robertem. Jeśli zdecydujesz się na ten krok, musisz to zrobić dla siebie samego, rozumiesz?

– Nie mogę sam się tego podjąć. Musimy iść z tym na policję.

Chłopak stanowczo zaproponował. Udało mu się przeżyć wyłącznie dlatego, że Laura dotrzymała słowa i nie wyjawiała nikomu, kim jest.

– Żadnej policji. Twoja siostra ufała jakiemuś prokuratorowi, podam ci jego nazwisko, ale to wszystko, dopóki nie przekonam się, że naprawdę traktujesz to poważnie.

Gonzalo zamyślił się na kilka sekund.

– Znam kogoś, kto nam pomoże. Inspektor Alcázar. Pracował z moją siostrą. Na dźwięk nazwiska Siaka napiął mięśnie twarzy.

– Nie wiem, jakiego rodzaju policjantem jest teraz, wiem za to, jakim był trzydzieści pięć lat temu.

– Co masz na myśli?

Siaka podejrzliwie zmarszczył czoło.

– Naprawdę nie wiesz?

– Co mam wiedzieć?

– Twoja siostra opowiedziała mi, że wasz ojciec zniknął w sześćdziesiątym siódmym...

– Co to ma do rzeczy?

– Otóż ten gość, z którym pracowała, jej szef, prowadził śledztwo w tamtej sprawie.

Gonzalo był wtedy małym chłopcem, nie mógł pamiętać, że poznał Alcázara już w 1967 roku. Tamtego dnia podinspektor Alberto Alcázar miał na sobie cienką letnią koszulę w jasnym kolorze; przez środek czoła ściekała mu kropla

potu, wypływająca spod tupeciku, który wówczas nosił. Stał oparty o ladę, pił napój orzeźwiający i palił papierosa z filtrem marki Rex. Ojciec Gonzalo w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca jeździł do miasteczka po zakupy. W tamtych latach magazyn zaopatrzeniowy Rity był jedynym sklepem w okolicy, który sprzedawał towary w hurtowych ilościach. Można było znaleźć w nim wszystko – od narzędzi rolniczych po wapno niegaszone, kilkilitrowe baniaki z oliwą, korki do licznika i świece na długie noce bez prądu – awarie zdarzały się dość często. Elías Gil załadowywał stare renault po dach i przez całą drogę powrotną nad jezioro Gonzalo musiał znosić woń cebuli wydobywającą się z worków, które trzymał między nogami. Obrazy się zatarły, ale nie wrażenia węchowe. Gonzalo nie wiedział, dlaczego tak nie cierpi zapachu cebuli.

Tamtego ranka panował upał, wentylator w hurtowni nie działał. Alcázar od czasu do czasu spoglądał na Elíasa, który negocjował ze sklepikarzem cenę świec zapłonowych. Ich spojrzenia raz się spotkały – Alcázar zmarszczył wąsy, jakby poczuł smród. Zbliżała się noc świętojańska, Elías chciał, żeby jego żona Esperanza i córka Laura, wyglądały ładnie na potańcówce, którą mieszkańcy organizowali co roku nad jeziorem. Podszedł do lady, żeby wybrać ze szklanego słoja jedwabne wstążki w różnych kolorach. Słój stał przy łokciu Alcázara, który ruszył się zaledwie o milimetr. To nie wystarczyło, więc Elías podniósł głowę, przez kilka sekund spoglądał na podinspektora, po czym zapytał grzecznie, czy zechciałby się przesunąć, żeby mógł otworzyć pojemnik. Alcázar przyglądał mu się przez dłuższą chwilę z czymś na kształt uśmiechu, ale tak naprawdę tylko wyszczerzył zęby.

Elías przezornie skierował swoje jedyne oko w inną stronę, choć po sposobie, w jaki napiął szyję i ramiona, widać było, że przyszło mu to z trudem. Miał już pięćdziesiąt sześć lat, siwe włosy zrzedły mu po bokach i na czubku głowy, a zdrowe oko niemal całkowicie zasłoniły fałda mięsistej powieki i gęsta biała brew. Alcázar musiał mieć wówczas najwyżej trzydzieści lat, był niemal równie wysoki jak Elías, tak samo krzepki, jednak nie budził takiego autorytetu jak on, nawet uwypuklającym się przez spodnie pistoletem. Elías mógłby jedną ręką przerwać policjantowi tchawicę, zanim ten zdążyłby sięgnąć po broń. Krążyły o nim legendy dotyczące wydarzeń z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy to przeprowadzał na drugą stronę Pirenejów więźniów politycznych i ludzi uciekających przed reżimem.

– Mój ojciec przesyła ci pozdrowienia, Gil.

Elías wybrał purpurową wstążkę dla żony i złotą z lamówką dla Laury. Podał je Gonzalowi i kazał mu poczekać w samochodzie. Przed wyjściem z magazynu chłopiec usłyszał jeszcze gruby głos ojca zwiastujący burzę. Oczywiście tego nie pamiętał.

– Nie wiem, kim jesteś, ani nie wiem, kim jest twój ojciec. Ale nie podoba mi się twój ton.

Alcázar wybuchnął stłumionym śmiechem, przypominającym odgłos łańcuchów zwodzonego mostu. Złowrogi zgrzyt. Nieliczni klienci, którzy kręcili się pomiędzy półkami, próbowali stać się niewidzialni.

– Moim ojcem jest inspektor Ramón Alcázar Suñer. Mam wrażenie, że w przeszłości mieliście lepsze i gorsze chwile.

Elías przytaknął.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Myślę, że nadal nim jest.

Alcázar wzruszył ramionami.

– Zapytaj o to twoich czerwonych przyjaciół, których wysłał do paki albo sprzątnął.

– Wobec mnie zachował się w porządku. Tylko to się liczy.

– Możliwie, ale on jest już na emeryturze, a ja nigdy nie rozumiałem, dlaczego chroni kogoś takiego jak ty, w każdym razie to już się skończyło. Nie jestem moim ojcem i nie pozwoliłem ci, żebyś zwracał się do mnie na ty. Dla ciebie jestem podinspektorem Alcázarem. Zrozumiano?

Elías miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Sposób, w jaki Alcázar próbował udawać twardziela, był żaloszny, a zapach wody po goleniu Floïd, której używał policjant – nieprzyjemny. Przez moment zastanawiał się, jakie zdanie ma o swojej latorośli Ramón Alcázar. Przypuszczał, że nie najlepsze. Czasy się zmieniły, z biegiem lat dzieci coraz bardziej miękkie.

– Oczywiście, proszę mi wybaczyć.

– Podinspektorze.

Elías Gil pozwolił, by Alcázar zobaczył w jego oku błysk ironii.

– Przepraszam, podinspektorze.

Dwadzieścia dni po tym pierwszym spotkaniu, w noc świętojańską, kiedy rozlegały się jeszcze pojedyncze wybuchy petard, Elías zniknął bez śladu.

Jak wilki owce. Tak powiedziała matka na pogrzebie Laury, kiedy Gonzalo zapytał, czy zna Alcázara. Teraz rozumiał, co miała na myśli, a także powód,

dla którego przestała odzywać się do Laury, kiedy ta wstąpiła do policji. Nie chodziło tylko o artykuł, w którym jego siostra obaliła mit ojca, oskarżając go, że porzucił ich, kiedy byli dziećmi, a nie został zamordowany przez frankistowską policję, jak utrzymywała Esperanza. Matka nigdy nie wybaczyła córce oddania się pod rozkazy człowieka, który jej zdaniem utrudniał śledztwo w tamtej sprawie, żeby zatuszować zbrodnię.

Alcázar zgodził się przyjąć go w swoim małym gabinecie na ostatnim piętrze budynku, w którym miały siedzibę lokalne służby policji sądowej. Był to nie tyle komisariat, ile raczej centrum dowodzenia, z którego koordynowano prace poszczególnych brygad i służb. Gonzalo spotkał tu zaledwie kilku umundurowanych policjantów. Gdyby nie przypięte do pasków kabury i kajdanki, większość z nich mogłaby uchodzić za przykładnych pracowników pierwszej lepszej firmy. Było wśród nich sporo młodych ludzi, dzięki czemu panowała ożywiona atmosfera. Biuro Alcázara – wciąż jeszcze głównego inspektora – było jasne, duże okno wychodziło na ulicę, światło wpadało do środka przez przerwy między listwami żaluzji. Skromne wyposażenie stanowiły składane metalowe meble w różnych odcieniach szarości, tylko czarny fotel oraz wiszące na ścianach zdjęcia i dyplomy nieco ocieplały wygląd gabinetu. Siedzący przy biurku Alcázara Gonzalo miał czas przyrzeć się ramkom, kiedy inspektor nalewał kawy do plastikowych kubków. Alcázar długo pracował w zawodzie, odniósł wiele sukcesów, cieszył się uznaniem. Jego kariera miała jednak za kilka tygodni dobiec końca, o czym świadczyły stojące w kącie dwa kartony.

– Mam dosyć. Sprawa twojej siostry była ostatecznym bodźcem, którego potrzebowałem, żeby podjąć decyzję. Przechodzę na emeryturę, nie mam tu już nic do roboty. – Alcázar przesunął dymiący kubek w stronę Gonzala i zapalił papierosa. – Kto ci powiedział, że to ja prowadziłem śledztwo w sprawie twojego ojca? Esperanza?

Gonzalo wahał się przez chwilę. Przyszedł do inspektora po odpowiedzi, a nie po to, żeby odpowiadać na jego pytania.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, kiedy odwiedził mnie w moim domu?

– Mieliśmy z twoją siostrą umowę. Kiedy usiadła na tym samym krześle, na którym teraz siedzisz, zapytałem, czy wie, kim jestem. Oczywiście czytałem jej artykuł. Powiedziała, że wie doskonale i że właśnie dlatego przyszła. Gdyby uważała, że wszystkie te informacje, które latami rozpowszechniała twoja

matka, są prawdziwe, że to ja zabiłem Elíasa Gila i ukrywałem dowody, nigdy by mnie nie poprosiła, żebym ją przyjął do swojej jednostki, nie sądzisz? Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, z których nie jestem dumny, ale nigdy nikogo nie zabiłem. Czy nienawidziłem twojego ojca? Nieszczególnie. Oczywiście miałem go na oku. Był grubą rybą, dysydentem, związkowcem, a ja młodym policjantem z ambicjami, ale za każdym razem, kiedy chciałem go dopaść, ktoś mnie powstrzymywał.

– Sugeruje pan, że mój ojciec był pod ochroną policji? Że był kolaborantem?

Alcázar wyprowadził go z błędu.

– Zapewniam cię, że twój ojciec był człowiekiem o bardziej niż niezachwianych przekonaniach; w głębi duszy uważam to za godne podziwu. Wiem, że w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych został kilkakrotnie zatrzymany i że dali mu nieźle popalić. Nigdy się nie złamał; wiedziałbym o tym, lista kolaborantów była bardzo długa, zdziwiłbyś się na widok niektórych nazwisk, ale jego nigdy się na niej nie pojawiło. Nie, nie był kapusiem. Pod koniec lat sześćdziesiątych sprawy wyglądały już inaczej niż na początku, komuniści przestali być naszym głównym celem. W rządzie zaroilo się od technokratów; współpraca ze Stanami Zjednoczonymi i pewien boom gospodarczy zmieniły priorytety. Powiedzmy, że pragmatyzm wziął górę nad ideologią. Oczywiście nadal ścigano dysydentów, ale koncentrowaliśmy się raczej na uniwersytetach i na działalności baskijskich separatystów, ETA zaczynała przysparzać zbyt wielu problemów, a nas było mało. Poza tym twój ojciec uchodził za wzorcowego pracownika tartaku w dolinie; informacje, które przekazywał nam kierownik, były nieszkodliwe: żadnych konfliktów, żadnych burd. Jeżeli prowadził jakąś działalność – przerzucał młodych ludzi do Francji albo trzymał w domu broszury dla studenckich czy robotniczych związków zawodowych – to robił to tak, że o tym nie wiedzieliśmy. Nigdy go nie przyłapałem. Prawda jest taka, że był sprytniejszy ode mnie. Mogę powiedzieć ci jedynie to, czego twoja matka nigdy nie chciała przyjąć do wiadomości: twój ojciec was porzucił. Pewnego pięknego dnia uznał po prostu, że nie zniesie już dłużej tego banalnego życia, i odszedł. Nigdy nie odkryliśmy, dokąd się udał ani co spowodowało jego decyzję. Po prostu zaginął po nim ślad, tak jak po wielu innych. Bóg jeden wie, gdzie wylądował. Oto cała prawda.

Nie, to nie była prawda. Ale właśnie to chciał usłyszeć ten adwokat, a po

tylu latach kilka kolejnych kłamstw nie mogło wyrządzić większej krzywdy niż ta, którą już zrobiły.

– Zawarliśmy z Laurą pakt. Skoro nie da się zapomnieć o przeszłości, można przynajmniej odsunąć ją na bok, kiedy nam zawadza. Nawet jeśli od czasu do czasu się o nią potkniemy, staniemy na nogi i ominiemy przeszkodę, żeby pójść dalej.

Gonzalowi nie wydawało się to takie proste. Był przekonany, że podobnie podchodziła do tego jego siostra. Dla nich wspomnienie ojca było zbyt silne, zbyt wszechobecne. Miał mętlik w głowie, nie wiedział, co myśleć. Matka utrzymywała, że ojca zabiła policja, Laura napisała artykuł, którego tezę potwierdzał teraz Alcázar, być może interesownie. Ale miał rację: jego siostra nie pracowałaby z mordercą swojego ojca, musiała więc mieć niepodważalne dowody. W takim razie dlaczego, kiedy Gonzalo przeczytał tamten artykuł, stanowczo stanął po stronie matki? Może dlatego, że nie byłby w stanie znieść tej drugiej wersji: że ojciec – wizerunek, który stworzył, żeby móc go podziwiać – zostawił go z czystego egoizmu, kiedy był małym dzieckiem.

Ale nie dlatego przyszedł zobaczyć się z inspektorem; zamierzał go wysondować.

– Nadal pan uważa, że moja siostra zabiła Zinowiewa?

Wąsy Gonzala uniosły się w górę, kiedy zmarszczył nos, lekko zaniepokojony. W spojrzeniu adwokata, powiększonym przez szkła okularów, dostrzegł jakąś nieoczekiwaną presję. Alcázar doskonale znał wszystkie sztuczki prawników; ci sprytni nigdy nie zadawali pytań ani niczego nie sugerowali, jeżeli nie znali z góry odpowiedzi albo prawdy. Pytanie, czy taki był Gonzalo.

– Nie ja tak uważam; świadczą o tym wszystkie dowody.

Gonzalo złożył palce, tworząc pustą w środku piramidę. Siedział z łokciami opartymi o biurko i wysuniętą do przodu głową, jakby w tej przerwie między jego dłońmi znajdował się prawdopodobny porządek wypadków, którego inspektor nie był w stanie odkryć. Znowu odniósł wrażenie, że jego słabość – brak umiejętności kłamania – jest teraz bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek. Pomny ostrzeżeń Siaki, zapuścił się na obszar spekulacji, który był specjalnością jego teścia, a na którym on sam czuł się niepewnie.

– A jeśli powiedziałbym panu, że mam dowody na to, że Laura nie zabiła tego człowieka?

To nie była prawda, nie do końca. Załedwie przecucie, którego nie

rozwinął, niepodparte żadnym namacalnym dowodem – jeszcze nie. Sądząc po zdezorientowanej minie inspektora, zdołał jednak sprawić, by jego słowa zabrzmiały wiarygodnie. „Tak trzymać, Gonzalo, szybko się uczysz”, pogratiłował sobie w myślach.

– Odparłbym, żebyś mi powiedział, co to za dowody, i wznowiłbym śledztwo.

– Przecież za dwa tygodnie przejdzie pan na emeryturę. Mówił pan, że ma tego wszystkiego dosyć.

Alcázar przybrał surową, zdystansowaną postawę. Do tej pory siedział rozwalony w fotelu, teraz jednak wyprostował plecy, aż zaskrzypiała skóra oparcia, jakby tak naprawdę zaskrzypiała maszyna jego umysłu, który zaczął pracować na pełnych obrotach.

– Dlaczego nie powiesz mi, o co dokładnie ci chodzi?

O co mu chodziło? Sam tego nie wiedział, może chciał ująć sobie część ciężaru, który Siaka zrzucił na jego ramiona. Po omacku wkroczył na ścieżkę biegnącą wzdłuż skraju przepaści; przed zrobieniem fałszywego kroku mógł go uchronić jedynie instynkt.

– Myślę, że jestem w stanie udowodnić, że wszystko zaaranżowała Matrioszka, żeby obarczyć Laurę winą za morderstwo.

Wyraz umiarkowanego zaciekawienia, który do tej pory malował się na twarzy inspektora, momentalnie zniknął. Jego oblicze spochmurniało.

– Gdzie słyszałeś tę nazwę?

– Moja siostra miała współpracownika, człowieka z organizacji, który przekazywał jej informacje. Nie wiedział pan o tym?

Alcázar spojrzał na niego badawczo. Jego źrenice przestały się poruszać, przyszyte do oczodołów, jakby nagle stały się oczami popiersia.

– To poufna informacja. Jak do niej dotarłeś?

Gonzalo nie znosił gry w karty, partii, na które czasami zapraszał go teść, kiedy pełnił rolę wyłącznie statysty przed kolegami z jego klubu. Nie było żadnej logiki w tych szachrajskich pojedynkach, partie nie rozstrzygały się za pomocą trzymanyh w ręku kart, ale spojrzeń. Kto co wie? Kto blefuje? Kto ma lepsze karty?

Zanim zobaczył zdjęcia w laptopie Laury, nie rozumiał, dlaczego postanowiła zostać policjantką. Był w stanie zaakceptować powody, dla których zdaniem Luisa zdecydowała się zaangażować w ten świat plugastwa i smutku – Laura faktycznie nie miała powołania do tego, by biernie

obserwować własne życie, zawsze musiała być jego bohaterką, trzymać cugle. Mogła jednak skłonić się ku innym sposobom stawienia czoła tej pladze, niekoniecznie kosztem swojej kariery. Gonzalo zdziwił się tak samo jak Luis, kiedy wybrała policję – wszyscy myśleli, że nie nadaje się do tego rodzaju pracy, nie rozumiejąc, że pozory mylą. Jednak kiedy odkrył na odwrocie nadpalonej fotografii tanto słowo, dzięki któremu uzyskał dostęp do laptopa, zrozumiał. Matrioszki są grą pozorów, w której istnieje tylko jedna prawda. Pozornie prawda i jej odbicia są identyczne, co nie oznacza jednak, że są tym samym. Oczy wierzą w to, co widzą – pierwszą lalkę. Jeżeli wykazemy cierpliwość, uzyskamy dostęp do drugiej, nieco mniejszej, ale identycznej, i tak stopniowo wyjmujemy trzy, cztery kolejne figurki. Im są mniejsze, tym bardziej ukryte i bardziej prawdziwe. Aż docieramy do ostatniej, wielkości małego palca. Ta miniatura, starannie pomalowana, z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, żeby upodobnić ją do największej lalki, stanowi zarodek, jedyny powód tej gry pozorów. Właśnie owo jądro, w którego stworzenie artysta wkłada ogromny wysiłek i najszczerze chęci, jest początkiem wszystkiego. Dopiero kiedy otworzymy wszystkie lalki i ustawimy je w rzędzie według wzrostu, odkrywamy, że to, co identyczne, różni się i jest tylko drogą, by dotrzeć do ostatecznej tajemnicy.

Skomplikowane. Proste. Gonzalo mógł się założyć, że to Laura nadała operacji przeciwko siatce zajmującej się dziecięcą prostytutką nazwę tej gry pozorów. Jakby puszczała oko do przeszłości, prawdziwego powodu jej przystąpienia do tej gry, która teraz stanowiła wyzwanie dla niego. Gdzie jestem, Gonzalo? Daleko, pomyślał podczas wizyty w domu nad jeziorem, kiedy przypomniał sobie ich zabawy w chowanego. Teraz rozumiał, że wcale tak nie było. Laura nigdy dobrze się nie ukrywała, zostawała w pobliżu, żeby mógł ją łatwo znaleźć, bo wiedziała, że boi się samotności. Musi jedynie patrzeć, widzieć, odrzucić jedno po drugim pozory prawdy, żeby dotrzeć do autentycznej Matrioszki. Wszystko jest identyczne, wszystko jest inne. Gra – to tylko gra z jej zasadami.

Nie wie, pomyślał na widok powagi malującej się na twarzy inspektora. Nie wie o istnieniu Siaki. Laura mu nie powiedziała.

– Złożę formalny wniosek o wznowienie śledztwa.

Alcázar potarł głowę. Na karku, nad kołnierzykiem koszuli, zarysowała mu się głęboka bruzda. Próbował zachować spokój, ale właśnie jego opanowane ruchy zdradzały zdenerwowanie. Przez moment Gonzalo doświadczył *déjà vu*.

Tak było na spotkaniu, które odbył z byłym szwagrem w dniu, w którym poinformował go, że Laura nie żyje.

– Nie rób tego, Gonzalo. Nie mieszaj się do tego, nie warto. Przekaż mi dowody, powiedz, kto był informatorem, a ja sam wszystkim się zajmę. Masz rodzinę i całe życie przed sobą; nawet nie powinno cię tu być, przywiódł cię tu przypadek. Ale ja jestem to winny Laurze, była moją koleżanką.

Gonzalo zdjął okulary. Czasami lubił spojrzeć na świat o nieokreślonych kształtach, w którym wbrew temu, co wszyscy myśleli, widział lepiej, bo na nic zdawało się patrzeć. Niewyraźna twarz Alcázara, która była teraz tylko rozmazaną, dużą plamą, zapach kawy i papierosów. I przyspieszony oddech.

– Ja także jestem jej to winien, inspektorze. Laura była pańską koleżanką, ale moją siostrą.

Założył okulary. Wszystko znów się stopiło, niepodziwianie szybko wróciło do pozorów normalności. Ale było już za późno. Wstał, szykując się do wyjścia, przypomniał sobie jednak, że ma jeszcze jedno pytanie do inspektora, który za dwa tygodnie przestanie nim być.

– Po pogrzebie pojechał pan do mojej matki, prawda? To pan przekonał ją, żeby sprzedała mojemu teściowi działkę nad jeziorem.

Alcázar także wstał. Odzyskał normalny wyraz twarzy, jednak pojawił się w nim jakiś nowy niuans. Nie chodziło o groźbę, raczej o rezygnację osoby przekonanej, że zrobiła, co w jej mocy, żeby zapobiec nieszczęściu, i nie czuje się już zobligowana, by zrobić coś więcej.

– Z tego, co mi wiadomo, sprzedała ją nie tylko twojemu teściowi. Teraz jesteście współnikami, więc ty także korzystasz na transakcji.

W rzeczywistości nie było to takie pewne. Gonzalo nie podpisał jeszcze umowy.

– Dlaczego wstawił się pan za Agustínem Gonzálezem?

Alcázar powoli poruszył ciężkimi powiekami. Emerytura, którą miał dostawać, była śmieszna, musiał poradzić sobie inaczej. Od czasu do czasu zaglądał do kancelarii adwokackich, trochę tam myszkował i zostawiał swoje wizytówki. Zawsze było jakieś zlecenie dla kogoś, kto znał zasady gry.

– W przeszłości kilkakrotnie zetknęliśmy się z twoim teściem, on jako adwokat, ja jako policjant. Czasami nasze interesy były sprzeczne, ale zawsze utrzymywaliśmy dobre stosunki. Przedstawił mi sprawę, a ja zaoferowałem mu pomoc.

– Wie, że był pan szefem mojej siostry?

Alcázar uśmiechnął się, zadając sobie pytanie, czy naiwność Gonzala jest autentyczna, czy udawana.

– Czy dzieje się w tym mieście coś, o czym nie wiedziałby Agustín González?

Gonzalo dostrzegł w oczach Alcázara głębokie draśnięcie i nagle przyszło mu na myśl, że ten człowiek może być wieloma innymi ludźmi. I nie wszyscy są mili.

– Jak przekonał pan moją matkę? Co jej pan powiedział? Nienawidzi pana, nigdy by od pana niczego nie przyjęła, chyba że istniałby ku temu jakiś ważny powód.

Alcázar przycisnął wąsy dolną wargą. Czy przeszłość jest ważnym powodem dla osiemdziesięciosześcioletniej staruszki? Z pewnością, tak jak strach, że straci bezwarunkową miłość jedynego dziecka, które jej zostało, i umrze sama.

– O to powinieneś zapytać ją.

Zaraz po wyjściu na ulicę Gonzalo zadzwonił do Siaki. Chłopak odebrał po drugim sygnale.

– Widzę, że spóźniłeś się na pociąg do Paryża.

– Będą inne, myślę, że mogę trochę poczekać. Ja już podjąłem moją decyzję. A ty podjąłeś swoją?

– Zrobię to.

– Jesteś całkowicie pewien? Nie będzie odwrotu, mecenasie.

Gonzalo poczuł, jak poci mu się spod dłoni. Nie, oczywiście, że nie był pewien. Pomyślał o Javierze, o tamtym dniu na skałach, zanim skoczyli w dół. O strachu swojego syna, o jego niepewności, która zniknęła, kiedy wziął go za rękę. A kto teraz trzymał za rękę jego?

– Tak. Jestem pewien.

– Jak chcesz... Masz coś do pisania? Podam ci hasło do poufnego folderu.

Gonzalo wyjął z teczki kartkę i długopis. Oparł się o dach zaparkowanego samochodu, z telefonem uwięzionym między uchem a ramieniem.

Długopis zastygł bez ruchu, a komórka upadła na ziemię. Nie musiał zapisywać hasła, znał je na pamięć. Pięć dużych liter: IRINA. Odruchowo poszukał w kieszeni medalionu, który znalazł w kurtce lotniczej matki. Potarł palcami wygrawerowane dawno temu litery, nie do końca czytelne, których

widok zrobił takie wrażenie na Esperanzie, kiedy pokazał jej wyblakłe zdjęcie kobiety z dziewczynką na rękach.

Z telefonu leżącego na ziemi dobiegał głos Siaki.

– Mecenasio, jesteś tam?

Gonzalo podniósł komórkę.

– Zadzwoń do ciebie.

Dwadzieścia minut później wszedł do gabinetu Agustína Gonzáleza, nie zważając na gniewne protesty sekretarki. Teść rozmawiał przez telefon. Spojrzał na niego ze zdumieniem i dał sekretarce znak, żeby wyszła. Przez długą chwilę Gonzalo stał, odrzuciwszy nieme zaproszenie do zajęcia miejsca. Po skończonej rozmowie Agustín González splótł dłonie na biurku.

– Musisz mieć jakiś ważny powód, skoro wtargnąłeś w taki sposób do mojego gabinetu.

– Nie sprzedam domu.

– Co proszę?

– To, co usłyszałeś. Nie sprzedam i złożę odwołanie od decyzji mojej matki o sprzedaży jej siedemdziesięciu pięciu procent. Mam powody, by sądzić, że podpisała umowę pod przymusem.

Agustín Goznález nie mógł wyjść ze zdumienia. Spojrzał na Gonzala, jakby jego zięć był stuknięty.

– Złożysz doniesienie na samego siebie? Z tego, co mi wiadomo, to ty ją przekonałeś.

– Nie pogrywaj ze mną. Wiem, że wysłałeś do niej inspektora, który wykonuje dla ciebie zlecenia. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale udowodnię, że nadużył władzy, a jeśli to będzie konieczne, powołam się na stan umysłowy matki.

– Można wiedzieć, co ci się stało? Mieliśmy umowę.

– Nie zrozumiałbyś tego. Mógłbym usiąść naprzeciw ciebie i godzinami ci to tłumaczyć, a ty i tak byś nie rozumiał.

– Przypuszczam, że wiesz, co to oznacza.

– Wiem doskonale. Nici z fuzji i nie powiem, żeby było mi przykro z tego powodu. Porozmawiam z Lolą, będziemy musieli zmienić nasze plany, ale damy sobie radę.

Agustín z wściekłością walnął pięścią w biurko.

– Wydaje ci się, że z kim rozmawiasz?! Projekt zostanie zrealizowany z tobą czy bez ciebie, rozumiesz? Sprzedasz tę zasraną działkę albo doszczętnie cię zniszczę!

Gonzalo zamrugał powiekami, jakby wpadła mu do oka rzęsa. Jego pewność siebie zaczynała się chwiać.

– Czy ci się to podoba, czy nie, jestem mężem twojej córki i ojcem twoich wnuków. Jeśli spróbujesz mi zaszkodzić, zaszkodzisz także im.

– Nie bądź głupi. Oni są moją rodziną. Ty nie.

Gonzalo przełknął ślinę i wyprostował plecy.

– Rób, co uważasz za stosowne. Działka nad jeziorem nie jest na sprzedaż.

Wyszedł z gabinetu teścia z lekkością, jakiej dawno nie czuł. Zerknął kątem oka na sekretarkę Agustína Gonzáleza i zobaczył przykutą do drewnianego biurka skamielinę – owada bez życia w wiotkim ciele o zgorzkniałej twarzy. Byłem bardzo blisko, pomyślał. Bardzo blisko. Żwawym krokiem przeciął korytarz i wszedł do swojej kancelarii. Luisa pisała na komputerze służbową notatkę.

– Gdzie jest szyld z balkonu?

– W składziku. Dlaczego pytasz?

– Powieś go na dawnym miejscu i każ na nowo wymalować napis. Dużymi literami.

– Co się stało?

– Nie będzie fuzji.

– Mój Boże! A ja już w duchu pożegnałam się z kolejką po zasiłek.

Gonzalo rzucił zrezygnowane spojrzenie na stosy papierów piętrzących się na biurku swojej asystentki.

– Może oboje polegniemy, ale nie poddamy się bez walki... Jeszcze jedno: geranium. Posadź je z powrotem. Lubię je tam mieć.

– Jak Rosjanka z mieszkania obok?

Gonzalo oblał się rumieńcem.

– Nie bądź bezczelna. Jestem żonatą mężczyzną.

– Jasne, a ja chciałabym zachować dziewictwo do ślubu.

Coś w jego asystentce promieniowało dziwną satysfakcją. Gonzalo, mimo podjętej decyzji, nie był takim optymistą. Akty odwagi często oznaczały skok w przepaść o nieprzewidzianych konsekwencjach. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że w tej chwili on także był bliski tego, co niektórzy nazywają szczęściem.

Zadzwoił do Loli. Już się dowiedziała – ten skurczybyk, jego teść, był szybki. Gonzalo pozwolił, żeby się wyzaliła, wysłuchał jej pretensji, co chwila przerywanych płaczem, który był przejawem raczej oburzenia niż smutku. Ojciec należycie ją pouczył – przez dziesięć długich minut próbowała szantażu emocjonalnego, mówiąc o przyszłości dzieci, o domu i wszystkim, co tylko przyszło jej na myśl. Gonzalo cierpliwie słuchał.

– Porozmawiamy wieczorem, Lolu.

Rozłączył się, czując w gardle słodko-gorzki posmak. Nikt nie powiedział, że życie wychudzonego wilka będzie proste. Sięgnął po teczkę i spojrział na zegarek. Zdąży jeszcze dotrzeć do ośrodka w godzinach odwiedzin. Matka wszystko mu opowie. Po pierwsze, co takiego wie Alcázar albo czym się posłużył, żeby złamać jej sprzeciw wobec sprzedaży domu, a po drugie, kim była Irina, kobieta z medalionu. Tym razem nie pozwoli, żeby ukryła się w gąszczu milczenia czy uciekła na swoje wysepki wspomnień.

Wyszedł z gabinetu i ruszył w stronę windy.

W podziemnym parkingu przepaliła się jedna z jarzeniówek, pograżając w ciemności połowę miejsc. Gonzalo wcisnął guzik pilota, odgłos mechanicznie otwieranych drzwi i błysk kierunkowskazów wskazały mu drogę do terenówki. Jego miejsce znajdowało się na samym końcu, między dwoma grubymi słupami, które codziennie zmuszały go do wykonywania serii manewrów, zanim wpasował między nie samochód. Gdyby podpisał akt sprzedaży działki, dostałby podwójne miejsce na górnym poziomie, gdzie parkowali Agustín González i jego wspólnicy, nie ryzykując zostawienia lakieru na słupie. Jak pech, to pech.

Otworzył tylne drzwi, żeby położyć na siedzeniu torbę z laptopem.

– Hej, skurwysynie! Pamiętasz mnie?

Gonzalo zdołał jedynie lekko odwrócić głowę. Oślepił go niespodziewany błysk, otworzył usta, żeby krzyknąć, ale nie zdążył.

Coś ciężkiego uderzyło go w podstawę czaszki. Zakręciło mu się w głowie, wszystko wokół zaczęło tracić kontury. Drugi cios sprawił, że upadł twarzą na posadzkę. Wtedy poczuł, jak coś ostrego zaciekle wbija mu się w płuco – raz, drugi, trzeci.

9.

TOMSK. ZACHODNIA SYBERIA, POCZĄTEK MARCA 1933 ROKU

Byli wykończeni długim marszem po miękkim śniegu, w którym na niektórych odcinkach grzęźli po kolana. Szli od wielu dni przez fantasmagoryczne lasy, pokonując szarawe wzgórza i mokradła, bez przerwy poganiani przez strażników i pomagających im więźniów. Elías niósł na rękach małą Annę. Dziewczynka była bardzo blada, trzęsła się z zimna i chociaż matka próbowała ją ogrzać, jej stary szal nie wystarczał. Pod jego płaszczem oddychała trochę równiej. Irina nie chciała przyznać, że jest zbyt zmęczona, by nieść córkę, ale śpiewała jej piosenki, czule do niej przemawiała, wymyślała historie o mitologicznych stworach i pokazywała jej po drodze różne rzeczy, by zmienić tę podróż do horroru w znośną przygodę.

Jednak gdy wreszcie pozwolili im się zatrzymać, i ona zbladła na widok olbrzymiego kompleksu zabudowań ciągnących się wzdłuż zamarznętego brzegu rzeki. Dotarli do Tomsku, newralgicznego miejsca, w którym gromadzono wszystkich zesłańców, zanim rozdzielono ich po syberyjskich obozach. Na prawym brzegu rzeki Tom widać było lice drewniane baraki i wieże strażnicze. Po drugiej stronie rozpościerało się miasto, a za nim zagłębia węglowe. Zesłańców były tysiące i wciąż przybywali kolejni. Szwadrony przemieszczających się konno strażników pchały kolumny więźniów, kierując ich, niczym rzekę w stronę ujścia, do bramy otoczonej drutem kolczastym.

Elías patrzył na ten dantejski widok swoim jedynym okiem.

– Co za obłęd. – Do prowizorycznych pomostów przybijały olbrzymie barki, strażnicy zmuszali setki osób, by wchodziły do środka przez luki albo ustawiały się pod brezentowymi dachami. Francuz Claude pokręcił głową, przygnębiony.

– Ważne, żebyśmy trzymali się razem. Z rozmów strażników

wywnioskowałem, że władze nie były na to przygotowane. Jest nas za dużo, nie ma żadnej intendentury, już wybuchają niebezpieczne bunty. Podobno wczoraj doszło tu do masakry. Wyślą nas do obozów w dole rzeki, przy ujściu do Obu.

Irina spojrzała na niego przerażona. Wszyscy wyglądali jak zjawy, jednak zimno i strach były całkiem realne.

– To niemożliwe. Za Obem już niczego nie ma.

Claude wzruszył ramionami, spoglądając na nią swoimi dużymi oczami, które na tle wychudzonych policzków wyglądały jak dwie czarne wyłupiaste bańki.

– W takim razie wrzucą nas w nicość.

Elías nie potrafił się z tym pogodzić. Jak wielu innych wciąż uważał, że jego obecna sytuacja jest wynikiem straszliwej pomyłki i że w jakimś biurze na Kremlu ktoś już pracuje nad załatwieniem jego sprawy. Pozostali także chwyтали się nadziei, żeby nie ulec rozpacz. Niektórzy mieli synów albo braci w Armii Czerwonej czy w samej policji – ci byli najbardziej aroganccy i nawet strażnicy wydawali się w stosunku do nich hamować, tak na wszelki wypadek. Inni zasłaniali się niekwestionowaną niewinnością, matki z małymi dziećmi, gospodynie domowe czy robotnicy fabryczni, którzy popełnili jedynie drobne wykroczenia: nie zjawili się w pracy, napisali na ścianie łaźni publicznej jakiś ironiczny komentarz albo po prostu wyszli na ulicę bez wewnętrznego paszportu. Ogromną większość stanowili chłopci, którzy nielegalnie przedostali się do Moskwy czy Leningradu, uciekając ze wsi przed głodem. Byli pogodzeni z losem, wierzyli, że nie będzie zbyt okrutny. Liczyli na to, że zostaną odwiezieni do miejsc, z których przyjechali, gdzie odczekają trochę i znów spróbują dostać się do dużego miasta, tym razem z większym powodzeniem.

W obozie w Tomsku udało im się nie rozdzielić. Barka służąca za schronienie była pełna, nie dało się w niej oddychać, ale strażnicy nie pozwalali im się oddalać, a tym bardziej podchodzić do prowadzących do miasta mostów.

W ciągu tych dni Elías kilkakrotnie widział Igora krążącego po obozie. Stern zdobywał coraz większą władzę, a towarzysząca mu horda stronników wykazywała się coraz większym okrucieństwem. Przechadzał się po barkach i barakach z brzozowym kijem o zaokrąglonym, twardym końcu. Walił nim tych, którzy zostawali w tyle, niczym niecierpliwego pasterza starającego się za

wszelką cenę nie dopuścić do rozproszenia stada. Elías czuł, że dławi go straszliwa wściekłość, nieraz wyobrażał sobie, że podpełza nocą po śniegu do namiotu, który udostępnił Igorowi strażnicy, wchodzi do środka i podrzytna mu gardło we śnie.

Wiedział, że nie może tego zrobić, Igor był nietykalny, ale już samo fantazjowanie na ten temat przynosiło mu ulgę. Najbardziej jednak cierpiał na widok swoich dawnych towarzyszy biegnących za nim jak psy. Michael i Martin stali się stronnikami Igora. Chodzili za kolumnami więźniów, ograbiając tych, którzy zostawali w tyle, po czym spieszyli, by oddać swój łup Igorowi czy któremuś z jego zastępców. Elías przyprawiało to o mdłości. Któregoś ranka postanowił do nich podejść, żeby przemówić im do rozsądku, ale Claude uświadomił mu, że to nie ma sensu.

– Już próbowałem. Michael jest najgorszy. Sam wiesz, jak to jest z konwertytami – tłumią poczucie winy i wyrzuty sumienia przesadnym okrucieństwem. Jest przekonany, że zdoła przeżyć jedynie u boku Igora, i szczerze mówiąc, ma sporo racji. Jego szanse na ujście z tego z życiem są większe niż nasze.

– Za jaką cenę?

Claude spojrzał na niego jak na wariata albo dziecko, które nie rozumie tego, co ma przed nosem.

– Za jaką będzie trzeba, Elíasie. Człowiek może żałować swoich czynów jedynie wówczas, kiedy ma przed sobą życie, które będzie mógł wypełnić wyrzutami sumienia. A żeby żyć, trzeba się stąd wydostać.

Uwagę Elíasa zwróciła pewna staruszka. Była tak słaba, że ledwo mogła utrzymać się na nogach, kiedy wstała, by pójść do nędznej latryny, którą więźniowie wykopali w twardym śniegu gołymi rękami. Nawet odrobina prywatności była niewyobrażalnym luksusem, jednak staruszkę otoczyła grupka kobiet, chroniąc ją własnymi ciałami przed spojrzeciami innych, kiedy załatwiała swoje potrzeby. Nie, Claude się mylił, jego cynizm był tak naprawdę kolejną tarczą, za którą się chronił. Godność miała znaczenie, była jedyną rzeczą, która pozwoli im spać przez resztę nocy, jeśli wyjdą z tego cało. Ktoś, kto uważnie przyglądał się tej ruchomej masie, mógł dostrzec pośród rozpaczliwych drobnych gestów, które pozwalały wierzyć, że nie zatraciły się litość ani poczucie człowieczeństwa.

Ludzie nadal łączyli się w grupy ze względu na pokrewieństwo, stare bądź nowe przyjaźnie, wspólne zainteresowania. Okrywali się nawzajem

płaszczami albo nielicznymi obszarpanymi kocami, dzielili się naftą, drewnem na opał i jedzeniem, którego nigdy nie starczało. Wciąż byli ludźmi, łączyła ich nędza, tłumili strach, śpiewając stare piosenki, które wykonywane pod rozgwieżdżonym niebem, przy żarze ogniska miały dla niego, młodego cudzoziemca, tajemniczą, magiczną moc. Bohaterstwem było przeżyć, nie poddając się temu, co nieuniknione, nie tracić nadziei, być w stanie zdobyć się na gest sympatii wobec innych, zachować resztki przyzwoitości, której można by się ucześcić.

– A co z Martinem? – zapytał, wskazując rudego Anglika, który łąził za Michaeliem z nieprzytomnym spojrzeniem i malującym się na twarzy poczuciem winy.

Claude zakasłał głucho i wypluł ciemny skrzep krwi. Gorączka wróciła, była coraz wyższa. W jego oczach pojawiły się niedowierzenie i ironia.

– Martin jest zakochany w Michaelu... Nie rób takiej zdziwionej miny. Naprawdę się nie zorientowałeś? Przyłapali ich w rządowym budynku ze spuszczoneymi spodniami. Sodomia jest grzechem głównym także w dyktaturze proletariatu. Wolność to przywilej mężczyzn, nie kobiet czy zniewieścialsów. Dlatego ich tu zesłali. Poza tym nasz rudy kolega jest zbyt słaby, ma duszę greckiego efeba, pozostaje mu tylko być cieniem Michaela. Pójdzie za nim na dno piekła, jeżeli ten go o to poprosi.

Elías nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy pociągają go mężczyźni.

– Czemu się tak uśmiechasz? – zapytał Claude.

Hiszpan poklepał go po ramieniu.

– Nawet w najgorszych miejscach można znaleźć pocieszenie w rzeczach pięknych. Tak mówił mój ociec.

– Co jest pięknego w ziemi, która cię nienawidzi?

– Najwyraźniej to tu Martin znalazł miłość swojego życia.

Znów zaczął padać śnieg, ale ludzie nie biegli już, żeby się przed nim schronić. Nie było daszków ani brezentowych płacht, pod którymi mogliby się ukryć. Większość stała nieruchomo, niczym gliniane posągi, które powoli zaczynają się rozpuszczać.

Wydawanie posiłków było najgorszym momentem dnia w Tomsku. Rozdrażnione z powodu głodu i pragnienia istoty ludzkie zapominały o swoim człowieczeństwie i zamieniały się w dziką hołotę, której zależało jedynie na

tym, by schwytać jedną z pająd chleba rzucanych z daleka przez strażników. Gryziono, kopano, bito i deptano – byle tylko zdobyć jedzenie. Najślabi nie mieli żadnych szans – starcy i małe dzieci byli zdani na opiekę członków rodziny albo miłosierdzie kogoś, kto chciał się nad nimi zlitować. Elías i Claude stworzyli zgrany zespół. Wypracowali własną technikę – kiedy miała być rozdawana żywność, nie dawali się ponieść nerwowej histerii, która porażała więźniów niczym prąd. Jak dobrana para ze spokojem stawali jak najbliżej miejsca, z którego rzucono jedzenie. Kiedy nadchodził wyczekiwany moment, przystępowali do połączonego, skutecznego ataku.

Elías był wysoki, dość szybko doszedł do siebie po pobiciu, a po incydencie z Igorem zaczął budzić strach, który potęgował, zdejmując bandaż z zapadniętego oka. Pusty, ciemny oczodół odstraszał najbardziej lękliwych. Z łatwością torował sobie drogę, nie wahając się użyć rąk i nóg. Kiedy rywale zostali już zatrzymani, Claude, który był znacznie szybszy, puszczał się biegiem, skakał po ludziach i niczym zawodnik rugby chwycił jedzenie w powietrzu. Przy odrobinie szczęścia w niektóre dni udawało im się zdobyć pożywienie dla siebie, Iriny i jej córeczki. Kiedy indziej musieli po prostu dzielić głód. Posiłki nie były rozdawane sprawiedliwie, ale też nikt nie oczekiwał, że tak będzie. Nieliczne kobiety, zdecydowana mniejszość więźniów, bez wahania i bez skrupułów oferowały swoje ciała strażnikom i innym zesłańcom. Zaczęły się gwałty i molestowanie, nikt jednak nie miał głowy, żeby się tym zajmować.

Igor i tacy jak on bezceremonialnie kradli innym to, co chcieli mieć. Stern zorganizował sprawnie działający czarny rynek ukradzionych artykułów, z którego najślabi musieli korzystać, żeby przeżyć. Wszystko było wymienne i miało ustaloną cenę: ciało, praca, osobiste przedmioty. Elías patrzył przerażony, jak jakiś staruszek wyrywa sobie złote zęby, żeby kupić chleb, którego sam już nie będzie mógł zjeść, ale którym nakarmi wnuki. Ludzie oddawali dowody osobiste, już nieprzydatne, książki, rodzinną biżuterię, koce, ubrania... Wszystko. Czasami za nic. Nie było gdzie złożyć reklamacji, jeśli Igor pod wpływem kaprysu postanowił zatrzymać zapłatę, nie wydając tego, za co ją uiszczono.

W panującym chaosie Michael dał się poznać jako skuteczny księgowy swojego nowego pana. Wkrótce ten niski człowieczek o grubych, mocnych nogach zyskał w obozie ponurą sławę. W noszonym pod pachą notesie zapisywał wpływy, łapówki, które należało dać strażnikom, długie, które

egzekwowano za barakami metodą pobicia albo dźgnięcia nożem, zazwyczaj po zmierzchu, czy nazwiska osób, które z jakiegoś powodu mogły być interesujące dla Igora: donosicieli, ludzi gotowych mu służyć, a także potencjalnych wrogów, którzy powinni zostać wyeliminowani, zanim zyskają niebezpieczną przewagę. Martin, zgodnie ze słowami Claude'a, chodził za nim jak cień, coraz bardziej wymizerowany i milczący, w przeciwieństwie do Michaela, bezwzględного i porywczego, zawsze skorego do użycia siły, zwłaszcza kiedy czuł, że obserwuje go Igor albo któryś z jego zastępców.

Tamtego ranka Elías i Claude szykowali się do walki o prowiant, kiedy zobaczyli zbliżającego się Igora. Kroczył niczym marszałek, który ogląda linie wroga, zanim wyda swoim ludziom rozkaz do ataku. Ze spokojem i uśmiechem, jaki zdobi twarze tych, którzy wiedzą, że pociągają za sznurki przeznaczenia. Tuż za nim szli Michael i rudy Martin.

Igor Stern był szczęśliwy, jak każdy mężczyzna, kiedy czuje, że znalazł dla siebie właściwe miejsce w świecie. A on wreszcie trafił na swoje – pogrążone w chaosie, gdzie brutalna siła instynktu bierze górę nad okowami cywilizacji. Pierwszy raz w życiu wiedział, że jest wolny. Mógł być tym, kim był, bez strachu i zahamowań; nie miał jednak nic wspólnego z pozostałymi więźniami kryminalnymi ani z tymi pchłami, które pierwszego dnia wskoczyły mu na grzbiet, Martinem i Michaeliem. Nie zamierzał się zadowolić przeżyciem i pofolgowaniem swoim instynktom. Dał sobie czas, by spokojnie się zastanowić, jak wykorzystać tę niepowtarzalną szansę. Miał świadomość, że nigdy nie zostanie carskim bojarem ani oficerem Czerwonej Gwardii, nie ożeni się też z księżniczką na wygnaniu. Płynie w nim zatruta krew, nie błękitna, ale czerwona i purpurowa. Dlaczego jednak miałby nie marzyć o dacy nad Bajkałem? Dlaczego nie miałby się widzieć w jednym z tych pojazdów z silnikiem, które zaczynały jeździć po ulicach dużych miast?

Może, jeśli wszystko dobrze pójdzie, któregoś dnia mógłby nosić surdut, spędzać starość przy kominku, otoczony wnukami i psami w jakimś pałacu dawnych carów; mógłby przeczytać wszystkie te książki, których tyle napisano, podyktować jakiemuś skrybie swoje przygody, obracać się pośród wysokich urzędników, może spotkać samego Stalina, pójść do opery i zostać przyjętym na prywatnej audiencji przez Orłową, a w tym czasie jego imperium samo by się rozrastało. Na wojnach większość ludzi cierpi i ginie. Ale niektórzy potrafią dostrzec w tym cierpieniu szansę. A czy nie byli teraz na wojnie? Mieć wszystko. Tego pragnął. Bogactwa, władzy i czasu, żeby się nimi

cieszyć. Na zawsze zostawić za sobą przeszłość syna żydowskiego furmana. Nagle zaczął brać pod uwagę możliwość, że się zestarzeje, że będą mu mijały kolejne lata i będzie odnosił sukcesy, on, który zawsze myślał, że przed trzydziestką stanie się pożywką dla robaków, skona w zimnym rowie, w jakiejś biednej dziurze od ciosu noża w plecy.

Spojrzał na chwiejną masę ciał, które posuwały się naprzód i cofały niczym fale rozbijające się o skałę utworzoną przez oddział żołnierzy rozdających żywność. Widać było, że otaczający ich wygłodniały tłum budzi w nich niepokój; byli zbyt młodzi. Bali się i mieli broń palną. Złe połączenie.

Wtedy dostrzegł w szarej masie płaszcz khaki należący do Hiszpana, którego pozbawił oka w wagonie. Na jego twarzy błysnął uśmiech zadowolenia. Wyzwania go podniecały. Nie widział go, odkąd wyjechali z Moskwy, myślał, że nie żyje. W głębi duszy ucieszył się, że tak nie jest. Odwrócił się i przywołał do siebie Michaela.

– Czy to nie wasz kolega, hiszpański inżynier?

Michael zobaczył Elíasa i stojącego z nim Claude'a. Obaj mierzyli go z daleka surowym spojrzeniem. Przytaknął.

– Dlaczego tu jest?

Michael rozejrzał się wokoło. Dlaczego oni wszyscy tu są? Z powodu kopalni uranu, z powodu wydobycia minerałów, z powodu kilku szalonych biurokratów, którzy potrzebują ogromnych ilości niewolniczej siły roboczej do skolonizowania Syberii. Pretekst, pod jakim przykuto ich do tej nieszczęsnej ziemi, nie miał znaczenia.

– Pisał do ojca listy, w których krytykował Stalina i system komunistyczny.

Igor z ironią pokręcił głową. Jego ojczyzna jest wspaniała. Mogłeś gwałcić, zabijać, kraść, o ile nie robiłeś tego z przyczyn politycznych. Gorszym przestępstwem mogło się okazać jedno słowo. Wyrok za żart na temat matki Stalina był porównywalny z tym za gwałt: dziesięć lat. W tych dziwnych czasach słowa stały się jak morze odłamków szkła, po których niektórzy ludzie stąpali bosymi stopami. Najbezpieczniejsze było milczenie. Mimo to nadal istnieli naiwniacy i idioci, którzy się nimi posługiwali, niepomni ryzyka.

– Idź i mu powiedz, że dziś w nocy chcę z nim porozmawiać.

Michael przytaknął ze spuszczoną głową, zawstydzony. Niczym pies-zjawa podszedł do swoich dawnych towarzyszy. Igor Stern zacierał z zadowolenia ręce w ciężkim powietrzu poranka. Czuł się panem świata.

Elías zobaczył zbliżającego się Michaela. Claude chwycił go za łokieć.

– Zachowaj spokój – szepnął.

Trzej przyjaciele stali naprzeciw siebie. Minęło zaledwie kilka tygodni, od kiedy pełni planów na przyszłość śmiali się razem w przedziale pociągu wiozącego ich do ZSRR, a teraz spoglądali na siebie nieufnie, z nienawiścią. Nie został nawet ślad po tym, kim byli.

– Jak możesz to robić? – wypalił prosto z mostu Elías.

Michael zniósł jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

– Bo tak było najłatwiej – powiedział cynicznie. – Kwestia obliczeń. Największa szansa na sukces. Wzór na znalezienie niewiadomej – to właśnie robią matematycy. Kiedy raz podejmiesz decyzję, nie musisz już myśleć o innych możliwościach.

– Kanalia z ciebie – warknął Claude. Michael wybuchnął szczerym śmiechem. Uniósł brew i z rozbawieniem spojrzał na Francuza.

– W szekspirowskim stylu, co nie? Czarny charakter jak się patrzy, potrzebny, żeby bohater zabłysnął na końcu dramatu. Którym jestem, Otellem...? – Nagle jego twarz przybrała twardy wyraz. – To nie jest żadna przeklęta sztuka teatralna. To pierdolone życie, rozumiesz? Więc zachowajcie żale na czas, kiedy hagiografowie będą spisywać wasze pośmiertne biografie: „Znałem Michaela, zdrajcę”. Czas nas osądzi. A na razie robią to żywi – powiedział, po czym odwrócił się do Elíasa. – Stern chce cię widzieć dziś w nocy w swoim namiocie.

Elías zacisnął pięści. Podniósł bandaż – ropień w oku nadawał mu przerażający wygląd.

– Powiedz swojemu panu, że ten pies nie ma łańcucha.

Michael nie dał się zastraszyć.

– Nadal nic nie rozumiecie. Tutaj nie ma wyboru. Jeśli nie pójdziesz z własnej woli, przyjdzie po ciebie. I nie będzie miły ani dla ciebie... ani dla nich. – Michael wskazał Irinę.

Niosąc na rękach Annę, torowała sobie drogę do drewnianej zagrody z końmi pilnowanej przez jednego z żołnierzy. Zwierzęta grzebały w ziemi kopytami, wypełniając powietrze parą. Irina powiedziała mężczyźnie coś, czego Elías nie mógł z daleka usłyszeć. Strażnik wybuchnął śmiechem, podniósł deskę parkanu i pozwolił jej podejść do koni. Irina przykładła twarz dziewczynki do ich nozdrzy, żeby ogrzały ją swoim oddechem, jak w saunie. Potem strażnik coś do niej krzyknął, Irina posadziła córeczkę na ziemi, a mężczyzna włożył kobiecie brudne dłonie pod bluzkę, odsłaniając jej pierś,

po czym poprowadził ją na tyły ogrodzenia. Elías odwrócił wzrok, zawstydzony.

– Wszystko może łatwo ulec pogorszeniu, Elíasie. Nie zapomnij, dziś w nocy – ostrzegł go Michael i odszedł.

Igor stał nieruchomo w wejściu do namiotu, patrząc w mrok. Zastygłymi oczami w milczeniu obserwował ciemność, węsząc, wsłuchując się w dobiegające z oddali jęki, które nagle przeszły w przyprawiający o ciarki skowyt agonii. On jednak stał nieporuszony. Może bezkresna ciemność działała na niego uspokajająco. Chwilami można było odnieść wrażenie, że na jego twarzy maluje się smutek – z gatunku tych, które biorą się z kompletnej samotności – ale rzucane przez lampę naftową blaski i cienie tworzyły pantomimę i jego twarz ciągle się zmieniała, od złości do spokoju i na odwrót.

Po minucie odwrócił się do Elíasa i wbił w niego złowrogie spojrzenie. Chłopak starał się dzielnie trzymać, choć czuł, że ten morderca w każdej chwili może poderżnąć mu gardło. Nie byli sami w namiocie. Dwóch zaufanych więźniów siedziało w głębi skulonych pod kocami. Jeden z nich żuł kawałek solonego mięsa, nie będąc w stanie go przełknąć. Michael i Martin odprowadzili Elíasa do namiotu, ale nie weszli do środka. Nie mieli prawa.

– Jak oko? – zapytał Igor miłym głosem, jakby nie miał z tą sprawą nic wspólnego. W Elíasie wrzała krew, ale instynkt samozachowawczy i strach były silniejsze niż wściekłość.

– Radzę sobie.

Igor pokiwał głową. Obszedł Elíasa naokoło, węsząc jak podchodzący do leżącej na śniegu padliny drapieznik, który boi się zasadzki.

– Oko nie jest nieodzowne. Zostało ci jeszcze jedno, przynajmniej na razie. – Położył dłoń na ramieniu Elíasa, po czym przeciągnął nią po palcie. – Nadal chcę dostać twój płaszcz. To uczciwy układ: oko za część garderoby, którą będziesz mógł komuś ukraść.

Namiot przypominał mały magazyn, w którym gromadzono wszelkiego rodzaju towary: walizki, ubrania, jedzenie, papierosy. Igor miał na sobie stary sweter z szarej wełny i miękkie damskie futro. Niepotrzebny był mu płaszcz Elíasa.

– To kwestia zasad, rozumiesz? – powiedział, odgadując myśli Hiszpana. Poszedł w kąt namiotu i zaczął grzebać w kupie gratów, aż znalazł to, czego

szukał: książkę w zniszczonej okładce.

– Zabrałem tę książeczkę jakiemuś chłopakowi. Zwróciło moją uwagę, że podczas zamieci jest tak pogrążony w lekturze, jakby nic nie obchodziło go bardziej niż jej słowa, nawet to, że może umrzeć z zimna. Powiedziałem więc sobie: to musi być coś ważnego. Kiedy go o nią poprosiłem, nie chciał mi jej oddać, walczył, jak ty walczyłeś o ten obszarpany płaszcz. Czy to nie absurdalne? Czepiamy się rzeczy, które do nas nie należą; nawet nasze życie nie jest naszą własnością, ale przynajmniej je powinniśmy starać się zachować. – Igor kręcił głową, jakby faktycznie trudno mu było zrozumieć ten rodzaj przywiązania. Wyciągnął rękę, a jeden z jego ludzi, niczym wytresowana małpka, podał mu manierkę. Cuchnęła wódką. Igor pociągnął długi łyk i wytarł usta rękawem futra.

– To tylko przekłeta książka, a ten idiota dał się zabić za kilka słów! – zakpił więzień żując kawałek suszonego mięsa. Drugi dorzucił jakieś bluźnierstwo, którego Elías nie usłyszał. Igor przekartkował książkę z ironicznym uśmiechem.

– Kto wie, może szczęście znajduje się pośrodku, między prawdą a pragnieniem. Jak sądzisz? – zapytał Elíasa, po czym zaraz się uśmiechnął, jakby sam nie traktował poważnie tej kwestii. – Rozumiesz, dlaczego muszę mieć twój płaszcz? Syberyjski wilk bierze to, co chce, bez udzielania wyjaśnień.

Zapadła napięta cisza, słysząc było jedynie łopot brezentu na nocnym wietrze.

– Nigdy nie widziałem syberyjskiego wilka. Ale z tego, co mi wiadomo, są drapieżnikami, które nie dążą do bezpośredniego starcia, jeśli nie mają pewności, że wygrają. Także kozy i muły potrafią wierzgnąć i złamać komuś kręgosłup.

Zastępcy Igora podnieśli się, gotowi interweniować, ale szef ich powstrzymał. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i szczerzy podziw. Wiele by dał, żeby mieć wśród swoich ludzi tego uparciucha, zamiast tych dwóch zagranicznych kurewek, koślawca i rudego pedała. Zawsze gardził służalcami i tchórzami, a podziwiał tych, którzy patrzyli tak jak ten chłopak, jakby nie miał nic do stracenia, walcząc, by zapanować nad strachem, który paraliżował go w tym momencie. Ale wiedział, że Elías nie ugnie się przed nim, nosił to w sobie, ten płomień, który niewielu ludzi potrafi utrzymać. Żałował, że tak jest.

– Jak sądzisz, co się stanie, kiedy przewiozą nas w dół rzeki, do miejsca, gdzie nie będzie strażników, jedzenia ani schronienia? Nie będzie tam nic, oprócz mnie. Nie będziesz się miał gdzie ukryć, nie będzie czego się uchwycić, ani nadziei, ani możliwości. Będziemy jedynie wyspa, rzeka, step i ja.

Igor gwałtownie chwycił dużymi dłońmi twarz Elíasa i zerwał mu bandaż zakrywający pusty oczodół. Przysunął usta tak blisko, że wydawało się, iż odgryzie mu nos.

– Zachowaj to oko, mój przyjacielu. Chcę, żebyś sam zobaczył, jak wokół ciebie wali się świat. Znam ludzi takich jak ty. Uważacie się za lepszych, myślicie, że nie ulegniecie przerażeniu i chwytnie się drobnym rzeczom, jak ten głupiec, któremu obciąłem ręce, żeby wyrwać mu książkę. To bezużyteczne gesty, uwierz mi. Nie ma bohaterów w piekle, a tam właśnie się udajemy.

Igor powoli wypuścił z rąk wystraszoną twarz Elíasa. Przysunął książkę do lampy naftowej i pozwolił, by płomień nabrał życia, liżąc jej stronicę.

– Nie zabiorę ci płaszcza. Będę siedział i czekał, aż sam przyjdiesz mnie błagać, żebym go przyjął. A kiedy to zrobię, użyję go jako całunu, w którym cię pogrzebię. I będziesz mi za to wdzięczny.

Elías zwymiotował, zanim wszedł do chaty służącej im za schronienie. Lodowaty pot spływał mu po całym ciele, musiał zaciskać mocno dłonie, żeby przestały drżeć.

Z chałupy wyszła Irina. Księżyc w pełni nadawał jej twarzy widmowy wygląd, który sprawiał, że zlewała się ze śniegiem. Elías wyprostował się, zawstydzony, ale ona udała, że nie widzi brunatnych wymiocin na ziemi, zignorowała też mokrą plamę, która utworzyła się wokół jego rozporoka. Uśmiechała się do niego i ten uśmiech był niczym ogień, przy którym szuka się schronienia.

– Nie tak łatwo mnie wykończyć – powiedział Elías. Musiał wypełnić płuca zimnym powietrzem, oddalić się od całego tego plugastwa.

Pomineła milczeniem ten młodzieńczy wybuch arogancji. Elías nie musiał jej niczego udowadniać, ale czasami mężczyźni mają potrzebę wierzyć, że nie są już wystraszonymi chłopcami.

– Wiem, że widziałeś mnie dziś rano ze strażnikiem na ogrodzonym placu. Zauważyłam, jak na mnie patrzyłeś.

Elías posłał jej długie spojrzenie, ale nie odpowiedział.

– Nie jestem dziwką – usprawiedliwiła się, niepotrzebnie będąc dla siebie tak surowa.

Elías oblał się rumieńcem.

– Nie powinnaś tak mówić, Irino. Nawet tutaj.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Nie bój się. To moje słowa, nie twoje. Ty jesteś jedynie echem.

Było w tym chłopaku coś, co przypominało jej męża. Przerazało ją to i pociągało w równej mierze. Głupi idealisci, gotowi stracić wszystko z powodu zwykłej dumy. Mężczyźni oschli na zewnątrz, a wewnątrz wzburzeni jak wartka rzeka, nerwowi, odporni, ale uparci i trudni do oswojenia. Miał na imię Wiktor. W karcie zatrzymania figurowała informacja, że jest nauczycielem gry na pianinie w obwodowym konserwatorium. Miał w sobie mnóstwo pasji, co oznaczało, że był wolnym człowiekiem, bo nie bał się życia. W pamięci Iriny wyrył się jego oniemiały uśmiech, kiedy przyszli go aresztować, jakby chodziło o jakiś żart. Taki właśnie był. Naiwniak, który ubierał się w żywe, wesołe kolory i patrzył na wszystko jak zdziwione dziecko. Orędownik wielkich utopii, które nigdy nie nastawały, ale zawsze były w drodze. Rosyjski Żyd, który czytał Schopenhauera, który recytował Maupassanta, Rimbauda, Verlaine’a, który godzinami studiował Barbusse’a, francuskich symbolistów i niemieckich ekspresjonistów.

Jak wszyscy marzyciele, także jej mąż był przekonany, że wielka Rosja to Rosja teatru, muzyki i literatury. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że tutejsi mężczyźni i kobiety mogą być tak samo głupi, podli i okrutni jak mieszkańcy innych części świata. Uwielbiał nadwrażliwy język Lorki. Wolał go od Majakowskiego, bardzo dosadnego i prozaicznego. „Własne wino zawsze ma najbardziej cierpki smak”, mawiał pół żartem, pół serio. Twierdził, że Lorca z ogromną godnością znosił tę długotrwałą chorobę, jaką jest życie. Dlatego rozstrzelali Wiktora: chciał wyleczyć się z tej agonii, bronił się przed przyjęciem do wiadomości, że jedynym lekiem jest rezygnacja i pogodzenie się z tym, że wiatraki zawsze będą silniejsze od ręki, która próbuje je pokonać. Jej mąż zginął jak wszyscy wizjonerzy, przekonany, że jedyną rzeczą, która może uratować człowieka, jest braterstwo narodów, nie ich heroiczne dzieje. Głoszenie tego, opisywanie i propagowanie było niedopuszczalną zdradą.

Ona została skazana na trzy lata łagru za współudział. Jak mogła nie

współuczestniczyć w życiu swojego męża? Na dole nakazu aresztowania zapisano, że ojciec jej córki jest nieznany. Kolejne upokorzenie, zaprzeczenie, które odbierało Annie godną przeszłość. Kiedy go zabrali, mała dopiero uczyła się pierwszych słów. Była nieśmiałą dziewczynką, która zaczynała badać świat swoimi niepewnymi rączkami, jej głos przypominał kwilenie drżącego z zimna pisklęcia, tylko ojciec potrafił ją uspokoić. Wiktor całym sercem kochał córkę, ale kiedy dorośnie, kiedy Iriny już nie będzie, ci, którzy go zabili, powiedzą Annie, że jej ojciec był nikim, przekonają ją, że jej matka była dziwką, która poczęła ją bez miłości z jakimś nieznajomym gdzieś na pryczy. Jak zrobiła to ze strażnikiem – rozłożyła nogi w zamian za odrobinę ciepła dla córki. Kiedy żołnierz obrócił ją na brzuch, napotkała spojrzenie dziewczynki, widziała ją pomiędzy nogami koni, jej małe, pełne niedowierzania oczka. I podczas gdy żołnierz, sapiąc, nacierał na nią od tyłu, Irina uśmiechała się i mówiła córeczce, żeby nie płakała, że to tylko taka zabawa. Choć dla niej była to kara nie do zniesienia.

– Teoretycznie powinni byli mi ją odebrać i oddać do domu dziecka. Ale tak się nie stało. Sędzia, który podpisał nakaz zesłania, zdawał się przejmować jedynie tą nieprawidłowością. Taki jest problem z urzędnikami – nie chcą patrzeć na ludzi, na ich twarze, ich włosy, ich skórę. Bez przerwy szukają ich w tych swoich żalosnych papierach i nawet nie zdają sobie sprawy, że ich tam nie ma. Że mają ich przed sobą. Zasługują na pogardę nie z powodu tego, co robią, ale jak wykonują swoją pracę. Z powodu odrażających konstrukcji ze słów i absurdalnych pojęć, które służą im za usprawiedliwienie i oczyszczają ich sumienia. Które sprawiają, że za swoimi biurkami i raportami zamieniają się w rzeźników.

Spojrzała przeciągle na Elíasa i podeszła do niego. Niesamowite było dostrzec pod grubą warstwą ropy i brudu ślad jego wcześniejszej egzystencji. Jego pory i włosy wydzielają zapach taniego mydła, a na szyi wyczuła nutkę rozmarynu. Wiktor miał taki sam głos: był stanowczy, twardy jak wydeptana ścieżka, a jednocześnie niczego nie żądał, nawet oczywistych czy pewnych rzeczy. Ten głos oddawał jego istotę, na tej samej zasadzie, na jakiej ptak nie zastanawia się, po co ma skrzydła – rozkłada je i leci. Widziała w jego zdrowym oku nierozsądne szaleństwo swojego męża, przekonanie, że mimo wszystko warto zachować nieugiętość i godność. Wierzył w ideały, był gotów się im oddać, poświęcić życie dla czegoś tak głupiego jak płaszcz.

– Opiekujesz się mną i moją córką, troszczysz się o nas i sprawiasz, że

budzi się we mnie nadzieja. Widziałam, jak na mnie patrzysz; wiem, co zaczynasz czuć.

Elías się zaczerwienił, ale Irina podniosła palcami jego brodę, zmuszając go, by na nią spojrział.

– Kazesz mi czuć się żywą, a sam dasz się zabić któremuś ze strażników czy więźniów jak ten Igor – za płaszcz, za kawałek chleba, za zniewagę, której nie będziesz w stanie znieść. Odejdiesz ze swoim honorem, swoją odwagą, swoją próżną dumą, a ja zostanę sama, będę musiała dalej żyć, żeby opiekować się córką. Będę musiała znosić obmacywania przez strażników, osądające spojrzenia, jak twoje, będę musiała się czołgać i czuć się brudna.

Płakała. Elías przysunął się do niej, dotknął jej łez i poczuł, że parzą. Nie było w tym płaczu litowania się nad sobą ani patosu. Jedyne powoli uciekające życie, jakby przeproszało za to, że jest tak oczywiste.

– Nie jestem dziwką.

Elías zdusił jej słowa pocałunkiem.

– Nie jesteś.

– Wypowiedz moje imię – poprosiła. – Pomóż mi istnieć.

Elías szepnął nocy:

– Irina.

Kochali się na stojąco, z desperacką żądzą. Wokół nich, pod tym nocnym niebem, cywilizacja była barbarzyństwem, ale oni zmusili śmierć, by się wycofała, aż stała się nierealnym cieniem.

Część druga

ŻÓLTE LISTY

10.

BARCELONA, 15 SIERPNI 2002 ROKU

Wejście do Flighta było jak przekroczenie progu czasu i przeniknięcie do bańki, w której wszystko dawno zastygło w bezruchu. Podczas wieczorków poetyckich przypominający jaskinię lokal wypełniał się niebieskawym dymem. Domorośli poeci mogli wejść na znajdującą się w głębi małą, wyłożoną wykładziną scenę i recytować swoje wiersze. Obowiązywał tylko jeden warunek, i w tej kwestii wujek Wieliczko był nieustępliwy: bardowie musieli recytować po rosyjsku.

– Jak się czuje twoja matka?

Wieliczko nie był prawdziwym wujkiem Tani, prawo do tego tytułu dała mu ponad czterdziestopięcioletnia przyjaźń z jej matką. Był w jej życiu, odkąd sięgała pamięcią, zawsze stary, bardzo stary, ale jakby zatrzymany w czasie, podobnie jak ten lokal. Co wieczór, kiedy siadała przy barze twarzą do sceny, nalewał jej kieliszeczek wódki i zadawał to samo pytanie. A ona za każdym razem udzielała tej samej odpowiedzi:

– Dlaczego nie przejdziesz przez ulicę i sam jej o to nie zapytasz? – Księgarnia jej matki znajdowała się niespełna sto metrów dalej, ale wujek pokonywał je zaledwie dwa, trzy razy w roku. Jej matka odbywała drogę w przeciwnym kierunku jeszcze rzadziej. Nie zносиła barów i nostalgicznej potrzeby Wieliczki, by trwać w przeszłości.

Natomiast Tania uwielbiała ten lokal. Ściany z surowej cegły były obwieszane zdjęciami, które w większości stanowiły pamiątki wujka. Ilustracje z encyklopedii, wycinki z gazet, portrety i plakaty, przechowywane z pietyzmem od kilkudziesięciu lat. Wszystko nawiązywało do jego ojczyzny, nie do tej Rosji, o której mówił z goryczą, że jej nie poznaje, ale do Rosji z czasów heroicznych walk z nazistami. Czasami Wieliczko użyczał Tani lokalu na wystawy, ale stawiał jej ten sam warunek co kandydatom na poetów,

którzy wchodzili na scenę recytować swoje wiersze – tematyka rosyjska. Tania musiała stoczyć z nim wiele gorzkich dyskusji, zanim przekonała tego upartego i niemal głuchego starca, że po tylu latach życia w Hiszpanii mógłby się wreszcie trochę zainteresować krajem, który udzielił mu gościny. Niechętnie się zgodził, żeby „zbeczczyła” ściany (takiego słowa użył na widok jej zdjęć wiszących w jego lokalu) dwudziestoma czarno-białymi fotografiami przedstawiającymi codzienne sceny.

– Nie podobają mi się – powiedział. Mierzył zdjęcia wzrokiem, z góry je dyskwalifikując. – Ale wygląda na to, że innym owszem, już kilka sprzedałaś. Nie rozumiem, dlaczego ludzie kupują zdjęcia, zamiast je robić.

Taki właśnie był sposób jego rozumowania. W sumie pozostał upartym, twardym jak skała Sybirakiem.

– Z tego samego powodu, dla którego kupują książki albo obrazy autorstwa innych ludzi, wujku. Bo wszyscy są w stanie je docenić, ale nie wszyscy mają talent, żeby je stworzyć.

Staruszek wzruszył opadniętymi ramionami z miną wyrażającą niezrozumienie, jakby nie było mu dane zgłębienie tej tajemnicy. Zarzucił na ramię ścierkę i wrócił do mycia szklanki.

– Powinnaś znaleźć sobie męża. Jakiegoś przyzwoitego mężczyznę, który się tobą zaopiekuje – uznał, jakby to był jedyny rozsądny wniosek płynący z ich rozmowy. – Któregoś dnia będziesz musiała wyjść za mąż. Bycie wędrownym ptakiem w obcych łóżkach nie jest złe, ale wszystko kiedyś zaczyna męczyć.

Tania się uśmiechnęła – była to już któraś z kolei rozmowa na temat jej staropanieństwa i życia seksualnego, zdaniem wujka zbyt rozwiązłego. Przynajmniej w tej kwestii zgadzał się w stu procentach z jej matką. Czasami miała wrażenie, że się zmówili, żeby ją zadręczać.

– Czekam na białego kruka – odpowiedziała z kpiną w głosie.

– A ja czekam na mój medal sowieckiego bohatera, którego nigdy mi nie przyznają – odburknął zrzędliwie Wieliczko.

Tania do tej pory nie zastanawiała się poważnie nad wyjściem za mąż czy zamieszkaniem z kimś na stałe. Może miało to związek z tym, że zawsze były z matką same i nie żyło im się źle bez mężczyzn. Nie pamiętała, kiedy ostatnio matka przyprowadziła kogoś do domu. Zawsze była kobietą wyzwoloną, świadomą własnej wartości, bardzo atrakcyjną, miała kochanków, ale starała się zachowywać dyskretnie i nie dopuszczać ich do swojej prywatności. Jeśli chodzi o jej własne życie uczuciowe, Tania nie bardzo wiedziała, co o nim

myśleć. Najbardziej formalny związek przeżyła w wieku dwudziestu lat, tyle że nie z mężczyzną. Nigdy nie opowiedziała matce ani wujkowi o tamtej profesor sztuk pięknych. Liberalizm Anny miał granice, a w przypadku wujka Wieliczki zwyczajnie nie istniał.

Nazywała się Ruth i była Mulatką, połączeniem Antylki i Europejki. Ta mieszanka dała oszałamiający rezultat. Była o dziesięć lat starsza i uwiodła Tanię – czy też ta dała się uwieść – ze zdumiewającą łatwością. Zamierzały wyjechać razem do Holandii, ale skończyło się na upalnych, burzliwych wakacjach nad kanałami. Ruth była równie namiętna co histeryczna, Tania zaś tak samo uparta i dumna jak jej matka, nie wytrwały więc długo razem. Po tamtej podróży, oprócz wspomnień niesamowitych zbliżeń i niezapomnianych kłótni, pozostał jej motyl wytatuowany na szyi. Potem pojawili się inni mężczyźni i inne kobiety, ale żadnej z tych relacji nie traktowała poważnie. Miała dziwną właściwość niedopuszczania do siebie uczuć innych, nie czuła potrzeby, żeby się wiązać i myśleć o przyszłości.

Dopóki nie poznała Gonzala.

Wyjęła z kieszeni zdjęcie, które zrobiła mu ukradkiem w parku, kiedy siedział na ławce z zagubionym spojrzeniem, i przez dłuższą chwilę mu się przyglądała. Co w nim widziała? Nie był przystojnym mężczyzną, nie miał w sobie nic atrakcyjnego, przynajmniej według kanonów, którymi do tej pory się kierowała. Przygnębiony, skurczony w sobie, wyglądał na jedną z tych osób, które przechodzą przez życie jakby przypadkiem, nie pozostawiając po sobie nic godnego uwagi. A jednak za jego okularkami i powściągliwością coś mocno iskrzyło, w głębi jego oczu w kolorze wyblakłej zieleni kryła się jakaś wrzawa. Gonzalo Gil był dla niej tajemnicą, jak niewywołane zdjęcia. Coś w nim dostrzegła, coś, czego nikt nie mógł się domyślić ani docenić, jak kiedy uwieczniała na fotografiach rzeczy, których inni nawet nie zauważali. Wydawał jej się jednym z tych mężczyzn, którzy są więźniami własnych wyborów. Jak gdyby pod jego powłoką szarego człowieka było coś bardziej rzeczywistego. Chciała wiedzieć, co ukrywa pod tą kruchością, co trzyma w lochach swojego udawanego życia.

W pokoju panował mrok, świeciła się tylko czerwona lampka na ścianie nad drzwiami. Żaluzje były spuszczone, przez szparę nad progiem wpadało z korytarza blade światło. Poczul silny ucisk w piersi, jakby miażdżyła ją

skąła. To Lola trzymała głowę na jego torsie, słyszał miarowe bicie jej serca. Miała otwarte oczy, patrzyła na niego tak, jak patrzą koty domagające się pieśzczot. Już dawno nie widział tego spojrzenia. W półśnie poczuł, że głaszczę ją po potarganych włosach, niezdarnie odsuwa z jej twarzy kosmyki; jego palce nie były wystarczająco zwinne do pieśzczot. Lola pochyliła się nad nim i złożyła niewinny pocałunek na jego wyschniętych ustach, ledwo je muskając.

– Śpij, najdroższy. Jestem tutaj.

Gdzie są jego okulary?

Ponownie pogrążył się w ciemności wód płodowych.

– Powinien być martwy.

– Ale nie jest.

– To cud.

Słowo „cud” przebiło się do jego świadomości jak wiertarka. Obudź się.

Dokuczliwe światło wciskało się przez jego rzęsy. Zamrugął powiekami i otworzył oczy. Natychmiast zapragnął ponownie je zamknąć. Rzeczywistość agresywnie wdzierала się do jego wyschniętych ust. Chciał poruszyć szyją, ale poczuł, że krępuje ją kołnierz ortopedyczny, zmuszając go do leżenia ze wzrokiem wbitym w lampę z niebieskim kloszem wiszącą na suficie. Niskim suficie. Usłyszał głosy; rozmawiano szeptem.

– Nikt nie znajduje wytłumaczenia tego, co się stało. To cud.

Znów to słowo. We mgle jego umysłu zaświtała myśl. Laura umarła. On najwyraźniej nadal żyje. Poruszył się w sztywnej pościeli. Chciał, żeby sobie poszli, żeby zostawili go samego. Za późno. Pielęgniarka zobaczyła, że się obudził, stała teraz przy nim, mierząc mu puls, a może tylko trzymając jego bezwładny nadgarstek z wbitym w żyłę wenflonem.

– Jak się pan czuje?

Pachniała... Czym pachniała? Wykrochmalonym fartuchem, aseptycznym mydłem do rąk, chorobą, ale też trochę pozaszpitalnym życiem: piwem, przekąskami, papierosami. „Jak zmartwychwstały?” Własna myśl wydała mu się śmieszna. Nie był umierający, a jednak ta para podkrążonych ze zmęczenia oczu o krótkich rzęsach tak właśnie na niego patrzyła.

– Co się stało?

Pielęgniarka spojrzała w stronę nóg łóżka. Jakiś nieznajomy w koszuli

z krótkim rękawem ściskającej wyduęty brzuch przyglądał mu się z założonymi rękami. Guziki były tak napięte, że rozciągały dziurki, jakby w każdej chwili miały wystrzelić w powietrze. Alcázar.

– Nieźle cię załatwili. Przez jakiś czas będziesz sikał bordeaux, ale miałeś szczęście – powiedział, przesuwając ciężkie wąsy z jednej strony ust na drugą.

Pielęgniarka potwierdziła: osiem szwów u podstawy czaszki, uraz szyi, cztery złamane żebra, siniaki na całym ciele i wewnętrzny krwotok spowodowany przez trzy pchnięcia nożem. Musieli operować go dwa razy; kiedy trafił na OIOM, jego stan był krytyczny. Ale niebezpieczeństwo minęło.

Gonzalo wymacał pod prześcieradłem rurkę do sikania.

Poprosił o wodę. Pielęgniarka przysunęła mu do obrzmiałych ust plastikowy kubek. Upił mały łyk, spoglądając na Alcázara sponad plastikowej krawędzi.

– Co pan tu robi, inspektorze?

Alcázar położył dłoń na jego przedramieniu.

– Martwię się o ciebie. – Brzmiał szczerze.

Musiał ponownie zapaść w sen. Odpocząć, dobrze mu było w stanie nieświadomości.

– Wrócę jutro.

Ledwo usłyszał niktące w oddali słowa inspektora. Skinął głową. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Sen był coraz lżejszy, a ciemność coraz mniej ochronna. Ból stał się wyraźny i dotkliwy, tak jak wspomnienie tego, co się wydarzyło – napaści na parkingu, wykrzywionej złością twarzy Atxagi. Odzyskiwał odczucia.

– To dobrze – próbował dodać mu otuchy lekarz, który odwiedzał go każdego ranka. – Wraca pan do życia.

Tyle że to życie bolało, i to bardzo, a środki uśmierzające nie przynosiły ulgi.

Któregoś ranka, kiedy pielęgniarka podkładała mu pod plecy poduszkę, żeby mógł usiąść i zjeść swoje pierwsze śniadanie (sok i zieloną papkę, którą zwymiotował), jego umysł nagle się rozjaśnił i wszczął alarm.

– Laptop...

– Słucham?

Siaka, Matrioszka, fuzja z kancelarią teścia... Laptop... Miał go ze sobą, kiedy zaatakował go Atxaga!

– Rzeczy, które miałem przy sobie w dniu, kiedy na mnie napadli! Gdzie one są?

Pielęgniarka zawahała się, zdezorientowana.

– Nie wiem, przypuszczam, że zabrała je policja.

Zabrał je Alcázar.

Po południu inspektor odwiedził go o tej samej porze co zwykle. Gonzalo przywykł przez ostatnie dni do jego dyskretnej obecności. Siadał w fotelu w nogach łóżka i spędzał w nim piętnaście minut. Nie wyglądało na to, żeby przychodził z przymusu, prowadził raczej badania terenowe, szczegółową analizę, której przedmiotem był on. Przez większość czasu Gonzalo czuł się zbyt zmęczony na rozmowy albo spał, nie wydawało się to jednak przeszkadzać inspektorowi. Wręcz przeciwnie, odprężał się w fotelu, zakładał nogę na nogę i uważnie go studiował. Czasami Gonzalo udawał, że śpi, żeby nie mierzyć się z tą obserwacją. Było w tym człowieku coś dziwnego, niepokojącego, przypominał skrzyżowanie dróg bez znaków wskazujących kierunki – Gonzalo nie miał pojęcia, dokąd prowadzi. Ale owego popołudnia konieczność sprawdzenia, co stało się z laptopem, zmusiła go do bycia nieco bardziej komunikatywnym.

– Nie potrzebuję niańki. Nie musi pan przychodzić każdego popołudnia i siedzieć przy mnie, jakby pan nade mną czuwał. Pielęgniarka i lekarz mówią, że nic mi już nie grozi.

Alcázar przysunął twarz do wezglowia łóżka.

– Niezupełnie. – Wyciągnął wydruk z monitoringu i podetknął go Gonzalowi pod nos. – Kamera na parkingu wszystko nagrała. To ten gość zbił cię na kwaśne jabłko. Poznajesz go? Czy to Floren Atxaga?

Gonzalo przytaknął.

– Moim zdaniem, dopóki ten facet jest na wolności, grozi ci bardzo wiele.

– Miranda Acebedo, jego była żona...

– Dałem jej ochronę, nie martw się.

Gonzalo westchnął, zaniepokojony. Poczuł w żebrach powietrze trzeszczące jak w zepsutym miechu.

– Nie miał pan przejść na emeryturę?

Szare wąsy Alcázara rozsunęły się niczym zasłona. Był to rodzaj uśmiechu.

– Oficjalnie jestem cywilem. Oddałem odznakę dwa tygodnie temu, tak jak ci powiedziałem.

– Wobec tego co pan tu robi?

– Porzuciłem policję, ale nie płacenie rachunków. My, starzy, mamy tę wadę, że nie chcemy umierać, kiedy przechodzimy na emeryturę. Przez ostatnie miesiące przygotowywałem sobie trochę to ładowanie. Teraz pracuję na własny rachunek. Twój teść zatrudnił mnie, żebym chronił ciebie i twoją rodzinę.

– Jak to miło z jego strony...

– Nie ciesz się. Dla starego jesteś inwestycją, wciąż ma nadzieję, że przekona cię do sprzedaży domu. Za to twoja rodzina, owszem, jest dla niego priorytetem... Rozmawiałem z twoją żoną.

– Rozmawiał pan z Lolą?

– Byłeś w śpiączce. Należało szybko działać, już się tym zająłem. Postawiłem przy drzwiach twojego domu dwóch ochroniarzy, którzy czuwają nad bezpieczeństwem twojej rodziny. To zaufani ludzie.

Gonzalo nie potraktował na poważnie pogroźek wymalowywanych na ogrodzeniu jego domu. Atxaga był wymoczkim o wyglądzie pekińczyka. Dużo czekał, ale gryzł tylko tych, którzy się nim opiekowali.

Wyglądało jednak na to, że pieprzonemu pekińczykowi wyrosły w więzieniu kły pitbulla.

Naraził na niebezpieczeństwo Lolę i dzieci. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

– Myślałem, że panuję nad sytuacją.

– Teraz mamy jasność, że się myliłeś. – Alcázar opowiedział mu, co się wydarzyło. Atxaga przez jakiś czas czekał na niego za filarem, obserwując jego miejsce parkingowe. Kiedy zobaczył, że nadchodzi, zaszedł go od tyłu i uderzył w głowę żelaznym prętem. Gonzalo niemal natychmiast stracił przytomność, ale facet dalej zawzięcie go kopał i okładał pięściami. – Zadał ci trzy ciosy nożem. Bez wątplenia chciał cię zabić. Na szczęście ktoś go wypłoszył. Jakaś kobieta; to ona zawiadomiła policję.

– Kobieta? Nie przypominam sobie, żebym widział kogoś jeszcze na parkingu.

– Nie widziałeś też Atxagi. W każdym razie kobieta zniknęła, zanim przyjechał patrol, ale jej zeznania nie są potrzebne. Mamy nagrania.

Gonzalo uczeplił się tego spojrzenia, które przeszywało go, jakby miał w środku coś nieuleczalnego.

– Rzeczy, które ze sobą miałem, dokumenty z teczki – spróbował kłamstwa, które zabrzmiało dość wiarygodnie – i laptop z danymi moich klientów...

Alcázar go uspokoił.

– Policjanci przekazali twoje rzeczy Loli. Nie sądzę, żeby czegokolwiek brakowało, Atxaga nie zamierzał cię okraść.

Kłamał? Czy też to, co Gonzalo dostrzegł w twarzy inspektora, nie było oznaką kłamstwa, ale źle ukrywaną wyższością, jaką czuje opiekun wobec swojego pacjenta, jak pielęgniarka, kiedy pomagała mu jeść, albo lekarz, kiedy zachęcał go, by jak najszybciej zaczął rehabilitację? W przypadku inspektora ta pobłażliwość miała źródło w przekonaniu, że Gonzalo jest naiwniakiem, może nawet słabeuszem, który nie wiedział nic o prawdziwym świecie, o krzywdzie, jaką mogą wyrządzić inni, dopóki nie przeszedł przyspieszonego kursu. „I ty zamierzasz stawić czoła Matrioszce? Teraz już wiesz, co może ci się przytrafić, jak boli nóż przeszywający płuco. Witaj w moim świecie”.

– Kiedy tam leżałem, kilka sekund przed tym, zanim straciłem świadomość, pomyślałem, że umrę. Że naprawdę umrę.

Alcázar podrapał się po brodzie kłykiem wskazującego palca. Wciągnął powietrze i zatrzymał je na chwilę w płucach, zanim wypuścił je powoli, z ledwo słyszalnym pomrukiem, objawem przewlekłego nieżyty oskrzeli, którego się nabawił, paląc papierosy. Ten mruczący kot ostrzegał go, że za jakiś czas umrze na rozedmę, jeśli nadal będzie wypalał dwie i pół paczki dziennie. Ale inspektor nie słuchał kotów, nawet tych żyjących w jego gardle.

– To straszne, prawda? Pewność, że umrzemy, chwila, w której ta teoretyczna myśl, towarzysząca nam od narodzin, zamienia się w rzeczywiste, nieuchronne doświadczenie. Człowiek nie jest w stanie myśleć o niczym innym, jedynie o strachu, który wszystko paraliżuje: miłość do rodziny, wewnętrzne monologi, jakie rzekomo ze sobą prowadzimy. Całe życie w ciągu sekundy? Gówna prawda. Rozluźnione zwieracze i niewiele więcej. Nie czuj dyskomfortu z tego powodu. Nikt nie chce umierać, Gonzalo.

Temat śmierci przywołał wspomnienie Cecylii: jej ostatnich tygodni, kiedy inspektor widział, jak rak zżera ją minuta po minucie, i nie mógł niczego dla niej zrobić, tylko być przy niej, patrzeć na malujące się na jej twarzy przerażenie i ból. Wstał, żeby się pożegnać.

– Tym razem przeskoczyłeś dziurę. Nie zapomnisz o śmierci, będzie blisko, przyczajona. Czasami przyjdzie cię ugryźć, trochę z ciebie zakpi, sprawi, że zadrzysz, ale życie zmusi cię, żebyś opowiedział się po jego stronie, i dasz sobie radę.

Gonzalo nie wyczuł w jego głosie moralizatorskiego tonu ani chęci udzielenia mu jakiejś rady. Alcázar po prostu porównał ich doświadczenia, bez żadnych emocji.

– Niech pan nie pozwoli, żeby ten bydlak zbliżył się kiedykolwiek do mnie albo do mojej rodziny.

– Spokojnie. Nie zbliży się. A jeśli to zrobi, będę na niego czekał.

Alcázar już miał się pożegnać, ale zanim wyszedł, przyłożył palec do ust i powiedział:

– Jeszcze jedno. Twoje dzieci wspominały, że widziały czarnoskórego chłopaka kręcącego się wokół domu. Dobrze ubrany, o sympatycznym wyglądzie.

Gonzalo był pewien, że inspektor zauważył zmianę jego wyrazu twarzy. Kłamstwa i wykręty były w jego wydaniu niekompletne, jakby chował się za zasłoną, spod której wystają mu stopy.

– Pamiętam, że Lola coś mi o tym wspominała, ale nie wiem, jaki to może mieć związek z Atxagą.

Alcázar pokręcił głową, jakby zaświtało w niej jakieś absurdalne podejrzenie.

– Żadnego, oczywiście. Ale jeżeli znowu się pojawi, daj mi znać.

Dwie godziny później przyszła Lola. Gonzalo nie dał jej nawet postawić torebki – od razu zapytał, czy policja oddała jej laptop, który leżał na tylnym siedzeniu samochodu. Lola zastanawiała się przez chwilę, ale była niemal pewna, że wśród rzeczy, które przekazali jej policjanci, nie było żadnego laptopa.

– Myślałam, że nienawidzisz tych urzędzeń, zawsze narzekasz, że gdyby nie Luisa, zabłądziłbyś w labiryncie informatyki.

Gonzalo skłamał, nie wykazując już takiej ostrożności jak kilka godzin wcześniej, gdy sondował inspektora.

– Niedawno zacząłem. Jesteś *niemal* pewna, że policja nie oddała ci laptopa, czy pewna na sto procent? Zastanów się, to ważne.

Lola nie rozumiała, skąd tyle zamieszania z powodu zwykłego laptopa.

– Jestem całkowicie pewna. Nic takiego się nie stało, na pewno zrobiłeś kopie.

Siaka je zrobił? Miał nadzieję, że chłopak jest bardziej biegły w tej materii

niż on. Ta możliwość nieco go uspokoiła, ale wciąż się zastanawiał, w czyje ręce trafiły wszystkie informacje przechowywane przez Laurę i co ten ktoś zamierza z nimi zrobić.

Lola przychodziła do szpitala sama. Za pierwszym razem przyprowadziła ze sobą Patricię, ale dziewczynka bardzo przeżyła tę wizytę: nie mogła przestać płakać, patrząc na tę bryłę mięsa, która miała głos jej ojca, ale wcale nie była do niego podobna. Od tamtej pory Lola już jej ze sobą nie zabierała. A Javier ani razu nie zajrzał do szpitala. Matka jak zwykle próbowała go usprawiedliwiać.

– Wiesz, jaki jest. Pyta mnie o ciebie, prosi, żeby cię pozdrowić, ale nie chce przyjść... Poza tym wydaje mi się, że ma teraz co innego w głowie.

– Co takiego?

– Mogłabym przysiąc, że poznał jakąś dziewczynę.

Gonzalo dostrzegł w oczach żony radość, zakrawającą na zdrową zazdrość, powrót wrażeń straconych albo zapomnianych w fałdach własnej biografii. Przecież oni też byli młodzi, kochliwi, gotowi na ryzyko i śmiali; tracili z oczu świat, byle tylko spotkać się gdzieś na pięć minut i całować jak szaleni, a potem wracali do swoich domów w pogniecionych ubraniach, ze zdradzieckimi rumieńcami na twarzach. Wyciągnął dłoń owiniętą plastrem, spod którego wystawało kilka rurek pompujących płyn fizjologiczny, i dotknął spoczywających na prześcieradle pomalowanych paznokci Loli.

– Przepraszam za to wszystko – szepnął. Jego głos nadal był miękki, trudno mu było wrócić do dawnej tonacji.

Lola zdobyła się na uśmiech – miał wyrażać zrozumienie, ale oddawał tylko jej zmęczenie.

Żyje; przed domem stoi groźnie wyglądający mężczyzna przysłany przez Alcázara na wypadek, gdyby Atxagę kusilo, by dokończyć swoje dzieło. Ona jest cała i zdrowa, dzieci też. Tylko to się liczy.

– Powinienem poważniej potraktować sprawę tego graffiti.

– Teraz to już bez znaczenia.

Spojrzeli na siebie. W milczeniu, choć w ich oczach kłębiło się mnóstwo emocji. Wymówki, prośby, przeprosiny. Dlaczego tak trudno było ubrać je w słowa?

– Kocham cię. Wiesz o tym? – Oczy Loli błyszczały.

Gonzalo przełknął ślinę. W prawym oku miał wylew, opuchlizna ledwo pozwalała mu otworzyć lewe. Krwawe oko spoczęło na Loli.

Pięć minut. Tylko tyle stał za uchylonymi drzwiami ich sypialni przed osiemnastoma laty. Oniemiały. Tylko oczy, tylko spojrzenie. Widział kant łóżka, skotłowaną pościel, splecione stopy, które niczym czułki meduz kurczyły się i rozciągały w rytm jęków. Jej, jego. Nigdy nie chciał wiedzieć, jak się nazywał. Dostrzegł jedynie kawałek jego pleców, umięśnionych, opalonych, i biały, dziecięcy pośladek, kontrastujący z jędrną, ciemną, spoconą skórą na jego udach; przywierał do niej, ukrytej pod jego ramionami i jego ciałem. Jęczącej. Ten jęk wciąż tutaj był. Chciałby móc wyrwać go ze swojego mózgu razem ze wspomnieniem ich stóp poruszających się w pościeli. Chciałby móc wymazać ten obraz, który wracał za każdym razem, kiedy patrzył na swoją żonę. Ale nie potrafił.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co będzie teraz, kiedy umowa z twoim ojcem została zerwana.

Drzwi do pożądania, które otworzyła Lola, zamknęły się z rozczarowaniem. Z głośnym trzaśnięciem. Odchyliła się do tyłu, a wraz z nią uciekły paznokcie i wylądowały na wystającym spod ołówkowej spódnicy zmysłowym, wciąż kształtnym kolanie.

– Wszystko można jeszcze naprawić. Rozmawiałam z ojcem, rozumie sytuację i jest gotów zaczekać, aż wrócisz do zdrowia. Obiecałam mu, że jeszcze raz rozważysz swoją decyzję. Że pomyślisz o nas, o przyszłości swoich dzieci, o naszym dobrobycie.

Twardy wyraz jej twarzy i grymas ust przylepionych do niej delikatną szminką w cielistym kolorze nie pozostawiał miejsca na domysły. Gonzalo poruszył oklejoną rurkami dłonią i położył ją sobie na piersi. Jej rytmiczny ruch był jedynym dowodem na to, że nadal oddycha.

– Nie mogę tego zrobić.

– Ależ możesz.

Nie była w stanie zrozumieć, co się z nim dzieje – tego zniszczenia, które zaczęło się od drobnych pęknięć na tynku, a teraz groziło całkowitą, nieodwracalną ruiną.

– Muszę zachować ten dom i muszę utrzymać niezależność kancelarii. Dla mnie to ważne.

– Wspomnienia są nic niewarte, Gonzalo. Czy sam nie mówiłeś, że podróżują z nami w plecaku? Nie musisz przywiązywać ich do tego miejsca.

– Nie chodzi o wspomnienia i prawdopodobnie również nie o dom, który rzeczywiście nie ma żadnej wartości. Ale nadal marzę, by być tym, kim byłem

albo kim zawsze chciałem być. Nie jest na to za późno, jeszcze nie. Nie potrzebujemy domu z basenem, nie musimy płacić za drogę szkoły dla naszych dzieci, jakoś damy sobie radę. Pozwól mi zająć się wami bez pomocy twojego ojca. Mogę to zrobić... Chcę to zrobić.

Lola nawet go nie słuchała. Jak w rozszadzie zablokowała dostęp jego słowom, żeby lepiej się przed nimi bronić. Nie rozumiała tego, co działo się z Gonzalem od czasu śmierci jego siostry, jakiego rodzaju burzę wywołała. Ale czuła, że jej skutki będą katastrofalne.

– Jak chcesz się nami zająć, Gonzalo! Tak jak zająłeś się tym mężczyzną, który prawie cię zabił i wypełnił nasze życie strachem? Z dwoma uzbrojonymi ludźmi przed domem, których opłaca mój ojciec? Z tym inspektorem, który kręci się wokół nas jak zły omen?

Okrucieństwo było jej ostatnią desperacką bronią. Nie chciała bez walki pogodzić się z sytuacją. Znała swojego ojca, wiedziała, do czego jest zdolny, jeśli coś stanie mu na drodze, a taką przeszkodą był teraz Gonzalo. Musi to zrozumieć. Z jednej strony nie chce rezygnować z tego, co siedzi mu w głowie, z szalonych, romantycznych ideałów godności i wolności – głupot, które od dziecka wpajały mu ta stara wiedźma Esperanza i jego niespełna rozumu siostra. A z drugiej, w swoim egoizmie ma czelność narzucać jej i dzieciom, żeby wyrzekły się tego, czego on nie zamierzał oddawać. Nie pójdzie mu tak łatwo. Lola poświęciła już zbyt wiele, wychodząc za niego wbrew woli ojca i opiniom otoczenia: za syna komunisty, ateistę, biedaka, który nie miał grosza przy duszy, kiedy go poznała. I nie przeszkadzało jej, że musi znosić upokorzenia ze strony przyjaciół i ojca, palić się ze wstydu, kiedy zaczynali dyskutować o polityce; dzielnie znosiła tę wymianę ognia, czasami czując się osamotniona, kiedy Gonzalo patrzył na nią z tą desperacką pogardą nędzarzy, którzy czynią ze swojej biedy cnotę, jakby ona, jego żona, nie zasługiwała na szacunek i była zepsuta tylko dlatego, że jest bogata. Nie miało to dla niej znaczenia, bo go kochała, z bezgraniczną cierpliwością i samozaparciem tkąła płachtę, którą zdołała ich otulić, która odgrodziła Gonzala od zgubnych wpływów wspomnień o wymyślonym ojcu.

Myślała już, że wygrała. Ale tak nie było, teraz to widziała – człowiek nie przestaje być tym, kim jest, nawet jeśli przebierze się za kogoś innego. Osiemnaście lat poczucia winy to wystarczająca pokuta; każdego dnia i każdej nocy powstrzymywała pokusę, żeby wyznać mu prawdę, prawdę, która, gdyby nie narodziny Javiera, nie miałyby aż takiego znaczenia. Była wtedy młoda,

osoby z jej otoczenia przypominały jej, że wciąż taka jest. Uznała, że to wcale nie takie zabawne być żoną „syna komunisty”, miała wątpliwości, zastanawiała się, czy przypadkiem nie za bardzo pospieszyła się z zamążpójściem, czy to inni nie mieli racji, a ona była w błędzie. Uległa, miała romans, który czas i pewność, że naprawdę kocha Gonzala, zamieniłyby w jej pamięci w zabawną historię. Ale urodził się Javier i Gonzalo jakby czuł, że to nie jego dziecko, a ona wiedziała, że ponosi winę za ten potajemny pojedynek między mężem a synem, tę wojnę, która raniła obu jednakowo. Tak, co noc chciała mu o wszystkim powiedzieć, uświadomić, że błędy służą za lekcję, jeżeli się ich nie powtarza, ale milczała, milczała i nie potrafiła wydobyć z siebie słów. Dlatego wciąż byli razem, dlatego zrezygnowała z tylu rzeczy, z siebie samej. Ale nie pozwoli, żeby ten głupi, szczeniacki bunt Gonzala zniszczył jej rodzinę. Nie mają już dwudziestu lat; muszą zaopiekować się dziećmi, żyją w świecie, który – czy to się podoba Gonzalowi, czy nie – teraz jest także ich światem.

– Nie zmienię zdania. Nie sprzedam działki nad jeziorem i nie zgodzę się na fuzję z kancelarią twojego ojca.

– Nawet jeśli miałbyś mnie stracić? Nawet jeśli miałbyś stracić dzieci i wszystko, co razem zbudowaliśmy?

Gonzalo przypomniał sobie historię, którą opowiadała matka, o tym, jak ojciec stracił prawe oko. Żeby zachować obszarpany płaszcz, który chcieli mu ukraść, kiedy był młody. Czasami możemy stracić to, co ważne, broniąc tego, co dla innych nie ma znaczenia.

Ze smutkiem popatrzył na Lolę.

Ciebie straciłem osiemnaście lat temu, powiedziało jego milczące spojrzenie.

Dni spędzone w szpitalu były nawiasem, który trzymał Gonzala z dala od rzeczywistości. Luisa odwiedzała go rano i konsekwentnie przynosiła mu bombonierki (Gonzalo nie lubił czekolady, więc przekupywał nimi szpitalny personel); siadała przy łóżku i opowiadała mu, jak się mają sprawy w kancelarii po jego decyzji, by nie sprzedawać domu nad jeziorem, i rezygnacji z fuzji z kancelarią Agustína Gonzáleza.

– Na razie udaje mi się utrzymać Hunów po drugiej stronie granicy, ale nie wiem, jak długo wytrwam bez posiłków.

– Powiedzieli mi, że za kilka dni będę mógł stąd wyjść, ale nie od razu wrócę do pełnej formy. Złamane żebra zrastają się miesiącami.

Luisa roześmiała się, rozbawiona.

– A kiedy ty w ogóle byłeś w formie?

W ten sposób dziewczyna ukrywała zaniepokojenie. Pomimo odświeżonego, błyszczącego szyldu klientów było jak na lekarstwo; Luisa podejrzewała, że to w dużej mierze efekt kampanii werbunkowej prowadzonej przez sekretarkę Agustína Gonzáleza. Kilka razy przyłapała ją, jak rozmawia z jakimś klientem Gonzala, który dziwnym trafem niedługo potem rezygnował z usług ich kancelarii. Żeby nie martwić szefa, nie wspomniała mu o liście od administratora budynku, który przyszedł tego ranka: umowa wynajmu wygasa za trzy miesiące i nie zostanie przedłużona. Sytuacja przedstawiała się w barwach niemal tak czarnych jak siniaki na twarzy Gonzala.

– Muszę cię prosić o przysługę. Chcę, żebyś zdobyła dla mnie nagranie z parkingu.

Luisa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Policja dostała kopię i już ją studiuje. Po co ci to nagranie? Masz ochotę zobaczyć, jak facet omal nie zabija cię kopniakami?

– Muszę je obejrzeć, to moja sprawa. – Nie mógł jej powiedzieć, że chce sprawdzić, co się stało z laptopem. – Możesz zrobić to dyskretnie? Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział.

– Znam kogoś z Centrum Bezpieczeństwa. Zobaczę, co da się zrobić.

W języku Luisy oznaczało to, że nagranie ma jak w banku.

– Jeszcze jedno. Postaraj się zdobyć jakieś informacje o inspektorze Albercie Alcázarze, interesuje mnie wszystko.

Luisa wyjątkowo nie rzuciła żadnej uszczypliwej uwagi. Na wzmiankę o inspektorze spoważniała.

– Masz jakieś kłopoty?

Gonzalo się uśmiechnął. „Kłopoty” były dość delikatnym określeniem sytuacji, w którą został wmieszany, i rozlicznych frontów walki.

– Nie podoba mi się ten inspektor. Ostatnio często zagląda do biura twojego teścia. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale budzi strach.

– Bałabyś się trochę mniej, gdybym ci powiedział, że oficjalnie już nie jest policjantem?

Luisa nie wyglądała na uspokojoną. Mimo to zrobi, co w jej mocy, żeby wykonać polecenie szefa.

Kiedy praca przestała sprawiać mu radość? Alcázar już tego nie pamiętał. Na jego liście usprawiedliwień i pretekstów początek końca stanowiła data śmierci Cecylii. Było to jednak oszukiwaniem samego siebie, a na tym etapie nie miało to już sensu. Tak naprawdę nigdy nie lubił tego, co robił, nie oznaczało to jednak, że przez kilka lat, kiedy jego ojciec był jeszcze w służbie czynnej, praca nie sprawiała mu przyjemności. Sprawiała, ale zawsze w abstrakcyjny, nierealny sposób, jakby chodziło o zabawę. Aż ta zabawa stała się zbyt rzeczywista. Będzie tęsknił za dawną rutyną? Na pewno nie.

– Co z Atxagą?

Agustín González szykował się na uroczystą kolację. Dobrze wyglądał w czarnym garniturze i w muszce. Stary miał wrodzoną prezencję, która sprawia, że wyszukane staje się naturalne. Wchodząc do gabinetu w jego domu, Alcázar zobaczył młodą dziewczynę, może dziewiętnasto-, dwudziestoletnią. Nie przypominała poprzednich ciż starego – była bardziej wyrefinowana, o perskich rysach twarzy, talii osy i dyskretnym biuście. Agustín, *don* Agustín tracił parę, coraz mniej gustował w ekscentryczności i rozpasaniu. Starzeli się.

– Zniknął bez śladu, ale kiedy tylko wystawi nos, natychmiast mu go złamię.

Agustín González zapinał spinki do mankietów, dobrane do platynowego zegarka. Jeden taki zegarek wystarczyłby, żeby wysłać Cecylię na leczenie do prywatnej kliniki w Stanach Zjednoczonych, na terapię, której poddawali się wszyscy nieuleczalnie chorzy bogacze. Tamtejsi lekarze nie zdołaliby jej ocalić, ale podarowaliby jej kilka dodatkowych miesięcy życia i mniej bolesną agonię. To właśnie zniesmaczyło Alcázara; nie cudze cierpienie, ale własne, świadomość, że dzięki pieniądзом nawet śmierć nie jest jednakowa dla wszystkich, wbrew temu, co twierdzą biedacy, marzący, że istnieje jakakolwiek sprawiedliwość. Nieprawda, że nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Weźmy na przykład starego – paktował z diabłem, a teraz stoi przed Alcázarem w całej swojej okazałości. Ile świństw wyrządził? Nieskończenie wiele, w tym sporo z jego pomocą.

– Przyznam, że gdyby ten skurwiol załatwił mojego zięcia, wyświadczyłby mi przysługę.

– A co z twoją córką i wnukami? Im też?

– Oni go nie potrzebują. Mają mnie. To właśnie od zawsze robię –

wszystkim się zajmuję. A teraz muszę rozwiązać sprawę tej zakichanej działki, która przyprawia mnie o większy ból głowy niż migrena.

Inspektor zwrócił uwagę na zdjęcie stojące na małym biurku. Przedstawiało Agustína Gonzáleza i ojca Alcázara. Widok ojca w tak młodym wieku obudził w nim tęsknotę. Lata pięćdziesiąte były dla nich eldoradem, mogli robić, co chcieli, nie podporządkowując się innym zasadom niż ich własne. Adwokat, syn ministra, i pozbawiony skrupułów komisarz. Od razu było widać, kto lepiej na tym wyszedł. Ale to dzięki temu zdjęciu Alcázar mógł zwracać się do starego na ty. Pamiętał jeszcze popołudnia, kiedy Agustín zabierał go na tor wyścigowy dla psów, gdzie omawiał swoje sprawy z jego ojcem. Czy nam się to podoba, czy nie, nasza droga jest wytyczona.

– Odwaliłeś dobrą robotę z tą wariatką, teściową mojej córki. Jak ją przekonałeś, żeby sprzedała swoją część?

Alcázar udzielił wymijającej odpowiedzi. Na szczęście były rzeczy, których nie mogły osiągnąć długie szpony starego.

– Jeżeli syn złoży wniosek o uznanie matki za osobę niepoczytalną, umowa sprzedaży będzie tylko świstkiem papieru. Zresztą nawet jeśli tego nie zrobi, bez jego dwudziestu pięciu procent nie będzie można rozpocząć budowy.

Agustín González obejrzał w lustrze w garderobie swój nos, zęby i policzki. Nie był na tyle głupi, żeby dać się porwać temu uwodzicielskiemu odbiciu, ale czuł się zadowolony z rezultatu. Doskonały świat pozorów – tego od niego oczekiwano, on zaś jako wytrawny kabotyn potrafił stworzyć go lepiej niż ktokolwiek inny. Tego wieczoru może jednak nie wystarczyć wygląd świadczący o pewności siebie ani uwieszenie się ramienia czekającej w salonie ślicznotki, by przekonać klientów, że projekt osiedla nad jeziorem idzie jak po maśle. U tych ludzi sztuczne ognie wywoływały jedynie senne ziewnięcia. Nie interesował ich szum ani światła. Chcieli skuteczności, faktów. I dotąd właśnie to im oferował. Alcázar ma jednak rację – stoją przed poważnym problemem. A wpływowym ludziom, zdecydowanie bardziej wpływowym niż on, problemy przeszkadzają tak jak fałdy na czerwonym dywanie. Czekają, aż ktoś je wygładzi, zanim po nim przejdą. I na tym właśnie polegała jego praca.

– Nie wiem, jakiej sztuczki użyłeś wobec Esperanzy, ale teraz wyciągnij coś podobnego z kapelusza i przekonaj tego idiotę, żeby sprzedał swoje udziały.

– Nie mam już więcej królików.

Agustín González poprawił muszkę i zmarszczył czoło na widok coraz bardziej obwisłego podbródka.

– Więc je zdobądź. Kończy nam się czas, Albercie. Twój ojciec na pewno wiedziałby, co robić.

Już wcześniej widział u starego to spojrzenie: ten pusty błysk kpiny ze skrupułów, z moralności, z dobra i ze zła. Był ulepiony z innej gliny, żył w przestrzeni zamieszkaanej przez bogów, którzy ze zniecierpliwieniem obserwują zmagania śmiertelników. Nie życzył sobie, by zwracano mu głowę szczegółami, nawet tymi najbardziej kłopotliwymi. Chciał mieć tę umowę na biurku. To miał na myśli, kiedy wspomniał o jego ojcu, żeby go postraszyć. Ale nie rozumiał, że czasy się zmieniły, że także oni byli inni. Bogowie nie podnosili już ręki w faszystowskim pozdrowieniu, nie jeździli na polowania z Caudillo ani nie chodzili do luksusowych burdeli z jego zięciem. Nie można już było zabijać ludzi na poboczu drogi ani wypychać ich z okna komisariatu. Stary jednak tego nie dostrzegał. Albo dostrzegał, ale gównu go to obchodziło.

– Masz świadomość, że znaleźliśmy się między młotem a kowadłem, prawda?

Agustín González przyjrzał się w lustrze własnej twarzy, teraz wykrzywionej.

– Co masz na myśli?

Alcázar pogładził wąsy. Także bogowie mieli wrzody na tyłku. Wskazał na zestaw ręcznie malowanych rosyjskich matrioszek, który podarowała mu Laura. Były przepiękne, o twarzach bez wyrazu, ubrane jak wieśniaczki: w kolorowe stroje i kwieciste chusty. Stary zapragnął odkupić je od Alcázara, kiedy zobaczył je w jego gabinecie. Miały być trofeum jak wypchane głowy jeleni, dzików i wilków, które kolekcjonował w bibliotece, kiedy Hiszpania była jeszcze prywatnym terenem łowieckim dla ludzi jego klasy.

– Jeżeli to prawda, że twój zięć ma dowody pozwalające na wznowienie śledztwa...

Agustín González poczuł irytację, jednak nie podniósł głosu. Nigdy nie zapominał, w jakiej gra scenie, nigdy nie wypadął z roli.

– Niczego nie ma.

– A co, jeśli ma?

Agustín uśmiechnął się, sprawdzając godzinę na swoim platynowym zegarku. Ślicznotka o perskich rysach musiała się już niecierpliwić.

– To mu je odbierzesz, nieważne jak.

– Nieważne jak?

Stary spojrział na inspektora z dystansem i odrobiną kpiny.

– Naprawdę brak mi twojego ojca. Jemu nie musiałem niczego powtarzać dwa razy.

11.

POCZĄTEK MAJA 1933 ROKU. WYSPA NAZINO (SYBERIA)

Życie przeciekało mu przez palce. Nic nie wydawało się rzeczywiste, a jednocześnie nic nie wydawało się bardziej prawdziwe. To poczucie nierealności towarzyszyło Elíasowi co noc, gdy przytulał się do Iriny. Kiedy Anna już spała, kobieta powoli się rozbierała, kładła przy nim i wślizgiwała w jego ramiona jak liść. Liść, który czasami drżał, a kiedy indziej wydawało się, że do niego nie należy. Trudno było kochać się w ciszy pośród obcych ludzi leżących w głębi barki i udających, że śpią, albo odwracających się plecami, by zapewnić im odrobinę prywatności. O świcie, kiedy słońce wschodziło z wahaniem, Irina ubierała się w milczeniu, które tak bardzo raniło Elíasa. Poza osłoną nocy odrzucała jego pieszczoty, każdy czuły gest zwiększał jej strach i nerwowość, jakby w miarę zbliżania się do wyspy Nazino coraz bardziej broniła się przed nierealnymi złudzeniami, domyślając się tego, o czym nikt nie chciał mówić. Z łodzi, która w rozpaczliwie wolnym tempie posuwała się w górę rzeki Tom, widzieli tylko wyludnione, jałowe, piaszczyste wyspy. Nie było tam możliwe żadne życie.

Irina ukrywała tomik wierszy. Elías widział, jak je czyta. Od czasu do czasu podnosiła głowę, wbijając nieruchome spojrzenie w krajobraz po obu stronach rzeki i błędząc myślami tak daleko, że nikt nie zdołałby sprowadzić jej stamtąd z powrotem. Swoim kontraltem recytowała wiersz, zawsze ten sam. Pod koniec jednak milkła, mrugała oczami, jakby ostatnie wersy wypadły jej z pamięci. Zakrywała wtedy usta i twarz dłońmi i wybuchała płaczem. Elías próbował ją pocieszać, ale patrzyła na niego z ukosa w zimny, raniący sposób, nie chcąc dzielić się z nim cierpieniem, które należało wyłącznie do niej. Dwie, trzy noce później znów kładła się przy nim na spróchniałych deskach podłogi. Zwijała się w kłębek w jego ramionach i całowała go w nadgarstki, w spód dłoni, w pierś. Elías nauczył się nie zadawać jej pytań,

zadowalał się tą chwilą, wchłaniał jej ciało – nie nosem, ale palcami, ustami, skórą. Przyciskał ją do siebie dotąd, aż czuł, że znów rozbłyska w niej iskra życia i ciepła, których tak potrzebował.

Przez kilka tygodni sunęli między krami, które zaczęły topnieć z nadejściem wiosny, aż dotarli do miejsca, gdzie Tom wpada do Obu. Płynąca wartko rzeka rozgałęziała się, tworząc w rozwidleniach ogromne wyspy, na których nie było nic poza niewielkimi skupiskami czarnych jodeł i rozległymi, cuchnącymi bagniskami. Barka to zwalniała, żeby nie osiąść na błotnistej mieliźnie, to znów pruć małe, pienne fale, zostawiając za sobą ślad, który zaraz znikał. Wreszcie pewnego zimnego poranka łódź przestała bucieć, zboczyła w stronę prawego brzegu i zatrzymała się przy starym, opuszczonym pomoście. Ktoś o makabrycznym poczuciu humoru przybił do jednego ze słupów deskę z napisem: „Witamy na wyspie Nazino. Podziwiajcie krajobraz. Będzie krajobrazem waszego grobu”.

Nie było nic do podziwiania: mała, samotna wyspa, długa na trzy kilometry i szeroka na niespełna jeden, powstała w miejscu, gdzie rzeka Nazino wpada do Obu. Była niezamieszкана, pokrywało ją kilka skupisk drzew iglastych i rozległe grzęzawiska, które latem zamieniały się w wylęgarnię wszelakiego rodzaju owadów. Na południe od wyspy rozciągał się szeroki, niezmierny step.

– Nie mogą nas tu zostawić – szepnął Elías, kiedy kazali im zejść na ląd.

W sumie było ich ponad dwa tysiące, a pilnowało ich zaledwie pięćdziesięciu źle uzbrojonych żołnierzy i dwóch młodziutkich oficerów. Wyspa oferowała schronienie jedynie strażnikom – liche rybackie chatki, już dawno opuszczone. Nie było żadnych baraków, intendentury, ambulatorium ani nawet latryn. Tylko kilka starych brezentowych namiotów otoczonych drutem kolczastym, jeszcze do końca nierozwiniętym. Władze postawiły zaledwie parę wieżyczek strażniczych, przy brzegach i w lesie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował uciekać – po prostu dlatego, że nie było gdzie. Od Tomska dzieliło ich ponad osiemset kilometrów, a Moskwa, nawet gdyby znajdowała się tuż za rogiem, była równie nieosiągalna.

Więźniowie zostali podzieleni na brygady i skierowani do przymusowych robót. Mieli gołymi rękami wzniesć więzienie, w którym zostaną zamknięci; brakowało jednak wszystkiego: narzędzi, drewna, gwoździ. Na czele brygad stali pomocniczy strażnicy, wybierani przez żołnierzy spośród więźniów kryminalnych. Kiedy nadeszła kolej Elíasa, oficer przydzielił go do grupy

Igora. Nie było to przypadkowe. Więzień z szyderczym uśmiechem pomachał mu, stojąc u wejścia do namiotu, który zdążył już sobie przywłaszczyć. Claude, Irina i jej córka trafili do innej brygady. Elías ucieszył się, że przynajmniej będzie przy nich jego francuski przyjaciel. Chociaż wiedział, że Claude zrobi, co będzie trzeba, żeby je chronić, nie stanowiło to dużego pocieszenia. Nic nie działo się bez przyzwolenia więźniów takich jak Igor Stern i jego ludzie, którzy od pierwszej chwili dali zesłańcom jasno do zrozumienia, że ich życie zamieni się w koszmar znacznie gorszy od wszystkiego, czego dotychczas doświadczyli.

Elías często wpadał na Michaela i chodzącego za nim jak cień Martina. Omijali się szerokim łukiem, ale kiedy spotkanie było nieuniknione, Michael patrzył na Elíasa z wściekłością, jakby poniekąd obarczał go winą za rolę, jaką przyszło mu odgrywać. Martin z kolei posyłał mu nieśmiały uśmiech pełen poczucia winy, a kiedy nikt nie widział, dawał mu nawet ubrania czy jedzenie. Jego żałosne przeprosiny i usprawiedliwienia tylko denerwowały Elíasa, zwłaszcza kiedy widział swojego dawnego towarzysza bijącego kogoś zajadle albo kradnącego, żeby przypodobać się Michaelowi. Chwilowo Igor Stern był zbyt zajęty grabieżą i narzucaniem w obozie terroru, żeby zawracać sobie głowę Elíasem, ale kiedy się mijali, posyłał mu okrutny uśmiech, mówiący, że pamięta o sprawie, którą mają do załatwienia.

– Wciąż chcę mieć twój płaszcz.

Wkrótce tyfus i dyzenteria zebrały pierwsze plony. Zesłańcom rozdawano wyłącznie mąkę, wielu gotowało ją z niezdrową, trującą wodą. Ludzie zaczęli umierać z powodu odwodnienia, wysokiej gorączki i strasznego głodu. Nieliczne króliki i wiewiórki żyjące na wyspie szybko zniknęły, w cenie były nawet szczury, które przypłynęły z nimi na barkach. Jeśli chodzi o ptaki, niewiele ich przelatywało nad wyspą, kierowały się bowiem w stronę mniej zimnych i deszczowych regionów. Brygady nadzorowane przez więźniów kryminalnych pracowały bez wytchnienia: karczowały teren, stawiały słupy, przerzucały kolejne metry sześciennie błotnistej ziemi, czasami gołymi rękami. Cały ten wysiłek wydawał się nie mieć sensu, chyba że chodziło o to, by zużyć resztki energii, jaka im została.

Wyspę szybko owładnęło szaleństwo i choroby, zapanowała przerażająca cisza, spotykana tylko na dziedzińcach domów wariatów. Duchy o ludzkich

kształtach snuły się w tę i z powrotem, otepiały, nieobecne, pozbawione nadziei.

Podczas pracy brygady się rozdzielały, jednak nocą znów wszyscy gromadzili się na zacumowanych przy pomoście barkach. Było to jedyne schronienie, jakim dysponowali. Elías spotykał się z Iriną i swoim francuskim przyjacielem, dodawali sobie otuchy, opowiadali historyjki, próbowali przypominać sobie nawzajem, że są istotami ludzkimi, które miały przeszłość i może będą miały także przyszłość. Ale wspomnienia i nadzieje wkrótce zamieniły się w chorobę niemal równie wyniszczającą jak tyfus. Przywoływanie przeszłości i myślenie o przyszłości odbierało im siły niezbędne, by stawiać czoła teraźniejszości. W końcu stracili i tę ostoję. Jedyнным tematem ich rozmów były więc codzienne sprawy: gdzie można zdobyć ziemniaka, gdzie ukraść płaszcz, który strażnik jest bardziej, a który mniej sympatyczny, jak uniknąć ciosów kijem, wymierzanych im przez ludzi Igora.

Elías jako jedyńy wierzył, że koszmar się skończy, nie chciał przyjąć do wiadomości, że cały ten chaos jest częścią planu wymyślonego przez władze. Eksterminowanie ludzi w tak nikczemny sposób nie miało według niego sensu. Z uporem twierdził, że przecież jest komunistą, że nie popełnił żadnego przestępstwa. Powtarzał jak mantrę, że Stalin nie może wiedzieć o tym barbarzyństwie; „Wielki Ojciec” nigdy by do czegoś takiego nie dopuścił. Na początku Claude reagował na jego komentarze z właściwą sobie uszczypliwością, pogrążali się więc w zażartych ideologicznych i politycznych dyskusjach i choć nigdy nie dochodziło do rękoczynów, bywało, że przez kilka dni chodzili obrażeni. Uwadze Elíasa nie uszło to, że zaciekleść jego przyjaciela rosła, kiedy w pobliżu była Irina. Podobnie jak nie umknęło mu, że podczas przynajmniej dwóch nocy, kiedy kochali się cicho, Claude podglądał ich zza półprzymkniętych powiek, udając, że śpi.

W ostatnim tygodniu kwietnia stan zdrowia Claude’a alarmująco się pogorszył. Miał coraz wyższą gorączkę, a w kikuty po amputowanych palcach znów wdało się zakażenie. Jak chory pies uciekał przed innymi, nawet przed swoimi przyjaciółmi; szukał najdalszych kątów i kulił się w nich, odwrócony plecami do świata. Irina niewiele mogła działać bez leków, chininy i czystych bandaży, ale mimo to i tak nie odstępowała go na krok.

– Musisz coś zjeść – nalegał Elías, kiedy przyjaciel ze zrezygnowaną miną odmawiał przyjęcia miseczki kleistej zupy, którą wydawano im raz dziennie.

– Po co?

– Bo cię potrzebuję. Bez ciebie sobie nie poradzę.

Claude uśmiechnął się na moment, spojrzał na niego kątem oka, zamierzając rzucić jakąś zjadliwą uwagę, ale w końcu się powstrzymał. Wypił trochę zupy, zaraz jednak ją zwymiotował.

– A dlaczego sądzisz, że ze mną ci się uda? – zapytał, wycierając sobie ślinę wierzchem gnijącej dłoni. Spoglądał na Elíasa szklanym wzrokiem. – Spójrz na to przekłete miejsce. Wczoraj widziałem, jak kilku więźniów ciągnie do lasu jakąś kobietę. Zgadnij, kto był wśród nich.

Elías domyślił się, o kogo chodziło. Michael zaczynał zdobywać złowrogą sławę. Elías i Claude pokłócili się o tę przerażającą metamorfozę Szkota. Hiszpan nie pojmował, jak taki idealista, wykształcony i pracowity człowiek, *cywilizowana istota*, mógł przejść aż taką transformację. Claude utrzymywał, że Michael jest psychopatą równie niebezpiecznym jak Igor, tyle że do tej pory żyli w zupełnie innych warunkach. Michael ukrywał swoją pogardę pod powłoką cywilizacji i powściągliwości, ale w nowej sytuacji, całkowitej bezkarności i rządów prawa silniejszego, ujawnił się cały jego przestępczy potencjał. Zdaniem Francuza Michael w końcu wykazałby się podobnym okrucieństwem, bardziej zawołowanym, ale nadal okrucieństwem, jako dyrektor fabryki, komisarz polityczny czy zwykły ojciec rodziny. Jego wniosek był ponury, ale definitywny:

– Dla ludzi takich jak Michael nie można szukać usprawiedliwień. Trzeba ich eliminować. Widziałem, jak ciągnie tamtą kobietę za włosy, jak zwierzę, w stronę namiotów Igora i jego ludzi; strażnicy nie zrobili nic, żeby mu przeszkodzić. Myślałem, że ją zgwałcą, i uznałem, że nie jest to jeszcze najgorsza rzecz, jaka może cię tutaj spotkać. Słyszałem jej wrzaski przez kilka godzin. Kilka godzin. Próbowałem zatkać sobie uszy, ale krzyk agonii wdzierał się między moje palce i wybuchał mi w głowie. Nie tylko ją zgwałcili, Elíasie. Poćwiartowali ją. Rozumiesz? Poćwiartowali ją, żeby zjeść jej mięso!

Elías spojrzał na niego z odrazą. To gorączka, pomyślał. To gorączka sprawia, że jego przyjaciel bredzi. Jednak w następnych dniach doszło do kolejnych przypadków kanibalizmu. Natykano się na przywiązane do drzew ciała, którym wyrwano większą część ud albo brzucha; wśród zesłańców

krażyły straszliwe opowieści, byli niczym przerażone stado, które starało się trzymać razem, ale w którym co ranka brakowało kogoś, kto kilka godzin później znajdował się poćwiartowany. Dwaj oficerowie z garnizonu powiesili już paru podejrzanych więźniów, ale byli młodzi, ta sytuacja ich przerastała.

Elíasa zaczęła prześladować straszliwa wizja. Nie mógł przestać myśleć o tym, że Irina i Anna zdane są na łaskę tych bestii.

– Na razie są bezpieczne – próbował go uspokoić Claude. – Irina jest chirurgiem, dwaj wojskowi lekarze z obozu chronią ją, bo jej potrzebują. Ale nie wiem, jak długo tak będzie... Musisz je stąd zabrać, Elíasie. To szaleństwo zamieni się w obłąkańcze barbarzyństwo.

– Gdyby tylko wszystko mogło się zacząć od nowa, gdyby dało się wymazać to, co już wymazane... – szepnął sam do siebie Hiszpan.

– Nie bądź naiwny. Nigdy nie zwróciłyby na nas uwagi, ani na ciebie, ani na mnie. Obaj to wiemy. Może jednak w sumie powinniśmy podziękować Stalinowi, nie sądzisz? Przynajmniej pozwolił nam ją poznać. Nie mogliśmy rywalizować z jej mężem... Ten tomik wierszy, który czyta i który tak cię niepokoi, należał do niego; osobiście znał Majakowskiego, byli przyjaciółmi. Kiedy poeta palnął sobie w serce, popchnięty do tego przez Stalina, a jego twórczość popadła w niełaskę, mąż Iriny napisał artykuł do „Prawdy” i dołączył do niego jego ostatnie, niedokończone wiersze, świadom, że tym samym podpisuje na siebie wyrok śmierci.

Elías spoglądał na przyjaciela zdziwiony. Claude wypluł zielonkawą plwocinę, a wraz z nią połowę oskrzeli.

– A czego się spodziewałeś? – zapytał tonem usprawiedliwienia, dysząc, czerwony na twarzy. Coraz trudniej mu było oddychać, świszczwał jak zepsuty miech. – Ja też jestem z krwi i kości.

Elías skinął głową z wyrozumiałym uśmiechem. Miał tylko jedno oko, ale wystarczyło mu, żeby zauważyć, iż od kilku tygodni także jego przyjaciel jest zakochany w Irinie.

Strażnicy postawili na skraju pomostu prowizoryczny stragan z desek i dwie beczki, z których wydawali racje mąki. Irina czekała w kolejce pilnowanej przez żołnierzy; trzymali palce na spustach swoich karabinów, zdenerwowani i zmęczeni. Już kilkakrotnie dochodziło do zamieszek podczas wydzielania żywności, bez wahania strzelali do tłumu, kiedy czuli się zagrożeni. Mimo to

w ich stronę wyciągała się pośród kuksańców niezliczona ilość rąk. Elías z niepokojem obserwował tę scenę. Ludzie poruszali się niczym fala, Irina przyciskała do nóg Annę, żeby nie zostały rozdzielone. W pewnej chwili jeden z żołnierzy, zbyt młody, stracił opanowanie, kiedy popychana przez tłum grupka zesłańców niczym lawina runęła na stragan, wysypując na ziemię zawartość beczek z mąką. Wyglodniałe stado rzuciło się na miazgi proszek.

Żołnierz strzelił do pierwszego mężczyzny, który go zaatakował. Jak w dominie, pozostali strażnicy poszli w jego ślady, chociaż oficer odpowiedzialny za rozdzielanie żywności krzyczał, żeby przerwali ogień. Jednak żaden z jego ogarniętych paniką ludzi nie usłyszał rozkazu albo nie był w stanie go wypełnić. W kilka minut zesłańcy rozpierzchli się na wszystkie strony. Niektórzy biegli w kierunku pobliskiego lasu, inni rzucali się do rzeki i próbowali wpław dotrzeć na drugi brzeg. Było to samobójcze, niewykonalne przedsięwzięcie – brzeg znajdował się za daleko, a woda była za zimna. W obawie przed masową ucieczką żołnierze zaczęli strzelać bez opamiętania i przebijać bagnietami zbiegów. Część zesłańców przystąpiła do nierównej walki, próbowali wyrywać strażnikom broń, tłukąc ich kijami, kamieniami, czym popadło, a niektórzy wręcz okładali ich gołymi pięściami albo gryźli.

Elías rzucił się biegiem do Iriny. Zdezorientowana kobieta kręciła się w kółko wśród panującego zamieszania, przyciskając do piersi Annę. Dziewczynka krzyczała przerażona. Wszędzie padały ciała, słychać było wystrzały z karabinów. Elías przedostał się do nich, torując sobie drogę pięściami i kopnięciami. Skoczył na nie i powalił je na ziemię, osłaniając własnym ciałem.

– Nie ruszajcie się – krzyknął.

Kiedy ucichło echo ostatnich wystrzałów, wyspę pokrywały zwłoki. Powietrze śmierdziało prochem. Nawet żołnierze, którzy przed kilkoma minutami dali pokaz okrucieństwa, teraz przyglądali się tej dantejskiej scenie w milczeniu, przerażeni własnym atakiem szału. Niektórzy wymiotowali, inni szlochali niepokieszeni. Tamtego dnia zginęło ponad dwieście mężczyzn, kobiet i dzieci. Śmierć poniosło także kilku żołnierzy.

Nagle z oddali, poprzez spowijającą rzekę mgłę, zaczęły przedzierać się dźwięki muzyki. Otoczony zwłokami staruszek siedział na pniu, grając na organkach jakąś smutną melodię. Scena była obłąkańcza, nierealna,

a jednocześnie niesamowita. Ale staruszek był prawdziwy, dźwięki, które wydobywał z harmonijki, przebijały się pośród jęków rannych. Jego wielki brzuch, twarz prostego, nieokrzesanego chłopca, przetłuszczone włosy i zakrwawione ręce trzymające instrument były równie realne jak wychodząca z jego ust melodia.

Oficer, który rozkazał żołnierzom, żeby nie strzelali, podszedł do grajka z rewolwerem w dłoni, krocząc niczym robot. Wszyscy myśleli, że go zastrzeli. Przez długą chwilę przyglądał się starcowi, po czym zdjął płaszcz i delikatnie okrył nim muzyka, jakby był jego ojcem albo dziadkiem. Usiadł przy nim zasłuchany. W jego oczach malował się obłęd. Czubkiem rewolweru uniósł daszek czapki i powiódł spojrzeniem po ciałach zabitych; niektóre padły na ziemię w nieprawdopodobnych pozach, na kolana, z otwartymi ustami i oczami spoglądającymi w niebo. Drżącymi palcami poszukał w kieszeni kurtki papierosa, zapalił go i głęboko się zaciągnął. Przyłożył rewolwer do skroni i palnął sobie w łeb.

Jego ciało upadło obok starca, obryzgując mu krwią twarz. Mężczyzna przestał grać. Jego grube palce kułaka zatrzymały się na chwilę nad roztrzaskaną czaszką młodego oficera, nie mając odwagi jej dotknąć, po chwili jednak przytulił jego głowę do swojego dużego, miękkiego brzucha, jakby była zepsutą zabawką.

Kiedy minęło osłupienie, w stronę staruszka i oficera wyciągnęła się chmara rąk, pozbawiając ich ubrania, butów i innych wartościowych rzeczy. Pomiędzy gąszczem ciał Elías zobaczył, jak Michael sięga po rewolwer oficera i chowa go pod ubraniem. Tłum zaś przystąpił do rytuału równie starego jak ludzka głupota – niczym stado zdesperowanych kruków zaczął ograbiać pozostałe zwłoki.

– Muszę was stąd wydostać – szepnął Elías, przyciskając do piersi Irinę i Annę.

Claude umarł dwa tygodnie później. Konał przez cały ranek, z głową na ramieniu Iriny, wtulony w jej piersi. Jego oddech był nierówny, świszczący. Irina otaczała go ramionami, całowała w rozpalone czoło, bujała i śpiewała mu do ucha starą kołysankę, tę samą, którą tyle razy nuciła swojej córce. Na kilka sekund Claude otworzył oczy i spojrzał na świat, jakby szykował się do rzucenia ostatniej sarkastycznej uwagi. Na tę krótką chwilę znów stał się

dawnym roslým, przystojnym chłopakiem, pewnym siebie, odznaczającym się ironicznym, błyskotliwym poczuciem humoru, które zawsze zostawiało ślad goryczy.

– Powinnaś była wybrać mnie – szepnął. – Jestem przystojniejszy od tego Hiszpana i na pewno znacznie mniej dramatyczny.

Irina nieśmiało odwzajemniła jego uśmiech, pogłaskała go po policzku z hamowaną czułością i skinęła głową, jakby rzeczywiście ofiarowała swoje towarzystwo i pocałunki niewłaściwemu mężczyźnie. Wcale tak nie uważała, wszyscy troje byli tego świadomi, nie miało to jednak znaczenia. Słowa kłamią, ale kłamstwo jest czasem jedynym możliwym pocieszeniem.

Elías opuścił barcę, przeszedł na koniec pomostu i przygnębiony usiadł na jego skraju. Długo obserwował czerwone smugi słońca na powierzchni wody, mgłę po drugiej stronie, która nigdy całkowicie się nie rozpraszała, barki z dziobami zakopanymi w grząskim piasku plaży. Pomyślał, że ludzie są jak te rachityczne drzewa widoczne na drugim brzegu rzeki. Nigdy nie zapuszczą korzeni w tej gliniastej ziemi, do końca będą walczyć, by przeżyć i wznieść się ku promieniom słońca, ale i tak nieuchronnie zgniją. Zalał go smutek na wspomnienie śmiechu Claude’a, zapału, jaki wykazywał w pociągu, który wiozł ich czterech do Moskwy – tysiąc lat temu?

Życie jego przyjaciela było jak sztuczne ognie – kolorowe, spektakularne wybuchy, które jednak w obliczu śmierci okazały się tylko złudzeniem. Złudzeniem było wszystko, o czym marzył: zaprojektowane przez niego budynki, jego myśli, kobiety, które mógł kochać, przeczytane książki, muzyka, której słuchał, pełne pasji dyskusje polityczne, które prowadzili, jego sukcesy i porażki, radości i rozczarowania. Wszystko umierało w tym miejscu. Teraz. Elías nie był w stanie zrozumieć śmierci; Claude przekroczy ten próg sam, jak zrobią oni wszyscy. Na nic zdają się litościwe kłamstwa Iriny, trzymanie go za rękę, wszystkie teorie i religijna retoryka o Bogu, o tamtym świecie. Jest sam.

W wodnym wirze dostrzegł rybę przypominającą okonia. Znalazł patyk i spróbował ją przyciągnąć. Odpadły jej łuski i miała puste oczodoły. Śmierdziała, ale nadawała się na kolację. Schował ją w spodnie, ogarnięty nagłym strachem, że ktoś mógłby odebrać mu ten kawałek zgniłego mięsa. W tym momencie uświadomił sobie, że jeśli zdoła przeżyć, całe to cierpienie pozbawi go na zawsze zdolności odczuwania radości i szczęścia. Odtąd nic nie będzie mu się wydawało prawdziwe, poza bólem.

Irina podeszła do niego, trzymając coś w dłoni. Elías zrozumiał, że Claude

nie żyje. Z wahaniem dotknął jej policzka i odsunął z twarzy kosmyk włosów. Irina cofnęła się, by strząsnąć jego dłoń, ale zaraz chwyciła go za palce i zaczęła je całować.

– Napisał to dla ciebie.

Elías przeczytał wiadomość zapisaną okopconym końcem spalonej gałązki: „Nie odbiorą mi wszystkiego. Moja śmierć należy do mnie”.

Elías zobaczył na ciele Iriny wgłębienia po paznokciach przypominające ślady zostawione przez szpony. Claude czepiał się jej kurczowo aż do końca.

– Nie chcę tu umrzeć, nie w taki sposób, nie bez walki – szepnęła Irina.

Wiatr przynosił na brzeg ciężki zapach palonych wilgotnych gałęzi. Za zasłoną mgły widać było dryfujące spuchnięte ciała. Inne osiadły na meandrach, zakleszczone w gałęziach powalonych drzew. Elías spojrzał na gęstą szarość ciągnącą się w stronę północy. Wrotami do tego więzienia bez ścian był step. Tysiące kilometrów absolutnej ciszy, pustkowiecia rozpościerającego się pomiędzy nimi a Uralem na zachodzie i Oceanem Arktycznym na północy. Wschód był jeszcze gorszy – syberyjska tajga.

Ale on już podjął decyzję. Uciekną. Żeby umrzeć trochę dalej. Przynajmniej zginą, podążając w jakimś kierunku.

Martin wydał z siebie zduszony krzyk, przypominający jęk konającego. Przez kolejne sekundy Michael czuł pod dłonią przyspieszony oddech swojego kochanka. Nie powinni marnować w ten sposób energii, pomyślał, odrywając się od ciała Martina z wciąż stojącym penisem. Poza tym to niebezpieczne. Wolał nie myśleć, co zrobiliby im Igor, gdyby ich przyłapał. Michael widział, jak brał siłą innych mężczyzn, ale gwałt i prawo do dominacji to jedna rzecz, a druga, zupełnie inna, to co robili każdej nocy z Martinem. Oni się kochali.

– Myślisz, że nas ze sobą zabierze?

Michel pogłaskał Martina po rudych włosach.

– Potrzebuje nas – powiedział, żeby uspokoić przyjaciela, choć tak naprawdę wcale w to nie wierzył.

Igor zamierzał kierować się na północny zachód. Znalazł na mapie przebieg starej linii kolejowej, która miała połączyć zagłębia górnicze na Uralu z nizinami zachodniej Syberii i rzeką Jenisej, przecinając stepy Kirgizji. Projekt został zarzucony na początku wieku jako nazbyt ambitny, ale zachowały się wielokilometrowe odcinki torów i wagonetki. Trasa zaczynała

się kilkaset kilometrów od wyspy, gdzieś między Nizniewartowskiem a Vampugolem. Musieliby wędrować przez kilka tygodni, by w końcu przejść w bród rzekę Ob i dostać się do Tomsku.

Oznaczało to tysiące kilometrów marszu bez żadnych punktów odniesienia i bez jedzenia, narażanie się na ataki wilków i utonięcie w bagnie, na śmierć z głodu, pragnienia i zimna. Już samo myślenie o tym było absurdalne. Mimo to zamierzali spróbować. Igor od tygodni studiował mapę i gromadził ekwipunek, wszystko, co mogło okazać się przydatne: ubrania, buty, niewielkie ilości jedzenia, jakie byli w stanie zdobyć, i broń palną ukradzioną zamordowanym strażnikom. Szacował, że po tygodniu marszu powinni dotrzeć do jakiejś wsi albo znaleźć jakieś syberyjskie gospodarstwo. Wtedy wszystko pójdzie znacznie łatwiej.

Michael miał asa w rękawie – pistolet oficera, o którym nie wiedział nikt poza Martinem. Co noc przemykał się do kryjówki, w której go trzymał, otwierał bęben i przeliczał pięć naboí. Szósty tkwił w czaszce oficera. Co można zrobić z pięcioma kulami? Dużo, jeśli umie się je właściwie wykorzystać. Jedna z nich była zarezerwowana dla Igora. Zamierzał palnąć mu w łeb, kiedy już będą bezpieczni. Czuł do tego potwora straszliwą nienawiść. Druga i trzecia kula były przeznaczone dla niego i dla Martina w razie, gdyby im się nie udało. Igor werbował młodych ludzi, obiecując, że ich ze sobą zabierze. Głupcy nie zdawali sobie sprawy, jakie są jego prawdziwe zamiary. Planował wykorzystać ich jako juczne muły podczas wyczerpującego marszu, a kiedy przyciśnie go głód – jako mięso. Michael nie zamierzał pozwolić, żeby te bestie żywiły się nimi podczas ucieczki. Igor zmusił jego i Martina do poćwiartowania tamtej nieszczęsnej kobiety, a potem kazał im spróbować jej mięsa. Choć długo wymiotował i napełniał sobie usta błotem, nie był w stanie pozbyć się jego odrażającego smaku.

– Powinniśmy pomyśleć o Elíasie – powiedział Martin. Mechanicznym ruchem gładził trzy struny rosyjskiej bałajki, popularnego instrumentu o długim gryfie i trójkątnym pudle. Jakaś dziewczyna oddała mu ją za dziurawe buty. Marzył, że któregoś dnia nauczy się na niej grać, choć wiedział, że wcześniej pójdzie na opał.

Michael pogłaskał go po karku zaczerwienionym od ugryzień, śladzie po niedawnym dzikim seksie. Serce Szkota ścisnęło się pod wpływem nagłego przeczucia. Zaczął obsesyjnie myśleć, że Martin sobie nie poradzi, że jest zbyt słaby. Nie potrafił pozbyć się skrupułów, które ciążyły w tym miejscu tak,

jakby przywiązano mu do kostek kamień i rzucono go w odmęty rzeki. Odsunął to przecucie, zanurzył palce w potargane włosy przyjaciela i pocałował go delikatnie w ramię. Nie pamiętał już, kiedy pierwszy raz zobaczył go nago, pierwszego pocałunku. Minęło pół roku, rok. Jakie to miało znaczenie? Dni ciągnęły się niczym stulecia.

– Elías nie pójdzie z nami za żadne skarby. Donieśliśmy na niego do OGPU, nienawidzi nas za to, że służymy Igorowi. Sam widziałeś, jak na nas patrzy. Przy pierwszej okazji przegryzłby nam gardła. Poza tym nigdy nie zostawi tej kobiety i jej córki.

Tak naprawdę nawet nie próbował przeciągnąć Elíasa na swoją stronę. Po śmierci Claude'a Hiszpan przeszedł ogromną przemianę, niepojętą dla kogoś, kto patrzył na niego z boku. Zamiast pogрузić się w melancholii czy w rozpacz, zyskał zimną, wyrachowaną stanowczość. Kilkakrotnie ścierał się ze strażnikami, bił zażarcie więźniów, którzy próbowali napastować Irinę i jej córkę. Michael widział, jak grubym kijem rozłupuje jednemu z nich głowę, walił w nią zapamiętałe jeszcze wtedy, kiedy twarz nieszczęśnika była już tylko bezkształtną miazgą. Przestał dopiero wówczas, gdy Irina podeszła do niego ostrożnie i przytrzymała mu rękę. Przez chwilę spoglądał na nią tak, jakby jej nie znał, gotów zmiażdżyć także i ją, jeśli będzie dla niego zagrożeniem. Odrzucił jednak zakrwawiony kij i niczym obłaskawiony kot odszedł w stronę plaży, z jedynym okiem utkwionym we mgle.

Igor Stern także zauważył tę przemianę. Nie bawiło go już prowokowanie Elíasa aluzjami w stylu „wciąż czekam na twój płaszcz”, kiedy przychodził do pracy z resztą brygady. Teraz groził mu wprost, wiedział, gdzie zadać cios. Któregoś ranka podszedł do niego z obstawą dwóch ludzi. Elías kopał dół, który mógł służyć jedynie za zbiorowy grób. Grzęznąąc po kolana w błocie, napinał mięśnie przy każdym ruchu łopata, wokół jego ociekającej potem głowy bzycały owady. Igor poprosił go uprzejmie, żeby przestał kopać i posłuchał, co ma mu do powiedzenia. Chciał mu złożyć propozycję.

– Zwróciła moją uwagę ta kobieta, z którą się trzymasz. Jest Sybiraczką, prawda? Chcę, żebyś mi ją odsprzedał.

Elías spojrział na niego swoim jedynym okiem, w którym skupiła się cała jego nienawiść. Był jednak opanowany – już się go nie bał. A skoro się nie bał, Igor niewiele mógł mu zrobić.

– Nie mogę sprzedać ci czegoś, co do mnie nie należy.

– Chcę też dziewczynkę. Jest jeszcze bardzo mała, ale słyszałem, że mięso

dzieci jest smaczniejsze. Może najpierw ją wyrucham, a potem pozwolę tym hienom rozszarpać ją na kawałki.

Elías bez namysłu sięgnął po łopatę, którą kopał dół, i zamachnął się na Igora. Ledwo go musnął, ale to wystarczyło. Zanim zdążył ponownie się zamierzyć, dwaj mężczyźni, którzy eskortowali Sterna, rzucili się na niego i stłukli go kijami. Zamiast się bronić, Hiszpan odpowiedział na atak jak wściekły, osaczony pies.

– Prawdziwy syberyjski wilk. Najwyższa pora – stwierdził Igor z absurdalną dumą, jakby to on stworzył tego nowego Elíasa. Nie pozwolił swoim ludziom go zabić.

Pochylił się nad chłopakiem, który leżał w błocie z głową przyciśniętą do ziemi stopą jednego z mężczyzn, i cedząc przez zęby, szepnął mu do ucha słowa ostre jak piła:

– Za dwie noce przyjdiesz do mojego namiotu. Przyrowadzisz ze sobą kobietę i dziewczynkę, czyste, uczesane. Irina ma mieć na sobie twój płaszcz. Oddasz mi je i podziękujesz, że cię nie zabiłem.

Tamtej nocy Elías udał się sam do lasu. Nikt się tam nie zapuszczał, nawet strażnicy, chyba że w świetle dnia i w zorganizowanej grupie. Pośród drzew i wysokich krzaków snuła się gromada obłąkanych zesłańców, którzy dopuszczali się wszelkiego rodzaju okrucieństw, niczym siejąca terror kolonia wariatów zbiegłych z psychiatryka. Wybranie się w pojedynkę w ten gąszcz oznaczało samobójstwo. Elías jednak nie miał wyjścia; tratwa, którą budował cierpliwie od dnia strzelaniny i masakry, była ukryta w odnodze rzeki. Poza tym musiał jeszcze coś odzyskać.

W końcu znalazł człowieka, którego szukał. Księżyc w pełni oświetlał przykucniętą na polanie postać; stękanie i odgłosy dobiegające z jego jelit rozbrzmiewały w ciemnościach niczym powarkiwania leśnych bestii. Mężczyzna się wypróżniał, a do podcierania używał kartek z książki Iriny. Czytał jedną, wyrывał ją i podcierał nią sobie tyłek. Nazywał się Jewgienij, miał trzydzieści lat, ale wyglądał na znacznie więcej; w innym życiu był pisarzem należącym do Związku Literatów, Azjatą urodzonym w Mongolii Wewnętrznej. Jego grzech polegał na stwierdzeniu, że Gorki jest przeklętym sługusem i że Stalin zna się na literaturze tak jak on na aeronautyce. Przestał się mądrzyć w dniu, kiedy dwaj ludzie Jagody zabrali go z jego małego mieszkanka. Dotknięty obłędem i samotny, całymi dniami włóczył się po lesie jak zjawa, półnagi niczym dzikus, recytując wiersze z *Shin-kokin-shū*,

antologii poezji japońskiej, zebranej w XIII wieku przez Teikę Fujiwarę, jego zdaniem jedyne go poetę zasługującego na to miano. Irina oddała mu tomik Majakowskiego za kilka kawałków niebieskawego mięsa, o którego pochodzenie wołała nie pytać. Szalony Jewgienij potrzebował książki tylko dlatego, że jego odbyt tęsknił za dotykiem papieru toaletowego. Pozółkłe kartki wydawały mu się najbardziej wyrafinowaną przyjemnością.

Elías z całej siły kopnął go w kark, tak by nie zdążył krzyknąć i zaalarmować innych zesłańców błakających się po lesie. Jewgienij runął twarzą na ziemię. Przewrócił się na bok, a ostatnią rzeczą, którą zobaczył, był ogromny kamień spadający mu na głowę i rozwścieczone oko, posyłające go do piekła razem z jego ukochanym Teiką.

Elías wrócił na barkę i potrząsnął śpiącą Iriną.

– Obudź Annę, idziemy. Już.

Wyruszyli przed świtem. Licha tratwa nadawała się jedynie do tego, by utrzymać na powierzchni Annę, opatuloną w płaszcz Elíasa. On i Irina byli zanurzeni w wodzie, szli, trzymając się bali. Elías dokładnie przestudiował nurt – wprawdzie nie dało się pokonać rzeki wpław, by dotrzeć na drugi brzeg, ale mogli dać się ponieść prądowi w dół Obu. Jeżeli przez sto metrów zdołaliby utrzymać się na powierzchni i szczęśliwie ominąć pnie zwalonych drzew i wiry, które wciągały wszystko, co znalazło się w ich zasięgu, dotarliby do zakola, gdzie rzeka z ogłuszającym hukiem gwałtownie skręca w lewo, przewalając się po kamieniach i skałach. W tym miejscu Ob tworzył meander o mniej wartkim nurcie, mogliby spróbować przeciąć go wpław na resztkach tratwy, która na pewno rozpadnie się na kawałki, prosząc Boga, żeby nie opuściły ich siły, zanim dotrą do skupiska drzew trzymających się dzięki grubym korzeniom zapuszczonym w błotnistym wąwozie po drugiej stronie rzeki.

Nie warto było się zastanawiać, co będzie potem. Prawdopodobnie nie zdołają nawet przeżyć próby dostania się na drugi brzeg.

Zanim weszli do rzeki, Elías podał Irinie tomik wierszy. Owinął go pieczętówką, żeby się nie zamoczył. Brakowało niektórych stron, na chybił trafił, w zależności od kaprysu zwieraczy Jewgienija. Irina spojrzała na przyjaciela z malującym się w oczach bólem.

Zanim całkowicie zanurzyli się w rzece, wyciągnęła spomiędzy swoich

łachmanów małą, starannie zawiniętą paczuszkę. Wręczyła ją Elíasowi i poprosiła, żeby przechował ją do chwili, aż dopłyną do drugiego brzegu.

– Jeżeli coś mi się stanie, daj to Annie i powiedz jej, że mama bardzo ją kochała, że zrobiła wszystko, co mogła, aby ją ocalić.

Elías nie zaoponował. Nie miało sensu się oszukiwać, twierdzić, że wszystko będzie dobrze, że Irina może zatrzymać ten opakowany przedmiot, czymkolwiek był, i sama dać go kiedyś córce. Schował paczuszkę, zmarszczył czoło i mocno okręcił powrozem ciało Anny. Przerażona dziewczynka płakała i wierzgała nogami.

– Zrób coś, żeby się uciszyła, bo nas odkryją – nakazał Irinie oschłym tonem. Matka całowała rączkę córki, podczas gdy jej ciało zanurzało się w zimnym, wartkim nurcie rzeki.

– Jestem przy tobie, Annuszko, mama cię nie puści.

Tratwa zaczęła powoli sunąć ku środkowi rzeki, a jednocześnie – zgodnie z tym, co przewidział Elías – przechylać się na prawo, dlatego musiał mocno ciągnąć ją w dół, żeby nie wywróciła się na Irinę. Gdy tylko oddalili się od brzegu, dostrzegli pomiędzy osadzonymi na mieliźnie barkami jakąś postać. To był Michael. Elías poznał jego mocne, krzywe nogi i zaokrąglone ramiona. Stał nieporuszony z rękami w kieszeniach i przyglądał im się, pewnie z rozbawieniem. Chwilę później podniósł dłoń, jakby życzył im szczęśliwej podróży albo żegnał się do następnego spotkania, po czym odwrócił się i oddalił bez pośpiechu.

Elías wiedział, że może im się udać, kiedy pokonali już jedną trzecią drogi. Rzeka płynęła mniej wartko, niż przewidywał, i choć lodowata woda wściekle szczypała go w kończyny, był w stanie znieść ból wywołany zamarzaniem. Próbował dodać otuchy Irinie; widział ją po drugiej stronie tratwy jedynie wówczas, gdy chwiała się przewiązane w pasie powrozem ciało Anny. Fioletowe palce Iriny rozpaczliwie czepiały się końca żerdzi. Kiedy prąd uderzał z większą siłą, jej głowa niknęła pod wodą, a Elías czekał zaniepokojony, aż ponownie się wynurzy, z włosami przylepionymi do czoła, łapiąc powietrze ustami. W którymś momencie się do niego uśmiechnęła. Pierwszy raz od tygodni.

Tak, mogło im się udać. Było jednak jeszcze za wcześnie na euforię. Z nadzieją pokonywał kolejne metry; walczył, by utrzymać się na powierzchni i nie pozwolić, żeby tratwa przewróciła się na bok, przygniatając matkę i topiąc córkę. Zakole rzeki było już w zasięgu wzroku, między pianą wodną

a skałami dało się dostrzec zanurzone w błocie korzenie drzew gotowych niczym dobrzy samarytanie rzucić im linę, kiedy tylko znajdą się w ich zasięgu. Tratwa jednak zaczęła nagle oddalać się od zakola, niesiona prądem, który kręcił nią teraz jak karuzelą, coraz szybciej i szybciej.

Elías zawył z rozpacz. Byli tak blisko! Jeśli nie uda im się dopłynąć do tych drzew, rzeka wyrzuci ich zwłoki spuchnięte jak zgniły okoń, którego zjadł na kolację w dniu, kiedy umarł Claude. Musiał działać szybko i desperacko, nie utonie tu – co to, to nie. Zanurkował w wodnym wirze, nie puszczając dołu tratwy, i wynurzył się obok Iriny.

– Trzeba ją przekreślić – krzyknął. Musieli wejść na tratwę i z całych sił pchać ją w dół. Ryzykowali, że ją wywróca, ale była to ich jedyna szansa. Kiedy Elías przyciągnął Annę, żeby zwiększyć ciężar, jeden z boków tratwy niebezpiecznie się podniósł.

– Nie! Wypadnie! – krzyknęła Irina, widząc, że jej córka chwieje się jak zepsuta lalka. Pękły powrozy, żerdzie zaczęły się rozczepiać.

Jednak Elías jak oszalały dalej pchał tratwę w dół. Musieli się wydostać z tego prądu, musieli skrócić. Zrozpaczona Irina zaczęła go bić i drapać, przerażona, że utopi jej córkę. Zabije ją. Elías nie czuł jej ciosów ani nie słyszał krzyków. Liczyło się tylko to, że powierzchnia wody była coraz bliżej.

W tym momencie tratwa rozpadła się na kawałki z delikatnym trzaskiem, jakby rzece znudziła się zabawa tą papierową łódeczką. Elías opadł na dno, wepchnięty przez Irinę, która desperacko próbowała wspiąć się po jego ciele, żeby wypłynąć na powierzchnię, gdzie uczipiona żerdzi unosiła się Anna. Brakowało im powietrza, nie byli w stanie się wynurzyć. Irinę ogarnęła panika, Elías nie mógł jej uspokoić, powiedzieć, żeby się opanowała albo oboje utoną. Rozpaczliwie chwyciła go za szyję, wbijając w nią paznokcie.

Elías czuł, że zaraz pękną mu płuca, nic nie widział, wszędzie było ciemno, dotykały go przepływające w pobliżu gałęzie, wodorosty, powrozy, a także oszalałe ręce Iriny. Gwałtownie cofnął łokieć, uderzając w jej miękkie ciało. Zaczął zamazywać machać rękami, aż poczuł, że kobieta zwalnia uścisk. Zanim się od niego oddaliła, wyciągał po omacku rękę i złapał ją za włosy. Były jak u Meduzy. Zacisnął pięść, żeby pociągnąć ją za sobą, ale Irina wyslizgnęła mu się i opadła na dno.

Zrozpaczony, popłynął w górę.

Wystawił głowę na powierzchnię i ponownie się zanurzył, powtórzył to jeszcze dwa, trzy razy, pchany przez prąd, który targał nim jak strzępem

materiału, aż jego ciało uderzyło bokiem o coś twardego. Była to złamana gałąź, wychodząca z zakola i zanurzona w błocie na drugim brzegu niczym most. Dopłynął do drzew, a raczej przyniosła go tu rzeka, jakby zwróciła go właśnie temu miejscu.

Uczepiony gałęzi, szukał wzrokiem Iriny i Anny. Kilka machnięć rękami dalej, zaklinowana między dwoma kamieniami wznoszącymi się nad powierzchnią niczym małe zerodowane pagórki, dziewczynka przywierała do resztek tratwy. Elías podpłynął do niej i pociągnął za koniec powrozu, którym była nadal przewiązana w pasie. Po dwudziestu zatrważających minutach, kiedy znów poszedł na dno i niemal się utopił, zdołał doholować ją do brzegu.

Przez godzinę czekał udręczony. Rzeka zwraca to, co zabiera, mawiał jego ojciec, miłośnik połowów, wyjaśniając synowi, dlaczego należy z powrotem wrzucać do wody narybek. Wróci zamieniony w ryby.

Ale Irina nigdy nie wróciła z ciemnej otchłani. Jedynym śladem, jaki po sobie zostawiła, było kilka pozółkłych kartek z tomiku poezji. Unosiły się spokojnie na wodzie, jakby teraz wiersze wyruszyły na jej poszukiwania. Oskarżycielskie.

12.

BARCELONA, WRZESIEŃ 2002 ROKU

Już godzinę czekał cierpliwie po drugiej stronie ulicy, w skąym cieniu jedyne drzewa rosnącego na chodniku, paląc papierosa za papierosem. W sierpniu na osiedlu panował mały ruch, większość sklepów opuszczała żaluzje, dawało się względnie łatwo zaparkować, było cicho i spokojnie. Zbyt cicho i spokojnie jak na gust Alcázara. Dużo się zmieniło, odkąd był tu ostatni raz. Ulice pokrywał asfalt, a metro dojeżdżało aż do centrum. Na wylanych cementem placach widziało się jeszcze zagubioną młodzież, która zabijała nudę w południowym słońcu, ale nie były to już ćpuny okradające samochody jak za jego czasów, lecz imigranci, mieszanina muzułmanów, Latynosów i Afrykanów, którzy za milczącym porozumieniem wyznaczyli granice swoich terytoriów, nie przeszkadzając jedni drugim. Majestic już od dawna był zamknięty, a kiedy Alcázar zapytał chłopaków z osiedla, gdzie się podziały dziwki, spojrzeli na niego jak na kosmitę.

– Mówisz o prehistorii, dziadku. Jedyne dziwki, które tu zostały, są ze Wschodu i pracują z dostawą do domu – wytłumaczył jeden ze stręczycieli i chichocząc, podał mu złotą wizytówkę z napisem „Salon Masażu Paradise”. Alcázar pomyślał, że przynajmniej nazwy są równie napuszone i pretensjonalne jak dawniej.

Cecilia, zanim go poznała w połowie lat siedemdziesiątych, nie była szczęśliwa. Sama tak twierdziła, i to wcale nie dlatego, żeby poczuł się lepiej. Mówiła prawdę. Była dobrą dziewczyną, zbyt dobrą, by przeżyć w burdelu, nędznym mimo swojej nazwy – Majestic (która brzmiała jak żart, kiedy zapalały się światła, obnażając poprzepalaną, brudną wykładzinę, tanie zasłony, przyklejaną sztukaterię na meblach i drzwiach), gdzie dziwki pracowały za prowizję. Cecilia naiwnie wierzyła, że mężczyźni potrzebują, żeby ktoś ich wysłuchał, że zakochują się, jeśli okażesz im miłość. Że

sprawiedliwość potrafi wznieść się ponad ludzkie czyny i że wcześniej czy później bierze górę. Nie była idiotką ani idealistką, widziała, co się dzieje, ale wolała postrzegać rzeczywistość w innych barwach. Może właśnie to zwróciło jego uwagę za pierwszym razem – jej optymizm i wiara w gatunek ludzki, mimo że co noc połowa tego gatunku bezceremonialnie ją ruchała.

– Trzeba mieć oczy, żeby widzieć, a ja widzę smutek we wściekłości, strach, który kryje się w przemocy. Zdziwiłbyś się, ile można zdziałać pieśczętą i miłym słowem. Powinieneś kiedyś spróbować.

Mówienie takich rzeczy w świecie, gdzie dziwki trzymają prezerwatywy za gumką od majtek, gdzie alfonsi chowają za skarpetką teleskopowe pałki, gdzie pijani mężczyźni wymiotują do cip, których nie są w stanie wylizać, wydało mu się czymś niesamowitym. To nie miłość kierowała jego krokami, kiedy pierwszy raz zawitał do tej odrażającej spelunki, to nie litość sprawiła, że zwrócił uwagę na Cecilie, ale ochota na seks, na miłe spędzenie czasu po pracy, i wyrzuty sumienia, które czuł, spoglądając na swoje zdarte do krwi kłykcie i słysząc w głowie krzyki zatrzymanego. Chciał się upić do utraty przytomności, z czyjąś głową między nogami i czyimiś dłońmi ściskającymi mu sutki. To była akurat głowa Cecilii. Do diabła, faktycznie zdarzył się pierdolony cud, coś przeszło jego duszę – pewność, że te oczy o smutnym, ale stanowczym spojrzeniu zawsze go szukały.

To nie on ocalił ją, to Cecilia wyciągnęła z piekła jego. To ona obiecała, że się razem zestarzeją, że będą mieli dużo dzieci, które zaopiekują się nimi, kiedy przyjdzie pora, że będą spędzali razem każde Boże Narodzenie, że zostaną dziadkami. Ale przyszedł rak, ta podła kpina życia, które próbuje nas okantować. Jak w grze: pod którym kubkiem jest kulka? Kulka to szczęście, które nigdy nie pozostaje nieruchome, które zawsze jest kłamstwem, które znika między palcami genialnego oszusta. Dziesięć lat, tyle podarował mu los. I resztę życia, żeby za nią tęsknić.

Wspomnienia coraz częściej przestawały być dla niego czymś dobrowolnym, przedstawiały się jako godna pozazdroszczenia, idealna przeszłość (nie pamiętał już o ich straszliwych kłótniach, kiedy Cecilia wpadała w szał i niszczyła wszystko, co miała pod ręką), nietykalna, odległa. Doszedł do wniosku, że może to oznaczać tylko jedno – starzeje się i czuje przeraźliwie samotny. Wyjął z kieszeni marynarki folder biura podróży i przejrzał go po raz enty. Florida Keys, tropikalny klimat, plaże, namorzyny, gwałtowne burze i wilgoć skraplająca myśli. Palmy, stare samochody, faceci

w kapeluszach panama i kobiety w bikini ukrywających jedynie datę urodzenia. Cecilia zawsze marzyła, by kupić tam niewielki bungalow z prefabrykatów i łódeczkę z zaburtowym silnikiem, wypływać na ryby o zachodzie słońca, kiedy płonie niebo, i pić słabe piwo na małym ganku (kazała marzeniom umieścić na nim zieloną bujaną ławkę).

Dla Alcázara pozostawało tajemnicą, dlaczego ta przybyła z Valdepeñas de Jaén dziewczyna, która jeśli chodzi o akweny, przecięła zaledwie rzekę Besós, by wylądować na jej drugim, zdeprawowanym brzegu, marzyła o takim miejscu. Może sprawiły to amerykańskie filmy z lat pięćdziesiątych, które tak lubiła oglądać na sobotnich popołudniowych seansach, albo serial „Miami Vice”, przez który zakochała się w pajacu granym przez Dona Johnsona. Alcázar obiecał jej, że przynajmniej zabierze ją tam kiedyś na wakacje, ale nie dotrzymał słowa. A teraz jemu chodził po głowie szalony pomysł, żeby wszystko rzucić, kupić drewniany domek i wędkę i nauczyć się angielskiego z kubańskim akcentem. Tak, musiał pożyczyć marzenia od Cecylii, żeby wykrzesać z siebie choć trochę energii na przeżycie ostatnich lat. Dlaczego nie? Wszystko zaczyna się od iskry możliwości, reszta przychodzi sama, wystarczy dać się ponieść. Ale najpierw musiał pozamykać kilka spraw. Nie chciał dożywać swoich dni w raju, oglądając się za siebie ze strachem.

Oczekiwanie przyniosło owoce. Podniósł głowę i zobaczył wychodzącą z budynku staruszkę. Czy sprawiedliwie ją ocenił? Owszem, o ile on sam postrzegałby siebie jako starca, który niedawno przeszedł na emeryturę. Schował folder i ruszył za nią drugą stroną ulicy. Musiał przyznać, że wciąż była atrakcyjna; należała do tych kobiet, które potrafią z klasą godzić się z upływem czasu, nie czują żalu ani nie robią z tego dramatu, i wydaje się, że czas odwdzięcza im się za to powolnym, dostojnym starzeniem. Była prawdziwą damą, błyszczała na tym osiedlu, przeinaczając rzeczywistość. Jak Cecilia. Kiedy miał pewność, że się nie pomylił, przeciął ulicę i znalazł się na wysokości kobiety. Spojrzała na niego kątem oka, ale nie wykonała gestu typowego dla strachliwych staruszek, które ściskają portmonetkę, kiedy na ich drodze staje jakiś nieznajomy. Zatrzymała się na środku chodnika i zmrużyła oczy, chroniąc je przed świecącym w twarz słońcem, a może po prostu przyglądając mu się z ciekawością.

– Witaj, Anno – powiedział inspektor Alcázar. – Minęło dużo czasu.
Rzeczywiście minęło.

Wstanie z łóżka kosztowało Gonzala mnóstwo wysiłku. Mimo to pielęgniarka odmówiła mu pomocy. „Musi pan zrobić to sam”, powiedziała z troską w głosie, jak matka, która czuwa nad swoją latoroślą, kiedy ta stawia pierwsze niepewne kroki, gotowa ją złapać, zanim upadnie. Gonzalo poczuł ciężar bandaża kompresyjnego na piersi, wziął głęboki oddech i, szurając kapciami, zrobił pierwszy krok w stronę okna, potem drugi, i w ten sposób dotarł do drzwi i uczepił się klamki. Przebył odległość, która wydawała mu się nie do pokonania.

Ochroniarz zatrudniony przez Alcázara do pilnowania jego pokoju stał oparty łokciami o pulpit recepcji i z ożywieniem rozmawiał z pielęgniarką; nie wyglądało na to, żeby poważnie traktował swoją pracę. Gdyby Atxaga pojawił się w szpitalu, bez specjalnych problemów mógłby zakraść się do jego pokoju i udusić go poduszką, zanim ktokolwiek by się zorientował. Na widok Gonzala w asyście pielęgniarki facet o nieokrzesanym wyglądzie, przypominający raczej bramkarza z dyskoteki niż byłego policjanta, wyprostował się, gotów mu towarzyszyć, ale prawnik ruchem ręki pokazał mu, że może wrócić do pogaduszek.

Na końcu korytarza znajdowała się niewielka poczekalnia z automatami sprzedającymi i przeszklonymi przesuwanymi drzwiami prowadzącymi do miniaturowego wewnętrznego ogrodu, prostokąta o powierzchni zaledwie dziesięciu metrów kwadratowych, z którego roztaczał się widok na budynek szpitala. Przezroczyisty dach przepuszczał delikatne światło, które padało na liście paproci i posadzoną na środku gigantyczną palmę. Panował tu przyjemny chłód, powietrze pachniało roślinną wilgocią. Pielęgniarka pomogła Gonzalowi usiąść na jedynej kamiennej ławce.

– Całkiem nieźle. Teraz proszę chwilę odsapnąć, wrócę po pana za dziesięć minut.

Gonzalo złapał się za bok i przytaknął. Dziesięć minut poza salą wydawało mu się przywilejem porównywalnym z tym, jaki przyznaje się więźniowi z izolatki, wypuszczając go na dziedziniec otoczony wysokimi murami więzienia.

Pomyślał o tym, co powiedział mu Javier poprzedniego wieczoru. Zjawił się u niego niespodziewanie, bez Loli. Gonzalo był w łazience, zaciskał zęby, żeby załatwić swoje potrzeby, nie krzyżąc z bólu. Kiedy otworzył drzwi, spocony i zmieniony na twarzy, zobaczył syna wyglądającego niespokojnie przez okno. Na łóżku leżało kilka magazynów i torba z nową pizzą, którą

Gonzalo miał teraz na sobie.

– Nie wiedziałem, co cię interesuje, więc przyniosłem ci po trochu wszystkiego.

Gonzalo omiół łóżko szybkim spojrzeniem: egzemplarze „National Geographic”, magazyn „Historia” i kilka książek z jego biblioteczki.

Javier zapytał, jak się czuje, tylko dlatego, że nie mógł nie zadać tego pytania. Gonzalo odpowiedział coś równie banalnego i rzucił jakiś żart na temat śladów po ciosach nadal zniekształcających mu twarz, skwitowany przez jego syna wymuszonym śmiechem. Komizm nigdy nie był mocną stroną Gonzala. Potem rozmowa żałośnie się urwała, jak zawsze ugrzęzli w krępującym milczeniu, które tak im ciążyło, że w końcu rozstawali się z ulgą, ale także z pewnym poczuciem winy. Tym razem jednak Javier wciąż przy nim siedział, dusząc w sobie coś, czego nie mógł wyartykułować, a co wisiało w powietrzu. Gonzalo czekał w milczeniu, aż jego syn się odezwie, choć przeczuwał, że postąpi tak jak zwykle: zakończy wielokropkiem próbę komunikacji, z której nigdy nic nie wykiełkowało. Javier jednak pochylił się do przodu, jakby walczył sam ze sobą, by tym razem się nie wycofać. I nagle zadał ojcu pytanie, które spadło z jego ust niczym granat od dawna czekający, żeby wybuchnąć.

– Dlaczego mnie nienawidzisz, tato?

Gonzalo poczuł nagły przypływ ciepła, coś ścisnęło go za gardło, musiał je odblokować, przełykając ślinę. Pomyślał, że to niesprawiedliwe zrzucać winę na kogoś, kto nie ponosi żadnej odpowiedzialności; poczuł się nędznie i podle. Przytuliłby syna, przycisnął go do swoich złamanych żeber, nie wydając z siebie ani jednego jęku bólu. Ale nie pozwoliły mu na to przyzwyczajenie i wstyd (głupota w stosunku do kogoś, kogo się kocha). Zdobył się jedynie na to, by mocno ścisnąć szczupłe przedramię Javiera.

– Nie nienawidzę cię, nie mów tak.

– Ale też mnie nie kochasz, prawda?

Teraz, przyglądając się grze światłocieni na liściach paproci i wdychając zapach niedawno podlanej trawy otaczającej palmę, czuł się źle z powodu tamtych niedokończonych, nietrafionych, wymijających słów, które Javier przyjął z grymasem niezrozumienia. Nie nienawidził go ani teraz, ani w przeszłości. Był jego synem (jest nim, powtórzył sobie, chwytając się tej myśli), nieważne, czy spłodził go on, czy jakiś intruz w jego łóżku. Javier należał do niego. Tak samo jak Patricia. Nosił go na rękach od urodzenia,

dostosowywał się do jego snu, jego płaczu, do nocy, kiedy miał gorączkę; widział, jak rośnie, uczepiony jego nóg, a potem rok za rokiem powoli oddala się ku nastoletniości. Wkrótce miał przekroczyć ostatni próg, stać się mężczyzną, który niedługo wyleci z gniazda i który mimo swojej arogancji czuje strach przed próżnią. Powinien powiedzieć mu prawdę – że go kocha bez względu na to, ile było między nimi milczenia; że zawsze będzie u jego boku, cokolwiek zrobi, cokolwiek się stanie; że jest jego synem, a to ma większe znaczenie niż wszystkie wątpliwości świata.

– Myślisz, że dziadek Elías byłby z ciebie dumny?

To pytanie, które Javier zadał na odchodnym, zbiło z tropu Gonzala. Zdał sobie sprawę, że coś się dzieje z jego synem. Wypadał z zawiasów i ta samotna, nieunikniona metamorfoza sprawiała mu ból, przed którym nie potrafił uciec.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. Przeżył całe życie w cieniu tego ducha nazywanego ojcem, mitem, legendą. Syn bohatera starający się za wszelką cenę błyszczyć swoim słabym światłem przed słońcem, które wszystko paliło. Był jak te paprocie, żałośnie walczące, by dosięgły ich promienie, kradzione przez liście wysokiej palmy.

Teraz znów zastanawiał się nad pytaniem swojego syna. I nad nieprzemyślaną odpowiedzią, której mu udzielił.

– Aprobata ze strony ojca jest ważna do czasu, aż doczekasz się dzieci. Wtedy uświadamiasz sobie, że to nie przeszłość się liczy. Nie wiem, Javierze, czy mój ojciec byłby ze mnie dumny. Ale wiem, że chciałbym, żebyś ty był.

Chłopak pokręcił głową, próbując znaleźć słowa do zapełnienia szczeliny, którą sam zrobił. Spojrzał na ojca z głębokim smutkiem, jakby wzywał go z dna studni i wyciągał ręce, by pomógł mu wyjść.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć... Chcę ci o tym powiedzieć, tyle że nie wiem, jak to zrobić.

– Od początku. Zaczynaj od początku.

Ale Javier zbuntował się przeciwko własnej nieostrożności, żalując nagle tego porywu tak bliskiego szczerości. Początek był dość zagmatwany, nie pamiętał już, jak ani kiedy zaczął przestawać być tym, kim chciał być.

– Nieważne, to nic takiego...

– Javierze...

– To naprawdę nic takiego... Mam nadzieję, że pizama będzie dobra. Sam ją wybrałem.

Pizama wisiała na Gonzalu, nie podobał mu się jej ciemnobrązowy kolor ani biała lamówka. Jednak za nic w świecie by jej nie zdjął. Był tak blisko... Złościła go nagła ucieczka syna. Coś go wystraszyło, może perspektywa, że mogą być wobec siebie odważni i szczerzy. Javier zbliżył się do niego niczym nieśmiała ryba, która pod pływa do palców nurka, ale w ostatniej chwili coś ją odstrasza i wraca w ciemność, z której się wyłoniła.

Ale wróci. Teraz, kiedy drzwi zostały otwarte, wróci.

Minęło już dziesięć minut przerwy? Spojrzał na zegarek na nadgarstku. Upłynęło zaledwie pięć. W jego głowie czas kurczył się i rozciągał, bez związku z rzeczywistym światem. Naszła go ochota na kawę. Mógł zaczekać na pielęgniarkę albo spróbować dotrzeć do przesuwanych drzwi i wrócić do poczekalni, gdzie stały automaty. Wciągnął powietrze, zatrzymał je w płucach i zmusił swoje obolałe ciało do wstania. Na tym musi polegać starzenie, pomyślał, posuwając się małymi kroczkami w stronę wyjścia. Ciało staje się wrogiem, narzekające, połamane, bezużyteczne.

Nie miał pieniędzy. Zorientował się dopiero wtedy, kiedy spojrzał na otwór na monety. Jak kiedy był mały i stał wpatrzony w stoisko z *churros* na cotygodniowym targu, obserwując z niezdrową zazdrością poplamione tłuszczem tutki, z którymi odchodzili inni. Aż wreszcie pojawiała się Laura. Patrzyła na niego z politowaniem, dając mu do zrozumienia, że nie zawsze można mieć to, czego się pragnie. Nawet tutki *churros*. Albo marnej kawy z automatu.

– Dasz się zaprosić? Czarna? – Chłopak, który go zagadnął, nie czekając na odpowiedź, szybko wrzucił monety i podał mu plastikowy kubek. Kiedy powtarzał operację, Gonzalo zauważył, że wciska guzik z herbatą, bez mleka.

– Co tu robisz, Siaka? Myślałem, że skoro się nie odzywałem, wsiadłeś w ten swój pociąg do Paryża.

Gonzalo dostrzegł w uśmiechu chłopaka skrywane rozbawienie.

– Nie myśl, że nie czułem kilkakrotnie takiej pokusy. Ale dowiedziałem się, co cię spotkało, i powiedziałem sobie, że mogę jeszcze trochę poczekać. Ile ważyła ta ciężarówka, która po tobie przejechała?

Gonzalo spojrzał na wiszący nad automatem zegar. Pielęgniarka powiedziała, że wróci za dziesięć minut. Minęło już osiem.

– Ukradzono mi laptop z całą dokumentacją. Kiedy zaatakował mnie

Atxaga, straciłem przytomność, a gdy obudziłem się w szpitalu, laptopa już nie było. Nie mam pojęcia, kto go zabrał ani co zrobi z zawartymi w nim informacjami.

Siaka spojrział na niego, nie mrugając oczami.

– Otworzyłeś poufny folder?

– Nie zdążyłem.

Chłopak wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją Gonzalowi.

– To namiary na prokuratora, któremu ufała twoja siostra. Musisz się z nim spotkać i opowiedzieć mu, co się dzieje.

– Nie zrobiłeś przypadkiem kopii?

Siaka zaprzeczył.

– No to co robimy?

Dla Siaki odpowiedź była oczywista.

– Ty wyjdiesz stąd i zaczniesz szukać laptopa. A ja będę się ukrywał, dopóki prokurator nie wezwie mnie do złożenia zeznań.

– Chyba żartujesz.

Nie, to nie był żart.

– Podjęliśmy decyzje. Doprowadzam swoje do końca. Ty postaraj się, żeby ten facet cię nie zabił, przynajmniej nie przed procesem. – Uśmiechnął się cynicznie, jakby bawiła go ta sytuacja. – A ja postaram się, żeby nie dopadła mnie Matrioszka... A tak na marginesie, powinieneś iść do stylisty. Ta piżama jest okropna.

Lekarz stanowczo sprzeciwił się wypisaniu Gonzala do domu. Powinien zostać na obserwacji jeszcze co najmniej tydzień. Wyjście ze śpiączki to nie wyleczenie się z przeziębienia. Ale nie zdołał skłonić go do zmiany decyzji. Kazał mu więc wypisać się na własne żądanie, ostrzegając, że szpital nie będzie ponosił odpowiedzialności za ewentualne powikłania. Gonzalo z rezygnacją wysłuchał pouczenia, po czym zabrał swoje rzeczy, nie uprzedzając Loli. Był pewien, że roztargniony cerber pilnujący drzwi zawiadomi Alcázara, a ten natychmiast doniesie o wszystkim jego teściowi.

Kiedy wyszedł ze szpitala i podniósł rękę, żeby zatrzymać taksówkę, poczuł, że zamiast ciała ma miękką gąbkę. Ból przenikał go aż do duszy, zdołał jednak jakoś wsiąść do auta.

– Nie mówisz poważnie.

Jednak stanowczość Gonzala nie pozostawiała miejsca na wątpliwości. Musiał wyprowadzić się z domu, przynajmniej do czasu wyjaśnienia się sprawy z Atxagą. Nie chciał przyciągać tego psychopaty do swojej rodziny.

– To nie potrwa długo. Szuka go policja, Alcázar także. Ktoś go w końcu znajdzie.

Jego argumenty były pozbawione logiki. Dom przekształcił się w bunkier, wyposażony w monitoring i czujniki ruchu. Gdyby jednak to nie wystarczyło, dwaj mężczyźni, którzy teraz przyjaźnie gawędzili z Patricią przy basenie, wydawali się aż za dobrze przygotowani, żeby ich bronić. Inspektor miał rację: jego teść bardzo poważnie potraktował kwestię bezpieczeństwa swojej córki i wnuków. Tak naprawdę Gonzalo chciał być sam, żeby móc skupić się na Matrioszce. Incydent z Atxagą dał mu nauczkę – nie zamierzał pozwolić, żeby śledztwo naraziło na niebezpieczeństwo jego rodzinę. Może ci goryle byli w stanie bez wysiłku powstrzymać takie chuchro jak Floren Atxaga, ale teraz będzie miał do czynienia z typami pokroju Zinowiewa albo jeszcze gorszymi. Kiedy zostanie podane do wiadomości, że prokurator zgodził się wznowić śledztwo, które prowadziła jego siostra, nikt nie powstrzyma lawiny.

Czy jednak rzeczywiście to był prawdziwy powód wyprowadzki? Owszem, te racje miały duże, wręcz kluczowe znaczenie, ale nie tylko dlatego chciał na jakiś czas odsunąć się od Loli. Niedokończona rozmowa z Javierem skłoniła go do przemyśleń – tracił rodzinę i nie miało to nic wspólnego z zewnętrznymi czynnikami wpływającymi na jego sytuację, ale z osiemnastoma latami oskarżycielskiego milczenia. Nie był w stanie wybaczyć ani zapomnieć, ale nie miał też odwagi podjąć decyzji o rozwodzie i rozpocząć nowy rozdział. Dusił się, stojąc przed wyborem jednej z tych możliwości. Musiał coś postanowić, nie mógł tego odwlekać w nieskończoność. Potrzebował dystansu, żeby się zastanowić, doświadczyć rozstania z Lolą, posłuchać samotności.

Wieczorem spakował do małej walizki najpotrzebniejsze rzeczy. Nie musiał zabierać wiele do miejsca, z którego nie było powrotu – jeszcze nie. Kiedy składał koszule i bieliznę, Lola siedziała na łóżku. Nie zrobiła nic, żeby go powstrzymać, nie było wymówek ani łez. Gonzalo zapamiętał jej złączone stopy o pomalowanych paznokciach, przyciśnięte do piersi kolana, przenikliwe, oskarżycielskie spojrzenie. Kiedy podszedł, żeby ją pocałować, zareagowała lodowato, odsuwając twarz.

– Miesiąć temu powiedziałeś mi, że się zmieniłeś, że będziesz się o nas

troszczył. Prosiłeś, żebym pozwoliła ci udowodnić, że jesteś w stanie to zrobić. A teraz tak po prostu chcesz zniknąć. Nie rozumiem tego.

– To właśnie robię, Lolu. Troszczę się o was.

Patricii i Javierowi powiedział, że wyjeżdża na kilka dni. Córka jak zwykle zarzuciła go pytaniami, musiał na poczekaniu wymyślić masę kłamstw; dziewczynka poczuła się częściowo usatysfakcjonowana dopiero wówczas, gdy obiecał przywieźć jej jakiś prezent. Javier odprowadził go do samochodu, niosąc walizkę. Od czasu rozmowy w szpitalu wydawał się poważniejszy i spokojniejszy.

– Wcale nie wybierasz się w podróż, prawda?

– W pewnym sensie rzeczywiście udaję się w podróż. Ale nie taką jak zwykle, wbrew temu, co powiedziałem twojej siostrze.

Javier skinął głową, wdzięczny, że przynajmniej jego nie okłamuje. W rewanżu za ten milczący wyraz uznania nie zażądał od ojca wyjaśnień, których – jak się domyślał – i tak by mu nie udzielił.

– Jak to się wszystko skończy, tato?

Takiego pytania nie można było skwitować zarysem odpowiedzi, jakimś banalnym zdaniem czy rzuconym od niechcienia wyjaśnieniem. Strapiona mina Javiera zasługiwała na coś lepszego. Musiałby usiąść z synem na ganku, wypić z nim kilka piw i wypalić konspiracyjnie papierosa, łamiąc zasady Loli. Wyjaśnić mu wszystko, kiedy tymczasem on sam nie wiedział dokładnie, co jest do wyjaśniania. Czym było „wszystko”? Kiedy się zaczęło? Nad jeziorem? We wspomnieniach o ojcu? Od Laury? Od tamtej zdrady, której owocem był on, jego syn?

– Nie wiem. – Była to cała szczerść, na jaką mógł sobie pozwolić. – Ale skończy się, w ten czy inny sposób.

Javier poczuł się dziwnie w objęciach Gonzala, trochę niezręcznie, może dlatego, że wyczuł, iż także ojciec jest skrepowany. Nie byli do tego przyzwyczajeni. Ojciec chciał go uścisnąć jak mężczyznę, jak równego sobie. On jednak nadal jeszcze wolał czułość, jaką Gonzalo okazywał Patricii. Stał w bramie garażu, śledząc wzrokiem czerwone światła samochodu, dopóki nie zniknęły za zakrętem na końcu ulicy. Przez kilka sekund słyszał jeszcze odgłos silnika, a potem znów zapadła cisza, przerywana jedynie histerycznym szczekaniem jakiegoś psa. Ojciec miał rację. Wszystko się kończy, w ten czy inny sposób.

W gabinecie prokuratora panowała podniosła atmosfera, mroczna i nieco przygnębiająca, pracowita jak gospodarz, który słuchał Gonzala ze skupioną, uprzejmą miną, za pomocą mimiki okazując mu solidarność. W tle rozbrzmiewała aria jego ulubionego kompozytora, Rossiniego. Kiedy Gonzalo skończył wyjaśniać, co przywiodło go w to miejsce, prokurator ściszył odtwarzacz.

– To, co pan mi opowiedział, ma kapitalne znaczenie – szepnął, niczym żyjący w klauzurze kartuz, do którego z rzadka docierają wieści z zewnątrz. Skupił uwagę na przekładanym kalendarzyku stojącym w rogu biurka. Każdy miesiąc był zilustrowany innym obrazkiem. Ten, który prokurator miał przed oczami, przedstawiał widok na ogród roztaczający się za kamienną barokową balustradą. Nad dachami wznosiło się niebo przetykane żółcią i błękitem. Miało się ochotę obserwować ten zmierzch, opróżniwszy umysł ze zmartwień, poczuć się śpiącą materią zanurzoną w formalinie. Może dlatego prokurator nie zmienił w kalendarzu miesiąca i wciąż oglądał obrazek z czerwca.

– Laura strasznie nienawidziła tych ludzi, tak samo jak ja – dodał.

Gonzalo z uwagą przyglądał się mężczyźnie. Jego twarz zaczynała przypominać ostry nóż. Najwyraźniej nie spał wystarczająco dużo i prawdopodobnie nieodpowiednio się odżywiał. Gonzalowi nasunęło się pytanie, czy bierze jakieś leki przeciwlękowe. A może po prostu bez względu na porę dnia szuka schronienia w pracy i spędza w niej cały czas, żeby nie musieć myśleć. Podobnie jak robił to on.

– Co pan zamierza w związku z tą sprawą? – zapytał nazbyt obcesowo, na co prokurator odpowiedział uniesioną brwią i grymasem wahającym się między współczuciem a zniesmaczeniem. Coś w wyrazie jego twarzy zdradzało konflikt, którego natura nie była Gonzalowi znana. Z tą rozlegającą się w tle muzyką Rossiniego prokurator przypominał jednego ze świętych, których wizerunki widniały na obrazach i gobelinach zdobiących ściany szkoły z internatem, gdzie uczył się jako dziecko. Świętych o strapionych obliczach, zawsze nieszczęśliwych, w których toczyła się wewnętrzna walka pomiędzy wiarą, przekonaniem i żalosną niemożnością prowadzenia świętego życia pośród tylu dowodów na istnienie zła. Tych bezużytecznych męczenników o cherlawych ciałach, których mistyczna ofiara jedynie budziła strach, pewną odrazę i ochotę, żeby uciekać, aż się będzie kurzyło.

– Czego dokładnie pan ode mnie oczekuje, mecenasie? – zapytał prokurator, spoglądając na niego swoimi łagodnymi oczami, ładnymi, aczkolwiek

smutnymi.

– To wszystko znaczy, że Laura nie zamordowała Zinowiewa – zauważył Gonzalo.

Prokurator rozłożył ręce, dając mu do zrozumienia, że ta ewentualność powinna była poprawić jego samopoczucie, a tymczasem wywołała jeszcze większy zamęt w głowie.

– I ten świadek pańskiej siostry skontaktował się z panem i byłby gotów zeznawać przeciwko Matrioszcze... Mam rację?

Gonzalo przytaknął. Podświadomie uznał, że stwierdzenie prokuratora świadczy o tym, iż podjął już decyzję.

– Więc dlaczego mam przykre wrażenie, że wykorzystuje się mnie w sposób, którego nie rozumiem, i do czegoś, o czym nie wiem?

– Nie rozumiem. Jest pan urzędnikiem Ministerstwa Sprawiedliwości, ma pan obowiązek interweniować.

Prokurator wyprostował się nagle, spoglądając na Gonzala z cieniem potępienia w oczach. Nawet w tych okolicznościach nie stracił opanowania. Gonzalo miał okazję oglądać w całej okazałości tego wykształconego, dystyngowanego mężczyznę, podziwiać jego bezpretensjonalność, głuchy pogłos melancholii i dumę, dzięki której będzie mógł ocenić to, co przed chwilą mu opowiedział, tak, jak uzna to za stosowne.

– Mecenasiu, moim obowiązkiem jest znaleźć możliwie najbardziej słuszną drogę między prawdą a pozorami. Niełatwo będzie uruchomić maszynę wymiaru sprawiedliwości, żeby schwytać tych ludzi. Sam się pan tego domyśla. Jak powiedziałem pańskiej siostrze, którą prywatnie darzyłem dużym poważaniem, w prawie nie wystarcza prawda. Trzeba ją udowodnić, wykazać jej solidność, wbrew tym, którzy będą za wszelką cenę próbowali ją podważyć. Wykorzystają wszystkie środki prawne, a tych jest sporo. Pomyśli pan sobie, że jestem tchórzem, że boję się wyzwań, ale ja uczestniczę w tej grze dlatego, że wierzę w jej zasady. Chce pan, żebyśmy ugryźł coś, czego prawdopodobnie nie będę w stanie strawić, a ja jestem gotów to zrobić... Jeśli będę dysponował niezbitymi dowodami. Proszę mi pokazać tę dokumentację, o której pan mówi, proszę oprzeć swoje oskarżenia na solidnych podstawach prawnych, a wtedy pana wysłucham. Nie pozwolę, żeby zniszczyli moją karierę i nękali moją rodzinę, jeżeli nie będę miał pewności, że warto. Kiedy udowodni mi pan, że mam podstawy, by stawić czoła zastępom prawników, które się na mnie rzucą, na mnie i na sędziego

prowadzącego śledztwo, może pan być pewien, że to zrobię. Tymczasem, do widzenia.

Gonzalo opuścił gabinet, przeświadczony, że zachował się jak głupiec, obrażając swoimi wątpliwościami tego poczciwego człowieka. Każdy czegoś od niego oczekiwał. Ale nikt nie zapytał, czy czuje się na siłach, by udźwignąć ten ciężar – zarzucili mu go na barki i już.

Musiał odnaleźć laptop, w przeciwnym razie cała praca Laury zamieni się w zwykłe spekulacje.

Kiedy dwie godziny później wszedł zmęczony do swojej kancelarii, Luisa zareagowała na jego widok, jakby zobaczyła ducha. Wyskoczyła zza biurka, wzięła kulę, której wciąż potrzebował, i tak mocno go ścisnęła, że aż zazgrzytał z bólu zębami.

– A ty jak orkiestra z *Titanica*, prawda?

– Nie rozumiem.

Luisa rozłożyła ramiona, wskazując gabinet. Żadnych dokumentów na biurku, żadnych telefonów. Kompletna cisza i wzorowy porządek, świadczący o nadmiarze wolnego czasu, który jego asystentka wypełniła porządkowaniem chaosu powstałego w ciągu ośmiu lat działalności kancelarii. To koniec, mówiły jej rozłożone ramiona.

– Wróciłeś, żeby zatonać razem ze statkiem. Jaka będzie nasza ostatnia melodia?

– Niech się pierdołą – powiedział Gonzalo w ramach absurdalnego odwetu.

– Nie znam, ale brzmi dobrze.

Gonzalo opadł na krzesło i z rezerwą przyjrzał się porządkowi stanowiącemu przedsięwzięcie plajty. Pomyślał, że już przegrał, jeszcze zanim zaczął naprawdę walczyć. Wystarczyło kilka wypowiedzianych pod wpływem impulsu słów, śmiałe wyzwanie rzucone teściowi, żeby stary uruchomił maszynę, która go udusi. Nikt w tym mieście go nie zatrudni. Co ciekawe, tak naprawdę nie miało to dla niego znaczenia. Ważniejsze niż niepewność i niepokój, jakie wzbudziła w nim terażniejszość, było przekonanie, że wszystko dobrze się skończy. Nie wiedział, jak i kiedy to się stanie ani co będzie musiał poświęcić, ale mu się uda.

– Co ci się uda? Mówisz jak księżę przypływów.

Gonzalo się zaczerwienił, uświadomiwszy sobie, że sformułował głośno

swoje nadzieje.

Luisa położyła na biurku dwie koperty.

– Ta po prawej to dossier Alcázara, o które mnie prosiłeś. Masz tu wszystko, czego można się oficjalnie dowiedzieć. Kariera, awanse, zatrzymania za znęcanie się nad innymi... Odkąd w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku wstąpił do frankistowskiej zbrojnej policji, jego kariera potoczyła się błyskawicznie. Częściowo dzięki protekcji ojca, Ramóna Alcázara Suñera. Nie kojarzysz tego nazwiska?

– A powinienem?

– Pochodzi z Mieres. Czy to nie rodzinne miasto twojego ojca? Byli mniej więcej z tego samego rocznika, a zważywszy na to, że Mieres to nie Kalkuta, prawdopodobnie się znali.

Gonzalo nigdy nie słyszał tego nazwiska. Ze szczegółowych informacji zebranych przez Luisę wynikało, że ojciec Alcázara był grubą rybą w politycznej policji generała Franco, zanim w 1966 roku przeszedł na emeryturę w stopniu komisarza. Słyszał z brutalnych metod i braku skrupułów, dzięki którym osiągał bardzo dobre wyniki i cieszył się uznaniem ówczesnych władz.

– Trzymaj się mocno, bo zaczynają się zakręty. Ten cały Ramón znał dobrze jednego z frankistowskich ministrów – ministra sprawiedliwości w sześćdziesiątym trzecim roku. Domyślasz się, o kogo chodzi? O Fulgencia Arrasa...

– O kurwa, to dziadek Loli.

– Właśnie, to ojciec twojego teścia. Agustín i Ramón często się widywali. Powiązania pomiędzy rodziną twojego teścia a rodziną inspektora Alcázara sięgają tamtego okresu. Inspektor na boku wykonywał dla starego wszelkiego rodzaju zlecenia i dostawał za nie pieniądze.

– Skorumpowany policjant?

– To zależy od tego, czy uważasz swojego teścia za skorumpowanego adwokata – powiedziała Luisa, robiąc przewrotną minę. – Wszystko, co figuruje w tych aktach, było legalne.

Gonzalo domyślił się, że istnieje druga strona medalu.

– A to, co w nich nie figuruje?

– Pogłoski, plotki, legendy. Inspektor jest darzony w równym stopniu podziwem, co nienawiścią. W młodości cieszył się sławą twardziela, jak jego ojciec, przypuszczam, że szczeniak chciał dorównać staremu. Bicie

zatrzymanych, tortury, sprawy, które zostały zamknięte dzięki wymuszonym zeznaniom i zmanipulowanym dowodom. Inni twierdzą, że niewiele się różnił od reszty policjantów z tamtego okresu. Podobno doszło nawet do ostrego konfliktu, kiedy próbował położyć kres tego rodzaju praktykom, i miał z tego powodu problemy dyscyplinarne. Metamorfoza nastąpiła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, kiedy poznał prostytutkę, Cecilie jakąś tam, i się z nią ożenił. Wygląda na to, że to ona tak zmieniła charakter inspektora. Ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim Cecilia umarła na raka. Krążą pogłoski, że od tamtej pory Alcázar brał łapówki za przymyknięcie oczu na pewne sprawy... Niektórzy twierdzą, że zgromadził spore oszczędności i że teraz, kiedy przeszedł na emeryturę, będzie żył jak król. Z kolei inni policjanci opowiedzieli mi, że w specjalnej jednostce, do której należała twoja siostra, wykonał wzorową pracę. Dziesiątki zatrzymań, liczne operacje zakończone sukcesem, bardziej niż zasłużony szacunek... Na uwagę zasługuje śledztwo z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku w sprawie zaginięcia twojego ojca. Powinieneś zerknąć do akt – było bardzo dokładne, profesjonalne i bynajmniej nie pobieżne. Nie wiem, jakim był policjantem, ale poważnie podszedł do tamtej sprawy. Reasumując, wydaje mi się, że mamy do czynienia z człowiekiem blasków i cieni.

„A kto nim nie jest?”, pomyślał Gonzalo, spoglądając na legitymacyjne zdjęcie przedstawiające inspektora, kiedy był jeszcze młody, ale zaczynał już łączyć i zapuszczać swoje bujne wąsy. Patrzył inteligentnym, nieco szelmowskim wzrokiem, jakby nie traktował zbyt poważnie samego siebie.

– Coś jeszcze?

– Mieszka w małym mieszkaniu w sercu chińskiej dzielnicy, ma ślepego psa, który wabi się Lukas, dwa razy w tygodniu chodzi do wypożyczalni wideo (nic ciekawego, żadnego porno, same westerny), często łowi ryby na skałach, a jego sąsiedzi twierdzą, że za głośno puszcza muzykę – wygląda na to, że lubi bolera. Facet z supermarketu na parterze jego domu twierdzi, że nie kupuje dużo alkoholu, nic nie wiadomo o żadnych nałogach, co nie oznacza, że ich nie ma. Może zbiera kapsle – zażartowała Luisa.

Możliwe, ale Gonzalo miał wrażenie, że nie tego rodzaju hobby pociągają kogoś takiego jak Alcázar. Zamknął teczkę i spojrzął na kopertę po lewej stronie. Podniósł wzrok na Luisę. Asystentka skinęła głową.

– Nagranie z monitoringu z dnia napaści, o które prosiłeś. Nie będę ci opowiadała, co musiałam zrobić, żeby je zdobyć, w każdym razie wiesz mi

przysługę.

– Obejrzałaś je już?

Luisa zaprzeczyła ruchem głowy, okopując się za skrzyżowanymi ramionami.

– Nie pociągają mnie horrory typu gore.

Gonzalo także nie miał najmniejszej ochoty ponownie przeżywać tego, co się wydarzyło na parkingu. Ale na tym nagraniu musiało być zarejestrowane, co się stało z laptopem.

Cyfrowe nagrania przypominały hieroglify. Łatwiej było rozszyfrować pismo demotyczne na kamieniu z Rosetty, niż zrozumieć, jak działa ten przeklęty odtwarzacz. Musiał więc poprosić o pomoc Luisę. Z cierpliwością, z jaką młodzi uczą starszych, wytłumaczyła mu, jak odtworzyć nagranie, jak przewinąć albo cofnąć obraz pilotem, jak go zatrzymać i zrobić wydruk.

Atak Atxagi trwał bardzo krótko. Napastnik pojawił się dziesięć minut przed nim, zszedł podjazdem dla samochodów i obszedł parking, sprawdzając modele i tablice rejestracyjne, aż wreszcie trafił na jego auto. Gonzalo oszacował, że w tym momencie był już po spotkaniu z Agustínem i rozmawiał w swojej kancelarii z Luisą o sąsiadce z mieszkania obok. Potem zjechał windą.

Właśnie wtedy pojawił się na ekranie. Patrzył na siebie z pewnym współczuciem, jak ktoś, kto widział już wcześniej film i wie, że w następnej scenie bohatera spotka coś nieprzyjemnego. Widział biednego faceta o wyglądzie zmęczonego urzędnika, zamyślonego, przygniecione go codziennymi obowiązkami. Szedł zgarbiony, powłócząc nogami, jakby w torbie, która uderzała go o udo, niósł nie laptop, lecz kowadło.

Atxaga zaszedł go od tyłu, coś do niego powiedział, Gonzalo się odwrócił, a damski bokser zadał mu cios czymś, co trzymał w prawej dłoni. Po uważnym przejrzeniu nagrania Gonzalo naliczył co najmniej dwanaście uderzeń, kopniaków i ciosów pięścią, zadanych w ciągu niespełna minuty, nie licząc pchnięć nożem. Przewróciło mu się w żołądku, kiedy ponownie przeżywał tę scenę. Bez dźwięku wydawała się o wiele straszniejsza i brutalniejsza. Leżał na betonie pomiędzy kołami terenówki, a Atxaga uderzał go z szaleńczą wściekłością, jakby podczas pobytu w więzieniu cierpliwie gromadził nienawiść, a teraz wreszcie mógł ją ze złością wyładować. Ile może zająć

zabicie pięściami tęgiego człowieka? Sekundę, kilka godzin? Czas nie płynie, staje w miejscu. Najbardziej przerażającą rzeczą w całej tej sekwencji była bezbronność, zaciętość – to wrażenie odrazy i lęku, jakie odczuwał, oglądając filmy dokumentalne, na których hieny rzucały się na ranną ofiarę, żeby bezlitośnie rozerwać ją na strzępy.

Przemoc, nieważne, w jakiej postaci, wywoływała u Gonzala paralizującą panikę. Alcázar powiedział mu w szpitalu, że Atxaga miał zamiar go zabić. Nie było co do tego wątpliwości; wnosząc po tym, jak go bił, udałoby mu się, gdyby nie światła zaparkowanego naprzeciwko samochodu, które nagle się zapaliły i zaczęły histerycznie mrugać. Choć Gonzalo nie słyszał dźwięku, wywnioskował, że kierowca użył także klaksonu, żeby wezwać pomoc. Na szczęście połączenie obu tych środków przyniosło efekt i Atxaga uciekł.

Wtedy z samochodu wysiadła kobieta i pospieszyła mu z pomocą.

Luisa i Gonzalo spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

– To nie ta ruda z balkonu obok, fotografka?

To była ona, Tania. Twarz widoczna na zatrzymanym nagraniu była kamienną ścianą, spojrzenie Gonzala ślizgało się po niej jak cień rzucony przez zachodzące słońce. Nie zmieniało jej, jedynie przebarwiało.

Czerwona lampka w ciemnym pomieszczeniu zamigotała kilkakrotnie. To znaczyło, że ktoś puka do drzwi. Tania umyła ręce w umywalce i szybkim spojrzeniem omiotła ostatnią serię zdjęć, które wywołała. Będzie musiała zaczekać kilka minut, żeby dostrzec wszystkie szczegóły. Wyszła z ciemni i zobaczyła matkę.

– Musimy porozmawiać. – Anna Achmatowa mówiła po rosyjsku tylko wówczas, gdy była czymś poważnie zaniepokojona. Zaskoczyła Tanię, która nie od razu wróciła do pola semantycznego swojego dzieciństwa.

– Co się dzieje? – zapytała w tym samym języku, który zabrzmiał w jej uszach dziwnie, zardzewiale.

Anna Achmatowa powoli wygładziła plisy spódnicy, patrząc na bałagan panujący w pokoiku córki. Zadała sobie pytanie, gdzie popełniła błąd, skoro Tania nawet nie rozważała możliwości, by od czasu do czasu opróżnić walające się wszędzie popielniczki.

– Gonzalo Gil.

Tania poczuła ukłucie w żołądku, ale zdołała zachować kamienną twarz.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziała nieporuszona.

Anna jej nie uwierzyła. W momencie ich wypowiedzania słowa posiadają pewną konsystencję, ale potem tracą gęstość i im bardziej oddalają się od momentu, w którym zostały wyartykułowane, tym bardziej się rozmywają. Westchnęła rozdrażniona.

– W jakim celu starasz się do niego zbliżyć? Miałyśmy umowę. Obiecałaś mi.

Tania usłyszała w okolicach karku cichy trzepot. Wydawały go wytatuowane motyle skrzydła. Chciały odlecieć.

– Powtarzam ci, mamó, że nie wiem, o czym mówisz.

Staruszka zerknęła na nią kątem oka. Tania paliła, stojąc przy półce z dziełami wybranymi Gorkiego. Anna zaniechała prób przekonywania córki, żeby – skoro już nie może rzucić tego szkodliwego nałogu – przynajmniej nie oddawała mu się w pobliżu jej ukochanych książek. Zastanawiała się często, co pomyślałby o niej Martin, ten rudy Anglik, strachliwy niczym zamknięty w klatce ptak. Kiedy tamten jeden jedyny raz poszli do łóżka, żadne z nich nie wyobrażało sobie, że mogą sprowadzić na świat kogoś tak żywego i ślicznego.

– Prosiłam cię, żebyś się do niego nie zbliżała. Dlaczego jesteś taka uparta?

Tania zrozumiała, że nie ma sensu dalej kłamać.

– Gdyby mnie tam nie było, tamten człowiek zatłukłby go na śmierć.

Staruszka zdjęła okulary w szylkretowej oprawce i przetrzała je szmatką. Chociaż szkła były już nieskazitelnie czyste, nadal na nie spoglądała, nie mogąc się zdecydować, żeby nałożyć je na swoje zatopione w grubych fałdach skóry oczka.

– Problem w tym, że ten mężczyzna ma już życie, swoje własne życie. Ani ty, ani ja nie mamy prawa się do niego mieszać.

– Żyje w kłamstwie.

– Nie. Dawno temu postanowił zapomnieć i miał do tego pełne prawo. Szkoda, że Laura nie zrobiła tego samego.

Tania mocno wydmuchnęła dym z papierosa, poszukała wzrokiem popielniczki, a ponieważ jej nie znalazła, strzepnęła popiół do własnej garści. Pomyślała na moment o zdjęciach, które wisiały w ciemni. Już pewnie nabrały ostrości, odkrywając wszystkie swoje sekrety.

– Jak się dowiedziałaś, że go poznałam?

Staruszka nie odpowiedziała. Spoglądała na córkę w zamyśleniu, od którego marszczyły się jej usta i pękała warstwa szminki. Pomyślała o Alcázarze, który

zaledwie godzinę temu zaczepił ją na ulicy i przywitał się z nią tak naturalnie, jakby byli bliskimi przyjaciółmi, jakby nie upłynęło trzydzieści pięć lat, od kiedy się ostatnio widzieli. zaproponował jej spacer po osiedlu, niczym przewodnik turystyczny opowiedział kilka anegdotek o jego ulicach, po czym nagle się zatrzymał i spojrzał na nią wzrokiem, który Anna po tylu latach niemal zdołała zapomnieć. Wtedy opowiedział jej o nagraniu, o konsekwencjach tego, że pojawiła się na nim jej córka. Czy rozumie? Czy rozumie, jakie głupstwo popełniła ta nieodpowiedzialna dziewczyna?

Tak, Anna doskonale to rozumiała, ale jej naiwna córka nie.

– Nie masz pojęcia, co obudziłaś, Taniu.

13.

MOSKWA, STYCZEŃ 1934 ROKU

Wasilij Arsieniewicz Wieliczko w milczeniu skinął głową, jakby rozmówca mógł widzieć jego gest, po czym powoli odłożył słuchawkę. Przez kilka sekund trzymał dłoń na widełkach, zatopiony w myślach. Z okna swojego małego biura w hangarze numer 22 co rano oglądał plac budowy wielkiego kanału, który miał połączyć rzeki Moskwę i Wołgę. Projekt fascynował go jako inżyniera, ale przede wszystkim ekscytował jako członka partii i moskwianina. Inwestycja przeznaczona do zaopatrywania miasta w wodę i otwarcia go na pięć mórz była dziełem na miarę epoki faraonów. To doprawdy straszne i zadziwiające, czego mogą dokonać ludzie, pomyślał, szykując się do napisania swojego codziennego artykułu do wydawanej przez Osoawiachim gazety „Na Straży”.

Trudno mu było jednak skupić myśli, by sprostać temu, czego od niego oczekiwano. Problemy z ostatnich dni nie dawały mu spać, poza tym nie przyzwyczał się jeszcze do nowego miejsca pracy w Tuszynie. Prawdę mówiąc, powinien być wdzięczny, wielu dwudziestolatków nie odważyłoby się nawet marzyć o przynależności do korpusu instruktorów Wyższej Szkoły Spadochronowej odpowiedzialnych za kształtowanie intelektu i polityczną edukację przyszłych lotników. On jednak tęsknił za swoim mieszkaniem niedaleko fortecy Kremla. Choć próbował ozdobić biuro książkami i obrazami, które przywiózł z poprzedniej placówki, nadal uważał, że hale aerodromu są deprymujące, zwłaszcza kiedy nie świeciło słońce, a nad ujściem rzeki unosiła się mgła.

Jeżeli na dodatek padało, tak jak tego dnia, szyny wagoników na przeciwległym brzegu przypominały fantasmagoryczne cienie, hałas dobiegający z fabryk i tartaków świdrował mu mózg, a gwizd spowitych mgłą barek przywodził na myśl łodzie prujące otchłanie piekła. W takim stanie

ducha nie potrafił opiewać zalet planu pięcioletniego ani choćby z krztą wiarygodności wychwalać zasług członków Komitetu Centralnego, którzy wprowadzili go w życie.

Na twarzy Wieliczki pojawił się zmęczony uśmiech, kiedy wyobraził sobie, co powiedziała by matka, gdyby wiedziała o jego rozterkach. „Musisz być jedynym idiotą, który nadal wierzy w to, co pisze”. Może i nim jestem, pomyślał z odrobiną dumy. Wierzył w Stalina, ufał mu. Widział go tylko raz, kiedy wódz wygłaszał przemówienie zamykające obchody zeszłorocznego Święta Pracy. Nie wydał mu się błyskotliwym oratorem, był krzepkim mężczyzną o prostackim wyglądzie, a mimo to rozpałił słuchaczy samą swoją determinacją. Nie wszyscy jednak byli tacy jak on. Krążyło wiele opowieści stawiających członków partii w niezbyt korzystnym świetle: o czystkach i walkach o władzę, o brudnej wojnie bez koszar, w której granica między sojusznikiem a wrogiem była bardzo niewyraźna. Należało mieć oczy dookoła głowy, żeby nie zrobić fałszywego kroku.

Próbował przestać myśleć o rzeczach zakrawających na absurd. Musiał przekonywać sam siebie, że to, co robi partia, jest dobre – nieodwracalnie zmienia ten ogromny kraj. Ale wciąż wracała rozmowa telefoniczna, którą przed chwilą odbył. Nie wiedział, jak powinien postąpić; walczyły w nim przekonania i potrzeba zachowania ostrożności, odwaga młodego idealisty i samocenzura urzędnika, który chce piąć się po szczeblach kariery, zapowiadającej się na błyskotliwą. O ile nie popełni jakiegoś szaleństwa.

W końcu, świadom, że nie będzie już mógł się cofnąć, napisał dwa słowa: *Ostrow Smierti*. Zaraz poczuł pokusę, żeby zgnieść kartkę, a najlepiej ją spalić, żeby nikt nawet nie podejrzewał, że mógł napisać coś takiego. Zamiast tego jednak położył ją w szufladzie obok paczki papierosów, stempli do potwierdzania kompetencji rekrutów i służbowego rewolweru. Następnie niespiesznie wdział wojskową kurtę i sprawdził, czy odznaki Spadochroniarzy Woroszyłowa i Strzelca I klasy błyszczą jak należy na jego piersi. Zanim wyszedł z biura, zdjął i schował do kieszeni okrągłe okulary. Zdaniem matki jego twarz wyglądała w nich dziecinnie. Instruktor Osoawiachimu z ambicjami nie może sprawiać takiego wrażenia. Musi budzić strach, jak drapieźniki, które widział na korytarzach siedziby Komitetu Centralnego. Przez jakiś czas próbował nawet zapuścić wąsy, ale brakowało mu siwizny i elegancji, które przydawałyby mu stateczności. Wszystko wymaga czasu.

Przestało padać, co niekoniecznie było dobrą wiadomością. Niebo szybko

się rozjaśniało, a to oznaczało, że wkrótce temperatura spadnie o kilka stopni. Prawdopodobnie przed zmierzchem zacznie padać śnieg i drogi staną się nieprzejezdne. Potem śnieg zamieni się w twardą warstwę brudnego lodu, która sprawi, że wszystko stanie. Wieliczko nie znosił nieruchomego, skamieniałego krajobrazu, zwisających z wykuszy sopli, dygoczących drzew, pary unoszącej się z ust podczas oddychania i trzasku lodu pod butami czy kołami. Podniósł kołnierz płaszcza i zdecydowanym krokiem przeciął płytę aerodromu, mijając znajdujące się po prawej stronie hangary Wyższej Szkoły Spadochronowej, w których odbywały się zajęcia.

Część rekrutów skakała z drewnianej wieży, symulując skok w powietrzu i ćwicząc właściwe lądowanie. Za ogrodzeniem otaczającym teren do próbnych lotów szybowców dwóch instruktorów pokazywało sporej grupie uczniów, jak rozebrać rotor. Pośród kandydatów na mechaników i techników, podobnie jak wśród tych na pilotów i spadochroniarzy, można było często spotkać kobiety. Tego właśnie chcemy, pomyślał Wieliczko, zapalając któregoś już papierosa tego ranka – sprawiedliwszego, bardziej egalitarnego społeczeństwa. Po to przeprowadziliśmy rewolucję.

Niemal usłyszał śmiech wydobywający się z bezzębnych ust matki: „Z powodu planu pięcioletniego ludzie giną z głodu, a ty palisz angielskie papierosy. Co z ciebie za rewolucjonista?”. Wieliczko bardzo kochał matkę, była dobrą kobietą, ale nie rozumiała jego pracy, konieczności wykrywania i eliminowania wrogów ludu. Rak przybierał wiele postaci: trockistowskich sabotażystów, właścicieli ziemskich, kułaków, starych i nowych towarzyszy, którzy bojkotowali plany komitetu, dla własnych korzyści oddalając się od doktryny partii. Była to wycieńczająca praca i czasami Wieliczkę nachodziły wątpliwości, czy panujące w kraju represje i terror są naprawdę konieczne, czy faktycznie są oznaką siły, jak głosił Stalin, czy raczej przejawem słabości. Czystki przybierały postać orgii. Bez wątplenia jednak zmieniali historię, to przyszłe pokolenia będą musiały ich osądzić. Koniec końców on był tylko zwykłym instruktorem politycznym.

Nad budką wartowniczą przy wjeździe do kompleksu przemysłowego, gdzie konstruowano samoloty, wisiała gruba cementowa tablica z symbolem Osoawiachim. Czerwona gwiazda, a nad nią skrzyżowane śmigło i karabin. Kompleks był ogromny, znajdowały się w nim hale, w których produkowano poszczególne części, magazyny, piece, a nawet port załadunkowy. Robotnicy gorączkowo uwijali się przy swoich stanowiskach pracy. Wieliczko ruszył

w stronę sekcji szybowców. Tam bez trudu odnalazł uliczkę z rampami, gdzie akurat wyładowywano z wielkich ciężarówek grube stalowe szyny. Znajdujące się po prawej stronie schody prowadziły na niższy poziom, na którym mieściły się stare centrum szkoleniowe i zamknięte dawno temu biura. Wystarczyło lekkie pchnięcie, żeby drzwi ustąpiły.

W mroku ledwo można było dostrzec meble zgromadzone w głębi długiego korytarza: poustawiane jedne na drugich stoły, krzesła i szafy na dokumenty. Okna – kilka lufcików – znajdowały się zbyt wysoko i były zbyt wąskie, żeby dało się cokolwiek wyraźnie zobaczyć. Cuchnęło skwaśniałymi odchodami i moczem, a między resztkami śmieci i deskami leżącymi na podłodze z popękanych płytek z niepokojącą szybkością pojawiały się i znikwały szczury. Wieliczko nigdy by się do tego publicznie nie przyznał, ale czuł absurdalny strach przed tymi stworzeniami, odkąd w dzieciństwie obudził go przenikliwy ból ucha i okazało się, że gryzie go olbrzymi szczur.

Jak za sprawą czarodziejskiej sztuczki w głębi mroku błysnął nagle płomień świecy.

– Tędy, instruktorze Wieliczko.

Uspokoił się, słysząc znajomy głos podwładnego, Srołowa. Srołow, poczciwy kołchoźnik, nosił w kieszeni książeczkę z obrazkami świętych, a między jej stronicami wymięte zdjęcie Stalina – nie widział w tym żadnej sprzeczności. Był lojalny, jak lojalne są bezdomne psy, kiedy okażesz im odrobinę serca. Wieliczko nie traktował go surowo, nie ubliżał mu, od czasu do czasu zwierzali się sobie przy papierosie i kawie. To właśnie dzięki takim drobnym gestom ten potężny mężczyzna w podeszłym wieku, świadom powagi sprawy, zadzwonił najpierw właśnie do niego.

– Gdzie on jest?

Podwładny wskazał świecą małe żelazne drzwiczki prowadzące na niższy poziom.

– Uznałem, że bezpieczniej będzie ukryć go w tunelach sieci kanalizacyjnej.

Wieliczko skinął głową. To był dobry pomysł. Zeszli po metalowych stopniach i zapuścili się w łukowaty tunel. Trudno było tam iść z wyprostowanymi plecami, musieli co chwila pochylać głowy, żeby nie zawadzić o rozgałęziające się rury. Sufit z omszałych cegieł drżał – znajdowali się dokładnie pod strefą załadunku. Co dziesięć metrów tunel rozgałęział się na prawo i lewo, tworząc labirynt coraz ciaśniejszych korytarzy. Gdyby nie światło świecy i dobra znajomość terenu, łatwo mogliby

zabłądzić. Prawdopodobnie od lat nikt tutaj nie schodził.

Podwładny przystanął na jednym z rozdroży, zawahał się przez chwilę, po czym skręcił w prawo.

– Gdzie my, kurwa, idziemy? – zapytał Wieliczko mających przed nim pośladek.

– Już prawie jesteśmy.

Wąski korytarz prowadził do czegoś w rodzaju jaskini, nie do końca wydrążonej. Ściany i sufit podpierały niezbyt stabilne słupy, podłoga było gliniaste i wilgotne. Wieliczko wziął od podwładnego świecę i zaczął obracać się wokół własnej osi. Wreszcie snop światła zatrzymał się na przyklejonym do ściany wybrzuszeniu. Wyglądało jak kupa sztywnych od brudu szmat. Gdyby nie lekki ruch wywołany oddychaniem i nagły atak kaszlu, nigdyby się nie domyślił, że pod tymi łachmanami kryje się ludzka istota.

– To on? – zapytał ze zdziwieniem połączonym ze wstrętem.

Srołow przytaknął i dla potwierdzenia odkrył wytarty koc.

Mężczyzna – jeżeli te powleczone skórą kości można było jeszcze tak nazwać – skulił się, drżąc i szepcząc niezrozumiałe słowa.

– Co on mówi?

Podwładny wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Bredzi, myślę, że mający. Przeszukałem go, nie ma przy sobie żadnych dokumentów. Znalazłem tylko to. Próbował mnie ugryźć, kiedy mu to odbierałem, musiałem go uderzyć.

Podał Wieliczce mały zamykany medalion. Wyglądał na tandetny, bezwartościowy. Instruktor otworzył go i zobaczył zdjęcie przedstawiające młodą kobietę i małą dziewczynkę. Kobieta pozowała z dumą wiejskiej arystokratki, której Wieliczko nie znosił u kułaków, dawnych właścicieli ziemskich. Ciężko było złamać tych aroganckich i twardych ludzi. Mogła uchodzić za ładną, miała szare oczy, gęste, ciemne włosy, zebrane w wysoki kok odsłaniający uszy, i symetryczną twarz, osadzoną na koronkowym kołnierzu bluzki. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczynka jest jej córką, była miniaturką kobiety, o tym samym bacznym, stanowczym wyrazie twarzy.

– Może to jego rodzina.

Podwładny nie wydawał się przekonany.

– Prawdopodobnie go ukradł.

Wieliczko odwrócił medalion. Ktoś topornie wyrył na nim nożem napis. „Irina”. Spojrzał ze zdziwieniem na mężczyznę, który jęknął i poruszył się

w ciemności, jakby był jednym ze szczurów budzących w inspektorze taką odrazę. Ogromnym, śmierdzącym, szarym szczurem. Wieliczko schował medalion do kieszeni.

– Jak go znalazłeś? – zapytał Srołowa.

Podwładny spojrzął na pogrążone w mroku wyjście z jaskini. Zawahał się, jakby nagle pozałował, że przyprowadził tu swojego przełożonego, albo jakby nie wziął pod uwagę, że ten będzie pytał go o tak oczywiste rzeczy.

– Wiele lat temu pracowałem w sekcji szybowców. Dlatego wiedziałem, że tych biur już nikt nie używa i że na górze jest dużo desek i starych mebli. Nikogo nie obchodzą, więc pomyślałem, że mogę ciąć drewno i wynosić je po trochu. Sam pan wie, że ceny węgla poszły w górę, a trzeba czymś palić w piecu.

– Kradłeś wyposażenie należące do państwa, ale nie to mnie teraz interesuje. Do rzeczy.

Oschłość Wieliczki zbiła Srołowa z tropu.

– Zobaczyłem, że ktoś się tu chowa. Na początku pomyślałem, że to pies, ale kiedy rzuciłem w niego kamieniem, usłyszałem jęk i zorientowałem się, że chodzi o człowieka. Uznałem, że to jeden z tych żebraków bez wewnętrznego paszportu. Próbowałem go złapać, ale zdołał uciec i dopadłem go dopiero tutaj.

– Skąd wiesz, że to zbiegły zesłaniec?

Srołow dostrzegł szansę, by odzyskać uznanie w oczach szefa. Pochylił się nad mężczyzną i nie zważając na jego słabe protesty, rozsunał postrzępioną koszulę. Poprosił instruktora, żeby przysunął świecę. Mężczyzna miał na piersi wyryte słowa: *Ostrow Smierti*.

Wieliczko przyglądał się temu ludzkiemu wrakowi szeroko otwartymi oczami.

„Szukajcie, a znajdziecie”, głosi Ewangelia. On znalazł bez konieczności szukania. Jednak zamiast się cieszyć, odczuwał niepokój. Jeżeli to, co podejrzewał, okaże się prawdą, jeżeli ten mężczyzna przybył z wyspy Nazino, on zaś zdoła utrzymać go przy życiu, żeby wszystko mu opowiedział, jego los nieodwracalnie się zmieni. Od końca maja ubiegłego roku docierało do niego mnóstwo fragmentarycznych świadectw, niepodparty dowodami pogłosek, krążących pośród policjantów plotek o tym, co wydarzyło się w głębi zachodniej Syberii, niedaleko ujścia rzeki Nazino do Obu. O przyprawiającym o mdłość ludobójstwie, które w niespełna trzy miesiące pociągnęło za sobą

ponad cztery tysiące ofiar. Aż do tego czasu nie miał możliwości zdobycia dowodów potwierdzających podejrzenia, że to, co mówiono, jest prawdą.

– Co z nim zrobimy? – zapytał Srołow. – Zgodnie z przepisami powinniśmy wydać go OGPU jako zbiega.

Wieliczko wskazał ruchem dłoni, żeby pozwolił mu się zastanowić. Znał doskonale procedury, nie trzeba było mu ich przypominać. Problem w tym, czy był gotów na konfrontację z wszechmocnym dowódcą policji politycznej Gienrichem Jagodą i naczelnikiem zarządu GUŁagu Matwiejem Bermanem. To oni odpowiadali za tak zwane obozy specjalne, ambitny plan zsyłek mających na celu przeniesienie ponad dwóch milionów ludzi na niezamieszkałe obszary Syberii i Kazachstanu. Przekonali Stalina, że w niespełna dwa lata przekształcą ponad milion hektarów nieużytków w urodzajne ziemie. Plan zbyt ambitny, żeby pokryć zapotrzebowanie na siłę roboczą wysyłanymi tam chłopami czy wrogami ludu.

Na początek opróżniono więzienia z kryminalistów, jednak i to nie wystarczyło. W wyniku planu pięcioletniego na wsi zapanował głód, chłopci emigrowali więc masowo do dużych miast. Aby temu zapobiec, Jagoda i Berman wprowadzili wewnętrzne paszporty. Mogły je otrzymać jedynie osoby zameldowane w miastach; ci, którzy nie posiadali tego dokumentu, nie mieli prawa pozostawać na ich terenie pod groźbą kary natychmiastowego zesłania. W ten oto sposób rozpoczął się prawdziwy koszmar. Podżegani przez swoich przełożonych policjanci przeprowadzali masowe obławy, zarzucali sieci niczym rybacy, bezmyślnie chwytając w nie wszystko, co stało im na drodze.

Krażyły słuchy o gigantycznych pomyłkach. Wieliczko zdołał już udokumentować niektóre z nich. Pewna staruszka nazwiskiem Gusiewa, pochodząca z Muromu, której mąż był komunistą ze starej gwardii i przez dwadzieścia trzy lata zawiadowcą stacji kolejowej, przyjechała do Moskwy, żeby kupić trochę białego chleba i została zatrzymana przez policję za brak dokumentów. Zniknęła, a jej mąż mimo protestów uzyskiwał od władz jedynie wymijające wyjaśnienia i usprawiedliwienia. Inna sprawa, która dotarła do instruktora, dotyczyła młodego człowieka, Nowożyłowa. Ten pracownik fabryki sprężarek, wielokrotnie nagradzany za wydajność, członek komitetu zakładowego, został zesłany bez powodu. Z tego, co opowiedziała Wieliczce jego żona, wynikało, że po prostu zszedł na ulicę zapalić, czekając, aż ona wyszykuje się do kina. Dwaj policjanci, którzy go zaczepili, nie pozwolili mu

nawet wejść na górę po dokumenty... Lista takich przypadków była nieskończenie długa, a wszystkie te straszliwe historie miały ten sam finał: kończyły się w miejscu, które według władz nie istniało. Na wyspie Nazino.

Może ten mężczyzna o wychudzonej twarzy, któremu w każdej chwili groziła zapaść, mógłby mu się na coś przydać. O ile kompletnie nie postradał zmysłów.

– Poszukaj bezpiecznego miejsca, gdzie można by go ukryć. Niech obejrzy go jakiś zaufany lekarz. Na razie nie chcę, żeby ktokolwiek inny wiedział o jego istnieniu, przynajmniej dopóki nie będzie w stanie mówić.

Podwładny poruszył ciężką głową niczym wół.

– Nie jestem pewien, czy to właściwa decyzja. Powinniśmy go wydać.

Wieliczko podniósł świecę, oślepiając Srołowa. Jego zielone, żywe oczy nie pozostawiały miejsca na wątpliwości.

– Zrób, co ci powiedziałem, albo sam wsiądziesz na jedną z barek płynących na Syberię. Kradzież wyposażenia należącego do Osoawiachimu to bardzo poważne przestępstwo.

Srołow zbladł, wykrzywił usta, ale zgodził się wykonać rozkaz.

– Będzie, jak pan mówi.

Wieliczko ukucnął przy mężczyźnie, który uciekał przed blaskiem świecy, zwinięty jak ślimak. Cuchnął zwłokami, całe ciało miał pokryte ranami i strupami – było połączeniem brudu i zaschniętej krwi. Przez łuszczącą się skórę wystawały kości. Wydawało się, że jeśliby się go dotknęło, palce zanurzyłyby się w galarecie. Wieliczko próbował dojrzeć jego twarz, ale zbieg chował ją w ramionach.

– Rozumiesz mnie? Nikt nie zrobi ci krzywdy, spokojnie. Chcemy ci jedynie pomóc.

Kiedy tak przemawiał do niego łagodnym głosem, zdołał odsunąć ramię zakrywające twarz. Ogromnym wysiłkiem powstrzymał się, by nie krzyknąć. Prawy oczodół był pusty. Kości policzkowe wystawały niczym dwa wzniesienia naciągające skórę i ledwo utrzymywały szczęki, w których brakowało połowy zębów. Sądząc po ranach i siniakach, był brutalnie bity. Obrządek na nosie wskazywał, że jest złamany, może od bardzo dawna. Lewe oko, czarne jak guzik, uważnie wpatrywało się w instruktora. Spoglądało wzrokiem osaczonego zwierzęcia. Popękane usta poruszały się, wypowiadając niezrozumiałe słowa, powtarzały je cicho niczym litanie.

Kiedy Wieliczko chciał podnieść się z kucek, mężczyzna zareagował

w nieoczekiwany sposób. Spod kupy brudnych szmat wyciągnął szybko wykręconą dłoń i chwycił nią rękę instruktora. Wbijające się w kurtę paznokcie sprawiły, że Wieliczko mimowolnie poczuł odrazę. Srołow chciał uderzyć mężczyznę, ale instruktor mu na to nie pozwolił. Zesłaniec wysunął drugą rękę, otwierając dłoń w błagalnym geście. Wieliczce zajęło kilka sekund zrozumienie, o co proszą go ta dłoń i to oko.

– Medalion? Chcesz, żebym zwrócił ci medalion? – Wyciągnął wisiołek z kieszeni i położył go na dłoni mężczyzny. – Zgoda, zwrócę ci go, ale pod jednym warunkiem. Powiedz mi, jak się nazywasz.

Palce mężczyzny zacisnęły się na medalionie jak pułapka na myszy. Znowu się skulił. Wycofując się w ciemność, wypowiedział swoje imię:

– Nazywam się Elías Gil Villa.

Żyje. Musi żyć, powiedział sobie, muskając palcem zdjęcie w medalionie. Było to jedyne pocieszenie, jakie mu zostało. Myśl, że mogło być inaczej, wydawała mu się zbyt straszna. Elías siedział na krześle z dłońmi na kolanach i spoglądał przez okno. Na stole stał talerz z nietkniętą zupą jarzynową. Za to dzbanek z winem był niemal pusty. Zamrugnął nerwowo i poruszył szyją, żeby rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie.

– Wiem o obozach dla internowanych więcej niż ktokolwiek z was. Wiem, jak wyglądają i jak pachną barki, które przewożą zesłańców. Wiem, jak smakuje śnieg, jak gryzą psy strażników, jaki dźwięk wydają kolby waszych karabinów, kiedy łamią piszczel albo łokieć. Tak, wiem o was bardzo dużo.

Instruktora Wieliczkę dziwiła zmiana, jaka dokonała się w więźniu w ciągu zaledwie kilku tygodni. Srołow dobrze się spisał mimo początkowych obiekcji i chęci jak najszybszego pozbycia się problemu. Zmusił więźnia, żeby się wykapał. Bez strupów z zaschniętej krwi i brudu, ubrany w czystą, choć znoszoną bawełnianą koszulę, odzyskał częściowo ludzki wygląd. Był znacznie młodszy, niż sądził Wieliczko. Jego jedyne oko migotało niczym odwrócony płomień świecy. Pokrywający policzki zarost, nieumiejętnie podstrzyżony, ale czysty, obrysowywał usta ze śladami po opuchliznie. Nos miał dziwny kształt – jego grzbiet był wepchnięty do środka. Nigdy nie odzyska pierwotnego wyglądu.

– Nie podobają ci się nasze metody? Szkoda, zauważ jednak, że jesteś zesłańcem, nie gościem, który przyjechał na przedstawienie w Teatrze

Bolszoj. Musieli mieć jakiś powód, żeby cię zatrzymać.

Elías ścisnął dłonie pod pachami. Nagle poczuł zimno. Zimno, które zadomowiło się w jego wnętrzu, napływało i odchodziło falami. Paraliżujące zimno.

– W przeciwnym razie skąd wzięłyby się te słowa wyryte na piersi Hiszpana, studenta inżynierii? Jak trafiłeś na Nazino? A przede wszystkim, jak zdołałeś ująć stamtąd z życiem i dotrzeć do Moskwy?

Elías spojrział na niego spod oka. Na jego twarzy malowało się już nie przerażenie, jak podczas pierwszego spotkania, ale bezgraniczna nieufność. Pusty oczodół miał zakryty prymitywną opaską. Nie odpowiedział. Znow skupił uwagę na widoku za oknem. Bujał się lekko na krześle i poruszał wargami, nie wydając żadnego dźwięku. Wieliczko przywołał dziewczynę, która przychodziła popołudniami, by opiekować się Elíasem – przebierać go i zmieniać mu bandaż. Do tej pory nie otworzyła ust. Instruktor poprosił, żeby powtórzyła pytanie po hiszpańsku.

– Mówi, że nie zrobią ci krzywdy, że musisz z nimi współpracować. W przeciwnym razie wydadzą cię OGPU.

Elías spojrział na nią zaskoczony. Na jego twarzy zarysował się cień uśmiechu. Musiał się ucieszyć, słysząc ojczysty język, mimo że dziewczyna nie władała nim biegle i to, co mówiła, nie było do końca zrozumiałe. Podniósł twarz w stronę instruktora, po czym spojrział kątem oka na stojącego z boku Srołowa. Powoli, niczym tryby kół ruszającego pociągu, zaczął swoją opowieść.

Ludzie, którzy nie znają stepów, wyobrażają je sobie jako olbrzymie połacie śniegu, białe, puste tereny, gdzie temperatury spadają gwałtownie, gdy tylko chowa się słońce. Tak jest zimą. Latem, po odwilży, step zamienia się w upalne, wilgotne piekło, człowiekowi brakuje powietrza, jego ciało jest lepkie od potu, który przyciąga chmary much i komarów żyjących na bagnach. Są nie do zniesienia, nie sposób się od nich uwolnić. Dręczą cię w dzień i w nocy, kąsają, wchodzą we wszystkie otwory ciała, jakbyś był zdechłą, rozkładającą się krową, z tą różnicą, że nie czekają, aż umrzesz. Pożerają cię żywcem. Przez setki, setki kilometrów nie widać nic poza mokradłami, cuchnącymi bagnami i górami porośniętymi krzakami, gdzie nie uświadczysz nawet jednej marnej jagody, którą mógłbyś włożyć do ust.

Od czasu do czasu pojawia się zając czy ptak. Ludzka obecność nie robi na nich wrażenia, po prostu odskakują albo przelatują na inną gałąź, żeby uchylić się przed kamieniem, którym człowiek rzuca niezdarnie, niecelnie, słabo. Myśl, że ofiara kpi sobie z wygłodzonego myśliwego, jest prawdziwą torturą. Pozbawiona dźwięków, domów, dróg przestrzeń przyprawia o utratę zmysłów, podobnie jak bezchmurne niebo, które stanowi kolejny bezkres – łączą się one w jakimś punkcie przecięcia w oddali. Taka musiała być samotność pierwszych ludzi na Ziemi. Dręcząca. Ziemia jest grobem, który cierpliwie czeka na swój haracz.

Elías szedł godzinami jak robot, dźwigał na plecach albo na rękach małą Annę, dopóki nie zdrętwiało mu ciało i nie padał na kolana albo twarzą do ziemi, pociągając za sobą dziewczynkę. Czasami, na kilka minut, które wydawały się godzinami, pogrążał się w stanie otępienia, patrzył w niebo, obojętny na wszystko, aż Anna zaczynała popłakiwać albo dotykać go po twarzy brudnymi paluszkami. Wtedy odzyskiwał siły, choć myślał, że już ich nie ma, i znów ruszał w drogę. Przed siebie, nieważne dokąd. Żeby odpędzić głód, myślał. A myśli skupiał na Irinie, na rzece, w której pozwolił jej utonąć, bo nie chciał, by pociągnęła go ze sobą na dno.

Scena ta zacierała się w jego pamięci, jakby miała miejsce bardzo dawno temu. Ona opadała na mętne dno, a on z płucami bliskimi rozsądzenia machał rękami, by wydostać się na powierzchnię. A na wodzie unosiły się wiersze z jej tomiku poezji. Którejś nocy wyrył kamieniem na medalionie jej imię. Płakał długo, spoglądając na zdjęcie i na drżące ciało Anny. Dziewczynka była bardzo słaba, ledwo się ruszała, przestała nawet gaworzyć, jakby jakiś pierwotny instynkt kazał jej ograniczyć do minimum wszelką aktywność. Elías miał pełną świadomość, że nie uda im się przeżyć. Anna umrze pierwsza, była to już kwestia godzin czy dni. A wtedy... wtedy on będzie miał co jeść.

Wystarczyło, że o tym pomyślał, a ogarniały go mdłości. Niemniej jednak o tym myślał. Wiedział to. Wiedział, że gdy tak się stanie, zrobi to. Wydawało mu się, że dziewczynka coś przeczuwa, bo odsuwała się od niego, bardzo chcąc żyć.

Płonące zmierzchy zabarwiały krajobraz na szkarłatne kolory. Kiedy jakimś cudem wiatr rozpędzał chmurę bzyczących wokół komarów, Elías częściowo odzyskiwał nadzieję. Któregoś wieczoru zdołał złapać mysz. Zmiażdżył jej kamieniem głowę i krzemieniem odarł ją ze skóry. Wyszarpał mięso zębami i rozdrobnił je w ustach na różową papkę, którą kazał połknąć Annie. Był tak

spragniony, że wypił trochę wody z sadzawki i przez dwa kolejne dni robił pod siebie. Nie zadawał sobie nawet trudu, żeby się zatrzymać, zostawiał za sobą wodniste odchody niczym słaby ślad agonii.

Najgorsza noc nadeszła po niezliczonej liczbie innych nocy, czas stracił bowiem sens, bo nie było nic do roboty poza podążaniem donikąd. Przez kilka godzin padał deszcz, Elías wyjął ubranie do ostatniej kropli, żeby się napić i napić małą. Anna miała rozognione spojrzenie, wstrząsały nią dreszcze, dzwoniła zębami tak gwałtownie, że w każdej chwili mogły pęknąć na kawałki, a ich odgłos przyprawiał Elíasa o ciarki. Przytulił dziecko do brzucha, próbując je rozgrzać. Buźka dziewczynki zrobiła się przezroczysta, żyły prześwitywały przez skórę, przypominały hydrę, która jakby zawładnęła wyrazem jej twarzy. Niepokojąco nabrzmiałe usta były fioletowe, podobnie jak cienie pod oczami i plamy, które pojawiały się na jej szyi. Tej nocy umrze. Elías domyślił się tego, kiedy położył dłoń na piersi Anny i poczuł, że jej serce bije coraz słabiej i słabiej.

Nie chciał, żeby umarła, a jednocześnie pragnął tego ze wszystkich sił. Dla niej, dla niego. Dla nich obojga. Pocałował ją w czoło, pogłaskał i odsunął jej z twarzy brudne włosy. Pomyślał, że zatka jej dłonią nos i usta. Nie będzie mocno naciskał, po prostu przytrzyma ją tak do momentu, aż dziewczynka wyda ostatnie tchnienie. Wszystko skończy się tak szybko, że nawet się nie zorientuje. Potem... Pragnął to zrobić, ale nie mógł, jeszcze nie. Przynajmniej nie chciał jeszcze podejmować decyzji. Postanowił poczekać na małym występie u stóp wzgórza. Nie ruszać nigdzie, zostać tam razem tak długo, jak będzie trzeba.

W którymś momencie zasnął. Nękały go straszliwe, wypaczone sny, gdzie świadomość i nieświadomość zawierały przymierze, by stworzyć rodzaj parodii, w której mieszały się fakty i wymysły: Irina i jego ojciec, Claude wskazujący go kikutami zamiast palców i Igor z jego okiem nadzianym na patyk, zanoszący się śmiechem, więzienie i strażnik, który proponował mu ogromną szklankę wody z pływającymi na powierzchni robakami. I ten wiersz, który Irina czytała oczami pełnymi wodorostów. We śnie Elías zabijał, umierał, odżywał, pożerał kości Anny, zwracał je i znów zjadał.

Otworzył oko i zamrugał, mając nad sobą niebo wypełnione gwiazdami, które każdej nocy zmieniały kształt. Przez kilka sekund nie wiedział, czy nadal śni, dopóki nie usłyszał zwierzęcego warknięcia, dzikiego odgłosu kłapiących zębów. Wyciągnął prawą rękę i pomacał miejsce, gdzie powinna leżeć Anna.

Może już martwa, zimna. Trafił jedynie na poruszającą się, wymykającą jego palcom stopę. Powoli odwrócił głowę i zobaczył szarego wilka, niedużego, wychudzonego, o niezdrowym wyglądzie, który ciągnął zębami za rękę nieruchome ciało dziewczynki, wycofując się ukradkiem niczym lis z kurnika.

Elías pomacał ziemię wokół siebie, nie odrywając wzroku od wilka, który, kiedy zorientował się, że został nakryty, zjeżył sierść na grzbiecie, rozstawił przednie łapy i położył po sobie uszy. Chłopak znalazł kamień wielkości ręcznego granatu. Nie mógł nic nim zrobić, ale mimo to wstał, gotów walczyć o Annę. O jej mięso czy o jej życie? Nie miało to znaczenia. Nie zamierzał pozwolić, żeby zabrało ją zwierzę. Nigdy wcześniej nie widział wilka, ale ten nie wyglądał dobrze, pewnie nie było to nawet jego naturalne środowisko. Wydawał się równie zdezorientowany jak Elías, niemniej jednak jeden kamień przeciwko złotym zębom nie dawał chłopakowi szans. Wiedział, że przegra.

Podniósł rękę i krzyknął, jakby myślał, że w ten sposób można odstraszyć bestię, wilk jednak zmarszczył skórę na pysku i zrobił krok naprzód, groźnie warcząc. Gdyby to był pies, zaczęłby szczekać, ale wilki nie szczekają. Nie ostrzegają. Atakują. Skoczył na Elíasa i powalił go na ziemię. Pierwsze ugryzienie było wycelowane w tętnicę szyjną, chłopak zdołał się jednak odsunąć i zęby wbiły mu się w przedramię. Łapy wilka i jego nogi splotły się w bezładnej kotłowaniu; uderzył zwierzę w bok trzymany w lewej dłoni kamieniem, ale bestia ledwo to poczuła.

Wtedy rozległ się wystrzał; wilk wierzgnął, zaskomlał żałośnie i przeskoczył nad ciałem Elíasa, odwracając pysk w stronę miejsca, skąd dobiegł wybuch. Był ranny, początkowo krwawił nieznacznie, jednak z czasem szkarłatny strumień płynący z jego tylnej łapy stawał się coraz obfitszy. Nieporuszony cofnął się o kilka metrów, odwrócił i, kulejąc, zniknął w ciemnościach.

Kiedy Elías wstał, ranny w rękę i wciąż wystraszony, dostrzegł w dole dwie postaci. Jedna z nich trzymała podniesiony rewolwer, z którego został oddany strzał. Druga pochylała się nad dziewczynką.

– Żyje.

– Daj jej trochę wody.

Elías rozpoznał głosy, zanim jeszcze zobaczył twarze. Należały do Michaela i Martina.

Szkot podszedł do Elíasa i spojrzał na niego bez słowa. Wciąż trzymał w dłoni wycelowany rewolwer. Nie przypominał dawnego Michaela, żaden

z nich nie przypominał siebie. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, wyglądał jak zjawa, która wyłoniła się znikąd i zniknie, kiedy pstrykniemy palcami. Wetknął broń za spodnie i spojrzał na przedramię Elíasa.

– Zęby tej bestii tną jak piły. Od tygodnia na nią polujemy, ale zawsze nam uciekała. Teraz przynajmniej wiem, że trafiłem. Nie zajdzie daleko. Może czeka nas dziś porządna kolacja. Domowe psy zamienione w dzikie drapieżniki polujące na wilka. Świat oszalał. – Oczy Michaela były jak rzeka, która zaraz zamarźnie. Wyciągnął papierosa – prawdziwy cud, na widok którego Elías otworzył ze zdumienia usta – i zapalił go wyjętą z kieszeni zapałką. Zaciągnął się głęboko i uśmiechnął, jak magik, który zaskoczył publiczność swoją sztuczką.

– Nic nie powiesz? Ocaliliśmy ci życie.

Elías spojrzał na siedzącego przy Annie Martina. Trzymał ją w ramionach i poił z manierki. Po fioletowych ustach dziewczynki spływała czysta, pitna woda. Z gardła Elíasa dobiegł bulgot, jak z zatkanej rury.

– Skąd się tu wzięliście? – zapytał, jakby byli diabłami, które wyszły z piekła.

– Z tego samego miejsca, co ty – odparł Michael. Jakby myślał, że Elías mógł zapomnieć. Hiszpan poszukał wzrokiem Igora Sterna i reszty jego bandy. Na pewno czekał gdzieś ukryty, z rozbawieniem oglądając przedstawienie.

– Nie ma go tutaj – wyjaśnił Michael. – Jest niedaleko i musi być nieźle wkurzony, bo ukradliśmy mu połowę zaopatrzenia. Mam rewolwer, który zabrałem oficerowi, ale zostały mi tylko trzy kule, a ich jest pięciu. O ile któregoś już nie zjedli. Kiedy uciekliśmy z wyspy, było nas ośmiu. Towarzyszył nam młody chłopak z Kurska, nieszczęśnik zasłużył sobie na zesłanie tym, że przespał się z córką dowódcy czołgu. Był pierwszą ofiarą pozartą przez Igora i jego wilki. Głód tego stada jest niezaspokojony, więc kiedy zaczęli obsesyjnie przyglądać się Martinowi, uznaliśmy, że czas uciekać. – W słowach Michaela nie było śladu humoru czy sarkazmu. Relacjonował fakty bez emocji. – Prawdopodobnie i tak czeka nas śmierć, ale przynajmniej nie taka.

Elías spuścił wzrok, zawstydzony. Michael zauważył jego zachowanie, spojrzał kątem oka na dziewczynkę trzymaną przez Martina i zrozumiał, powstrzymał się jednak od komentarza. Podał Elíasowi papierosa i kazał mu zapalić. Każdy próbował przeżyć tak, jak potrafił.

Dwa dni później znów zobaczyli wilka. Szedł, kulejąc, jakieś dwieście metrów przed nimi. Widziany z daleka, przypominał pijaka, któremu ciężko utrzymać równowagę. Michael wydał z siebie radosny okrzyk, jednak żaden z nich nie tracił energii, żeby biec za ofiarą. Wystarczyło zaczekać. Czwartej nocy zwierzę padło na ziemię. Michael wyciągnął nóż i zanurzył go w jego gardle aż po trzonek.

– Mówią, że psie mięso jest trochę słonawe, ale nie smakuje źle, jeśli dobrze je piec. Poza tym wszyscy jedliśmy gorsze rzeczy.

Trzej mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Histerycznym, złym, mrocznym, który sprawił, że dziewczynka zamrugała, wystraszona i zdziwiona. Dzięki opiece Martina odzyskała trochę życia.

W sumie nie było tak źle. Gdyby ktoś patrzył na nich z nieba, zobaczyćby wątle ognisko pośrodku bezmiaru i skupioną wokół niego grupkę ludzi, jakby ta wiązka światła mogła zapewnić im bezpieczeństwo. A kilka kilometrów od nich – stado wilków posuwających się naprzód w ciemnościach, dwunożnych ludzkich wilków, które węsząc w powietrzu, szły śladem przypalonego mięsa. Z oddali życie musiało się wydawać czymś kruchym i zmiennym, ciągiem szczęśliwych trafów i niepowodzeń, na które bohaterowie nie mają wpływu. Chaotyczne istoty, równie zabłąkane jak spadające gwiazdy, iskry, które rozbłyskują, a po chwili gasną i nie zostaje żaden ślad po blasku rozświetlającym wcześniej ciemność.

Ale ci ludzie nie byli gwiazdami. Ich serca biły. Nie mówili o tym, co im ciąży, bo słowa były niezdarne i pełne pułapek, ukrywali różnice, spuszczać na nie zasłonę milczenia, bo chodziło o ich życie. Jeśli w krzyżujących się spojrzeniach były wyrzuty, poczucie winy czy oskarżenia, kierowali je w stronę hipnotyzującego ruchu płomieni. O świcie ponownie ruszali w drogę, pogodzeni z tym, że los nie leży w ich rękach, a jednocześnie pewni, że mimo wszystko łatwo się nie poddadzą. Walka była jedynym, co im pozostało. Walka bez powodu. Z Bogiem, z przyrodą, z samym sobą. Kiedyś w końcu wszystko nabierze sensu.

Zostawili za sobą resztki wilka, jego bebechy musiały wyschnąć już kilka tygodni temu. Wszyscy trzej na przemian nieśli na plecach dziewczynkę. Martin i Elías szli akurat na przedzie, Michael podązał kilka metrów za nimi z Anną na ramionach; jego krótkie, umięśnione nogi sprawiały, że przypominał

gnoma.

– Michael polubił małą – powiedział Martin. Patrzył w jakiś nieokreślony punkt, byle tylko uniknąć wzroku Eliása. Odkąd się spotkali, pierwszy raz rozmawiali na osobności. – Myślę, że postawił sobie za cel wyprowadzić ją stąd żywą, bo czuje się winny z powodu wszystkich podłości, których się dopuścił, odkąd nas zesłali, i tego, że wcześniej podpisał zeznania przeciwko tobie. Ocalenie jej stanowi swego rodzaju odkupienie. Myślisz, że odkupienie jest możliwe? Dobre uczynki wymazują występki?

Na twarzy Eliása zarysował się ironiczny uśmiech, jakby śmiał się z żartu, który był znany tylko jemu, albo z czegoś, co właśnie sobie przypomniał.

– Myślę, Martinie, że wszystkie nasze czyny pozostają na zawsze wypalone ogniem. Nie ma znaczenia, co zrobimy w przyszłości; to, czego dopuściliśmy się tutaj, będzie nam już zawsze towarzyszyło. Ale nie jestem księdzem; może kiedy to się skończy, będziemy mogli obmyć się święconą wodą i zobaczymy światło.

Myślał o Claudzie, o jego szarej agonii na brudnej barce, zakotwiczonej na tej przeklętej wyspie. Myślał, że jego przyjaciele nie zrobili nic, żeby mu pomóc. I myślał też, że wszystkie te refleksje nie mają teraz żadnego znaczenia.

Wtedy dokonał się cud. Nie był to rozżarzony węgiel ani rozstępujące się wody. Przybrał postać zwykłego, niepozornego słupa wbitego w ziemię. Siedzący na nim kruk obserwował ich z wysokości pięciu metrów. Zerwał się do lotu i usiadł na następnym palu, wbitym sto metrów dalej, za którym ciągnęły się kolejne, jeden za drugim, i niknęły w oddali. Te słupy zostały wbite przez ludzi, któregoś dnia miały doprowadzać prąd, linię telegraficzną albo telefoniczną do miejsca, gdzie żyją inne ludzkie istoty.

Ile czasu minęło? Żaden z nich tego nie wiedział. Dotarli na kraniec świata jak rozbitkowie, którzy nie wiedzą, gdzie wyrzuciło ich morze. Ale gdzieś dotarli. Nawet komary dały im spokój i odleciały z bzykiem czarną chmurą, kiedy pokonali tę niewidoczną granicę, niczym pionierzy, którzy przybyli osiedlić się na nieznanym terenie.

Pokonał ją także Igor Stern niespełna dzień później.

Elías przerwał swoją opowieść. Siedział z rękami wyciągniętymi na blacie biurka, jakby czekał, że ktoś go ocali. Ale byli tam tylko dziewczyna, która go doglądała, instruktor Wieliczko i jego pomocnik Srołow. Czuł zimno, wiedział, gdzie jest. Zacisnął zaczerwienione palce, wstał i kilkakrotnie okrążył pokój. Zatrzymał się przed niewielkim wizerunkiem Stalina w galowym mundurze, przytulającego gruzińskiego chłopca. Ojca socjalistycznych republik radzieckich. Wielkiego *chazjaina*, gospodarza kochającego swój lud.

Zamknął oko i przypomniał sobie noc, kiedy ostatni raz widział Annę. W myślach odsunął kosmyki opadające na czoło dziewczynki, musnął jej twarz. Poprosił ją, żeby założyła medalion, chciał zobaczyć, jak błyszczy na jej piersi, w której tylekroć niemal przestawało bić serce. Anna oparła głowę na jego ramieniu i pierwszy raz zobaczył na jej twarzy coś na kształt uśmiechu. Czysty medalion lśnił na jej brudnej skórze. Wyglądała jak księżniczka z powieści, które czytał jego ojciec. Jak prawdziwa rosyjska księżniczka.

– A widziałeś tu jakieś księżniczki? – zapytała go kiedyś Irina, gdy po tym, jak się kochali, porównał ją do postaci z powieści Gorkiego.

– Tak. Codziennie widzę ciebie.

– Tym jednym okiem?

Elías zdjął opaskę, pokazał Irinie pusty oczodół, przyłożył do niego jej palce i pozwolił, by go dotknęła.

– Tym jednym okiem.

Przez chwilę Irina trzymała palce na ciemnej bliźnie. Czuła pulsowanie krwi, która płynęła do oczodołu mimo braku oka.

– Czasami śnię, że to się skończy – powiedziała, odsuwając dłoń.

– To dobrze.

– Wcale nie.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo potem się budzę i wciąż tu jestem.

– Wyciągnę cię z tego koszmaru. Pojawi się lotnik w dwupłatowcu francuskiej poczty i odlecimy razem z nim.

– Jeżeli któregoś dnia ten sen się ziści, zabierz ze sobą moją córkę. Obiecuj mi to.

Obiecał.

Odwrócił się do Wieliczki, ściskając w dłoni medalion Iriny.

– Skądś pochodzimy, mamy przeszłość, w której byliśmy szczęśliwi. Tylko to się liczy. Dzięki temu możemy się odbudować... Tak mówiła Irina. A pan w to wierzy?

14.

BARCELONA, 9 WRZEŚNIA 2002 ROKU

Gonzalo kolejny raz sprawdził adres na wizytówce, którą zdobyła dla niego Luisa: „Tania Achmatowa, fotografka. Ulica Molino Nuevo 12, parter”. Jednak lokal, przed którym stał, nie był studiem fotograficznym, ale niewielką księgarnią. Napis na wypłowiej markizie głosił: „Księgarnia Karamazow”.

Mimo dyskretnej witryny wewnątrz było obszerne i jasne. Na stojącym pośrodku stole leżały ułożone w stosiki nowości wydawnicze. Nieliczne miały przyklejoną na okładce niebieską karteczkę z napisem „Księgarnia poleca”. Po prawej stronie znajdowała się lada z kasą, a za nią kącik z artykułami papierniczymi. Resztę sklepu, mającego formę korytarza zakończonego salką, z której prowadziły na piętro schody, zajmowały pomalowane na biało regały wypełnione książkami. Największy dział był w całości poświęcony literaturze rosyjskiej XIX i XX wieku; książki skrupulatnie uporządkowano według rozmiarów, wydawnictw, autorów i tematyki. Na jednej ze ścian wisiała olbrzymia litografia przedstawiająca Dostojewskiego. W strategicznych miejscach stały niewielkie fotele i niskie wiklinowe stoliki z wazonami kwiatów i magazynami literackimi. Pachniało czystością i porządkiem. W tle rozlegała się cicho *Noc na Łysej Górze* Musorgskiego – przenikliwe, ostre połączenie muzyki ludowej i kameralnej wirtuozerii.

Na schodach w głębi korytarza pojawiły się czerwone buty na niskim obcasie, a następnie białe kostki, poprzecinane niebieskimi żyłkami, i zwiewne falbanki szerokiej pomarańczowej spódnicy. Po poręczy ześlizgnęła się dłoń ozdobiona dużymi, krzykliwymi bransoletkami. Palce mogłyby należeć do pianistki, gdyby nie zbyt długie paznokcie.

– Mogę w czymś pomóc?

Gonzalo ze zdziwieniem przyjrzał się wysuszonej staruszce, która stała na najniższym stopniu, pochylając lekko plecy, żeby nie zawadzić głową o strop.

Była szczupła, ale niska, a raczej skurczona, ubrana w zwiewną białą bluzkę, pasującą do jej twarzy, ożywionej delikatnym makijażem, i jej oczu w kolorze wodnistego błękitu, niemal szarych, ukrytych za modnymi okularami, trzymającymi się na rzemyku. Krótkie śnieżnobiałe włosy z elegancką grzywką w kształcie spienionej fali błyszcząły niczym uśmiech. Mogła mieć sto lat, a mimo to sprawiała wrażenie, jakby dopiero co przyszła na świat. Na jej widok Gonzalo poczuł znajome ciepło, skojarzyła mu się z popołudniami spędzonymi przed kominkiem z kubkiem herbaty w dłoni, z upajaniem się z zamkniętymi oczami taktami Musorgskiego czy rozkoszowaniem się lekturą Czechowa.

– Szukam studia fotograficznego Tani Achmatowej, ale chyba źle trafiłem.

Staruszka podeszła lekkim krokiem. Miała ściągnięte ramiona, jakby stale czuła na plecach powiew zimnego powietrza. Przyglądała się nowo przybyłemu badawczym wzrokiem, jak gdyby skądś go znała, jakby chciała zaprosić go, by usiadł w jednym z fotelików i opowiedział jej o swoim życiu. Należała do osób, które sprawiają, że myślimy, iż przy nich nie może nas spotkać nic złego.

Wrażenie, że skądś zna tę staruszkę, że otaczająca ją aura nie jest mu obca, nie zniknęło. Wręcz przeciwnie, wzmożło się, gdy poczuł jej delikatne jaśminowe perfumy i usłyszał cichy szelest jej spódnicy.

– Dlaczego myśli pan, że źle trafił? Czy nie ten adres widnieje na wizytówce, którą pan trzyma?

Odpowiedź zbiła Gonzala z tropu, podobnie jak towarzyszący jej chichot. Wydawało mu się, że staruszka z niego kpi, ale może po prostu śmiała się z jakiegoś własnego żartu, którego on nie był w stanie pojąć.

– Spodziewa się pana?

Gonzalo odparł, że nie. Kobieta znów figlarnie zachichotała. Zmarszczki na jej twarzy ułożyły się w sposób przydający jej uroku. Musiała być kiedyś wielką pięknoscią, w pewien sposób nadal nią była.

– Studio Tani jest na górze. Proszę wejść, ale jeśli zobaczy pan nad drzwiami czerwoną lampkę, niech pan najpierw zapuka i zaczeka. Tania nie lubi niespodziewanych wizyt.

Palila się czerwona lampka. Gonzalo zapukał i zaczekał. Po kilku minutach usłyszał kroki. Drzwi się otworzyły. Tania zamruwała oczami, jakby wyszła

z mroku i przez chwilę oślepiało ją słońce.

– Czytelnik Majakowskiego – powiedziała, kiedy jej oczy przywykły do światła.

Gonzalo przytaknął. Nagle dostrzegł niesamowite podobieństwo między fotografką a staruszką z księgarni. Wystarczyło przeskoczyć w wyobraźni trzydzieści, czterdzieści lat, by zdać sobie sprawę, że Tania będzie wyglądała jak ona. Może jest jej córką? Albo wnuczką?

– Moja sekretarka dała mi twoją wizytówkę – powiedział w charakterze niezdarne go powitania.

Po obejrzeniu nagrania z monitoringu zastanawiał się, jak przebiegnie to spotkanie, co ma powiedzieć, co zrobić. Zaplanował je co do sekundy, ale nie przewidział, że będzie stał jak głupi z wizytówką w drżących palcach, przełykając ślinę niczym zdenerwowany, onieśmielony nastolatek.

– Właśnie widzę – powiedziała Tania, spoglądając na wizytówkę ze znużoną miną. Musiała niedawno palić, bo spowijał ją jeszcze zapach jasnego tytoniu. Chyba też piła, niedużo, ale coś mocnego. Miała lekko zaczerwienione oczy, może z rozespania albo lekkiego zmęczenia, a może płakała z powodu jakiejś nieprzyjemności. Pogładziła się po wytatuowanym na karku motyłu i poruszyła delikatnie szyję, jakby jej zeszywniała. Jej szczupłe, ozdobione pierścionkami palce wzmocniły jeszcze wrażenie Gonzala, że jest bardzo podobna do staruszki.

– Przyszedłeś na sesję fotograficzną? – Pytanie zakładało przeczącą odpowiedź. Zdawało się mówić: „Nawet ja nie zdołam poprawić twojego wyglądu, w tym garniturze, z tą fryzurą”.

– Tak naprawdę – wybąkał Gonzalo – miałem nadzieję, że moglibyśmy porozmawiać o tym, co wydarzyło się na parkingu w dniu, kiedy zostałem napadnięty. Myślę, że przede wszystkim powinienem ci podziękować.

Tania zmarszczyła idealnie wyprofilowane brwi i wykrzywiła usta, jakby wbił jej się w palec cierń.

– A potem chciałbym cię zapytać, dlaczego zniknęłaś, zanim przyjechała policja.

Tania wbiła wzrok w podłogę, zamyślona. Nie wyglądała na zaskoczoną, jakby rozumiała, że jego wizyta w tym miejscu była nieunikniona, albo jakby jej pragnęła, ale jeszcze nie teraz, bo nie była na nią gotowa. Cmoknęła i przeniosła spojrzenie na twarz Gonzala.

– Napiłabym się piwa, a ty?

Flight, mały bar w podziemiach starej części miasta, był niemal pusty. Ściany z czerwonej cegły stanowiły pozostałości rzymskiego muru. Padające z góry światło tworzyło intymne wysepki za podstawami kolumn, które architekt musiał zachować, aranżując wnętrze lokalu. Uwagę Gonzala zwróciły oprawione w ramki wycinki z rosyjskich gazet z okresu drugiej wojny światowej i wiszące wszędzie zdjęcia bohaterów i żołnierzy. Niektóre były anonimowe, przedstawiały pola walki, aerodromy, artylerzystów pozujących przy działach i lotników obejmujących uśmiechnięte dziewczyny, na innych widnieli znani pułkownicy i generałowie Armii Czerwonej. Na ścianie wisiał także duży portret olejny Stalina w mundurze marszałka. Dekoracje kontrastowały z nowoczesnym umeblowaniem i małą sceną w głębi lokalu, tworząc osobliwą, ale przyjemną dla oka całość.

Tania nie musiała niczego zamawiać. Właściciel przyniósł im dwa piwa i miseczkę chipsów. Był to stary mężczyzna, może ponadsiemdziesięcioletni, zachował jednak młodość i świeżość w wyrazie twarzy i niebieskich oczach, emanujących dobrocią. Czule pocałował Tanię w policzki i przez dłuższą chwilę przyglądał się Gonzalowi, aż wreszcie posłał mu przelotny uśmiech.

– Zły dzień? – zapytał, wskazując ślady na jego twarzy, które powoli zanikały. Miał twardy akcent, przeżuwał słowa i wypluwał je w postaci gęstej hiszpańszczyzny.

– Nie gorszy od innych.

Staruszek i Tania wymienili spojrzenia. Dziewczyna wzruszyła ramionami, a mężczyzna oddalił się z przewieszoną przez plecy ścierką.

– Chciał tylko być dla ciebie miły – zganiła Gonzala Tania.

Skóra staruszka cuchnęła zjełczałym potem i smalcem, chociaż nie miało to nic wspólnego z higieną.

– Przepraszam, że o to pytam, ale... dlaczego on tak cuchnie?

Tania się uśmiechnęła. Z czasem przywykła do tego zapachu, nie musiała już odwracać twarzy.

– To ze strachu – powiedziała szeptem.

Gonzalo spojrzął na nią pytająco.

– Spędził wiele lat w obozach dla więźniów. Walczył z oddziałami Hitlera, kiedy najechały na Białoruś, i dostał się do niewoli podczas pierwszej ofensywy. Deportowano go do obozu niedaleko Warszawy, a kiedy

w czterdziestym piątym obóz wyzwoliła Armia Czerwona, został skazany za zdradę i zesłany do gułagu na Syberii. Zdaniem rosyjskich władz nie walczył z wystarczającym zapałem. To, że przeżył, było niepodważalnym dowodem jego tchórzostwa. Spędził na Syberii dwanaście lat. Od tamtej pory tak cuchnie. Strachem. Przeniknął przez pory jego skóry, nadal go wypaca.

– A te wszystkie dekoracje wychwalające Armię Czerwoną? I portret Stalina? Nie powinien ich nienawidzić?

Tania spojrzała z czułością na staruszka, który obsługiwał przy barze dwóch chłopaków. Może i życie wycięło mu kilka nieprzyjemnych numerów, ale kompensował je dobrotliwym uśmiechem od ucha do ucha i nienagannym wyglądem. Emanował naturalną dobrocią osób, które wolą widzieć same pozytywne strony życia i w ten sposób się bronią.

– Ma potrzebę wierzyć, że wszystko, co go spotkało, miało jakiś sens. Był komisarzem politycznym, rozumiesz? Nawet podczas pobytu na Syberii nie chciał się wyrzec swojej przeszłości. Uważał, że to by było jak wyrzeczenie się własnego życia. Zapewniam cię, że nie znajdziesz równie zagorzałego komunisty jak Wasilij Wieliczko.

– Skąd go znasz?

– To stary przyjaciel mojej matki. Dla mnie jest jak wujek.

– Staruszka z księgarni to twoja matka?

Tania przyglądała mu się długo, zanim przytaknęła. Jej spojrzenie przeszło Gonzala, ścisnęło mu serce, które waliło, dopóki wzrok Tani nie postanowił go uwolnić.

– Na twoim miejscu nie nazywałabym jej staruszką. Mogłaby ci nieźle przyłożyć.

– Podoba mi się jej księgarnia – powiedział z uśmiechem Gonzalo.

– Będzie zadowolona, kiedy się dowie. Także z tego, że lubisz Majakowskiego. To jej ukochany poeta, to ona nauczyła mnie go czytać – powiedziała, wskazując wiszące nad swoją głową zdjęcie.

Gonzalo skupił wzrok na fotografii za błyszczącym szkłem. Przedstawiała Majakowskiego niedługo przed tym, jak do siebie strzelił, zostawiając niedokończony wiersz. Gonzalo poczuł głębokie wzruszenie, które przeszło mu ciało niczym dreszcz. Zobaczył Laurę siedzącą na podłodze w kuchni z otwartą książką i deklamującą po rosyjsku wiersze Majakowskiego. Kiedy się myliła, matka bezceremonialnie ją poprawiała.

To wspomnienie sprawiło, że przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– Dlaczego odeszłaś, nie czekając, aż zjawi się policja? – zapytał, wracając do nagrania.

Tania mlasnęła językiem. Gonzalo patrzył, jak próbuje oderwać etykietkę od butelki z piwem.

– Zatem należysz do osób, które zawsze dopatrują się u innych ukrytych intencji. – Spojrzała na niego innym wzrokiem, z odrobiną nadziei.

– Widziałem nagranie... W całości. Całą sekwencję.

– To szczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat byłam wtedy w samochodzie – przyznała.

Gonzalo nadal jej się przyglądał, zadając sobie pytanie, dlaczego niektóre osoby wydają się nam atrakcyjniejsze niż inne. Może to kwestia skóry, tak zwanej chemii? Tyle że Tania nigdy go nie dotknęła, ich ciała w żadnym momencie się nie musnęły, a mimo to czuł się naelektryzowany. Kilkakrotnie fantazjował na temat przypadkowych klientek kancelarii, jakiejś kelnerki, aktorki filmowej, nawet znajomej z osiedla, którą spotykał rano w kiosku, ale szybko mu przechodziło i nigdy nie rozważał poważnie możliwości zdradzenia Loli. Aż do tej pory żadna kobieta nie wzbudziła w nim prawdziwego pożądania, mocnego pragnienia, by je zaspokoić. Może czekał, aż znajdzie taką, która nie okryje go całunem wątpliwości i wyrzutów sumienia. I oto właśnie ta kobieta siedziała teraz przed nim, kłamiąc bez mrugnięcia okiem.

– Od dawna byłaś na parkingu. Przewinałem taśmę, widziałem, kiedy się pojawiłaś.

Tania przyjęła tę informację naturalnie, nie tracąc pewności siebie. Powinna była przewidzieć, że na parkingu są kamery, ale nie przyszło jej to do głowy. Poczła pewną ulgę.

– Nie wiem, czy powinieneś drążyć ten temat – powiedziała, przypominając sobie ostrzeżenie matki.

– Pozwól, że ja o tym zdecyduję.

Tania wzruszyła ramionami.

– Zaciekawileś mnie w dniu, kiedy widzieliśmy się na balkonie; spodobał mi się twój komentarz na temat Majakowskiego i sposób, w jaki patrzyłeś nieobecny wzrokiem na ulicę. Kiedy tamtego dnia zeszłam na parking, rozpoznałam twój samochód i poczułam nagłą potrzebę, żeby do niego podejść. Ludzie zostawiają w samochodach część samych siebie, która wiele o nich mówi: książkę, płytę kompaktową, monety w popielniczce czy paczkę papierosów schowaną pod fotelem kierowcy.

Gonzalo zastanowił się, jakich informacji dostarczają o nim tego rodzaju rzeczy i jak postrzega go Tania. Nie zamierzała mu tego powiedzieć, a on na razie nie chciał pytać, skąd wiedziała, że jeździ terenówką.

– Kiedy zaatakował mnie Atxaga, miałem ze sobą torbę z laptopem, a może kilka sekund wcześniej zostawiłem ją w samochodzie, nie pamiętam dokładnie. Problem w tym, że laptop zniknął, a jest dla mnie bardzo ważny. Kiedy przyjechała policja, już go nie było.

Tania dopiła piwo, zastanawiając się, czy warto zamówić kolejne, czy też lepiej szybko zakończyć tę rozmowę. Zdawało się, że wytatuowane na jej szyi motyle skrzydła poruszają się powoli, gotowe do lotu. Gonzalo odniósł wrażenie, że dziewczyna patrzy na niego w taki sam sposób, jak staruszka z księgarni, jakby widziała w nim coś śmiesznego.

– Można powiedzieć, że ocaliłam ci życie, a tymczasem ty bezczelnie oskarżasz mnie o kradzież. Ładne mi podziękowanie. Skoro widziałeś nagranie, to znasz odpowiedź.

Gonzalo rzeczywiście przejrzał nagranie klatka po klatce, obsesyjnie poszukując laptopa. Po tym, jak Atxaga uciekł, Tania próbowała mu pomóc, jedną ręką zatykając ranę, a drugą wybierając numer pogotowia. Została przy nim do chwili, aż zobaczyła błysk koguta karetki. Wtedy dyskretnie zniknęła. Większość nagrania była jednak nieostra, kamera wisiała pod takim kątem, że tylko połowicznie obejmowała miejsce napadu. Znaczna część obrazu była zaciemniona albo pokazywała inny fragment parkingu.

– O nic cię nie oskarżam, oczywiście, że nie. Zastanawiałem się tylko, czy widziałaś jeszcze kogoś na parkingu.

Tania zmrużyła powieki. Ciągący się na zachód horyzont, pomyślał Gonzalo. Nieoczekiwanie wstała od stolika.

– Już późno, mam sporo roboty.

Gonzalo także podniósł się z krzesła.

– Nie chciałem cię urazić.

Tania posłała mu niemal wyrozumiałe spojrzenie. Uważała, że niektóre osoby znajdują się w miejscach, do których nie należą, jakby przez przypadek trafiły do cudzego życia. Gonzalo wydawał się jedną z nich. Chciał ją odprowadzić, ale powiedziała mu, że takie szarmanckie gesty nie robią na niej wrażenia.

– Zostań i dopij swoje piwo.

Patrzył, jak wychodzi, z potarganymi włosami i wyprostowaną wytatuowaną

szyją, jej ciało kołysało się pod ubraniem, jak gdyby jej dzika natura nie godziła się na żaden rodzaj ujarznienia. Był przekonany, że Tania go okłamała albo nie powiedziała mu całej prawdy. Wiedział także, że nie ma to dla niego znaczenia. Chciał jedynie móc ją jeszcze zobaczyć.

Dopiero po kilku minutach zdał sobie sprawę, że właściciel Flighta uważnie mu się przygląda.

Mieli załatwione wszystkie zezwolenia, wize, lokalnego przewodnika, hotele i opracowane trasy. Dwudziestopięciodniowa wycieczka po trzech afrykańskich krajach z grupą dwunastu turystów wymagała starannych przygotowań, ale Carlos dobrze się spisał. Chłopak był zadowolony z siebie. Lola przyglądała mu się ukradkiem, kiedy pokazywał jej na rozłożonej na biurku mapie ewentualne trasy. Jego twarz o ostrych rysach rozjaśniała się, kiedy szczegółowo opisywał atrakcje turystyczne, jakie ich czekają. Lola pomyślała złośliwie, że dla jakiejś z klientek, które wykupiły wycieczkę, na pewno atrakcją będzie on. Łatwo dawała się ponieść wyobraźni.

– Wykonałeś wspaniałą robotę – powiedziała, dotykając jego ramienia i pozostawiając na nim dłoń sekundę dłużej, niż było to konieczne, podniecona sceną, którą właśnie sobie wyobraziła. Carlos spojrzał na nią znacząco. Do tego stopnia, że zawstydzona cofnęła rękę.

„W co ty pogrywasz?”, pomyślała. W jej życiu panuje chaos, a ona, tylko po to, żeby oderwać się od tego, co ją dręczy, flirtuje z chłopakiem, który bardziej niż oczywistymi podchodami (spojrzenia, niestosowna poufałość, komentarze z zawołowaną zachętą) pokazuje jej, że jest gotów posunąć się nieco dalej, jeżeli tylko mu na to pozwoli.

– Jak sytuacja w domu? – zapytał Carlos z troską, której nie odczuwał.

Lola popełniła błąd i któregoś dnia zwierzyła mu się ze swoich kłopotów, a teraz, kiedy ją o nie pytał, czuła się niezręcznie. Wpadła w pułapkę uzalania się nad sobą i robienia z siebie ofiary, czym tak gardziła, podobnie jak niepisana zasada dla kobiet w jej wieku, zgodnie z którą umarł król, niech żyje król, a im więcej substytutów, tym lepiej. Ale ona taka nie jest, powtórzyła w myślach, zła na samą siebie. Nie potrzebuje pocieszenia ani zrozumienia od żadnego młodzieniaszka. Ma problemy i potrafi je rozwiązać – to wszystko. A jednak tuż po tym, gdy Gonzalo wyprowadził się z domu, kiedy Carlos zaprosił ją na lunch, żeby dopiąć przygotowania do wycieczki, przy deserze

zaczęła mu się mimowolnie wyplakiwać i gorzko uskarżać na swoje życie, wymieniając prawdziwe i zmyślane krzywdy, jakich doznała w małżeństwie. Carlos ścisnął na stole jej rękę, chętny i gotowy.

– W porządku, miło, że zapytałeś.

Przesadnie oschły ton, kontrastujący z dłonią spoczywającą wcześniej na jego ramieniu, zbił chłopaka z tropu – nie wiedział, jakie miejsce zająć w tych utarczkach, które Lola toczyła sama ze sobą. Wybrał rozważny odwrót. Potrafił czekać.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Lola nawet mu nie podziękowała. Nagle zabrakło jej silnej woli. Musiała natychmiast przekłuć tę bańkę. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, było to, żeby ten chłopak plątał jej się pod nogami.

– A jak tam Javier? – zapytała, oddając desperacki strzał. Nawiązanie do syna było sposobem na przywrócenie właściwego porządku, przypomnienie Carlosowi i sobie samej, kto jest kim.

Twarz Carlosa zasnuła się cieniem, kiedy wyłowił przesłanie. Zaczął starannie składać mapę.

– Ostatnio rzadko się widzimy.

– Wiesz, czy ma dziewczynę albo czy spotyka się z jakąś koleżanką?

Carlos wybuchnął w duchu głośnym śmiechem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pytasz?

– Jest bardzo rozkojarzony, nieobecny, prosi mnie o większe sumy. Może na kolacje, hotele, drinki...

Javier stał się dla Carlosa balastem. Jego sceny zazdrości zaczynały go męczyć. Już nie kompensowało ich to, co mógł od niego wyciągnąć. Teraz miał inny cel.

– Jesteśmy przyjaciółmi, mam nadzieję, że nie prosisz mnie, żebym został twoim informatorem. Wydaje mi się, że to nie fair donosić na kolegę jego matce.

Lola założyła włosy za uszy. Czowała się lekko zawstydzona, zrozumiała, że ton tej rozmowy rani dumę Carlosa.

– Tak, oczywiście. Ale Javier jest taki małomówny, gdyby miał jakiś problem, na pewno w pierwszej kolejności zwróciłby się z nim do ciebie, nie do mnie.

– Spokojnie, powiedziałbym ci, gdyby coś było nie tak.

Lola skinęła głową. Ciężka atmosfera sprzed kilku minut wyparowała

i chociaż jakaś jej część przyjęła to z wdzięcznością i ulgą, inna żałowała, że tak się stało.

Tego ranka umówiła się z Gonzalem na obiad. Zadzwoiła do kancelarii, ale odebrała Luisa, jego asystentka. Nie lubiła tej dziewczyny o niewyparzonej gębie i czasem bezczelnej.

– Przekażę mu wiadomość, ma teraz spotkanie z klientem.

Wcale tak nie było. Mimo nowego szyldu na balkonie i świeżo zasadzonego geranium rzeczywistość z każdym dniem pozbawiała ich złudzeń. Godziny mijały w ciszy. Gonzalo był pochłonięty własnymi sprawami, a Luisa zaczęła już przeglądać oferty pracy i wysyłać swoje CV.

Gonzalo nie mógł mieć do niej o to pretensji. Za kilka tygodni skończą mu się oszczędności i będzie musiał zamknąć kancelarię. W ciągu ostatnich dni jego teść podjął próby zbliżenia, starając się przemówić mu do rozsądku. Stary mógł rozewrzeć pięść, którą ścisnął go za szyję, wystarczy, że się cofnie, że jeszcze raz przemyśli swoją decyzję. Nie musi traktować tego jak porażki, ale jako dowód mądrości – tylko inteligentni ludzie uczą się na błędach. Tyle że mądrość nie była mocną stroną Gonzala Gila.

Lola i Gonzalo usiedli naprzeciw siebie w posępnych nastrojach, targani rozterkami. Nie mieszkali razem zaledwie od kilku dni, a już dzieliła ich przepaść. Trudno im było na siebie patrzeć, znaleźć tematy do rozmowy inne niż standardowe pytania o dzieci i standardowe odpowiedzi. W ich głowach krążyło za dużo myśli – oczywistych, choć nie wypowiedali ich na głos – które paraliżowały wszelkie próby zbliżenia.

– W ten weekend mój ojciec chce zabrać Javiera i Patricię do posiadłości w Cáceres. Może skorzystam z okazji, żeby trochę odpocząć. Moglibyśmy pojechać gdzieś razem, wynajmując pokój w tym hoteliku w S’Agaró.

Gonzalo nawet jej nie słuchał. Skupił całą uwagę na mężczyźnie siedzącym przy jednym ze stolików w głębi sali. Wszedł razem z Lolą i dyskretnie trzymał się z boku, nie spuszczał jednak oczu z drzwi. Był jednym z ludzi Alcázara, których jego teść opłacał, żeby chronić swoją rodzinę. To sprawiło, że poczuł się lepiej, zyskał świadomość, że przynajmniej oni są bezpieczni. Jeśli chodzi o niego, stary odebrał mu ochronę, gdy tylko wyszedł ze szpitala. Od czasu do czasu zaglądał do niego Alcázar, opowiadał mu o postępach w poszukiwaniach Atxagi (bezowocnych) i z umiarkowanym

zainteresowaniem pytał, co u niego. Tak naprawdę były inspektor odwiedzał go tylko po to, żeby wysondować, co wie o Matriosce, i wyciągnąć od niego informacje. Odkąd Gonzalo zasugerował, że ma dowody pozwalające na wznowienie śledztwa prowadzonego przez Laure, Alcázar wyglądał na podenerwowanego. Prawnik podejrzewał, że poszukiwania Atxagi przyspieszyłyby gwałtownie, gdyby zgodził się z nim współpracować.

– Jak do tego doszło? – szepnął, zerkając z ukosa na ochroniarza.

Godzinę później Gonzalo zadawał sobie to samo pytanie w swoim wynajętym mieszkaniu, nie rozumiejąc dokładnie, co się wydarzyło po tym, jak wypowiedział to zdanie, rzucone w próżnię niczym sonda szukająca śladów życia na innych planetach. Lola ścisnęła go mocno za rękę, powtarzając znane mu już argumenty. Mogą zacząć od nowa, mają dwójkę cudownych dzieci i wciąż się kochają. Ona go kocha, podkreśliła z poruszającą desperacją. To właśnie w tym momencie, kiedy ścisnęła go za palce, a on patrzył na jej paznokcie pomalowane na intensywnie czerwony kolor, zdał sobie sprawę, że już dłużej nie wytrzyma. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Przez kilka sekund patrzył, jak płomień zapalniczki przesuwają się w stronę jego palców. Potem podniósł wzrok i zobaczył zmienioną twarz Loli, jej rosnącą konsternację.

– Co robisz? Przysięgałeś mi, że rzuciłeś palenie.

Deklaracją zamiarów, dziecięcym buntem, który nie pozostawia możliwości odwrotu – tym właśnie było wypuszczenie pierwszego obłoku dymu. Wtedy jej powiedział. Z raniącą oziębłością zrelacjonował jej ze szczegółami, co widział tamtego popołudnia przed osiemnastu laty, wymienił jeden po drugim najdrobniejsze detale, które nieraz odtwarzał w myślach.

– Mam świadomość, że to nie ja spłodziłem Javiera. Zaszłaś w ciążę z tamtym gościem, nie wiem, jak długo trwał wasz romans, może była to tylko jednorazowa przygoda, to bez znaczenia. Długo czekałem, że wyznasz mi prawdę, tyle samo, ile zajęło mi zdobycie się na odwagę, żeby powiedzieć ci to, co mówię teraz. Wiem o wszystkim. Wiedziałem od chwili, kiedy zobaczyłem Javiera w inkubatorze.

Lola siedziała nieruchomo, jakby była martwa, z zaskoczeniem obserwując fale papierosowego dymu. Zrobiła coś niespodziewanego – wzięła papierosa z rąk Gonzala i z wprawą głęboko się zaciągnęła, zamykając oczy.

– I co zrobimy z tym, co wiemy? – zapytała.

Wciąż bolał go jej wyraz twarzy, pierwszy raz odartej ze wszystkich masek, jej bezpośrednie, szczere spojrzenie. Nagie i bezlitosne. Nie prosiła o wybaczenie, nie próbowała się tłumaczyć. Po prostu zabrała mu papierosa, jak on pogodzona z tym, że kłamstwa się skończyły. W porządku, mówiły te oczy, ta zawieszona w powietrzu dłoń z niedopałkiem między palcami, ty zerwałeś umowę, nie ja. Co teraz?

Gonzalo wstał od stołu, jakby osoba, która na niego patrzyła, była oszustką.

– Nie wiem, Lolu.

Wiedział, że wymówił te słowa, ale czuł się tak, jakby tak naprawdę nic się nie wydarzyło. W połowicznie umeblowanym salonie rozbrzmiewały dźwięki saksofonu Charliego Parkera – *Perdido*. Uwolniony od obietnicy, wypalił pół paczki papierosów. Kupił gin i parę butelek toniku. Chińczyk prowadzący sklep myślał, że źle go zrozumiał. On nie pił, on nie palił. Mecenas Gonzalo Gil zawsze zachowywał się tak, jak od niego oczekiwano, zawsze robił zaskoczoną minę na urodzinowych przyjęciach. Chińczyk podał mu butelkę z pesymistyczną miną kogoś, kto ogląda z pierwszego rzędu upadek cywilizacji.

– Wyglądasz okropnie i śmierdzisz tanim alkoholem.

Gonzalo prowadził powoli, ukryty za ciemnymi okularami. Nie ogolił się i pierwszy raz od wielu lat pojawił się w domu opieki bez krawata.

– Ty za to, mamó, wyglądasz świetnie.

Jak każdej niedzieli zaparkował przed kwaciarnią i pozwolił, żeby matka posprzeczała się ze sprzedawczynią o kwiaty, które zawiozą na grób nad jeziorem. Miał strasznego kaca, ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał z minionej nocy, było to, że zwymiotował, spiesząc do umywalki, i zapaskudził wszystko po drodze. Miał niejasne wrażenie, że długo siedział na podłodze i płakał, głaszcząc medalion ze zdjęciem Iriny, podczas gdy saksofon Parkera zachęcał go, by czuł się jak skończony dupek. Kiedy o świcie zadzwonił budzik, leżał na podłodze z obolałą szyją i straszliwie cuchnącym ubraniem. Żałosny widok.

– Można wiedzieć, co ci jest?

Tym razem matka wybrała niecierpki afrykańskie, obsypane kwiatami w żywych kolorach i o słodkim zapachu. Nazwa przywiodła Gonzalowi na myśl Siakę i historie o jego kraju, które mu opowiadał, kiedy odwiedzał go

w hotelu, gdzie się ukrywał. Wbrew przewidywaniom Gonzala nie uciekł po tym, jak zniknął laptop, i chociaż starał się za często nie opuszczać hotelu, tryskał optymizmem, którego prawnik nie był w stanie pojąć. Gonzalo powiedział mu o spotkaniu z prokuratorem i jego odpowiedzi: bez dowodów nie ma śledztwa. A dowody były w laptopie.

– Znajdziesz go, zobaczysz.

On nie był tego taki pewny.

– Gonzalo...?

Zerknął kątem oka na matkę. Założyła czarną sukienkę i upięła włosy wsuwkami. Pachniała mydłem do rąk i perfumami o świeżym zapachu. Gonzalo miał wrażenie, że jedyną niepodważalną oznaką jej starości są zmarszczki wychodzące zza obwisłych płatków uszu, ozdobionych dwiema sztucznymi perełkami.

– Poznałem pewną dziewczynę. Nazywa się Tania, jest Rosjanką. Widziałem przez chwilę jej matkę i wydawało mi się, że skądś ją znam. W pewnym sensie mi ją przypominasz.

– Starzy ludzie się zamazują, zanikają niuanse i w końcu stajemy się do siebie podobni. Gdybyś widział osoby, z którymi mieszkam w ośrodku – te same niedomagania, te same spojrzenia i te same rozmowy. Pokazujemy sobie tabletki i recepty, jakbyśmy wymieniali się naklejkami.

Esperanza była w dobrym humorze; tego ranka obecność śmierci rozjaśniła jej umysł, przypominając, że ona także czeka w kolejce. To, co innym wydawało się przerażające, dla niej było logicznym znakiem nieuniknionego. Odpoczynkiem. O świcie pielęgniarze weszli do sąsiedniego pokoju. Esperanza pisała, kiedy usłyszała dobiegający zza ściany płacz. Znała ten rodzaj zawodzenia, mimo to wyjrzała na korytarz, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Dyżurny lekarz pocieszał jakiegoś mężczyznę, poklepując go po ramieniu. Chwilę później pielęgniarze wynieśli z pokoju nosze przykryte prześcieradłem, pod którym odznaczało się ciało jej sąsiadki.

Rzadko z nią rozmawiała, wołała nie nawiązywać przyjaźni, które długo nie potrwają. Wszyscy trafiali tam w tym samym celu, mieli tego świadomość i godzili się z losem. Ostatni przystanek. Przedstawiali się sobie, opowiadali o swoich dzieciach, o przeszłości i nikt nie przejmował się zbytnio, czy to, co mówią inni, jest prawdą czy kłamstwem. Obowiązywała wolnoamerykanka, nikt nie żądał świadectwa autentyczności, potwierdzającego ich wersje życia, które kiedyś wiedli. To wrażenie tymczasowości było wspólnym

mianownikiem relacji między mieszkańcami ośrodka. Z tego powodu po jakimś czasie zaczynały im przeszkadzać wizyty bliskich. Sprawiały, że nabierali nadziei; stanowiły dowód na to, że poza tymi murami i ogrodami życie toczy się dalej.

Nie mogła się powstrzymać i kilka godzin później weszła do tego pustego pokoju. Usiadła na krześle przy stelażu łóżka bez materaca. Zmieniano je za każdym razem, kiedy ktoś umierał. Jakby śmierć była zaraźliwą chorobą. Potem wróciła do swojego pokoju i wyciągnęła listy, które pisała do Elíasa. Czytała je przez długi czas; zdziwiło ją, że ostatni pochodził z 1938 roku. Zbyt wiele lat milczenia. Bez zastanowienia zabrała się za pisanie kolejnego, już bez młodzieńczego wzruszenia, ale ze spokojem osoby, która wie, że zostało do powiedzenia tylko jedno.

„Ukochany, oboje o tym wiemy – to będzie ostatni list...”

Matka i syn dopełnili coniedzielnego rytuału. Działka i dom znajdowały się teraz pośrodku ziemi niczyjej, otoczone palami, słupkami ostrzegawczymi i maszynami budowlanymi. Esperanza, zafascynowana tym absurdalnym spektaklem – burzeniem czegoś pięknego, by wybudować parodię tego samego krajobrazu – obserwowała kursujące nad jeziorem ciężarówki, wiodąc wzrokiem za chmurami pyłu, jakie wzbijały. Jej mały zakątek na razie ocalał, ale wkrótce i on zostanie wchłonięty przez zlepek pól golfowych, szeregowców z ogródkami i luksusowej infrastruktury.

– Kiedy sprowadziliśmy się tu w latach pięćdziesiątych, nie było nawet drogi. Twój ojciec musiał schodzić do tartaku w dolinie przez góry i wracać tą samą trasą, kiedy było już ciemno.

Gonzalo słyszał wcześniej tę historię, ale tym razem wyczuł, że matka nie przywołuje jej z nostalgią, ale z rezygnacją, jakby pogodzona z losem. Cieszyła się, że przeżyła tamte chwile, ale przyjęła do wiadomości, że należą do przeszłości. Wydawała się wyzwolona.

Esperanza powoli podeszła do kopczyka ziemi pod figowcem. Gonzalo pomógł jej wyrwać chwasty i zastąpić stare, uschnięte kwiaty nowymi. Pomyślał, że nadszedł moment, by powiedzieć matce, że nie sprzeda swojej części domu i że ona powinna pójść w jego ślady. Spodziewał się, że ucieszy ją ta wiadomość, ale Esperanza pokręciła powoli głową, głaszcząc suchą ziemię mogiły.

– Jego tutaj nie ma. Nigdy go nie było i to prawda, że już nie wróci. To wszystko – powiedziała, obejmując spojrzeniem dom, dolinę i widoczne w głębi jezioro – to tylko marzenie, którego się czepiałam. Już więcej tu nie przyjadę, nie będę dłużej czekać. Jestem zmęczona.

To właśnie napisała Elíasowi w ostatnim liście. Żegnała się, bez żalu i emocji.

Spojrzała na syna i pomyślała, że jego losy mogły potoczyć się inaczej, stanowiły jednak konsekwencję wcześniejszych czynów. Była z niego dumna, mimo świadomości, że jego życie zostało wzniesione na kłamstwach. Rozumiała, co chce zrobić, jego buntowniczą, nierozważną decyzję, by stawić czoła całemu światu z powodu kawałka ziemi, który nie miał żadnej wartości. W sumie był taki sam jak Laura. Oboje odziedziczyli waleczny charakter po ojcu. Nie przeszkodzi mu w tym. Jeżeli chce walczyć o swoją tożsamość ze znienawidzoną rodziną żony, może mu jedynie przyklasnąć. Ale to jest walka jej syna, nie jej.

– Jeżeli nie kochasz swojej żony, zostaw ją teraz, masz jeszcze czas. Nie warto poświęcać życia komuś, kto nigdy nie odwzajemni twojego uczucia.

Gonzalo pogłaskał Esperanzę po policzku; jej skóra przypominała papier ścierny. Pod tą skórą i pod jej słowami wypowiedzianymi bez patosu, z naturalnością, która nie dopuszczała żadnego fortelu, kryła się mądrość matki, umiejącej patrzeć i słuchać. Przez lata widziała, jak jej syn staje się nieszczęśliwy, odcina od korzeni, żeby zostać zaakceptowany przez ludzi, dla których zawsze, niezależnie od tego, jak by się starał, pozostanie obcy. Cena, którą zapłacił, była zbyt wysoka: rozmył się, stracił swoją istotę albo ukrył ją tak, by wydawało się, że faktycznie zniknęła, i w końcu zamienił się w coś nieszkodliwego, bez charakteru. Mimo to nigdy nie stał się jednym z nich. Esperanza boleśnie przeżyła zdradę Laury. Najpierw ten artykuł obalający mit, jaki otaczał postać jej ojca, potem oddanie się pod rozkazy Alcázara, człowieka, którego Esperanza nienawidziła najbardziej. To bezpowrotnie oddaliło ją od córki; ale zawsze wiedziała, że za tymi brutalnymi czynami kryje się chęć, by pozostać sobą, nie dać się porwać mitom ani upaść pod ciężarem pamięci o Elíasie.

Nieustraszona, pewna siebie i nieświadoma, nie wahała się zerwać wszelkich więzi z przeszłością. Laura zawsze żyła tak, jak chciała, chociaż czasami się gubiła, bo jej busola była równie zmienna jak charakter. I zapłaciła za to. A Gonzalo? On nie. Jej synek, chłopiec, który poszedł do

szkoły z internatem prowadzonej przez księży, bo w tamtych czasach był to jedyny sposób, by zdobyć przyzwoite wykształcenie i dostawać trzy razy dziennie ciepłe posiłki, skończył z buntowniczością, kiedy poznał swoją żonę. Od tamtej pory jego jedynym schronieniem była pamięć o Elíasie, uważał ojca za boga, którego można czcić i wzywać w ciemnościach, podczas gdy sam wiódł nieciekawe życie.

Teraz chciał żyć życiem ojca, żeby odzyskać swoje własne. Esperanza wiedziała, że jej syn jest w błędzie, ale nie miała siły ani chęci, żeby wyznać mu całą prawdę. Swoją drogą, czym była prawda? Faktami, rzeczami opowiedzianymi tak, jak się wydarzyły, czy przyczynami, które do nich doprowadziły? Jaką część tej rzekomej prawdy, której wyjawieniem zagroził jej Alcázar, by zmusić ją do sprzedaży części domu, mogła mu wyjawić, żeby nie zburzyć kruchego rusztowania, na którym opierało się jego życie? Miała prawo uczynić to teraz, w momencie, kiedy postanowił zrobić krok naprzód?

Nie, nie miała. Pomyślała, że i tak teraz prawda jest jedynie drugą stroną kłamstwa, równie szkodliwą, równie nierealną jak ono. Nie będzie już żadnych kwiatów, żadnych grobów, żadnych żółtych listów. Skoro czas idzie naprzód, niszcząc wszystko, jak te koparki, niech tak będzie.

– Wiem, co to znaczy żyć z kimś, kto nigdy cię nie kochał. Gdybym mogła cofnąć czas, myślę, że nie wyjechałabym z twoim ojcem.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo to prawda. Twój ojciec w którymś momencie mnie pokochał, nie mam co do tego wątpliwości. I myślę, że pod koniec nie było to uczucie wynikające wyłącznie z jego woli. Ale między uczuciem a miłością istnieją subtelne niuanse. Czułość łatwo pomylić ze współczuciem, namiętność z wygodą, potrzebę z przyzwyczajeniem... Nigdy nie byłam obecna w snach Elíasa. W jego świecie, kiedy zamykał się w szopie, żeby pisać na tej swojej starej maszynie. Ten świat należał wyłącznie do Iriny. Medalion ze zdjęciem, który znalazłeś w mojej kurtce, był jej własnością, zupełnie o nim zapomniałam. Twój ojciec zakochał się w niej, zanim się poznaliśmy. Byli razem bardzo krótko, zmarła w okolicznościach, o których wolałabym ci nie opowiadać, ale ten krótki czas nazaczył go na zawsze, przepełnił poczuciem winy, wyrzutami sumienia, melancholią, które odcisnęły piętno na naszym życiu. Zawsze mu towarzyszyła, przez wszystkie te lata walczyłam z nią z całych sił, z duchem, który wracał co jakiś czas i kradł mi męża, wyrывał go z mojego łóżka, wyjmował z moich ramion, a ja nie mogłam nic zrobić, jedynie milczeć

i czekać, aż wróci.

Esperanza rozłożyła niecierpki w formie wachlarza na pustym grobie, przykładając łodygi kamyczkami, żeby nie porwał ich wiatr. Przytrzymała się dłoni syna, żeby wstać, i spojrzała na widoczną w oddali taflę jeziora błyszczącą pośród gór.

– Nie chcę, żebyś się poświęcał, jak ja to zrobiłam, jeżeli nie warto. Ślepa miłość wcale taka nie jest, to tylko kolejne kłamstwo.

Elías leży tam na dnie, jak zawsze podejrzewała? Kiedy osuszą jezioro, wreszcie zyska pewność. Ale może to ten nikczemny inspektor ma rację, a ona się myli. Może Elías jednak ją zdradził i odszedł, bo nie mógł już dłużej znieść tej pantomimy życia. Może dlatego nie chciała, żeby osuszono jezioro. I może z tego samego powodu jej syn nie powinien dopuścić, żeby to zrobiono. Decyzja należała do niego. Ona chciała tylko wrócić do ośrodka i czekać na dzień, w którym przyjdzie jej kolej i pielęgniarze wyciągną jej złożony materac na korytarz.

Portier czekał na jego powrót. Znow ktoś zostawił dla niego kopertę. Tym razem był to list polecony zaadresowany na jego nazwisko, bez danych nadawcy. Gonzalo otworzył go przy zaciekawionym mężczyźnie, który zaglądał mu przez ramię jak współnik dopuszczony do tajemnicy.

– Listy polecane z zasady przynoszą złe wiadomości – oświadczył złowieszczo portier, jakby to absurdalne stwierdzenie opierało się na jego własnym doświadczeniu. – Mandaty drogowe, zawiadomienia o przejęciu mienia, upomnienia z urzędu skarbowego.

Nie chodziło o żadną z tych rzeczy. Koperta zawierała długi wykaz numerów NIP i nazw spółek z ograniczoną odpowiedzialnością oraz załącznik zatytułowany „Pranie pieniędzy”. Dwie firmy były zakreślone odblaskowym flamastrem. Ich nazwy wydały się Gonzalowi znajome. Wszedł do mieszkania i zadzwonił do Luisy.

– Masz wgląd do bazy danych spółek?

Luisa przytaknęła. Była to baza urzędu skarbowego, dostępna dla ludzi z branży, zawierająca dane setek firm działających na terenie kraju: informacje o kapitale finansowym, oficjalnej działalności, adresach urzędowych, członkach zarządu, pracownikach i tak dalej.

– Sprawdź te dwie firmy: ALFADAC i ENPISTRENM.

– Są ci potrzebne zaraz? Może mi to zająć trochę czasu.

Gonzalo trzymał w dłoni kartkę, gorączkowo próbując sobie przypomnieć, gdzie widział te dwie nazwy.

– Zaczekam.

Luisa oddzwoniła pięć minut później.

– ALFADAC i ENPISTRENM to spółki handlowe i fundusze inwestycyjne. Obie mają siedziby w Londynie, ale działają w połowie państw świata. Kapitał jest rosyjski, podobnie jak zarząd i akcjonariusze. Powiedziałabym, że mają tę samą matrycę. Mogę ci wysłać faksem nazwiska, są nie do wymówienia.

– Wyślij.

– Dobrze... Jest coś jeszcze. W ciągu ostatnich trzech lat firmy te wykazywały zainteresowanie inwestycjami urbanistycznymi na terenie Hiszpanii. Łącznie wniosły czterdzieści procent kapitału konsorcjum ACASA.

Gonzalo zamilkł.

– Jesteś tam...?

– Tak.

– Czy to nie twój teść reprezentuje tę spółkę i doradza jej przy zagospodarowaniu terenów nad jeziorem?

Owszem. Odmowa sprzedaży domu blokowała inwestycje tych firm. Zgodnie ze słowami Agustína Gonzalo był „kamyczkiem w bucie”. Prawnik z uwagą obejrzał załącznik „Pranie pieniędzy”. W kopercie znajdowało się dziesięć dokumentów opisujących szczegółowo wszelkiego rodzaju operacje, przekierowywanie funduszy i metody prania pieniędzy. Gonzalo miał przed sobą oficjalną strukturę Matrioszki, jej pilnie skrywany sekret. Co najmniej dwie z tych firm były jakoś powiązane z jego teściem.

„To nie starego blokuję, odmawiając sprzedaży domu. Wpadłem do buta Matrioszki”.

Zadzwoił do Siaki.

– Jak ci się to udało?

– Co mi się udało?

– Otworzyć poufny folder. Wysłałeś mi listę firm Matrioszki.

– Nie wiem, o czym mówisz, niczego ci nie wysyłałem.

W takim razie kto? Gonzalo otworzył kopertę, wysypał jej zawartość na stół i grzebał w dokumentach, aż trafił na zdjęcie. Laura i jej synek Roberto pozowali radośnie na tle czegoś przypominającego park wodny. Machali ręką

do aparatu, ich uśmiechy były identyczne. Gonzalo odwrócił fotografię i przeczytał wiadomość: „Teraz możesz przekonać prokuratora, żeby dokończył to, co zaczęła twoja siostra”.

15.

MOSKWA, KONIEC MARCA 1934 ROKU

Nie można powiedzieć, żeby te żółte kartki były prawdziwym dziennikiem. Esperanza pisała je raczej jako listy skierowane do jakiegoś hipotetycznego odbiorcy; nie myślała o nikim konkretnie, kiedy kilka lat wcześniej zaczęła opowiadać o tym, co jej się przytrafiało. Czasami wydawało jej się, że pisze je do samej siebie, do tej drugiej Esperanzy, którą często wyczuwała pod skórą, jakby miała siostrę bliźniaczkę, wycofaną i zupełnie inną niż ona, z którą mogła komunikować się wyłącznie za pośrednictwem listów. Nieraz były to zwykłe zapiski dotyczące codziennych spraw, kiedy indziej przemyślenia, które wydawały się podyktowane przez tę drugą, często pełne wątpliwości i pytań bez odpowiedzi.

Ale w ostatnich tygodniach ton listów uległ zmianie, podobnie jak będący wytworem wyobraźni odbiorca. Teraz wiedziała, do kogo pisze, i była świadoma, że ona i tylko ona jest autorką tych słów.

Cieszę się, że powoli zaczyna ci się chcieć jeść, pić, a nawet śmiać. Szkoda, że wszystkie te postępy wydają się iść na marne, kiedy gładzisz ten swój medalion. Z drugiej strony cię rozumiem. Ona była bardzo piękna, a ty ją kochałeś. Nie znam takiej miłości, jedynie o niej czytałam, ale widzę ją w twoim zdrowym oku i mam wrażenie, że mogłabym ją odnaleźć, gdybym zagłębiła się w pusty oczodół i zeszła do twojego serca. Cóż za szalone myśli przychodzą mi do głowy, uznałbyś, że zwariowałam, gdybyś przeczytał te słowa. Wystraszyłbyś się? Nie sądzę. Posłałbyś mi jeden z tych swoich zdystansowanych uśmiechów i odsunął się ode mnie delikatnie, jak robisz, kiedy przyłapujesz mnie na tym, że cię obserwuję, jak śpisz, jesz czy w zamyśleniu patrzysz przez okno na śnieg.

Tak, śmiałbyś się, gdybym ci powiedziała, że jestem zazdrosna o Irinę, o tę piękną kobietę, która odebrała ci radość. Wiesz, że nie przekazuję

Wieliczce wszystkiego, o czym mówisz? Nie tłumaczę twoich straszliwych obelg ani słów świadczących o nagromadzonej wściekłości, skierowanych przeciwko tym, którzy zesłali cię do gułagu. Jestem ostrożna za ciebie, bo ty nie możesz takim być. Nie mówię mu też o twoich uczuciach wobec tej kobiety i jej córki, tych ładnych rzeczy, które płyną z twojego serca i brzmią tak, jakby napisał je dla ciebie jakiś poeta. Nie robię tego dlatego, że dławi mnie zazdrość i żal. Wszystko jest tak skomplikowane, że płaczę po nocach i nie wiem, jaki jest powód tych łez. To miłość? Nie wiem, nigdy nie byłam zakochana, chociaż wiele dziewczyn w moim wieku jest już matkami. Mam natomiast całkowitą pewność, że wymażę wspomnienie Iriny. Ona jest martwa, a ja żyję i doholuję cię z powrotem na brzeg.

Katerina co noc czytała te listy. Czasami wzbudzały w niej śmiech, kiedy indziej wprowadzały ją w stan smutnego odrętwienia i bezsilności. Gdy przychodziła do akademii opiekować się Elíasem, czuła, jak z dnia na dzień jej uczucie rośnie, nabiera realnych kształtów w jej głowie i jej sercu. Kochała tego chłopaka, ale nie umiała wyrazić swojej miłości słowami – te potrafią dobierać tylko pisarze i poeci. Rozpoznawała ją w swoim oddechu, kiedy była blisko niego, w niby przypadkowym muśnięciu jego dłoni, w snach, które nawiedzały ją, kiedy myślała o nim przed zaśnięciem. Nie miała już wątpliwości, rozproszyły się. On także musiał o tym wiedzieć. Na pewno.

Elías mógł codziennie rano odbywać krótki spacer w stronę dawnej strefy załadunkowej. Nie pozwalano mu wychodzić poza walący się mur – Srołow pilnował go, choć trzymał się raczej z daleka. Nie można powiedzieć, żeby w ciągu tych tygodni zostali przyjaciółmi, ale pomocnik Wieliczki okazał się cierpliwym, dyskretnym, a do tego skutecznym strażnikiem. Dzięki opiece jego i dziewczyny, która przychodziła każdego ranka, stan zdrowia Elíasa szybko się poprawiał. Dostawał czyste ubrania, papierosy, trochę wódki i ciepłe posiłki. Na razie zabroniono mu korzystania z papieru i ołówka, a także czytania czegokolwiek poza oficjalną prasą.

Dziewczyna szła za Elíasem, dla zabawy depcząc po śladach, które zostawiał na śniegu. Bawiło ją, że jej stopy dosłownie w nich toną. Chichocząc, przeskakiwała z jednego na drugi. Mimo poważnego wyglądu

i dręczących ją niemal bez przerwy zgryzot była tylko dziewczynką, która pragnęła choć trochę przedłużyć sobie dzieciństwo. Elías dowiedział się, że miała szesnaście lat i była sierotą, córką jedynaczką pilota doświadczalnego Osoawiachimu, który rozbił się w prototypie Volgi, i pracownicy fabryki traktorów w Czelabińsku, która niedługo po śmierci męża powiesiła się na dźwigu. Miała na imię Katerina. Dukała trochę po hiszpańsku, bo jej ojciec przez kilka miesięcy uczył latać hiszpańskich pilotów wysłanych przez republikańskie władze do Rosji, by zapoznali się z prototypami tamtejszych myśliwców. Lubiła Hiszpanów – byli weseli, nieco kłótlivi i zuchwali. Niczego nie traktowali poważnie, nawet własnego życia. Podczas kursu dwóch z nich zginęło, wykonując zbyt ryzykowne manewry. Po zmianie rządu w Hiszpanii nowe władze kazały im natychmiast wracać do kraju. Studenci zostawili Katerinie w prezencie skórzaną kurtkę z kołnierzem z baranka, którą akurat na sobie miała, i nowe imię: Esperanza².

– Dlaczego Esperanza?

Wzruszyła ramionami, marszcząc figlarnie piegowaty nos.

– Powiedzieli, że wrócą, kiedy będę już wystarczająco duża, żeby wyjść za mąż za któregoś z nich. Byłam ich nadzieją.

– Któregoś w szczególności?

– Nie, któregokolwiek. Chciałabym pojechać do Hiszpanii.

– W takim razie nie trać nadziei.

Uśmiechnęła się do niego. Odwróciła głowę i przez chwilę spoglądała na szary płaszcz Srołowa. Strażnik przechadzał się w tę i z powrotem jak przykuty łańcuchem pies, nie spuszczać z nich wzroku.

– Jeszcze nie zdecydowali, co z tobą zrobią, prawda?

Elías zaciągnął się głęboko papierosem i wychylił głowę za mur otaczający dziedziniec. Pierwszy raz od kilku dni nie padał śnieg, ale nie pokazało się też słońce. Po drugiej stronie muru znajdowały się ceglane ściany budynków fabrycznych; od czasu do czasu powietrze przeszywał odgłos syreny na barce.

– Przypuszczam, że nie.

Trzy dni wcześniej Wieliczko skończył spisywać jego zeznania. Przejrzeli je razem kilkakrotnie, poprawili, starając się uwzględnić jak najwięcej faktów, zapamiętanych przez Elíasa nazwisk innych zesłańców, oficerów i strażników. Instruktor wystarał się w hiszpańskiej ambasadzie o świadectwo potwierdzające przynależność Elíasa do Komunistycznej Partii Hiszpanii i sympatie polityczne jego rodziny. Kiedy zebrał wszystkie dokumenty,

włącznie z zameldowaniem w rządowym budynku w Moskwie i fałszywym przyznaniem się do winy, które podpisał w lochach, zanim został zesłany, pożegnał się z Elíasem lakonicznym zdaniem:

– Teraz zobaczymy, jaką wagę ma prawda.

Elías przestał się martwić o przyszłość. Myślał, że to czekanie zszarga mu nerwy, ale czuł jedynie zimny spokój, którego doświadczał już podczas miesięcy spędzonych na stepie, a nawet wcześniej, na Nazino, po przygnębiającej agonii Claude'a. Ten spokój nie oznaczał rezygnacji, nie należało go też mylić z okrutnym, morderczym zobojętnieniem Igora Sterna. Był to raczej efekt dziury, która krwawiła w jego duszy niczym rana po kuli i stawała się coraz większa; efekt mrocznej, głębokiej, absolutnej ciszy. Te części Elíasa, które mogły cierpieć, bać się czy nawet kochać, zostały odcięte, zwisały w tej ciszy niczym wyrwane ze stawów członki, już do niczego się nienadające. Nie było w nim miejsca na rozgoryczenie czy żale. Rozumiał, że to, co mu się przydarzyło, spotkało wcześniej tysiące innych, nie tu, w ZSRR, ale we wszystkich zakątkach świata, gdzie żyją istoty ludzkie. I przytrafi się kolejnym tysiącom, może milionom osób. Będą umierały bez powodu albo z absurdalnych przyczyn, uczone flag, hymnów, okopów. Będą zabijały, gryzły, niszczyły wszystko, co stanie pomiędzy nimi a życiem. I nie jest to ani dobre, ani złe.

Spojrzał kątem oka na Esperanzę. Kurtka ze śmigłem była na wyrost, podobnie jak jej spojrzenie, którym przedwcześnie starała się wszystko objąć. Może ona, tacy jak ona, jeszcze niewinni, zdołają odnaleźć równowagę. Mądrzy byli ci hiszpańscy lotnicy, którzy nazwali ją Esperanzą. Zawsze łatwiej walczyć o ładną buzię i ciepłe serce niż o tak ulotne sprawy, jak chwała czy ojczyzna.

Przypomniawszy sobie z rozbawieniem dzień, w którym jego przyjaciel z Mieres, Ramón, zabił niechcący jednego z kurczaków jego ojca. Bawili się w Indian i kowboi, Ramón zawsze był Indianinem, on zaś służył za statystę. Miał biegać w tę i z powrotem, podczas gdy przyjaciel rzucał w niego strzałami, które Elías robił z trzciny zakończonej blachą spłaszczoną kamieniem. Jedna z tych strzał przeszła przez przypadek szyję kurczaka. Przyjaciele ze zdumieniem obserwowali cienką strużkę krwi płynącą z ptaka. Spojrzeli na siebie wystraszeni. Nie przyszło im nawet do głowy, że ta strzała mogłaby zrobić krzywdę któremuś z nich. Nie mówiąc nikomu o tym, co się stało, pochowali ptaka, i solidarnie milczeli, kiedy kilka dni później ojciec

Elías zorientował się, że brakuje jednego kurczaka. Żaden z nich nie uległ, stoicko znieśli lanie, które każdy dostał od swojego ojca. Wiele lat później Elías natknął się na przyjaciela w akademiku w Madrycie. Ramón wstąpił do CED-y³. Powinni się byli pozabijać, przypomnieli sobie jednak incydent z kurczakiem i to, jak obaj heroicznie znieśli karę, nie wydając jeden drugiego.

– Mogłeś powiedzieć, że to ja. Uniknąłbyś klapsów.

Elías przytaknął.

– Byłeś moim przyjacielem, a to oznaczało, że obaj zabiliśmy kurczaka. Byliśmy tam razem. – Roześmieli się i ku zdumieniu swoich znajomych odnowili dawną przyjaźń. Okazała się możliwa do utrzymania pod warunkiem, że unikali rozmów o polityce.

Elías odwrócił się na dźwięk głosu Srołowa. Esperanza patrzyła zmieszana na brudny śnieg pryskający spod jego obcasów – ślady rozgałęziały się, a ona nie wiedziała, jak rozwiązać zagadkę i którą wybrać drogę. Obok pomocnika Wieliczki stało dwóch mężczyzn w grubych brązowych płaszczach, ubranych po cywilnemu. Nie musieli się legitymować, można było poznać po ich spojrzeniu, że są policjantami. Przyszli po niego. Elíasem wstrząsnął lekki dreszcz. Podniósł wzrok i jego oczom ukazał się niesamowity widok – źdźbło trawy, a potem kolejne i jeszcze jedno wirowały w powietrzu wokół własnej osi, wznosząc się w formie idealnego trójkąta, podskakiwały, jak gdyby kierowały nimi niewidzialne sznurki. Podniósł dłoń, jakby chciał nie tyle je złapać, ile przelecieć wraz z nimi nad murem.

– Wróćisz.

Elías spojrzał na Esperanzę. Spokojnym ruchem odrzuciła włosy na plecy. Spojrzenie dziewczyny nie pasowało do jej wieku.

– Albo i nie – powiedział.

Esperanza pokręciła głową.

– Musisz zabrać mnie ze sobą do Hiszpanii. Uznałam, że wolę cię od tamtych pilotów. Wyjdę za ciebie, ale rzecz jasna zatrzymam kurtkę.

Elías chciał się roześmiać, ale tylko otworzył usta. Dziewczyna mówiła śmiertelnie poważnie.

Policjant bez słowa otworzył tylne drzwi samochodu, jednej ze słynnych „wron” OGPU. Ograniczył się do rzucenia Elíasowi szybkiego, niezdradzającego najmniejszego zainteresowania spojrzenia i wskazania mu

brodą auta. Kiedy chłopak usadowił się w środku, opierając stopy na dywaniku, a dłonie na obitym tergalem siedzeniu, zamknął drzwi z głośnym trzaśnięciem.

Elías nie zapytał, dokąd jadą. Wiedział, że to nie ma sensu. Kierowca szybko skręcił w drogę biegnącą wzdłuż rzecznej przystani. Elías rozpoznał miejsca, w których pracował przed kilkoma miesiącami. Wydawało się, że minęło dziesięć lat – dzięki tysiącom pracowitych rąk budowa kanału postępowała w niebywałym tempie. Nic nie stawało w miejscu z powodu czyjejś nieobecności. Nic.

Szosa dochodziła do głównej drogi, prowadzącej od zachodu do Moskwy, z której zjeżdżało się na obwodnicę łączącą się z aleją Gorkiego, Placem Czerwonym i Kreml. Samochód skręcił jednak na wschód. Kilka kilometrów dalej wjechali na inną drogę. Elías przeczytał na znaku, że jadą w kierunku sanatorium w Barwisze, leżącego dwadzieścia kilometrów od Moskwy.

– Dlaczego mnie tam zabieracie?

Na widok jego przerażonej miny jeden z policjantów posłał mu przez lusterko wsteczne dziwny uśmiech. Elías szybko się opanował, wytrzymał spojrzenie olbrzyma, dopóki nie zmazał z jego twarzy tego głupiego grymasu.

Sanatorium tworzył kompleks pawilonów podlegających bezpośrednio szpitalowi Kremla. Każdy wyglądał inaczej, niektóre miały ściany z czerwonej cegły i setki okien, inne, pomalowane na szaro, były ukryte w gęsto rosnących drzewach i mniej rzucały się w oczy. Przed budynkiem administracyjnym rozciągał się ogromny, pokryty śniegiem dziedziniec, na którym stała duża, ozdobna fontanna bez wody. Całość sprawiała raczej przygnębiające wrażenie. Być może przyczyniało się do tego krakanie kruków siedzących na najwyższych kominach. Elías nie ruszył się z miejsca, dopóki policjanci nie otworzyli mu drzwi. Chwycili go delikatnie pod pachy, ale nie zacisnęli dłoni, jakby byli jego ochroniarzami, nie strażnikami.

W głównym budynku było bardzo ciepło. Ściany pokrywała boazeria, a zainstalowane pod podłogą ogrzewanie przyjemnie przenikało przez zelówki. Elías zdziwił się na widok eleganckiego holu, kontrastującego ze skromnym wyglądem budynków. Wysokie sufity, z których zwisały wielkie żyrandole rzucające jasne światło, przydawały otoczeniu lekkości pasującej do gładkich, śnieżnobiałych podłóg z marmuru. Na wyższe piętra wiodły gigantyczne schody, policjanci zaprowadzili go jednak do znajdującej się po

prawej stronie windy. Kiedy wjeżdżali na dziesiąte piętro, Elías przypomniał sobie, że odbył już podobną podróż, z celi w jakimś nieokreślonym miejscu do sali równie monumentalnej jak ten hol, żeby podpisać na siebie wyrok w zamian za szklanę wody.

Pomyślał, że może i tym razem skończy się podobnie. Zmieniła się jednak jego postawa: już nie chciało mu się pić.

Winda zatrzęsała się lekko i ktoś otworzył im drzwi od zewnątrz. Jako pierwszy wysiadł jeden z policjantów, za nim Elías, drugi strażnik został w środku i z powrotem zjechał na dół. Wisząca na ścianie tablica informowała, że znajdują się na oddziale stomatologii. Policjant wskazał Elíasowi grupkę trzech zwróconych do siebie osób, które rozmawiały na końcu długiego korytarza, ciągnącego się po ich prawej stronie.

– Podejdź do nich.

Nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi, Elías posłusznie wykonał polecenie. Czuł, że mimo pozornej obojętności jego serce bije nieco szybciej i pocą mu się dłonie.

Bicie serca jeszcze przyspieszyło, kiedy rozpoznał w jednym z dwóch mężczyzn instruktora Wieliczkę. Towarzyszyła mu krzepka kobieta średniego wzrostu, mniej więcej siedemdziesięcioletnia, ubrana w szary garnitur o raczej męskim kroju. Mężczyzna, który z nimi rozmawiał, stał odwrócony tyłem do Elías.

Wieliczko pierwszy dostrzegł chłopaka i ruchem dłoni zachęcił go, żeby do nich dołączył.

– Przedstawiam państwu Elías Gila.

Mężczyzna w obcisłej marynarce przywitał się z nim z pewną rezerwą.

– Przysporzyliście mi sporo kłopotów, towarzyszu. Wiecie, kim jestem? – powiedział doskonałą hiszpańszczyzną z lekkim andaluzyjskim akcentem.

Jedyne oko Elías otworzyło się szeroko z dziecięcym zdumieniem; widok był jednocześnie rozczulający i komiczny. Każdy hiszpański komunista wiedział, kim jest José Díaz, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Hiszpanii od 1932 roku. Przywitali się krótkim, mocnym uściskiem dłoni.

Wieliczko zeszywniał, bliski zawału, kiedy z szacunkiem przedstawił towarzyszącą im kobietę.

– Towarzyszka Nadieżda Krupska.

Inteligentne oczy kobiety spojrzały na Elías z za okrągłych okularów. Miała krótkie, białe włosy i usta bezwiednie wygięte w grymasie zawodu, jaki

maluje się na twarzach tych, którzy zbyt długo obcują z władzą. Krupska była wdową po Leninie i mimo że nie we wszystkim zgadzała się ze Stalinem (tak przynajmniej szeptano), pod koniec życia była nadal jedną z najbardziej wpływowych kobiet w Związku Radzieckim.

– Ten raport mówi prawdę?

Jej głos nie był łagodny ani cierpliwy. Brzmiał jak szczenięcie kogoś, kto ostrzega, że nie będzie tolerował fałszywych kroków w tak poważnej sprawie, i w jednej chwili zgasił rozanielone spojrzenie Elíasa.

– Najszczęśliwszą, przynajmniej ta część, za którą ja odpowiadałem.

Nadzieja Krupska wpatrywała się w niego, aż poczuł cały ciężar historii spoczywający na jej barkach. Zsyłki, wygnania, wojna, spiski mające na celu przejęcie władzy, spiski mające zapobiec jej odebraniu, w cieniu człowieka, który nie zawsze stawał na wysokości zadania. A mimo to pozostała lojalna, wierna swoim ideałom, do samego końca.

– Nie jesteśmy tacy – szepnęła powoli.

Nie prosiła o wybaczenie. Chciała, żeby Elías pogodził się z tym, co go spotkało. Nie zrobił mu tego Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, to nie bolszewicy zesłali go do gułagu, to nie partia pozbawiła go oka. To nie rewolucja zabrała ze sobą Irinę. Zrobili to konkretni ludzie. Idea powinna przetrwać, ocaleć. Ta kobieta żądała, żeby to rozumiał.

Elías skinął głową. Staruszka rozluźniła mięśnie twarzy. Można było zinterpretować ten gest jako uśmiech historii, choć ta nigdy się do niego nie uśmiechnie. Ta mina była największym dowodem sympatii, na jaki mógł liczyć Elías ze strony Krupskiej.

– Wuj Wasilija Arsieniewicza służył wiernie mojemu mężowi i współpracował ze mną przy projekcie edukacyjnym. Przyniósł mi raport, a ja uważnie go przeczytałam. – Nie dała po sobie poznać, jak ogromne wrażenie zrobiła na niej jego lektura. – Doszłam do wniosku, że pod żadnym pozorem nie wolno go upubliczniać.

Elías spojrzał na nią z rozczarowaniem i zaskoczeniem, ale ona pozostała niewzruszona.

– Gdyby to wszystko wyszło na jaw, pierwszą konsekwencją byłaby twoja natychmiastowa egzekucja.

Staruszka odwróciła się w stronę José Díaza i uścisnęła mu dłoń z nieco bardziej poufałą serdecznością.

– Ty mu to wytłumaczysz.

José Díaz zmrużył oczy i roześmiał się, dotykając dłonią brzucha.

– Jeżeli nie zabije mnie wrzód, zrobi to Hiszpania.

Kobieta rzuciła mu szelmowskie spojrzenie.

– Albo zazdrosny mąż którejś z kobiet, z którymi chodzisz do łóżka.

José Díaz zrobił minę psotnego urwisa i odprowadził wdowę po Leninie do windy. O jej bezpieczeństwo zadbało natychmiast trzech policjantów, którzy do tej pory trzymali się na uboczu.

Następnie José Díaz dał Elíasowi znak, żeby podszedł.

– Muszę zapalić, a mamy ładny poranek. Przespacerujmy się po ogrodach.

José Díaz był upartym, pełnym pasji mężczyzną, a w głębi jego oczu, ciemnych jak włosy uczesane z pewną nonszalancją, wciąż można było dostrzec chłopaka z Sewilli, który zaczynał jako piekarz. Umiał jednak także na zimno analizować sytuację i posiadał niezwykle talent organizatorski. Dzięki połączeniu tych cech trafił do sekretariatu Komunistycznej Partii Hiszpanii po tym, jak sprawnie zorganizował strajki przeciwko próbie zamachu stanu generała Sanjurja. Szedł powoli, lekko pochylony do przodu. Elíasowi się wydawało, że kiedy dotyka brzucha, jego usta wykrzywia grymas bólu. Zatrzymał się na polanie między wysokimi jodłami przed pomnikiem z brązu przedstawiającym Stalina i zmierzył go trzeźwym spojrzeniem.

– Jest trochę niższy i grubszy.

– Zna pan Stalina?

José Díaz zaciągnął się papierosem trzymanym w dłoni okrytej czarną skórzaną rękawiczką. Wyrzucił go i wgniótł obcasem w ziemię.

– Tak naprawdę nikt nie zna Stalina. Wielcy ludzie chronią się za mgłą, a on jest jednym z nich. – Przyjacielsko poklepał pomnik po ramieniu, po czym ruszył dalej.

Chwilę później bez słowa zatrzymał się na ścieżce prowadzącej do odizolowanego skrzydła sanatorium, oddziału chorób układu oddechowego. Jego pacjentami byli gruźlicy i chorzy na raka. Wyłącznie ludzie zamożni lub wpływowi. Żaden robotnik nie byłby w stanie opłacić leczenia w tym miejscu. Sekretarz Komunistycznej Partii Hiszpanii spojrzał na budynek z osobliwym smutkiem, jakby ten luksusowy pawilon zwiastował porażkę tego, co próbowali budować.

– Wiesz, co dzieje się teraz w Hiszpanii?

Elías pokręcił głową.

– Byłem zbyt zajęty utrzymaniem się przy życiu.

José Díaz nie przypominał innych przywódców, był zwyczajnym człowiekiem. Nie wstydził się tego.

– Nie jestem nawet w stanie wyobrazić sobie tego, co przeżyłeś. – Spojrzał przelotnie na opaskę na pustym oczodole Elíasa. – Ja nie wytrwałbym nawet tygodnia. Wiem, że zaskoczyła cię odpowiedź wdowy po Leninie. Powiedzmy, że relacje towarzyskie i empatia nie są mocną stroną towarzyski Nadieжды... Ale ma rację. Raport Wieliczki nie powinien zostać upubliczniony.

Spodziewał się, że Elías zacznie protestować albo okaże niezadowolenie, ale chłopak tylko odwrócił głowę i skupił wzrok na wejściu na oddział chorób zakaźnych, w którym mijały się osoby w białych fartuchach i chorzy. Díaz posmutniał na widok tego pustego, na zawsze straconego spojrzenia. Niemniej jednak musiał przekonać Elíasa, że najlepiej będzie pogrzebać całą sprawę.

– W Hiszpanii zanosi się na wojnę. Nikt nie chce w to uwierzyć, mimo że wszystko na to wskazuje. Jest nieuchronna. Zaczęła się wykluwać w dniu, kiedy proklamowano Republikę. Przepowiedział ją sam Alfons XIII, zanim udał się na wygnanie: „Wyjeżdżam, żeby uniknąć rozlewu hiszpańskiej krwi”. W rzeczywistości wyjechał, bo go wyrzuciliśmy, ale po części miał rację. Nieudana próba zamachu Sanjurja sprzed dwóch lat była rozgrzewką, rozpoznaniem. Odpowiedzieliśmy na nią, ale teraz oni mają większość w rządzie, CEDA cieszy się poparciem Kościoła, właściciele ziemskich, falangistów i dewotek. Wyłącznie dlatego zgodzili się przyznać kobietom prawa wyborcze. Bo księża podsycają z ambon ich odwieczny strach, odwołują się do ich świętego obowiązku jako matek. Porządek, Bóg i ojczyzna... Stara, łatwopalna Hiszpania.

– Odbierzemy im władzę jak wcześniej.

– To nie takie proste. Gil-Robles zachował dla siebie tekę ministra wojny nie po to, żeby demokratyzować armię, ale żeby ustawić w pierwszym szeregu swoje pionki, ludzi takich jak Mola, Sanjurjo, Franco⁴. Jego generałowie już się szykują.

– Skoro o tym wiecie, dlaczego nie spróbujecie temu zapobiec, zanim będzie za późno?

Z oczu José Díaza można było odczytać, że jego umysł zalał potok mętnych, chaotycznych myśli. Wskazał ośnieżoną ławkę.

– Każdej zimy w Moskwie pada śnieg. Pękają rury, wybuchają kotły,

zostają odcięte ulice. Zima po zimie, co roku powtarza się ta sama sytuacja. Zastępy robotników dają z siebie wszystko, odśnieżając przejazdy, sypiąc sól na chodniki, naprawiając rury i gromadząc zapasy żywności. Nie zapobiega to jednak dalszym opadom. – Podniósł dłoń i zacisnął pięść; skóra rękawiczki zatrzeszczała. – Władza jest w rękach reakcyjnego rządu i zwolenników faszyzmu. Oni są śniegiem, który bez przerwy na nas pada, kontrolują cały aparat represji, prasę i parlament. Zdobyli władzę legalnie, ale zamierzają zniszczyć system, który im ją dał. Dlaczego? Bo w demokrację wpisana jest rotacja, a oni nie chcą dzielić się tym, co uważają za należne im zgodnie z prawem. Myślisz, że nasz entuzjazm wystarczy, by stawić czoła zorganizowanemu, bezlitosnemu wrogowi? Musimy się przegrupować, stworzyć blok ludowy, trzeźwo ocenić nasze siły, w przeciwnym razie poniesiemy porażkę. Jesteśmy jak ci ofiarni robotnicy, którzy próbują naprawiać szkody, ale Partia Komunistyczna ma w Hiszpanii zaledwie piętnaście tysięcy członków. Socjaliści uparcie chcą działać sami, podobnie jak reszta republikańskich sił. Osobno żadna z nich nie będzie w stanie pokonać tego zagrożenia. Nie jesteśmy jeszcze gotowi. Wciąż spoglądamy w niebo i myślimy, że zdarzy się cud i następnej zimy nie spadnie śnieg.

José Díaz głęboko wciągnął powietrze i na długo zatrzymał je w płucach. Jakby miał pewność, że złowieszczą prognoza, którą przedstawił, jest już faktem dokonany.

– Twój ojciec jest komunistą.

Elías przytaknął.

– I ty też nim jesteś. Dlatego przyjechałeś tu z naszym poparciem. Żeby się kształcić, żeby zdobyć wiedzę, dzięki której pewnego dnia dołożysz swój kamyczek do budowy innego, lepszego kraju.

– Tak myślałem...

José Díaz spojrział na niego pytająco.

– Tak myślałeś? Nic się nie zmieniło, Elíasie. Przyjechałeś do Związku Radzieckiego dlatego, że przykład twojego ojca pracującego w kopalni przekonał cię, że ponosimy odpowiedzialność za ludzi naszych czasów, a przede wszystkim za tych, którzy przyjdą po nas. Twój ojciec, podobnie jak mój, jak tysiące innych, po prostu postanowił zmienić świat.

– Świat się nie zmienia.

– Mylisz się, chłopcze. Świat zmienia się nieustannie, posuwa naprzód i nic nie jest w stanie go zatrzymać, a my, ty i ja, stanowimy niewidoczne trybiki

napędzające koło. Jeżeli zachodzi taka potrzeba, znosimy wszystko, co da się znieść. To nie jest nasz wybór. Po prostu nie możemy robić nic innego, niż posuwać się naprzód.

Elías spoglądał na José Díaza niewidzącym wzrokiem. Przypomniawszy sobie bójki z innymi dziećmi z kopalni, cień ojca, który codziennie wstawał z łóżka przed świtem; pomyślał o dniu, w którym postanowił udowodnić przełożonemu, że nie może już dalej go wyzyskiwać, o tym, jak dobrze się poczuł, kiedy rozkwaśił mu pięścią twarz, za co został spałowany przez policję i wyrzucony z kopalni. Pomyślał o czarnym dymie wydobywającym się z kominów, o zmęczonych, okopconych twarzach, o rozlegających się w szybach śmiechach i piosenkach. Radość była bronią, przeciw której moźni tego świata nie mogli nic zdziałać. Piosenki, które śpiewały kobiety, kiedy w przerwie przynosiły mężczyznom obiady, rozbrzmiewały w dolinie głośniejsz niż salwy z karabinów. Tak myślał, kiedy był chłopcem, i wierzył w to nadal, kiedy spotykał się ze swoim przyjacielem Ramónem w kawiarence w Lavapiés i do świtu prowadzili burzliwe dyskusje. „Lorca⁵ stoi wyżej niż José Antonio⁶”, odpowiadał z dumą, gdy jego przyjaciel mówił o potrzebie zaprowadzenia porządku. Słowa stoją wyżej niż siła. To właśnie ten sposób myślenia przywiódł go przed rokiem do Związku Radzieckiego, tak jak jego młodych kolegów, Michaela, Martina i Claude’a.

Teraz nie miał już tej pewności.

– Jesteśmy pierwszą kroplą, Elíasie. Zwiastujemy burzę, która nadejdzie, by zmieść z powierzchni ziemi wszystko, co stare.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami słowa José Díaza do głębi by go poruszyły. Teraz jednak nie czuł nic oprócz zimnego wiatru wciskającego się między poły pożyczonego płaszcza. Wyobrażał sobie ciało Iriny uwięzione na dnie rzeki, może wciąż tam jest, pod warstwą lodu, a któregoś dnia ktoś ze zdumieniem odkryje je dryfujące po oceanie. Ta burza, którą z entuzjazmem przepowiadał sekretarz, odbierze mężczyznom i kobietom rodziców, małżonków, dzieci. Wszystko zniknie, z czasem nie będzie już ani domów, ani ulic, ani kości. Nie zostanie po nich nawet wspomnienie, jakby nigdy nie istnieli.

Ale na razie wciąż tu jestem, pomyślał, przyglądając się zaczerwienionej twarzy mężczyzny, który miał marzenia, a także energię, by wcielić je w życie.

– Ma pan rodzinę?

Pytanie zdziwiło José Díaza.

- Żonę i trzy córki. Dlaczego pytasz?
- To dobry powód, żeby dalej wierzyć w pańskie słowa.
- Owszem, lepszego nie ma.
- Naprawdę pan myśli, że będzie wojna?
- Obawiam się, że tak.
- I co się stanie?

José Díaz na chwilę pogрузzył się w myślach. Nadkwasota znów dawała mu się we znaki.

- Będziemy walczyć. Być może zginiemy.
- Mamy szansę wygrać?

Sekretarz uśmiechnął się do Elíasa.

- Któregoś dnia na pewno wygramy.

Elías zrozumiał.

– Ale nie dziś. A mimo to prosi mnie pan, żebym pogodził się ze wszystkim, co mnie spotkało, i żył dalej jak gdyby nigdy nic.

- Owszem. Właśnie o to cię proszę.

Esperanza siedziała na krawężniku przy wjeździe do kompleksu fabrycznego. Dla zabicia czasu rysowała kształty mające przedstawiać zwierzęta, które jednak nawet ich nie przypominały. Pomyślała, że na pewno nie zostanie artystką, i zmasała obrazki z brudnego śniegu. Nie miało to dla niej znaczenia – w wieku szesnastu lat niewiele osób wie, co chce robić w przyszłości. Ale ona wiedziała. Podjęła już decyzję i nie przyjmowała do wiadomości, że może być inaczej.

- Ta kurtka naprawdę grzeje?

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na Elíasa szeroko otwartymi oczami. Przypomniały chłopakowi skórzane oczy łosia, którego zastrzelili przy nim strażnicy, i przez ułamek sekundy czuł, jak coś w nim pęka. Był pełen dziur, jak stary parawan. Czasami myślał, że nigdy nie zdoła wypłynąć na powierzchnię, już nie.

Esperanza przytaknęła ruchem głowy. Elías wyczuł w jej spojrzeniu coś znacznie odbiegającego od jego własnej ciemności, jakąś daleką, niemożliwą do spełnienia obietnicę, że czasami w cudowny sposób sprawy układają się pomyślnie, sprawiedliwie i że ta sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z prawem, tylko z dobrocią. Dobroć, słowo, które z trudem przyszłoby mu

wypowiedzieć na głos. A mimo to była tu, w oczach Esperanzy (co za sukinsyny z tych pilotów; jeżeli José Díaz miał rację, niedługo będzie z nimi walczył), była w spojrzeniu łosia, w dłoni, którą wyciągnęła do niego Irina, kiedy on już się poddał, leżąc na torach prowadzących na Syberię. Dobroć istniała w jego ojcu, w uszczypliwych przytykach Claude'a, w sposobie, w jaki umarł, nawet w oficerze, który strzelił sobie w głowę, siedząc przy grającym na organkach starcu. Wszystko to było obecne, unosiło się w powietrzu i mieszało ze złem, tocząc z nim wojnę bez koszar. Nie mógł się tylko przyglądać tej wojnie i nie brać w niej udziału.

– Moim zdaniem jest trochę za ciepła na śródziemnomorski klimat.

– Jakie jest Morze Śródziemne?

Elías nie potrafił jej odpowiedzieć, on też nigdy go nie widział. Wciąż nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że José Díaz przekonał go do przyjęcia partyjnego stanowiska w Barcelonie.

Tak naprawdę sekretarz nie dał mu wyboru. Po tym, jak wygłosił swoją moralizatorską, ideologiczną przemowę, do głosu doszedł pragmatyzm. Uśmiechając się ironicznie, postawił mu jasne jak słońce ultimatum: „Albo zgodzisz się na przeniesienie, albo oddam cię w ręce OGPU i będziesz zdany sam na siebie”.

Elías się zgodził, ale postawił jeden osobliwy warunek: dziewczyna, która opiekowała się nim przez cały ten czas, także pojedzie.

16.

BARCELONA, WRZESIEŃ 2002 ROKU

Gonzalo wsparł się na kuli i wyjrzał przez okno wychodzące na ogród. Z tego, co pamiętał, w ciągu dwudziestu lat był w tym domu zaledwie kilka razy. W innych okolicznościach uznałby zaproszenie teścia za zaszczyt, jednak wiedział doskonale, że tym razem nie chodzi o kurtuazyjną wizytę. Salon, w którym siedzieli, był pomyślany jako nowoczesny, sprawiał jednak wrażenie zimnego i przygnębiającego. Meble, które nie miały być wygodne ani przytulne, ale budzić podziw gości, w Gonzalu wywoływały wyłącznie odrazę. Wszystko zostało planowo rozmieszczone, jakby mieszkańcy domu żyli w magazynie dekoratorskim, a on stanowił jego niepożądany element.

Spojrzał na stojące na biurku szklanki whisky. Jego była nietknięta, Agustína zaś – pusta. Zegar wskazywał dopiero jedenastą rano. Gonzalo podejrzewał, że teść zaczął pić znacznie wcześniej.

– Czytałeś *Od założenia miasta* Tytusa Liwiusza albo *Króla Leara* Szekspira?

Gonzalo zrobił zdziwioną minę. Agustín González wskazał mu książki stojące wysoko na regale.

– Powinieneś je przeczytać. Wyjaśniają, że ten, kto chce utrzymać władzę, nie może okazywać słabości, zwłaszcza wobec najbliższych.

– Do czego zmierzasz?

Teść spojrzał na niego obojętnie, jakby tak naprawdę wszystko to mało go obchodziło albo wręcz nie miało dla niego żadnego znaczenia, zdradziła go jednak gwałtowność, z jaką napełnił szklankę i podniósł ją do ust.

– Wiesz, dlaczego zajmuję się adwokaturą od ponad czterdziestu lat i do tej pory nikt nie zdołał przyłapać mnie na kłamstwie? – Rozłożył ramiona, wskazując regały i biblioteczkę. – Nie dlatego, że znam prawo lepiej od innych czy że jestem lepszym mówcą, nawet nie dlatego, że jestem

inteligentniejszy czy sprytniejszy od moich rywali. Oczywiście mam swoje sposoby i potrafię je wykorzystać, jednak to nie z tego powodu wyrobiłem sobie nazwisko. Zawdzięczam je temu, że potrafię wyprzedzić ruch przeciwnika, wiem, kiedy wygram, a kiedy przegram, bo mam karty w ręku wcześniej niż pozostali. Nie przyłapiesz mnie na kłamstwie, ani ty, ani nikt inny. Informacje, przysługi, które ktoś jest mi winien, słabości, które potrafię zamienić w siłę – na tym polega władza, a ja umiem ją sprawować. Powtarzam, powinienesz przeczytać Tytusa Liwiusza i Szekspira zamiast tych udręczonych rosyjskich romantyków.

Jest pijany? Prawdopodobnie, ale w cywilizowany sposób, dopuszczalny wśród ludzi jego sfery.

– Dobry znajomy z prokuratury powiedział mi, że kilka dni temu wraz z pewnym oskarżycielem złożyłeś u dyżurnego sędziego wniosek o wznowienie śledztwa prowadzonego przez twoją siostrę i otwarcie sprawy zabójstwa Zinowiewa. W twoim zgłoszeniu jest mowa o tym, że posiadasz niepodważalne dowody jej niewinności. Chciałbym wiedzieć, co to za dowody.

– To poufne informacje, nikt nie może ich poznać do czasu, aż wypowie się sędzia.

– Przestań chrzanić, Gonzalo. Naprawdę myślałeś, że się nie dowiem? – odparł oschle Agustín. – Nie prowadzisz sprawy jakiejś głupiej separacji, to wyższa liga. Firmy, które kazałeś sprawdzić, mają większościowe udziały w reprezentowanym przeze mnie konsorcjum. Chodzi o poważanych zagranicznych inwestorów, bardzo zainteresowanych tym, żeby wniosek został wycofany. W przeciwnym razie obaj zrezygnują z projektu ACAS-y, a ja stracę majątek.

Gonzalo pomyślał o dokumentach, które przekazał prokuratorowi, i o minie, jaką ten zrobił na ich widok. Ogromna ilość zawartych w nich informacji nie pozostawiała wątpliwości co do tego, czym jest Matrioszka.

W grę wchodziło znacznie więcej niż strata milionowej inwestycji. Konsorcjum było zlepkiem legalnych firm, które prały pieniądze uzyskane z dziecięcej prostytutce, handlu narkotykami i innej nielegalnej działalności. Obejmowało oddziały banków, agencje nieruchomości, firmy budowlane z siedzibami w Londynie, Liechtensteinie, Monako czy na Mauritiusie. Chodziło o miliony w obcych walutach, które wraz z wprowadzeniem euro musiały jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię, żeby nie stracić na

wartości względem dolara.

– Problemem nie jest jedynie inwestycja, którą możesz stracić. Nawet nie potrzebujesz tych milionów. Chodzi o coś więcej, prawda?

– Widzę, że to rozumiesz – powiedział Agustín González, dopijając kolejną whisky.

Gonzalo stanowczo zaproponował.

– Co mam rozumieć? Że dajesz kryminalistom prawne podstawy, żeby mogli pracować pieniądze?

W spojrzeniu teścia, jakie rzucił między dwiema kolejkami whisky, Gonzalo dostrzegł prawdę: Agustín był przerażony. Wielki rekin ugryzł coś, czego nie mógł strawić. Nie chodziło jedynie o dom, którego on nie chciał sprzedać i który blokował projekt budowy, ale o coś znacznie poważniejszego. Agustín został schwytyany w sieci Matrioszki. Bóg wie, od kiedy prowadził dla nich interesy; może nie wiedział, w co się pakuje, albo co gorsza, może nie chciał wiedzieć. Czyż nie mówił, że władza daje dostęp do informacji? Znał metody tych ludzi, miał świadomość, do czego są zdolni. Gonzalo domyślił się tego z jego błagalnego spojrzenia, ukrytego pod zwodniczym blagierskim gniewem. Wreszcie widział go takim, jakim naprawdę był – biednym, wystraszonego starcem, który boi się tego, co mogą mu zrobić: zniszczyć jego reputację, imperium, które tworzył od czterdziestu lat, ale także – na tę myśl Gonzalo poczuł ukłucie strachu i litości – jego córkę i wnuki.

– Musisz wycofać wnioski i trzymać się z daleka od tych ludzi. Nie masz wyboru, to nie są negocjacje.

– Nie wycofam zgłoszenia.

– Już raz naraziłeś moją córkę i wnuki na niebezpieczeństwo. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło, rozumiesz? Zrobię wszystko, co będzie konieczne, żeby tak się nie stało. Wszystko, co będzie konieczne.

Jego spojrzenie zapowiadało szeroki wachlarz możliwości.

Stary Lukas drzemał w prostokącie światła rzucanego przez słońce na płytki podłogi. Psy są jak ludzie i na odwrót – niepotrzebnie szukają ciepła, które nie może już ogrzać ich kości. Alcázar poszedł do spiżarni po puszkę mielonki, wymieszał ją z suchą niskotłuszczową karmą i podstawił psu miskę pod nos. Lukas był ślepy, jego białe oczy przypominały plamy mleka. Już się taki urodził, zostałyby uspijony w schronisku, gdyby Alcázar nie poczuł do niego

sympatii. Po spędzonych wspólnie dwunastu latach żaden z nich nie potrzebował wzroku, żeby rozpoznać drugiego w ciemności. Nie wszystkie pary mogą powiedzieć to samo.

Pies, mieszaniec z ojca husky'ego i wielorasowej matki, podniósł pysk, powąchał dłoń swojego pana i zaczął przeżuwać karmę żółtymi, sfatygowanymi zębami. Nie warknął, kiedy Alcázar pogłaskał go po ciężkiej, siwej głowie. Inspektor lubił psy, jego ojciec był zapalonym myśliwym, po domu zawsze kręciły się ogary i charty. Wiedział, jak się z nimi obchodzić, wydawały mu się znacznie mniej uciążliwe niż ludzie. Człowiek mógł być wierny, ale pies był przede wszystkim lojalny. Nie każdy potrafił zrozumieć tę różnicę. Cecilia owszem.

Może dlatego byli sami – stary Lukas i stary Alcázar – w czterdziestometrowym mieszkaniu z widokiem na ceglana ścianę upstrzoną nieprzyzwoitymi rysunkami, pod którą sikali i srali okoliczni pijacy. Jego ojciec zwykł mawiać, że każdy jest kowalem swojego losu. Alcázar już wykuł swój, dlatego nie narzekał. Stwierdzał jedynie niezaprzeczalny fakt, że od jakiegoś czasu łóżko stało się dla niego za duże i że duch Cecylii, która przez tyle lat zajmowała prawą stronę materaca, ostatnio nazbyt często go nawiedza.

Potrzebował zmiany. Chciał spędzić ostatnie dni życia spokojnie, pozwolić, by stopniowo zżerała go melancholia, kiedy niczym bogaty emeryt będzie siedział na wyspie koralowej z piwem w dłoni i patrzył, jak słońce zabarwia na purpurowo ocean.

Zrobił sobie kawę i posmarował twaróżkiem tost. Starał się zjeść coś na śniadanie, zanim sięgnie po papierosa. Oszukiwał się, że któregoś dnia będzie w stanie rzucić palenie. Nikt nie rzuca nałogów, które ma przez całe życie – to nałogi wykluczają nas. Telewizor w kuchni był włączony – główny komisarz zwołał konferencję prasową. Alcázar pogłodził dźwięk.

Sprawa Laury zajmowała pierwsze strony gazet. Alcázar zwrócił uwagę na białe włosy wystające z nosa jego dawnego przełożonego. Komisarz miał na sobie za ciepłą marynarkę i ociekał potem. Widać było, że jest zdenerwowany.

– A to skurwysyn! – rzucił Alcázar. A więc jednak Gonzalo to zrobił, zbliżył się do tego samego gniazda os, co jego siostra, i dźgnął w nie patykiem, jak nieświadome niebezpieczeństwa dziecko. Komisarz ogłosił, że Wydział do spraw Przestępczości Finansowej wszczął szeroko zakrojone śledztwo mające na celu wyjaśnienie powiązań pewnych firm z rosyjską mafią. Przynajmniej ACASA nie została jeszcze oficjalnie wymieniona z nazwy. Ale to nie

oznaczało, że nie szykują się poważne problemy, które po śmierci Laury i Zinowiewa Alcázar uznał za rozwiązane. Było tylko kwestią czasu, że do mediów trafi nazwisko Agustína Gonzaleza, a po nim inne... W końcu przyjdzie kolej na niego. Nie robił sobie złudzeń – był najsłabszym ogniwem łańcucha. Marzenie o spokojnej starości na wyspie koralowej oddalało się w szybkim tempie.

Liczył na to, że komisarz udzieli szerszych odpowiedzi na pytania dziennikarzy, jednak po wysłuchaniu kilku, w których zasłonił się wyświechtaną tajemnicą śledztwa, stracił zainteresowanie konferencją i zmienił program. W tym momencie rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka. Lukas wydał z siebie ochryple szczeknięcie, które nie mogło nikogo wystraszyć.

Za drzwiami stała Anna Achmatowa.

– Widziałeś wiadomości? – zapytała prosto z mostu.

Alcázar obliział wąsy.

– No proszę, szybko się pojawiłaś... Co tu masz?

Staruszka podała mu pakunek.

– Książkę. W moim kraju, kiedy odwiedzasz długo niewidzianego przyjaciela, grzeczność wymaga, byś przyniósł mu prezent.

– Teraz jesteśmy przyjaciółmi? Mogę spać spokojnie.

Anna rzuciła mu surowe spojrzenie, jakby ich oczy dzieliła odległość nie do pokonania, pełna przeszkód; jakby patrzyła na niego z dna studni.

– Nie powinieneś – odparła z półuśmiechem.

...i całe Combray, i jego okolice, wszystko to, przybrawszy kształt i trwałość, wyszło – miasto i ogrody – z mojej filiżanki herbaty⁷.

Alcázar spojrzał na nią jeszcze bardziej podejrzliwie.

– Nie rozumiem, jak ludziom może się podobać takie destylowanie słów.

– Warto sobie przypomnieć, że czasami ludzie mogą być cywilizowani i odrobinę wyrafinowani.

„I dokąd doprowadziło cię to przekonanie?”, pomyślał Alcázar. Ta rzekoma cywilizacja mogła być przerażająco zniechęcająca. Słowa i język wydawały mu się perwersją, która zawsze znajdowała sposób, żeby się jeszcze bardziej zapętlić. Stawiając książkę na półce, kątem oka przyglądał się staruszce. Wyglądała na niezwykle kruchą i drobną, a jednocześnie bardzo silną, jakby

skumulowane w kościach lata uczyniły ją twardszą. Jej twarz zachowała piękno, już nie młodości, ale czegoś znacznie subtelniejszego i naturalniejszego, malował się na niej spokój, który skutecznie hamuje pośpiech, z jakim czas zawsze stara się zakończyć nasze życie. Większość ludzi z biegiem lat nie staje się bardziej przytomna czy mądra, jedynie bardziej stara. Ale ona nie była jak inni ludzie.

– Z tego, co pamiętam, dawniej nie byłaś ani cywilizowana, ani wyrafinowana.

– To było, zanim przeczytałam Prousta – odparła z uśmiechem.

– Wciąż nie rozumiem ani słowa z tego, co pisze – mruknął Alcázar.

Anna spojrzała na niego z naganą, jakby był szkolnym nieukiem. Nagle inspektorowi wydało się, że widzi w jej spojrzeniu coś znajomego, a jednocześnie oskarżycielskiego, ślad swojego ojca, Ramóna Alcázara Suñera czy po prostu don Ramóna, jak zwracano się do niego w sądach, na ulicy i na komisariacie.

– Mogę powiedzieć, że Proust twierdzi, iż każda rzecz wraca z czasem na swoje miejsce.

– Co ma na myśli?

Staruszka pochyliła głowę i przesunęła czubkiem języka po górnej wardze, jakby starała się znaleźć właściwe słowa, w końcu jednak dała za wygraną.

– Jeżeli nie rozumiesz, nie potrafię ci tego wytłumaczyć – powiedziała, spoglądając na półkę. Jej wzrok padł na zdjęcie przedstawiające Alcázara u boku ojca, obu w mundurach, w dniu, kiedy syn został policjantem.

Lukas podszedł do staruszki i zaczął niuchać pod falbanami jej spódnicy. Z biegiem lat Anna Achmatowa nauczyła się panować nad strachem, jaki budziły w niej psy, zwłaszcza te przypominające wilki. Zachowała spokój, ale nie pogłaskała zwierzęcia. Lukas wrócił na rozgrzane przez słońce płytki. Alcázar nalał kawy i usiedli na kanapie, każde przy swojej poręczy, oddzieleni dwiema haftowanymi poduszkami. Inspektor przyglądał się, jak Anna w zamyśleniu miesza kawę, aż w końcu odłożyła łyżeczkę, z głośnym westchnieniem podniosła głowę i znów spojrzała na zdjęcie przedstawiające Alcázara z ojcem.

– Pamięć jest czymś niezwykłym. Wymyśla, jak chce, historię naszego życia, wykorzystując to, co jest jej na rękę, i odrzucając wszystko, co jej zawadza, jakby nigdy nie istniało... O tym właśnie mówi Proust.

Alcázar nie dał się zwieść jej spokojnym ruchom, właściwie dobranym

słowom, neutralnym opiniom. Znał Annę od lata 1967 roku i wiedział, że kiedy chce, potrafi być nieprzenikniona. Jej oczy świdrowały inspektora jak wiertarka beton.

– Odkąd umarła Laura, wciąż zadaję sobie pytanie, jaką rolę odegrałeś w jej śmierci. I w śmierci Zinowiewa.

Alcázar chłodno zareagował na jej słowa. Nawet nie mrugnął okiem, jedynie przecząco pokręcił głową, bez większego przekonania.

– Powinniśmy przerwać tę rozmowę. Jest dość niebezpieczna.

– Trochę na to za późno, inspektorze. Mieliśmy umowę, ja przez wszystkie te lata dotrzymałam mojej części. Nie wiem, czy pamiętasz, ale to nie ja cię odszukałam, to ty niedawno zatrzymałeś mnie na ulicy. Nie ja grzebię kijem w tym gównie.

Alcázar dotknął dłonią wąsów.

– Jeśli to przesłuchanie, powinnaś była mnie uprzedzić. Zawiadomiłbym swojego adwokata.

Anna uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Agustína Gonzáleza? Po tym, co powiedzieli w telewizji, jest skończony. To tylko kwestia czasu. A ty będziesz następny, przypuszczam, że masz tego świadomość.

– Nikt nigdy tak uprzejmie mi nie groził.

– Nie grozę ci. Po prostu staram się zrozumieć, jak mogłeś dopuścić do tego, żeby w całą sprawę wmieszał się syn Elíasa. Ostrzegałam cię, gdy chodziło o Laurę, ale nie chciałeś mnie słuchać. A teraz pozwalasz, żeby ten prawnik zanurzał się w bagnie, z którego nie będzie potrafił się wygrzebać.

– Przypominam ci, że to twoja córka pierwsza się do niego zbliżyła. Zapewniam cię, że gdyby nie to, że rozpoznałem ją na nagraniu z monitoringu, nigdy bym do ciebie nie podszedł.

– Tania nie będzie się więcej wtrącać. Już o to zadbałam. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– O Laurę i śmierć Zinowiewa. Co znajdzie jej brat, kiedy zacznie grzebać w sprawie?

– Nie podoba mi się ta rozmowa, Anno. Nigdy nie zrobiłbym Laurze krzywdy. Powinnaś to wiedzieć, po tym, co wydarzyło się nad jeziorem w sześćdziesiątym siódmym.

Staruszka zebrała puste filizanki i zaniósła je do zlewu. Przez kilka sekund

trzymała palce na zimnym blacie. Potem spojrzała na Lukasa. Stary pies drzemał w prążkowanym świetle wpadającym przez żaluzje. Przynajmniej on się rozgrzał. Odwróciła głowę w stronę Alcázara i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę; w głębi jej spokojnych oczu błyszczało światło. Nie chciała wyrządzić mu krzywdy. Ale czasami staje się to nieuniknione. Wręcz konieczne. Było jej z tego powodu niezmiernie przykro.

– Prokurator wydaje się bardzo pewnie stąpać po tym terenie.

– Gonzalo ma dowody. Nie wiem, jak je zdobył, ale mam pewne podejrzenia. Kiedy leżał w szpitalu, był bardzo zaniepokojony zniknięciem jakiegoś laptopa. Przypuszczam, że chodzi o komputer Laury, a osoba, która przekazała go Gonzalowi, była jej wtyczką w Matrioszce.

Staruszka wytarła dłonie ścierką. Uważała, że Matrioszka to dość śmieszna nazwa dla organizacji.

– Musisz za wszelką cenę odszukać tego informatora. Albo skończy się gorzej, znacznie gorzej niż w przypadku syna Laury.

Alcázar dostrzegł zmianę w ciemności obecnej w oczach Anny. To samo spojrzenie widział u niej tamtej nocy, kiedy stała w zakrwawionej koszuli na brzegu jeziora przy nieprzytomnym Elíasie. Spojrzenie przypominające delikatny trzask lodu, kiedy pęka pod stopami.

– Wiem, co myślisz, Anno. Mylisz się.

– Niby co myślę? Że zamordowałaś Zinowiewa i pchnęłaś Laurę do samobójstwa, żeby wyszło na to, że jest winna?

Alcázar wytrzymał jej spojrzenie.

– Powinnaś wrócić do swojej księgarni. Kto wie, może ktoś będzie chciał, żebyś wytłumaczyła mu, dlaczego ten cały Proust stracił tyle czasu na poszukiwanie straconego czasu.

Staruszka skinęła głową. Alcázar odprowadził ją do drzwi.

– Jaka ona jest? – zapytała Anna, trzymając dłoń na klamce.

Alcázar udał, że nie rozumie jej pytania.

– Katerina, jego żona. Jaka jest teraz?

– Stara, jak my. Nie nazywa się już Katerina. Nazywa się Esperanza.

– Zawsze myślałam, że moja matka byłaby lepszą żoną dla Elíasia...

Zbliżyła usta do policzka inspektora i złożyła na nim pocałunek, ulotny i delikatny niczym motyl. Ta wylewność wydała się Alcázarowi niestosowna i zbiła go z tropu.

– Co to miało być?

Anna Achmatowa posłała mu ostatnie spojrzenie.

– Nie ma nic złego w odrobinie czułości między dwojgiem samotnych ludzi, nie sądzisz?

Stary Lukas podniósł głowę, słysząc odgłos zamykanych drzwi. Powęszył w powietrzu i poczuł ostry zapach potu swojego starego pana. Z ufnością położył pysk na łapach i ponownie zapadł w drzemkę.

Nogi same zawiodły Gonzala nad morze. Przychodził tu, kiedy musiał pomyśleć. Odkąd był nastolatkiem, lubił siadywać na skałach falochronu i przyglądać się wodzie i wędkarzom, którzy ścigali tu o zmierzchu. Na brzegu stała jakaś dziewczyna. Chroniła się przed zimnem zarzuconą na ramiona chustą. Wieczory zaczynały być chłodne. Wiatr targał jej włosy, patrzyła na fale, może wyobrażając sobie, że jest syreną. Przez dłuższą chwilę spoglądała na boję kołyszącą się na wodzie przy wejściu do portu. Płynące wzdłuż horyzontu statki towarowe posuwały się tak wolno, że wydawało się, iż stoją w miejscu. Huk fal brzmiał jak zawsze, a ciemna bryła wzgórza Montjuïc, widoczna na końcu wybrzeża, przypominała zjawę. Dziewczyna nie zorientowała się, że zmierzcha i że przy promenadzie za jej plecami zapaliły się już latarnie.

Maszyna czyszcząca omiatała potężnymi reflektorami plażę, na której jak gdyby nigdy nic obściskiwala się jakaś pochłonięta sobą para. Na sąsiedniej ławce uliczny sprzedawca napojów w puszkach pił ciepłe piwo, którego nie zdołał sprzedać w ciągu dnia, i nucił pijackie piosenki ze swojego kraju. Dwóch młodych kieszonkowców polowało na rozkojarzonych turystów, dopóki nie wystraszył ich widoczny w oddali niebieski błysk radiowozu.

W pewnym momencie do Gonzala podszedł nieprzyjaźnie wyglądający bezdomny z zawieszoną na szyi tekturką ze zwiędłym komunikatem: „Jestem głodny!”. Jakby żądał daniny. „A co mnie to obchodzi! Pierdol się!”, pomyślał Gonzalo, przeszukując kieszeń i wręczając mężczyźnie kilka monet.

Wszystko to działo się wokół niego jednocześnie, ale miał wrażenie, że go nie dotyczy. Świat wydawał mu się nieznośnie brzydki, kiedy nie odwracał się do niego plecami i nie skupiał wzroku na morzu, nad którym zaczynał zapadać zmrok. Co takiego ma w sobie morze, że wszyscy szukają w nim odpowiedzi? Ogrom, wrażenie, że można stopić się z tym bezkresem i zniknąć.

Za Gonzalem stał z rękami w kieszeniach były inspektor Alcázar; opierał się

o latarnię i patrzył bezmyślnie na ten sam horyzont. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Przedstawiał sobą opłakany widok – w wymiętej, taniej marynarce i poluzowanym krawacie. Jego gęste wąsy okalał trzydniowy, nieregularny siwy zarost.

– Wszyscy bardzo się o ciebie martwią.

– Jak mnie pan znalazł?

Alcázar usiadł obok Gonzala i otarł chustką łysą głowę. Spod pach wyzierały mu wilgotne plamy. Schował chustkę i splótł palce, opierając łokcie na kolanach.

– Powiedzmy, że portier w twoim domu nie grzeszy dyskrecją. Jesteś przewidywalnym facetem, mam nadzieję, że Atxaga tego nie odkrył, w przeciwnym razie znacznie ułatwiasz mu sprawę.

– Nie potrzebuję niańki.

– Już mi to powiedziałaś w szpitalu. Wydaje mi się, że wyjaśniłem ci wtedy, że ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Szuka pan Atxagi i chroni mnie oraz moją rodzinę – wyliczył Gonzalo.

– Otóż to.

– I co jeszcze?

– Co masz na myśli?

– Co jeszcze robi pan dla mojego teścia? Dlaczego akurat pan, a nie kto inny?

Alcázar trafnie ocenił Gonzala już na ich pierwszym spotkaniu, tym sprzed trzydziestu pięciu lat. Adwokat był wtedy pięcioletnim chłopcem, małomównym, zamkniętym w sobie i zbyt poważnym na swój wiek. Kiedy siedział między matką i siostrą na ławce na komisariacie, wyglądał tak, jakby chciał się rozpląnąć. Widząc go w szpitalu, Alcázar zdał sobie sprawę, że nadal należy do osób, które wolą być niewidzialne. W przeciwieństwie do Laury. Trudno było uwierzyć, że są dziećmi tych samych rodziców.

– Przypadki to jedynie pozory, którymi zasłaniają się ci, którzy wolą nie wiedzieć więcej. Tobie też mogłoby to wystarczyć. Pewnie twoje życie byłoby wtedy spokojniejsze.

– Trochę na to za późno.

Alcázar pogładził się po wąsach, spoglądając na zachodzące słońce, które barwiło morze na fioletowo. Wyobraził sobie, co pomyślałaby o nim w tym momencie Cecilia; jeżeli żona czeka na niego w niebie, będzie musiał użyć całej swojej siły perswazji, żeby przekonać Piotra – swojego ulubionego

świętego – by go do niej wpuścił.

– Przypuszczam, że masz rację. Zawsze nadchodzi moment, w którym nie można się już wycofać.

Kiedy lekarze zdiagnozowali u Cecylia raka, nie robiła sobie nadziei, przyjęła wiadomość o chorobie bez rozgoryczenia, ze spokojnym fatalizmem, zasilanym przez wiarę. Jak nigdy wcześniej oddała się religii, chodziła na mszę dwa, trzy razy w tygodniu, żyła biblijnymi cytatami, modlitwą, komunią. Alcázar udawał wówczas, że zaraził się jej pobożnością, z rezygnacją odgrywał swoją rolę, byle tylko ją uszczęśliwić. Chodził z nią na nabożeństwa do kościoła Matki Boskiej Sosnowej, czekał cierpliwie, aż się wypowiada, a po powrocie do domu nie miał nic przeciwko temu, żeby siedzieć przy niej i czytać jej listy Świętego Pawła do Koryntian. Najbardziej lubiła fragment mówiący o sile miłości. Kiedy recytował słowa „miłość wszystko przetrzyma, miłość nigdy nie ustaje”, ścisła go za rękę, a on musiał ukrywać smutek i wściekłość na tego Boga, który w miarę jak postępowała choroba, niepotrzebnie zajmował w ich życiu coraz więcej miejsca – na Boga, któremu Cecilia oddawała się całą duszą, a który nie słuchał jej modlitw. Największą nienawiść czuł wtedy, kiedy w ostatnich tygodniach agonii Cecilia skręcała się z bólu, niezdolna wstać z łóżka, i wzywała Boga pośród krzyków i płaczu, a On milczał.

W niektóre dni Cecilia upierała się, żeby prowadzić życie udające normalność, jakby nie zdawała sobie sprawy, że choroba dzień po dniu rozwija się w jej wnętrzu, rozkładając ją od środka. Czasami jeszcze się kochali, seks nabrał łagodnego charakteru, czułości, powolnego tempa, dalekich dawnemu melodramatyzmowi i ekscesom. Zanim umarła, powiedziała mu, że śmierć ukazuje jej się w nocy: bez dramatów, bez napięcia, bez przemocy. Ta wizja pomagała jej spokojnie czekać. Poprosiła, żeby się za nią modlił, żeby nie odsuwał się od Boga, a on jej to obiecał.

Niedługo potem pojawiła się Laura; wyłoniła się z przeszłości, którą już za sobą zostawił. Alcázar wrócił do pracy, nie wspominając o śmierci żony, ale myślał o niej o każdej porze i to myślenie było nieustanną męką. Wypełniał swoje obowiązki z chłodną obojętnością; istoty ludzkie i ich problemy stały się dla niego odbiciem własnego bólu i straty. Zrobił się cyniczny i sceptyczny, małomówny i okrutny. Chodził wieczorami do tego samego kościoła, siadał w ostatniej ławce, oświetlonej słabym płomieniem świec wotywnych, i godzinami dyskutował z Bogiem, wpatrując się w twarz

wiszącego nad ołtarzem Jezusa, symbolu statycznej wieczności. Jego widok napawał go lękiem, był aluzją do jego nieszczęścia, jego własnej śmierci, jego samotności. Patrzył na ukrzyżowanego Chrystusa, przekonany, że są skazani, by przez wieczność spoglądać na siebie w milczeniu.

W przeddzień Wigilii przy ołtarzu kościoła Matki Boskiej Sosnowej chór ministrantów ćwiczył kolędy, a młody seminarzysta akompaniował im na gitarze. Obok inspektora usiadła jakaś kobieta, wyrrywając go z rozmyślań. To była ona, Laura. Uśmiechała się nerwowo, kiedy mówiła mu, kim jest. Alcázar zeszywniał, siedział nieruchomo, wstrzymując oddech, aż w końcu Laura się wystraszyła. Wyszli z kościoła, usiedli w kawiarni na placu malarzy. Wszędzie było mnóstwo świateł, ludzie dźwigali jodły i szopki bożonarodzeniowe kupione na świątecznym jarmarku Świętej Łucji naprzeciwko katedry, panowała zimowa radość, w której oni nie uczestniczyli. Długo ze sobą rozmawiali o tym, co się stało tamtego lata 1967 roku. Pierwszą rzeczą, która ich zaskoczyła i rozśmieszyła mimo powagi tematu, było to, że zupełnie inaczej zapamiętali te same wydarzenia.

Laura zachowała wspomnienie wystraszonej dziewczynki, która zjawiała się na komisariacie w towarzystwie matki i młodszego brata, żeby powiedzieć, że ich ojciec nie wrócił do domu po zabawie. W jej pamięci wyrzył się przekrzywiony tupecik Alcázara oraz kropla potu spływająca mu przez środek czoła i nosa, który wówczas (teraz mogła zrewidować tę opinię) wydawał jej się olbrzymi. Powiedziała, że pamięta również, o czym rozmawiali, gdy została z nim sam na sam w biurze; inspektor siedział z podwiniętymi rękawami koszuli, trzymał nogę na rogu drewnianego biurka i niecierpliwie poruszał stopą.

– Miałaś rozwiązana sznurówkę, chciałam się pochylić i ci ją zawiązać, ale byłam tak wystraszona, że nie odważyłam się ruszyć.

Wymieniała kolejne wspomnienia – inspektor zaproponował jej szklanekę wody, choć ona wolałaby, żeby poczęstował ją papierosami, które palił jeden po drugim. Pamiętała również, jak poruszając swoimi ogromnymi wąsami (które wtedy były jasne, a teraz niemal białe), przysunął się tak blisko jej twarzy, że niemal dotknął jej nosa, jak robią Eskimosi, i szepnął: „Nie wierzę ci, kłamiesz. A teraz powiesz mi prawdę”. I to, jak się wystraszyła, do tego stopnia, że wbiła paznokcie w dłoń, robiąc sobie krzywdę. Nie wiedziała, jak długo siedzieli zamknięci w jego gabinecie, ile razy powtórzyła tę samą historię: ojciec dostał napadu wściekłości, co mu się często zdarzało, bo nie

mogła sobie przypomnieć starego wiersza, był pod wpływem alkoholu, zniszczył meble w szopie i zaczął się na niej wyżywać (pokazała Alcázarowi siniaki i zadrapania na rękę, kolanie i szyi, niezbyt duże, ale widoczne), po czym jak zwykle po takich incydentach przytulił ją, pocałował i poprosił o wybaczenie.

Potem usłyszała silnik starego renault oddalającego się drogą wiodącą nad jezioro, a kilka godzin później znaleziono samochód na brzegu – miał otwarte drzwi, a w środku nikogo nie było. Na desce rozdzielczej leżała wiadomość napisana charakterem pisma Elíasa z lakonicznym pożegnaniem: „Muszę stąd uciec. Wybaczcie mi”. Ile razy to powtórzyła? Dziesięć, może więcej. W jej pamięci rozmowa z inspektorem ciągnęła się godzinami: ona powtarzała swoją litanię, a Alcázar czytał wiadomość od Elíasa, poruszając butem, i kręcił głową za każdym razem, kiedy mówił: „Nie wierzę ci”. Aż wreszcie wyznała mu prawdę, opowiedziała o Annie Achmatowej, Rosjance, która na początku lata wynajęła sąsiedni dom i miała córkę trochę młodszą od jej brata, Gonzala.

– W rzeczywistości rozmawialiśmy przez niespełna piętnaście minut – sprostował Alcázar. Tak jak w 1967 roku, nadal palił papierosy tej samej marki i tym razem poczęstował Laurę, obdarzając ją zmęczonym uśmiechem.

Tyle mniej więcej zajęło jej wyjawienie, co tak naprawdę się wydarzyło. Chciała to zrobić, uwolnić się od tego ciężaru. Był zbyt duży dla dziewczynki w jej wieku. Nie musiał jej straszyć ani być dla niej nieprzyjemny. Wystarczyło ją lekko popchnąć i czekać. Kiedy przestała zanosić się szlochem, pozwolił jej wrócić na korytarz do matki i brata, nakazując, żeby o niczym im nie mówiła. Alcázar pamiętał, że wszystkie jego mięśnie uaktywniły się jednocześnie w elektrycznym tańcu podniecenia i wątpliwości. Był wówczas młodym inspektorem, który aż do tamtej nocy nie prowadził żadnej poważnej sprawy; jego kariera rozwijała się w cieniu ojca, głównego inspektora brygady polityczno-społecznej w Barcelonie.

Jednak śledztwo w sprawie zniknięcia Elíasa Gila go przerastało. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu pozostała – przeczuwając, że będzie to najważniejsza sprawa w jego karierze, zadzwonił do ojca. Chciał, żeby powiedział mu, jak się do niej zabrać. Wówczas jego ojciec podjął decyzję, która na zawsze zmieniła życie ich wszystkich. Decyzję, która należała wyłącznie do Alcázara, Laury, Anny Achmatowej i samego Elíasa Gila.

Przez kilka długich, płynących powoli minut inspektor Alcázar błędził zagubionym spojrzeniem po falach łagodnie rozbijających się o skały. Czas zmieniał się w jego głowie w linię wydarzeń, jednak w odróżnieniu od większości śmiertelników linia ta nie przebiegała w sposób ciągły, ale krzywo i symultanicznie, tworząc błędne koło przekształcające przeszłość w teraźniejszość i na odwrót. Kim jest teraz? Starcem, który z nostalgią ogląda zachód słońca nad morzem w towarzystwie mężczyzny przekonanego, że zna całą prawdę. Tak samo myślał kiedyś on.

– Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, z których nie czuję się dumny. Ale nigdy nikogo nie zabiłem, zapewniam cię. Twoja siostra to wiedziała.

Tym razem Laura pojawiła się w jego wspomnieniach jako energiczna, zdecydowana kobieta. Za kilka miesięcy miało się odbyć Expo w Sewilli i olimpiada w Barcelonie, Hiszpania wrzała z podniecenia, pieniądze płynęły niewyczerpanym strumieniem, złodzieje, spekulanci i najemnicy ściągali ze wszystkich stron świata, by dostać swój kawałek tortu w postaci zamówień publicznych, umów na budowę pawilonów i siedzib, usług transportowych... Kraj szykował się do skoku w dół bez asekuracyjnej siatki, bacznie obserwowany przez połowę świata. Akurat w tamtym czasie wyszło na jaw kilka skandali związanych z prostytutką i wykorzystywaniem nieletnich, które szkodziły wizerunkowi silnego państwa i które politycy chcieli na zawsze pogrzebać. Alcázar dostał rozkaz utworzenia specjalnej brygady do walki z handlem dziećmi i wykorzystywaniem seksualnym nieletnich, ale była to nieprzemyślana decyzja, podjęta bez troski przez ludzi, którzy nie mając pojęcia o rzeczywistości, założyli, że zdołają ją poskromić obojętnym machnięciem ręki, i nie dali mu odpowiednich narzędzi ani nie zapewnili porządnego wsparcia ze strony właściwych instytucji.

Mimo to Laura uparła się, żeby mu pomóc, była pełna dobrych intencji, a przy tym nienaiwna, znała świat, dużo podróżowała, od jakiegoś czasu utrzymywała kontakt ze stowarzyszeniami zwalczającymi plagę wyzysku nieletnich. Było jednak jeszcze coś ważniejszego, co nie umknęło uwadze Alcázara. Od samego początku traktowała to jako coś osobistego, jej gorliwość miała związek z jej własnymi demonami; musiała je odpędzić, wyrzucić z siebie. Czy to ten entuzjizm sprawił, że przyjął ją do swojej jednostki? Może myślał, że potrzebuje kogoś z jej zapałem, kogoś, kto umiałby go przekonać, że to, co robi, choć wydaje się, że to mało, znaczy więcej niż nic, i że nie powinien tego zostawiać, chociaż miał wrażenie, że jego praca

jest bezcelowa. Jednak prawdziwa przyczyna, o której od czasu pierwszego spotkania już nie rozmawiali, była taka, że Alcázar czuł, iż jest jej to winien. Miał wobec niej dług, oboje o tym wiedzieli, i postanowił go spłacić.

Dziesięć lat później oboje byli skrajnie innymi ludźmi. Gra toczyła się o zbyt wiele rzeczy (choć tak naprawdę tylko o jedną – o pieniądze), a Alcázar szybko uzyskał potwierdzenie tego, co wcześniej podejrzewał. Kiedy postanowił ujawnić sprawę i włożył palec w oko osobom, które nie chciały być niepokozone, poczuł, że został sam. Jego przełożeni chcieli sensacyjnych nagłówków, ale nie skandali. Tak poznał Agustína Gonzáleza (nie mógł uwierzyć, że już od tylu lat współpracuje ze starym), adwokata, który umiał płynąć z prądem i wspinał się na grzbiet fali, broniąc każdego, kto miał pieniądze na jego astronomiczne honoraria. Stary był inteligentny, zrozumiał, że Alcázar nigdy nie sądził, iż zdoła pokonać jego klientów, świadom, że głównie musi płynąć dalej – chodziło jedynie o to, by zamaskować jego smród. Z łatwością przekonał go, że on także może skorzystać na koniunkturze, jeżeli będzie wiedział, co jest dla niego dobre.

W ten sposób stał się skorumpowanym policjantem, mimowolnie, ale i bez sprzeciwu. Pogodził się z tym, co wydawało się nieuniknione. Zatrzymywał, kogo mógł zatrzymać, dostawał odznaczenia i gratulacje, kiedy zamykał burdel czy rozbijał siatkę handlującą nieletnimi, a jednocześnie przyjmował pieniądze od Agustína w zamian za poufne informacje dotyczące jego klientów – mdliło go wtedy jakby mniej. Jawnie obracał się w towarzystwie wpływowych ludzi, którzy zapraszali go na weekend na polowanie do Cáceres czy na jacht u wybrzeży Ibizy, Rosjan, Azerów i Gruzinów, którzy zaczęli wyciągać macki w stronę hiszpańskiego wybrzeża, przepędzając konkurencyjne mafie z Włoch, Francji i Wielkiej Brytanii.

Tak właśnie poznał Zinowiewa, atletycznego, aroganckiego młodzieńca, stukniętego pedofila, który oferował usługi nieletnich. Do tamtego czasu Alcázar nie słyszał o Matrioszcze. To Laura wypisała tę dziwną nazwę nad wiszącym w jej gabinecie skomplikowanym drzewem o licznych gałęziach; na końcu jednej z nich figurowało zapisane dużymi literami nazwisko płatnego zabójcy Zinowiewa. Nie wiedzieli, czy Matrioszka jest tylko legendą, czy konkretną osobą kierującą tą skomplikowaną siatką, czy też konsorcjum, abstrakcyjnym tworem służącym Zinowiewowi i pozostałym za parasol. Kiedy Alcázar zapytał Rosjanina wprost, ten odpowiedział mu z okrutnym śmiechem:

– Niech pan lepiej zadba, żeby ta pańska kurewka nie zalała nam za bardzo

za skórę.

Alcázar próbował jej pomóc, Bóg i Cecilia wiedzieli, że starał się ze wszystkich sił. Kiedy zapędzała się za daleko, usiłował ją przekonać, żeby zajęła się swoją rodziną, żeby oceniła ryzyko, a jeżeli to nie wystarczało, osobiście udaremniał jej obławy, kierował jej śledztwa w ślepej uliczce albo błagał Zinowiewa, by porozmawiał ze swoimi przełożonymi, żeby rzucili mu jakieś okruchy, które zaspokoją głód Laury. Nawet się nie domyślała, ile razy ocalił jej życie. Ale zaszła za daleko. Zdobyła informatora, kogoś z samej organizacji.

Mimo nalegań Alcázara nie zdradziła mu jego nazwiska. Jej źródło zapewniało, że Matrioszka opłaca także policjantów i przedstawicieli innych władz. Laura myślała naiwnie, że jeżeli nie wyjawি mu więcej szczegółów, będzie bezpieczny. Uzyskała poparcie młodego prokuratora i sędziego starej daty nienawidzącego korupcji. Zdobyła nakazy przeszukania, doszło do pierwszych aresztowań, przeprowadzono obławy na szeroką skalę; Alcázar nie wiedział, jak osłabić jej zapał. Zaczynał rozumieć, że celem Laury jest Zinowiew, miał jednak świadomość, że na nim nie poprzestanie. Wykreśli, jedno po drugim, wszystkie nazwiska widniejące na drzewie wiszącym w jej gabinecie. A potem...? Potem dotrze do niego.

Działała gorączkowo, jak myśliwy, który wyczuł w pobliżu zwierzynę i wie, że jest w zasięgu ręki, że kuleje. Czy w ostatnim czasie zaczęła go podejrzewać? Być może. Oczywiście znała Agustína Gonzáleza, i nie dlatego, że był teściem jej brata (co mogło uchodzić za niefortunny zbieg okoliczności), ale dlatego, że odkąd wstąpiła do brygady, głośno było o ich starciach w sądzie. Kancelaria Agustína Gonzáleza nieraz udaremniała jej śledztwa, dopatrywała się formalnych uchybień, uznawała dowody za niewystarczające i osoby zatrzymane przez Laurę wychodziły na wolność. Nienawidziła go z całego serca. Agustín o tym wiedział, miał także świadomość, że nie zdoła jej kupić, mimo to kiedy ruszył projekt ACAS-y, zasugerował Alcázarowi, żeby ją wysondował. To był straszny błąd. Od tej pory Laura zaczęła się od niego odsuwać jak od zadżumionego. Nigdy go o nic nie oskarżyła, ale nie chciała już dzielić się z nim informacjami. Na krótko przed tamtym incydentem dowiedział się, że Laura zaczęła go sprawdzać. Odkrycie prawdy było kwestią czasu.

I wtedy wydarzyła się tragedia. Zinowiew postanowił działać na własną rękę i porwał syna Laury, Roberta. Alcázar dobrze pamiętał małego: był

żywym, nieco niesfornym chłopcem o szczególnej fizjonomii, jego małe podłużne oczka przypominały dwa nacięcia na okrągłej twarzy. Uwielbiał matkę. Alcázar dowiedział się o wszystkim, kiedy było już za późno. Laura pokazała mu tamten okrutny list – napisany odręcznie anonim ostrzegający, żeby przestała deptać im po piętach. Była przerażona, odchodziła od zmysłów, jakby nagle uświadomiła sobie potworność, jaką popełniła; jakby do tej pory nie miała pojęcia, z kim zadziera. Chłopiec miał wrócić do domu za dwa dni. Zinowiew przysiągł inspektorowi, że takie były instrukcje Matrioszki. Alcázar pierwszy raz mu zagroził: jeżeli nie odda natychmiast dziecka i jeśli chłopcu coś się stanie, za wszystko zapłaci. Rosjanin go uspokoił, zapewnił, że nie ma powodu do zdenerwowania. To tylko ostrzeżenie, pani podinspektor je zrozumie. Dlaczego więc go zabił? Przez pomyłkę, przez przypadek? Strzał z bliskiej odległości nie może być pomyłką. Może chłopiec zobaczył ich twarze, Zinowiew poczuł się zagrożony i postanowił na własną rękę i odpowiedzialność pozbyć się dowodów.

Po stracie syna Laura umarła za życia. W pracy wysłano ją na zwolnienie i zmuszono do podjęcia leczenia psychiatrycznego, ale ona już nikogo nie słuchała, nawet swojego męża, tego architekta z zamożnej rodziny. Jeszcze przed śmiercią Roberta w ich małżeństwie się nie układało. Oglądany codziennie horror wcześniej czy później zostawia ślady. Laura od lat brała środki nasenne, a i tak niemal nie spała. Potem pojawiła się amfetamina, alkohol. Alcázar widział u innych, a nawet doświadczył na własnej skórze, jak zło opanowuje spojrzenie i wszystko niszczy.

Kilka miesięcy później jej mąż wyprowadził się z domu i Laura już bez zahamowań dała się wciągnąć w otchłań destrukcji. Zażywała za dużo kokainy, za dużo leków przeciwlękowych, za dużo piła. Zjawiała się w mieszkaniu Alcázara w środku nocy kompletnie pijana albo naćpana i płakała, dopóki nie zasnęła wyczerpana na kanapie, a kiedy inspektor budził się rano, już jej nie było. Zaczęła się spotykać z dziwnymi typami, z każdym, kto zechciał dotrzymać jej towarzystwa. Praktycznie nic nie jadła, nie spała. Aż którejś nocy wywołała awanturę w pubie – była pod wpływem narkotyków, bramkarze nie chcieli jej wpuścić, więc wyjęła służbową broń i niechcący oddała strzał. Cudem nikogo nie zabiła.

Uciekła z miejsca zdarzenia, następnego ranka znaleziono ją w samochodzie całą zakrwawioną. Pocięła sobie ciało, bełkotała pod wpływem szoku. Została zamknięta na oddziale psychiatrycznym szpitala Vall d’Hebron. Kiedy

wyszła, czekali na nią ludzie z biura spraw wewnętrznych, odebrali jej broń i poinformowali, że zostaną jej postawione zarzuty w związku z incydem w barze. Po tym wszystkim, przez co przeszła, chcieli ją wyrzucić z policji. Śmierć Zinowiewa stała się gwoździem do jej trumny.

To, że popełniła samobójstwo, było melodramatycznym zakończeniem, w pewnym sensie niepasującym do Laury.

Niepasującym? Alcázar pokręcił głową, spoglądając na Gonzala. Prawnik trzymał głowę w dłoniach, jakby miała mu odpaść od szyi. Jego oczy okalały fioletowe obwódki, a usta drżały w nerwowym tiku. Budził litość, było bardziej niż oczywiste, że ta historia wystawia na próbę jego odporność i że jest bliski załamania. Odbierając sobie życie, Laura wciągnęła go w całą tę sprawę, zmusiła, by zamknął to, czego ona nie zdołała doprowadzić do końca. Nie pomyliła się co do niego, zważywszy na ból głowy, o jaki prawnik przyprowadził Alcázara. Nie ulegało wątpliwości, że jeżeli ktoś znał Gonzala Gila, to była to jego siostra.

Pomyślał, że to się nigdy nie skończy. Elías, Laura, a teraz Gonzalo. Dopóki nie zniknie ostatni z Gilów, przeszłość nie przestanie ich szukać i gryźć nocami.

– Musisz to zostawić. Natychmiast.

– Stary wysłał pana, żeby wyrzucić na mnie presję. O to chodzi?

Alcázar w zamyśleniu podrapał się po wąsach.

– Stary ma rację. Nie zdołasz ich pokonać, zniszczą cię, zniszczą twoją rodzinę, jak zrobili z twoją siostrą. To nie jest twoja wojna, nigdy tak nie było. Jesteś dobrym ojcem, skromnym, ale uczciwym prawnikiem. Niech ci to wystarczy, nie trać tego, bo to bardzo cenne. Jeśli chcesz, myśl sobie nadal, że twój ojciec był męczennikiem i że zabiły go takie sukinsyny jak ja. Zanieś matce kwiaty, napisz książkę... Ale zostaw to. Stary zapłaci ci za dom nad jeziorem pokaźną sumę, sprzedaj go. Zgódź się na fuzję kancelarii, patrz, jak dorastają twoje dzieci, zestarzej się u boku żony, nie musząc się martwić o pieniądze ani oglądać za siebie na każdym kroku. Żyj własnym życiem i nie myśl, że jesteś coś winien swojej siostrze. W końcu już prawie jej nie znałeś. To nie była twoja wina, nie do ciebie należy też zamknięcie tej historii.

– A jeśli tego nie zrobię? Jeśli nigdy tego nie chciałem: być ojcem i skromnym, ale uczciwym prawnikiem? Jeśli postanowię być wierny siostrze i dojść do samego końca?

– Już ci powiedziałem, że zniszczą ci życie.

– Nie zależy mi na nim – odparł Gonzalo zbyt pochopnie.

Alcázar trzepnął dłonią w kolano i wstał. Było już niemal ciemno. Wędkarze łowiący ze skał zapalili latarki. Morze stało się czarne. Inspektor poczuł ból w lędźwiach – za długo siedział zgarbiony. Wyjął z kieszeni zdjęcie i włożył je Gonzalowi do ręki. Wolałby tego nie robić, ale liczył, że to wystarczy, żeby go przekonać.

Fotografia przedstawiała jego córkę Patricię.

– Co to ma znaczyć?

– To zaledwie początek, Gonzalo. Zaledwie początek.

17.

BARCELONA, 1936–1937

16 stycznia 1936 roku Elías Gil i Katerina-Esperanza Orłowska pobrali się w urzędzie stanu cywilnego, przylegającym do barcelońskiego ratusza. On miał dwadzieścia cztery lata, a ona nie skończyła jeszcze osiemnastu. Uroczystość była skromna, naznaczyły ją niewyraźne cienie nieobecnych. Ojciec Elíasa zginął podczas buntu górników w październiku 1934 roku, skazany w trybie doraźnym i rozstrzelany w pobliżu Mieres wraz z innymi przywódcami związkowymi. Elías wylądował w Hiszpanii akurat na czas, żeby wziąć udział w jego pogrzebie. Był świadkiem straszliwych represji na obrzeżach Oviedo ze strony pomocniczych oddziałów Korpusu Afrykańskiego. Jego matka zmarła kilka miesięcy później w więzieniu dla kobiet w Saragossie.

To, o czym opowiadał José Díaz, uderzyło Elíasa jak grom z jasnego nieba. Ledwo miał czas opłakać rodziców. Słowa, takie jak wysiłek wojenny, rewolucja, porządek w komitetach, reorganizacja partii, zastępowały inne, jak żałoba, smutek, uczucia czy miłość. Widok spustoszeń dokonanych w Asturii przekonał Elíasa, że należy za wszelką cenę powstrzymać rząd Gila-Roblesa i odesłać CED-ę z powrotem do katakumb. Rzucił się w wir pracy, brał udział w zebraniach, konspiracji, zasypując swoje uczucia całymi łopatami ziemi, by zakryć dziurę, która była już ogromna i którą każdy, kto podszedł dostatecznie blisko, mógł dostrzec w jego skamieniałym oku bez życia. W ostatnich miesiącach 1935 i na początku 1936 roku coraz częściej spotykał się z ważnymi osobistościami partii, jak Dolores Ibárruri⁸ czy ten błyskotliwy młodzieniec Carrillo⁹; wiecom, strajkom i bojkotom zaczynała towarzyszyć narastająca przemoc na ulicach.

Któregoś dnia, niedługo przed wyborami w 1936 roku, spotkał w Madrycie Ramóna, przyjaciela z dzieciństwa. Uścisnęli się czule i zjedli razem kolację

w dyskretnej gospodzie w Aranjuez, z dala od wścibskich spojrzeń. Dokonali realistycznej i dość negatywnej oceny sytuacji – mogło być już tylko gorzej. Ramón piał się w górę w hierarchii CED-y, a Elías po tym, co widział w Asturii, stał się jeszcze bardziej zagorzałym komunistą. Padło sporo ostrych słów. W pewnej chwili wydawało się, że dzieli ich przepaść nie do pokonania, jak bywało w tylu innych miejscach: sąsiedzi, przyjaciele i bracia zaczynali się głęboko nienawidzić. Zdołali jednak wznieść się ponad te różnice.

– Przykro mi z powodu twoich rodziców.

Elías wiedział, że Ramón mówi szczerze.

– Przecież ty jesteś po stronie tamtych.

Mieli położyć na szalach wagi swoją odpowiedzialność za wszystko, co się działo? Elías przypomniał sobie słowa wdowy po Leninie – to nie idee nas zdradzają, ale ludzie, którzy wcielają je w życie. Czyż nie zostali porwani przez prąd, z którego nie da się wydostać, jak na Nazino?

Mimo że spotkali się w tajemnicy, dwa dni później Elías odwiedził Carrillo. Chłopak sprawiał wrażenie inteligentnego i zdeterminowanego. Otwarcie go ostrzegł: żadnych układów z wrogiem.

– Nie jest wrogiem, jest kolegą ze szkolnej ławki, przyjacielem z dzieciństwa.

Carrillo rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie pełne urzędniczego dystansu, z którego zaczynał już być znany.

– Tu nie ma przyjaciół, Elíasie. Oba światy dzieli linia i może się jeszcze nie zorientowałeś, ale oni stoją po jednej, a my po drugiej stronie.

Elías i Esperanza (wymazała swoje prawdziwe imię, by dać jasno do zrozumienia, kim chce być) wynajęli małe mieszkanie na wzgórzu Carmel, w ubogiej dzielnicy niepozornych domków i niewyafaltowanych ulic. Urządzili je skromnie meblami, które ludzie wystawiali na śmietnik albo które Elías dostał w prezencie od znajomych. Esperanza patrzyła, jak wspina się po zboczu, dźwigając materac czy kilka krzeseł, i czuła się szczęśliwa. Tworzyli razem coś nowego: wspólny dom, wspólne życie, Elías wydawał się stopniowo zapominać o przeszłości. Czasami przyłapywała go, jak z zagubionym wzrokiem głaszcze medalion ze zdjęciem Iriny i Anny, ale nigdy już nie rozmawiali o tym, co wydarzyło się na Nazino.

– Kochasz mnie?

– To właśnie mówi ta obrączka.

- Ty też to mówisz? Kochasz mnie?
- Gdybym cię nie kochał, po co bym się z tobą żenił?

Ludzie muszą kochać. Choćby mieli się do tego zmuszać. Tak myślała Esperanza, kiedy Elías całował ją szybko i unikał powiedzenia, że tak, że ją kocha. Ona jednak uczyniła z tej potrzeby cnotę. Nie miało dla niej znaczenia, ile czasu minie, zanim mąż poczuje do niej miłość; zamierzała poświęcić resztę życia na zatykanie dziury w jego duszy. Bo ona naprawdę kochała Elíasa – od pierwszego dnia, kiedy zobaczyła go podobnego do trupa w magazynie, gdzie ukrywał go Wieliczko. Od przyjazdu do tego obcego, niespokojnego kraju ani razu nie zadała sobie pytania, czy postąpiła słusznie. Wybór został już dokonany, liczyło się to, że miała w sobie wystarczająco dużo miłości, by kochać za nich dwoje.

Tamtego wrześniowego ranka lało jak z cebra w mieście, które nie przyjęło jeszcze do wiadomości, że trwa wojna. W lipcu generał Franco pokonał Cieśninę Gibraltarską wraz ze zbuntowanymi oddziałami wojsk stacjonujących w Afryce. Posłuszeństwo wypowiedziała także część armii z północy i z Kastylji, natomiast w Madrycie i w Barcelonie powstanie skończyło się klęską. Po rzezi z pierwszych dni przez kolejne miesiące kraj żył w dziwnym uniesieniu. Wszędzie widać było wspólne patrole milicji PSUC-u¹⁰, CNT¹¹, FAI¹² i POUM-u¹³ oraz służby bezpieczeństwa, które pozostały wierne Republice. Wielkie propagandowe plakaty podsycaly bojowość mieszkańców Barcelony, a radio bez przerwy nadawało patriotyczne odezwy i piosenki sławiące tradycję walki ludu Katalonii.

Przepojeni tym mistycyzmem obywatele czuli się bohaterami, wszyscy. Nieważne, że od czasu do czasu dochodziło na ulicy do strzelaniny czy nieuzasadnionych porachunków, że w szpitalnych kostnicach zaczęło brakować miejsca na przechowywanie zwłok. Trzeba było z tym żyć, włączyć te niezwykle zdarzenia do codzienności. Trzeba było pracować, dzieci musiały chodzić do szkoły, kina dalej wyświetlać filmy, jak *Bunt na Bounty* czy *Dzisiejsze czasy*, teatry przy alei Paralel dawać wieczorne spektakle, sklepy oferować sezonowe obniżki cen. Nikt nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co oczywiste. Mówiono, że za kilka dni wszystko się skończy, niektórzy nawet się cieszyli, widząc w zaistniałej sytuacji historyczną szansę, reakcyjni wojskowi wreszcie zdjęli maski i nie było już powodu, by przekładać

ostateczną czystkę pośród prawicowych sił politycznych, w Kościele i w armii. Nadszedł moment, żeby wyeliminować wszystkich wrogów, wyrwać z korzeniami puczystowskiego raka, który stale zagrażał hiszpańskiej demokracji.

Elías Gil przyglądał się tej euforii z uwagą i niepokojem.

– Chcemy czy nie, wszyscy będziemy inni niż przed osiemnastym lipca – powiedział, spoglądając na opancerzoną ciężarówkę FAI zaparkowaną na placu przed katedrą. Anarchiści byli chwilowo najlepiej zorganizowani – wysłali już na front oddziały ochotników i kontrolowali największy arsenał broni i sprzętu wojskowego, między innymi takie samochody.

Żeby dotrzeć w to miejsce, Elías musiał przejść kilka kontroli i minąć barykady wzniesione na La Rambla przez cywilnych członków różnych partii i związków zawodowych. Za każdym razem pokazywał legitymację attaché kulturalnego radzieckiego konsulatu mieszczącego się przy alei Tibidabo. Dokument zaświadczał, że Elías pracuje dla konsula Antonowa-Owsiejenki i ma za zadanie koordynować wymianę kulturalną między miejscowymi instytucjami i ZSRR, była to jednak zwykła przykrywka. W rzeczywistości, podobnie jak niemal cały personel konsulatu, podlegał mężczyźnie, który towarzyszył mu tamtego ranka – Ernó Geró, alias Pedro, alias Gere, alias Pierre.

Geró miał jakieś czterdzieści lat, choć nikt nie znał dokładnie jego wieku, i lubił drogie garnitury, zwłaszcza te, które szył sobie na miarę u krawca przy ulicy Ample. Miał słowiańskie rysy, był zagadkowy i trzymał dystans. Jedyne ciepłe elementy jego twarzy stanowiły mięsiste usta o sympatycznym wyrazie. Zawsze patrzył z ukosa, powściągliwie i z rezerwą. Mówił poprawną hiszpańszczyzną, nieco urywaną, i tylko kiedy naprawdę unosił się gniewem (na co nigdy nie pozwalał sobie w miejscach publicznych), rozwiązywał mu się język i krzyczał w ojczystym węgierskim.

Oficjalną funkcją tego mężczyzny, nieco niższego od Elíasa i przypominającego z wyglądu urzędnika skarbowego, było utrzymywanie stosunków z PSUC-iem, partią najbliższą tezom Stalina, i z jej głównym przywódcą, Joanem Comorera, a także nadzór nad partyjną gazetką „Trebll”. W rzeczywistości jednak był prawą ręką pułkownika Orłowa, rezydenta NKWD, nowo powołanej sowieckiej tajnej policji, która miała zastąpić OGPU. Geró stał na czele jej katalońskiego oddziału. Jego praca polegała na eliminowaniu szpiegów, defetystów i wszystkich osób podejrzanych

o działalność kontrrewolucyjną. Przede wszystkim jednak miał spowodować, by łańcuch zmian zapoczątkowanych przez bunt wojskowych nie wymknął się spod kontroli ZSRR.

– Lud zawsze ma rację, nieprawdaż? Jeżeli on wierzy, że zwyciężymy, to zwyciężymy. To właśnie chcą usłyszeć wszyscy ci ludzie. – Geró wskazał z pogardą brygadę POUM-u stojącą przy barykadzie wzniesionej z worków z ziemią między aleją Portal de l'Àngel a placem Catalunya, na wysokości budynku Telefóniki. – W rzeczywistości niemal zawsze się myli, bo nie dysponuje wszystkimi informacjami.

Elías rzadko polemizował ze swoim przełożonym. Ale Geró nie był w Asturii po masakrze z października 1934 roku. Dla Węgry Hiszpania stanowiła tylko kolejną, tymczasową placówkę. Kiedy wypełni swoją misję, wróci do partii komunistycznej we Francji, skąd przyjechał, albo zostanie wysłany w inne miejsce. Nie znał realiów tutejszego życia, nie rozumiał głębokiej nienawiści ludzi.

– Lud pragnie bezpośrednio korzystać z prawa do sprawiedliwości. Nikt nie zapomniał, co wydarzyło się dwa lata temu. – Elías pomyślał o ojcu rozstrzelanym przez pluton Regulares¹⁴ i o matce, która zmarła na gruźlicę w przepelnionym więzieniu. – Ludzie reagują przemocą, kiedy nadużycia władzy sięgają nieprzekraczalnych granic.

Geró spojrzał na niego z powagą.

– Lud to tylko taki eufemizm, Gil, nic takiego nie istnieje. Masy są ludem, kiedy leży to w naszym interesie, i przestają nim być, kiedy już nie są nam potrzebne. Nie należy lekceważyć demagogii, drogi przyjacielu. Chcą wyrównać kilka rachunków, pobawić się w wojnę, trochę porabować? W porządku, niech to robią. Żołnierze od starożytności żądają prawa do łupu. Uwielbiam historyczne analogie, ale nie jesteśmy w Cesarstwie Rzymskim. Prawo nie należy do ludu, należy do tego, kto nim rządzi. I tak powinno być – pierwszym wielkim zwycięstwem każdej rewolucji jest systematyczność, nie zapominaj o tym. Nie służymy chwili, służymy historii. Dlatego nie możemy pozwolić na orgie i przypadkowe represje. Najważniejsze jest wygranie wojny. Ci wszyscy członkowie milicji, związkowcy i lokalni przywódcy powinni to zrozumieć. Wolność jest przywilejem, którego nie można nadać masie, przynajmniej nie w tym momencie. Wojny są wygrywane i przegrywane na tyłach; potrzebna jest dyscyplina, skuteczna kontrola. Właśnie dlatego tu jesteśmy, ja i ty. To nie jest zabawa i nie dopuścimy, żeby się nią stało, zgoda?

Przecięli aleję Portal de l'Àngel, opuszczając obszar otoczony niegdyś rzymskim murem, zburzonym w XIX wieku, żeby otworzyć centrum miasta i połączyć je z Vila de Gràcia i nową częścią Eixample. Padało, mimo to Geró nie przyspieszył kroku. Wyglądało na to, że podoba mu się ten deszcz moczący jego elegancki granatowy garnitur. Wreszcie wskazał markizę kawiarni na rogu Gran Via de les Corts Catalanes.

– Chodźmy na kawę.

W kawiarni teatru Coliseum było niemal pusto. Na ścianach wisiały plakaty wzywające do walki, objęcia dzieci obowiązkiem szkolnym i wysiłku produkcyjnego. Szumne hasła kontrastowały z dużymi lustrami w barokowych ramach, podłogą z różowego marmuru, stolikami przykrytymi wykwintnymi lnianymi obrusami i kelnerami w kamizelkach, fartuchach i muszkach. W głębi sali jakiś gruby mężczyzna jadł jajka w kokilce, dolewając sobie kawy ze srebrnego dzbanka, i z posępną miną przeglądał dokumenty. Kawiarni pilnowali trzech mężczyzn siedzący przy sąsiednim stoliku. Pod ich garniturami wyraźnie odznaczały się pistolety.

Mężczyzną był pułkownik Orłow, bezpośredni przełożony Geró, a więc i Elíasa.

– Towarzyszu pułkowniku.

Orłow wyglądał na zmęczonego; prawdopodobnie nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat, mimo to miał przyprószone siwizną włosy, a policzki zwisały mu pod oczami jak rozbite kotlety. Oddychał głośno przez nos, z zamkniętymi ustami. Przywitał się z Geró skinieniem głowy i skupił uwagę na Elíasie. Przez kilka sekund przyglądał mu się bacznie z kamienną twarzą. Jego wzrok przyciągała zwłaszcza skórzana opaska.

– Słyszałem, że zostawiłeś na Syberii coś więcej niż oko.

Elías nie usłyszał w słowach pułkownika cienia ironii. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Minęły niemal trzy lata i chociaż co noc śnił o Nazino, nigdy o tym z nikim nie rozmawiał. To, co tam się wydarzyło, należało wyłącznie do niego.

– Zostawiłeś też lojalność wobec partii?

– Jestem tutaj, towarzyszu pułkowniku.

Orłow spojrzał kątem oka na Geró, w odpowiedzi Węgier lekko skinął głową. Pułkownik zmarszczył gęste brwi, przeżuwaszając jakąś myśl, i w końcu wypluł ją w formie parsknięcia.

– Siadajcie, towarzyszu.

Elías usiadł na krześle z wyprostowanymi plecami, nie dotykając oparcia. Geró stał po jego prawej stronie. Pułkownik Orłow wskazał Elíasowi dokumenty, które wcześniej przeglądał.

– Jak zapewne wiesz, Jagoda i Berman zostali usunięci ze swoich stanowisk i skazani na śmierć za zdradę stanu¹⁵. Wygląda na to, że raport Wieliczki jakimś sposobem trafił do adresata. Oczywiście świadectwo kilku zesłańców z Syberii nie było decydujące, ale kiedy zainteresowano się tą sprawą, i ono zostało wzięte pod uwagę. Przypuszczam, że jesteś zadowolony.

– Ja tylko przedstawiłem fakty opierające się na moich osobistych doświadczeniach, towarzyszu pułkownika.

– I zdołałeś wciągnąć w to instruktora, jego wujka, który jest bezpośrednim współpracownikiem Stalina, wdowę po Leninie i sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Hiszpanii. Mogli cię rozstrzelać za zdradę, za dezercję, ale jesteś tu, a teraz proszą mnie, żebym wykorzystał twoją znajomość hiszpańskich realiów. Problem w tym, że nie lubię ludzi, którzy nie robią tego, co powinni. A ty powinienesz być umrzeć na Nazino.

Elías nie odpowiedział. Życie ma cenę, która może być bardzo wysoka. Sądząc po jego wyrazie twarzy, pułkownik Orłow wiedział, ile musiał zapłacić Elías, żeby ocalić swoje.

Niektórzy przypisywali pułkownikowi wrodzoną umiejętność prześwietlania ludzi jednym spojrzeniem. Ta fałszywa opinia o jego naturalnych zdolnościach wynikała z władzy, jaką miał nad innymi i jaką emanowała cała jego postać. Ale Orłow był takim samym człowiekiem jak inni. Podobnie jak Jagoda i Berman on także żył w strachu, panicznie bał się czystek, które przeprowadzano masowo w ZSRR – urzędujący daleko na Kremlu Stalin mógł zmieść go z powierzchni jednym cmoknięciem. Im wyżej się stało, tym większy był lęk wysokości.

Właśnie brak strachu dawał Elíasowi przewagę. W odróżnieniu od nich nie dążył do żadnej władzy, nie dbał o własne interesy, zuchwale gardził życiem. Nie mogli mu nic zrobić. Absolutnie nic.

Orłow szybko to dostrzegł, dzięki czemu mógł nieco rozluźnić napiętą szyję.

– Ona żyje. Dziewczynka żyje.

Widząc, jak zmienia się wyraz twarzy Elíasa, uśmiechnął się z odrobiną okrucieństwa. Koniec końców każdy ma swoją piętę achillesową.

– Wiemy, że oddałeś ją temu kryminaliście, Igorowi Sternowi.

Elías powoli zamrugał okiem, jakby płatki śniegu, który spadł tamtej nocy

w 1933 roku, nadal ciążyły mu na rzesach. Zobaczył sylwetkę Igora poruszającą się na tle płomieni strzelających w kamiennym kominku: jedna połowa jego ciała była oświetlona, druga ukryta w mroku. Głaskał Annę po włosach jak kochający ojciec. Ale nie był ojcem, lecz potworem, wciąż miał na rękach krew Michaela, który leżał obok z poderżniętym gardłem. Martin konał przywiązany do słupa, po jego chudych nogach spływały odchody, tworząc pod bosymi stopami cuchnącą kałużę gówna i krwi. Elías został tylko brutalnie pobity. Zdrowe oko przyglądało się całej scenie przez przesłoniętą krwią siatkówkę. Zostali zaskoczeni we śnie. Byli wyczerpani marszem, stracili czujność, przekonani, że są bezpieczni. Michael jako pierwszy zobaczył, że Igor i jego ludzie wchodzą do chaty, wyciągnął rewolwer ukradziony oficerowi z Nazino i strzelił. Zabił jednego, ale pozostali rzucili się na niego i go zmasakrowali.

– Wydaje mi się, że zadali sporo bólu twojemu zniewieściałemu koledze. Znęcali się nad nim na twoich oczach, aż w końcu uznali go za martwego, ale żyje. To on opowiedział patrolowi, który znalazł go dwa dni później, o umowie, jaką zawarłeś z Igorem Sternem.

A więc Martin przeżył!

– Twój rudy przyjaciel nie potrafił tylko wyjaśnić, dlaczego Stern darował ci życie.

Elías przeszedł dreszcz na wspomnienie oddechu Igora, gdy ukucnął przed nim i pogładził go po klapie płaszcza. Wysyczał przez zęby, że nadal chce go mieć. Gdyby Elías dobrowolnie oddał mu okrycie na Nazino, zabiłby go na miejscu. Nie zrobił tego jednak. Upór Elías, wynikający nie z dumy, ale z szaleństwa, zaskoczył Igora. Można powiedzieć, że ten morderca darzył go z tego powodu szacunkiem. Elías udowodnił, że jest twardy, w przeciwieństwie do większości ludzi, których znał Stern. Nadszedł jednak moment, by podjąć decyzję.

– Zaproponował ci wymianę. Powiedział, że pozwoli ci odejść, ale dziewczynka umrze.

– Gdybym się nie zgodził, zabiłby nas oboje.

– Być może, i kto wie, czy nie byłoby to najbardziej honorowe wyjście. Uprzedził cię, co robi dziewczynce, jeżeli przystaniesz na jego propozycję. Nie zabije jej od razu, najpierw się nią pobawi, a potem odda ją swoim ludziom. Zapowiedział, że potrwa to kilka dni, kilka tygodni. A ty się zgodziłeś.

Pułkownik Orłow uważnie przypatrywał się Elíasowi.

– Nikt cię nie osądza. Wystarczy, że ty to czynisz. Człowiek robi to, co musi, tak brzmi moje motto.

Absurdalne, zwodnicze motto, pomyślał Elías. Nikt inny nie musiał stawić czoła błagalnemu spojrzeniu Anny, kiedy odchodził, zostawiając ją w rękach tych bestii. On tak.

Oddał mu płaszcz. Zdjął i oddał Igorowi. Ten przymierzył go i sprawdził, czy dobrze na nim leży, a następnie z grymasem obrzydzenia wrzucił go do ognia. Obaj patrzyli, jak zamienia się w czarną bryłę wydzielającą słodkawy zapach.

– Zatrzymaliśmy Igora Sterna osiem dni później, kiedy próbował napaść na pociąg. Zabiliśmy wszystkich jego ludzi, oprócz niego. Niósł na rękach dziewczynkę. Była... – Geró próbował znaleźć właściwe słowo, a ponieważ mu się nie udało, zrezygnował z tego, co chciał powiedzieć – żywa. Teraz jest pod opieką państwa.

– A co z Martinem?

– Został odesłany do swojego kraju za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Nie chcemy problemów z Jego Wysokością. Współpracował przy śledztwie w sprawie Nazino. Dobrowolnie zadeklarował, że zeznania podpisane przeciwko tobie przez niego, Michaela i Claude'a były nieprawdziwe.

– Igor Stern...

– To nie twoja sprawa – przerwał pułkownik Orłow, dając do zrozumienia, że już zbyt długo rozmawiali o rzeczach, które tak naprawdę niewiele go interesują. – Powinieneś natomiast wiedzieć, że partia rozumie, iż spotkała cię niesprawiedliwość, i nie będzie oceniać, czy to, co zrobiłeś, by przeżyć, było chwalebne czy nie. Teraz jesteś tu i tylko to się liczy. Zostaniesz awansowany do stopnia porucznika.

– Nie jestem wojskowym.

– Od dziś jesteś. Dostaniesz legitymację członkowską partii sowieckiej i dostęp do tajnych materiałów. Będziesz otrzymywał wynagrodzenie, zadamy też, żeby twojej młodej żonie niczego nie zabrakło.

„W zamian za to zachowasz milczenie. Jeżeli tego nie zrobisz, któregoś ranka ujrzysz tę historię w gazecie i stracisz cały prestiż, jakim cieszysz się w Asturii. Mit hiszpańskiego komunisty, który wrócił żywy z Syberii, zostanie obalony. A pewnego dnia ktoś strzeli ci w głowę w jakimś zaułku”. Orłow nie musiał tego mówić. Można to było wyczytać z jego spojrzenia.

Geró przyjaźnie ścisnął Elíasa za ramię. Plemienny znak uznania.

– Dogłębnie przestudiowałem twoją sprawę, Gil, i myślę, że możemy ci zaufać. Pracujesz dla konsula Antonowa i masz do niego bezpośredni dostęp, prawda?

Elías przytaknął.

– Znakomicie. Podejrzewam, że ten mienszewik nas zdradza. Przechodzi na stronę Andreu Nina, trockisty z POUM-u, co znacznie utrudnia mi układy z PSUC-iem i sekretarzem Comorera.

– Chcemy, żebyś zebrał materiały dowodzące tej zdrady – wtrącił poirytowany pułkownik Orłow.

– A jeśli jest niewinny?

– Nikt nie jest niewinny, dopóki ja tak mówię.

Spotkanie zostało uznane za zakończone, kiedy jeden z ludzi z jego obstawy przekazał pułkownikowi telegram. Dotyczył sytuacji na froncie aragońskim, niezbyt pomyślnych, wnioskuje po sposobie, w jaki Orłow zmarszczył czoło.

Na znak Geró Elías wstał od stołu. Kiedy wychodzili, Hiszpan zatrzymał się na chwilę, spojrzał na pułkownika i zapytał:

– Zobaczę ją jeszcze?

– Kogo?

– Annę Achmatową.

Pułkownik wbił w niego lodowate spojrzenie.

– Nie wiem, o kim mówisz. Zajmij się Antonowem.

Konsul Antonow-Owsiejenko został wezwany do Moskwy na początku 1937 roku. Kilka miesięcy później skazano go na śmierć za zdradę stanu. Większości zebranych przeciwko niemu dowodów dostarczył jego osobisty sekretarz, porucznik nowo powstałej Służby Wywiadu Wojskowego republikańskiej armii, Elías Gil. Nigdy nie udowodniono, że dowody te były prawdziwe.

18.

BARCELONA, WRZESIEŃ 2002 ROKU

Gonzalo wpadł do domu gnany złym przeczuciem. Zapomniał, że Alcázar kazał założyć alarm – ogłuszający dźwięk postawił wszystkich na nogi. W ciągu kilku sekund pojawiła się Lola w piżamie; patrzyła na niego wystraszona, jakby zobaczyła zjawę. Wprowadziła kod i wyłączyła alarm. Przenikliwe wycie nareszcie ustało.

– Co tu robisz? Jest trzecia w nocy.

– Patricia! Gdzie ona jest?

– W swoim pokoju. Co się dzieje?

Gonzalo bez słowa wyjaśnienia wbiegł schodami na piętro. Na korytarzu zobaczył Javiera i córkę. Obudził ich hałas, oboje mieli wystraszone miny. Na widok Gonzala Patricia natychmiast się rozbudziła, uwolniła z opiekuńczego uścisku Javiera i rzuciła ojcu na szyję. Gonzalo przycisnął ją do siebie tak mocno, że dziewczynka aż jęknęła, wtulając się z zadowoleniem w jego pierś. Odkleiła się od niego dopiero wówczas, gdy Lola zapytała cierpko, z jakiego powodu całe to zamieszanie. Gonzalo dotykał córki, jakby chciał się upewnić, że to na pewno ona. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że mógł ich wystraszyć. Uśmiechnął się nerwowo do Javiera, który spoglądał na niego z milczącą naganą. Musiał wymyślić na poczekaniu jakieś wytłumaczenie.

– Miałem złe przeczucie. Chciałem się upewnić, że wszystko u was w porządku.

Brzmiało to śmiesznie pośród otaczającej go normalności, którą zakłócił swoim wtargnięciem. Nagle poczuł się obco we własnym domu, z własną rodziną. Nic się nie stało, nic nie musiało się stać, ale zdjęcie Patricii, które Alcázar pokazał mu w charakterze pogróżki, dowodziło, jak kruche jest to bezpieczeństwo. Ani jego dzieci, ani Lola nie wyczuwały zagrożenia w spokojnym domowym zaciszu; jedynie on miał jego świadomość.

Javier powoli pokiwał głową – nie ze zrozumieniem, ale z czymś w rodzaju oskarżycielskiego pobłażania.

– Nie mogłeś poczekać do rana? Śmiertelnie nas wystraszyłeś – powiedział, przyciągając do siebie siostrę, jakby rościł sobie do niej prawo. Gonzalo zrozumiał, że jego syn przejął rolę pana domu, a on jest intruzem. „Ja mogę się nimi zająć”, mówiło wyzywające spojrzenie Javiera.

– Przepraszam – odpowiedział, starając się uspokoić chłopca.

Po dwudziestu minutach zjawił się Alcázar.

– Wszystko w porządku?

Jego twarz wyrażała szczerą niepokoj. Unikał wzroku Gonzala, skoncentrował się na Loli i dzieciach, obsypując ich uprzejmościami. Kiedy Lola powiedziała, że to był fałszywy alarm, inspektor rzucił Gonzalowi krótkie, ale znaczące spojrzenie. „To dopiero początek, możesz to jeszcze powstrzymać”. Z premedytacją pogłaskał Patricię po policzku.

– Twój tatuś bardzo się o ciebie niepokoi.

Gonzalo zawrzał ze złości, ale zdołał się pohamować. Lola odprowadziła inspektora do drzwi, dziękując mu, że przyjechał, i przepraszając za kłopot. Alcázar pożegnał się jasnym, szczerym uśmiechem, którym karciał Gonzala za jego dziecinny impuls.

Lola poprosiła Javiera, żeby położył Patricię do łóżka. Dziewczynka zaprotestowała, przytuliła się do ojca i rozplakała. Gonzalo musiał użyć całej swojej siły perswazji, by przekonać ją, żeby poszła z bratem.

– Nie masz prawa zjawiać się tu w taki sposób! – skarciła go Lola, kiedy zostali sami.

Gonzalo zastanowił się nad doborem słów, nad tym, co może powiedzieć, a co powinien przemilczeć. Odczuwał wielką potrzebę opowiedzenia Loli, co się dzieje, ale nie wiedział, jak uporządkować wydarzenia i oddzielić je od tego, co dotyczyło tylko ich obojga. W końcu zwyciężyła ostrożność. Był to najlepszy sposób, żeby ich chronić, pozwolić, żeby przynajmniej częściowo trzymali się z dala od tego wszystkiego. Alcázar wyraźnie go ostrzegł: żadnej policji, żadnej ucieczki. Niech wszystko toczy się dalej tak, jak powinno.

– Miałem przeczucie, że Atxaga kręci się wokół domu – skłamał.

Lola westchnęła i odrzuciła do tyłu głowę, jakby zachłannie szukała spojrzeniem jakiegoś miejsca, w które mogłaby uciec.

– Mój ojciec dba, żeby do tego nie doszło – powiedziała z zamierzonym okrucieństwem. Zamilkła, pożałowawszy, że uległa przemożnemu impulsowi,

żeby zranić Gonzala. Ale słowa zostały już wypowiedziane; nadal odbijały się echem w salonie.

– Twój ojciec... Co ty wiesz o swoim ojcu i jego ambicjach.

Także on powinien był się ugryźć w język, zanim wszedł na równię pochyłą bezsensownej zemsty, tym bardziej że wiedział, iż jego słowa się urwą, zakończą niepokojącym wielokropkiem, którego Lola nieufnie się uczepliła.

– Co z nim?

Czekała, aż Gonzalo coś doda. Nie zrobił tego, a ona była już zmęczona tym ciągłym milczeniem swojego męża. Milczeniem, które – teraz to wiedziała – mogło trwać latami i nagle bez powodu eksplodować. Dziwne, ale wyznanie Gonzala (że wiedział, iż miała romans i że Javier nie jest jego synem) zawstydziło ją tylko na chwilę. Teraz przygniatało ją rozżalenie – zmusił ją, żeby czuła się winna, żeby udawała do upadłego przez osiemnaście lat. A on od początku o wszystkim wiedział.

– Co z ciebie za człowiek?

Gonzalo nie odpowiedział. Jego twarz była zwrócona w inną stronę. Lola na próżno czekała jeszcze przez kilka sekund, że zareaguje na jej prowokację. Pomyślała, że coś ostatecznie pękło. Ich związek, ich małżeństwo są skończone. Ta pewność przyniosła jej poczucie wyzwolenia, które brało górę nad żalem.

– Jeśli chcesz, możesz się przespać na kanapie... I ani mi się waż palić w moim domu.

Bezsensowne złośliwości, głupie, małostkowe rewanże, za którymi kryło się tyle odwetów z przeszłości; plątanina sprzecznych uczuć i wyrzutów, które nie miały jak wyjść na światło dzienne. Tym się oboje stali.

Gonzalo położył się w ubraniu na kanapie. Ciemność miała różne odcienie, można było w niej dostrzec zarys mebli. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w ciszę, w jej echo zamknięte w otaczających go przedmiotach, w zmagazynowane tu kłótnie, radości, śmiechy i płacze, które już do niego nie należały. Pytanie Loli nie dawało mu spokoju. Co z niego za człowiek? Człowiek, który mimo wszystko kocha swoją rodzinę. I który zrobi, co będzie trzeba, żeby ją chronić.

Wstał i poszedł do garażu. Na górnych półkach stały pudła z rzeczami jego matki, ale nie ich szukał. Wspiął się na drabinę, świecąc sobie latarką, odsunął leżące na wierzchu graty i wymacał ręką metalową skrzynkę owiniętą w folię. Otworzył ją i zbladł.

Nie było go. Nie było starego, zardzewiałego rewolweru.

Hałas sprawił, że odwrócił głowę w stronę wyjścia. Poświecił latarką i zobaczył znikający cień.

– Javierre? To ty?

– Pani Márquez odwołała wizytę. To już łącznie... – Luisa zajrzała do kalendarza, przyciskając kartkę paznokciem – cztery odwołane spotkania z klientami. Czy to nie wspaniałe? Ty masz cały dzień wolny, a ja zostanę bez pracy.

Gonzalo zapadł się głębiej w swój fotel.

– Będą następni, nie przejmuj się. Nie stracisz pracy.

Luisa szukała w głowie jakiejś uszczypliwości, ale przynajmniej tym razem jej słynna zjadliwość nie znalazła ujścia w formie komentarza. W szufladzie biurka leżała wiadomość, którą tego ranka osobiście przekazała jej sekretarka Agustína. Chcieli, żeby dla nich pracowała, z pensją znacznie przyzwoitszą niż to, co płacił jej Gonzalo, a już na pewno wyższą niż zasiłek dla bezrobotnych, który czekał ją, jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie. Weszła do gabinetu Gonzala zdecydowana złożyć wymówienie, ale na widok jego przegranego wyrazu twarzy nie była w stanie się na to zdobyć.

– Stary nieźle dokręca śrubę. Odbiera mi klientów, wyrzuca mnie z budynku i chce mi ukraść najlepszą asystentkę w Barcelonie.

Luisa oblała się rumieńcem.

– Widziałem wiadomość na twoim biurku, zanim ją schowałaś. Powinnaś się zgodzić, to dobra oferta.

– Powinnam? Może i tak, ty za to powinieneś się ogolić i zmienić koszulę. Gdyby przypadkiem pojawił się jakiś klient, nie potrzebowalibyśmy twojego teścia, żeby go odstraszyć. Sam byś to zrobił. – Luisa otworzyła drzwi gabinetu i zatrzymała się w progu z ręką na klamce. – Warto? Tracić wszystko z powodu tego domu? Nie kwestionuję twojej decyzji, po prostu pytam.

Nie chodziło o dom czy o to, że teść chciał narzucić mu swoją wolę szantażem i groźbami. Chodziło o coś ważniejszego, o coś, czego Gonzalo nie mógł wytłumaczyć.

– Tak, warto. – Chciał, żeby jego stwierdzenie zabrzmiało bardziej zdecydowanie, ale sam nie był go pewien. Luisie jednak to wystarczyło.

– No cóż, może serwowanie kawy w centrum handlowym wcale nie będzie

takie złe. Trzeba poszerzać horyzonty.

Kiedy został sam, otworzył szufladę i spojrzął na medalion kryjący niewyraźną twarz Iriny. Pomyślał o rozmowie, którą odbył z matką. Jego ojciec kochał tę nieznaną kobietę, prawdopodobnie tysiące razy mechanicznie powtarzał gest, który teraz wykonywał on – gładził tę zniszczoną powierzchnię, to zatarte imię. Może Alcázar ma rację. Może jego ojciec nie chciał do końca życia być niewolnikiem własnej legendy.

Czuł, że zaraz pęknie mu głowa. Jakby dwa konie szarpały go w przeciwnych kierunkach, naciągając mu mięśnie i łamiąc kości. To, o co prosił go Alcázar, oznaczało zdradę nie tylko wobec Siaki czy wobec siostry, ale i wobec siebie samego, pogodzenie się z tym, że niezależnie od swoich marzeń i ideałów nie jest żadnym bohaterem ani nie ma powołania, by nim zostać. Był przeciętnym prawnikiem, bez pracy, bez ambicji, ojcem znienawidzonym przez własnego syna. Mężem, który rozbił swoje małżeństwo upartym milczeniem. Ojcem, który nie potrafi chronić swoich dzieci i który niepotrzebnie naraził je na niebezpieczeństwo. Dlaczego, Gonzalo? Przez dumę? Co zamierzasz udowodnić? Komu? Nie wiedział, co robić, do kogo się zwrócić. Schował medalion i wyszedł na korytarz.

– Stary jest w swoim gabinecie?

– Hej, nie zajmuję się szpiegowaniem konkurencji.

Gonzalo nie miał nastroju do wysłuchiwania uszczypliwości Luisy. Asystentka od razu to wyczuła.

– Wydaje mi się, że wyjechał. Tournée po Azji.

Wybrał dobry moment, pomyślał Gonzalo. Wali się umowa z ACAS-ą, Alcázar grozi, że zrobi krzywdę Patricii, a stary rozpływa się w powietrzu. Sukinsyn na prawo i lewo chwalił się swoimi wnukami, ale bez wahania wykorzystał je, żeby go szantażować. A potem zniknął.

Potrzebował świeżego powietrza.

Wcale się nie oszukiwał. Naprawdę potrzebował czegoś innego. W ostatnich tygodniach został stałym bywalcem Flighta. Zaglądał tam wieczorem z nadzieją, że spotka Tanię. Jego jedyne przyjemne myśli w ostatnich dniach dotyczyły tej rudowłosej kobiety. Gonzalo nie robił sobie nadziei, ale nie mógł się powstrzymać, żeby o niej nie fantazjować.

Tamtego popołudnia Wasilij powitał Gonzala dyskretnym uśmiechem

i zaproponował mu kawę. Z czasem zaczęli prowadzić rozmowy, które prawnik nieudolnie starał się skierować na temat Tani, jednak właściciel najchętniej opowiadał o ozdabiających lokal starych zdjęciach z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Łatwo się z nim gawędziło, był strasznym gadułą. Do 1941 roku pracował jako instruktor w lotniczej akademii, Osoawiachimie. Następnie został wysłany na granicę białoruską, gdzie zaskoczyła go niemiecka ofensywa po tym, jak Hitler złamał pakt i zaatakował Związek Radziecki. Walczył z nazistami jako członek eskadry pilotów, ale kilka dni po rozpoczęciu wojny został zestrzelony niedaleko polskiej granicy. Dostał się do niewoli i trafił do obozu jenieckiego w Polsce. Jego koledzy z tamtych czasów z dumą pokazywali przyznane im Ordery Lenina, natomiast Wieliczkę oskarżono po wojnie o zdradę. Uznano, że tak naprawdę wcale nie został strącony przez myśliwiec wroga, ale próbował zdezerterować, tyle że skończyło mu się paliwo i dlatego spadł. Skazano go na dwanaście długich lat w gułagu przy kazachskiej granicy. Odbył karę do końca. Kiedy w 1957 roku wyszedł na wolność, nie miał rodziny, która by na niego czekała, nie mógł nigdzie znaleźć pracy i nikt nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Nikt poza Anną Achmatową, matką Tani.

Gonzalo zauważył, że spod podwiniętych rękawów koszuli Wieliczki wystaje numer wytatuowany na wewnętrznej stronie przedramienia. Skóra się zmieniała, upływ lat zamazywał tusz, mimo to numer nadal był widoczny na ciele. Zadał sobie pytanie, czy to dzieło Niemców z obozu koncentracyjnego w Polsce, czy też jego rodaków z Syberii.

– Dlaczego wciąż darzy ich pan wciąż, skoro pana zdradzili?

Wieliczko spojrzał na niego ze smutkiem. Trudno było opowiadać o koleżeństwie na froncie, o strachu, który łączy ludzi z taką samą siłą, z jaką ich dzieli, o najpodlejszych zdradach wybaczonych dzięki nagłemu przyływowi heroizmu.

Trudno było także ugryźć się w język i nie opowiedzieć Gonzalowi o Elíasie Gilu. Anna kazała mu przysiąc, że nigdy o nim nie wspomni, a gdyby się dowiedziała, że Gonzalo zagląda do baru, wpadłaby w szal. Wasilij wiedział, do czego jest wtedy zdolna. Mimo to postanowił zaryzykować i postąpić wbrew jej woli, bo Gonzalo bardzo – za bardzo – przypominał mu swojego ojca, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Słowa, jeżeli ich nie doświadczamy, są złudzeniem, o którym szybko się zapomina.

– Lud potrzebuje czegoś, w co mógłby wierzyć, a ta wojna była naszą

wspólną sprawą. To, co wydarzyło się wcześniej, i to, co wydarzyło się później, jest zarazem tragiczne i śmieszne. Nie potrafię wybaczyć ludziom, którzy zhańbili te ideały. Ale podczas wojny byliśmy wolni. To coś, czego nie da się wytłumaczyć. – Czas Wasilija, Anny i Elíasa już minął, Wieliczki nie interesowało nic poza wyidealizowaną przeszłością, zakurzonymi zdjęciami; nie chciał, by pytało go, dlaczego tu wiszą i co oznaczają.

Staruszek odwrócił głowę w stronę drzwi i mruknął:

– Wygląda na to, że pojawiła się wreszcie osoba, która cię interesuje. Nie musisz już dłużej mi się podlizywać. Oto nadchodzi prawdziwy cel twojej wizyty – powiedział, wskazując wejście do baru.

Tania Achmatowa wynegocjowała z niebem wymianę przysług. Wyglądała promiennie. Miała na sobie luźną granatową koszulę, pasującą kolorystycznie do kreski na powiekach i naszyjnika ze sznurka, który sięgał jej do rowka między piersiami. Obcisłe dzinsy ściągnęła szerokim paskiem. Na stopach miała sandały na obciągniętym sznurkiem obcasie, które sprawiały, że znacznie przewyższała wzrostem Gonzala. Prawnik poczuł się niezręcznie i głupio, kiedy wstał, żeby się z nią przywitać. Choć obok było wystarczająco dużo miejsca, Tania usiadła przy barze tak blisko niego, że niemal stykali się łokciami.

– Dobrze wyglądasz. Niedługo nie będzie śladu po pobiciu.

Gonzalo odruchowo dotknął boku. Może i ślady po ciosach wkrótce znikną, ale ból żeber nadal dawał mu się we znaki.

– Twój tatuaz na szyi jest bardzo ładny – powiedział nazbyt śmiało, czym najwyraźniej rozbawił Tanię. Odwróciła się bokiem, żeby zaprezentować go w całości.

– Tatuaze mają znaczenie, są swego rodzaju deklaracją intencji. Lubię motyle, mam jeszcze kilka na innych częściach ciała – dodała kokieteryjnie.

– Co jest deklaracją twoich intencji? Latanie, skrzydła, wolność?

Nie było to aż tak oczywiste – chodziło raczej o metamorfozę.

– Kiedy byłam bardzo mała, mieszkałam w dość odosobnionym miejscu, na wsi, w budynku, który w latach siedemdziesiątych służył za lazaret dla kalek i chorych umysłowo wojskowych. Nie był ładny, nawet z zewnątrz. Miał betonową fasadę, niemal pozbawioną okien. Za to okolica była prześliczna, zwłaszcza wiosną. Budynek otaczały łąki, w pobliżu znajdował się las sosnowy. Gdy kończyła się pora chłódów i deszczy, pączki przeobrażały się w kwiaty, jakby obudziły się wszystkie tego samego dnia,

a z lasu wylatywała chmara motyli. Widowisko trwało zaledwie kilka godzin i było niesamowite. Kiedy położyłeś się na trawie i leżałeś bez ruchu, w kilka sekund twoje ciało obsiadały setki motyli: usta, rzęsy, palce, nos. Jednocześnie poruszały skrzydłami, a ty czułeś, że mogą podnieść cię z ziemi, wciągnąć w ten wir kolorów i radości i zabrać daleko od tego straszego budynku. Ale jeżeli udało ci się oprzeć pokusie, żeby z nimi odlecieć, jeżeli nadal leżałeś nieruchomo, wstrzymując oddech, wtedy spotykało cię coś jeszcze lepszego – czułeś, że stopniowo zamieniasz się w jednego z nich, że przechodzisz mutację, jakby twoje ludzkie ciało było skorupą kokonu, nie twoją prawdziwą naturą.

Wasilij Wieliczko przysłuchiwał się ich rozmowie z przymkniętymi oczami. Tania już nieraz opowiadała tę historię, wkładała w to jednak tyle pasji, że miał wrażenie, iż słyszy ją pierwszy raz. Niemniej jednak w milczeniu pokręcił głową.

– Ja z miejsca, o którym mówisz, pamiętam nieznośne chmary komarów i much. Nie było gdzie się schronić przed tymi przekłętymi owadami. Widziałem muły, które traciły zmysły od ich ugryzień i rzucały się w przepaść, i ludzi tak rozwścieczonych, że byli gotowi strzelać do tej czarnej, unoszącej się w powietrzu masy. Nie pamiętam żadnych motyli.

Tania pogłaskała mężczyznę po rękę.

– Ja też pamiętam owady, a matka opowiadała, że musieli wychodzić w pole w chustkach zakrywających twarze i w grubych gumowych rękawicach, a na tyłach furmanek umieszczając dymiące pochodnie, ale nie miałam ochoty wytatuować sobie końskiej muchy.

Wieliczko spojrzął na nią z rozczeniem. Pomyślał, że pamięć jest krajobrazem, który każdy z nas wybiera, żeby za nim tęsknić albo żeby go nienawidzić.

– Ty nigdy nie będziesz prawdziwą Sybiraczką.

Tania zmieniła się na twarzy. Dopiła piwo i wstała.

– Jest bardzo późno, powinniśmy już iść. – Podeszła do staruszka, szepnęła mu kilka słów w jego języku, po czym pocałowała go w policzek.

– Co mu powiedziałaś? – zapytał Gonzalo, kiedy znaleźli się na ulicy.

– Stare przysłowie, które często powtarza moja matka: tęsknota za przeszłością jest jak ściganie wiatru.

Gonzalo włożył ręce do kieszeni spodni i odwrócił głowę. Tania nie mogła zobaczyć jego zasępionej miny.

– Ty też tak uważasz? Że tęsknota za przeszłością jest jak ściganie wiatru?

– Owszem.

– Ledwo pamiętam ojca. Wiem, że kiedy była ładna pogoda, zabierał mnie nad jezioro na ryby. Wiem to, bo matka opisywała mi wszystko ze szczegółami, i wmawiam sobie, że to prawda, że pamiętam go, jak patrzy w głąb jeziora, jak opowiada mi jakąś historyjkę, jak uczy mnie trzymać wędkę i ostrożnie obracać kołowrotkiem. Mówię o tym, jakby wydarzyło się naprawdę, ale to tylko pożyczone wspomnienie. – Wzrok Gonzala spochmurniał, kiedy przypomniał sobie moment, w którym zapytał Javiera, czy to on wziął jego rewolwer. – Zastanawiam się, czy właśnie w ten sposób dzieci zapamiętują rodziców i czy mój syn będzie myślał o mnie jak o urojeniu.

Tania popatrzyła na niego z czułością.

– Spojrzenie dzieci zawsze jest niesprawiedliwe. Dopóki same nie zostaną rodzicami.

„Nie mam pojęcia, o czym mówisz”, odparł Javier, ale Gonzalo wiedział, że kłamie.

– A co powiesz o spojrzeniu, którym my, rodzice, osądzamy nasze dzieci?

Tania wzięła go pod ramię i przywarła do jego boku.

– Nie wiem, nie mam dzieci. Ale założę się, że znajdziesz w końcu jakieś rozwiązanie tego, co tak cię dręczy... Myślę, że czasami wystarczy stawić czoła sytuacji.

Jakie to proste, pomyślał Gonzalo. Jak banalne są słowa. I jak czasami prawdziwe.

Na pozór bez wysiłku przekroczyli niewidzialną granicę – oboje byli tego świadomi, próbowali niespiesznie na nowo się umiejscowić. W tej chwili Gonzalo nie chciał o niczym myśleć, pragnął jedynie dać się ponieść temu nowemu doznaniu. Ukryć się w nim, zanim wróci do rzeczywistości. Tylko na kilka minut.

Stanęli przed wystawą księgarni Karamazow. Tania wyjęła klucze, kołysała nimi, trzymając je w palcach. Starła się sprawiać wrażenie beztroskiej, jednak wypadło to niezbyt wiarygodnie. Gonzalo bał się, że zaprosi go na górę, a jednocześnie bardzo tego pragnął; Tania włożyła klucz do zamka i pchnęła drzwi. Zapaliła światło w korytarzu i odwróciła się, żeby go pożegnać. Gonzala przeszły myśl, że liczy się wyłącznie teraźniejszość, że poza tą chwilą nie istnieje przeszłość ani przyszłość. Waliło mu serce.

Tania uśmiechnęła się do niego, jakby widziała, co ma w środku, jak na zdjęciu rentgenowskim.

– Chcesz wejść?

Gonzalo nie był w stanie zapanować nad przeklętym sercem. Łup, łup, łup. Jedna stopa chciała zrobić krok naprzód; druga chciała uciec.

– To chyba nie najlepszy moment – powiedział, desperacko próbując się trzymać za progiem, który otwierał się przed nim w postaci ust. Kiedy będzie najlepszy moment, Gonzalo? Może będziesz na niego czekał, a on nigdy nie nadejdzie.

Nieważne, czyje usta wyruszyły na poszukiwanie czyich. Liczyło się jedynie to, że jedno i drugie pragnęły się spotkać.

O świcie Barcelona traciła kontury. Mogła być każdym innym miejscem, nie miałyby to znaczenia. Geografia jest jedynie stanem ducha. Gonzalo szedł ulicami, które o tej porze należały wyłącznie do niego. Zapalił papierosa i oparł się łokciami o barierkę na wiadukcie biegnącym nad pustą aleją. Światła zmieniały kolor jak w bezsensownej, głupiej zabawie. Zobaczył kota przecinającego ulicę niczym samotny jeździec i obejmującą się parę, zmęczoną, szczęśliwą, pewnie składającą sobie obietnice, które w tym momencie wydawały jej się możliwe do spełnienia. Skóra Tani wciąż była przyklejona do jego skóry, jego palców, jego paznokci. Jej perfumy unosiły się na powierzchni jego koszuli, wystarczyło głęboko wciągnąć powietrze, żeby zatrzymać ich zapach. Zobaczy ją jeszcze? Na pewno. Kiedy tylko go o to poprosi.

Bez względu na to, co powiedziała mu staruszka.

Natknął się na nią, kiedy usiłując nie robić hałasu, zszedł ze schodów. Siedziała w fotelu naprzeciwko lady. Gonzalo wystraszył się, widząc w ciemności jej sylwetkę. Na początku myślał, że śpi z otwartą książką i okularami na kolanach. Ostrożnie ją minął, ale kiedy był już przy drzwiach, usłyszał jej przenikliwy głos, który zatrzymał go niczym uderzenie maczuga w plecy.

– Jesteś taki jak twój ojciec?

Odwrócił się i dostrzegł w mroku jej oczy, które patrzyły na niego tak, jak patrzą niewidzące oczy posągów. Spojrzeniem, które obnaża i przed którym nie można uciec.

– Przepraszam, nie rozumiem.

Staruszka powoli zamknęła książkę i złożyła zauszuki okularów. Wstała z fotela. Jej profil odbijał się w szybie wystawy oświetlonej słabym blaskiem wschodzącego słońca.

– Jesteś taki jak Elías? Mężczyzną, który bierze innych w posiadanie, z wszystkiego ich ogołaca, a potem zostawia na pastwę losu? Tak postąpisz z moją córką?

Dopóki w wieku dziesięciu, może dwunastu lat Tania nie znalazła gazetowych wycinków, które jej matka chowała w szufladzie komody, dorastała nieświadoma istnienia jednookiego mężczyzny. Mężczyzny o imponującej budowie ciała, w mundurze NKWD, zdającego się obejmować wszystko okiem cyklopa. To oko ją wystraszyło, a jednocześnie od początku przyciągało. Kiedy zapytała matkę, kto to jest, Anna wpadła w furję, wyrwała jej papiery i uderzyła ją w twarz – był to jedyny raz, kiedy podniosła na nią rękę. Przez długi czas nie wspominała słowem o tym mężczyźnie, nie wyjaśniła, kim jest ani dlaczego zajmuje tak ważne miejsce w jej życiu. Bo zajmował. Tania śledziła matkę i widziała, jak wchodzi do pokoju, wyciąga wycinki i długo się im przygląda spojrzeniem podróżniczki, która przemierza dalekie krainy, jakby jej ciało przenosiło się do innych czasów, o których jej córka nic nie wiedziała.

I jak to zwykle bywa, Tania jako nastolatka bez przerwy ocierała się o granice tej zakazanej przestrzeni, wymyślając to, czego nie wiedziała. Wyobrażała sobie, że to ten mężczyzna jest ojcem, prawdziwym ojcem jej matki, a nie stracony w latach trzydziestych za sympatie trockistowskie nauczyciel, którego zdjęcie wisiało nad łóżkiem obok portretu babci Iriny. Fantazjowała, że ten jednooki przystojny olbrzym był kochankiem babki Iriny w ZSRR i że przeżyli masę romantycznych, burzliwych, pełnych napiętności przygód. Czasami, kiedy wspominała o którejś z tych zwariowanych teorii, Anna z rezygnacją kręciła głową.

– Przyjechaliśmy do Hiszpanii, żebyś mogła się z nim spotkać?

– Przyjechaliśmy do Hiszpanii, żeby zbudować przyszłość, żeby nie żyć przeszłością.

Wasilij Wieliczko, wujek Wasilij, jak nazywała go od dziecka Tania, chociaż nie byli spokrewnieni, trzymał się tej samej wersji. Twierdził, że nic

nie wie o Elíasie Gilu, a kiedy pytała go o przeszłość, opowiadał jej historię, którą już znała: w 1934 roku jej babcia i dziadek zostali zabici przez OGPU, Anna została sama w wieku zaledwie trzech lat; zajęło się nią państwo. Wieliczko poznał ją, kiedy była sześciolletnią dziewczynką, w sierocińcu w pobliżu Kurska, który wizytował jako inspektor. Od razu podbiła jego serce i dopóki mógł, wysyłał pieniądze, żeby niczego jej nie brakowało. Potem przyszła wojna, a po niej zesłanie na Syberię. Przez tych dwanaście długich lat jedyną osobą, z którą korespondował, była Anna. Posyłała mu ubrania i jedzenie. Kiedy Wieliczko opuścił gułag, przyjęła go do siebie. Po kilku bardzo ciężkich latach w 1965 roku pojawiła się możliwość rozpoczęcia nowego życia w Hiszpanii. Najpierw wyjechał on, zdołał się jakoś urządzić, a kilka lat później sprowadził do siebie Tanię i Annę. Z grubsza w ten oto sposób wujek i matka z zakłopotaniem streszczali dwadzieścia lat swojego życia.

Chociaż Tania nigdy nie zapomniała o tajemniczym mężczyźnie, z biegiem lat pogrzebała go pośród innych spraw, o których nie chciała opowiadać jej matka. Dorosła, stała się kobietą, podczas gdy Anna i wujek Wieliczko niepostrzeżenie się starzeli. Z nadejściem demokracji w Hiszpanii Wasilij otworzył bar Flight, do którego szesnastoletnia Tania, w tamtym czasie działająca w młodzieżówce PSUC-u, zabierała swoich przyjaciół, by wzbudzić sensację wiszącymi na ścianach zdjęciami z epoki Stalina i historiami opowanymi przez prawdziwego komisarza ludowego. Żeby zwiększyć swój prestiż, rozmawiała z Wieliczką po rosyjsku, i złościła się, kiedy ten odpowiadał jej po hiszpańsku w obecności towarzyszy. Pod koniec lat siedemdziesiątych jej matka otworzyła księgarnię Karamazow, która szybko stała się ważnym punktem dla wszystkich miłośników rosyjskiej literatury. Nigdy jednak nie zgodziła się, by córka i jej znajomi organizowali w księgarni swoje zebrania. Nie interesowała jej polityka, pełna starczych obaw ostrzegała przed nią Tanię; po nieudanym zamachu stanu z 1981 roku stała się jeszcze bardziej bojaźliwa, zastanawiała się nawet, czy nie zamknąć księgarni. Na szczęście Wieliczko przekonał ją, żeby tego nie robiła.

Lata osiemdziesiąte stanowiły trudny okres w relacjach Tani z matką, często się kłóciły, nieświadome, że w rzeczywistości są podobne jak dwie krople wody – równie popędliwe, równie uparte i równie dumne. Tania podróżowała po Hiszpanii i Francji i to właśnie tam, niedaleko Le Boulou, w 1989 roku przypadkiem trafiła na wystawę fotograficzną poświęconą obozom dla

republikańskich uchodźców, którzy w latach 1939–1942 przewinęli się przez Argelès i Saint-Cyprien. Mijało wtedy pięćdziesiąt lat od utworzenia obozów i stowarzyszenia pamięci zorganizowały z tej okazji przyjęcie dla ocalałych. Wielu przyszło w towarzystwie dzieci albo wnuków. Wystawa odbywała się w miejskim ośrodku sportowym. Tania zapamiętała długie szeregi eksponatów, drewniane walizki, drobne pamiątki osobiste, topornie zbite meble, makiety baraków i ponad setkę czarno-białych zdjęć, z których wiele zostało użyczonych przez Fundację Roberta Capy.

Nie wiedziała nic o tragedii, która zgodnie ze słowami wzruszonego mówcy – staruszka w czarnym berecie Brygad Międzynarodowych – zagnała na te plaże ponad czterysta tysięcy ludzi. Wielu z obecnych, zwłaszcza tych najstarszych, w milczeniu kiwało głowami i płakało, pocieszanych przez swoje dzieci, mające przeważnie francuskie obywatelstwo. Tania, która wówczas wiedziała już, że chce się poświęcić profesjonalnej fotografii, zaczęła pstrykać zdjęcia, utrwalając wszystko, co wpadło jej w oko.

Wtedy zwróciła uwagę na drobną kobietę pokazującą towarzyszącemu jej chłopakowi zdjęcie dużego formatu autorstwa węgiersko-amerykańskiego geniusza. Kobieta – o schorowanym wyglądzie, z włosami zebranymi w gruby kok, z którego wymykało się kilka kosmyków – wydawała się bardzo poruszona. Chłopak obejmował ją za ramiona i z czułością całował w głowę. Tani spodobał się ten widok, chciała podejść ukradkiem, żeby lepiej wykadrować zdjęcie. Wtedy zobaczyła fotografię, która tak wzruszyła kobietę i jej syna – przedstawiała nagiego do pasa mężczyznę, który pod czujnym okiem żandarma pracował przy murach zamku w Collioure. Jego opalony, zapadły tors w połączeniu z espadrylami i podartymi spodniami przewiązanymi w pasie sznurkiem dumnie emanował nędzą. Na widok fotografa przerwał kucie dużej skały i ustawił się w aroganckiej pozie myśliwego na safari – oparł rękę na kilofie, a stopę na kamieniu niczym na głowie trofeum. Nie uśmiechał się, ale jego ogorzała od słońca, pogodna twarz była dumnie podniesiona, jakby chciał powiedzieć: spójrzcie na mnie, nie zostałem pokonany.

Jednak szczegółem, który bez wątpienia przyciągał największą uwagę, było jedyne oko mężczyzny. Prawe zakrywała brudna opaska, a lewe spoglądało przed siebie spod gęstej brwi.

Tania od razu go rozpoznała. To był on, mężczyzna z wycinków przechowywanych przez jej matkę, przedstawiających go na froncie

leningradzkim, ubranego w polowy sowiecki mundur. Miał ten sam wyraz twarzy.

Chłopak i kobieta dołączyli do grupki zwiedzających i z ożywieniem o czymś dyskutowali. Tania czekała na odpowiedni moment, żeby do nich podejść, choć nie wiedziała, co mogłaby im powiedzieć. „Dzień dobry, moja matka od lat zbiera wszystko, co ma związek z tym nieznanym”. Wreszcie nadarzyła się okazja; wykorzystała chwilę, kiedy chłopak (teraz wiedziała, że był to Gonzalo) wyszedł zapalić, i zbliżyła się do kobiety.

– Przepraszam, nie mogłam nie zauważyć, jak bardzo poruszyła panią ta fotografia.

Kobieta przyglądała jej się przez dłuższą chwilę, jakby coś jej nie pasowało.

– To mój mąż. Porucznik Elías Gil. Byliśmy tu razem w 1939 roku.

– Nie żyje?

Kobieta skupiła spojrzenie w jednym punkcie, jakby wchłaniała otaczające ją światło, żeby rozjaśnić swoją własną ciemność; wahała się i przez ułamek sekundy Tania miała wrażenie, że pod jej wyglądem zwykłej kobiety kryje się udręczona dusza.

W tym momencie pojawił się chłopak. Tania uznała, że musi być jej synem: miał to samo spojrzenie, byli do siebie podobni. Kobieta pożegnała się pospiesznie i ruszyła na spotkanie chłopakowi. Tania widziała, jak rozmawiają ścisłym głosem. Gonzalo spojrzał na nią pytająco. Posłała mu uśmiech i odeszła.

Tamtego wieczoru, siedząc w małym ogródku kawiarnianym w Perpignan, napisała do matki list, opowiadając jej, co się wydarzyło. A kiedy kilka miesięcy później wróciła do Barcelony, Anna nawet nie chciała słyszeć o sprawie, która stała się obsesją Tani.

Znów była stałym gościem Flighta, nadsłuchiwała Wieliczce, choć nie poruszała wprost nurtującego ją tematu. Okazja nadarzyła się pewnego popołudnia, kiedy wujek powiesił za barem zdjęcie Capy z hasłem „No pasarán”. Był to doskonały pretekst, żeby wspomnieć o wystawie i fotografii przedstawiającej jednookiego mężczyznę w Collioure. Wasilij się domyślił, do czego zmierza dziewczyna, i choć zżerała go ciekawość, kolejny raz próbował uniknąć tematu. Tym razem Tania nie dała jednak za wygraną – w końcu stary Wieliczko dostawił krzesło do jej stolika i po wszystkich tych latach opowiedział jej całą historię.

Tania pierwszy raz usłyszała o wyspie Nazino. Wieliczko pokazał jej raport, który wysłał do Stalina za pośrednictwem wdowy po Leninie i ówczesnego sekretarza Komunistycznej Partii Hiszpanii. Jego relacja wstrząsnęła dziewczyną. Miała wrażenie, że opowiedziano jej historię, która mogła zostać opisana jedynie w powieści, powstać w chorym, spaczonym umyśle pisarza. Ale były nazwiska, świadectwa, daty i dokumenty wskazujące, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Babka Irina i jej matka żyły w tym piekle. Podobnie jak Elías Gil. Wasilij pokazał jej jego zeznania, przeczytała je bardzo powoli, łapiąc ustami powietrze, bo przy każdym zdaniu czuła, że się dusi. Musiała przerwać, wyjść, żeby zapalić, wrócić. Tu była cała prawda, bez upiększeń.

– Ten mężczyzna zabił moją babcię, żeby przeżyć, i porzucił moją matkę?

Wieliczko nie zaprzeczył, ale uświadomił jej, że podczas pobytu na Nazino Elías w pewnym sensie utrzymał je przy życiu. I przez wiele lat troszczył się, żeby Annie niczego nie brakowało. Przeszukał połowę kraju, żeby ją odnaleźć.

– To dzięki niemu udało nam się wyjechać z ZSRR.

Tania zapragnęła poznać go osobiście, ale okazało się, że to niemożliwe.

– Nie żyje. Zginął latem sześćdziesiątego siódmego roku.

Wieliczko opowiedział jej, co się wydarzyło nad jeziorem podczas obchodów nocy świętojańskiej. Wyjaśnił, dlaczego jej matka i tamten policjant, Alcázar, są przyjaciółmi, dlaczego tamtego dnia we trójkę postanowili, że już nigdy więcej nie wspomną słowem o Elíasie Gilu. On złamał ten pakt, bo jest najstarszy z ich trojga i nie pożyje już długo (dziesięć lat później Wieliczko nadal trzymał stery Flighta, choć przychodziło mu to z coraz większym trudem), a także dlatego, że jest to winien Elíasowi. Kazał jednak przysiąc Tani, że o niczym nie wspomni matce. Ze swojej obietnicy zostanie zwolniona dopiero po jego śmierci.

Tania przysięgła i dotrzymała słowa, ale od tamtej pory usilnie starała się dowiedzieć czegoś więcej o tym mężczyźnie i jego losach.

Jej codzienne życie, ciągłe podróże, wystawy i problemy sercowe oddalały ją od przeszłości, którą matka wolała trzymać w tajemnicy. Nie powiedziała Annie, że w 1994 roku wybrała się na tamtą przeklętą wyspę i że jedynym wspomnieniem tego, co się tam wydarzyło, był prosty, metalowy, zardzewiały krzyż z zagadkowym napisem: „Jako dowód dla niedowiarków na to, co nie do pomyślenia”.

Miasteczko Nazino przeniosło się na drugi brzeg rzeki. Tania popłynęła na

wyspę łódką. Zamieszkiwały ją jedynie chmary owadów, niemal nie było roślinności, a plaża przypominała grząskie bagno. Kiedy zapytała przewoźnika o to, co się tu wydarzyło, wzruszył ramionami.

– Dawne dzieje.

Podczas tej podróży Tania zrobiła dwie rolki zdjęć, które przechowywała w bezpiecznym miejscu. Chociaż trudno jej było dotrzymać obietnicy, postanowiła, że nie zdradzi wujka Wieliczki. Dopóki nie umrze, nie pokaże światu tych fotografii.

Ale w czerwcu 2002 roku wszystko się zmieniło. Od wyznania Wieliczki minęło prawie dziesięć lat. Tania siedziała przed telewizorem. W wiadomościach mówiono o zabójstwie Rosjanina podejrzanego o związki z mafią. Twierdzono, że sprawczynią zbrodni jest podinspektor policji, która podobno zamordowała go z zemsty za zabicie jej syna. Krwawa historia, zbyt skomplikowana, żeby streścić ją w trzydzieści sekund, nie wzbudziłaby zainteresowania Tani, gdyby nie to, że na ekranie pojawił się Alcázar, inspektor zaprzyjaźniony z jej matką, który prowadził śledztwo w tej sprawie. To zwróciło jej uwagę, zwiększyła głośność i wysłuchała całej historii z ust policjanta. Podinspektor nazywała się Laura Gil i była córką znanego komunistycznego działacza, który w latach pięćdziesiątych zyskał sławę wśród uchodźców we Francji, a następnie zniknął w dziwnych okolicznościach w 1967 roku.

Tania zbiegła po schodach; zastała matkę za ladą księgarni. Oglądała na małym przenośnym telewizorze te same wiadomości. Zmieniona na twarzy, podniosła głowę i spojrzała na córkę.

– Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy porozmawiały – szepnęła.

Dlaczego nie posłuchała matki? Z jakiego powodu postanowiła zaryzykować i na własną rękę zbliżyć się do Gonzala, zacząć go szpiegować, śledzić jego kroki i jak najwięcej się o nim dowiedzieć? Co chciała przez to osiągnąć? Jaki był jej cel? Może na początku kierowała nią chęć zrozumienia demonów, które od dziecka towarzyszyły jej matce. Ten mężczyzna, Elías, ponosił winę za to, że wpadła w ręce Igora Sterna (Anna wyznała jej w końcu, że historia opowiedziana przez Wieliczkę jest tylko częściowo prawdziwa; staruszek pominął piekło, przez jakie musiała przejść po tym, gdy Elías wymienił ją za własne życie). Tania dostawała szału na wspomnienie sceny z Le Boulou,

która wydała jej się tak rozczulająca i bohaterska, kiedy nie wiedziała jeszcze, że ta kobieta i jej syn darzą uwielbieniem potwora. Ale z biegiem miesięcy coś się zmieniło zarówno w niej, jak i w nim. Coś ją do niego przyciągało, coś, co nie miało już nic wspólnego z pamięcią ani z zadośćuczynieniem za przeszłość.

Kiedy została sama w łóżku, pogładziła wymiętą pościel, w której się kochali. Przez cały czas Gonzalo patrzył na nią uważnie z tym na wpół zagaszonym żarem w oczach, jakby chciał ją przeszyć spojrzeniem, jakby prosił ją, by pomogła mu na powrót stać się tym, kim był w tym płomieniu, w głębi jego samego.

Tania skuliła się, obejmując poduszkę pachnącą Gonzalem. Pomyślała o pokrywających jego ciało bliznach i siniakach, które całowała z ogromną czułością, i przypomniała sobie – z tym samym strachem, jakiego wówczas doświadczyła – jak Atxaga bił go na parkingu i jak poczuła, że go straciła; przypomniała sobie gniew, który wypłynął z jej wnętrza, i pragnienie, by go chronić.

Czy to możliwe? Czyżby się w nim zakochiwała? Czy tylko próbowała przywłaszczyć sobie ducha jego ojca?

19.

BARCELONA, MARZEC 1938 ROKU

Elías Gil wspiął się na dymiący stos i przyjrzał zniszczeniom wyrządzonym przez bombę, która spadła w południe, na skrzyżowaniu ulicy Balmes z Gran Via de les Corts Catalanes.

Krajobraz był iście dantejski. Pocisk zrzucony przez włoski bombowiec Savoia-Marchetti wbił się w ulicę na głębokość kilku metrów, zostawiając po sobie czarny krater, i trafił w rurę, z której teraz, niczym z gejzeru, tryskały w górę strumienie wody. Kilka metrów dalej płonęła wojskowa ciężarówka wypełniona amunicją, zamieniona w kupę żelastwa. Nadal wybuchały naboje i granaty, tak że nie dało się podejść do leżących wokół rozbebeszonych ciał. Eksplozja miała ogromny zasięg: porozbijała w drobny mak szyby w budynkach przy sąsiednich ulicach, tworząc morze ostrych odłamków, rozpuściła latarnie, jakby były zrobione z plasteliny, powyrywała bądź zrównała z ziemią drzewa. Niektóre płonęły jak pochodnie. Fala uderzeniowa dosięgła wypełnionego pasażerami autobusu, który rozbił się i stanął w ogniu. Nie sposób było policzyć ofiar, ranni krzyczeli, ich jęki i wrzaski mieszały się z wyciem syren bezużytecznego systemu obrony przeciwlotniczej. Wszędzie leżały ludzkie szczątki, które nigdy nie zostaną zidentyfikowane.

Bombardowania takie jak to trwały nieprzerwanie od trzech dni i nie koncentrowały się już na strefach portowej i przemysłowej. Mussolini wydał rozkaz załogom bombowców Savoia-Marchetti SM-79 z bazą na Majorce, by skupiły się na ludności cywilnej, a Franco nie zaprotestował. Samoloty atakowały centrum, ulice Entença, Còrsega, Marina, a także gęsto zaludnione dzielnice La Sagrera, Sant Gervasi i Sant Andreu. Przeprowadzono już trzynaście ataków, jeden po drugim; bomby spadały wszędzie. Horrorzy takie jak masakra dzieci ukrywających się w podziemiach kościoła Świętego Filipa Neri, wykolejone tramwaje pełne martwych robotników czy zatopione statki

cumujące w porcie miały jeden cel: by zapach wojny i zbliżającej się porażki dotarł do drzwi mieszkań gospodyń domowych, do szkół, do sklepów, do dzieci bawiących się na ulicach i ludzi stojących w kolejce do kina czy par spacerujących za rękę po ogrodach Horty. Nikt nie był bezpieczny. Absolutnie nikt i ani rząd Negrína, który schronił się w Barcelonie, ani Brygady Międzynarodowe szykujące się do opuszczenia Hiszpanii, ani oddziały republikańskich wojsk cofające się na wszystkich frontach nie mogły zrobić nic, żeby to zmienić.

Wojna była przegrana. Nie wiadomo tylko, jak długo potrwa agonia.

Na nic zdawała się oficjalna propaganda, komunikaty prasowe potępiające z jałową górnolotnością ataki i błagające o międzynarodową pomoc, która w najlepszym razie ograniczyłaby się do krytycznych oświadczeń wydanych przez ambasady szykujące się już do negocjacji z rebelianckim rządem urzędującym w Burgos.

– Służby obrony informują, że zestrzeliły dwie włoskie maszyny. Jedna spadła na Camp de la Bota, a druga wylądowała w morzu.

– Wydobyto ciała pilotów?

Pomocnikiem Elíasa był dawny członek CNT, popędliwy chłopak, który po wydarzeniach z 1937 roku bez wahania wstąpił do PSUC-u i doniósł na swoich związkowych towarzyszy. Z zawodu piekarz, odnalazł swoje prawdziwe powołanie w Służbie Wywiadu Wojskowego SIM. Przeprowadzał przesłuchania w jednym z zaimprovizowanych więzień – czece przy ulicy Muntaner, tak zwanym Prewentorium D, gdzie mieściła się prefektura SIM-u. Nazywali go „Łańcuch”, był bowiem specjalistą od elektrycznej obroży, którą zakładano podczas przesłuchań niektórym zatrzymanym. Nosił ten przydomek z dumą.

– Nie. Ale złapaliśmy jednego z kolaborantów. Znaleźliśmy go w hotelu Colón z przenośnym nadajnikiem i mapami miasta, na których zaznaczono cele. Został przewieziony do La Tamarity.

Jego uśmiech wściekłego psa zirytował Elíasa.

La Tamarita była główną enklawą SIM-u w Barcelonie. Ukryta przed oczami ciekawskich, znajdowała się między ulicą Císter a aleją Doctor Andreu. Niemal cały personel stanowili Sowieci, zaufani ludzie, którym Orłow i Geró przekazali kierownictwo przed wyjazdem do Moskwy. Budynek był jednym z pałacyków, których namnożyło się na początku XIX wieku, kiedy to mieszczanie wzbogacili się na handlu niewolnikami na Kubie, a także na

kawie i trzcinie cukrowej. Ogrody przed głównym wejściem były zadbane: róże, goździki i jaśminy tworzyły przyjazną atmosferę, która pryskała dopiero wtedy, gdy podchodziło się do fasady i odkrywało barykady z wypełnionych ziemią worków osłaniających okna i drzwi. Mimo że Elías oficjalnie miał stopień porucznika, nigdy nie nosił munduru – jego praca tego nie wymagała. Podczas kontroli przy wjeździe nie musiał jednak nawet pokazywać legitymacji. W SIM-ie wszyscy słyszeli o małomównym Asturyjczyku, surowym i skutecznym, który wyróżniał się czarną opaską na prawym oku i pustym spojrzeniem lewego.

Schwytyany członek piątej kolumny przeszedł już przez dzwon. Była to cementowa skrzynia, w której zamykano zatrzymanych, czasami na kilka godzin, nie większa niż sarkofag, gdzie nie mogli się wyprostować i musieli bez przerwy słuchać przenikliwej muzyki, krzyków i dzwonek, które doprowadzały ich do utraty zmysłów. La Tamarita dysponowała także innymi strasliwymi wynalazkami, jak krzesło elektryczne (ulubione narzędzie młodego pomocnika Elíasa), na którym rażono prądem stopy, powieki, odbył i jądra, czy lodówka, gdzie aplikowano przesłuchanym lodowate prysznice. Ten, kto wchodził do tych podziemi, niegdyś zamieszkiwanych przez służbę domową, miał małe szanse, by wyjść z nich żywy, a jeżeli już mu się to udało, zostawiał w nich zdrowie psychiczne.

Zatrzymany był młodym mężczyzną. Z rany na rękę płynęła mu krew, której nikt nie starał się zatamować. Przyprawiali go do Elíasa nagiego, drżącego z zimna i ze strachu. Zwłaszcza ze strachu. Wychłostano go porządnie kauczukowymi batami, wybito mu kopniakami kilka zębów. Ledwo stał na nogach – gdyby strażnicy nie trzymali go pod pachy, runąłby na podłogę.

Elías poczuł na jego widok wstręt, ale kiedy przypomniał sobie sceny po bombardowaniu, okaleczone ciała, krzyki niewinnych, ogarnęła go wściekłość. Jego gniew podsyciło wspomnienie więzienia w Moskwie – twarzy urzędnika, który go przesłuchiwał i zdołał skłonić do podpisania zeznań za marną szklanek wody.

– Co masz do powiedzenia?

Chłopak nie chciał spojrzeć mu w oczy, a może po prostu nie miał siły podnieść głowy. Elías chwycił go za brudne włosy i pociągnął do góry. Na obitej, zakrwawionej twarzy ujrzał światło przerażonego spojrzenia, światło, które powoli gasło i wkrótce miało zupełnie zniknąć. W tym słabym świetle, mimowolnym odruchu, dostrzegł człowieka.

Kazał przenieść go do zwykłej celi i jasno poinstruował, że więzień nie ma być więcej torturowany.

– Dajcie mu jeść i niech obejrzy go lekarz. Kiedy dojdzie do siebie, osobiście go przesłucham.

Jeszcze długo po tym, gdy strażnicy wyprowadzili zatrzymanego, Elías Gil w zamyśleniu przyglądał się śladom krwi, które zostawiły na podłodze jego stopy.

Samochód SIM-u odwiózł Elíasa pod dom, miał po niego wrócić nazajutrz o szóstej rano. Była jedenasta w nocy. I tak będzie pracował do świtu w swoim małym gabinecie, gdzie piętrzyły się dokumenty Trybunału Ludowego ze śledztw dotyczących aktów zdrady. Elías wiedział, że większość z dowodów nie została zebrana z poszanowaniem prawa. Mimo to przekazywał je niezwłocznie do ministerstwa, żeby zatwierdziło kary więzienia, a nierzadko i śmierci. Była to czysta formalność, której należało dopełnić – często, kiedy przychodziło potwierdzenie z ministerstwa, egzekucję już wykonano. Jak długo trwał ten przelew krwi? Odkąd Geró i Orłow kazali mu znaleźć dowody obciążające konsula Antonowa, minął zaledwie rok, jemu wydawało się jednak, że upłynęło tysiąc lat. Zaraz po usunięciu Antonowa rozpętała się w Barcelonie otwarta wojna przeciwko anarchom, POUM-owi i każdemu, kto przeciwstawiał się – zgodnie ze słowami Geró – „akcji ludności cywilnej na rzecz wojny z faszyzmem”. Pod tym pretekstem przeprowadzono czystkę, która ucięła głowy hydry niechętnie stalinowskim tezom propagowanym przez Negrína.

Zwyciężyli – Partia Komunistyczna kontrolowała wszystkie kluczowe stanowiska w armii i rządzie, ale panowali na polu zwłok i popiołów. Zbliżające się oddziały Franco i pewność, że wcześniej czy później Barcelona upadnie, sprawiały, że falangiści i kolaboranci wyrastali jak grzyby po deszczu i stawali się coraz bardziej zuchwali. Zadaniem Elíasa było ich wykrywanie i eliminowanie. Nie nadążał z pracą. Jak długo trzeba będzie jeszcze przedłużać tę rzeź, to cierpienie, zanim pogodzą się z rzeczywistością? Aż do ostatniej kropli krwi. Takie polecenie otrzymał od Moskwy. Do ostatniej kropli krwi, ale nie ich, lecz tych, którzy codziennie patrzyli w płonące nad głowami niebo.

Zastał Esperanzę w łóżku. Wciąż jeszcze dochodziła do siebie po niedawnym

poronieniu. Leżała na boku, twarzą do ściany. Spojrzenie Elíasa spoczęło na moment na jej młodym ciele, na rysujących się pod kocem biodrze i udach.

– Śpisz?

Esperanza odwróciła głowę i spojrzała na niego z obojętnym spokojem, który nie opuszczał jej od czasu krwotoku. Dziecko się nie udało, wyjaśnił lekarz, który ją przyjął. To sformułowanie uderzyło w nich niczym piorun rozłupujący na pół pień drzewa. Nie udało się, nie chciało się trzymać macicy, która gwarantowała mu życie, wołało odejść, zanim stało się czymś więcej niż tylko niedokończoną obietnicą. Elías widział pięciomiesięczny płód, niemal całkowicie uformowany, przypominający normalnego noworodka. Z sercem, płucami, posiniałymi usteczkami. Teraz myślał, że dobrze się stało. Po co rodzić się na tym świecie? Żeby skończyć jak dzieci z kościoła Świętego Filipa Neri? Tyle wysiłku po to, żeby bomba spadająca z hukiem wystrzału z działa unicestwiła nadzieje ich i ich rodziców.

Nigdy nie powiedział Esperanzę o swoich przemyśleniach ani o pełnej smutku uldze, jaką poczuł, kiedy akuszerka zawinęła dziecko w pieluszkę i dokądś je zabrała. Wydrapałaby mu za to paznokciami jedyne oko, gardziłaby nim do końca życia. Słusznie. Lekarz próbował ją pocieszyć, powiedział, że jest silna (to płód nie wykazał woli koniecznej do dalszego rozwoju), że urodzi tyle dzieci, ile zapragnie albo da radę. To tylko kwestia czasu. Ale czas mijał, a ona, jego mała Rosjaneczka, nie mogła się pozbierać. Wolała leżeć w łóżku, trzymając się za brzuch, w którym kryła się już tylko niemożność.

Elías zastanawiał się nad wysłaniem jej do Moskwy. Sytuacja wyglądała coraz gorzej, wkrótce na ulicach zapanuje powszechny chaos i wszystko stanie się trudniejsze. Ale istniał też inny powód, dla którego czasami chciał się od niej uwolnić. Nie był pewien, czy ją kocha ani czy dobrze zrobił, przywoząc ją do Hiszpanii i biorąc za żonę. Wierzył, że miłość, jaką darzy go Esperanza, wystarczy za dwoje i że z czasem (znów ta mglista obietnica, która nigdy się nie spełniała) pomoże mu zapomnieć o Nazino, o Irinie i o Annie, o tym, co zrobił, żeby żyć. Kiedy się śmiała i sprawiała, że on także się śmiał, kiedy się kochali, jakby tylko to miało znaczenie, jakby nie było miejsca na przeszłość, lecz jedynie na teraźniejszość, myślał, że mu się uda. Czuł się szczęśliwy przez te pierwsze miesiące, przeszłość wydawała mu się czymś bardzo odległym, choć była tuż za rogiem.

Kiedy Elías dowiedział się o ciąży, ogarnął go strach, ale inny niż ten, którego doświadczył na Syberii: nowy, pulsował pod jego dłonią za każdym

razem, kiedy przykładał ją do rosnącego brzucha Esperanzy. Bał się przyszłości, możliwości bycia szczęśliwym, czuł, że dopuścił się oszustwa, że nigdy nie będzie zasługiwał na taką szansę. Poronienie uwolniło go od tego strachu, potwierdzając to, co już wiedział – że nigdy nie zostanie nagrodzony spokojem i odpoczynkiem.

Z dzikim entuzjazmem rzucił się w wir pracy; entuzjazmem nieprzypominającym bestialskiego okrucieństwa jego pomocników ani mechanicznej arogancji pracujących dla niego urzędników. Jego zapał był zimny, metodyczny, wyczerpujący i nieprzejednany. Sprawiał, że się go bano. We wszystkich czekach w Barcelonie i Madrycie głośno było o długich nocnych przesłuchaniach, kiedy to porucznik Gil – „Cyklop”, jak już zaczęto go nazywać – chodził w kółko, otwierając i zamykając medalion, który nosił w kieszeni. Nikt nie wiedział dokładnie, kim jest młoda kobieta z córką na rękach, której Elías przyglądał się z dystansem, zanim skierował swoje pełne jadu oko na przesłuchiwanego. Jedni twierdzili, że to jego matka i siostra, które zginęły w 1934 roku podczas rozruchów w Asturii, inni stawiali na kochankę i nieślubną córkę, ale nikt nigdy nie poznał prawdy. Elías nie mówił o swojej przeszłości ani o swoim życiu. Tak naprawdę nie mówił o niczym, co nie miało związku ze zleconą mu pracą.

To w tamtym okresie zaczęły go nękać straszliwe migreny, które przewiercały mu głowę, sprawiając, że czuł każde włókno mięśni, jakby były z piasku. Wojskowi lekarze orzekli, że nerw optyczny utraconego oka dobrze się nie zagoił pomimo starań Iriny i okładów, i że bóle, okresowe, ale wyniszczające, będą powracać do końca życia. Kiedy nadchodził atak, ból wrzał wewnątrz jego głowy i niczym fala ognia zalewał pusty oczodół, jakby utracone oko chciało się odtworzyć i spojrzeć z ciemnego otworu. W tych momentach bardziej niż kiedykolwiek nienawidził Igora Sterna, a ponieważ go nie było, wszystkich dookoła, włącznie z Esperanzą.

To właśnie ona najczęściej padała ofiarą jego napadów złości: krzyczał, żeby nie hałasowała, zmuszał ją, by godzinami siedziała nieruchomo po ciemku, obrzucał ją rosyjskimi wyzwiskami, gwałcił, czasami brutalnie, jak gdyby obrazy z Syberii, wspomnienie wilka, który chciał zabrać Annę, znów nabierały życia. Bredził, wpadał w szał, niszczył wszystko, co miał pod ręką (meble, butelki, książki... a także mężczyzn i kobiety). Jedynie alkohol, pity w coraz większych ilościach, i lekarstwo na bazie laudanum były w stanie uspokoić go na kilka godzin, pograżając w stanie otępienia, na które w czasie

wojny nie można było sobie pozwolić.

Kiedy atak mijał, przygnębiony oglądał zniszczenia, jakich dokonał. Prosił Esperanzę o wybaczenie, a ona, załamana, jednak mocno uciepiona miłości, jaką do niego czuła, obiecywała mu, że bez względu na to, co się stanie, nigdy go nie opuści, nigdy nie będzie się go bała.

– To nie ty. To one, one cię niszczą – mówiła, wskazując ze złością medalion ze zdjęciem Iriny i Anny.

Czasami przez kilka tygodni nie pojawiał się w domu, zwłaszcza po ataku. Wstydział się za siebie, zamykał w budynku przy ulicy Muntaner, gdzie mieściła się prefektura SIM-u, i pracował do upadłego, żeby tylko nie myśleć. Im bardziej czuł się brudny i pusty, tym bardziej unikał Esperanzy i głębiej zanurzał się w studni, którą uważał za właściwe dla siebie miejsce.

Podobnie jak wielu jego ludzi źle znoszących pracę rzeźników wylewał swoje żale w spelunkach w dzielnicy La Barceloneta, gdzie jeszcze nie zakazano prostytucji. Był stałym bywalcem Gat Negre, burdelu przy ulicy Sal prowadzonego przez tęgą matronę w podeszłym wieku, która wprawiała w zachwyty Rubensa, Katalonkę z Lleidy o wyglądzie Andaluzyjki z Kordoby, mającą długie, ciemne włosy i cięty język, twardą ręką zarządzającą kilkoma pracującymi dla niej nieszczęśnikami. Po bombardowaniach od strony morza na początku roku większa część dzielnicy została ewakuowana, ale ospałe odaliski z Gat Negre odmówiły opuszczenia swojego terytorium. Włóczyły się po zmroku po ulicach, między workami z piaskiem, zniszczonymi budynkami i górami gruzów, i oferowały swoje usługi jako królowe niczego w brudnych od pyłu, podartych, pocerowanych sukienkach; odsłaniały uda i poszarzałe dekolty, nie chcąc pogodzić się z tym, że to już koniec.

Elías nie przychodził tam dla seksu ani dla alkoholu. Właścicielka Gat Negre oferowała mu coś znacznie cenniejszego – informacje. Otyła kobieta była zagorzałą, bystrą komunistką, którą osobiście zwerbował do wywiadu.

– Mężczyźni są bardziej skłonni do wyznań przy ołtarzu pizdy niż przy ołtarzu księdza – zwykła mawiać z udawanym grubiaństwem. Rzeczywiście po stosunku nawet najwięksi sadyści płakali jak dzieci między spoconymi udami dziewcząt, gotowi za obietnicę rozkoszy sprzedać Republikę. Mężczyźni są osamotnieni w konfrontacji z podbrzuszem kobiety, która umie ich kochać, na nic im wtedy ładownice, pistolety czy sztandary. Nagi mężczyzna stojący przed nagą kobietą jest ojczyzną bez granic.

Z tego właśnie powodu wielu z nich trafiało z barłogów Gat Negre wprost

do więzienia na statkach *Villa de Madrid* i *Uruguay*, czasem nie mając nawet chwili, żeby się ubrać i zakryć genitalia.

– Wszyscy stąd piją – stwierdziła matrona, wskazując swoje krocze. – Włoscy faszyci, naziści, falangiści, monarchiści, bywalcy niedzielnych mszy, księża, a także anarchiści, komuniści i socjaliści. Wszyscy zaspokajają pragnienie i wszyscy chcą zostać wysłuchani.

W zamian za usługi, jakie oferowała mu ta tęga dziwka, Elías przymykał oko na pewne rzeczy: handel morfiną, paszportami, kartkami na żywność, czarny rynek. Wiedział, że właścicielka zbiera środki na wyjazd do Francji, jeżeli sytuacja ulegnie pogorszeniu, a wszystko na to wskazywało. Nie zatrzyma jej ani nie oskarży o dezercję. Każdy powinien przeżyć, jak potrafi.

– Krążą już pogłoski, że Uribarri uciekł do Francji z milionami i dokumentami, które mogą zaszkodzić wielu osobom.

Elías nie zaprzeczył. Do lutego tego roku Manuel Uribarri był szefem SIM-u. Dawny przywódca socjalistycznej milicji wytrwał na stanowisku zaledwie trzy miesiące, po czym uciekł z pokaźnym majątkiem w postaci klejnotów i pieniędzy. Jego następcą został dwudziestodwuletni nieopierzony młokos zamieszany w zabójstwo Calva Sotela¹⁶ w 1936 roku. Śmierć polityka stała się detonatorem frankistowskiego buntu. Oczywiście był to tylko pretekst. Ale członkowie socjalistycznych młodzieżówek znacznie ułatwili sprawę rebeliantom.

– A ty? Nie opuścisz statku z tą twoją ładniutką żoneczką? Założę się, że w Moskwie czekają na ciebie z masą medali.

– Nie wiesz, że za defetyzm grozi rozstrzelanie?

Wielka dziwka była tego wieczoru bardziej ludzka, może dlatego, że zażyła za dużo morfiny. Jej szklane oczy błyszczały wesoło i choć zwykle nie oddawała się byle komu, kilkakrotnie dotknęła krocza Elíasa.

– Dużo bym dała, żeby wylizać tę ciemność – wyznała z obscenicznym uśmiechem, zbliżając dłoń do czarnej opaski na oku porucznika.

Elías łagodnie odsunął jej palce, które kiedyś musiały sprawić rozkosz niejednym plecocom, dziś jednak budziły tylko lekki wstręt.

– Masz jeszcze przepustki do strefy zajętej przez rebeliantów?

Właścicielka rzuciła mu niespokojne spojrzenie. Z jednej strony bała się pułapki. Może posunęła się zbyt daleko wobec porucznika? Może to prawda, co mówią, że nie ma serca, bo wyrwał mu je wilk na Syberii? Z drugiej jednak wyczuła ryzykowny interes – bardzo ryzykowny.

– Ze stemplami i oficjalnymi pieczętami. Mam też paszporty: portugalskie, francuskie, angielskie i amerykańskie. Sam wiesz, że trzymam w ręku klucze do wszystkich drzwi. Dlaczego pytasz?

We wszystkich miejscach świata w czasach niedoli zawsze pojawiały się osoby takie jak ona. Jak trujące grzyby po jesiennym deszczu. Padlinożercy, hieny, sępy, ocalali – ludzie, którzy w normalnych warunkach niczym się nie wyróżniali (czym mogła zajmować się ta matrona przed wojną?), ale gdy zapanował chaos, znajdowali sposób, żeby ustawić się lepiej niż inni. Na Nazino Elías był jednym z nich, podobnie jak Michael, Martin i sam Stern.

– Nie są dla mnie.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ty nie. Ale twoje spojrzenie owszem.

– I wyrwiesz mi z tego powodu oczy?

– Nie kuś mnie.

Zorientowała się, że nie żartuje. Odsunęła się trochę i chociaż wskutek działania narkotyku jej ruchy były powolne i rytmiczne, jej skóra lekko zbladła.

– Powiedz mi, czego potrzebujesz.

– Przepustek i dokumentów dla dwóch dorosłych osób i rocznego dziecka. Przekażę ci nazwiska, imiona i zdjęcia.

– Na kiedy?

– Na teraz.

Willa przy ulicy Muntaner była lepsza niż La Tamarita, co oznaczało jedynie tyle, że nie była dużo gorsza. Parter, piwnice i garaż zajmowały cele – wąskie klitki, pomalowane na jaskrawe kolory, o podłodze nachylonej pod kątem dwudziestu, trzydziestu stopni, podobnie jak cementowe ławki służące czasami za posłanie, przez co nie sposób było ustać. Do tego podłoga była najeżona wystającymi cegłami, a zatrzymanym odbierano buty. Jedyne miejsce, gdzie dało się utrzymać na nogach, znajdowało się przy okienku w drzwiach, przez które co pięć minut badawczo zagłądali strażnicy. Cuchnęło odchodami i brudem; już samo oddychanie groziło odruchami wymiotnymi bądź nabawieniem się jakiejś choroby.

Z niewiadomego powodu członek piątej kolumny zatrzymany w hotelu Colón spędził w tym miejscu tylko niewiele ponad pół godziny, po czym

wywleczono go na zewnątrz i zakuto mu ręce na plecach. Strażnicy traktowali go ostro, ale zgodnie z rozkazami porucznika z SIM-u nikt nie tknął go już palcem. Dostał ubranie, używane, ale względnie czyste. Ubranie po nieboszczyku, pomyślał, zapinając za luźny pasek. Lekarz zdezynfekował mu ranę na ręce i wprawnie ją zaszył, choć nie cackał się z chorym. Więzień bez przerwy powtarzał, że to żałosna strata czasu. Po co tyle zachodu, skoro i tak jeszcze tej nocy wyląduje z dziurą w głowie w rowie przy szosie Arrabassada, pytał, jakby mówił o pogodzie.

To, że nie boi się śmierci, było kłamstwem, w które chciał wierzyć. Wiedział doskonale, co ryzykuje, kiedy postanowił wstąpić do komórki Falangi, żeby przekazywać włoskiemu lotnictwu informacje za pomocą nadajników, które dotarły do nich po długiej, niełatwej wędrówce. Tak, śmierć była blisko, stanowiła jedną z opcji. Ale do tej pory nie traktował jej jako realnej możliwości. Widział ją, kiedy jakiś przechodzień ginął potrącony przez konny zaprzęg, samochód czy tramwaj. Śmierć była prawdopodobna, ale w cudowny sposób zawsze go omijała. Kiedy jego koledzy wpadali w ręce SIM-u, przypisywał to brakowi doświadczenia czy nieuwadze – on, w przeciwieństwie do nich, potrafił się pilnować.

Stosował nadzwyczajne środki ostrożności, miał przygotowanie wojskowe, a krótki okres służby w Gwardii Cywilnej (w której szeregi wstąpił w 1935 roku po wydarzeniach w Asturii) dawał mu przewagę. W ten sposób zdołał przekonać sam siebie, że ominie go to, co wydawało się nieuniknione. Myślał tak do chwili, aż zobaczył, jak otwierają się wyważone kopniakiem drzwi w jego pokoju w hotelu Colón, a rozwścieczony portier wskazuje go oskarżycielsko palcem. Nie zdążył pozbyć się nadajników ani nawet nadać zaszyfrowanej wiadomości, żeby ostrzec pozostałych. Bo było więcej takich jak on – wszędzie, pośród mieszkańców, w szkołach, nawet w policji. Muszą jeszcze tylko trochę wytrzymać, zachęcano ich z Burgos. Jeszcze tylko trochę.

A teraz, kiedy prowadzili go po schodach na piętro, pocił się i bez przerwy myślał o tym, co mu zrobią. Jak długo zdoła wytrzymać ból i tortury, zanim wyda pozostałych? Miał nadzieję, że wytrwa, dopóki nie znajdą bezpiecznej kryjówki. Bo wszystko wyśpiewa. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Modlił się tylko, żeby nie znaleźli domu na wsi niedaleko Sant Celoni, w którym ukrywała się jego żona i syn. Wywiózł ich tam, ponad czterdzieści kilometrów od Barcelony, żeby trzymać ich z dala od miasta i nie musieć wysłuchiwać ciągłych wymówek żony. Ona nie rozumiała, dlaczego naraża ich

życie dla ideałów, podobnie jak nie chciała zrozumieć, że przyjął stanowisko brygadiera w Gwardii Cywilnej – on, który był inżynierem i mógł budować mosty i drogi.

Kiedy pokonywał ostatnie stopnie oślepiony światłem z potężnego reflektora, zadał sobie pytanie, czy zważywszy na to, co zaraz się stanie, rzeczywiście było warto. Nie miał odwagi udzielić twierdzącej odpowiedzi, choćby niepewnej. Żałował, że poznał José Antonia Prima de Riverę na wiecu w hotelu Palace w Madrycie w 1931 roku i pozwolił, by jego koledzy z uniwersytetu (katolicyccy mieszczenie, niemający nic wspólnego z nim, chłopakiem z górniczej rodziny) uwiedli go swoimi ładnymi uśmiechami, ładnymi strojami i ładnymi przekonaniem, twierdząc, że – jakby nie było – celem faszyzmu jest jedynie uszczęśliwianie ludzi. Ludzi takich jak oni. Ojczyzna i porządek były teraz pustymi słowami, głuchymi jak odgłos jego niepewnych kroków w kierunku sali tortur. Poczł, że przewraca mu się w żołądku, i poprosił Boga, by przynajmniej pozwolił mu zachować godność, by nie zesrał się w gacie i nie stał się obiektem kpin dla tych mężczyzn.

Z głową pochyloną nad aktami, w których z przerażeniem odkrył prawdziwe nazwisko więźnia – Ramóna Alcázara Suñera – urzędnik SIM-u palił papierosa, wspierając skroń na kciuku, spowity niebieskawymi kłębam dymu unoszącymi się ku obłazłemu z farby sufitowi. Kiedy uznał, że nadszedł właściwy moment, podniósł głowę i przez chwilę bez słowa przyglądał się młodemu mężczyźnie. Wreszcie zgasił niedopałek w popielniczce z zielonego szkła i kazał strażnikom zostawić ich samych.

– Nie wiedziałem, że się ożeniłś.

To stwierdzenie, wypowiedziane niemal serdecznym tonem, zaskoczyło Ramóna Alcázara.

– W aktach figuruje, że masz syna.

Nie odpowiedział; za wszelką cenę starał się trzymać prosto, ale z brodą przy piersi i wzrokiem wbitym w podłogę.

– Ramónie, spójrz na mnie. Nie poznajesz mnie? To ja, Elías.

Ramón Alcázar otworzył ze zdumienia usta i z niedowierzaniem szukał w twarzy mężczyzny jakiegoś związku z usłyszonym imieniem. Wysunął brodę jak sowa, nie mogąc uwierzyć w to, co cały czas miał przed oczami, ale czego strach nie pozwolił mu dostrzec. Gdy już ochłonał ze zdumienia, pojawiła się iskierka nadziei, szalona myśl, że ta stara przyjaźń z dzieciństwa może być jego kołem ratunkowym. Zaraz jednak zauważył zimne spojrzenie Elíasa:

obojętne, spokojne, bez śladu sympatii.

– Siadaj.

Ramón wykonał polecenie – usiadł naprzeciwko Elíasa z lekko zgarbionymi plecami, nie spuszczać wzroku ze swojego dawnego przyjaciela. Czy to spotkanie może go ocalić? Ramón w to wątpił. Może Elías liczy na to, że zmiękczy go udawaną życzliwością, zaoszczędzi mu tortur w zamian za szybkie wyznanie, które niezawodnie zaprowadzi go na szafot.

– Zmieniłeś się – odważył się powiedzieć.

– Czyż nie zmieniliśmy się wszyscy?

Ramón przytaknął powolnym ruchem głowy. Nigdy nie przypuszczał, że może dojść do takiej sytuacji. Ale był w samym jej centrum, nie mógł zamknąć oczu i liczyć na to, że kiedy je otworzy, wszystko zniknie.

– Nie przedłużajmy tego niepotrzebnie, błagam cię. Nic ci nie powiem, więc każ mnie od razu rozstrzelać. Ze względu na stare czasy.

– Słyszałem, że wstąpiłeś jako brygadier do Gwardii Cywilnej i że twój ojciec był sekretarzem Fanjula.

– Dobrze słyszałeś.

Elías zmarszczył czoło.

– Powinieneś był tam zostać.

– Byłem potrzebny tutaj.

Elías podał mu plik zdjęć, które rozsypały się po biurku. Widniały na nich ponumerowane twarze ofiar bombardowania przy ulicy Balmes. Mężczyzn, kobiet i dzieci, które już nie wyglądały jak dzieci.

– Po to?

Ramón z odrazą odwrócił wzrok.

– Nie zamierzałem powodować tych ofiar. Walczę z wojskowymi.

– Nie pomyślałeś, co się stanie, kiedy zrzucicie pięciusetkilogramowe bomby w centrum miasta?

– Powiedzieli mi coś innego. Miałem wskazać, gdzie znajdują się baterie obrony przeciwlotniczej. I tak zrobiłem.

– Nie ponosisz więc żadnej odpowiedzialności za te wszystkie ofiary? To chcesz mi powiedzieć?

Ramón zawiesił w próżni wściekły wzrok.

– A co ty mi powiesz o egzekucjach w siedzibach tajnej policji, o zakonnicach zamordowanych w dzielnicy Vallvidrera, o zwłokach, które każdej nocy pojawiają się w okolicach Barcelony?

– Nie ważymy naszych sumień na wadze. Nie wszystkie ofiary są sobie równe, nie wszystkie te osoby zginęły z tych samych powodów.

– Ofiar nie obchodzi, czy ich śmierć miała jakiś powód, czy nie.

– Ty masz swoje winy, ja swoje. Ale teraz to ty siedzisz na tym krześle, a ja za tym biurkiem. To czyni cię odpowiedzialnym, a mnie niewinnym. Jutro albo za rok może być na odwrót. To nie zmieni tego, co zrobiliśmy.

– Kiedyś nie byłeś taki cyniczny.

– Próbuję tylko zrozumieć, jak doszliśmy do tego miejsca. Mieliśmy żyć własnym życiem, budować mosty i drogi, założyć rodziny i zestarzeć się w otoczeniu wnuków.

– Ideały stoją wyżej od spraw osobistych. Przyszło nam żyć w takich czasach, podjęliśmy takie, a nie inne decyzje. Nieważne, czy zrobiliśmy to świadomie, czy też daliśmy się porwać wydarzeniom.

– Ideały? Powiedz mi jedną rzecz: gdybyś mógł teraz ocalić życie, gdybym zagwarantował, że mogę ochronić ciebie i twoją rodzinę, wyrzekłbyś się ich? Zmieniłbyś je...? Zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz, Ramónie. Pomyśl o śmierci, która nie będzie szybka, na pewno widziałeś urządzenia w piwnicy, pomyśl o cierpieniu. A jeśli to nie wystarczy, policz stracone lata, pomyśl o przyszłości, której nie będzie, o rzeczach, których już nie zrobisz ze swoją żoną, ze swoim synem... Czy ideały mogą dać ci życie? I co to są za ideały? Ideały kilku wojskowych, którzy poczuli się dotknięci, pasożytów, egoistów, bezwstydników, ideały niekompetentnych, demagogicznych, nieudolnych polityków, którzy bawią się naszym życiem niczym znudzeni giganci rozdeptujący małe, nieznaczące pionki, jakimi dla nich jesteśmy? Ideały zrobią z ciebie męczennika. Ale jest ich już tak wielu. Nikt nie będzie o tobie pamiętał. Nikt.

– Bez ideałów jesteśmy jedynie najemnikami, ciałami bez dusz, zwłokami kołyszającymi się na wietrze.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Ramón Alcázar Suñer pomyślał o żonie i synku, którzy przerażeni siedzą zamknięci w domu na wsi, ukrywając się przed chłopami w obawie, że ich wydadzą. Pewnie czekają na niego z sercem w gardle, ze zszarganymi nerwami. Kiedy wróci, jego żona zacznie wykrzykiwać bzdury: nazwie go żółtodziobem, szaleńcem, ryzykantem, zarzuci mu, że jest egoistą, który naraził ich życie. Ramón wpadnie w szal, nie będzie chciał przyznać, że ma dość płaczu rocznego synka, że wariuje zamknięty w czterech ścianach, że burzy się

w nim krew, kiedy słucha w radiu relacji z frontu, podczas gdy on sam się ukrywa. Ideały są jedynie przebraniem, były nim od samego początku.

Znał świat wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że ludzie się nie zmieniają, chyba że na gorsze, że droga do piekła wybrukowana jest dobrymi intencjami i że bohaterskie czasy są dla tchórzy, którzy gardzą długim życiem. Bóg, ojczyzna, rodzina, porządek to wielkie, entuzjastyczne słowa, niewarte strzału w usta. Farsa, kadzenie, bezwstydnosc, które wciągały serca w to szaleństwo. Tak, wiedział o tym wszystkim, jego żona (która nie miała w sobie nic ze spartańskiej matriarchini) słusznie mu wypominała, że jest winien lojalność wyłącznie samemu sobie i swojej rodzinie. A jednak... Ideały były jedynym, co posiadał.

– Już jest dla nas za późno, nie sądzisz? Zabrnęliśmy za daleko, poświęciliśmy zbyt wiele, żeby teraz przyznać, że obaj się myliliśmy... Jeżeli mam umrzeć, niech stanie się to jak najszybciej. Nie zamierzam z tobą współpracować.

Elías spokojnie przyglądał się dawnemu przyjacielowi. Mimo silnej woli, jaką wykazywał, był niczym delikatny, bezbronny ptak schwyty w jego palce. Wyraził swoje myśli w nadziei, że doda sobie otuchy, że zbierze się na odwagę, której nie posiadał. Elías wiedział, że nie wytrzyma nawet jednego dnia tortur, że wystarczy wymienić nazwę miejsca, gdzie ukrywają się jego żona i syn (oczywiście już to sprawdził), żeby się złamał i padł na kolana. Męczennicy nie chcą umierać na stosie, czekają na cud objawienia, na ocalenie przez Boga w ostatnim momencie. Ale wszyscy giną w płomieniach, krzycząc z bólu, robiąc pod siebie. Dopiero czas zagrzebuje ich słabości i czyni z nich fałszywy wzór do naśladowania. Widział niewielu ludzi, którzy ze spokojem stawiali czoła poświęceniu, a i ci zginęli z cieniem wątpliwości w rozszerzonych źrenicach. Pomyślał o Martinie i o Michaelu, o Claudzie i oficerze, który strzelił sobie w głowę. Każdy z nich podjął własne decyzje. Nie uczyniły one jednak świata lepszym. Świat nie wziął ich pod uwagę.

Przez minutę podłoga drżała, spadło kilka stojących na półkach książek. Szyby mocno zadrgały, nie popękały jednak na kawałki. Elías podszedł do okna i odsłonił firankę. Spomiędzy budynków przy ulicy Entença wydostawał się olbrzymi słup dymu. Niebo rozjaśniały słabe rozbłyski przypominające rachityczne sztuczne ognie, tworząc rozstrzelone, różowe chmury. Były to baterie przeciwlotnicze, które w żaden sposób nie mogły trafić bombowców przelatujących na wysokości ponad pięć tysięcy metrów i zrzucających

chaotycznie kiście pocisków. Odgłos turbin śmigieł splatał się w mrocznym koncercie z wyciem strażackich syren i hukami eksplozji.

Dla tych w górze, którzy widzieli wszystko z oddali, zabijanie było kwestią precyzji; przypominało grę – należało trafić w wewnętrzny dziedziniec, zniszczyć wieżę, na której powiewała republikańska flaga, wysadzić w powietrze klatki w ogrodzie zoologicznym. Kiedyś, wiele lat temu, Elías marzył, by zostać jednym z nich. Teraz, kiedy blask eksplozji zamieniał Barcelonę w lalkę wystawioną na pastwę lotników, cieszył się, że do tego nie doszło. Wolał oglądać śmierć z bliska, dotykać jej, czuć jej zapach, żeby nigdy jej nie zapomnieć.

Ze wschodu nadleciały dwa republikańskie polikarpowoy I-16, które zdołały wystartować z lotniska El Prat. Może ich piloci przeszli szkolenie w moskiewskiej akademii, a jeden z nich podarował Katerinie swoją kurtkę i przechrzczył ją na Esperanzę? Elías miał nadzieję, że nie on pilotował maszynę, która wpadła w korkociąg i rozbiła się o skały w porcie, pozostawiając za sobą smugę czarnego dymu. Pomyślał, że przecież z balkonu jego mieszkania widać morze. Esperanza pewnie widziała, jak samolot spada, wykonując desperackie piruety. Wyobraził sobie, jak przytula do siebie kurtkę i cicho płacze.

– Masz rację – powiedział, odwracając się do Ramóna. – Musimy wybrać coś, o co będziemy walczyć, i wierzyć, że tak jest najsprawiedliwiej, nawet jeśli ta rzekoma sprawiedliwość miałaby służyć wyłącznie szukaniu wytłumaczenia dla naszych czynów. Choć to, co robimy, niczemu nie służy, powinniśmy robić to dalej.

Elías przeszył Ramóna przyprawiającym o ciarki spojrzeniem. Podeszedł do drzwi i kazał strażnikom wejść do środka.

– Zabierzcie go na dół i zamknijcie w izolatce. Wymażcie jego nazwisko z rejestru zatrzymań.

Ramón wiedział, co to oznacza. Nie będzie procesu. Po prostu go stracą.

Nadeszła noc, a wraz z nią wszystkie okropności. Wyroki rzadko wykonywano w świetle dnia, jak gdyby nawet mordercy i kaci mieli świadomość swojej winy i chcieli ją ukryć. Noc była terytorium zmarłych, ludzi spadających z dachów, krzyków w piwnicach, strzałów w ślepych uliczkach i ciosów nożem w bramach. A także podróży samochodem szosami Rovira czy Passeig

de les Aigües, reflektorów oświetlających skarpy, czoł opartych o skały, związanych na plecach rąk.

Noc obsiewała ziemię trupami. Rano zbierała je ciężarówka, wypełniała kostnice zwłokami opatrzonymi numerem i etykietką, które wystawiano przez kilka dni na makabrycznym jarmarku, gdzie ojcowie, matki, synowie i córki próbowali szczęścia na loterii fantowej, modląc się, żeby się do nich nie uśmiechnęło. A świat wypełniał się cynizmem – rewolucyjnymi śpiewami po jednej stronie i odmawianymi po cichu modlitwami po drugiej. Jednak większość ludzi – tak jak Ramón – po prostu czekała w milczeniu, nie będąc w stanie o niczym myśleć, zakotwiczona w tej nieuniknionej oczywistości, a mimo to niezdolna uwierzyć, że może to spotkać właśnie ich. Zerkała z ukosa oczami okolonymi sinymi obwódkami, nasłuchując odgłosu przesuwanego rygła, kroków, słów dobiegających zza drugiej strony drzwi, wyszczekanych przez jakiś cień.

– Na zewnątrz!

Wtedy trzeba było koniecznie zebrać wszystkie siły, żeby zmusić nogi do posuwania się naprzód, zacisnąć zwieracze i zamknąć usta. Można było zachować chociaż tyle godności – nie wygłaszać oświadczeń w ostatniej chwili. Musiał tylko uspokoić wir myśli na tyle, by móc je skupić na żonie, na synu. Szepnąć wybacz mi, skierowane nie wiadomo do kogo, krótkie kocham cię, zdobyć się na zarys uśmiechu, by dodać sobie otuchy, kiedy poczuł, że jest kompletnie osamotniony, kiedy kazali mu przeciąć wybrukowany dziedziniec, a ludzie odwracali od niego wzrok. Winni, wszyscy winni. Dlaczego w nocy? Dlaczego w ten sposób, tak tchórzliwie, pomimo buty strażnika, który wepchnął go siłą do czekającego już samochodu? „Przeżegnaj swojemu Chrystusowi Zbawicielowi pozdrowienia od moich jaj”. Także ten strażnik bał się samego siebie, swojego zezwierzecenia – można to było wyczuć w drzeniu trzymanego w ustach papierosa, w bezpodstawnej nienawiści, jaką dostrzegł w jego źrenicach. Wkrótce przyjdzie moja kolej, wiem. To właśnie mówiły jego oczy.

Samochód prowadzony przez młodego mężczyznę – przynajmniej młody był jego kark – skręcił w jakąś nieznaną drogę. Dwóch pilnujących go strażników zakryło mu głowę i kazało położyć się na brzuchu na tylnym siedzeniu. Zamierzali mu ukraść także to: ostatni widok nocy, gwiazd, możliwość

wyobrażenia sobie, że po tym, jak wyląduje w rowie, czeka go jakieś magiczne miejsce, tam, na górze, w niebie. Nie, dla niego był tylko smród kaptura i tapicerki. A od pewnego momentu, kiedy jeden ze strażników zapalił papierosa i otworzył okno, także zapach sosen, położonych daleko od miasta lasów, żywicy, nocy spowijającej pola, zbliżającej się wiosny. Ramónowi wydawało się, że jechali bardzo długo, ale w takich okolicznościach poczucie czasu jest zwodnicze. Czepiał się każdej minuty, oddychał, świadom każdego haustu powietrza, każdego ukłucia bólu w ciele, każdego szczegółu, jak gryzący policzki flanelowy kaptur. Nadszedł czas, pomyślał, kiedy wyciągnęli go na zewnątrz i popchnęli, każąc mu iść. Zdradziecko, w plecy, z zasłoniętą twarzą i związanymi z tyłu rękami.

Jednak nic się nie stało. Usłyszał odgłos opon na żwirze i był pewien, że światło reflektorów zostało zastąpione przez mleczny blask księżyca. Wyteżył słuch. Noc, cisza i płacz kobiety: rozpaczliwy, dobiegający gdzieś z bliska. Jego żony. Poczuł, że jej nerwowe dłonie pośród szlochów gładzą go po kapturze, jakby chciały zwrócić mu rysy twarzy; poczuł nawet jej usta całujące szorstki materiał. Czyjaś zdecydowana dłoń zdjęła mu kajdanki, zerwał kaptur i wciągnął powietrze, jakby wynurzył się z oceanu. Ale zobaczył jedynie usiane gwiazdami sklepienie i rysujący się w głębi kontur masywu Montseny, upstrzony światłami położonego przy szosie Sant Celoni. Przytulił żonę, która nadal rozpaczała, jakby nie wierzyła, że to naprawdę on. Zobaczył swojego synka stojącego przy samochodzie ze zgaszonymi światłami i włączonym silnikiem. Dłoń, która trzymała jego rączkę, puściła go i malec niezdarnie podbiegł do nóg ojca.

Elías Gil zapalił papierosa i oparł się o maskę samochodu. Mężczyźni, którzy mieli przewieźć Ramóna do linii frontu i pomóc mu się przedostać na drugą stronę, byli zaufanymi ludźmi – najemnikami, spekulantami, przemytnikami opłacanymi przez właścicielkę Gat Negre. Elías wręczył Ramónowi dokumenty, bez słowa, niemal na niego nie patrząc.

– Lepiej się pospieszcie. Przed wami długa droga... I jeszcze jedno, Ramónie. Nie wracaj, dopóki to wszystko się nie skończy. Już wyrobiłeś swoją normę bohatera.

Spojrzał na kobietę i chłopca. Nigdy się nie dowiedzą, że ich mąż i ojciec był gotów poświęcić ich nadaremnie. Zapamiętają tę noc jako coś heroicznego, będą opowiadać o niej wnukom, dumni z Ramóna Alcázara Suñera.

– Dlaczego, Elíasie?

Elías Gil wzruszył ramionami, zgniół butem niedopałek i ruszył w stronę samochodu. Każdy podejmuje swoje własne decyzje. Każda decyzja się liczy. Dobrze o tym wiedział.

Wspomnienie Iriny i Anny przypominało mu o tym każdego dnia.

20.

BARCELONA, PAŹDZIERNIK 2002 ROKU

Siaka doskonale wiedział, że opuszczenie hotelu i pokazanie się na ulicy może być ryzykowne. Ale okres wakacji dobiegał końca. Ten duży statek wycieczkowy z angielską flagą prawdopodobnie będzie ostatnim, który zacumuje w Barcelonie; następne pojawią się dopiero za kilka miesięcy. Napływ turystów był zbyt kuszący, żeby trzymać się na uboczu.

Siedząc w kawiarnianym ogródku naprzeciwko doków, patrzył, jak suną niczym nieuważne mróweczki w stronę pomnika Kolumba i Rambli. Kiedy tak szli posłusznie za przewodnikiem, który dla wyróżnienia trzymał w górze zamknięty parasol, wyglądali komicznie, niemal rozczulająco, w tych swoich śmiesznych, niedostosowanych do pory roku kapeluszach, z tą swoją bladą cerą i aparatami fotograficznymi. Siaka pomyślał, że to zabawne, iż postrzega ich jako obcokrajowców. „W końcu to jest moje miasto”, powiedział sobie, wstając z krzesła.

Wybrał ładną blondynkę w dojrzałym wieku, która została w tyle, zapatrzona na budynki. Zwróciła jego uwagę tym, że nie pstrykała zdjęć jak szalona. Wolała oglądać świat, niż kompulsywnie go fotografować.

– Plus dla ciebie – mruknął Siaka. Lubił obserwować ludzi i dowiadywać się o nich tego, czego oni sami o sobie nie wiedzieli. Weźmy na przykład tę nieznaną: inteligentne, choć zbyt marzycielskie spojrzenie, miłośniczka pozorów, pompatyczności mijanych miejsc, możliwości i niesprecyzowanych obietnic. Wolny zawód, może prawniczka, świeżo po rozwodzie, podróż dla zabliznienia ran, w poszukiwaniu nowych horyzontów, które mają posłużyć jako placebo na jeszcze nie do końca ukojony ból. Seksualnie aktywna, sztuczny uśmiech, radosna beztroska, na którą w zbyt oczywisty sposób musiała się silić.

Idealna.

Pozegnali się kilka godzin później; w jej spojrzeniu dostrzegł lekką ironię. Na pewno odgadła, że próbował ukraść jej portfel, kiedy ubierała się w hotelowej łazience. Musiała sobie wyobrazić, jaką minę zrobił na widok tego, co trzyma w torebce, ile strachu się najadł. Znalazł odznakę policyjną Scotland Yardu i mały samopowtarzalny pistolet kaliber 22.

– Spokojnie, jestem na wakacjach – pożegnała się, całując go w usta i wkładając mu do kieszeni banknot.

Tracę wprawę, pomyślał chłopak, patrząc, jak odjeżdża taksówką. Nawet nie był w stanie czerpać przyjemności z seksu, chociaż pokój hotelowy, który wynajęli na kilka godzin, nie zawiódł jego oczekiwań. Satynowa pościel, wykwinny szlafrok, stojące na srebrnej tacy alkohole i kieliszki z rżniętego szkła, kretonowe zasłony pasujące do barokowych mebli. Jego umysł i kutas były ze sobą skłócone, zmierzały w przeciwnych kierunkach. Telefon od Gonzala wisiał nad nim niczym zła wróżba. Prawnik nalegał na spotkanie, umówili się w pobliskim barze. Siaka zapytał, o co chodzi, ale Gonzalo nie chciał nic powiedzieć poza tym, że odkrył, iż Alcázar pracuje dla Matrioszki.

Dlaczego go to nie zdziwiło? Inspektor Alcázar, ściślej rzecz biorąc były inspektor, zawsze wydawał mu się szemranym typem. Podejrzewał go już od jakiegoś czasu i czuł, że Laura także ostatnio przestała mu ufać, choć nigdy mu tego nie powiedziała. Co nie oznaczało, że nie przejmował się tym, że policjant może go złapać. Dostawał paranoi, nie mógł się pozbyć wrażenia, że go śledzą, pilnują; strach na nic mu nie pozwalał.

Poniżony przygodą z angielską turystką, wszedł do kawiarni, w której umówił się z Gonzalem, i zamówił espresso lungo. Miał jeszcze trochę czasu do spotkania.

Musiał ponownie rozważyć różne opcje, nie mógł dłużej żyć w ciągłym napięciu, jeżeli nie chciał zwariować.

„Powinienem jak najszybciej się stąd wynieść”.

To nieustannie powtarzał mu instynkt. Biegnij, Siaka, biegnij.

Pomyślał o atrakcyjnej policjantce. Mogła donieść na niego hotelowej ochronie albo gorzej, strzelić do niego z tej srebrzystej zabawki. Potraktowała go jednak jak małe psotne dziecko, któremu należy okazać wyrozumiałość. Zdecydowanie stracił czujność.

Pięć minut po umówionej godzinie zaczął podejrzewać, że Gonzalo nie przyjdzie. W ostatniej chwili zmienił zdanie czy po prostu utknął w korku? Nie spuszczał z oczu drzwi; spojrzął niecierpliwie na wiszącą na ścianie zegar,

a potem jeszcze raz, dwie, trzy, cztery minuty później; czas stanął w miejscu. Z każdym ruchem wskazówki odmierzającej minuty alarm w jego głowie rozlegał się coraz głośniejszy, aż stał się nie do wytrzymania.

Kątem oka dostrzegł mężczyznę, który przeglądał gazetę, oparty łokciami o bar, i od czasu do czasu rzucał mu przelotne spojrzenie. Siaka miał jednak wrażenie, że ten gość uważnie go obserwuje – kiedy dwukrotnie go na tym przyłapał, nieznajomy odwracał głowę. Mógł być człowiekiem Alcázara, zbirem Matrioszki albo po prostu znudzonym facetem, który czytał sportową gazetę, popijając kawę. Siaka nie zamierzał tego sprawdzać. Gonzalo spóźniał się już piętnaście minut, a zawsze był punktualny. Zaryzykował i zadzwonił do niego na komórkę. Była poza zasięgiem.

Biegnij, Siaka, biegnij, krzyczał głos, który tyle razy ocalił mu życie. Wsiądź do tego pociągu do Paryża i zapomnij o całej sprawie. Gdzie, do kurwy nędzy, miałeś rozum, kiedy dałeś się schwytać w tę sieć? Strach nie pozwalał mu przypomnieć sobie wyraźnie twarzy Roberta i Laury. Oni są martwi, a on żyje. Jeśli chce nadal żyć, powinien jak najszybciej opuścić kawiarnię.

Wziął głęboki oddech, żeby zapanować nad tętnem, zapłacił banknotem, który wsadziła mu do kieszeni angielska turystka (jak jakiejś ulicznej męskiej dziwce), a czekając na resztę, ukradkiem przyjrzał się mężczyźnie przy barze. Trochę się uspokoił – nieznajomy wyglądał nieszkodliwie. Jednak nigdy nic nie wiadomo. Zinowiew powiedział mu kiedyś, że istnieje gatunek pajaków, które są niemal niewidoczne dla oka, ale wstrzykują paraliżującą truciznę, zdolną zabić w ciągu kilku godzin.

Wyszedł na ulicę i ruszył w stronę metra. Kilkakrotnie się odwracał, bo miał wrażenie, że ktoś go śledzi, ale widział tylko twarze przechodniów zajętych własnymi sprawami.

„Wyluzuj, stary, bo głowa ci pęknie”.

I tak się właśnie stało. Poczł uderzenie w kark, ledwo stanął na pierwszym stopniu prowadzących do metra schodów. Falę intensywnego ciepła, która utorowała sobie drogę do jego mózgu jak pięść. Potknął się i sturlał w dół. Coś trzasnęło mu w nodze; był przekonany, że złamał sobie piszczel. Podczas upadku starał się osłaniać rękami, ale nie zdołał uniknąć kantu ostatniego stopnia, o który rozbił głowę.

Kiedy jej wzrok padł na lustro, zobaczyła odbicie, które wolałaby wymazać. Ale już się nie dało. Nawet gdyby zasłoniła połowę lustra dłonią, kiedy by ją odsunęła, Carlos nadal leżałby w łóżku z ręką pod poduszką, spoglądając na nią, jakby była boginią.

Boginią? Lola zamknęła oczy, żeby nie musieć patrzeć na swoją twarz z rozmazaną szminką i czarnymi łzami tuszu. Nienawidziła się za to, co zrobiła; miała ochotę zedrzeć z siebie skórę, żeby pozbyć się jego zapachu. Wyciągnęła rękę w stronę szafki nocnej i dopiła whisky. Nic się nie zmienia, pomyślała o sobie z pogardą. Ta sama pustka, ta sama niemożność bycia inną w ramionach innego. Jak osiemnaście lat temu, kiedy dowiedziała się, że zaszła w ciążę, a ojcem dziecka nie jest Gonzalo.

– To się nie wydarzyło – szepnęła bardziej do siebie niż do chłopaka, na którego patrzyła.

Carlos wyciągnął dłoń i przesunął nią po jej kręgosłupie; Lola zadrżała, jakby jego palce były z lodu.

– A jednak się wydarzyło. Kocham cię, musisz to zrozumieć. Nie chodzi tylko o seks; naprawdę mi się podobasz. Możemy zrobić wszystko, uciec gdzieś razem, ty i ja. Zapomnieć o przeszłości. – Mówił poważnie, naprawdę tak myślał. Był gotów wykasować filmik, który nagrał. Lola nigdy się nie dowie, jak bliska była zguby. Wystarczy, że się do niego odwróci i powie „tak”.

Lola wstała z łóżka, prezentując w lustrze swoje ciało: wciąż jędrne piersi, kształtne biodra, jeszcze wilgotne włosy łonowe, płaski brzuch. Obraz dojrzałej kobiety w pełni rozkwitu. Mimo to czuła się stara i godna pogardy. Nie wiedziała ani nie chciała wiedzieć, jak dała się przekonać do tego szaleństwa. Do tego, żeby pieprzyć się z przyjacielem swojego syna we własnym domu, we własnym łóżku.

Mogła szukać usprawiedliwień, powiedzieć sobie, że czuła się samotna i że dwie butelki wina uciszyły jej zdrowy rozsądek, dlatego pozwoliła, by Carlos pocałował ją na parkingu przy restauracji, dlatego uległa jego palcom szukającym pod bluzką jej piersi, dlatego niczym podniecona nastolatka zgodziła się, by jego dłoń odnalazła w majtkach jej srom. Mogła powiedzieć sobie, że dała się ponieść podnieceniu, chęci życia, która od czasu do czasu sprawiała, że wrzała w niej krew. Nie było w tym nic złego, była atrakcyjną kobietą, która nie zamierza tracić tego, co ma jej do zaoferowania życie. Po prostu przespała się z przystojnym facetem o umięśnionym ciele, jędrnym tyłku

i energii żrebaka, który pragnie udowodnić, na co go stać. Mogła potraktować to jak historyjkę, którą zachowa na zimowe noce, żeby masturbować się w łóżku, kiedy samotność zaśnie na drugiej połowie materaca.

Tyle że prawda była zupełnie inna. To ona zainicjowała tę grę, ona poszukała dłoni Carlosa świadoma tego, co robi, bez wyrzutów sumienia czy poczucia winy. Podczas stosunku jej wzrok padł na zdjęcie dzieci i męża zrobione, kiedy byli szczęśliwi, kiedy marzyła, że dadzą jej spełnienie. Dopiero ten widok uświadomił jej własną porażkę, kłamstwa, zmęczenie ciągłym udawaniem. Zalał ją smutek, kiedy zrozumiała, że jej nieumiejętność bycia szczęśliwą nie ma nic wspólnego z brakiem seksu, z poczuciem, że jest niekochana, czy z wyrzutami sumienia z powodu tego, co wydarzyło się osiemnaście lat wcześniej. To ona sama była tą nieumiejętnością.

Teraz słowa Carlosa, jego szczere, naiwne pragnienia sprawiły, że czuła się jeszcze gorzej. Uciec z niemal nastolatkiem! Po co? Zrezygnować z dotychczasowego życia? Na jak długo? Aż pożądanie zamieni się w rutynę, aż stanie się oczywiste, że należą do dwóch różnych światów, aż zestarzeje się sama, zżerana przez niewłaściwe decyzje, którym już nie będzie mogła zaradzić. Chciała tylko, żeby sobie poszedł, by zerwać z łóżka pościel i włożyć ją do pralki, wziąć prysznic, trzeć skórę, dopóki nie zacznie krwawić. I zapomnieć.

– Powinieneś już iść. To się więcej nie powtórzy, nigdy. – Jej twarz stała się złowieszczo pochmurna, jakby zniknął z niej wszelki wyraz, jakby była czystym płótnem do zamalowania.

Przez kilka sekund Carlos czekał, by na tej twarzy pojawiła się odrobina światła, płomyk nadziei, a przynajmniej wdzięczności. Ale zobaczył tylko obojętność, niepokój i pogardę. Nagle uderzyło go to, że są w pokoju Loli: rozgrzebane łóżko, zasłony, przez które przenika światło, rodzinne zdjęcia i drobiazgi z życia, w którym nie ma ani nigdy nie będzie dla niego miejsca. Naszyjniki i bransoletki w stojącym na komodzie kuferku, dywan, na którym leży ich rozrzucona bielizna, butelka whisky i szklanki z grubym dnem. Żadna z tych rzeczy nie była jego i nigdy nie będzie do niego należała. Znalazł się na tym obrazie przez pomyłkę, niczym przypadkowe pociągnięcie pędzla, które zostanie usunięte bez śladu, gdy tylko wyjdzie za drzwi.

A on, biedny idiota, myślał, że z nią będzie inaczej! Jego miejsce było w cieniu, na mrocznych ulicach, w walących się betonowych blokach, wśród dziwek i sutenerów. Głupie, naiwne marzenia. Teraz to rozumiał, widział

wyraźnie, kiedy przyglądał się temu ciału, które było jedynie naczyniem. Aż go zatrzęsło ze złości. Pomyślał o małej kamerze, którą ukrył między koszulą a spodniami; pomyślał, że na kilka minut zdołał zapomnieć, po co tu przyszedł. Pomyślał, że prawdziwą rozkosz dała mu Lola, nie jej syn. I ucieszył się, że nie uległ pokusie, by o wszystkim jej powiedzieć, kiedy dysząc w uniesieniu, szepnęła mu do ucha, że go kocha.

– Jesteś tego pewna? Naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł?

Lola spojrzała na niego z miążdżącą pogardą.

– Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna.

Carlos usiadł na łóżku i spojrział na brudne czubki swoich butów. Miłość jest do przyjęcia pod warunkiem, że nie nadamy jej kształtu i utrzymamy ją na dającej się kontrolować granicy teorii. Lola nie powinna być dla niego niczym więcej niż imieniem i nazwiskiem, pozycją na leżącej na biurku nudnej liście, jak jej syn. Byli dla niego nikim, narzędziem niezbędnym do osiągnięcia celu. Oznaczali pieniądze. Dane, liczby, skuteczność, ekonomię. To się liczyło. Ale wpadł w pułapkę i uwierzył, że może być inaczej. Na szczęście spojrzenie Loli sprawiło, że rozbił się o namacalną rzeczywistość, że poczuł na własnej skórze to, co wcześniej było jedynie mgłą, dobiegającym z daleka odgłosem krzyków, które mógł przestać słyszeć, zamykając okno. Teraz już nie dało się uciec przed tym, co oczywiste – jest nikim dla niej i dla innych kobiet z jej sfery. Zawsze tak będzie.

Chciał puścić jej nagranie, zaszantażować ją, zażądać od niej pokaźnej sumy w zamian za utrzymanie w tajemnicy jej zdrady, podobnie jak szantażował Javiera. Taki miał plan, ale szybko zmienił zdanie – teraz nie chodziło już tylko o pieniądze, ale coś bardziej osobistego. Zapłaci zawiązką za to, że nim pogardziła. Da tej aroganckiej kobiecie nauczkę, której nie zapomni do końca życia.

Ubierał się rozmyślnie powoli, żeby czuć zażenowanie. Nie spieszył się, schował kamerę, a kiedy wychodził, powstrzymał chęć, by spojrzeć na Lolę.

Wiedział, gdzie znajdzie Javiera.

Javier wyczuwał coś niepokojącego, ogarnęło go wrażenie, którego nie miał odwagi nazwać. Prawdopodobnie inni by tego nie zauważyli, on jednak dostrzegł w spojrzeniu Carlosa, w jego zuchwałych słowach, chorą nienawiść, która wcześniej do końca się nie uwolniła, ale teraz z jakiegoś powodu

ukazała się w całej okazałości.

– Co to za pilna sprawa? Co tu robimy?

Carlos krążył w kółko niczym uwięziona w klatce bestia. Umówił się z Javierem w opuszczonej fabryce na obrzeżach miasta.

– Nigdy mnie nie zapytałeś, gdzie mieszkam, nie zainteresowałeś się moją rodziną ani tym, co robię, kiedy nie jesteśmy razem.

Spoglądał na Javiera z pewną wyższością, jakby rzucał wyzwanie całemu światu. Jakby mu udowadniał, że był w piekle i przeżył, że już nie boi się innych ludzi, jakby wyłonił się z tego piekła, zostawiając w nim swoją ludzką naturę, zamieniając się w coś innego. Wiedział i dawał mu do zrozumienia, że jest lepszy od niego.

– No cóż, witaj w moim domu.

Javier rozejrzał się wokoło. W hali nie było nic poza brudem, gruzem i wąskim materacem w głębi, przy którym stały dwie stare walizki.

– Co to ma znaczyć?

Biedny idiota, pomyślał Carlos. Na tym polegał ogromny błąd, jaki popełnili Javier i jego matka. Zlekceważyli go, uważali się za lepszych tylko dlatego, że mieli w życiu trochę więcej szczęścia niż on.

– Zdziwiony? Nie powinienesz robić takiej zde gustowanej miny. Wiesz, jak wygląda świat poza czubkiem twojego nosa? Podpowiem ci – jeden fałszywy krok może zrujnować ci życie, masz wszystko, aż tu nagle patrzysz na ręce i nie masz już niczego. Mogłem być taki jak ty, jak ludzie twojego pokroju. Ale szczęście mnie opuściło, zły ojciec, narkotyki, poprawczaki, historie bez znaczenia. Można skazać człowieka na to, co najgorsze, zaszczyć go i pobić jak psa, ale to nieważne, zniesie wszystko pod warunkiem, że nie straci nadziei, że któregoś dnia jego cierpienie dobiegnie końca. Bez tej nadziei ogromna większość po prostu się podda i nieodwracalnie zgaśnie. Ale niektórzy w obliczu tych oczywistych faktów poczują się wyzwoleni i ze świadomością, że nie mają nic do stracenia, zdejmą z szyi pętlę strachu. Nawet najokrutniejszy oprawca wie, że w tym czy innym momencie powinien okazać litość.

Podniósł głowę i niewidzącym wzrokiem spojrział na drugi koniec hali.

– Ja jestem jednym z nich.

Poruszył palcami, jakby przedstawiał mu w zarysie jakiś sekret, który Javier nie do końca rozumiał. Nagle się odprężył, ton jego głosu stał się uprzejmy, choć nie przyjacielski.

– Chodź, chcę ci coś pokazać. Wiedziałeś, że lubię kino? Zawsze uważałem, że mam talent do filmowania. Zwłaszcza pierwszych planów – powiedział, po czym połączył kciuki i palce wskazujące obu dłoni, tworząc kadr, w którym znalazła się twarz Javiera. – Świat pozorów. To właśnie podoba mi się w kinie.

– Myślałem, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego – odparł Javier. Zaczynał się bać.

– Bo chcę, ale dojdziemy do tego powoli, ostrożnie. – Na twarzy Carlosa zarysował się dziwny uśmiech. – Istnieją dwa rodzaje rzeczywistości, ta oczywista i ta przetworzona. Pierwsza jest jak sny, a nawet gorzej, jak koszmary, rozszczepiona, nie potrafi się zaprezentować w przekonujący sposób. Dlatego przetwarzamy ją jak scenariusz filmowy, robimy niekompletną i niemal zawsze kłamliwą adaptację oczywistej rzeczywistości. Wystarczy, że każdy wymyśli swoją własną narrację, nie oczekuje się od nas więcej niż niewzruszonej relacji z tych samych wydarzeń.

– Nie rozumiem cię. Dlaczego nie powiesz mi wreszcie, czego ode mnie chcesz?

Carlos wyjął z kieszeni kamerę i powiesił ją sobie na szyi. Puścił Javierowi filmik. Został nagrany tutaj, w fabryce.

– Co widzisz?

– Szczura.

– Szczura?

Javier powoli skinął głową.

– Ogromnego, czarnego, odrażającego szczura.

– Ja widzę coś innego: widzę chłopca leżącego w łóżku, wystraszonego odgłosami szczura, który po zmroku biegał nad drewnianym sufitem w sypialni. Musiał tam być od dawna, sądząc po hałasie, jaki robił, kiedy się przemieszczał. Czasami rozlegały się jego zirytowane, obłąkańcze piski. Wyobrażam sobie, że samotność doprowadza do szaleństwa także szczury. Aż któregoś popołudnia ojciec chłopca podniósł hakiem drewnianą kłapę i wszedł na strych. Niełatwo było upolować gryzonia, bronił się zębami i pazurami, skakał wystraszony. Wreszcie ojciec chłopca nadział go na hak i uderzył nim mocno o podłogę... To relacja z rzeczywistości. Scena, która może być raz za razem bezbłędnie odtwarzana, niewykluczone, że nawet jest prawdziwa. Ale tym, czego ta rzeczywistość nie może opisać, jest wrażenie, jakie zrobił na przestraszonym chłopcu widok wybebeszonego szczura, jego

ogon ocierający się o nogawkę spodni ojca, ciemne krople krwi skapujące na czubek jego buta. Nie opisze też słowami spojrzenia mężczyzny, połączenia dumy i pogardy, kiedy z pijackim śmiechem rzucił chłopcu w twarz martwego szczura, reagując na jego przerażone krzyki kolejnymi wybuchami wesołości.

Co miał mu odpowiedzieć Javier? Jaki sens miało tłumaczenie Carlosowi, że jako dziecko bał się oczu królików, które dziadek Agustín trzymał w klatkach w swojej posiadłości w Cáceres? Patrzyły na niego z nienawiścią, jakby wiedziały, że są tam po to, by umrzeć od ciosu karate zadanego w kark. Nigdy nie udawało mu się zabić żadnego za pierwszym razem, jak uczył go dziadek, dlatego patrzyły na niego z wściekłością, z jaką torturowani spoglądają na swoich oprawców.

Nagle obraz szczura w opuszczonej fabryce zniknął, jego miejsce zajął jasny pokój. Pokój, który Javier doskonale znał, miał jednak problem z rozpoznaniem osoby, która tak jęczała. Nigdy nie słyszał matki podczas orgazmu.

Kręcił głową, patrząc na zmieniające się obrazy. Nie wierzył, żeby Lola mogła zrobić mu coś takiego.

– Wyłącz to – szepnął w stanie katatonii, ale Carlos nie zatrzymał nagrania. Wręcz przeciwnie, wcisnął zoom. Kiedy Javier chciał odwrócić głowę, chwycił go brutalnie za szyję, zmuszając, żeby patrzył.

– Teraz będzie najlepsze, kiedy prosi mnie, żebym wziął ją od tyłu. To jakaś wasza rodzinna obsesja? Lubicie, żeby wam zapakować w dupę? Na pewno twoja siostra też niedługo znajdzie w tym upodobanie.

Javier wyrwał się gwałtownie, próbował uderzyć przyjaciela w bok, ale ledwo zdołał go musnąć. Carlos był za duży. Niemal bez wysiłku uwolnił się od chłopaka kopniakiem w brzuch, który powalił go na podłogę. Z pewnym rozczarowaniem patrzył, jak Javier wije się z bólu, jakby liczył na to, że zaskoczy go coś innym.

– To nie takie łatwe, jak wstać z łóżka i wyskrobać otwór na oblodzonej szybie, żeby zobaczyć krajobraz na zewnątrz. Sytuacja nie wygląda tak samo, kiedy jesteś jej częścią, prawda? – Włączył nagrywanie i sfilmował dwa mocne kopniaki, które wymierzył Javierowi w bok. – Cóż za szczęśliwa rodzinka: syn, pedał i narkoman, patrzy, jak jego puszczańska matka jest brana od tyłu przez jego cherubinka. Co zrobisz, Javierze? Powiedz, co zrobisz?

Carlos, nie przestając nagrywać, kopał go z nienawiścią; wyładowywał na nim całą gromadzoną od zbyt dawna złość.

– Powiem ci, co ja zrobię: wyślę twojej matce tę miłą pamiątkę razem z kilkoma ładnymi zdjęciami, na których ssiesz mojego kutasa. Co o tym sądzisz? Myślisz, że jej się spodoba? Co pomyśli o swojej idealnej rodzinie twój ojciec, ten wymoczkowaty prawnik?

– Dlaczego mi to robisz? – wybełkotał Javier, plując śliną i krwią.

Pytanie, ledwo słyszalne, powstrzymało szła Carlosa. Jakby go zaskoczyło.

Przypomniał sobie pewną Wigilię. Ojciec wrócił do domu pijany. Zostawił na środku przedpokoju walizkę z próbkami. Pracował jako akwizytor dla dużego koncernu – zasłony, tapicerki, tego rodzaju rzeczy. Uważał, że może zdobywać klientów w knajpach. I grać na automatach, i oglądać mecze, i pić, dopóki nie spadnie z barowego stołka, spędzać noce poza domem, poznawać dziwki i krętaczy, uczestniczyć w nielegalnych partiach pokera i obstawiać wyścigi psów na torach Meridiana. W tamtą Wigilię jego matka przebrała się, żeby pójść na pasterkę, i z dłońmi ściśniętymi między kolanami czekała przed telewizorem, nie zwracając uwagi na nadawany w tym czasie program kabaretowy.

Carlos przez całe popołudnie pomagał jej piec śmietankowo-kokosowe ciasteczka. Ukradkiem podjadał masę, a matka udawała, że nie widzi. Kiedy ojciec, zataczając się, wszedł do salonu, słodkości leżały na stole na talerzykach z ciasta francuskiego, ułożone jako dekoracja bożonarodzeniowej szopki. Ojciec machnął ręką i rozrzucił ciasteczka po całym pokoju. Carlos widział jego przekrwione z wściekłości oczy, to, jak chwycił matkę za ramiona i zaczął nią szarpać, jakby siłą chciał wytrząsnąć kogoś, kto ukrywał się w jej wnętrzu. Stał między nimi, krzycząc do ojca, dlaczego to robi.

Ojciec wytrzymał jego spojrzenie z okrutnym, nieprzeniknionym uśmiechem. Zapalił papierosa marki Rex, dmuchnął mu w twarz dymem i wycedził:

– Bo mogę... tak mi powiedział.

To wspomnienie na kilka sekund oddaliło Carlosa od rzeczywistości. Kiedy do niej wrócił, zaskoczony zamrugał oczami.

– Skąd to wzięłeś?

Javier mierzył do niego ze starego rewolweru. Drżały mu ręce, musiał z całej siły trzymać pistolet, żeby mu nie wypadł. Nie miał pojęcia, dlaczego po telefonie od Carlosa postanowił go wziąć. Nie wiedział dokładnie, co zamierza zrobić. Może mu zagrozi, żeby przestał go szantażować, a może zrobi coś bardziej dramatycznego, na przykład się zabije albo przynajmniej uda przed nim, że jest zdolny odebrać sobie życie. Nie był już w stanie dłużej

znieść tej sytuacji.

– To musi się skończyć, to musi się skończyć – szeptał z obłędem w oczach. Jedno oko całkiem mu się zamknęło, dusił się krwią, która ciekła mu z nosa i ust.

Carlos wyostrzył wzrok. Wycelował obiektyw kamery w lufę.

– Nie masz jaj.

Strzał zaskoczył ich obu.

Było zimno. Javier miał tego świadomość nie dlatego, że czuł to fizycznie, ale dlatego, że jego oddech zamieniał się w parę, kiedy klęczał naprzeciw zmasakrowanej twarzy Carlosa.

Patricia zapewne jak każdej nocy przyjdzie do niego do łóżka; Javier zawsze obejmował ją ramieniem i mówił, na wpół śpiąc: „Musisz dorosnąć, nie będzie mnie tutaj wiecznie”. Zасыiała, jej ręka ciążyła mu na biodrze jak kamień. Poprzedniej zimy miała wstąpić do szkolnego zespołu mażorettek. Matka przyszyła jej mocniej błyszczące guziki do niebieskiej kurtki z białymi pomponami, pasującej do spódniczki i lakierowanych botków. Nadchodził jej moment chwały! Przez wiele tygodni codziennie ćwiczyła przed lustrem żonglowanie pałeczkami, bo powiedział jej, że jeśli się postara, będzie mogła iść na czele grupy. Podczas egzaminu pałeczki wypadły jej na podłogę, kiedy próbowała przerzucić je z ręki do ręki, ale to nie miało znaczenia. Javier od początku wiedział, że nigdy nie dopuszczą Patricii do pierwszego szeregu, nie miał jednak odwagi jej tego powiedzieć. Są kłamstwa i zdrady, które pieką jeszcze wiele lat później.

Przyjrzał się leżącemu na boku ciału Carlosa. Niewinność może się zamienić w coś godnego pogardy, bo sprawia, że czujesz się brudny.

Przyłożył rewolwer do piersi i pociągnął za spust.

Część trzecia

MILCZENIE

21.

ARGELÈS, FRANCJA, LUTY–WRZESIEŃ 1939 ROKU

Niebo miało popielaty kolor, ale jeszcze nie zaczęła padać deszcz. Morze, w tym samym zimowym odcieniu, było wzburzone, wysokie fale zapuszczały się w głąb plaży.

Francuski oficer kazał zebrać nowo przybyłych więźniów. Ten mężczyzna o wyglądzie fircyka był kapitanem Gwardii Ruchomej upojonym swoją misją, którą uważał za kluczową. Przez piętnaście długich minut pod eskortą plutonu wygłaszał kazanie dobre raczej dla proboszcza z tonsurą niż dla wojskowego, przeplatając zalecenia zachowania rozwagi i umiaru z groźbami, co spotka tych, którzy będą zakłócać porządek czy próbować ucieczki. Powiedział, że jest osobą otwartą na dialog, ale nieugiętą w kwestii obozowej dyscypliny – przepisy są święte i bez względu na okoliczności powinny być przestrzegane jako gwarancja porządku. Dodał, że przecież w końcu są cywilizowanymi ludźmi, ma więc nadzieję, że tak też będą się zachowywali podczas pobytu w obozie, który – jak zapewnił – jest tylko przejściowy.

Elías ze znużeniem słuchał przemówienia tej namiastki Robespierre’a. Żaden obóz jeniecki nie może być przejściowy. Dla tysięcy uchodźców, którzy codziennie nadciągali od strony granicy, będzie czymś permanentnym, bo nigdy o nim nie zapomną. On i Esperanza dotarli do przejścia w Cerbère na początku lutego wraz z pierwszymi kontyngentami uchodźców, podczas gdy oddziały frankistowskie zajmowały Katalonię, a armia republikańska topniała jak kostka cukru. Tysiące cywili, kobiet, starców i dzieci, przemieszanych z żołnierzami, z których wielu pozbyło się mundurów i broni, przez kilka tygodni koczowało przy granicy, czekając na pozwolenie wejścia na terytorium francuskie, gdzie – jak uważali – będą bezpieczni.

Algierscy żołnierze oddzielili mężczyzn od kobiet i dzieci. Efektem były sceny rozpaczki i poważne zamieszki, które spahisi stłumili ciosami kolb

karabinów. Mężczyźni i każdy, kto przypominał ich budową ciała lub wzrostem (w tym dwunasto- czy piętnastoletni chłopcy), mieli zostać przeniesieni do tymczasowego obozu przy plaży. Kobiety i dzieci rozesłano po różnych ośrodkach pomocy departamentu Pirenejów Wschodnich i pobliskich obozach, oddzielonych od siebie naturalnymi korytami rzek i drutami kolczastymi, które ciągnęły się wzdłuż wybrzeża i zajmowały łącznie powierzchnię pięciu hektarów.

Elías i Esperanza ledwo zdążyli się pożegnać – zrezygnowali ze słów, by skumulować wszystkie myśli w pytającym, zaniepokojonym spojrzeniu. Elías uśmiechnął się do żony, udając spokój. Wkrótce znów będą razem. Nie pozwoli, żeby przytrafiło mu się drugi raz to samo – utrata kogoś, kogo najbardziej kocha.

Odległość od granicy do rybackiej plaży w Argelès nie była duża. Jednak wędrówka zaczęła się znacznie wcześniej, w grudniu 1938 roku, kiedy nie dało się już dłużej ukrywać, że klęska jest nieunikniona; wszyscy ci mężczyźni i kobiety przemierzali kilka ostatnich kilometrów, przezuwając powoli oczywisty fakt, że życie, które wiedli do tej pory, dobiegło końca. To, co widzieli podczas ucieczki, wyrzyło się w ich zdezorientowanych, zagubionych spojrzeniach: opuszczone domy, w których zostały wszystkie meble, pościelone łóżka, a czasami nawet nieruszone śniadanie na stole w kuchni; niezaorane pola, porzucone w pośpiechu narzędzia, podręczniki w zamkniętych szkołach, tablice z ostatnimi zdaniem zapisanymi kredą, „pierwsza deklinacja łacińska: rosa, rosae...”.

Długa kolumna uchodźców taszczących koce, materace, krzesła – rzeczy, które wcześniej czy później porzucali, bo opóźniały marsz i okazywały się bezużyteczne – zostawiała za sobą bijące w miasteczkach kościelne dzwony, flagi narodowców, wymalowane na ogrodzeniach napisy i wiszące na zajętych ratuszach transparenty, głoszące: „Niech żyje Hiszpania, niech żyje *Fascio*”. Wizerunki kamiennych twarzy Franco, Hitlera i Mussoliniego towarzyszyły im przez całą drogę niczym jakiś żart, podobnie jak rozlegający się w dzień i w nocy warkot niemieckich samolotów, które czasami zrzucały na nich pociski, a kiedy indziej przelatywały dla rozrywki nisko nad ich głowami, sprawiając, że rozpiechali się w popłochu jak mrówki z mrowiska zdeptanego dla zabawy przez olbrzyma. Po chwili wracali na szosę

i w przerażającej procesji powoli posuwali się w stronę granicy.

Na tym właśnie polegała porażka. Na zbiorowym, świadomym, żalobnym milczeniu. Wszyscy wiedzieli, że to milczenie na zawsze obejmuje tę ziemię. Na prowadzących do Francji drogach ludzie pozbywali się wszelkiej tożsamości, ścieżki pokrywały się podartymi na kawałki komunistycznymi, związkowymi, socjalistycznymi, katalońskimi legitymacjami, ale także aktami urodzenia, dowodami osobistymi, książeczkami wojskowymi. Nie byli już ani Hiszpanami, ani Baskami, ani Katalończykami, ani republikanami. Zamienili się w przesadną masę, zmęczoną i obłąkaną, przytłoczoną pogłoskami – czasem prawdziwymi, kiedy indziej zaś niedorzecznymi – o rzeziach, do których dochodziło na okupowanych obszarach, i zbliżających się włoskich i marokańskich oddziałach ekspedycyjnych. Wtedy ta spokojna masa, podburzona strachem, wpadając w szal i rozpacz, próbowała forsować przejścia graniczne, ścierając się z żandarmami. Wielu, zbyt wielu, zginęło od francuskiej kuli czy bagnetu, kiedy czuli się już bezpieczni.

Elías wolałby zostać w Hiszpanii, przedostać się do Madrytu, kiedy miasto było jeszcze stawiającą opór wyspą, która budziła współczucie całej Europy, ale także biurokratyczną obojętność jej rządów. Kiedy jednak przystąpił do niszczenia i wywożenia tysięcy dokumentów SIM-u, na obrzeżach Barcelony rozlegały się już pierwsze wystrzały. Wówczas otrzymał z Moskwy więzły, oficjalny telegram, nieprzewidujący odpowiedzi.

Rozkazuje się Panu przedostanie do granicy w grupie uchodźców. Zostaje Panu przydzielone zadanie zorganizowania towarzyszy w obozie w Argelès, a także dbanie o ich morale i czuwanie nad przestrzeganiem zasad partii w oczekiwaniu na nowe rozkazy.

Podpisano: pułkownik Orłow.

Rzekomy obóz, do którego został przewieziony Elías, w rzeczywistości był ciągnącym się przez kilka kilometrów wzdłuż morza obszarem nieużytków, ogrodzonym drutem kolczastym, smaganym w dzień tramontaną, która ciskała w skórę ziarnkami piasku, niczym chmara komarów o ostrych kłujkach. Nie było tam nic poza pchłami, wszami, głodem, niepewnością i nędzą, które przynieśli ze sobą uchodźcy. Wewnętrznych zasieków pilnował 24. Pułk Senegalskich Strzelców, jednak ci małomówni Murzyni w czerwonych czapkach, uzbrojeni w archaiczne karabiny i bagnety z czasów *grande guerre*

nie byli przygotowani na tak wielką ludzką lawinę. Elías przyglądał się strażnikom i podobnie jak podczas pobytu na Nazino odkrywał za ich rasistowską przemocą nieco strachu, grozy i rozgoryczenia. Co będzie, jeśli te tysiące istot postanowią się zbuntować? Kto przeszkodzi im w rozprzestrzenieniu się po całym południu Francji niczym plaga wygłodniałej szarańczy? Senegalczyki jakby podejrzewali, że może do tego dojść, i z wściekłością, arogancją i odrazą starali się utrzymać porządek.

Ta chaotyczna rzeczywistość nie odpowiadała oczekiwaniom więźniów: spodziewali się, że zostaną ciepło przyjęci jako bohaterowie sprzymierzeni z rządem Frontu Ludowego i francuskimi towarzyszami przeciwko nadciągającemu zagrożeniu w postaci nazizmu, a tymczasem czekał na nich chlew, krzywe spojrzenia, nieufność, złe traktowanie i nędza. Jedynie solidarność okazana przez mieszkańców miasteczka Argelès i okolic łagodziła nieco sytuację, ale wkrótce i ci spokojni ludzie poczuli się zalani ogromnym ludzkim strumieniem.

Pomimo panującego chaosu i niewystarczającej infrastruktury mieszkańcy obozów wkrótce zaczęli wieść coś na kształt normalnego życia. Niektóre inicjatywy wychodziły od organizacji międzynarodowych, a nawet od władz francuskich, które przyłoczone rozmiarami hekatombi poprosiły o pomoc Czerwony Krzyż. Próbowano zapewnić opiekę najmłodszym dzieciom, odnaleźć rodziców tych, które zgubiły się w zamieszaniu. Utworzono punkty medyczne, rekrutując personel spośród więźniów. Starzy wiejscy nauczyciele zjednoczyli siły z wykładowcami uniwersyteckimi i profesorami, by zorganizować prowizoryczne szkoły, gdzie uczono podstaw francuskiego chłopów, którzy ledwo potrafili dukać coś po hiszpańsku, przywiązani do języka, jakim od zawsze się posługiwali – katalońskiego – i gdzie próbowano w miarę możliwości stworzyć szkolny program dla najmłodszych. Internowani szybko podzielili się na grupy według takich kryteriów jak zawód, przynależność polityczna, pokrewieństwo czy pochodzenie, i utworzyli brygady, by zbudować dla siebie obóz, podobnie jak było na Nazino, z tym że tu mieli narzędzia do kopania latryn, stawiania słupów i zasieków, a także kanistry wypełnione proszkiem dezynfekującym, którego zapach czasami stawał się nie do zniesienia.

Chociaż zebrania o charakterze politycznym były zabronione, Elías doszedł

do porozumienia z innymi ugrupowaniami, kontrolowanymi przeważnie przez CNT, w sprawie organizacji wieców, siedzących protestów i strajków okupacyjnych żądających poprawy warunków. Chociaż nie było ich wielu, odnieśli pewne sukcesy. Członkowie Gwardii Ruchomej mieli zwyczaj wydawać chleb, rzucając go tłumowi z ciężarówek jak zwierzętom, i z lubością patrzyli, jak ludzie wydrapują sobie oczy, by zdobyć kawałek wilgotnego pieczywa. Któregoś dnia, kiedy ciężarówki wjechały do obozu, uchodźcy, choć wygłodzeni, odwrócili się do nich plecami. Nikt nie zareagował na złorzeczenia strażników, nie było tłoku ani przepychanek. Pośród napiętej ciszy, otoczeni przez tysiące milczących, ale rozwścieczonych twarzy, ludzie Elíasa i kilku zdyscyplinowanych brygadzystów z Austrii i Jugosławii zażądali od żandarmów, żeby pozwolili im przejąć wydawanie posiłków. Ludzie jakimś cudem ustawili się w długich, uporządkowanych kolejkach i każdy otrzymał swoją porcję. Od tego czasu ciężarówki przywoziły pokrojony chleb, który rozdawano w godnych warunkach. Rozwiązano także problem korespondencji – stało się to możliwe dzięki pomocy mieszkańców Argelès, którzy dostarczali uchodźcom znaczki i papier oraz zabierali z obozu listy.

Po upływie kilku tygodni z drogi prowadzącej do dworca kolejowego można już było dostrzec rzędy drewnianych baraków w kształcie trójkątów, które miejscowi nazwali „domami w hiszpańskim stylu”. Ktoś obdarzony właściwym Hiszpanom satyrycznym poczuciem humoru wbił w stos śmieci tablicę z napisem: „Witamy w Argelès, najbardziej luksusowym hotelu francuskiego wybrzeża z widokiem na morze”.

Jednocześnie dochodziło do tych samych rozłamów, które po części doprowadziły do klęski w Katalonii – podobnie jak w 1937 roku anarchiści ścierali się z komunistami, a trockiści z POUM-u ze stalinistami z PSUC-u, tyle że teraz nie mogli już do siebie strzelać, uciekali się więc do rozmaitych wybiegów: wytyczali granice w obrębie obozu, tworzyli komitety, które wykluczały pozostałych, podejmowali inicjatywy rozbijające, a czasem wręcz sabotujące przedsięwzięcia przeciwnika. Te wewnętrzne walki drażniły cywili, którym zależało jedynie na tym, by dołączyć do swoich bliskich, wyleczyć rany, odpocząć i nie myśleć ani o przeszłości, ani o przyszłości.

Władze francuskie w końcu uznały rząd w Burgos, a generała Franco za głowę państwa. Republika przestała istnieć, mimo że niektórzy politycy usilnie bronili rządu na wygnaniu, mimo trójkolorowych flag, które wieszali na

swoich barakach. Ta wystrzępiona flaga była już tylko ideą, dla ogromnej większości na zawsze utraconą. Rozwiało się tyle nadziei, tyle oczu otworzyło się nagle na brutalną rzeczywistość, że nie pozostawało nic innego, jak zaakceptować niektóre z tych prawd, choć nie wszyscy byli skłonni to zrobić.

To wszystko nie zniechęciło jednak Elíasa. Rozkazy, które otrzymał, były jasne. Powinien pokonać ten pesymizm, zreorganizować towarzyszy za plecami wojskowej i policyjnej administracji kontrolującej dostawę leków, edukację dzieci, jednym słowem wszystko, co działo się w barakach. Ocalić, co będzie w stanie, utwierdzać ludzi w przekonaniu, że w Europie niebawem wybuchnie wojna, a wtedy Francja ruszy na odsiecz Hiszpanii z pomocą ich chwilowo pokonanych żołnierzy; dlatego powinni zachować wysokie morale, bo kiedy przyjdzie co do czego, ich doświadczenie odegra kluczową rolę. Na tym polegało główne zadanie Elíasa, oddawał się mu z nowymi siłami i energią: wygłaszał pogadanki, chodził od grupy do grupy, słuchał, uczył się i starał być na bieżąco ze wszystkim, co dotyczyło tego, czym się zajmował. Wkrótce stworzył aparat przypominający SIM, nadzorujący działalność i życie większości mieszkańców obozu, i kierował nim z zimną skutecznością, którą wykazał się już w Barcelonie.

Jednym z problemów wymagających pilnego rozwiązania byli donosiciele. Krążyły pogłoski, że w obozie są szpiedzy, frankistowscy agenci, którzy udając więźniów, chodzą od baraku do baraku z tajnymi listami nazwisk ważnych osób. Kiedy znaleźli kogoś, kto ich interesował, natychmiast pojawiała się senegalska straż i wywoziła go z obozu, prawdopodobnie w kierunku granicy, gdzie był oddawany w ręce hiszpańskiej Gwardii Cywilnej. Elías postanowił skończyć z tymi wtyczkami. Nocą grupka mężczyzn po cichu zaciągała podejrzanych do króliczych nor, ziemianek wykopanych w piasku i osłoniętych daszkami chroniącymi przed zajadłą tramontaną, wzorowanych na dawnych czekach, w których odbywały się przesłuchania. Nierzadko następnego ranka pośród wyrzucanych przez morze glonów i muszli pojawiały się zwłoki.

Uwagę Elíasa pochłaniała także inna plaga, równie szkodliwa jak donosiciele – nawet tutaj, wśród pokonanych, jedna połowa chciała żyć i prosperować kosztem drugiej. Złodzieje, amatorzy wymuszeń i wszelkiego rodzaju naciągacze wyłazili jak szczury i wbijali zęby w to, co się jeszcze ostało. W strefie spacerowej równoległej do plaży powstał swego rodzaju punkt wymiany, gdzie można było wszystko kupić i sprzedać. Nazywano go

chińską dzielnicą, na pamiątkę barcelońskiego Barri Xino. Wybudowano nawet sklep, który czasami służył za burdel i na który obozowe władze przemykały oko. Trafiało do niego niemal wszystko, co zostało skradzione. Ten, kto protestował, widząc swój skradziony zegarek czy biżuterię, mógł najwyżej liczyć na pobicie. Elías nie był w stanie walczyć z wyłudzaczami z czarnego rynku (na niesprawiedliwej wymianie – paczka francuskich papierosów mogła kosztować złotą obrączkę – najbardziej korzystali żandarmi i Senegalczyki), ale potrafił wzbudzić ich respekt. Co jakiś czas rekwirował część towarów z chińskiej dzielnicy, a ten, kto za bardzo oponował bądź próbował go powstrzymać, kończył ze złamaną ręką czy bez kilku palców. Chociaż wszyscy wiedzieli, czyja to sprawa, zachowywali milczenie, czasem dlatego, że byli w zмовie z ludźmi Elíasa, często jednak ze strachu. Jeżeli jakiś członek Partii Komunistycznej czy PSUC-u został okradziony, wystarczyło, że zgłosił to Gilowi.

Po kilku miesiącach Elías miał do dyspozycji skuteczną wewnętrzną policję, utworzoną z młodych entuzjastów, którzy znali jego działalność i podziwiali go z głupią żarliwością. Ich uznanie peszyło Elíasa, ale okazało się bardzo przydatne. Byli jego oczami, jego uszami i jego siepaczami. Czasami nasuwało mu się nieuchronne porównanie z Igorem Sternem i jego stadem i wtedy czuł, że zamienił się w tego, kogo tak nienawidził.

– To nie to samo – zaprotestowała któregoś wieczoru Esperanza. – Twoje intencje są zupełnie inne.

Wzdłuż zasieków oddzielających obozy mężczyzn i kobiet utworzono punkty kontrolowane przez młodych ludzi Elíasa, którzy przecinali druty, dzięki czemu rozdzielone rodziny mogły w nocy spędzić kilka godzin razem. Elías korzystał z tych przejść, żeby spotykać się z Esperanzą. Paradoksalnie fizyczne oddalenie mocniej go z nią związało. Życie pośród mężczyzn i brudu sprawiało, że dotykanie jej nocami, kochanie się z nią w ciszy czy rozmawianie o tym, co zrobią, kiedy opuszczą obóz, wydawało mu się jedyną ludzką rzeczą, jaka mogła go tutaj spotkać.

– Moje intencje? Kazali mi tu przyjechać i zorganizować naszych ludzi, ale to jak opróżnianie tego ciemnego morza dziurawym wiadrem. Zamiany w końcu zamieniają się w czyny, a pod tym względem niewiele się różnią od Sterna. Stosuję przemoc, by narzucić moją wolę.

– Wolę partii – poprawiła go Esperanza.

Elías westchnął zrezygnowany.

– Partia, sprawa... To kolejna forma władzy, kontroli. Do tego się wszystko sprowadza, w każdym miejscu.

– My jedynie walczymy o naszą godność, Elíasie. To nie jest Nazino, ty nie jesteś Sternem... A ja nie jestem Iriną.

– Jak możesz być tego taka pewna? Nie było cię tam. Nie liczy się miejsce, język, którym mówimy, ani powody, dla których traktujemy się nawzajem jak psy. Sposób nie ma znaczenia, Esperanzo. W rzeczywistości chodzi o tę samą nienawiść, tę samą pogardę dla życia innych.

Esperanza domyślała się, że nie zapomniał o Irinie i Annie. Znalazła w kieszeni jego spodni medalion z ich zdjęciem, zniszczony przez morską sól i wilgoć. Twarz kobiety ulegała zniekształceniu – Esperanza wzięła to za dobry znak. Wykańczała ją walka ze wspomnieniem ducha, miała jednak wystarczającą przewagę w postaci swojego ciała, swoich dłoni, swojego serca złączonego z sercem Elíasa, żeby ostatecznie wymazać ten cień. Przytuliła się do męża ubranego w pelerynę członka milicji i przyglądała się jego oświetlonej przez księżyc twarzy. Elías miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, ale wyglądał na starego i zmęczonego. Widział już tyle okropności, że był pusty w środku. Gdzie się podziały ideały lepszego, bardziej sprawiedliwego społeczeństwa, które od dziecka zaszczebiał mu ojciec? Zastąpiły je śmierć, cierpienie, spiski, walki o władzę; przez połowę życia uciekał albo był więziony i jak dzikie zwierzę walczył o każdą chwilę istnienia.

Tyle tylko mu zostało. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby się zorientować, że przechodzi jeden ze swoich ataków – straszliwy ból głowy i kłucie w oku, od których tracił zmysły. Miał koszmary, śniły mu się Anna i Irina, powracały straszliwe obrazy z Nazino, rzeczy, których się dopuścił, żeby przeżyć, okropności, które widział, i mieszały się z tym, co przeżywał teraz tutaj, w Argelès. Nic nie było w stanie go uspokoić, Esperanza nie mogła zdobyć dla niego wystarczającej ilości laudanum czy alkoholu i jedynym sposobem na powstrzymanie jego gwałtownych wybuchów gniewu była ucieczka nad morze, znalezienie jakiegoś zacisznego kąta, liczenie na to, że ból nie rozsądzi mu głowy. Brała go więc za rękę i prowadziła na brzeg. Siadali na piasku, kołysała go jak małe dziecko, głaszcząc po włosach i tuląc, dopóki jego oddech nie stawał się bardziej miarowy, a jego serce powoli nie zaczynało bić w normalnym rytmie.

Elías ucałował jej palce. Bez niej już dawno by zwariował, dałby się zabić pilnującym zasieków strażnikom.

Piekarz z miasteczka zwany Pierre'em pełnił funkcję łącznika między Elíasem a władzami Francuskiej Partii Komunistycznej, której był członkiem. Pierre (Elías nigdy nie poznał jego prawdziwego imienia) przekazywał mu instrukcje i rozkazy. Mimo jego pocziwego wyglądu, typowego dla Katalończyków z północy, Elías nie miał wątpliwości, że jest agentem NKWD.

Od czasu do czasu piekarz przekazywał mu kartkę z nazwiskiem i datą. Jeżeli kartka była czerwona, ów człowiek miał zniknąć. Trafiali na nią trockiści z POUM-u, zwolennicy Andreu Nina, osoby podejrzane o bycie frankistowskimi agentami. Wojna nadal trwała, przebrana za morderstwa. Jeżeli kartka była niebieska, właściciel nazwiska miał szczęście – Elías musiał wydostać go z obozu. Odsetek udanych ucieczek był zaskakująco duży. Z upływem czasu obóz stał się jednak mniej przepuszczalny, podwojono, a następnie potrojono zasieki, a straż, zarówno ta wewnętrzna, jak i zewnętrzna, utworzona ze znieawidzonych Maurów, coraz bardziej utrudniała ucieczkę, ale Elíasowi zawsze udawało się „przekazać przesyłkę” w umówionym terminie. Czasami tkał swoją sieć brawurowo, kiedy indziej dyskretnie, krok po kroku, wycofując się, kiedy ogarniał go strach, że może zostać przyłapany, i posuwając się naprzód, kiedy sprzyjały okoliczności, dopóki nie wyprowadził z Argelès ponad czterdziestu osób.

Tamtego ranka kartka, którą przekazał mu Pierre, była czerwona. Kiedy Elías przeczytał zapisane na niej nazwisko, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Piekarz wzruszył ramionami i zaproponował mu gauloise'a.

– Wiem tyle co ty. Takie są rozkazy.

Tristán był pełnym życia chłopakiem. Elías wziął go pod swoje skrzydła, kiedy trafił do Argelès z obozu w Saint-Cyprien. Dumnie paradował w swojej kurtce lotniczej – wyjaśnił Elíasowi, że stoczył nad lotniskiem w Vilajuïga ostatnią powietrzną bitwę z frankistowskimi siłami powietrznymi, w ramach samobójczej misji mającej na celu ochronę konwoju z dziełami sztuki, który wyruszył z Figueres w stronę Genewy. Samolot młodego pilota został trafiony w skrzydło kilka kilometrów od granicy i rozbił się już na terenie Francji. Chłopak stracił w płomieniach prawą dłoń.

– Ale za to mogę mówić, że to ja ocalałem *Las Meninas*¹⁷ – powtarzał

z dumą, pokazując dotknięty gangreną kikut. Miał zaledwie siedemnaście lat.

Tristán nie był oszustem ani chwalipiętą. W obozie opowiadano setki takich historii. Wiele z nich mogło wydarzyć się naprawdę, wielu ludzi zdobyło się na podobne poświęcenia; sporo opowieści było jednak wierutnymi kłamstwami, wychodzącymi z ust tchórzy, których słowa miały zamienić w bohaterów, obłudników chcących zdobyć uprzywilejowaną pozycję pośród pozostałych więźniów, pyszałków i patologicznych kłamców. Tak jednak nie było w przypadku tego przystojnego, dumnego, odważnego chłopca, któremu nieraz udawało się zmylić czujność algierskich spahisów patrolujących okolice obozu w celu wyłapywania zbiegów.

Tristán nie miał zamiaru uciekać. Wymykał się nocami i wracał nad ranem, pachnąc kobietą i winem, często przynosił papierosy i świeże jedzenie, które dawały mu kochanki w zamian za obietnicę, że wróci. Elías ostrzegał go przed tymi eskapadami, ale chłopak puszczał jego przestrogi mimo uszu, z radością kogoś, kto już raz niemal zginął i jest gotów żyć tak, jakby to był jego ostatni dzień.

– Żałuję tylko, że jedną ręką nie mogę zaprezentować wszystkich moich talentów jako kochanek – śmiał się z samego siebie, pokazując kikut. Czasami te żarty psuły Elíasowi humor – chłopak za bardzo przypominał mu Claude’a. Może właśnie dlatego tak bardzo go lubił.

Martwił się o niego, ale ponieważ miał na głowie wiele innych spraw, nie zauważył, co się dzieje. Zrozumiał to dopiero tamtej nocy. Siedział w króliczej norze, patrząc na czerwoną kartkę, którą przekazał mu Pierre, kiedy pojawił się jeden z jego ludzi. Elías wiedział, co to oznacza. Narzucił na plecy stary wojskowy płaszcz i wyszedł na zewnątrz.

Obóz był praktycznie nieoświetlony, dlatego nocą niewiele osób zapuszczało się plażą na północ. Pompy uporczywie się psuły, słona woda z wód podziemnych mieszała się z pitną, wywołując u wszystkich biegunkę. Widok mężczyzn pędzących w stronę północnej plaży ze spuszczoneymi spodniami, żeby ulżyć sobie w morzu, był czymś powszednim, a w innych okolicznościach wydawałby się komiczny. Nikt jednak nie miał chęci ani nastroju do żartów. Dyzenteria, odwodnienie i biegunka dziesiątkowały obóz. O świcie przypływ zwracał resztki ekskrementów na plażę, jakby nawet morze odtrącało tych nieszczęśników. Tamtej nocy morska bryza łagodziła nieco intensywny smród odchodów.

Kiedy Elías podszedł bliżej, zobaczył stojące w półokręgu nogi, które

zawzięcie coś kopały. Sądząc po zduszonych krzykach stapiających się z szumem fal, tym czymś był człowiek.

– Dlaczego go tu przyprowadziliście?

– Bo to pedał. Dawał dupy innemu. Ten drugi nam zwiął.

– I dlatego go kopiecie?

Pomocnik Elíasa splunął z pogardą.

– Dawał się ujeżdżać Murzynowi ze straży, jednemu z tych senegalskich skurwieli, którzy pilnują obozu.

Elías mimowolnie zmarszczył czoło.

– Murzyn go nie gwałcił. Pozwolił mu na to.

Mógłby poczuć pewną sympatię, może nawet współczucie do kopanego osobnika, gdyby został on zmuszony do stosunku. Senegalskie świny już wcześniej robiły takie rzeczy, także w żeńskim obozie. Gwałciły kobiety i mężczyźni, ludzie jednak woleli o tym nie mówić. Ale nie mógł pozwolić, żeby jego człowiek dawał dupy jednej z tych gnid, które codziennie ich poniżały i dręczyły.

Nawet jeżeli był nim Tristán. Chłopak leżał nagi, zwinięty w kłębek, oblepiony piaskiem i krwią. Skopali go niemal na śmierć. Elías miał ochotę krzyknąć, odwzajemnić im się za te ciosy, jednak się powstrzymał. Wszyscy, a on pierwszy, gromadzili w sobie zbyt dużo złości, zbyt dużo gniewu, który musiał znaleźć gdzieś ujście, w przeciwnym razie przyprawiłby ich o utratę zmysłów.

– Podnieście go!

Tristán słabo pokręcił głową. Elías chwycił go za brodę i podniósł ją w górę, żeby lepiej widzieć jego twarz. Chłopak spojrzał na niego nieobecny wzrokiem, z otwartych ust ciekły mu strużki śliny wymieszanej z krwią i piaskiem. W jego zagubionym wzroku malował się obłęd. Po ładnej, wesołej twarzy nie zostało śladu.

– Dlaczego? – zdołał wyszeptać.

Elías zbladł. Pokazał mu czerwoną kartkę.

Wziął chłopaka na ręce i zaniósł do swojego namiotu. Przez całą noc nie odstępował go ani na krok. Tristán drżał, chował twarz przypominającą miazgę z winogron w zawoszonym kocu, nie chcąc patrzeć na Elíasa. Przed świtem zaczął oddychać z dużym trudem, jak zepsuty miech, a potem wymiotować krwawymi skrzepami. Trwało to kilka godzin, w czasie których Elías ocierał mu krew i przykładął do ust wilgotną szmatkę. Dopiero po

jakimś czasie zdał sobie sprawę, że Tristán skonał mu w ramionach.

Przysunął czerwoną kartkę do płomienia świecy i długo patrzył, jak obraca się w nicość.

Rano pojawili się Senegalczycy. Był wśród nich pederasta, szukał wzrokiem więźniów, którzy napadli na niego poprzedniej nocy. Miał na szyi powierzchowny ślad po nożu. Kiedy znalazł ciało Trístána, spojrzął na nie obojętnie. Popatrzył na Elíasa swoimi dużymi oczami, posyłając mu pogardliwy uśmiech.

– Ty będziesz moją dziwką.

Elías nie spał, jego twarz była zmieniona, a ciało drżało z wycieńczenia. Spojrzął kątem oka na zwłoki Trístána, kiedy strażnicy zawijali je w poplamiony krwią koc. Nie wiedział, dlaczego kazali mu zabić tego chłopaka. Może dlatego, że donosił żołnierzom, może z innego powodu, którego nigdy nie odkryje. Wypełnił rozkaz.

Wszystko powinno tak właśnie się kończyć, w ciszy. A jednak zdjął powoli brudną opaskę zasłaniającą wyschnięty wrzód i zmierzył wzrokiem senegalskiego strażnika.

– Potnę cię na kawałki i rozrzucę części twojego ciała po całym obozie, pierdolony czarnuchu.

Murzyn nie rozumiał hiszpańskiego, a może wygodniej mu było go nie rozumieć, podobnie jak jego kolegom. Senegalczycy, choć uzbrojeni, byli w mniejszości. Wystarczył choćby jeden drobny ruch, a żaden z nich nie wyszedłby żywy z tej nory. Strażnik wytrzymał spojrzenie Elíasa, ale na widok jego pustego oczodołu zadrżał ze strachu. Nawet batalion uzbrojonych w bagnety żołnierzy nie powstrzyma tego jednookiego mężczyzny przed wypełnieniem swojej groźby.

– Mogli cię zabić tam na miejscu – zganiła go Esperanza łagodnym tonem. Elías opowiedział jej o całym zajściu, zanosząc się szlochem. Esperanza pierwszy raz widziała, żeby płakał w taki sposób, i jej zdezorientowane, obolałe serce ścisnął żal.

– Ja zabiłem tego chłopaka.

– Zabiła go ta przekłeta wojna.

To nie była prawda. On ponosił odpowiedzialność za jego śmierć, tak jak za śmierć tych, którzy przeszli przez jego ręce w Barcelonie, tak jak za śmierć Iriny. Dla każdej z tych śmierci inni znajdowali usprawiedliwienie: przeżycie, wojna, konieczność utrzymania porządku i dyscypliny. W rzeczywistości jednak każda z nich stanowiła efekt jego przyzwolenia.

Noc była ciemna, ale wiatr powoli przeganiał chmury i w końcu pojawił się blady księżyc, który nadał konsystencji ich przytulonym ceniom. Kilka kobiet ukradkiem przykucnęło na brzegu, żeby się załatwić, przedwcześnie postarzałe, odarte z życia i z godności... Po co to wszystko? Ludzie mówili, że dla jutra, uzbrojeni w niezłomną wiarę, że wszystko, co robimy, ma jakiś sens, oznacza lepszą przyszłość dla nich, dla ich dzieci i wnuków. Może mieli rację. Może on był tylko kroplą pośród miliona innych, jak to ciemne morze, które zamykało im drogę, gdzie ludzkie istoty były zmuszone folgować sobie jak zwierzęta. Jedną kroplą dodaną do miliona innych kropli na całym świecie w tej właśnie chwili. Tyle że w tym momencie noc była dniem dzisiejszym bez jutra.

Dwa miesiące później grupka mężczyzn znalazła w śmieciach dłoni. Nazajutrz kilka kilometrów dalej, w obozie dla kobiet, natknięto się na nogę. W kolejnych dniach w różnych miejscach – także w kościele w miasteczku – pojawiały się inne części ciała czarnego żołnierza. Nikt jednak nie znalazł głowy. Aż któregoś ranka, kiedy niebo rozjaśniał brzask zwiastujący przepiękny dzień, bezchmurny i słoneczny, zobaczono ją zatknietą na pal przed barakiem senegalskiej straży z przybitym na czole napisem: *Allez, allez, salope!*

Życie i śmierć stopniowo stawały się czymś naturalnym jak kurz wzbijający się spod stóp. Dzięki pomocy organizacji z Perpignan udało się do pewnego stopnia uregulować napływ artykułów pierwszej potrzeby: żywności, ubrań, środków higieny osobistej i – co dla wielu stanowiło zasadniczą kwestię – poczty z Hiszpanii i z innych części Francji. Ponieważ w niektórych listach przychodziły przekazy pieniężne, stworzono punkt, w którym można było wymienić republikańską walutę na franki (z astronomicznymi prowizjami). Mieszkańcy obozu przestali czuć się osamotnieni, docierały do nich informacje

o burzliwych dyskusjach, jakie ich sytuacja budziła w prasie i wśród opinii publicznej, które zmusiły władze do zapewnienia im pewnych udogodnień. W niektórych miejscach powstały ośrodki dla uchodźców prowadzone przez szwajcarski Czerwony Krzyż, a w nich oddziały położnicze, gdzie matki mogły zostać z noworodkami do momentu, aż lekarze uznają, że mają dość sił, by dołączyć do towarzyszy niedoli. Zainstalowano część brakującego oświetlenia, wybudowano solidniejsze baraki, sieć kanalizacyjną i latryny, które uczyniły życie nieco znośniejszym, choć i tak nie zaspokajały potrzeb dziewięćdziesięciu tysięcy osób.

Odporność i umiejętność przystosowania stopniowo brały górę nad zniechęceniem z pierwszych miesięcy. A elementem tej odporności było milczenie. Strategiczne milczenie w obliczu tego, co nieuniknione. Odwracano wzrok na widok obłąkanych kobiet, które krążyły po obozie z kilkumiesięcznymi martwymi niemowlętami na rękach; nikt nie chciał wsiąść do furgonetki przewożącej najciężej chorych do starych koszar w Perpignan, gdzie urządzono szpital, bo wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę to kostnica, w której można już tylko umrzeć. Gdzie trafiały te wszystkie anonimowe zwłoki? Nigdy tego nie ujawniono – niektóre chowano w pobliżu bliskich im osób, inne wrzucano do morza z przywiązanymi do szyi kamieniami, wielu umarło na zacumowanych w Port-Vendres statkach służących za szpitale... Inni – większość – znikali rozproszeni w powietrzu, w obłokach popiołu, które unosiły się nad stosami.

Jednocześnie rodziły się dzieci i udawało im się przeżyć, niektóre pary odnajdywały się po miesiącach rozłąki, dochodziło do pojednań w rodzinach, nieszczęście zblizniało rany, spajało ludzi, rozkwitały nowe miłości, nowe przyjaźnie, które przetrwały latami. Pisarze, aktorzy, muzycy próbowali organizować wieczorki poetyckie, przedstawienia teatralne, koncerty chóru, które na kilka godzin pozwalały uciec od przyprawiającej o utratę zmysłów monotonii. Wszystko to działo się jednocześnie, mieszając się nieuchronnie jak piasek i morze.

Paradoksalnie, w miarę jak rozrastała się obozowa infrastruktura, nikła nadzieja na to, że będzie to tymczasowy pobyt.

– Zaczynają przewozić ludzi do innych obozów. Prefekt jest zdeklarowanym faszystą, nakazał przymusowe repatriacje, zwłaszcza kobiet i dzieci, chociaż wiele osób dobrowolnie godzi się na złożoną przez Franco propozycję *ułaskawienia* i postanawia wrócić do Hiszpanii.

– Kto może ich winić?

Pierre wzruszył ramionami. Stali każdy po swojej stronie ogrodzenia, pilnowani z bliska przez Algierczyka na koniu, którego piekarz przekupił paroma frankami. Podał Elíasowi przez zasieki z drutu kilka papierosów, których ten nie miał gdzie schować. Pod koniec sierpnia upał był nie do wytrzymania, mężczyźni chodzili bez koszul, w krótkich spodniach albo samych kalesonkach.

– Słyszałem, że przysłali kogoś nowego, jakiegoś policjanta z Madrytu, i kazali mu wrócić do Hiszpanii z sześcioma ludźmi. Twoje nazwisko jest na jego liście.

– Kto to taki?

– Nie wiem, ale wydaje się bardziej skuteczny od tych, których przysyłał do tej pory. Powinieneś się gdzieś zaszyć na kilka dni.

Elías posłał mu uśmiech. Tak, mógłby na parę dni zanurzyć się w morzu.

– Cieszy mnie, że podchodzisz do tego z humorem, ale to nie żarty. Wiesz, co cię czeka, jeżeli zostaniesz deportowany. Przyspieszony proces i pluton egzekucyjny. Tu poza obozem są ludzie, którzy zrobią wszystko, żeby ten faszysta cię upolował. Nie zapomnieli o Senegalczyku.

– Nie wiem, o czym mówisz.

23 sierpnia świat obudziła bomba, która wstrząsnęła fundamentami Europy. Niemcy i Związek Radziecki podpisały pakt o nieagresji. Kilka dni później wojska niemieckie wkroczyły od zachodu do Polski (niedługo potem armia radziecka zrobiła to samo od wschodu). Konsekwencja mogła być tylko jedna – 3 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom.

W obozach zaczęły się zakrojone na szeroką skalę polowania na elementy komunistyczne i osoby uważane za ekstremistów. Francuska Partia Komunistyczna została zdelegalizowana. Hiszpańscy komuniści, zmęczeni walką z faszystowskimi oddziałami we własnym kraju, patrzyli skonsternowani, jak Stalin podpisuje sojusz z ich największym wrogiem. Przybici i zrezygnowani, próbowali znaleźć jakiś sens w tym, co dla reszty republikanów było aktem zdrady. Elías także miał wątpliwości, ale uważał zagranie Stalina za logiczne – europejskie mocarstwa nie pomogłyby Związkowi Radzieckiemu w razie nazistowskiej inwazji, tak więc *Woźd* próbował zyskać na czasie, by przygotować kraj do wojny, a przy okazji

przesuwał granicę kosztem rozwścieczonych Polaków. Argument ten, nieważne, czy był prawdziwy, czy fałszywy, nie zdołał uspokoić nastrojów, nawet wśród towarzyszy Elíasa.

Dwa dni po tym, gdy Francja ogłosiła powszechną mobilizację, w norze Elíasa zjawił się pluton żandarmerii. Wraz z innymi komunistami został zatrzymany i pod eskortą doprowadzony przed oblicze komendanta obozu.

Kazano mu zaczekać w korytarzu. Co pięć minut drzwi gabinetu komendanta otwierały się i żandarm wykrzykiwał czyjeś nazwisko. Chwilę później wezwany wychodził ze skutymi na plecach dłońmi i pobladłą twarzą. Żaden nie puścił pary z ust. Otrzymali rozkaz, by zachować milczenie i pod żadnym pozorem nie wydać towarzyszy. Elías, jak większość komunistów pełniących wojskowe lub polityczne funkcje, dzięki pomocy Pierre'a zdobył fałszywe dokumenty. Kiedy usłyszał nazwisko Aurelio Gallart, urodzony w Getafe, zrezygnowany podniósł głowę.

Komendant obozu był doświadczonym oficerem; nie miał nic wspólnego z ołowianym żołnierzem, który przyjmował nowo przybyłych na początku lutego. Po prawej stronie jego biurka leżał stos akt zawierających zdjęcia i odciski palców. Dokumenty były sporządzone w języku hiszpańskim – zostały skompletowane przez frankistowską policję. Jakiś oficer porównywał je z kartoteką żandarmerii, bardziej prymitywną.

– Proszę podać imię, nazwisko i datę urodzenia.

– Aurelio Gallart, urodzony w Getafe szóstego listopada tysiąc dziewięćset jedenastego roku, syn Manueli i Ricarda.

Komendant sięgnął po akta leżące na stosie po prawej stronie.

– Według hiszpańskiej policji nazywa się pan Elías Gil Villa, urodził się pan w Mieres dwunastego maja tysiąc dziewięćset dwunastego roku i jest pan synem Martína i Rocío.

Komendant przyjrzał się zdjęciu, po czym podniósł wzrok i porównał je z nieporuszoną twarzą Elíasa. Zmienił się, i to bardzo. Fotografia, która nie wiedzieć jak trafiła w ręce hiszpańskiej policji, pochodziła mniej więcej z 1930 roku, z czasów jego studiów na Uniwersytecie Inżynieryjnym w Madrycie.

– Miał pan rangę porucznika SIM-u, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku był pan odpowiedzialny za okręg barceloński.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi z tym SIM-em. Jestem inżynierem górnictwa, tym się zajmowałem, dopóki sytuacja nie zmusiła mnie do

przekroczenia granicy.

Komendant odłożył akta na biurko i splótł pulchne dłonie.

– Zaraz się przekonamy.

Na dany brodą znak jeden z żandarmów przeprowadził Elíasa do sąsiedniego gabinetu. Powitały go mrok oraz zapach archiwów i rozkładających się powoli starych dokumentów.

Mężczyzna w cywilu pisał coś, pochylony nad biurkiem. Uwagę Elíasa zwrócił dobrze wymodelowany kapelusz leżący przy jego prawym łokciu. Drzwi łączące oba gabinety były otwarte. Mężczyzna podniósł oczy ukryte za grubymi okularami i wymienił spojrzenie z francuskim komendantem. Następnie skierował wzrok na sztywną postać Elíasa. Patrzyli na siebie przez dłuższy moment.

Elías Gil poczuł, że opuszczają go wszystkie siły. Tym frankistowskim policjantem był Ramón Alcázar Suñer.

Także on bardzo się zmienił od tamtej nocy w Sant Celoni. Teraz w jego spojrzeniu nie było już strachu, ale zimne wyrachowanie i dystynkcja kogoś, kto przeżył, by zyskać dużą władzę. Zapúścił modny cienki wąsik, jego jedwabny krawat ozdabiała złota szpilka. Przytył i choć wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego, w pewnym sensie prezentował się teraz lepiej.

Ramón Alcázar rozparł się na krześle i przeciągnął dłonią po nasmarowanych brylantyną włosach zaczesanych starannie do tyłu, odsłaniających szerokie, gładkie czoło. Elías domyślił się, że od razu go rozpoznał i że w jego głowie przesuwają się teraz obrazy z czeki przy ulicy Muntaner, że wraca przerażenie, jakie czuł tamtej nocy 1938 roku, przekonany, że go rozstrzelają. Ramón Alcázar złączył palce wskazujące obu dłoni i wymierzył nimi w Elíasa, jakby celował z pistoletu. Na jego twarzy zarysował się lekki uśmiech, którego nie dostrzegł ani pilnujący Elíasa żandarm, ani siedzący po drugiej stronie drzwi komendant. Uśmiech przeznaczony wyłącznie dla przyjaciela z dzieciństwa. Ramón Alcázar wstał i przeszedł obok Elíasa, nie obdarzając go nawet spojrzeniem.

Przez kilka minut rozmawiał o czymś cicho z komendantem. Elías nie odwrócił głowy, słyszał jednak okrzyki zdumienia Francuza, jego protesty i uderzenie pięścią w biurko. Ramón Alcázar Suñer nie stracił jednak opanowania.

– Powtarzam panu, komendancie, że ten człowiek nie jest Elíasem Gilem. Założę się, że jego dokumenty są fałszywe tak samo jak w przypadku

pozostałych, ale to nie po niego przyjechałem. Hiszpańskiego rządu nie interesuje, co pan z nim robi.

Elías poczuł, że drżą mu kolana. Gardło ścisnęły mu sprzeczne emocje, zmuszając go do oddychania otwartymi ustami. Ramón Alcázar Suñer wrócił do gabinetu, obrzucając go spojrzeniem pełnym udawanej pogardy. Zajął swoje krzesło za biurkiem i wrócił do tego, co pisał.

– Zabierzcie stąd tego śmiecia – powiedział, nie podnosząc wzroku.

Chociaż postawa hiszpańskiego policjanta zbiła go z tropu, komendant nie dał za wygraną. Rozkazał przenieść Elíasa do więzienia w zamku w Collioure. Kiedy czekał w kolejce do autobusu, zobaczył nadchodzącego Pierre'a. Tak się urządził, że był jedynym piekarzem dostarczającym chleb strażnikom, dzięki czemu mógł się pojawiać w obozie, kiedy zechciał, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Minął Elíasa, udając, że podchodzi do jednego z pilnujących go żołnierzy.

Z okna autobusu Elías ostatni raz spojrzął na potrójne zasieki Argelès i posmutniał na myśl o Esperanzy. Czy wie, że go zatrzymali i że zabierają go do Collioure? Jego żona przyłączyła się do kompanii ochotników, którzy w fabrykach i na polu zastępowali siłę roboczą powołaną do wojska. Od dwóch tygodni pracowała pod ścisłym nadzorem w zakładach w Le Boulou. Zobaczą się jeszcze? Jak? Kiedy? Gdzie?

Autobus ruszył powoli, skręcając w wyboistą drogę, którą brygada uchodźców pokrywała żwirem. Kiedy ich mijał, wielu przerywało pracę i na znak uznania wznosiło pięści. Siedzący na koniu algierski strażnik uśmiechnął się okrutnie bezzębnymi ustami i przejechał kciukiem po szyi w geście obrazującym cięcie. Do Argelès wróciło zimno, tramontana zaciekle tarosiła ubraniami uchodźców wiszącymi na sznurkach między barakami. Kilkoro obszarpanych dzieci bawiło się, szukając w piasku niedopałków. Morze, do którego nie wolno było teraz podchodzić, wydawało się nieruchome jak całun.

Elías poszukał w kieszeni kurtki znajomej, odprężającej powierzchni medalionu z fotografią Iriny i Anny. Jego palce trafiły na złożoną na pół karteczkę.

Niebieską karteczkę.

22.

BARCELONA, 8 PAŹDZIERNIKA 2002 ROKU

Dlaczego nic nie mówisz?

Gonzalo patrzył na leżącego za szybą Javiera. Jego palce odciśnięte na przezroczystej powierzchni chciały dotknąć chłopca, ale nie mogły go dosięgnąć. Także jego głos nie docierał do syna. Javier może już nigdy się nie obudzić. Tak powiedzieli lekarze, którzy operowali go przez sześć długich godzin. Nigdy. To słowo ciążyło mu niczym głaz.

– Gonzalo, proszę cię, powiedz coś, cokolwiek, nakrzyycz na mnie, nawymyślaj mi, ale nie zostawiaj mnie samej.

Lola dotknęła dłonią jego ramienia, ale on niczego nie poczuł: ani gniewu, ani współczucia, ani żalu, ani miłości. Nigdy. Nic. Wszystko było zbyt ostateczne. Kilka godzin wcześniej siedział naprzeciwko Anny Achmatowej w półmroku księgarni, słuchając jej głosu, dziwnego głosu bez twarzy, niepozwalającego na odgadnięcie towarzyszących mu emocji.

– Nie chcę, żebyś więcej spotykał się z moją córką.

Po wypowiedzeniu tych słów staruszka zamilkła; nie musiała nic dodawać, przesłanie było oczywiste.

– Przepraszam, że zapytam, ale z jakiego powodu miałbym pani posłuchać?

Kobieta poruszyła dłonią, jakby się wachlowała, po czym wstała z krzesła i wyłoniła się z mroku z ufnym uśmiechem.

– Przychodzi mi do głowy wiele powodów, ale jestem przekonana, że sam znajdziesz kilka lepszych. Już wystarczająco dużo wycierpieliśmy, my wszyscy, Gonzalo. Nie ma potrzeby przepelniać czary goryczy, nie sądzisz?

Powiedziała to z beztróską niepasującą do tajemnicy, jaką kryły jej słowa, czegoś, co najwyraźniej nie musiało zostać nazwane, żeby istnieć; czegoś, o czym Gonzalo już wiedział, ale o czym celowo zapomniał.

– Nie rozumiem pani.

– Och, oczywiście, że mnie rozumiesz. Doskonale mnie rozumiesz.

Kiedy pojawiła się Tania, na twarzy jej matki nadal malował się niefrasobliwy uśmiech, uprzejmy, ale i nieubłagany. Dziewczyna usłyszała, że rozmawiają, i zeszła po schodach boso, w samej koszuli. Zakradła się tak cicho, że Gonzalo zdał sobie sprawę z jej obecności dopiero wówczas, gdy starszka odwróciła wzrok i zamilkła. Tania przelotnie pogłaskała Gonzala po karku, ledwo go musnęła, by wiedział, że tu jest, i czuł się bezpieczny.

– Już świta, powinieneś iść.

Gonzalo był świadkiem milczącej rozgrywki między matką a córką, które mierzyły swoje siły, wyzywały się na pojedynki o trudnym do przewidzenia zakończeniu. Zrozumiał, że jest sprawcą tego napięcia, ale nie był w stanie odgadnąć jego powodów. Wiedział jednak, że coś niszczy, że ingeruje w intymność należącą wyłącznie do tych kobiet, więc odszedł, żegnając się nieporadnie, niezdolny znaleźć właściwe słowa.

Kiedy schodził w dół ulicy, mijając opuszczone żaluzje Flighta, zadzwonił telefon. To była Lola – jej numer oskarżycielsko migał na wyświetlaczu komórki i Gonzalo poczuł się trochę brudny, trochę podły, trochę niegodziwy. Wystarczająco, żeby nie odebrać, czekając, aż dzwonek ucichnie.

Powinien był odebrać. Może mógłby coś zrobić. Była to jałowa, oszukańcza myśl. Rozpacзлиwa wiadomość od Loli nagrana na automatycznej sekretarce w jego mieszkaniu nie pozostawiała miejsca na wątpliwości. Była na OIOM-ie szpitala Vall d’Hebron. Javier strzelił sobie w pierś.

Resztę szczegółów poznał w kolejnych godzinach, kiedy jego syn walczył o życie podczas operacji. Nagle nic nie było bardziej pewne niż to, że Javier jest jego synem. Gonzalo zdał sobie z tego sprawę, kiedy przed przyjazdem policji Lola wyznała mu prawdę. Słuchał jej, nie wydając żadnego dźwięku, nie poruszając ani jednym mięśniem skamieniałej twarzy, jednak w środku czuł, jakby ktoś piłował mu ścięgna i odrywał mięśnie od kości. Zobaczył łzy Loli skapujące na stolik w szpitalnej kawiarni, spojrzał na jej pomalowane paznokcie, na dłoń, na której wciąż nosiła ślubną obrączkę, na złote bransoletki i blade wybrzuszenia kłykci, i jedyną myślą, która przyszła mu do głowy, była ta, że to te dłonie chwyciły za broń, one pociągnęły za spust, mierząc w serce ich syna. Kapryśna kula nie chciała znaleźć drogi wiodącej do środka tarczy, a może Javier zawahał się w ostatnim momencie i to chwilowe niezdecydowanie pozwoliło, by kula wbiła się po prawej stronie serca, pozostawiając minimalną szansę na życie, o które teraz walczyli

chirurgdzy.

Resztę dopowiedziała Patricia. Gonzalo wyznał jej, że Javier miał wypadek, ale dojdzie do siebie. Uczepił się tej wersji, pragnął, aby jego wola uczyniła ją prawdziwą. Patricia jednak czegoś się domyśliła, zawsze była mądra jak na swój wiek, do tego stopnia, że dorośli nieraz się jej bali. Jej oczy zrobiły się duże jak talerze, niemal połączyły się z ustami w swego rodzaju niemym krzyku. Kiedy Gonzalo chciał ją przytulić, żeby pocieszyć samego siebie bliskością córki, dziewczynka wyrwała mu się i pobiegła na górę. Wróciła po pięciu minutach z kilkoma zdjęciami. Drżała na całym ciele, ale nie płakała.

– To dlatego, prawda?

Gonzalo zobaczył na zdjęciach, jak jego nagi, uśmiechnięty syn całuje się z młodym kochankiem Loli. Naiwny i nieostrożny, zgodził się na tę śmiałą, bolesną sesję. Patricia od kilku miesięcy wiedziała, że Javier ma te zdjęcia, widziała, jak na nie patrzy i robi „to”, a potem rozdzierająco płacze. Lola nie chciała ich oglądać, oszalała, roztrzęsiona. Niektóre zostały podarte, a potem posklejane, stanowiły świadectwo zacieklej walki, jaką Javier przez tyle czasu toczył w milczeniu ze swoimi sprzecznymi uczuciami. Słowa, które wypowiedział w szpitalu po napaści Atxagi, nabrały sensu. Wielokropki kończące zdania jego syna, jego spojrzenia, jego strach były wołaniem o pomoc, głosem, który w milczeniu błagał ojca o ratunek. A on nie potrafił go usłyszeć.

To nie Lola, to on kupił ten rewolwer, to on okazał Javierowi pogardę, na którą nie zasługiwał, to on nie chciał dostrzec oznak tego, co się zbliżało. On nie widział, jak rośnie mur milczenia, który stał się nie do pokonania. Co mógł wyrzucić swojej żonie? To, co kilka godzin temu sam robił z Tanią? Czy ważne były powody, jakimi kierowało się każde z nich? Czy ważne były niuanse?

– Nie miałam o niczym pojęcia, mój Boże, gdybym tylko wiedziała! – szlochała Lola skulona na podłodze w sypialni, tłumiąc płacz poduszką, żeby nie usłyszała go Patricia. Złamanym spojrzeniem błagała Gonzala, żeby jej uwierzył, a on patrzył na nią, nie widząc, nie słysząc, jak kiedy zdejmował okulary i świat pozorów znikał, żeby zamienić się w rozmazane, niewyraźne kontury.

Usiadł przy niej na podłodze i pozwolił, by jego ramiona mechanicznie ją objęły. Jego wnętrzości powoli wybuchały, raz i drugi, raz i drugi, w fali

ognia i rozpacz, która zalała mu gardło, nie uwalniając go od płaczu. Spowodowała jedynie mdłości, po których następuje absolutna pustka.

Stary wilk z ogrodu zoologicznego spoglądał na Gonzala obojętnym wzrokiem. Krążył po wybiegu, a w którymś momencie podszedł do fosy na tyle blisko, że prawnik mógł zobaczyć jego pozółkłe, zniszczone kły. Wydawało się, że pyta tego mężczyznę, dlaczego tydzień po tygodniu przychodzi tu, żeby siedzieć za brudną szybą i przyglądać mu się ze skupioną uwagą. Nie widzisz? Tym właśnie tutaj jestem. Dlaczego sobie nie pójdziesz i nie zostawisz mnie w spokoju?

Ale Gonzalo nadal tam siedział, wypalając papierosa za papierosem, pragnąc wypowiedzieć się wilkowi ze swoich sekretów. Z rzeczy, które było w stanie zrozumieć tylko to stare zwierzę bez duszy.

– Gdybym przeskoczył przez to ogrodzenie, nawet nie raczyłbyś mnie zaatakować, prawda? Obwąchałbyś mnie i uznał, że nie warto trwonić na mnie resztek energii. Założę się, że nawet gdybym otworzył ci drzwi tego więzienia, nie miałbyś zamiaru uciec. Nie interesuje cię nic, co jest na zewnątrz, już nie. A wiesz, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Chciałem być taki jak ty, zanim cię tu zobaczyłem. Nie widziałem ciebie, widziałem siebie. Dziki wilk, wolny od wszelkich więzów. Co za głupota! Spójrz, czym się staliśmy: spotulnieliśmy, pogodziliśmy się z naszym losem. Powinienem być wcześniej się zorientować, zanim do tego wszystkiego doszło. To szaleństwo. Nie jestem żadnym wilkiem, nie jestem Laurą, nie jestem swoim ojcem. Nie jestem nawet tym, za kogo zawsze chciała mnie uważać moja matka.

Wilk potrząsnął łbem, przespacerował się wzdłuż ogrodzenia, obwąchał swoje odchody i ukrył się przed wzrokiem Gonzala za krzakami. Przez gałęzie Gonzalo widział jego miodowe oczy i dyszący czerwony język.

– To właśnie robimy, ty i ja: ukrywamy się, pozostajemy niezauważeni. Wolimy lekki krok, oszczędność uczuciową. Trzeba się z tym pogodzić i wygląda na to, że tobie się udało. Jak? Jak nauczyć się tego rodzaju rezygnacji?

– To się nazywa pragmatyzm, choć niektórzy wolą go mylić z inteligencją i umiejętnością przystosowania.

Mógłby pomyśleć, że to wilk zabrał głos, znudzony, mając dość jego krępującej obecności i jego deprymujących pytań. Ale to nie był wilk.

Przynajmniej nie ten z klatki, pomyślał Gonzalo, kiedy spojrzał w prawo i zobaczył Alcázara.

– Dziwne miejsce na spotkanie – powiedział były inspektor.

Dlaczego dziwne? Czyż obaj nie byli zamkniętymi w klatkach bestiami? Tutaj powinni się czuć jak w domu, jak w więziennej celi. Ona właśnie czeka jego syna, jeżeli wyjdzie ze śpiączki, a rehabilitacja będzie przebiegała pomyślnie, na co lekarze po tygodniu obserwacji dawali nadzieję.

Alcázar usiadł obok Gonzala i rzucił mu pełne melancholii spojrzenie.

– Wiele się zmieniło, odkąd ojciec przyprowadzał mnie tu, gdy byłem dzieckiem. Pamiętam, że już przy wejściu do parku Ciutadella pachniało zwierzętami, uwielbiałem tę woń.

Gonzalo nie mógł się nadziwić subtelnej hipokryzji inspektora. Przeczytał dossier Alcázara, które skompletowała dla niego Luisa.

– Ojciec tu pana przyprowadzał?

– Owszem.

Melancholijny starzec przywołujący wspomnienia z dzieciństwa, wyjadający łubin z papierowej tutki – urocze. Świat pozorów był zaskakujący. Nikt by nie przypuszczał, że ten dobrotliwy staruszek, który poruszał wąsami, jakby coś przeżuwał, jest najemnikiem zdolnym zagrozić, że wyrządzi krzywdę małej dziewczynce, jeżeli Gonzalo sprzeciwi się jego woli.

– A robił to, zanim wyrzucił zatrzymanych przez okno komisariatu czy już po tym? Jak to było: podpisywał wyroki śmierci, a później, dla relaksu, zachowywał się jak normalny ojciec?

Alcázar przyjął cios bez mrugnięcia okiem. Był przyzwyczajony do tej perwersyjnej zmywy między połowicznymi prawdami a połowicznymi kłamstwami, w połowie drogi pomiędzy tym, co wiemy, a tym, co myślimy, że wiemy. Jemu samemu zajęło wiele lat zrozumienie, dlaczego jego ojciec do końca uparcie chronił Elíasa, podczas gdy innych jemu podobnych traktował bezlitośnie. Nie rozumiał też powodów, dla których tamtej nocy 1967 roku, kiedy zadzwonił do niego, żeby zapytać, co ma zrobić z ciałem Gila, kazał mu się nie ruszać z miejsca, po czym pojawił się tam godzinę później, o świcie, i powiedział, że sam wszystkim się zajmie. Elías jeszcze oddychał mimo rany na plecach; ojciec Alcázara usiadł obok niego, głaszcząc go po coraz bledszej twarzy. Elías coś szeptał, Ramón Alcázar Suñer przytknął ucho do jego ust tak blisko, że umazał się krwią. Pytając spojrzał na syna. Gdzie jest Rosjanka? Alcázar polecił jej zaczekać w samochodzie. Przyprowadź ją, nakazał mu

ojciec. Chce z tobą rozmawiać, powiedział Ramón Alcázar Annie, odsuwając się od nich i prosząc syna o chusteczkę, by otrzeć z twarzy krew Elíasa. Odjedź – powiedział – i nie mów nikomu o tym, co tu zaszło, sam się tym zajmę.

Dopiero agonía ojca, kilka lat później, pozwoliła inspektorowi nadać całej tamtej scenie sens. Ramón Alcázar Suñer ocalił Elíasowi życie w Argelès i ratował mu je jeszcze wielokrotnie w kolejnych latach. Bo był jego przyjacielem i to dzięki Elíasowi on, Alberto Alcázar, dorastał u boku swojego ojca. Gdyby tamtej nocy 1938 roku Elías nie podjął decyzji, by najpierw być człowiekiem, a dopiero potem członkiem partii, losy ich wszystkich potoczyłyby się zupełnie inaczej. Gonzalo nic o tym nie wiedział. Ale Laura owszem. Ona znała prawdę. A prawda umiera, kiedy odejdą ostatni, którzy ją pamiętali.

Musiał z rezygnacją przyjąć ten ciężar, pogodzić się z sytuacją, zapomnieć o własnych uprzedzeniach, zostać strażnikiem tych półśrodków, które zamazywały kontury wszystkiego, bo prawda nigdy nie jest prosta. Jego zdaniem Elías Gil był strasznym skurwysynem. Ale historia, a wraz z nią jego ojciec, postanowili przydzielić mu rolę bohatera.

– Nie powinieneś wygłaszać pochopnych sądów na temat czegoś, o czym nie masz pojęcia. – Ograniczył się do takiej odpowiedzi.

– Wiem, co wiem.

Alcázar z rezygnacją rozłożył dłonie.

– W takim razie nic nie wiesz.

– Nie chcę, żeby moja rodzina więcej cierpiała.

– Rozumiem i wyobrażam sobie, co myślisz. Wcale mi się to nie uśmiechało, że musiałem posłużyć się twoją córką.

Wydawało się, że mówi szczerze. Gonzalo zadał sobie pytanie, do czego jest zdolny Alcázar, jak daleko może się posunąć.

– Byłbyś w stanie skrzywdzić moją córkę? Dziewczynkę, która nie skończyła jeszcze dziesięciu lat?

Alcázar spojrzał na niego tak, jakby chciał szybko ugasić żar, zanim się roznieci, powodując niemożliwy do opanowania pożar. Trudno było odgadnąć, co czuje.

– Przez wszystkie te lata oszukiwałeś moją siostrę; ufała ci, oddała się w twoje ręce, a ty ją zdradziłeś.

Inspektor zajrzał do swojego papierowego rożka, wypluł uschnięte nasiono

łubinu i wyrzucił opakowanie do śmieci. Jego wąsy uniosły się, kiedy przejechał językiem po górnym dziąśle. Nie chciał się wdawać z Gonzalem w tę dyskusję. Prawnik miał rację i jej nie miał. Ale to, co myślał o relacji łączącej go z Laurą i jego udziale w tym, co spotkało Roberta, miało dla niego niewielkie znaczenie albo wręcz żadnego. Było już zbyt wielu sędziów w tej sprawie. Zdanie, jakie miał o nim Gonzalo, pozwalało mu przynajmniej zachowywać się tak, jak tego od niego oczekiwał.

– Zadzwoiłeś do mnie, więc przyszedłem. Słucham. Powiesz mi, kim jest informator Laury?

Gonzalo nie stracił niepewności, którą dostrzegł u niego Alcázar w dniu, kiedy pierwszy raz go zobaczył. Wciąż miał to samo nieśmiałe, płochliwe spojrzenie, nadal na swój szczególny sposób nie chciał stawać twarzą w twarz z rzeczywistością, nawet teraz. Inspektor postanowił go do tego zachęcić.

– Atxaga wciąż jest na wolności. Mogę powiedzieć moim ludziom, żeby przestali pilnować twojego domu, mogę zarzucić poszukiwania. W ten sposób nie będę ponosił odpowiedzialności za to, co się ewentualnie stanie.

Gonzalo rzucił mu z ukosa spojrzenie, zapewniające, że jego powściągliwość nie oznacza tchórzostwa i że szantaż budzi w nim taką samą odrazę jak były inspektor. Jego oczy mówiły Alcázarowi, że nie powinien lekceważyć ani mylić z czymś innym jego ostrożności. Może i jest jak ten zalękniony wilk za szybą, ale nadal ma zęby i może ich użyć.

– Zapomnę o Matrioszce, zapomnę o Laurze. Sprzedam dom nad jeziorem, zrobię wszystko, pozwolę, żeby stary dymał mnie przez resztę życia, jeżeli tego właśnie chce. Ale musisz wyciągnąć z tego moją rodzinę.

– Jest trup. To nie takie proste.

– Mój syn nie może iść do więzienia, a Lola nie może zostać w to wplątana. Nie chcę, żeby ludzie wytykali Patricię palcami na ulicy. Byłeś głównym inspektorem, na pewno wiele osób jest ci winnych przysługę, niech się teraz zrewanżują.

– Lada moment wróci twój teść. Będzie tu za dwa dni, został już o wszystkim poinformowany. On wie, jak postępować w takich sytuacjach.

Gonzalo uśmiechnął się cynicznie, zaciskając zęby.

– Mój teść wpakował mnie w to wszystko. Mogę mu najwyżej życzyć, żeby jego samolot się rozbił.

– Być może, ale to jeden z najlepszych specjalistów od prawa karnego w kraju. Twój syn zabił człowieka. Dowody są jednoznaczne. Osobiście

uważam, że stary jest jedyną osobą zdolną odwrócić je tak, żeby ocalić chłopaka. Uzyska dla niego łagodniejszą karę, może skończy się na trzech latach w poprawczaku.

Gonzalo był gotów zrezygnować ze wszystkiego, ale w zamian żądał od Alcázara pewności. Może i jego teść był najzręczniejszym krętaczem w Hiszpanii, a jego wpływy wystarczą, żeby uniewinnić Javiera. Ale nie tego oczekiwał od inspektora. Sprawa nie mogła ujrzeć światła dziennego, a to dało się załatwić tylko w jeden sposób.

– Nie rozumiałeś mnie. – W którym momencie zaczął zwracać się do niego na ty i patrzeć na niego w ten groźny sposób? – Podmień dowody albo spraw, żeby zniknęły. Mój syn nie pójdzie do żadnego więzienia, nawet na jeden dzień. Zrozumiałeś?

– Jesteś prawnikiem, wiesz dobrze, że to, o co mnie prosisz, nie jest możliwe. Już nie.

– Podam ci nazwisko informatora Laury, odmówię składania zeznań przeciwko tobie i Agustínowi. Zostawię was w spokoju. W zamian za wolność mojego syna. W przeciwnym razie nic mnie nie powstrzyma, ani twoje groźby, ani groźby twoich rosyjskich przyjaciół.

– A co z laptopem?

– Nie wiem, kto go ma. Ale to nieważne. Jeżeli nie przekażę informacji prokuratorowi, to tak, jakby nie istniały. Poza tym bez zeznań Siaki nie będą miały żadnej wartości.

W tym momencie zrozumiał, że właśnie popełnił błąd. Zdał sobie sprawę z jego ogromu na widok mrocznego błysku, który rozświetlił spojrzenie Alcázara.

– To ten pierdolony Murzyn? Piesek Zinowiewa jest Głębokim Gardłem? – Alcázar pokiwał głową i z rozbawieniem klepnął się w czoło. Powinien był od początku się domyślić. Dostrzegął w tym pewną logikę.

– Co z nim zrobisz? Zabijesz go?

Inspektor nie wykluczał takiej możliwości; faktycznie, było to najlepsze wyjście. A nawet jeżeli on tego nie robi, w końcu dopadnie go ktoś z organizacji. Anna ostrzegła, że sprawy zaszły za daleko, być może do punktu, z którego nie ma już powrotu. Alcázar miał jednak własne plany.

– Już ci to kiedyś powiedziałem. Zrobiłem rzeczy, których każdy człowiek by żałował, ale nie stałem się mordercą. Gdzie on jest?

– Od kilku dni nie mam z nim kontaktu. Mieliśmy się spotkać w kawiarni,

ale kelner powiedział mi, że wyszedł dziesięć minut przed moim przyjściem. Od tego czasu mógł na zawsze rozpląnąć się w powietrzu.

Żaden z nich w to nie wierzył. Chłopak nie należał do osób, które tchórzą, kiedy zrobiły już pierwszy krok.

Inspektor wstał i spojrział na wybieg. Nie widział wilka, ale był tam, przyczajony za krzakami.

– Zobaczę, co da się zrobić w sprawie Javiera. Tymczasem muszę cię prosić o jeszcze jedno. Nie mogę cię do tego zmusić, tak naprawdę nawet nie powinno mnie to obchodzić. Nie powinieneś więcej spotykać się z Tanią Achmatową. To nie moja sprawa, z kim zdradzasz swoją żonę, potraktuj to jako dobrą radę, jeżeli rzeczywiście chcesz zapomnieć o całej tej sprawie.

Gonzalo spojrział na niego zaskoczony.

– Co ty masz wspólnego z Tanią?

Alcázar wyjął papierosa i zanurzył filtr pod fałdą górnej wargi.

– Zapytaj ją o to przy najbliższej okazji. A najlepiej zapytaj o to jej matkę.

Osoba, która mieszkała w tym domu, nie miała upodobania do szczegółów. Była to pierwsza myśl, jaka przyszła do głowy Siace. Z biegiem lat rozwinęło się w nim poczucie estetyki naznaczone barokowymi gustami bogaczy, na których przyjęciach bywał w towarzystwie Zinowiewa. Lubił przesadnie zdobne meble, grube kotary, powykręcane gzymsy pokryte złotem płatkowym i porcelanowe zastawy. Im bardziej pstrokato, tym bardziej luksusowo. Takie miał zdanie o estetyce władzy. Mimo okoliczności jego pierwszym odczuciem był niesmak wywołany otoczeniem.

Pomieszczenie miało bardzo wysoki, mansardowy sufit. Cementowe belki były widoczną podporą konstrukcji kończącej się dużymi oknami bez firanek wychodzącymi na morze. Kiedy podszedł do jednego z nich, zobaczył, że zostało przezornie zamknięte od zewnątrz. Nad klifem wznosił się wyłożony drewnem iroko taras, tworząc szeroki na kilka metrów występ. W stojącej po prawej stronie pergoli z odsłoniętymi zasłonami widać było wiklinowe meble i duże kolorowe poduszki. Siaka wrócił do drzwi i spróbował je otworzyć. One także były zamknięte na klucz.

– Niezła cela.

Wystrój był minimalistyczny: gładkie ściany bez ozdób, szklany stół na stalowych nogach, na którym stała patera z owocami i taca z jedzeniem,

krzesła z pleksi pasujące do innych przezroczyści w pokoju, białym, niemal efemerycznym. Faktycznie ładna cela.

Wciąż bolała go głowa. Dotknął podrażnionego karku i wyczuł dwa małe nacięcia, nie większe niż ślady po ukąszeniu komara. Znokautowali go paralizatorem. Głowę miał owiniętą kilkoma warstwami bandażu. Pomacał go i przypomniał sobie, że zanim stracił przytomność, uderzył się w stopień schodów metra. Reszta była cała.

– Jeszcze nie zaczęli – powiedział sobie.

Nie miał wielkich wątpliwości co do powodów, dla których został uwięziony, choć wystrój pomieszczenia – zbyt nowoczesny jak na gusta oprawców z Matrioszki – nie pasował do jego teorii. Ci skurwiele, weterani brudnych wojen na Wschodzie, nie cackaliby się z nim w ten sposób, woleli prowadzić swoje przesłuchania w lochach, wilgotnych piwnicach czy opuszczonych fabrykach. Plugastwo było ich metodą, dekoracja stanowiła część ich choreografii terroru. A już na pewno nie przyszłoby im do głowy, żeby zostawić mu tacę z jajkami w kokilce, tostami z pełnoziarnistego chleba i świeżymi owocami. Oni kazaliby mu jeść własne gówno.

– Facet, który siedział z gazetą przy barze. To on. – Instynkt ostrzegł go jak zwykle, tyle że nie posłuchał go od razu.

Usiadł na jednym z krzeseł, zastanawiając się, co teraz. Poszukał wzrokiem ukrytej kamery. Znalazł ją w jednym z najwyższych załomów sufitu, schowaną w miejscu połączenia belek. Pomachał do niej ręką.

– Jestem gotowy. Możemy zacząć, kiedy chcecie... I jeszcze jedno: brakuje soli do jajek.

Dwie minuty później usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach. To był on, facet od gazety.

– A ty, kurwa, kim jesteś? – zapytał Siaka i wstał, nie spuszczać wzroku z grubego żelaznego pręta, który mężczyzna ścisnął mocno w prawej dłoni, kiedy zmierzał w jego stronę.

Włożył lewą rękę do kieszeni i coś mu podał. Solniczkę.

– Przyniosłem ci sól.

Wzrok Siaki szybko przeskoczył z jednej dłoni mężczyzny na drugą, nie zdążył jednak uniknąć pierwszego ciosu zadanego mu w bok żelaznym prętem.

– Powinieneś być trochę miłszy dla swoich gości – powiedział, dysząc. Uderzenie sprawiło, że zgiął się w pół i jego twarz znalazła się tuż nad drogami, wypastowanymi butami nieznajomego.

– A ty powinieneś być mniej wymagający wobec swojego gospodarza.

Drugi cios trafił w usta. Zęby rozsypały się po marmurowych płytkach podłogi niczym kości do gry. Żegnaj, czarujący wężowy uśmiechu zarezerwowany dla nieostrożnych turystek.

Siaka pomyślał przelotnie o angielskiej policjantce o dużych cyckach; powinien był zostawić sobie jej zabawkową dwudziestkę dwójkę. Wiedziałyby, jak ją wykorzystać.

Przez kolejne dni Gonzalo praktycznie nie opuszczał szpitala. Godzinami stał za szybą, przez którą widział splot kabli i aparaty utrzymujące przy życiu jego syna. Javier wyszedł ze śpiączki, co oznaczało, że pod stale zamkniętymi powiekami jest już przytomny. Jego umysł znów zaczynał pracować – analizował otoczenie, myślał o tym, co się wydarzyło, o konsekwencjach. Nie był jednak jeszcze przygotowany, żeby stawić im czoła.

– Lepiej go teraz nie męczyć – zalecili lekarze.

Gonzalo szanował prywatność syna, rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny, że Javier potrzebuje teraz być sam. Ale nie odchodził; chciał, żeby wiedział, że przy nim jest. Żeby kiedy wreszcie otworzy oczy, pierwszą rzeczą, którą zobaczy, była ściskająca go dłoń ojca.

Lola przyjeżdżała wcześniej rano i bez słowa siadała przy Gonzalu. Jej postawa była wyczekująca, pełna skupienia. W ostatnich tygodniach straciła resztki młodości, zamieniła się w ciało bez duszy, pozbawione wewnętrznego światła, poruszane przypadkowymi siłami, którym już się nie opierała. Jej włosy utraciły połysk, zapadnięte oczy wyostrzały kości policzkowe i nos, teraz wiecznie zaczerwieniony. Nie spała mimo leków przeciwlękowych, które przepisał jej lekarz, i niemal nic nie jadła. Jakby zredukowała do minimum wszelki wysiłek, by oszczędzić energię i włożyć ją w to oczekiwanie.

Co ciekawe, doszli do porozumienia w kwestii papierosów – palili teraz razem w drzwiach szpitalnej kawiarni.

– Wysłałam Patricię do domu ojca w Cáceres, zostanie tam, dopóki nie będzie po wszystkim. Nie chcę, żeby musiała przez to przechodzić.

Gonzalo też tak uważał. Tak było lepiej. Lola nie zapytała go o zdanie. Agustín też nie. Gdy tylko wylądował na lotnisku, przejął stery. Nagle nie było nic ważniejszego niż zajęcie się zbrodnią popełnioną przez jego wnuka.

Matrioszka, fuzja kancelarii, sprzedaż ziemi i ACASA w okamgnieniu zniknęły z listy jego priorytetów.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział zięciowi, kiedy pojawił się na OIOM-ie i przytulił Lolę. Gonzalo nigdy wcześniej nie widział, żeby ścisnął ją w taki sposób. Nie chciał patrzeć na Javiera, zbyt wiele go to kosztowało. Natychmiast zaczął poruszać sznurki w grze, w której był najlepszy. Czekala go najtrudniejsza partia, wymagająca użycia wszystkich wpływów; żeby ją wygrać, musiał grozić, błagać, przekonywać, wyczerpać kredyt zgromadzony przez czterdzieści lat prawniczej kariery.

Zięć i teść darzyli się głęboką nienawiścią i nie było sposobu na zasypanie dzielącej ich przepaści. Jednak w tych dniach Gonzalo był wdzięczny Agustínowi; jego przyszłość była w rękach tego człowieka.

Obecność ojca i świadomość, że wszystkim się zajmuje, trochę uspokoiła Lolę, pozwalając jej skoncentrować się na zżerającym ją powoli poczuciu winy.

– Nie wiedziałem, że też palisz.

Lola wykrzywiła twarz; w kącikach jej ust pojawiły się fałdy wiotkiej skóry.

– Rzuciłam, zanim cię poznałam. Ohydny nałóg, miałam nadzieję, że go pokonałam.

Gonzala nie dziwiła już żadna z twarzy Loli. Ich wspólne życie przypominało bal maskowy. Mogła mu pokazać każde oblicze, a on zaakceptowałby je ze wzruszeniem ramion.

Milczenie Loli, sposób, w jaki patrzyła na poplamioną szminką końcówkę papierosa, ten gest, który jeszcze do niej nie pasował, miały destrukcyjne skutki.

– Jak mogłeś przez te wszystkie lata dusić w sobie coś takiego? Powinieneś być mi powiedzieć, że widziałeś mnie tamtego popołudnia. Rozstalibyśmy się albo znaleźli jakieś rozwiązanie, ale nie wiedlibyśmy życia bez życia, nie marnowalibyśmy czasu.

– A ty? Jak mogłaś? – Może czekał, że się do wszystkiego przyzna, że dostrzeże w niej odrobinę skruchy, jakiś nierozwiązywalny konflikt, któremu on potrafiłby zaradzić. Ale ona milczała, a on przestał liczyć na jakiegokolwiek słowa. Wtedy kochał ją zbyt mocno, żeby dopuścić możliwość rozstania – z powodu dumy, zazdrości, wierności, lojalności? Żadna z tych rzeczy nie była ważniejsza od niej. Stawił czoła Agustínowi i wygrał, odebrał mu jego własną

córkę, wkroczył do domu tego falangisty i zatknął w nim czerwony sztandar Gilów; odniósł pełne zwycięstwo, z którego nie mógł ani nie chciał zrezygnować. Czy nie taki był prawdziwy powód, dla którego udał, że nie widział tego, co widział? Przez arogancję, nie przez miłość, która stanowiła tylko pretekst. Kiedy urodził się Javier, a on poczuł w głębi duszy, że to nie jego dziecko, zagnieździła się w nim larwa pasożyta zemsty, niekonkretnej, niesprecyzowanej. Pragnienie, żeby w milczeniu powetować sobie tę zniewagę, której konsekwencje poniósł jego syn. Wszystko to było godne pogardy, tak jak on sam. Ale grzebanie w tej ranie nie miało już sensu.

– Przypuszczam, że na nic się zda przyznanie, że to był błąd i że go żałuję, nawet nie wiesz jak bardzo. Między nami wszystko skończone, prawda?

– Zakończenie następuje na długo przed epilogiem. Wszystko skończyło się już dawno temu, tyle że żadne z nas nie chciało przyjąć tego do wiadomości. Twój ojciec będzie zadowolony, od początku tego pragnął.

– To jeszcze nie jest zakończenie, Gonzalo.

Zdradził Siakę, Laurę i zdradził samego siebie. Tak, sięgnął dna. Może Javier dojdzie do siebie, może sprawa Matrioszki jakimś cudem zostanie pomyślnie zakończona, istniała nawet szansa, że Atxaga na zawsze zniknie z ich życia. Ale nic nie zmieni tego, co już się stało. Nie złoży się tego, co pękło. Stłuczony wazon już nigdy nie będzie taki jak wcześniej, choćbyśmy starannie posklejali jego części i pomalowali spojenia. Na zawsze pozostanie rozbity.

Gonzalo pomyślał o Tani. Ona jest jego kotwicą? Choć wówczas jeszcze sobie tego nie uświadomił, wiedział, że nie, już w momencie, kiedy kochali się w jej łóżku.

– Co teraz zrobisz?

– Znów będę synem Elíasa Gila. Kim innym mogę być?

Lola zgasiła niedopałek, wypuszczając dym kątem ust. Musi skończyć z tym nałogiem, zanim znów się od niego uzależni. Spojrzała na Gonzala i zalała ją ogromna czułość. To nie była miłość, już nie.

– Mógłbyś być samym sobą. Tak byłoby dobrze.

Tania w żaden sposób nie okazała, że czuje się schwytna w pułapkę, kiedy Gonzalo zapytał, co łączy ją z Alcázarem i co oznaczał jej pojedynek z matką, którego był świadkiem przed wyjściem z księgarni.

Kochali się na kanapie w studiu fotograficznym, ale Tania od razu zauważyła, że Gonzalo jest nieobecny, choć jego ciało siliło się, by udawać co innego. Zdradziły go właśnie te starania.

Wyznała mu prawdę. Zrobiła to beznamyślnie, starając się oddalić wydarzenia, dane i daty od kanapy, na której leżeli nadzy, wyznaczyć wyraźną granicę między przeszłością a teraźniejszością. Opowiedziała mu o tym, jak pierwszy raz zobaczyła go z Esperanzą na wystawie w Argelès, kiedy byli znacznie młodszy, o tym, jak jej matka milczała, kiedy pytała ją o Elíasa Gila, i o tym, jak zaczęła mieć na jego punkcie obsesję. Powiedziała mu, że dowiedziała się z telewizji o śmierci Laury i że ta wiadomość rozbudziła w niej dawno zapomniane zainteresowanie tym jednookim mężczyzną. I o tym, jak odszukała Gonzala i zaczęła go śledzić, badać, starając się go zrozumieć, zastanawiała się, czy także on ma obsesję na punkcie przeszłości, którą wszyscy uparcie starali się przemilczeć. Nie przez przypadek była na parkingu, kiedy napadł na niego Atxaga, podobnie jak nie przez przypadek zobaczył ją z wierszami Majakowskiego, kiedy wyszedł na balkon w dniu, w którym się poznali.

– Znałam twoją historię, wszystko o tobie wiedziałam, ale pragnęłam się do ciebie zbliżyć, powąchać cię, posłuchać. Na początku traktowałam to jako zabawę, musiałam poskładać puzzle, na tej samej zasadzie, na której moje zdjęcia muszą być idealne w najdrobniejszych szczegółach, żebym mogła je uznać za skończone. Ty byłeś charakterystycznym punktem obrazu, który powoli się wyłaniał. Ale wtedy zbliżyłam się za bardzo, bez pozwolenia weszłam do twojego świata... A teraz jesteś tutaj, ze mną, leżysz nagi na mojej kanapie. Rozmawiamy po tym, jak się kochaliśmy, i wiem, że patrzysz na mnie jak na oszustkę. Nie chciałam tego, Gonzalo. Ale tak to właśnie wygląda.

Gonzalo nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Nie był w stanie przyswoić potoku słów, które wyrzucała z siebie Tania, siedząc po turecku. Widział jej włosy łonowe, jej piersi znajdowały się trzy centymetry od jego twarzy. Cała ta sytuacja była absurdalna.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu? Mogłaś mnie po prostu zapytać. Nie musiałybyś wymyślać tego wszystkiego.

– To nie są wymysły – odpowiedziała Tania, wskazując kanapę i ich rozrzucone po podłodze ubrania. – Ja nie jestem wymysłem. To nie powinno było się wydarzyć. Nie rozumiesz tego, ale moja matka ma rację: ta intymność nie jest dobra dla żadnego z nas. Chciałam tylko trochę się do ciebie zbliżyć,

ale tak, żebyś niczego nie zauważył, żeby nie narażać cię na niebezpieczeństwo.

– Jakie niebezpieczeństwo?

Tania spuściła głowę. Wytatuowane skrzydła przybierały w świetle lampy inne odcienie. Drżały. Poszła po pudełko z wycinkami dotyczącymi Elíasa zbieranymi przez jej matkę i pokazała je Gonzalowi. Kiedy szukał okularów, okryła się prześcieradłem.

– Moja matka pierwszy raz zobaczyła twojego ojca w czterdziestym pierwszym roku w Moskwie. Ona miała jedenaście lat, a on prawie trzydzieści. Tak naprawdę widzieli się już wcześniej, ale z tego dnia pochodzi pierwsze jasne wspomnienie, jakie o nim zachowała. Pod koniec czterdziestego roku twój ojciec uciekł z wojskowej twierdzy na południu Francji, gdzie trafił po wojnie w Hiszpanii. Przemierzył całą Europę, żeby objąć stanowisko komisarza politycznego w jednostce hiszpańskich żołnierzy.

Gonzalo powoli przewracał kartki kroniki, na których Anna skrupulatnie zanotowała daty i miejsca, gdzie zostały wykonane fotografie: Collioure 1939 (pamiętał, że widział to zdjęcie, zrobione przez Roberta Capę, na wystawie w okolicach Argelès, na którą pojechał z matką), Warszawa 1940, Moskwa 1941, Leningrad, Stalingrad 1942, 1943, 1945... Nagle trafił na zdjęcie wcześniejsze niż pozostałe. Pochodziło z jakiejś lokalnej rosyjskiej gazety wyglądającej na broszurę propagandową i było datowane na rok 1933. Podstawowa znajomość rosyjskiego wystarczyła Gonzalowi, żeby przeczytać podpis pod fotografią przedstawiającą jego ojca w bardzo młodym wieku, uśmiechniętego, z pięścią w górze, w otoczeniu trzech innych chłopaków, którzy pozowali na placu przed Kremlen z takim samym entuzjazmem jak on.

Przyszłe talenty z całej Europy przyłączają się do urzeczywistnienia radzieckiego snu.

– Ten rudzielec po prawej stojący między Elíasem a tym niskim pokrąką to mój ojciec. Nazywał się Martin i był Anglikiem. Nigdy go nie poznałam. Kiedy się urodziłam, miał prawie sześćdziesiąt lat. Byli ze sobą tylko raz i wtedy matka zaszła w ciążę. Potem zniknął bez słowa wyjaśnienia. Martin i twój ojciec jako jedyni przeżyli Nazino... No i moja matka.

Tania powiedziała Gonzalowi, żeby przejrzał cały album.

– To moja babcia, Irina. Dziewczynka, którą trzyma na rękach, to moja

matka.

To samo zdjęcie, pomniejszone, znajdowało się w medalionie, który nosił przy sobie Gonzalo. Wreszcie mógł zrekonstruować rozczłonkowany wizerunek tej tajemniczej kobiety i zrozumieć znaczenie imienia wyrytego na zniszczonej powierzchni pudierka. Bez wątpienia była piękną kobietą, charakteryzowała ją wyniosłość, ale niezwiązana z bezpodstawnymi ambicjami wynikającymi z rodowodu, lecz z czymś naturalnym, z emanującą z niej siłą. Oczy takie same jak u Tani, ten sam prosty nos z sympatycznym garbkiem, który czynił jej urodę bardziej ludzką, ciemne, wydatne usta odsłaniające zęby, rozchylone w półuśmiechu. I mocne, zdecydowane dłonie o długich palcach i zaokrąglonych paznokciach, trzymające dziewczynkę siedzącą na fałdach jej spódnicy, o tym samym wyzywającym wyrazie twarzy, pewną swojej siły. Choć nie miały ze sobą nic wspólnego, wizerunek tej małej carycy przywiódł Gonzalowi na myśl Patricię. Badawcze spojrzenie, niepasująca do wieku mądrość. Wyobrazził ją sobie jako ciekawską, wścibską, przemądrzałą dziewczynkę.

– Poznali się na wyspie Nazino zimą trzydziestego trzeciego roku. Wygląda na to, że twój ojciec i moja babcia byli w sobie zakochani, ale moja matka nie może tego pamiętać. Wydarzyły się tam straszliwe rzeczy. Rzeczy, które nie mają nic wspólnego z tobą ani ze mną.

– Jakie rzeczy?

– Wcześniej powiedziała ci, że rozgrzebywanie tych spraw nie będzie dobre dla żadnego z nas. Może być niebezpieczne.

– Już trochę za późno na takie stwierdzenie.

Tania wzięła od niego album i przerzucając strony, cofnęła się do okresu wojny z nazistami. Zatrzymała się na jednym ze zdjęć.

– Widzisz tego pułkownika w mundurze NKWD, który stoi obok twojego ojca? To Beria, prawa ręka Stalina i najskuteczniejszy dowódca jego tajnej policji. Przez wiele lat był bezpośrednim przełożonym twojego ojca. Teraz spójrz na mężczyznę, który stoi za nimi, ubranego jak amerykański przemysłowiec z lat czterdziestych.

– Kto to taki?

Tania zamknęła album i głęboko westchnęła.

– To powód, dla którego Laura nie żyje, sprawca twojego cierpienia,

a także cierpień twojej i mojej rodziny. Przez kilka lat byłam zmuszona nazywać go dziadkiem. Czy to nie dziwne? Nie poznałam swojego prawdziwego dziadka, a gdyby na Nazino sprawy potoczyły się inaczej, mógłby nim zostać twój ojciec. Ale to ten mężczyzna przejął tę rolę. Nazywa się Igor Stern.

23.

NIEDALEKO GRANICY Z&NBSP;POLSKĄ, STYCZEŃ 1941 ROKU

Elías otworzył książkę na pierwszej stronie i przeczytał: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”¹⁸. Co to znaczy? W tym momencie były to tylko słowa. Zamknął książkę i pogłaskał zielonkawy grzbiet z wytłoczonymi złoconymi literami. *Anna Karenina*, Lew Tołstoj. Odstawił powieść na półkę, między *Idiotę* i *Matkę*. Może księgozbiór stanowił część dekoracji, podobnie jak duży kubistyczny obraz na jednej ze ścian. Widziany z pewnej odległości, wydawał się przedstawiać średniowiecznego rycerza z kopią, siedzącego okrakiem na białym wierzchowcu, dumnego Polaka z Pomorskiej Brygady Kawalerii; z bliska jednak okazywał się zbiorem figur geometrycznych i jaskrawych plam.

W 1939 roku ci waleczni ludzie zaatakowali lancami dywizję niemieckich czołgów. Musiało to być niesamowite, emocjonujące widowisko: tysiące parskających wierzchowców, obsiewające pole hełmy, zagrzewające do walki okrzyki jeźdźców, niknące w ogłuszającym huku maszyn. Dramatycznie piękne, a jednocześnie bezcelowe. Bezsensowna rzeź, pole walki pokryte krwią i zwłokami tysięcy mężczyzn i zwierząt, których natarcie nawet nie drasnęło niemieckich maszyn. Nie to jednak przedstawiał ten obraz.

Na rogożynowym krześle leżały czasopisma Wojskowej Szkoły Oficerskiej i egzemplarz „Prawdy”. Ministrowie spraw zagranicznych Ribbentrop i Mołotow ściskali sobie przyjaźnie ręce, jednak relacje między Niemcami a Sowietami nie były już tak serdeczne, jak ubiegłego lata. Radziecka prasa pierwszy raz krytykowała ruchy niemieckich wojsk na froncie wschodnim, ich ataki na Jugosławię i Grecję. Robiła to jednak ostrożnie – nadal dominował ton traktatu o przyjaźni z Niemcami. „Skoro zrobił to Stalin, zrobiła to partia bolszewicka, a zatem to dobra decyzja”. Podczas gdy Europa patrzyła

z niedowierzaniem, jak w ciągu zaledwie pięciu tygodni upada Francja, Związek Radziecki dokonywał aneksji terytoriów uznanych w traktacie za sowiecką strefę wpływów. Kiedy jednak Elías przekroczył polską granicę, zapowiadało się na rychłą wojnę.

22 czerwca poprzedniego roku Francja podpisała zawieszenie broni. Elías dowiedział się o tym w pociągu towarowym, kiedy ukryty między stosami pudeł przecinał Holandię, zajęta bez oporu przez niemieckie oddziały. Jakiś Holender pokazał mu wiadomość w gazecie. Linia Maginota, niesamowite francuskie umocnienia, okazała się nieprzydatna, Niemcy zwyczajnie je ominęli, przedostając się przez lukę w Sedanie, i dotarli aż do kanału La Manche, zmuszając brytyjskich i francuskich marynarzy do ponizającej ewakuacji pod Dunkierką. Francja przegrała. Hitler, wielki miłośnik kabotyńskich gestów, zażądał, aby akt kapitulacji został podpisany w Compiègne, w tym samym wagonie kolejowym, w którym w 1918 roku Niemcy uznały swoją porażkę w wielkiej wojnie. Następnie kazał go wysadzić w powietrze.

Pod okupacją znalazły się północna i zachodnia część Francji. Esperanza pozostała na południu kraju, w tak zwanej Wolnej Francji, ze stolicą w Vichy, to jednak nie uspokoiło Elíasa. Marszałek Pétain, szef nowego rządu, podlegał siłom okupacyjnym, a Gestapo mogło liczyć na gorliwą współpracę francuskiej żandarmerii. Krążyły pogłoski o masowych deportacjach, rozstrzelaniach i zatrzymaniach. A on nadal nie miał wiadomości od swojej żony. Rozkazy były kategoryczne. Miał jak najszybciej zjawić się w Moskwie, sam. Ledwo zdołał przekazać Esperanzę za pośrednictwem Pierre'a wiadomość, że zamierza uciec z Collioure, łamiąc nakaz utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Wierzył, że ją dostała.

Zważywszy na sytuację, „jak najszybciej” było mało precyzyjną i eufemistyczną miarą czasu. Chociaż po upadku Francji rozpoczęła się tak zwana dziwna wojna, wojska nadal się przemieszczały i wciąż toczyły walki, a nazistowska armia i lotnictwo rozlewały się niczym plama – od Arktyki po Afrykę, od zachodu po wschód. Elías musiał korzystać ze wszelkiego rodzaju środków transportu, zmieniać dokumenty i trasę, narażając się na liczne niebezpieczeństwa, żeby po wielu perypetiach dotrzeć do polskiej granicy. Minęło sześć długich miesięcy, zanim zjawił się w tym wielkim budynku będącym obwodową siedzibą NKWD. Stawił się w urzędzie zaraz po przyjeździe, odesłano go jednak do części mieszkalnej, zajmowanej przez

oficerów Armii Czerwonej. Czekał tam przez kolejne trzy miesiące, nie uzyskawszy żadnych wyjaśnień. Wreszcie, tego zimnego ranka w styczniu 1941 roku, przyjechał po niego motocyklista z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z rozkazem eskortowania go do budynku NKWD.

Czekał w salonie już od półtorej godziny. Przy oknie stał duży dzban z majoliki z motywami roślinnymi, nad którym wisiał olejny portret Stalina. Po co umówili się z nim w takim miejscu? Mógł się tego domyślać.

Wreszcie pojawił się dyżurny oficer. Był dowódcą artylerii, ulubionej formacji armii radzieckiej. Spoglądał na Elíasa z nieskrywaną nieufnością. Rozejrzał się po salonie i na jego twarzy odmalowała się satysfakcja. Przypominał rachityczne drzewko, wysokie i cienkie, jego palce poruszały się niczym poskręcane gałęzie o niebieskich żyłkach.

Dwie minuty później do pokoju wszedł człowieczek, ubrany po cywilnemu w skromny, ciemny garnitur o zachodnim kroju. Jego okrągła głowa była niemal łyśa, zostało mu jedynie trochę kręconych włosów poniżej ciemienia. Miał sympatyczne niebieskie oczy, którymi zerkał znad okrągłych szkieł okularów. Przez kilka sekund przyglądał się Elíasowi z przyjaznym, opiekuńczym wyrazem twarzy, zupełnie inaczej niż oficer artylerii. Nie trzeba było wiedzieć, kim jest, by się domyślić, że posiada ogromną władzę. Wystarczyło zobaczyć wyprostowaną, sztywną sylwetkę oficera, kiedy mu zasalutował, zanim opuścił salę wojskowym krokiem.

– Wszystko w porządku, towarzyszu komisarzu.

Tym człowieczkiem o wyglądzie szarego urzędnika był Ławrientij Pawłowicz Beria, ludowy komisarz spraw wewnętrznych albo po prostu szef NKWD, policji politycznej ZSRR. Gruzin, podobnie jak jego umiłowany Stalin. Mówiono o nim „pacyfikator z Tbilisi”. Tam ugruntował swoją sławę oczyszczacza partii, usuwając i zabijając elementy wrogie doktrynie Stalina. Nadzorował policję, celników, władze więzienne, obozy pracy przymusowej i siły bezpieczeństwa. Ponadto z racji zbliżającej się wojny dostał do dyspozycji wojsko, złożone z jednostek sił lądowych, artylerii i lotnictwa. Kontrolował również – i z tego powodu spotykał się z Elíasem – wszystkie instytucje szpiegowskie oraz tajną policję. *De facto* był drugą osobą po Stalinie mającą wówczas największą władzę w ZSRR. Nie wydawało się, żeby którakolwiek z tych funkcji mu ciążyła – nic nie burzyło malującego się na jego twarzy spokoju.

Wskazał Elíasowi krzesło i wytworną francuszczyznę zapytał go o podróż.

Poza francuskim władał biegle niemieckim i angielskim. Sumitował się, że niestety jego hiszpański pozostawia wiele do życzenia. Zainteresował się Esperanzą, znał jej prawdziwe imię i przeszłość – szczegóły, o których nie wiedział nawet Elías. Obiecał, że zadba o jej bezpieczeństwo, i zapewnił, że wkrótce będą razem. Elías wiedział, że kłamie. Minie dużo czasu, być może kilka lat, zanim znów zobaczy żonę.

– Zakładam, że rozumiecie sytuację.

Elías skinął głową, nie miał nic do dodania. Tego właśnie od niego oczekiwano. Beria przeszył go spojrzeniem. Należał do ludzi, którzy szukają niewidocznych pęknięć na gładkiej powierzchni kamienia.

– Wiele się zmieniło od trzydziestego czwartego roku. Moi poprzednicy inaczej patrzyli na niektóre sprawy.

Były to zawołowane przeprosiny za to, przez co Elías przeszedł na Nazino. Miesiące oczekiwania pozwoliły Hiszpanowi wyrobić sobie opinię o zmianach, o których mówił Beria. Pierwszym zadaniem, którego podjął się Gruzin, była czystka w samym NKWD, dawnym OGPU. Jagoda, Berman i ich siepacze z GUŁagu padli ofiarą własnych metod. Beria starał się uzmysłwić Elíasowi, że należy zmienić mentalność tajnych służb. Nie chodzi już o pospieszne egzekucje ani o aresztowania pod byle pretekstem, co w 1933 roku spotkało jego i tysiące innych obywateli.

– Nowe czasy wymagają pragmatyzmu, należy obserwować, zrozumieć, zanim przystąpi się do działania. Naturalnie nie wyklucza to stanowczości, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Naturalnie. To słowo było jak nóż przecinający zasłonę niewinności. Elías wiedział, że policja Berii jest straszliwą, wszechobecną bronią, która celnie uderza wrogów tam, gdzie najbardziej boli. Wywiad i kontrwywiad były sektorami wymagającymi największych zmian, zgodnych z duchem nowych czasów.

– Wojna z Hitlerem to pewnik, którego już nikt nie poddaje pod dyskusję – stwierdził ów mężczyzna, który mógłby być bibliotekarzem, kolekcjonerem znaczków czy wypychaczem zwierząt. – Oczywiście przegra – dodał z uśmiechem. – Naszym asem w rękawie zawsze był ogromny obszar Rosji. Począwszy od szwedzkich czy napoleońskich najazdów, pogoda zawsze działa na naszą korzyść, niemniej jednak musimy wykonać naszą część roboty. Moim zdaniem Niemcy zaatakują wiosną albo na początku lata. Powinniśmy spowalniać ich marsz tak długo, jak będzie to możliwe, do czasu nadejścia

zimy. Potem zacznie się odwilż, a wtedy ich zmechanizowana wojna, która zaskoczyła świat, „wojna błyskawiczna”, jak określają ją naziści, okaże się nieskuteczna. Potrzebujemy osób obeznanych z nowoczesną wojną i służbami wywiadu. Tutaj wkraczą ludzie tacy jak wy, towarzyszu. Niewielu agentów może się z wami równać pod względem doświadczenia, wasi przełożeni bardzo pozytywnie ocenili waszą pracę w SIM-ie i w Argelès. Jesteście zdyscyplinowani, skuteczni, zimni. Tego właśnie szukam u pracowników naszych nowych służb.

Beria wstał, uznając spotkanie za zakończone. Elías Gil poszedł w jego ślady, czekając na ostatnie słowo nowego szefa.

– Wszyscy ludzie mają serca, stanowi to pewną przeszkodę, ale nic na to nie poradzimy. Może stawiamy służbę ideałom ponad emocjami dlatego, że tak musi być, ale nie sposób zaprzeczyć, że uczucia pozostają, przeżerając naszą determinację.

Była to ewidentna pogroźka. Wypowiedziana bez grymasu, łagodnym tonem. Ale Beria go ostrzegął.

– Wiem, że nigdy nie zapomnicie o tym, co wydarzyło się na Nazino, i rozumiem waszą frustrację.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu komisarzu, moja lojalność nie ulega najmniejszej wątpliwości, myślę, że udowodniłem to już z nawiązką.

Beria nieporuszony skinął głową.

– Słyszałem, że jakiś hiszpański policjant przyjechał po was do Argelès, ale nie zostaliście zatrzymani. Dlaczego?

– Nie rozpoznał mnie.

Beria zmarszczył swoje wąskie usta i pogładził dłonią poręcz kanapy.

– Nie rozpoznał was... Wy za to rozpoznaliście jego. Ramón Alcázar Suñer jest waszym przyjacielem z dzieciństwa. To wy sprawowaliście nad nim dozór w Barcelonie. W jakiś tajemniczy sposób zdołał uciec razem z żoną i synem.

Beria uśmiechnął się na widok bladej twarzy Elíasa. Lubił, kiedy ludzie od pierwszej chwili rozumieli, że nikt nie może mu się wymknąć. Wiedział wszystko, to był jego as w rękawie.

– Stworzyliście w obozie w Argelès porządną infrastrukturę, wielu towarzyszy jest wam za to wdzięcznych, ocaliliście życie dużej liczbie osób. Ale doszły mnie słuchy o poćwiartowanych Senegalczykach, pobiciach i morderstwach, które nie zostały zlecone przez partię. Ta sprawa z Tristánem

to był poważny błąd. Pracował dla nas, wiedzieliście o tym?

Elías otworzył usta ze zdziwienia.

– Otrzymałem czerwoną kartkę z jego nazwiskiem. Współpracował ze strażnikami i...

– ...i sypiał z jednym z nich, wiem o tym. Pierre i te jego czerwone karteczki... Zajmiemy się *piekarzem*, kiedy nadejdzie stosowny moment. Problem w tym, że podejmowaliście decyzje na własną rękę. W obecnych okolicznościach to nie do przyjęcia. Już nie.

Elías zadał sobie pytanie, co teraz. Może kazali mu wrócić tylko po to, żeby go rozstrzelać. Może takie były zamiary Berii, ale z jakichś powodów nie mógł ich zrealizować.

– Co oznacza dla was lojalność, towarzyszu? – zapytał go komisarz. Było to przewrotne pytanie, jedna z tych zabaw na krawędzi przepaści, które tak lubił Beria, partia szachów, gdzie szach mat oznacza strzał w tył głowy.

– Podporządkowanie osobistych emocji racjom ogółu – odparł bez wahania Elías.

Odpowiedź spodobała się Berii, bo była szczerą. Wiedział, kiedy ludzie kłamią, na tym polegała jego praca. A mimo to nadal miał wątpliwości. Dlatego postanowił, że zanim zdecyduje, co dalej zrobić z tym porucznikiem SIM-u, o którym wszyscy wyrażali się w superlatywach, przymykając oczy na jego niezdyscyplinowanie i nieposłuszeństwo, podda go próbie.

– Ze wszystkimi tego konsekwencjami?

– Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Beria podszedł do stojącego na komodzie telefonu, wydał krótki rozkaz i odłożył słuchawkę, spoglądając na Elíasę z niewinnym uśmiechem.

Dwie minuty później w drzwiach stanął elegancko ubrany młody mężczyzna, przypominający amerykańskiego przedsiębiorcę z Kalifornii, opalony, z uśmiechem od ucha do ucha. Miał na sobie dopasowany garnitur w prążki i kamasze. Spinki do mankietów, zegarek i szpilka w krawacie były ze złota. Wyglądał jak mafioso w okresie prosperity. I faktycznie nim był.

– Witaj, Elíasie. Dobrze ci w tej opasce na oku.

Igor Stern nie stracił ani krzty z dawnej arogancji. Wręcz przeciwnie, wzrosła wykładniczo, najwyraźniej proporcjonalnie do jego majątku.

– Wygląda na to, że będziemy grali w jednej drużynie.

Elías poszukał wzrokiem Berii, domagając się wyjaśnień. Komisarz obserwował jego reakcję na pojawienie się niespodziewanego gościa.

Następnie poinformował:

– Towarzysz Stern z entuzjazmem uczestniczy w wysiłku wojennym naszej ojczyzny. Jego usługi są bardzo cenne dla Armii Czerwonej, zaopatruje nas w pewne niezbędne materiały, które muszą dyskretnie dotrzeć do naszych granic. Towarzysz Mołotow darzy go dużym szacunkiem. Czy to w jakiś sposób łamie waszą lojalność?

Minęło dużo czasu. Igor nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmieniły się jego losy, od kiedy w 1935 roku otworzyły się drzwi celi i zobaczył wysokie, zabłocone buty i płaszcz ociekający wodą, która zbierała się na cementowej podłodze. W twarz zaświeciła mu latarka.

– Wstawaj!

Myślał, że tym razem naprawdę go rozstrzelają. Minął ponad rok od jego ucieczki z Nazino i osiem miesięcy, odkąd wreszcie dopadł Elías i zbiegów ze swojej bandy. Czasami żałował gestu, na jaki się wobec niego zdobył, tego, że darował mu życie, własnej słabości. Podobnie jak tego, że nie upewnił się, czy ten pedał Martin jest równie martwy jak jego towarzysz Michael. Był jednak zbyt pewny siebie, ogarnęła go euforia. Wygrał: płaszcz Elías dymił w kominku, a dziewczynka, Anna, należała do niego.

Powinien był spełnić groźbę, którą rzucił Elíasowi, pozwolić, żeby jego ludzie ją zgwałcili, a potem ją poćwiartować. Ale tak nie zrobił i tego także żałował. Kiedy patrol zatrzymał go w pobliżu Uralu, dowody świadczyły przeciwko niemu. Gdy rudzielec doszedł do siebie, złożył obciążające go zeznania – opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło, o aktach kanibalizmu, o zaprowadzonym przez Igora terrorze. Jediną dobrą rzeczą, którą dało się powiedzieć o tym przeklętym Angliku, było to, że przynajmniej niczego nie wyolbrzymiał ani nie umniejszał. Sąd skazał Sterna na śmierć i odebrał mu Annę.

Tak więc tamtej nocy 1935 roku kolejny raz szykował się, by zakpić ze śmierci i spojrzeć jej w oczy, kiedy otworzyły się drzwi celi i stanął w nich chudy mężczyzna w wojskowym mundurze. Ruszyli korytarzem o łukowatym sklepieniu w stronę otwartych drzwi, które prowadziły na wewnętrzny dziedziniec. Mężczyzna w płaszczu wskazał ręką zachód, widoczne w oddali garaże i szopy. Brama więzienia była otwarta.

– Do zobaczenia, towarzyszu – powiedział, podnosząc głos, żeby

przekrzyczeć gwałtowną nawałnicę, która zalewała dziedziniec z ubitej ziemi i waliła w metalowe dachy niczym armia bębniarzy. Igor spojrział na mur i na budkę strażnika pilnującego wejścia. Mężczyzna – umyślnie lub przypadkiem – patrzył w inną stronę.

– Co to znaczy? – zapytał zaniepokojony Igor.

– To znaczy, że od tej pory będziecie wzorowym Sowietem. Lepiej się pospieszcie. Drzwi, które się otwierają, mogą się także w każdej chwili zamknąć.

Igor znał ludzi wszelkiej maści, żaden z nich nie budził w nim strachu. Jednak ten mężczyzna, który uśmiechał się do niego, patrząc zza mokrych od deszczu okularów, sprawił, że przeszedł go dreszcz.

Nie zważając na kałuże, z walącym sercem szybkim krokiem przeciął dziedziniec; zastanawiał się, czy żołnierz z budki strzeli do niego, czy nie.

Nie strzelił.

Przez niemal rok Igor myślał, że jest wolny. Mógł się udać, dokąd chciał, mógł kraść, gwałcić, mordować. Za każdym razem, kiedy policja deptała mu po piętach, ktoś poluźniał sznur zaciskający się wokół jego szyi. Wiedział, kto to taki; wiedział też, że wcześniej czy później zażąda spłaty długu. Zrobił to pewnej nocy na komisariacie w okolicach Leningradu. Stern został zatrzymany, chociaż tym razem niczym sobie na to nie zasłużył; policjanci przyszli po niego i zaprowadzili go do tego mężczyzny, Berii.

– Już się wyszalałeś, czas, żebyś wziął się do pracy.

Igor zaczął jako członek podlegającej Berii grupki donosicieli i informatorów. Zazwyczaj kontaktował się z pomocnikiem Gruzina, Diekanozowem, mężczyzną o mrocznym poczuciu humoru, przeciwnikiem półśrodków. Doskonale się z nim rozumiał. Czasami jednak wzywał go do siebie sam Beria.

Stopniowo przybywało mu obowiązków, aż wreszcie dwa lata później nadeszła jego chwila. Porozumienie, jakie zawarli, było proste: Igor będzie miał wolną rękę, jeśli chodzi o czarny rynek i stworzenie siatki przemytników szmuglujących wszelakie nielegalne towary, ale pod warunkiem, że znaczna ich część zostanie przeznaczona na użytek NKWD (w tym samego Diekanozowa i Berii). Kiedy zajdzie potrzeba, będzie przerzucał innego rodzaju rzeczy, ukrywając je pośród tradycyjnych towarów: ciężką broń, prototypy silników niemieckich samolotów, minerały takie jak wolfram, eksperymentalne materiały wybuchowe. Czasami musiał kryć agentów NKWD,

przewożąc ich potajemnie do Polski, Finlandii, Francji, Anglii czy Niemiec jako mafiosów ze swojej szajki. Kiedy indziej żądano od niego, żeby sam był wtyczką, przenikał do lokalnych siatek przestępczych, żeby uzyskać informacje na temat słabości polityków, wojskowych czy wpływowych obywateli zagranicznych mocarstw. Ludzie Berii wykorzystywali je potem do szantażu i zdobywania informacji znacznie cenniejszych.

Igora bawiła ta ryzykowna gra bez ograniczeń, to balansowanie na krawędzi przepaści. Wiedział, że Beria pozbędzie się go, gdy tylko przestanie mu być potrzebny. Tak więc w ciągu tych lat jego praca polegała na byciu niezbędnym za wszelką cenę. Kiedy zaczęła się wielka czystka, która doprowadziła do usunięcia Jagody i Bermana, a Beria został awansowany na stanowisko szefa NKWD, drzwi do przyszłości otworzyły się przed Igorem na oścież.

Teraz był bogatym, uznanym przedsiębiorcą, tolerowanym przez partię, która przymykała oko na jego megalomanię. Część interesów, które prowadził, miała legalną przykrywkę – dostarczał wojsku wyposażenia. Zarabiał w dolarach i niemieckich markach, które trzymał w szwajcarskich bankach. Zdobył kontakty pośród wysoko postawionych osób w kraju i za granicą, miał dostęp do większości ambasad, do osobistości ze świata kultury, do inteligencji. Stał się bardziej wyrafinowany, upodobanie do muzyki, teatru i salonów uczyniło z niego kogoś, po kim niemal nie sposób było poznać, że jest synem żydowskiego furmana. Życie wreszcie się do niego uśmiechnęło – jedyne, co musiał robić, to nadal być niezbędnym dla tego człowieczka. Miał dwadzieścia siedem lat i znajdował się na szczycie świata.

I z tego szczytu spoglądał teraz na Elíasa Gila. On także zmienił się w ciągu tych sześciu lat, jego obecność w gabinecie Berii wskazywała, w jakim poszedł kierunku. Elías stał się urzędnikiem na usługach tych, którzy zesłali go na Nazino. Igor Stern był ciekaw, co zaoferowali mu w zamian.

Beria zadał Elíasowi pytanie i czekał na odpowiedź. Stern także. Być może w głębi duszy obaj liczyli na to, że odmówi współpracy z człowiekiem, który był sprawcą jego nieszczęścia. Jednak się pomylili.

– Moja lojalność wobec partii i narodu sowieckiego jest niezłomna, towarzyszu. Mogę pracować ze Sternem, jeżeli ma się to przysłużyć naszej sprawie.

– Przysłuży się, jestem tego pewien – powiedział komisarz NKWD, uznając spotkanie za zakończone.

Dwa dni później przed skromnym blokiem, w którym mieszkał Elías, zatrzymał się samochód. Wysiedli z niego mężczyzna i mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka. Świadkowie, zdumieni pojawieniem się w ubogiej dzielnicy tak eleganckiej pary, opowiadali potem, że dziewczynka wyglądała jak anioł, ubrana w grube futro i kapelusik, spod którego wystawały wdzięczne, złote loki. Jej spojrzenie i postawa były niemal tak samo aroganckie, jak mężczyzny, który prowadził ją za rękę. Dziewczynką była Anna Achmatowa, a jej opiekunem – Igor Stern.

– Chciałem, żebyś ją zobaczył.

Elías stał na środku pokoju, spoglądając na Annę, już niemal w niczym nieprzypominającą dziewczynki, którą pozostawił na pastwę Igora. Stern chciał, żeby podziwiał jego dzieło, to, co z nią zrobił, jak powoli kształtował ją na swój obraz i podobieństwo.

– Kim jest ten pan, tatusiu? – zapytała Anna Igora, przytulając się do jego nogi. Ten zwrot zabolął Elíasa, Sternowi zaś sprawił satysfakcję. Dziewczynka przejęła od Igora analityczne spojrzenie i instynkt, który wymagał jeszcze rozwinięcia, ale sprawiał, że pozwalała się kochać temu mężczyźnie czule głaszczącemu ją po jasnych włosach.

– Przyjrzyj mu się dobrze, Anno, i zapamiętaj jego twarz: to człowiek, który zabił twoją mamę. Pozwolił, żeby utopiła się w rzece Nazino, by ocalić swoje nędzne życie. Ciebie też na pewno zabiłby bez wahania.

Dziewczynka nie była w stanie pojąć tych słów ani ich prawdziwego znaczenia, ale dzięki przenikliwości, jaką posiadają zwierzęta umiające przystosować się do nowych warunków, zrozumiała, że powinna spojrzeć na tego nieznanego z nienawiścią i odrazą. Wypadło to niezwykle przekonująco.

– Zaczekaj na mnie w samochodzie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Anna ostatni raz spojrzała na Elíasa. Za mgłą jej wyuczonych gestów dostrzegł pęknięcie, które przypomniało mu jej matkę. Coś w środku mówiło mu, że któregoś dnia odziedziczona po Irinie dusza zbuntuje się przeciwko pancerzowi, w którym zamknął ją Igor. Uczepił się tej nikłej nadziei.

– Ostatecznie jej nie zjadłem.

Miał to być tylko uszczypliwy komentarz, jego znaczenie było jednak znacznie głębsze.

– Beria wie, kim ona jest?

Igor otworzył srebrną papierośnicę, wyciągnął amerykańskiego papierosa

i postukał nim o wieczko. Wszystko w nim stało się bardzo wyrafinowane, jednak pod tą maską wymuszonego ucywilizowania wciąż krył się wygłodniały wilk, który być może tęsknił za nocnymi tułaczkami.

– Beria wie, ile razy dziennie sra każdy chłop w tym kraju. Dopóki będą napływać dewizy i towary, nic więcej go nie obchodzi. Ten człowieczek o twarzy prostaka mógłby bez zmruczenia oka połknąć nas obu za jednym zamachem. Na tym polega prawdziwa władza.

I tego właśnie pragnął Igor. Rozbudziły się w nim ambicje znacznie większe niż te, które żywił do tej pory; dostrzegł błysk tego nienamacalnego dobra i nie zamierzał pozwolić mu się wymknąć. Elías widział to w jego spojrzeniu. Niepowodzenia przygniatają niektórych ludzi, innym zaś dodają sił. Igor należał do tych drugich, był gotów negocjować z Rosjanami, z Niemcami, z Anglikami albo z samym diabłem, jeżeli tylko mógł na tym skorzystać.

– Czego chcesz?

Stern zapalił papierosa i pokręcił głową.

– Wszystkiego?

„Chcę ciebie – mówiło jego rozwścieczone spojrzenie. – Tego, czego nie da się kupić ani sprzedać za pieniądze. Chcę twojego szacunku, a skoro nie mogę go mieć, chcę twojego poddania i strachu”.

Po sześciu długich latach wciąż toczyli tę samą walkę, tyle że w innej scenarii.

– Istnieje możliwość, żebyśmy zostali przyjaciółmi? Nie proszę cię, żebyś darzył mnie uwielbieniem, powiedzmy, że chcę jakiegoś dowodu na to, że zostawiliśmy przeszłość za sobą.

– Przed chwilą powiedziałeś tej dziewczynce, że zabiłem jej matkę.

– A nie zabiłeś? Brzmi to strasznie właśnie dlatego, że to prawda. Zrobiliśmy, co musieliśmy zrobić, żeby przeżyć. Jak teraz. Zapewniam cię, że kiedy to wszystko się skończy, zostaniemy bardzo surowo osądzeni. Twoje dzieci i wnuki będą wytykały cię palcami, nazwą dzikusiem i mordercą. Wiem, że moje będą o mnie mówić jeszcze gorsze rzeczy. I będą miały rację, tyle że żadne z nich nigdy nie znajdzie się tutaj ani na Nazino. Sędziowie zawsze osądzają zza swojego stołu. Przy odrobinie fartu, jeśli wyciągniesz szczęśliwy los, napiszą o tobie, że byłeś bohaterem rewolucji, oddanym sprawie, odważnym idealistą. Mnie osobiście głównie obchodzi pośmiertna sława, ale może dla ciebie ma to znaczenie.

Elías milczał. Igor zawsze za dużo mówił, jakby chciał stworzyć się za

pomocą słów i zanegować oczywistość swoich czynów. Był nędznikiem. Nikim więcej.

– Ty i ja możemy zostać przyjaciółmi jedynie wtedy, kiedy niebo stopi się z ziemią. Nie obchodzi mnie, jaki układ zawarłeś z Berią ani jak doszedłeś do tego, co masz. Wiedz jedno: oko, które mi zabrałeś, będzie cię ścigać i dosięgnie cię bez względu na to, jak wysoko się wdrapiesz. Któregoś dnia, teraz albo za sto lat, własnymi rękami oderwę ci głowę.

Wbrew temu, czego ostatnio nauczył się Igor, fasada opanowania runęła zbyt szybko; porażka jego pozornego spokoju stała się ewidentna. Zacisnął pięści i z sarkazmem wskazał głową drzwi, w których zniknęła Anna po tym, jak nazwała go „tatusiem”.

– Wciąż jestem głodny i nadal mam moją zdobycz. Nie zapominaj o tym.

Na początku następnego miesiąca Elías został oddelegowany jako wojskowy do Wyższej Szkoły Wywiadu w Moskwie, zwanej potocznie Akademią. Studenci, rekrutowani spośród absolwentów szkół policyjnych, którzy zostali uznani za nadających się do pracy w wywiadzie, uczęszczali na zajęcia z polityki ogólnej prowadzone przez komisarzy politycznych. Ich program – poza indoktrynacją – obejmował elementy dziejów partii komunistycznej. Przede wszystkim jednak uczono tam operowania informacją, wyłapywania potencjalnych agentów, taktyk wywiadu i kontrwywiadu, sporządzania zaszyfrowanych raportów i pracy w terenie. Opuszczali szkołę w stopniu kapitana albo lejtnanta NKWD.

Jednym z instruktorów był Wasilij Wieliczko. Od czasu pracy w akademii lotniczej w Tuszynie awansował – nie zostało już ani śladu po nieopierzonym młodzieńcu, który w 1934 roku przedstawił wdowie po Leninie i sekretarzowi Komunistycznej Partii Hiszpanii José DÍazowi raport dotyczący tego, co wydarzyło się na Nazino. Teraz był pułkownikiem sił powietrznych; przedwcześnie posiwiałe włosy i gęsta broda dodawały mu lat, choć skończył dopiero dwadzieścia cztery. Były to czasy młodych starców, dla których życie prywatne nie istniało ani nie miało znaczenia.

Wieliczko zręcznie unikał kolejnych czystek w służbach bezpieczeństwa, mimo że po sporządzeniu raportu, który trafił w ręce samego Stalina, narobił sobie poważnych wrogów. Mówiono, że chroni go wuj, szef IV oddziału Sztabu Generalnego (służb wywiadowczych, w których czystki dokonał

Jeżow), i dlatego nic mu nie grozi. Młody instruktor Wyższej Szkoły Wywiadu odznaczał się nadzwyczajną inteligencją, wykształcił w sobie szczególną intuicję, był świadom swojej misji i wykazywał się niezachwianym patriotyzmem. Połączenie tych cnót czyniło z niego skutecznego i cenionego pracownika Akademii. On marzył jednak o oddelegowaniu do jednostki myśliwców.

Spotkanie z Elíasem szczerze go ucieszyło. Wspominali przeszłość, ale przede wszystkim mówili o przyszłości. Wieliczko wiedział o Sternie i jego ścisłych związkach z władzami.

– Nadchodzą ciężkie czasy, drogi przyjacielu, potrzebujemy takich padlinożerców. Dla nich nie istnieją zasady, które zniewalają innych, i to czyni ich przydatnymi. Znasz sprawę generała Kutiepowa? – Elías przytaknął. Był to jeden ze starych generałów Białej Gwardii, porwany i zamordowany w Paryżu przez OGPU. – Otóż siedem lat później to samo spotkało jego następcę, generała Millera. W dniu, w którym zniknął, w porcie w Hawrze cumował radziecki statek handlowy *Maria Uljanowa*. Samochód należący do naszej ambasady przywiózł ogromny kufer, który w pośpiechu załadowano na pokład. *Maria Uljanowa* podniosła kotwicę kilka minut przed przyjazdem francuskiej policji. Wiesz, co było w tej skrzyni?

Elías się domyślał. Stary generał Miller.

– Tak. Statek i załoga, podobnie jak ludzie, którzy przywieźli kufer, należeli do Igora Sterna. Nawet gdyby francuska policja udaremniła całą akcję, nie mogłaby formalnie oskarżyć naszych służb wywiadowczych. Winą obciążono by Sterna. Dużo bierze, ale warto mu płacić. Tak wygląda teraz rzeczywistość, Elíasie. Kiedy ty walczyłeś w Hiszpanii i Francji, Stern także nie siedział z założonymi rękami. Stał się bardzo ważną postacią.

– Widziałem Annę. Igor przyprowadził ją do mnie, żebym osobiście usłyszał, jak nazywa go tatą.

Wieliczko przymknął oczy, z zaciśniętymi szczękami przeżuwał jakąś gorzką myśl.

– Cztery pierwsze lata spędziła w sierocińcu na obrzeżach Kijowa. Nie było to przyjemne miejsce. Udało mi się jednak ją odnaleźć i zadbałem, żeby niczego jej nie brakowało. To fantastyczna dziewczynka. – Oczy Wasilija zapłonęły. – Radosna, inteligentna, żywa i bardzo otwarta. Odwiedzałem ją jako starszy brat, czasami wynajmowałem mieszkanie i wyciągałem ją na kilka dni z tego straszego miejsca, spacerowaliśmy po lesie, jeździliśmy na

łyżwach po jeziorze... Nawet moja uparta matka bardzo ją polubiła. Któregoś dnia dowiedziałem się, że Igor złożył wniosek o uznanie jego ojcostwa. Sfałszował dokumenty; nie mam wątpliwości, że dostał błogosławieństwo od Berii w charakterze upominku za porwanie Millera. Co jakiś czas udaje mi się z nią spotkać. Dorasta bardzo szybko, ma świadomość, jakiego rodzaju człowiekiem jest Igor, ale rozumie, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko udawać, że go kocha. Rok temu wezwał mnie patrol policji. Znalazł ją samą na dworcu w Moskwie. Anna podała im moje nazwisko. Uciekła z daczy, gdzie więzi ją Igor. Dasz wiarę? Dziewięcioletnia dziewczynka sama w Moskwie! Władze nie chciały mnie słuchać. Igor po nią przyjechał i musiałem ją oddać. Wiem, jakie odniosłeś wrażenie. Niemniej jednak Anna jest godną córką Iriny Achmatowej. Odwiedzam ją, kiedy tylko mogę, zwłaszcza gdy nie ma Igora, dużo rozmawiamy i staram się wzbudzić w niej nadzieję. Teraz jednak nadciąga wojna, nie ma czasu na sentymentalizm ani osobiste sprawy. Wszystko zostaje odroczone *sine die*. Musisz to zrozumieć.

Wojna nadeszła punktualnie. Nieuchronnie. Tamtej niedzieli Elías czytał dziennik „Izwestija” z raportem poświęconym szkołom publicznym na pierwszej stronie, kiedy Wasilij Wieliczko wpadł do jego mieszkania, rozgorączkowany i zmieniony na twarzy.

– Niemcy przekroczyli naszą granicę! *Wajna*, Elíasie, *wajna*! – Wojna! Ten okrzyk niczym wyładowanie elektryczne obiegł cały kraj. Był 22 czerwca 1941 roku.

Dwa dni później ogłoszono powszechną mobilizację. Wieliczko zgłosił się na ochotnika i wraz z innymi oficerami sił powietrznych został wysłany na Białoruś. W dniu wyjazdu nie tryskał euforią, świadom powagi sytuacji. Przygotowywał się na tę chwilę przez ostatnie dwa lata i wreszcie wybiła jego godzina.

Długo ściskali się na pożegnanie, obiecali sobie, że niedługo się zobaczą. Na odchodnym Wasilij udzielił Elíasowi ostatniej rady:

– Uważaj na Igora. Teraz będzie bardziej niebezpieczny niż naziści. Chlew to jego naturalne środowisko.

W ciągu kilku tygodni obrona rosyjska została rozgromiona przez oddziały

niemieckie rozmieszczone na froncie o długości trzech tysięcy kilometrów, ciągnącym się z północy na południe. Grupa Armii Północ ruszyła wprost na Leningrad, celem Grupy Środek była Moskwa, podczas gdy Grupa Południe zmierzała z zastraszającą szybkością przez Ukrainę w stronę Kijowa i Charkowa. Ponad trzy miliony ludzi, sześćset pięćdziesiąt tysięcy pojazdów, prawie trzy tysiące czołgów i dwa tysiące samolotów rzuciły się jak szalone na radzieckie jednostki. Tylko w ciągu pierwszego tygodnia inwazji Luftwaffe zniszczyła tysiąc dwieście radzieckich samolotów. Wśród nich była eskadra Wasilija, strącona nad granicą z Polską. Elías przeczytał o tym w komunikacie dowództwa operacyjnego frontu zachodniego, do którego został przydzielony. Dzielny Wieliczko nie miał nawet okazji wypróbować swoich umiejętności jako pilot. Napływające do koszar wojskowych NKWD wiadomości dotyczące sytuacji na froncie leningradzkim były przytłaczające: w pierwszym dniu ataku oddziały niemieckie zapuściły się na ponad czterdzieści kilometrów wzdłuż osi Mińsk–Smoleńsk–Moskwa.

Na froncie ukraińskim podczas bitwy o Kijów do niewoli trafiło ponad sześćset pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, setki tysięcy jeńców zostały wzięte także w Białymstoku, Smoleńsku i Briańsku. Miażdzący efekt, na jakim zależało nazistom, przyniosła propaganda. Jeden z oficerów pokazał Elíasowi egzemplarz nazistowskiej gazety „Signal”, rozprowadzanej pośród żołnierzy państw Osi – w środku znajdowało się zdjęcie słynnego jeńca schwytanego 16 lipca przez oddziały, które otoczyły jego baterię. Przesłanie było jasne: skoro porucznik artylerii 7. korpusu Jakow Dżugaszwili wpadł w szpony Niemców, żaden żołnierz Armii Czerwonej nie może czuć się bezpieczny. Porucznik był synem Stalina.

Elías przeżył wojnę w Hiszpanii, wewnętrzne walki toczone w Barcelonie w 1937 roku, odwrót i francuskie obozy koncentracyjne. Myślał, że po tym wszystkim oraz tym, co widział na Nazino, nic go już nie zaskoczy. Mylił się jednak. Kiedy w październiku NKWD dowiedziało się, że dywizja hiszpańskich ochotników szykuje się do udziału w blokadzie Leningradu jako część niemieckiej Grupy Północ, został natychmiast wysłany na front.

To, co tam zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Nie była to wojna mająca na celu podbój terytoriów czy ich obronę, ale rzeź, w której chodziło nie o pokonanie przeciwnika, lecz o zmiecienie go z powierzchni ziemi. Toczące się bez przerwy walki cechowała zaciekłość, straszliwa nienawiść i bezgraniczne okrucieństwo. Elías przypomniał sobie przepowiednię Berii –

może i Niemcy skapitulowaliby w obliczu bezkresu obszaru, który wchłonał także jego podczas pobytu na Nazino, jednak zanim to się stanie, prawdopodobnie po żadnej ze stron nie ostanie się już ani jeden żywy człowiek.

Sowietnicy stosowali taktykę spalonej ziemi, wycofywali się, równając po drodze z ziemią wsie i miasta, niszcząc szlaki komunikacyjne, paląc plony, zabijając zwierzęta w zagrodach i bydło, którego nie mogli ze sobą zabrać. Polegli żołnierze byli ogołoceni z całego wyposażenia i porzuceni pod całunem lodu. W drodze na front leningradzki Elías oglądał dantejskie, surrealistyczne sceny.

Pośród zmrożonego bezkresu z lodu wyrastał las rąk, jakby martwi wyciągali je do zdradzieckich promieni zimowego słońca. Jakiś pies zamarznął po wpadnięciu do wody, opierał łapy o brzeg, zdoławszy wynurzyć połowę ciała. Na ogromnym obszarze od czasu do czasu ukazywał się czarny, kopcący punkt – zwęglony wiejski dom z murowanym kominem – z którego unosił się dym, jakby w środku jeszcze palił się ogień. Kruki siadały na zamarznętych głowach poległych żołnierzy, dziobały ich oczy, dźgając lód.

Polegli z dywizji hiszpańskich ochotników byli rozpoznawalni dzięki swoim błękitnym koszulom. Mimo że mieli na sobie mundury niemieckiej piechoty, nie chcieli zdjąć falangistowskich koszul. Zaczęto ich nazywać błękitną dywizją. Nie wszyscy byli ochotnikami, ale Elíasa i tak zdziwiło, jak wielu z wziętych do niewoli żołnierzy dobrowolnie zgłosiło się do walki. Studenci uniwersyteccy należący do SEU¹⁹, politycy średniego szczebla, nauczyciele, lekarze, zwłaszcza spośród dowództwa i średniej kadry. Według informacji uzyskanych przez NKWD w sumie było ich osiemnaście tysięcy, podzielonych na trzy pułki, nie licząc saperów, artylerzystów i lotników.

– Co tu robicie, walcząc w tej wojnie, która was nie dotyczy?

Jeniec był sierżantem piechoty. Jego pluton został rozgromiony godzinę wcześniej przez karabin maszynowy kompanii NKWD, w której walczył Elías. Zdumiało go, że wielu spośród rannych było gotowych dalej czołgać się w stronę pozycji obronnych wroga, zostawiając za sobą smugi krwi i flaków. Podczas pierwszej wymiany ognia zginęli niemal wszyscy, mimo to dalej atakowali na otwartym polu, aż zabrakło im żołnierzy.

– W okopach jest zimno. Najlepiej rozgrzać się podczas porządnej walki – odparł sierżant. Kula trafiła go w bok. Dwaj inni jeńcy zareagowali na jego dowcip słabym, zwierzęcym śmiechem.

Nic nie powiedzieli. Wytrzymali tortury, obrzucając wyzwiskami matkę Stalina, a kiedy Elías wycelował z rewolweru w głowę sierżanta, ten podszedł i przyłożył czoło do lufy.

– Niech żyje Hiszpania, pierdolony komuchu!

Elías pociągnął za spust.

Skąd ta nienawiść? – napisał tej nocy do Esperanzy. – Dziś strzeliłem w głowę falangiście. To właśnie sobie powtarzałem, kiedy patrzyłem na jego ciało leżące u moich stóp, skręcone jak bezkształtna masa. Ale tak naprawdę zabiłem trzydziestodwuletniego Rogelia Mirandę, inżyniera chemika z Medellín, jak wskazywała książeczka wojskowa, którą miał przy sobie. Górnik z Mieres strzela w głowę chemikowi z Medellín w miejscu bez znaczenia, naprzeciwko kościoła prawosławnego, którego my bronimy, a który oni atakują, wiele tysięcy kilometrów od naszych domów, od naszego życia. Miał rodzinę, widziałem zdjęcie, które trzymał w portfelu. Dwóch ślicznych chłopców w wieku sześciu czy siedmiu lat. Jego żona jest ładna, ma ciemne włosy i radosny uśmiech. W tym zimnie robi się ciepło na jej widok.

Kto jej powie, że nie żyje? Czy jego synowie dowiedzą się kiedyś, że to ja go zabiłem? Zrozumieją, dlaczego ich ojciec zginął akurat tutaj? Czy my kiedykolwiek to zrozumiemy, Esperanzo? Nazistów dziwi zaciekłość, z jaką ta niepokorna, niezdyscyplinowana dywizja rzuca się na nasze pozycje, a komisarzy z Armii Czerwonej wprawia w zdumienie zajadłość, z jaką odpowiadają hiszpańscy ochotnicy walczący w naszych szeregach, stawiają nas za wzór odwagi, uważają za zaprawionych w bojach żołnierzy. Niczego nie rozumieją, ani Niemcy, ani Sowieci. Sądzą, że walczymy w ich sprawie, ale tak naprawdę bijemy się ze sobą. Nie rozumieją, że wystarczy, by po jednej stronie ktoś krzyknął Belchite, Badajoz albo Toledo²⁰, żeby jedni i drudzy rzucili się do walki niczym wściekłe psy. Widok chorągwi dywizji rozpala naszych bardziej niż swastyka; odkrycie republikańskiej flagi po naszej stronie stanowi wystarczający powód, by z furją na nas natrzeć. Ile szkód wyrządziła nam tamta wojna? Zbyt wiele. Zadaję sobie pytanie, czy kiedykolwiek będziemy w stanie zostawić to za sobą, i odpowiedź przejmuje mnie lękiem.

Uważaj na siebie, jak ja uważam. To się skończy, w ten czy inny

sposób, i znów będziemy razem, obiecuję ci.

Leningrad, 23 grudnia 1941

Twój mąż.

Elías przeczytał list, który napisał w swojej kryjówce przy świetle słabego płomienia lampy oliwnej. W dymiących jeszcze ruinach kościoła drzemali mężczyźni wyczerpani zabijaniem i broniением się przed śmiercią. Rannych ułożono jeden przy drugim w tym, co zostało z prezbiterium. Nie krzyczeli, jedynie poruszali się niespokojnie i od czasu do czasu wydawali z siebie ciche, bezsilne jęki, popłakiwali, błagali swoje matki, swoje narzeczone, swoje dzieci, żeby nie zostawiały ich tej ciemnej, zimnej nocy. Nie chcieli umierać w samotności. Przez rozbite podczas ostrzału okna widać było pole usłane zwłokami, w większości członków dywizji.

Przypominali małe, ciemne pagórki pokrywane się śniegiem. Od czasu do czasu rozlegał się wystrzał z karabinu, widać było towarzyszący mu błysk. To patrol dobijał konających żołnierzy. Nie mogli ich wziąć do niewoli, nie mieli wystarczającej ilości lekarstw, żywności i wody. W oddali, za jeziorem, blask bomb spadających na Leningrad tworzył pirotechniczne widowisko. Huk wybuchów dobiegał do nich jedynie niczym pomruki – oddalającej się? – burzy. Nie słyszeli też krzyków okaleczonych, rannych, umierających.

Ktoś powiedział, że w okopach dywizji śpiewają kolędy. Elías się uśmiechnął. Jego ojciec był ateistą, nigdy nie pozwalał, by świętowali w domu w ten sposób, ale on zawsze zazdrościł kolegom, na przykład Ramónowi, kiedy widział, jak z bębenkami i tamburynami maszerują do kościoła na pasterkę.

Chciałby móc wstać, odłożyć rewolwer i ładownicę, pokonać odległość zaledwie czterystu metrów, które dzieliły ich od linii wroga, usiąść razem z nimi, wspólnie zjeść nugat i poprosić, żeby nauczyli go tych kolęd, których nigdy nie było mu dane poznać. Musiał jednak zadowolić się ciemną nocą pozbawioną gwiazd, które zwiastowałyby jakąś dobrą nowinę czy objawienie.

„A na ziemi pokój ludziom dobrej woli”, napisał ktoś na śniegu. Może na innej ziemi, ale nie na tej. Jedyni ludzie dobrej woli leżeli przysypani śniegiem.

24.

BARCELONA, LISTOPAD 2002 ROKU

Pierwszy kamień przeleciał nad głowami i trafił w jedną z koparek, rozbijając szybę w kabinie. Pięćdziesięciu manifestantów nagrodziło rzut radosnymi okrzykami, przerywając skandowanie haseł przeciwko politykom i rodzinie Gilów. Dom Gonzala był przez ostatnie miesiące niczym twierdza Galów – ostatnią przeszkodą w rozpoczęciu prac budowlanych. Ale zgodnie z tym, co głosiły transparenty, Gonzalo Gil i jego matka ugięli się wobec „interesów kapitalistów”. To hańba dla pamięci komunistycznego bohatera Elíasa Gila. Na imię Gonzala przestano reagować wiwatami i zaczęto obrzucać go obelgami, kiedy tylko jego podpis znalazł się na umowie sprzedaży. Policja użyła wszelkich dostępnych środków, żeby utorować maszynom drogę na obrzeża jeziora. Były pościgi, starcia i bójki.

Agustín González i Alcázar obserwowali to wszystko ze wzgórza niczym rzymski generał i jego centurion analizujący przebieg bitwy ze strategicznego, ale bezpiecznego miejsca.

– Dlaczego za wszelką cenę chcą bronić czegoś, co w rzeczywistości ich nie obchodzi? Połowa z tych ludzi nawet nie mieszka w tej okolicy.

Prawnik wydawał się szczerze zdumiony, nie rozumiał prawdziwych powodów tego zamieszania. Dla niego była to kwestia liczb, ceny za metr kwadratowy, sprawa, która powinna zostać rozstrzygnięta przez adwokatów, notariuszy, urbanistów i miejscowe władze. Ci ludzie stanowili przeszkodę, coś niepojętego, co wciskało się w doskonały mechanizm obmyślonego planu.

Alcázar patrzył na to mniej pragmatycznie. Krajobraz, który przypominał mu mgliście pejzaż z jego młodości, miał zniknąć. Nie popadał z tego powodu w nostalgię czy sentymentalizm, ale rozumiał manifestantów – uważali, że odbiera się im coś, co do nich należy, coś, co przywłaszczyła sobie grupa spekulantów. Mieli rację.

– Każdy wybiera swoją wojnę – powiedział lakonicznie.

– W takim razie ci wybrali taką, której nie wygrają.

Alcázar pomyślał, że to nie do końca tak. Nie chodziło o zwycięstwo, ale o sprzeciw, o obronę aż do końca czegoś, co uważa się za słuszne, o ulżenie własnemu sumieniu. Za kilka lat, jeżeli jezioro i jego otoczenie przestaną istnieć, niektórzy z tych manifestantów odwiedzą pole golfowe, przespacerują się pomiędzy luksusowymi domami i wytłumaczają swoim dzieciom, jak dawniej wyglądało to miejsce, z nieuzasadnioną dumą opowiedzą im, jak dostali pałką za to, że próbowali go bronić. I może ich dzieci będą z nich dumne, kto wie, może w ich sercach zagnieździ się pragnienie, by naśladować buntowniczość swoich rodziców.

Tak właśnie posuwa się naprzód świat, powoli, dzięki drobnym gestom, heroicznym i jałowym. Z pokolenia na pokolenie.

– Wygląda na to, że wreszcie wszystko idzie zgodnie z planem, i tylko to się liczy – skwitował Agustín González, strzepując pył z płaszcza. W listopadzie gwałtownie spadła temperatura. Wkrótce w górach pojawi się śnieg. Przy odrobinie szczęścia uda im się otworzyć kompleks za jakieś dwa lata, pomyślał, dmuchając dla rozgrzewki w czubki palców.

Alcázar nie był takim optymistą. Nadal nie mógł znaleźć Siaki, a prokuratura nie wstrzymała postępowania, choć Gonzalo wywiązał się ze swojej części umowy i zrezygnował z roli oskarżyciela posiłkowego w procesie przeciwko Matrioszcze. Do biura prokuratora nadal napływały informacje uzyskane z laptopa Laury. Agustín González nie wydawał się tym jednak szczególnie zaniepokojony.

– Bez zeznań tego świadka złożonych podczas ustnego przesłuchania niczego na nas nie mają. Dowody z dokumentów stanowią materiał poszlakowy – nie zostały porównane z oryginałami i nie zostaną, bo te nie istnieją, już o to zadbałem. To słowo martwej, niezrównoważonej morderczyni ze skłonnościami do depresji i uzależnionej od narkotyków przeciwko naszemu słowu.

Słyszając, jak deptana jest pamięć Laury, Alcázar poczuł ukłucie wstrętu. On sam pomógł ją zdyskredytować, aż stała się nie do rozpoznania.

– Mają dużo danych. Pojawiły się wykazy wypłat, na których figurują nasze nazwiska. Osoba, która zabrała laptop, wyraźnie chce nas dopaść.

Agustín González wcisnął głowę w podniesiony kołnierz płaszcza, spoglądając z pogardą na to, co działo się kilka metrów dalej. Policja

utorowała drogę koparkom, które nieubłagane posuwały się naprzód.

– Spokojnie, to ślepe naboje, wiem, jak poruszać się po tym terenie. Lepiej zajmij się tym świadkiem. Musisz go znaleźć i upewnić się, że nie będzie zeznawał.

– A co z Gonzalem?

Wyraz twarzy Agustína Gonzáleza nieznacznie się zmienił. Żeby zaradzić nieszczęściu, jakie spotkało jego wnuka, musiał się uciec do wszelkich dostępnych środków i wykorzystać znaczą część wpływów, jakie jeszcze posiadał. Ale w końcu dzięki pomocy Alcázara udało się wszystko załatwić. Carlos okazał się zawodowym naciągaczem, ponad dwadzieścia razy składano na niego doniesienia za oszustwa i drobniejsze wykroczenia. Policja i sędziowie dobrze go znali i nie czuli cienia sympatii do tej pijawki. Bez trudu znaleźli wyrozumiałego sędziego, który na podstawie dowodów dostarczonych przez kolegów byłego inspektora przyjął wersję obrony koniecznej. Carlos szantażował Javiera, czego dowiedziono za pomocą niektórych ze zdjęć zachowanych przez ofiarę (tych nielicznych, na których wnuk Agustína nie miał rozanielonej miny). Javier nie chciał mu już dłużej płacić i zagroził, że pójdzie na policję, Carlos próbował postraszyć go rewolwerem, doszło do szarpaniny, w której Carlos zginął, a Javier został ranny.

Tej tezy powinni bronić, choć należało ją jeszcze wygładzić i dopiąć ostatnie szczegóły. Kiedy Javier będzie w stanie zeznawać, Agustín pouczy go, żeby trzymał się właśnie tej wersji wydarzeń. Stanie się obiektem kpin, kiedy ujawni publicznie swój homoseksualizm, ale to nie żadne przestępstwo, choć dziadek uważał jego skłonności za odrażające. Lola nie zostanie wspomniana ani słowem. To, co myślał o niej Agustín, wrażenie, że poniósł porażkę jako ojciec, nie miało teraz znaczenia. Była jego córką i zrobi wszystko, by ją chronić.

Cała ta dramatyczna sytuacja w pewnym sensie mu się przysłużyła, i to w dwojaki sposób. Koniec końców okazało się, że Gonzalo wcale nie jest takim tchórzem, za jakiego zawsze go uważał. Wszystkie jego skrupuły prawnika-dobroczyńcy zniknęły w obliczu perspektywy, że jego syn trafi do więzienia, a jego rodzina zostanie zniszczona. Skłamał bez wahania, że przeczuwał, iż ktoś szantażuje jego syna, i że Carlos potwierdził to podejrzenie, kiedy zażądał pieniędzy również od niego. Zataił udział Loli w całej sprawie. Bez szemrania poddał się woli Agustína jak posłuszna

owieczka i udowodnił, że ma nerwy ze stali. Zważywszy na okoliczności, jego prawdopodobny rozwód z Lolą byłby dla Agustína gorzkim zwycięstwem – w ostatecznym rozrachunku zięć wykazał znacznie więcej godności niż jego córka.

W ciągu tygodni, które Javier spędził w szpitalu, Agustín i Gonzalo starali się unikać, robili to jednak w uprzejmy sposób, jakby zawiesili własne interesy do czasu, aż chłopiec wróci do zdrowia. Któregoś dnia Gonzalo pojawił się w kancelarii teścia.

– Jak myślisz, kiedy możemy przeprowadzić fuzję? – zapytał, jakby podejmował rozmowę przerwana dzień wcześniej. W rękę trzymał podpisaną umowę sprzedaży działki nad jeziorem.

Wolałbym zwyciężyć inaczej, pomyślał Agustín, idąc w stronę samochodu, podczas gdy buldożery zaczynały pracę mimo protestów manifestantów. Jednak zwycięstwo to zawsze zwycięstwo i tylko to się liczy.

Samochód Alcázara stał zaparkowany obok auta Agustína. Pożegnali się uściskiem dłoni. Inspektor musiał coś pilnie sprawdzić.

Ledwo pamiętał ten dom. Przed tamtą nocą był tu tylko dwa razy. Elías nie pozwolił mu nigdy przekroczyć furtki. W jego wspomnieniach budynek wyglądał mniej więcej tak jak teraz. Był może nieco przytulniejszy. Laura stała przy studni na końcu ogrodu. Miała wtedy jakieś trzynaście, czternaście lat. Alcázar ledwo zwrócił na nią uwagę. Pamiętał, że Gonzalo biegał boso i bez koszulki – worek kości z odstającymi uszami i głową ogoloną na łyso, jak strzyżono wówczas dzieci, żeby pozbyć się wszy.

– To musiało być tutaj. Tutaj wydarzyło się pierwszy raz.

Studnia była wyschnięta, zamknięta kamienną płytą, którą z trudem zdołał przesunąć. Na dnie wyrosło białawe zielsko, które plątało się z korzeniami wystającymi z pokrytych pleśnią ceglanych boków. Alcázar podniósł z ziemi kamyczek i patrzył, jak spada, odbijając się od ścian. Taki sam cichy dźwięk musiało wydawać ciało Gonzala, kiedy siostra spuszczała go na linie. Ile godzin spędził ukryty w studni, stojąc po pas w wodzie i umierając ze strachu? W noc świętojańską 1967 roku, kiedy inspektor wreszcie wyciągnął z Laury prawdę, powiedziała, że nie wie. Była przerażona.

Dzień zaczął się prawdopodobnie jak wszystkie inne. Laura spała w swoim ciasnym pokoiku, przytulona do Gonzala, którego obudził jeden z tych jego

koszmarów, więc przybiegł schronić się w jej ramionach. Zza ściany dobiegało chrapanie ojca. Nie słyszała matki, ale wiedziała, że otwiera oczy, zanim za oknem zrobi się widno. Esperanza przemknęła przed pokojem córki szybko jak bryza; bez słowa, nie wykonując żadnego zbędnego ruchu, zeszła po schodach i rozgarnęła żar w palenisku. Laura ubrała się bezszelestnie, żeby nie obudzić Gonzala. Na jej widok Esperanza przekrzywiła głowę i obdarzyła ją smutnym, porozumiewawczym uśmiechem. Dzieliły ten sam los. Jakby nie wiedziała tego, o czym wiedziała. Udawała, że nie dostrzega jej oczu spuchniętych po przepłakanej nocy, tego, że Laura przestała podśpiewywać rosyjskie piosenki i że teraz rzadko wybucha szczerym śmiechem.

Przyciągnęła do siebie córkę, posadziła ją sobie na kolanach i upinając jej włosy wsuwkami, opowiedziała, jak poznała Eliasa i przez co razem przeszli, zanim ona się urodziła. Chciała ją przekonać, że mimo wszystko jej ojciec jest dobrym człowiekiem. Opowiedziała jej o tym, jak musieli żyć rozdzieleni z powodu wojny w Europie, kiedy on walczył z faszystami pod Leningradem, najpierw żeby bronić miasta, a potem żeby je odzyskać. Pokazała jej z dumą pudełko, w którym przechowywała jego medale i odznaczenia zdobyte na tej okrutnej wojnie, zdjęcia z Leningradu i późniejsze, ze Stalingradu i Berlina, zrobione w dniu zwycięstwa nad Hitlerem. Opowiedziała jej o tym, jak wreszcie, po pięciu długich latach, przyszedł po nią do tamtego warsztatu w Tuluzie.

– A co ty robiłaś przez cały ten czas?

Esperanza uśmiechnęła się z nostalgią.

– Czekałam. Miałam szansę zmienić swoje życie. Zwrócił na mnie uwagę znany impresario, chciał mnie zabrać do Paryża, żeby zrobić ze mnie gwiazdę.

– Esperanza z ożywieniem wspominała olbrzymie budynki, kabriolety, tramwaje, suknie aktorek, ich fryzury, makijaże, długie nogi i wcięte talie, wdzięk, z jakim się poruszały i paliły papierosy. Opowiadając o tych wszystkich rzeczach, na chwilę stała się inną osobą, kobietą, którą mogłaby być. Nagle zamilkła i rozejrzała się wokół pełnym wyrzutu spojrzeniem. Pachniało łąjnem i wilgotną słomą. Zalatywało wszystkim, czego nienawidziła: suchą skórą upręży, zwierzęcym potem, jej własnym potem.

– Nie powinnaś czepiać się niczego, co może ci przysporzyć cierpień, tak jak wspomnienia. Wybrałam swój los, a nie wszystkim jest to dane. Moim losem zawsze był twój ojciec.

– Dlaczego pozwalasz, żeby to się działo?

Esperanza przytknęła drzwi, żeby nikt nie mógł ich słyszeć. Westchnęła głęboko.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz.

Spojrzenie matki stało się nieobecne, pociemniało, jakby przeszła przez nie burzowa chmura. Nigdy nie uderzyła żadnego ze swoich dzieci. Teraz jednak jej ręka podniosła się z wściekłością przeciwko prawdzie, którą wytykała jej córka, i spadła na usta Laury, chcąc je zamknąć, by nie musiała dalej słuchać.

– Idź do studni po wodę – powiedziała cicho. Przyglądała się swoim palcom, nie wierząc w to, co zrobiła. Cofnęła się do progu z przygnębioną, udrczoną miną i objęła się ramionami, czując w całym ciele lodowate zimno.

Tamtego ranka przed nocą świętojańską Laura szybko obesza kamienny murek pokryty uschniętym pnączem i wilgotnymi paprociami, dotarła do studni i napełniła wiadra wodą. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Elíasa, który przyglądał jej się uważnie swoim jedynym okiem. To, co widziała w tym spojrzeniu, wzbudziło w niej przerażenie.

Alcázar spojrział na dno studni. Niemożliwe, żeby pod błotnistym torfem, tak zastałym, że nie przepuszczał wody ani powietrza, mogło bić jakieś źródło. Podniósł wzrok i spojrział na dom, dzień po dniu nieuchronnie popadający w ruinę pośród leżących odłogiem pól, jakby się poddał, a jedyną łaską, jakiej mógł oczekiwać, było to, że pokryją go chwasty i na zawsze zniknie z powierzchni ziemi. Tym jest przyszłość przeszłości. Ciszą.

O jedenastej w nocy nie było dużo ludzi na ulicy. Na parterze budynku mieściła się stara trattoria, którą późno zamykano; z okna dobiegały krzyki klientów. Po powrocie ze szpitala Gonzalo zdjął buty i padł w ubraniu na łóżko. Wsłuchiwał się w stopniowo cichnące dźwięki. Jakiś pijak obdarzony ładnym głosem zaczął śpiewać fado Dulce Pontes. Gonzalo znał słowa, przyłączył się do niknącego w oddali głosu:

*Mãe, adeus. Adeus, Maria
Guarda bem o teu sentido
Que aqui te faço uma jura:*

*Que ou te levo à sacristia,
Ou foi Deus que foi servido
Dar-me no mar sepultura.*

W pokoju panował mrok rozświetlany przez latarnie na placu. Padało, deszcz błyszczał w żółtym świetle. Drzwi balkonowe były otwarte na oścież, krople rozбивały się o obłazłą z farby balustradę. Do pokoju wpadały tysiące mikroskopijnych drobinek, moczając oparcie fotela i płytki podłogi. Gonzalo uznał, że jest przyjemnie, kiedy pada przy akompaniamencie tej muzyki. Miał ochotę wyjść z ukrycia, przespacerować się w ulewnym deszczu bez parasola, rozpląnąć pośród tych kropli, zamienić w jedną z nich.

Na stojącej przy telefonie automatycznej sekretarce mrugała lampka. Odkąd sprzedał dom nad jeziorem, bez przerwy dostawał telefony z wyzwiskami, anonimowe osoby zarzucały mu, że jest zdrajcą, nędznikiem, sprzedajnym i łasym na pieniądze. Jednak żadna z nich nie miała w szpitalu syna z rozerwaną piersią ani nie musiała się martwić, że jacyś oprawcy porwą jej dziesięcioletnią córkę.

– Zrobiłeś, co musiałeś zrobić – próbowała dodać mu otuchy Tania – i nikt nie ma prawa cię za to osądzać.

Ale ona go osądzała. Tego popołudnia, kiedy siedzieli przy stoliku we Flighcie i powiedział jej, że musi pobyć sam i postanowić, co robi, spojrzała na niego swoimi szarymi oczami, które były jak dwa ciągnące go na dno kamienie.

– Czyli rozdział zamknięty i zaczynasz od nowa, to chcesz mi powiedzieć?

Gonzalo lekko skinął głową, spodziewając się poniekąd takiej reakcji. Chociaż poczuł chęć, żeby się do niej zbliżyć, powstrzymał ten odruch. Nie wiedział, czego od niej oczekuje, ledwo ją znał i jak się okazało, od początku go oszukiwała.

– Cała ta historia z moim ojcem i twoją matką... Czuję się osaczony przez te wszystkie kłamstwa. Jestem zdezorientowany, nie wiem, co robić, nie wiem, co myśleć – powiedział, patrząc wzrokiem kogoś, kto postanowił przestać walczyć z czymś, co nigdy nie zniknie, świadom, że nie ma szans na zwycięstwo.

Tania zacisnęła szczęki, jej zagryzione wargi utworzyły poziomą linię. To ona zrobiła pierwszy krok. Powoli, dając mu szansę, by ją odepchnął, by posłuchał głupiego głosu w swojej głowie, który krzyczał, że postępuje

niewłaściwie. Ale głos ucichł jak przedśmiertne rżenie, kiedy Gonzalo poczuł dotyk jej spierzchniętych ust, lekki smak szminki i jasnego tytoniu.

– Możesz myśleć, że to prawda. Bo to jest prawda.

Czy na pewno? Nie wiedział tego na sto procent, ale Tania sprawiała, że czuł się dobrze, nie prosiła go, by był kimś innym, nie pchała go w żadnym kierunku. Gonzalo odsłuchiwał i kasował wiadomości z automatycznej sekretarki – stek obelg, które nie robiły na nim żadnego wrażenia. Ostatnia wiadomość była inna:

Czyli jednak spuściłeś spodnie przed swoim teściem i tym policjantem.

Myślisz, że to koniec? Myślisz, że Laura ci to wybaczy? Nie możesz zrezygnować z gry przed zakończeniem partii. Nie, dopóki ten Aldo Rossi ma laptop twojej siostry.

To był głos Siaki. Ale tylko deklamował to, co ktoś kazał mu powiedzieć. Gonzalo zdążył już trochę poznać tego chłopaka i wyczuł, że za jego wyzywającym tonem kryje się nuta strachu.

Z ulicy dobiegły krzyki. Gonzalo wyjrzał przez balkon. Przy kontenerach na rogu dostrzegł trzy postaci, pomyślał, że to bezdomni biją się o śmieci.

Zamknął okno i ponownie odsłuchiwał wiadomość. Została nagrana tego wieczoru.

Floren Atxaga nie przeczytał zbyt wielu książek, dopóki nie trafił do więzienia. Przynajmniej tyle zawdzięczał tej kubańskiej dziwce i jej adwokatowi. Wcześniej książki wydawały mu się okładkami, które po otwarciu ukazywały pożółkłe, zakurzone kartki. Jedynymi, które przerzucił, były Biblia i psalterz z parafialnego kościoła. Teraz wprost pochłaniał kolejne pozycje, choć czasem trudno mu było zrozumieć, o czym traktują. Zaczął od tej, która wydała mu się najwłaściwsza, *Ula Celi*, ale było w niej zbyt wielu bohaterów i w końcu pogubił się w treści. Kolejną książkę, *Moje własne raje* Umbrala, uznał za zbyt skomplikowaną, nie rozumiał wielu słów i to doprowadzało go do szału, bo miał wrażenie, że pisarz chce z niego zakpić. Teraz czytał *Dzumę* Camusa, która wydawała mu się za bardzo smutna. Życie nie jest aż tak czarne, jak odmalował je autor.

Może powinien wrócić do Biblii. W niej czuł się pewnie. Niezdecydowany i poirytowany, przeglądał książki, które ktoś wyrzucił do kontenera na śmieci,

nie mogąc znaleźć niczego, co by go zainteresowało.

– Czego szukasz w śmieciach, stary? Jedzenia, jak szczury?

Atxaga odwrócił się i zobaczył dwóch nastolatków. Jeden z nich wymachiwał kijem wyglądającym na bejsbolowy. Drugi przyglądał mu się nonszalancko, chociaż mógłby być jego synem. Miał rozszerzone źrenice i nerwowo wymachiwał rękami, jakby na jego podniebieniu kłębił się rój pszczoł. Miał na sobie koszulkę z napisem po angielsku, którego Atxaga nie rozumiał.

– Chcę wszystkiego, co masz.

– Słucham?

– Patrzysz na moją koszulkę, prawda? Napis znaczy: „Chcę wszystkiego, co masz”.

Atxaga był niemal pewien, że napis znaczy coś innego, ale nie miało to żadnego znaczenia. Chcieli go okraść. Te dwa wypierdki chciały go okraść.

Przyjrzał się chłopcom z mieszanką gniewu i zaniepokojenia, tymi dwiema płynącymi w przeciwnych kierunkach rzekami, które zawsze zderzały się pod powłoką jego uczuć. Pomyślał, że to mogliby być jego synowie, że jeśli będzie się nimi zajmować ta dziwka, ich matka, na pewno skończą tak samo, napadając na porządnych ludzi w jakiejś równie odrażającej dzielnicy.

Pod żadnym pozorem nie mógł do tego dopuścić.

Nie chciał się za bardzo nad nimi pastwić. Nie znosił przemocy, ale czasami brała go w swoje posiadanie, jak Boga, kiedy miał dość dawania kolejnej szansy ludowi wybranemu. Wtedy zsyłał na niego plagi, dokonywał rzezi i liczył, że lud wyciągnie z tego wnioski. Ale nie wyciągał, nigdy nie wyciągał. I zmuszał Boga do coraz większego okrucieństwa.

Kiedy przestał okładać wyrostka, który trzymał kij, chłopak był cały we krwi. Czołgał się ledwo żywy, jak szczur – tak właśnie nazwał Atxagę. Ten od koszulki roztrzaskał sobie głowę o błotnik samochodu. Nie zabił ich, chciał tylko, żeby wyciągnęli wnioski na przyszłość.

– Zmuszacie mnie, żebym był jak plaga. To dopiero pierwsza.

Podniósł z ziemi otwartą książkę. Jej kartki były pogniecione i obryzgane krwią.

– „Dwa równie stare i szlachetne rody, w Weronie, gdzie się rozgrywa ta sztuka, wskrzeszają zamęt przycichłej niezgody: znów w czas pokoju krew chodniki bruka”²¹ – przeczytał powoli. Spojrzał na tytuł – *Romeo i Julia*. Uśmiechnął się, lubił historie o miłości.

Tamtej nocy, kiedy stał w wejściu do jednego z budynków, spoglądając na światła w oknach mecenasa Gonzala Gila, odkrył, że on i Szekspir podobnie patrzą na niektóre sprawy.

Stary Lukas warknął rozżalony. Domagał się swojego spaceru.

– W porządku, marudo.

Alcázar musiał się przewietrzyć. Nie był już młody, jego umysł nie był w stanie trwać zbyt długo w skupieniu przed komputerem. Ale przynajmniej wiedział już jedno – Siaka nie opuścił kraju, w każdym razie nie z biletem podróznym na własne nazwisko. Co to oznaczało? Nic. Mógł pokonać granicę z fałszywym dowodem jakimkolwiek środkiem transportu. Coś mu jednak mówiło, że chłopak nadal jest w Barcelonie.

Po południu wrócił do baru, w którym Siaka umówił się z Gonzalem, ale wyszedł, zanim ten się pojawił. Z tego, co wiedział, tu był widziany ostatni raz. Kelner, który go obsłużył, powtórzył wszystko, co powiedział już Gonzalowi. Ciemnoskóry, przystojny, dobrze ubrany chłopak. Bywał tu wcześniej, zawsze w towarzystwie jakiejś atrakcyjnej turystki wyglądającej na zamożną. Najczęściej Amerykanek i Angielek, które zatrzymywały się w drogich hotelach.

– Zawsze płaciły one, ale kiedy przychodził sam, zostawiał sute napiwki. Porządny chłopak, chociaż trochę ekscentryczny.

– Dlaczego ekscentryczny?

– Lubił, żeby zwracano się do niego *per pan*. To niezwykle w przypadku kogoś tak młodego. Myślę, że uderzyło mu do głowy to bywanie w luksusowych hotelach.

– Przyszedł z kimś?

Kelner był pewien, że nie. Wspomniał o elegancko ubranym mężczyźnie, który pił kawę przy barze.

– Wyglądał na zainteresowanego chłopakiem, rozumie pan?

– Nie.

– Chłopak jest przystojny, a ten gość przy barze, sam nie wiem, odniosłem wrażenie, że to gej. Kiedy chłopak opuścił lokal, poszedł za nim.

Kelner z grubsza opisał mężczyznę. Wysoki, ciemnowłosey, umięśniony. Dobrze wychowany i elegancko ubrany. Jak sto tysięcy biznesmenów, którzy codziennie przewijają się przez miasto.

Lukas zaszczekał żałośnie. Alcázar potarł oczy i rozprostował ramiona. Była prawie północ. Nic nie jadł, jedynie wypełnił popielniczkę niedopałkami. Wziął smycz i wyszedł na ulicę. Padało, ale nigdy nie miał nic przeciwko spacerom w deszczu. Lepiej mu się wtedy oddychało. Miał wrażenie, że słyszy głos leżącej w łóżku Cecylii: „Nie zapomnij parasola”. Nie lubił chodzić z parasolem, ale brał go, żeby uspokoić żonę; trzymał go pod pachą, okrążając z psem kwartał. Nie zarzucił tego zwyczaju, jakby Cecilia wciąż im towarzyszyła. Dwóch staruszków i duch w strugach deszczu.

Podczas gdy Lukas obwąchiwał świeżą kupę, on wrócił myślami do Siaki. Nie wiedział o nim zbyt wiele, w policyjnym archiwum figurowały informacje o kilku zatrzymaniach za drobne wykroczenia, takie jak prostytutka czy okradanie turystów... W luksusowych hotelach. Nagle deszcz rozjaśnił mu umysł.

Bezlitośnie zaciągnął psa do domu i poszukał w Internecie luksusowych hoteli w pobliżu centrum. Było ich zaledwie kilka.

Następnego ranka obszedł je, pokazując pracownikom zdjęcie chłopaka. W większości miejsc go znali albo dlatego, że któraś z turystek złożyła na niego doniesienie, albo dlatego, że wynajmował u nich apartamenty, zawsze z balkonem wychodzącym na morze. Jednak ostatnio był tam widziany przed pojawieniem się w barze. Alcázar dotarł wreszcie do hotelu Gran Majestic stojącego naprzeciwko terminalu, do którego przybijały międzynarodowe wycieczkowce. Szef ochrony doskonale pamiętał Siakę.

– Próbował okraść angielską turystkę. Traf chciał, że okazała się agentką Scotland Yardu.

– Złożyła na niego doniesienie?

– Nie, powiedziała, że nie warto. Myślę, że po prostu chciała uniknąć skandalu. Wynajęła pokój na kilka godzin, rozumie pan? Poradziła nam spokojnie, żebyśmy lepiej pilnowali, kogo wpuszczamy do naszego hotelu.

– To ona zapłaciła?

Szef ochrony poszukał informacji w komputerze i pokazał mu wydruk faktury. Została wystawiona w dniu, w którym Siaka był w barze. Kilka godzin wcześniej przebywał w tym hotelu. Nie miało to większego znaczenia, wskazywało jednak na pewien istotny szczegół – chłopak wiedział, że szuka go Matrioszka, ale zamiast się gdzieś ukryć albo wyjechać, prowadził normalne życie, co mogło oznaczać, że nie zamierzał uciekać i że albo był bezmyślny, albo czuł się bezpiecznie pod parasolem Gonzala. Alcázar zaczął

podejrzewać, że mógł zostać uprowadzony. Należało tylko odkryć, przez kogo.

Pomyślał, że wie tyle samo co na początku. Zadzwoił do Gonzala.

– Masz jakieś wiadomości od naszego przyjaciela Głębokiego Gardła?

– Nie i nie sądzę, żeby jeszcze kiedykolwiek się ze mną skontaktował.

Wszyscy wiedzą, że podporządkowałem się woli Agustína Gonzáleza. Powinien pan posłuchać czułych słówek, które nagrywają mi na automatyczną sekretarkę.

Alcázar odniósł wrażenie, że tego ranka Gonzalo jest bardziej rozmowny niż zwykle. Może humor poprawił mu lepszy stan syna, a może jego entuzjazm miał związek z córką Anny. Ten głupiec go nie posłuchał i nadal się z nią spotykał. Ale to był już problem Achmatowej i tego jej przyjaciela, Wieliczki.

– Najprawdopodobniej prysnął – dodał Gonzalo.

Alcázar powinien wziąć pod uwagę i tę możliwość, jego instynkt podpowiadał mu jednak co innego.

Po rozmowie z Alcázarem Gonzalo zadał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, nie mówiąc mu o wiadomości od Siaki. Pomyślał, że poniekąd może jeszcze zrobić to, co powinien.

Ulica była wyłączona z ruchu. Wszystko wskazywało na to, że nocna bójka bezdomnych skończyła się dramatycznie. Wszędzie była krew, policja przesłuchiwała okolicznych mieszkańców. Do karetki wniesiono jedną z ofiar, jej twarz wyglądała jak wielki krwiatek. Druga mętnie opisywała napastnika. Gonzalo nie zatrzymał się, żeby posłuchać; głowę zaprzętało mu coś innego.

Zaraz po wejściu do gabinetu chwycił Luisę za łokieć i zaprowadził w ustronne miejsce.

– Nagranie z dnia, kiedy zaatakował mnie Atxaga. Schowałaś je do sejfu?

– Razem z innymi filmami z mojej kolekcji gore – odparła uszczypliwie. – Chcesz poprawić sobie humor?

Powtórnie oglądając całą scenę, poczuł ból w ranach, które jeszcze do końca się nie zagoiły. Co noc, kiedy oddychał, myślał o ciosach nożem zadanych tak blisko płuca. Pokonał niechęć i zaczął oglądać nagranie klatka po klatce, skupiając się na szczegółach, które mogły mu wcześniej umknąć. Zobaczył Tanię, jak pochyła się nad nim przerażona. Pomyślał o momentach, kiedy się kochali, o tamtym pocałunku we Flichtie i o tym, co mu powiedziała: „Możesz myśleć, że to prawda”. Nagranie nie pozostawiało miejsca na

wątpliwości. Tania uratowała mu życie.

Zobaczył, jak wstaje z zakrwawionymi rękami, nerwowo szuka w torebce komórki i dzwoni na numer alarmowy. Dopiero kiedy na zjeździe do parkingu zamigotał kogut karetki, zostawiła go i przemknęła w stronę windy. Pojawili się ratownicy, a wkrótce potem policja. Gonzalo skupił całą uwagę na tylnym siedzeniu terenówki, na którym zostawił laptop. Oglądał tę scenę już kilkadziesiąt razy, nie wiedząc, czego dokładnie szuka, przekonany, że i tak tego nie znajdzie.

Tym razem jednak zobaczył pewien niemal niedostrzegalny szczegół. Był tam, przez cały czas, tak wyraźny, tak oczywisty, że nie zwrócił na niego uwagi. Stał z tyłu, w mroku sfilmowanym przez kamerę, ledwo widoczny dopiero po oddzieleniu ciemności od rzucanego na ścianę cienia. Jak duch. Wyglądało na to, że nie tylko Tania i Atxaga czekali na niego w garażu. Był tam jeszcze ktoś, ktoś świadomy obecności kamer, ktoś, kto wiedział doskonale, gdzie powinien stanąć, żeby nie zostać odkryty. Czaił się długo, do chwili, aż ratownicy i policjanci położyli Gonzala na noszach i niezwykle ostrożnie przenieśli do karetki. Wystarczyła zaledwie chwila, żeby czekający za terenówką cień prześlizgnął się do drzwi i zabrał torbę z laptopem Laury. Potem, przyklejony do ściany, dyskretnie przemknął za samochodami do windy.

W tym momencie, przez ułamek sekundy, było widać jego twarz.

Potwierdziły się podejrzenia Gonzala, które opadły go po kilkakrotnym wysłuchaniu wiadomości od Siaki. To była twarz Luisa.

– Wstawaj.

Mężczyzna podszedł cicho i niespodziewanie wyrósł obok Siaki. Chłopak podskoczył, kiedy poczuł szturchnięcie czubkiem buta. Coraz trudniej mu było zachować czujność. Wstał, trzymając się za bok. Musiał zdobyć się na duży wysiłek, żeby nie runąć ponownie na podłogę. Miał wrażenie, że jego kości są jak stłuczona szyba.

– Kolejny taniec? – zapytał, spoglądając z ukosa na swojego strażnika. Miał spuchniętą powiekę, twarz pokrywała mu zaschnięta krew. Ile minęło od ostatniego pobicia? Godzina? Dzień? Stracił poczucie czasu i wiedział, że wkrótce straci też resztki arogancji, z jaką stawiał mu czoła.

Luis przesunął krzesło na środek pokoju.

– Siadaj.

Siaka z rezygnacją wykonał polecenie.

– Wyglądasz na dobrze wychowanego faceta, nie nauczyli cię słowa „proszę”?

Luis zrobił krok w tył i uważnie przyjrzał się chłopakowi. Był młodszy, niż wyglądał, i bardziej wystraszony, niż wskazywała jego zadziorność. Nie ulegało jednak wątpliwości, że trudno będzie go złamać.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

Luis podszedł do dużego okna wychodzącego na morze. Spoglądał na nie niewidzącym wzrokiem. Przypominało bezkresną ołowianą równinę. Tu, w tym pokoju, miała powstać główna sypialnia, z łóżkiem przy oknie, by pierwszą rzeczą, którą zobaczą każdego ranka po obudzeniu, był przepiękny wschód słońca.

– Tutaj miałem zrealizować marzenie, które odebraliście mi ty i Zinowiew.

– Już ci powiedziałem – powtórzył Siaka, czując, jak strach ściska mu żołądek. – Nie mam nic wspólnego ze śmiercią twojego syna. Darzyłem go sympatią.

Luis odszedł od okna, z udawanym zainteresowaniem wpatrując się w mansardowy sufit. Planował wyłożyć go szlachetnym drewnem. Laurze podobał się czerwony kolor kasztanowca i dąb, on wolał jaśniejszy buk. Teraz nie miało to już większego znaczenia. Kiedy skończy z tym tutaj, podpali dom, straty pokryje ubezpieczenie. Wyjedzie do Londynu i nigdy nie wróci. Nigdy.

– Darzyłeś go sympatią? Jakiego rodzaju sympatią? Wystarczającą, żeby zdobyć zaufanie jego i Laury, żeby nauczyciele oswoili się z twoją twarzą, żeby nikogo specjalnie nie zdziwiło, że przyjechałeś odebrać go ze szkoły pięć minut przed przybyciem jego matki? Sympatią, która sprawiła, że mój syn na twoją prośbę ufnie wsiadł do samochodu Zinowiewa? To z tej sympatii zawiozłeś go nad jezioro i pomogłeś Zinowiewowi go zabić?

Luis stanął za krzesłem, Siaka nie mógł widzieć jego twarzy. Chłopak miał nogi i ręce skute kajdankami, które hamowały przepływ krwi.

– Powiadomiłem Laurę, przysięgam. Ale nie mogłem ryzykować, musiałem jechać z Zinowiewem. Sądził, że zdobyłem zaufanie chłopca, bo zaoferowałem się, żeby go śledzić i pilnować... Myślałem...

– Co myślałeś?

– Myślałem, że jeśli przy nim będę, zdołam coś zrobić, jakoś mu pomóc.

Rzeczywiście tak myślał, wierzył w to do samego końca. Kiedy patrzył, jak Zinowiew oddala się w stronę pomostu, wyobrażał sobie, jak na niego skacze, jak wrywa mu Roberta. Chciał zdobyć się na odwagę, żeby to zrobić, stawić czoła temu mężczyźnie, który był jego właścicielem, odkąd skończył jedenaście lat, i miał nad nim paralizującą władzę. Kiedy zebrał się na odwagę i podbiegł do pomostu, Roberto unosił się już na powierzchni wody.

Odwrócił głowę, próbując spojrzeć na Luisa. Słyszał jakiś dźwięk, jakby warkot silniczka. Wiertarkę elektryczną.

„Na co zdają się wyrzuty sumienia?”, pomyślał. Na nic. Nie uwierzy mu bez względu na to, co powie, bo dokonał już wyboru. Będzie go bił, aż się znudzi, wcześniej jednak chciał go poniżyć, sprawić, żeby padł na kolana i błagał o życie.

– Zinowiew to zrobił? Błagał? Bo to ty go zabiłeś, prawda? Nie Matrioszka, nie Laura. Ty.

Luis chwycił Siakę za włosy i pociągnął do tyłu.

– Błagał, oczywiście, że błagał. Ale nic mu to nie dało. Nie odpowiedział na pytanie, które teraz zadam tobie, tylko jeden raz: dlaczego właśnie tam, dlaczego zabiliście mojego syna nad jeziorem, nad którym Laura spędziła dzieciństwo?

25.

BERLIN, 1945–1947

Panie majorze, zdjęcie dla potomności.

Elías Gil i dowódca 4. Kompanii, ubrani w polowe mundury służb bezpieczeństwa państwowego, ustawili się do zdjęcia. Elías został awansowany do stopnia majora NKWD i odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy oraz medalem za zdobycie Berlina. Partia oficjalnie nadała mu status bohatera. Enrique Líster²² i sama Dolores Ibárruri, której syn, Rubén Ruiz, zginął pod Stalingradem, wysłali mu depeşe z gratulacjami, a Beria rzucił, że to wyróżnienie, niezwykle w przypadku obywatela obcego państwa, zasugerował sam Stalin, który wiedział o jego wyczynach w Leningradzie, Moskwie, Stalingradzie, Warszawie i wreszcie w Berlinie. Była to najprawdopodobniej wyłącznie propaganda, kłamstwa. Co za różnica? Chciał tylko skończyć z tą pantomimą. Musiał więc robić dobrą minę do złej gry przed wojskowymi dziennikarzami, uśmiechać się i trzymać mocno na wpeł spaloną, poplamioną krwią nazistowską flagę, którą podał mu ktoś z propagandy.

– To wielkie zwycięstwo wszystkich hiszpańskich komunistów, towarzyszu.

Celestino Alonso był komisarzem politycznym 4. Kompanii, utworzonej z hiszpańskich żołnierzy pod dowództwem kapitana Péreza Galarzy. Od rozpoczęcia walk straciła niemal wszystkich ludzi. Zwycięstwem, o którym mówił rozemocjonowany komisarz, mogli więc cieszyć się jedynie zmarli. Ostatni towarzysze polegali zaledwie czterysta metrów od Reichstagu, trafieni przez snajperów SS broniących centrum Berlina. Ich zwłoki nadal unosiły się na wodach Sprewy. Żeby oddać im cześć, jakiś młody oficer wspiał się do tabliczki z nazwą Stephenstrasse i przemaalował ją farbą na ulicę José Díaza. Nazwisko hiszpańskiego komunisty wytatuowane w sercu Prus. Jednak pomimo tej podniosłej atmosfery Elías nie mógł przestać myśleć o niektórych

tchórzliwych, niezrozumiałych decyzjach, które musiał przeżywać przez trwającą cztery długie lata wojnę.

Bolało go szczególnie to, że sowieckie oddziały prędo jak burza wstrzymały ofensywę na Warszawę, kiedy Polacy, wiedząc, że zbliża się szpica Armii Czerwonej, powstali przeciwko nazistom. Stalin bez zmużenia oka pozwolił, żeby Niemcy stłumili zryw, masakrując jego uczestników. W Warszawie zginęło dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a miasto zostało dosłownie zrównane z ziemią. W ten sposób naziści zaoszczędzili Sowietom konieczności przeprowadzania czystki w narodzie, który nigdy nie zapomni, że w 1939 roku ZSRR zaatakował jego kraj przy udziale swoich ówczesnych nazistowskich aliantów. Polityki i wojny nie interesują ideały ani heroiczne czyny, oznaczają one jedynie śmierć i cierpienie, chętnie aplikowane przez tych, którzy przeprowadzają te rzezie, bo tak wynika z ich kalkulacji, niepojętych dla żołnierzy w okopach i dla cywili w masakrowanych miastach.

Mimo to świeżo upieczony major pozował ze swoimi ludźmi do zdjęcia dla pisma Armii Czerwonej, składał patriotyczne deklaracje i spacerował dumnie po dymiących ruinach, śledzony z bliska przez kamerę Służby Dokumentacyjnej NKWD. Jak w teatrze, gdzie każdy musi odgrywać swoją rolę. Ktoś wypisał na ścianie słynne zdanie poety i dziennikarza Ilji Erenburga:

Miasta płoną. Czuję się szczęśliwy.

Elías zatrząsł się z gniewu. Ten egzaltowany dziennikarz, wszechobecny, bliski Stalinowi, nie widział stosów niemieckich żołnierzy leżących pod jego złowieszczym zdaniem ze związanymi na plecach rękami i dziurą po kuli w głowie. Chłopców, którzy nawet nie mieli okazji wystrzelić ze swoich starych, zdezelowanych karabinów.

– Sfilmuj to – rozkazał kamerzyście.

– Ależ towarzyszu majorze, to wbrew rozkazom. Żadnych aktów okrucieństwa.

Elías Gil splunął na zwęgloną ziemię, którą deptały jego buty bohatera.

– Powiedziałem, żebyś to utrwalił. Ten idiota Erenburg dostanie najwyżej niestrawności przy śniadaniu, ale wyleczy ją kolejnym ze swoich poematów epickich.

Na zawsze zapamiętał ten wstrząsający widok. Nie miało dla niego

znaczenia, że wcześniej naziści dokonali takiej samej rzezi na okupowanych terenach. Komuniści nieśli czerwony sztandar, maszerowali, śpiewali pieśni w hołdzie poległym pod Leningradem i Stalingradem, po czym bezcześcili tę pamięć, gwałcąc dziewczynki, dopóki nie umarły, kradnąc, grabiąc, dając upust najgorszym instynktom. W tamtych dniach Elías bez wahania kazał rozstrzeliwać lub wieszać żołnierzy i oficerów z własnych oddziałów, jak robili inni dowódcy wojskowi.

– Nie jesteśmy barbarzyńcami. Jesteśmy Sowietami.

Nie wiedział już, kim jest. Chciał jedynie wrócić do domu. Czyli gdzie? Do Esperanzy.

Nie wszystko jednak było horrorem. W Tegel Elías widział żołnierzy, którzy spontanicznie rozdawali własny prowiant wygłodniałym dzieciom, bez kamer i propagandy. Personel szpitali polowych z takim samym profesjonalizmem zajmował się rannymi cywilami i niemieckimi żołnierzami, jak własnymi wojskowymi. Zdarzały się też potajemne romanse między sowieckimi żołnierzami i niemieckimi dziewczynami – z biegiem lat założą rodziny, które będą traktowane nieufnie zarówno przez jedną, jak i przez drugą stronę.

Z czasem do jednostek powróciła dyscyplina i po kilku dniach Berlin zamienił się w miasto okupowane, nie był już jednak pułapką bez wyjścia dla cywili. 25 kwietnia radzieckie i amerykańskie oddziały spotkały się w Torgau nad Łabą. Pięć dni później Hitler popełnił samobójstwo. Admirał Dönitz uznał kapitulację III Rzeszy po tym, jak nie udało mu się przekonać zachodnich aliantów do zjednoczenia sił przeciwko Związkowi Radzieckiemu. 2 maja marszałek Żukow oznajmił Stalinowi, że Berlin został zdobyty. Na szczycie Reichstagu załopotała czerwona flaga, nad stosem ciał stu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy sowieckich poległych w walkach. Kapitulacja Niemiec wobec wojsk radzieckich została oficjalnie podpisana 8 maja 1945 roku.

Tamtej nocy Elías pił samotnie w melinie nad brzegiem Sprewy, mimo że powinien świętować z resztą żołnierzy i oficerów, którzy zajęli niemiecką stolicę. Może nie rozlegały się już wystrzały armatnie ani nie spadały bomby, może czołgi wrócą wkrótce do koszar, a żołnierze udadzą się w długich konwojach do domów, ale dla niego i dla NKWD wojna wkraczała po prostu w nową fazę.

Mężczyzna, na którego czekał, pojawił się po pięciu minutach. Przezornie rozejrzał się po lokalu, a kiedy nabrał pewności, że jest bezpieczny, podszedł do jednej z obsługujących dziewcząt. Niemieckie kobiety prostytuowały się za byle co: za odrobinę jedzenia, za papierosy czy kilka sztuk ubrania. Gdyby znalazły się po amerykańskiej stronie, miałyby więcej szczęścia, ale trafiły na terytorium okupowane przez Sowietów, a tu mężczyźni, podobni do tego, który właśnie wszedł do baru, nie płacili za seks jedwabnymi pończochami ani bombonierkami. Elías patrzył, jak wchodzi na górę za rudą dziewczyną o ostrych rysach. Odczekał pięć minut, dopalając papierosa i opróżniając szklanekę, po czym ruszył ich śladem.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Ruda dotrzymała słowa. Elías przekręcił gałkę i wszedł do pokoju. Kobieta podmywała się w miednicy, a mężczyzna zdążył już pozbyć się górnej części ubrania.

– Co się dzieje? Kim pan jest?

Elías rzucił kobiecie znaczące spojrzenie; włożyła majtki i wyszła w pośpiechu, wzięwszy wcześniej zapłatę, którą uzgodniła z Hiszpanem.

– Masz słabą pamięć, Pierre. Czy już się tak nie nazywasz? Wolisz być piekarzem?

Piekarz z Argelès otworzył usta ze zdziwienia. Powinien był go od razu rozpoznać. Wojna zmieniała ludzi, ale opaska na prawym oku i zielona intensywność lewego były niepowtarzalne.

– Cóż za niespodzianka! Proszę, proszę, słyszałem, że jesteś teraz majorem i prawdziwym wojennym bohaterem – powiedział, wyciągając przyjaźnie rękę. Drżała.

– Co robisz w Berlinie?

Pierre wzruszył ramionami, szukając koszuli pod pretekstem wyjęcia z kieszeni paczki papierosów. Pod rzuconym na krzesło ubranie Elías dostrzegł zarys niemieckiego pistoletu.

– Wiesz dobrze, że nie odpowiem na to pytanie. Jesteśmy rybkami, które żyją w dwóch różnych akwenach, choć w rzeczywistości wszyscy pływamy w tym samym. Za to ja się domyślam, dlaczego wparowałeś tu w ten sposób i że zapłaciłeś tej niemieckiej dziwce, żeby zostawiła otwarte drzwi. Wiem, że taka jest kolej rzeczy. Po prostu zaskoczyły mnie zmiany.

Elías rozejrzał się szybko po pokoju, szacując różne możliwości. Okno wychodziło na boczną uliczkę biegnącą równoległe do rzeki. Miejsce było dobre. Wyjął z kieszeni czerwoną karteczkę i położył ją na łóżku.

– Jest na niej twoje nazwisko.

Pierre kalkulował, jakie są szanse, że chwyci pistolet, zanim Elías zdąży zareagować. Były przygnębiająco małe.

– A więc już wiesz.

Tak, wiedział. Podczas pobytu w Argelès przez większość czasu pracował dla piekarza, nie dla partii. Niebieskie i czerwone kartki, które mu przekazywał, często miały służyć jego własnym interesom.

– Dlaczego tamten chłopak, Tristán? Co takiego ci zrobił?

W końcu chodziło przecież o osobiste porachunki. Pierre usiadł na łóżku i przeczytał nazwisko zapisane na kartce, jakby chciał się upewnić, że nie zaszła pomyłka.

– Był za wesoły, za przystojny, za uwodzicielski. Nigdy nie lubiłem gości przypominających bohaterów filmów amerykańskich... Ale wyglądało na to, że moja żona owszem.

Elías Gil przełknął ślinę. Wszyscy wierzyli, że są powołani do jakichś wyższych celów, do czegoś, co stało ponad nimi. Mimo to raz po raz ulegali własnym namiętnościom.

– Mogłem z nim porozmawiać. Przekonałbym go, żeby przestał się z nią spotykać, skoro ci to przeszkadzało.

Pierre wybuchnął sardonycznym śmiechem.

– Nadal tego nie rozumiesz, prawda? On mi przeszkadzał, samo jego istnienie. Nie chodziło o moją żonę, takie kobiety miałem i przed nią, i po niej, ale mężczyźni tacy jak on... Nie mogłem na to pozwolić.

Następnego ranka policja wojskowa znalazła w zaułku zwłoki Pierre'a z poderżniętym gardłem; nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Kiedy odkryli jego tożsamość, Elías Gil przebywał w Paryżu z nową misją i z fałszywymi papierami, zaświadczającymi, że jest tylko nieszkodliwym inżynierem. Wreszcie miał się spotkać z Esperanzą.

Nie pamiętał ciepła jej ciemnych sutków. Ani zapachu jej sromu, ani dotyku jej palców. Musieli zacząć wszystko od początku, powoli odzyskiwać utracone tereny. Rozmawiać tak, by nie czuć przed sobą wstydu, nie mieć nieprzyjemnego wrażenia, że wmieszało się w życie kogoś, kto już cię przy

sobie nie potrzebuje. Esperanza się zmieniła, a jednocześnie pozostała taka sama. Jak matryoszki, które przywiózł jej w prezencie. Zwodnicza na początku, a im głębiej sięgał, tym mniejsza i bardziej prawdziwa. Od czasu do czasu spoglądała na niego z pewnym zdziwieniem, kiedy chodził nago po małym mieszkaniu, kiedy palił, siedząc na parapecie z podkulonymi nogami, niczym gargulec spoglądający na zalany deszczem Paryż. Przez pierwsze dni nie miała nawet odwagi zdjąć mu opaski z oka – było to tak, jakby kochali się ubrani albo przy zgaszonym świetle.

Opowiedzieli sobie o swoim życiu w ciągu tych lat; tak naprawdę mówiła Esperanza. Elías słuchał nieobecny duchem, z naiwnym uśmiechem, kiedy wyznała mu, że była na kilku próbach w wytwórni filmowej. Nie rozmawiali o tym, co wydarzyło się w Argelès, jakby nowy horror przekreślił poprzedni, czyniąc z niego dziecięcą zabawę.

– Chciałabyś wrócić do Hiszpanii? – zapytał niespodziewanie pewnego ranka, kiedy wszedł do domu w przemoczonych butach i ze zniszczoną gazetą.

Esperanza spojrzała na niego ze smutkiem. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jeżeli zgodzi się z nim wyjechać, zaprzepaści swoją aktorską karierę. Co prawda w latach 1946–1947 zagrała tylko drugoplanowe role i epizody w kilku filmach, ale nie traciła nadziei. Mówiono jej, że ma talent, że powinna się uzbroić w silną wolę i w cierpliwość. Jednak żadna z tych rzeczy nie obchodziła Elíasa. On miał swoją misję i zamierzał ją wypełnić, niezależnie od tego, czy z nim pojedzie.

– Powrót jest niebezpieczny.

– Za dużo spokoju w końcu nas znudzi – odparł z ironią, która wywołała na ich twarzach uśmiech. Ten uśmiech zamknął niektóre nawiasy.

Ale to nie nuda skłoniła Elíasa, by poprosić o przeniesienie do Hiszpanii.

Dwa tygodnie wcześniej doszło do niespodziewanego spotkania przed kościołem Saint-Germain-des-Près. Uwagę Elíasa zwrócił żebrak, który chronił się przed deszczem pod portykiem, potrząsając blaszaną puszką. Początkowo go minął i poszedł dalej, wydało mu się jednak, że dostrzegł w nim coś znajomego, dlatego zawrócił. Popielate światło rzucane przez lampę nad wejściem zniekształcało twarz żebraka, który teraz przyglądał się w skupieniu strumieniowi brudnej wody wypływanej przez gargulca. Kręcił głową gwałtownie i spazmatycznie, jakby stracił nad sobą panowanie. Spod

brudnego kaptura wystawały rude brwi i nos, po którym deszcz spływał na szpiczasty podbródek.

– Martin? – Żebrak zmrużył oczy, odwrócił się bokiem i bez słowa szybkim krokiem ruszył w stronę placu; od czasu do czasu oglądał się i z przerażeniem patrzył na idącego za nim mężczyznę. – Martin, zaczekaj! To ja, Elías Gil.

Żebrak przystanął. Kryjące się za wieżami kościoła słońce na moment omiotło czerwonym, niesamowitym światłem jego zdumioną twarz. Od tak dawna nikt nie używał jego imienia, że rudy Martin, drżąc ze wzruszenia, upuścił na ziemię tobolek, w którym nosił swój dobytek.

Dwie godziny później, po kąpieli w starym pensjonacie przy Rue du Dragon, Martin przyglądał się brudnym ubraniom, których nie zdejmował od miesięcy. Kontrast z jego czystą, pachnącą mydłem skórą sprawił, że pierwszy raz od dawna poczuł się nędzny i słaby.

– Powinieneś być zostawić mnie w spokoju, udać, że mnie nie poznałeś – skarcił Elíasa.

Elías Gil długo przyglądał się ranom na ciele Anglika, dawnym bliznom, pamiętce po torturach, jaką zostawił mu na zawsze Igor Stern, a także świeżym siniakom. Życie na ulicy musiało być strasznie ciężkie; wyglądało na to, że Martin przekonał się o tym na własnej skórze. Przez godzinę opowiadał mu o drodze, jaką przebył po ich rozstaniu w 1934 roku. Relacja z tych długich trzynastu lat była przygnębiająca, Elías tak naprawdę nie potrzebował wielu słów, by się domyślić, przez co przeszedł jego dawny przyjaciel – często wystarczało wymowne milczenie. Poprosił go jedynie o wyjaśnienie kilku dręczących go wątpliwości.

– Nie wstąpiłeś do brytyjskiej armii po rozpoczęciu wojny?

Martin uśmiechnął się z goryczą. Niewiele zostało w nim z naiwności i słodczy siedemnastoletniego chłopaka, którego Elías poznał w 1933 roku w pociągu jadącym do Moskwy.

– Kiedy Sowietci postanowili mnie deportować, w ambasadzie potraktowano mnie jak zadżumionego. Nie wiem, co budziło w nich większą nieufność: to, że byłem komunistą, to, że uciekłem z gułagu czy moje upodobania seksualne. Skłonny jestem sądzić, że to z tego ostatniego powodu uznali, że nie nadaję się do służby wojskowej.

Paraliżowały go strach i rozżalenie, kiedy próbował wyjaśnić Elíasowi,

przez co musiał przejść z powodu swojego homoseksualizmu. Tamte sceny wciąż wypełniały jego rozszerzone źrenice szaleńca, opróżniając umysł z innych wspomnień i sprawiając, że chwilami zapominał, gdzie się znajduje.

– Zabawiali się ze mną jak z pisklęciem. Przekazywali mnie sobie z rąk do rąk, wycierpiałem rzeczy, których człowiek nie jest w stanie znieść, i przypuszczam, że w którymś momencie moje serce przestało uważać się za ofiarę i zostało katem. Pracowałem w Londynie dla szemranych typów, zarobiłem trochę pieniędzy, połamałem trochę kości i zyskałem niebezpiecznych wrogów. Musiałem uciekać, a tylko tutaj mogłem się czuć bezpieczny.

– W okupowanej Francji?

– Naziści wcale nie byli tacy zasadniczy, jak przekonywali wszystkich liderzy SS. Rasa, wyznanie i płeć nie miały dla nich znaczenia, kiedy przychodziło do pozyskiwania informatorów. Zostałem kochankiem pewnego porucznika i nie powiem, żebym tego żałował. Współpracowałem z Gestapo, wydałem kilku Anglików, którzy przeniknęli na tyły niemieckich wojsk... Powiedzmy, że starałem się przeżyć.

Martin przerwał swoją opowieść, czekając na reakcję Eliása. Jego dawny przyjaciel uważał, że dokonał tych zbrodni z własnej nieprzymuszonej woli, opierając swoje oskarżenia na domysłach, a prawda była taka, że on po prostu nie znalazł innego sposobu, by utrzymać się na powierzchni. Jego nikt nie wezwał do Moskwy, nie przyznał mu galonów, nie dał szansy, by wymazał przeszłość z Nazino z karabinem maszynowym w jednej dłoni, a ideałami w drugiej. Martina historia wyrzuciła na brzeg jak śmiecia.

– Po czterdziestym piątym nadeszła pora zemsty, wyroki śmierci i represje przeciwko kolaborantom. To ciekawe – kiedy Niemcy przechadzali się po Polach Elizejskich, bohaterowie kryli się pod rondem kapeluszy, ale gdy nadeszło wyzwolenie, strażnicy prawa wychodzili spod każdego kamienia. Należało złamać sobie palec, wytykając winnych, i robić to tak zaciekle i zdecydowanie, żeby inni nie wskazali ciebie. W sumie można powiedzieć, że miałem szczęście – trafiłem do więzienia w Bordeaux, do celi, gdzie przez osiem miesięcy byłem poniżany, gwałcony, traktowany jak śmieć przez ośmiu mężczyzn, o których człowieczeństwie świadczył jedynie zły charakter. Nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak wynaturzona potrafi być ludzka istota, kiedy wyznaczy jej się rolę kata, z jakim sadyzmem i przyjemnością torturuje swoje ofiary. Jej dumy z posiadanej władzy, jej dzikiego wrzasku. Odkryłem

każdą cząsteczkę tej choroby, która zamienia ludzi w potwory. Ale mnie nie powiesili. Wyszedłem z więzienia żywy, jeżeli życiem jest oddychanie... A ty znalazłeś mnie po to, żeby mnie osądzać, żeby traktować mnie z obłudną litością zwycięzcy, prawda?

Elías odwrócił wzrok, nie był w stanie wytrzymać spojrzenia rudego Anglika. Rzeczywiście nie wiedział, przez co przeszedł, nie potrafił ani nie chciał sobie tego wyobrazić. Martin nie miał już nic wspólnego z chłopakiem, którego znał. Mężczyzna, który zapinał czystą koszulę kupioną mu przez Elíasa i spoglądał na niego pogrążony w dziwnych, obsesyjnych myślach, był obcą osobą.

– W niczym nie zwyciężyłem, Martinie. Od czasów Nazino nie istnieją już porażki ani zwycięstwa.

Martin wyprostował plecy i nieufnie spojrzał na Elíasa, jakby w jego obłąkanym umyśle torowała sobie drogę myśl, że Hiszpan próbuje wyciągnąć z niego jakieś informacje.

– Widziałem go. Jest tutaj, w Paryżu.

– O kim mówisz?

– O Igorze Sternie. Mogę ci pokazać hotel, w którym mieszka, i restaurację, do której codziennie chodzi na śniadanie w obstawie dwóch ochroniarzy.

Martin uśmiechnął się szeroko, widząc, że przyciągnął uwagę Elíasa. Wpuścił koszulę w spodnie i z niepokojem stwierdził, że schudł tak bardzo, iż pasek nie ma odpowiednich dziurek, żeby ścisnąć go w talii.

– Jest z nim Anna.

Ogródek był wyludniony, deszcz zbierał się na krzesłach i ubitej ziemi. Przez okno bistra Elías przyglądał się szarej fasadzie hotelu.

– Idzie. – Martin wskazał zgarbioną postać, która, zmęczona, powoli wspinała się łagodnym zboczem w stronę schodów prowadzących do Sacré-Cœur. Jeden ochroniarz osłaniał go przed deszczem dużym parasolem, drugi szedł kilka kroków za nimi, co chwilę odwracając głowę, żeby się upewnić, że nikt ich nie śledzi. Trzej mężczyźni podeszli do hotelu, ale tylko ten w drogim płaszczu przekroczył próg. Dwaj pozostali zostali pod markizą.

– Zdobyłem numer jego pokoju. Jeżeli zrobimy to teraz, tych dwóch goryli się nie zorientuje.

Elías zastanawiał się, jak Martin uzyskał informację, w którym pokoju

zatrzymał się Igor Stern, postanowił jednak nie zadawać pytań. W szklanych oczach rudzielca malowały się rozgorączkowanie i obłąd. Musiał rzeczywiście oszaleć, skoro myślał, że mogą tak po prostu wejść do hotelu, odnaleźć pokój i zabić Sterna. To nie było takie proste. Igor stał się tysiąc razy bardziej niebezpieczny, niż był na Nazino. Teraz miał pieniądze i był znacznie bardziej sadystyczny i wpływowy. Chroniło go Biuro Polityczne, połowa europejskich dyplomatów bała się go albo była mu winna przysługi, które potrafił wyegzekwować. Poza tym istniała możliwość, że w pokoju będzie z nim Anna.

– Myślałem, że nienawidzisz go tak samo jak ja – wyrzucił mu Martin z pogardą po wysłuchaniu tego, co uznał za zwykłe wymówki.

Nienawidził go. Oczywiście, że go nienawidził. Ale nie w sposób ani z powodów, których mógłby się domyślić Martin czy ktokolwiek inny, kto wiedział, co wydarzyło się na Nazino. Jakaś jego część, do której się nie przyznawał i której nie chciał słuchać, podziwiała Igora Sterna. Był jedynym prawdziwie wolnym człowiekiem, jakiego Elías poznał w całym swoim życiu.

Przez ostatnie lata był zmuszony współpracować z nim przy różnych operacjach organizowanych przez Berię, dzięki czemu miał okazję przyjrzeć mu się z bliska i go zrozumieć. Chociaż w żadnym momencie nie opuściła go żądza zemsty, uświadomił sobie, że Stern różni się od ludzi, z którymi miał do tej pory do czynienia. Sposobem bycia, myślenia, przede wszystkim jednak odczuwania – inteligencji, pragnień i uczuć Igora nigdy nie krępowała jakakolwiek moralność.

Zabijanie, kradzież, kłamstwa i manipulacja były środkami do celu, do którego dążył beznamietnie, nie wykraczając ani na milimetr poza swój drobiazgowo opracowany plan. Popękanie zbrodni nie sprawiało mu przyjemności ani przykrości, nie szczylił się, że jest tym, kim jest, ani nie obwiniał o to świata. Gardził bliźnimi, bo nie rozumiał krępujących ich więzi. To robiło z niego przeciwnika silniejszego niż Elías, niezdolny zostawić za sobą jątrzących się wspomnień, które czyniły go coraz słabszym.

– Nie jesteś lepszy ode mnie – powiedział mu któregoś razu Igor. Zamordowali właśnie konfidenta Gestapo w Kursku. Igor zabił go gołymi rękami; obserwowali dramatyczny piruet, jaki wykonało w powietrzu wyrzucone z tarasu ciało, zanim rozbiło się o bruk. Stern uśmiechał się ze smutkiem, spoglądając na nienaturalnie wykręcone zwłoki. – Na pewno masz na koncie więcej zabójstw, represji, pobić i tortur niż ja. Słyszałem, co o tobie

mówią, majorze. Różnica między nami polega na tym, że ty służysz jakiejś sprawie, podczas gdy ja służę jedynie samemu sobie. Obaj jednak wiemy, że ta różnica to kłamstwo. Ja nie muszę wskakiwać do okopów jak ty, żeby dać się zabić, bo nie wstydzę się tego, kim jestem. Nie odczuwam też z tego powodu dumy, oba te uczucia są równie bezużyteczne. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, i powinniśmy się z tym pogodzić. Walczymy o nasze miejsce w życiu, zdobywamy je i bronimy go zębami i pazurami, dopóki nie osłabia nas lata i zmęczenie i nie zostaniemy pokonani przez innych, którzy stali się silniejsi od nas. Tak jest, tak było i zawsze tak będzie. Nie powinniśmy przywiązywać do tego tak wielkiej wagi. Ale ty się oszukujesz, nie chcesz przyjąć do wiadomości, że mamy identyczną naturę. Że mógłbyś być mną i czerpałbyś z tego przyjemność... Co za straszliwy paradoks, majorze: podziwiać swojego kata.

Taka była przerażająca prawda. Za wyniosłą postawą Eliása, za jego lojalnością i jego milczeniem krył się jakiś niesmak, coś w sposobie, w jaki przyjmował i wydawał rozkazy, sugerowało, że w każdej chwili może wybuchnąć. Nie miał kapryśnego ani anarchicznego usposobienia jak Stern, wiedział, że strach, który budzi, opiera się na czymś dokładnie odwrotnym – przekonaniu, że kara nigdy nie jest przypadkowa – jednak w głębi duszy często obłudnie pragnął mieć dostateczne powody, by wykazać się takim samym okrucieństwem jak Igor. A kiedy już tak się stało, był nieprzejednany. Na tym właśnie polegała jego słabość. Igor nie musiał sobie niczego udowadniać, nie musiał sobie niczego wybaczać. Nie miał wyrzutów sumienia, wspomnień, poczucia winy. Wymagano od niego, by był posłuszny, a jednocześnie budził posłuch u innych; przywykł do tego jak wytresowany pies. Natomiast u Eliása pod tym samym okrucieństwem kryły się ból i wyrzuty sumienia.

Za tę swoją słabość winił Irinę. To dwuznaczne uczucie doprowadzało go do szału. Wspomnienie tej kobiety zamieniło się w dręczącą obsesję, reprezentowała sobą wszystko, czego w sobie nienawidził i czym w sobie gardził, potwora, którego musiał za wszelką cenę poskromić. Za każdym razem, kiedy dostawał medal, gratulacje czy klepnięcie w plecy, za każdym razem, kiedy towarzysze broni wychwalali jego waleczność na polu bitwy, obraz Iriny tonącej w rzece Nazino przyćmiewał ten moment, przypominając mu, kim jest – tchórzem, który bez wahania zjadłby jej córkę, tak jak nie zawahał się zabić matkę, żeby ocalić siebie, ani oddać Annę Igorowi w zamian za swoje życie.

Któregoś dnia zobaczył na obrzeżach Warszawy pewną dziewczynę. Nie była wysoka, ale przypominała Irinę, miała jej bezpośrednie, wyzywające spojrzenie, jej pociągłą twarz, jej obiecujące usta. Bujne czarne włosy sięgały jej do połowy pleców. Elías zapłacał, żeby pójść z nią do łóżka, i przez kilka godzin zakrywał jej twarz włosami, odsłaniając tylko oczy o tajemniczym spojrzeniu. Wtedy zrozumiał, że chorobliwie szuka Iriny we wszystkich kobietach. Obdarzał jej ducha ciałem i zatracił się w obsesyjnie posesywnym tańcu, ku przerażeniu kochanek, które w końcu zawsze uciekały od roli, jaką im wyznaczył. Zaraz potem ogarniało go przygnębienie, wstydził się tej zabawy, która mogła się wydawać żałosna, próbował uwolnić się od Iriny, odtrącał ją, nienawidził jej za to, że przez nią czuł się słaby. Rzucił się w wir pracy, by udowodnić światu – i sobie – że jest wolny od pęt tego wspomnienia. Wtedy stawał się bardziej nieprzewidywalny, bardziej gwałtowny, bardziej milczący.

Igor Stern był świadom słabości Elíasa i nie wahał się wykorzystywać jej przeciwko niemu. Przychodził na spotkania w towarzystwie Anny, która powoli stawała się dziewczyną równie atrakcyjną jak jej matka. Tak bardzo przypominała Irinę, że Elías, urażony, odwracał spojrzenie, kiedy Igor obejmował ją w tali i lubieżnie całował w szyję, choć wciąż kazał jej nazywać się tatą.

– Wiem, co czujesz. Tak cię to przeraża, że nawet nie masz odwagi tego nazwać, ale widzę to w twoim spojrzeniu, kiedy na nią patrzysz, myśląc, że nikt cię nie widzi. Tak bardzo przypomina ci Irinę, że nie możesz zapanować nad pożądaniem, choćby miało posłużyć jedynie temu, by ją zniszczyć, by na zawsze wymazać ją z myśli, prawda? Mógłbym ci ją oddać. Przespałbyś się z nią? Z jej córką? Na pewno byś to zrobił, a potem, jak przystało na hipokrytę, pobiegłbyś rzucić się z mostu albo włożyłbyś sobie do ust lufę pistoletu. Bo jesteś słaby. I fałszywy. Jesteś tylko glinianym bohaterem, majorze.

– Możemy iść tam teraz, zaskoczyć go. Możemy go zabić, Elíasie.

Elías Gil odsunął firankę i spojrzał przez duże okno na wejście do hotelu. Deszcz przybierał na sile, rynnami ściekały obfite strumienie wody. Niezadowoleni, wbici w garnitury ochroniarze Igora palili papierosy.

Ona pewnie będzie w pokoju. Może klęczy przed nim naga, dziewczynka o stanowczym spojrzeniu, świadoma swojego losu, ale niepokonana,

niepodporządkowana. Anna była jak jej matka – urodziła się, żeby być wolną, i zachowała tę wolność za wszelką cenę, choćby musiała w tym celu znieść wszelkie tortury, jakie przyjdą Igorowi do głowy. Nie złamie jej, Elías był tego pewien.

– Nie możemy tknąć go palcem, Martinie.

Były to ostatnie słowa, jakie zamienili. Martin wyszedł z przeszklonej sali; kiedy był na zewnątrz, odwrócił się i spojrzał na Elíasa, ściskając mocno coś, co wystawało zza jego paska. Elías dostrzegł duży sztylet. Przez chwilę patrzyli na siebie przez zaparowaną szybę. Wreszcie rudy Anglik zrozumiał, że nie zdoła zbliżyć się nawet do ochroniarzy, wcześniej zostanie zatrzymany. Nagle zaczął spazmatycznie kręcić głową i wybuchnął płaczem, przykładając dłonie do szyby, po czym odszedł na zawsze. Elías patrzył, jak znika w paryskim deszczu, rozgoryczony, zniechęcony, zgarbiony pod przebraniem żebraka, przeżuwając żale, których nikt nigdy nie będzie potrafił zrozumieć.

Dobrze się stało, pomyślał Elías z goryczą. Nie chciał mieć świadków tego, co postanowił zrobić, gdy tylko zobaczył Igora Sterna.

– Muszę to przemyśleć.

Ramón Alcázar Suñer był teraz urzędnikiem hiszpańskiej ambasady w Paryżu, wyniosłym i surowym. Teoretycznie jego misja polegała na dbaniu o interesy hiszpańskich firm, w rzeczywistości jednak miał na miejscu pilnować hiszpańskich komunistów osiadłych we Francji i ścigać tych, na których ciążyły wyroki frankistowskich sądów wojskowych. Elías wiedział, czym się zajmuje; odkąd wrócił do Francji, starali się unikać, żeby nie narażać dawnej przyjaźni, której obaj wiele zawdzięczali. Ich relacji nie zdominowały wzajemne urazy i nieufność, mimo okrutnej przemocy, jakiej każdy z nich doświadczył z rąk przeciwników reprezentowanych przez przyjaciela. Darzyli się na odległość szczerym poważaniem, jakoś zdołali uratować najlepsze ze starych wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości. Jednak w tych manichejskich czasach przyjaźń była słabością – jeżeli ktoś odkryłby, że się spotkali, obaj mieliby poważne problemy.

– Co chcesz przemyśleć? – zaprotestował gwałtownie Elías. – Podaję ci na tacy jednego z czołowych agentów NKWD.

Ramón Alcázar w zamyśleniu wyjrzał na ulicę przez okno samochodu i podniósł rękę w geście wyrażającym bezsilność, jakby przyjaciel prosił go

o coś, co przekraczało jego możliwości.

– Podajesz mi na tacy zemstę, której sam nie możesz dokonać.

Bez wątpienia miał rację. Elías spojrzał na przyjaciela, próbując mu wytłumaczyć, jak bardzo nienawidzi Igora Sterna i jak daleko jest gotów się posunąć z powodu tej nienawiści.

– Co to dla ciebie za różnica? Nie wyobrażasz sobie nawet, jaki jest Stern, jak potrafi znęcać się nad człowiekiem, bawić się nim, niszcząc go dopiero wtedy, kiedy się znudzi.

Ramón Alcázar gwałtownie wydmuchnął dym z papierosa.

– Nie jestem twoim siepaczem, Elíasie! Niech ci się nie wydaje, że możesz mną manipulować albo wykorzystywać mnie wedle własnego widzimisię. Nie zajmuję się sowieckimi agentami. Zabicie Igora Sterna może na nas ściągnąć poważne represje. – Oschłe spojrzenie Ramóna Alcázara złagodniało. – To z powodu dziewczynki? Dręczy cię to, co wydarzyło się na Nazino, prawda? Zrobiłeś, co w twojej mocy, żeby im pomóc. Nikt nie może ci zarzucić, że było inaczej. Zapomnij o tej dziewczynie, o przeszłości, o Sternie. Wróć do swojej ładnej żony, idź z nią do łóżka, miej dzieci, rozpułń się w wygodnym, anonimowym życiu.

Była to bez wątpienia kusząca perspektywa. Obaj wiedzieli jednak, że Elías nawet jej nie rozważy.

– Za każdym razem, kiedy widzę dziewczynkę podobną do Anny, doznaję wstrząsu. Idę za nią ulicą, obserwuję ją przez kolejne dni: jej nawyki, jej znajomych, jej rodzinę. Podchodzę do niej, rozmawiam z nią, są tak naiwne, że nie mają pojęcia, co mi chodzi po głowie.

Zniecierpliwiony Ramón rozparł się na siedzeniu.

– Nie chcę tego słuchać.

– Ale ja chcę ci o tym opowiedzieć, musisz to zrozumieć. Patrząc na te dziewczynki, czuję się okropnie, jakby ich niewinność zalewała mnie poczuciem winy za to, co zrobiłem Irinie, za to, co w razie konieczności zrobiłbym Annie. Nienawidzę ich, nienawidzę ich nieskalanych twarzączek, ich blond włosów, ich anielskich spojrzeń, nienawidzę ich, bo mnie oskarżają, chciałbym zniszczyć te twarze ciosami, oszpecić je, bo widzę w nich Irinę idącą na dno rzeki. Doprowadza mnie to do szaleństwa... A wszystkiemu jest winien Igor Stern. On wie, jak się czuję, rozumie moją słabość i wykorzystuje ją, żeby mnie torturować, i dlatego, wyłącznie dlatego trzyma przy sobie Annę. Ona przypomina mi o dniu, kiedy oddałem mu swój płaszcz, a wraz z nim to,

co zostało we mnie z człowieka, moją godność.

Elías zamknął oczy, zmęczony. Oddychał zachłannie, otwierając usta, jakby w samochodzie brakowało powietrza.

– Chcę go widzieć martwym, Ramónie. Zapłacę cenę, jaką będzie trzeba.

– Będzie wysoka.

– Trudno.

– Nie rozumiesz. Jeżeli zrobisz ten krok, nie będziesz mógł już się wycofać. Za każdym razem będą żądali więcej. Uciekniesz przed ogniem, żeby wpaść w równie zachłanne płomienie.

Od spotkania z Martinem Elías miał dużo czasu na rozmyślenia. Wspomnienie Iriny zniekształciło się do tego stopnia, że czasami widział ją w osobie Esperanzy. Patrzył na swoją żonę jak na pszczołę krążącą po ulu – małym mieszkanku, które wynajęli – i tysiąc razy zadawał sobie pytanie, dlaczego już nie chce, żeby zaszła w ciążę, dlaczego wymyśla preteksty, żeby tylko nie sprowadzić na świat potomstwa. Prawda była taka, że się bał, czuł paniczny strach, kiedy wyobrażał sobie, jak będą wyglądały ich dzieci, gdy dorosną – czy będą podobne do niego, czy do niej, czy odziedziczą jego charakter, jego milczenie, agresję, która dzień po dniu po cichu w nim wzbierała. Czasami przyłapywał się na tym, że patrzy na siebie w lustrze bez opaski. Wpatrywał się w mrok pustego oczodołu, szukając w nim jakiegoś światła, którego nie znajdował. Wtedy zastanawiał się, czy jego straszliwa szpetota, nieodwracalna krzywda, jaką wyrządził mu Igor, symbolizowana przez pusty oczodół, będzie dziedziczna.

– Rozumiem to doskonale – stwierdził.

Kiedy doznał tamtej krzywdy, musiał się z nią pogodzić, przyjmując do wiadomości, że tak ogromne cierpienie na zawsze zniszczy część jego duszy. Nie był już tym, kogo wymarzył sobie jego ojciec, ale człowiekiem, w jakiego zamienili go inni ludzie. W porządku – niech za to zapłacą.

Wyciągnął złożoną na pół kartkę i podał ją Ramónowi Alcázarowi Suñerowi. Była to szczegółowa lista nazwisk i adresów, pod którymi francuska żandarmeria będzie mogła znaleźć członków Komunistycznej Partii Hiszpanii poszukiwanych przez frankistowskie władze za krwawe zbrodnie. Sześć nazwisk skazanych na zniknięcie z powodu zemsty; ich pech polegał wyłącznie na tym, że stanęli między Elíasem Gilem i Igorem Sternem.

– Kiedy wyjdzie na jaw, że był przeciek z wewnątrz, postaram się, żeby partia zleciła śledztwo mnie. Znajdę jakiegoś winnego – powiedział

obojętnym tonem i dodał, że będzie potrzebował rekompensaty.

– Jakiego rodzaju rekompensaty?

Elías Gil wręczył Ramónowi Alcázarowi drugą kartkę.

– Ten mężczyzna to zawodowy oprawca. Zamordował wielu naszych towarzyszy. Wiem, że mieszka tu, pod ochroną ambasady. Muszę czymś zapunktować, żeby uniknąć podejrzeń albo je od siebie oddalić. Potem załatwię sobie przeniesienie do Hiszpanii. Kiedy już tam będę, ty postarasz się, żeby Igor Stern zniknął na zawsze.

Ramón Alcázar przytaknął i przez dłuższą chwilę w milczeniu spoglądał na przyjaciela, jakby go nie znał. W jego oczach malowało się coś pomiędzy zdziwieniem, odrazą i smutkiem.

– Wolałbym chyba, żebyś tego nie robił, żebyś nie stawał się kimś takim.

Oko Elíasa rozbliżyło gniewem. Jak przyjaciel mógł od niego wymagać, żeby zachował godność po tym, jak został zesłany na dno wszelkiej możliwej deprawacji? Czego się spodziewał?! Że będzie uczciwym przeciwnikiem? Rozczarował go? Jaka szkoda! Jego już dawno rozczarowała cała ludzkość.

Nie byli bohaterami, byli zaledwie niegodziwymi, dezorientowanymi, wystraszonymi ludźmi.

– Chcę dostać tego oprawcę, dla ciebie nic nie znaczy; macie dużo takich ekspertów, a mnie przyda się jako alibi.

Ramón Alcázar spojrzął na kartkę. Praktycznie nie znał tego człowieka, widział go może ze dwa razy i bynajmniej nie zapałał do niego sympatią. Najwyraźniej był to wystarczający powód, by skierować kciuk w dół. Ten mężczyzna nie wiedział, że już jest martwy, może właśnie przechadzał się po Paryżu, podziwiając konstrukcję Notre-Dame albo spoglądając z melancholią na nabrzeża Sekwany. Ale był martwy. Ramón zaczerwienił się na myśl, z jaką łatwością przyszło mu decydować o czyimś życiu.

– Powiem ci, gdzie mieszka i jak możesz zastawić na niego pułapkę.

Pięć minut później Elías wysiadł z samochodu i opatulił się płaszczem. Do Paryża nadciągało zimno, a wraz z nim wrażenie, że wszystko znieruchomiało, niemal umarło.

– Jeszcze jedno – poprosił Ramóna. – Upewnij się, że Stern umrze, wiedząc, że to ja posyłam go do piekła.

Ramón Alcázar ponownie skinął głową, spoglądając na listę osób, które Elías gotów był poświęcić, żeby dopełnić zemsty.

– Nie obchodzi cię, co się stanie z twoimi towarzyszami, z ich rodzinami?

Jeszcze możesz zmienić zdanie, Elíasie. Mogę spalić tę listę i zapomnieć o naszym spotkaniu.

Elías zacisnął zęby i z uwagą spojrzał na przyjaciela.

– A ja, Ramónie? Ja mogę spalić moje wspomnienia i udawać, że nigdy nie przeżyłem tych okropieństw?

– Do końca życia będziesz się za to nienawdził, wiesz o tym, prawda?

Elías Gil zasłonił twarz kołnierzem i pożegnał się z przyjacielem. Tak, do końca życia będzie się za to nienawdził, ale nie było to nic nowego. Pogarda dla samego siebie towarzyszyła mu od dnia, w którym uderzył Irinę, żeby nie utonąć w rzece Nazino.

26.

BARCELONA, LISTOPAD 2002 ROKU

Śnieżnobiałe ściany świeżo otwartego budynku kontrastowały mocno z ziemistymi fasadami otaczających go domów. Otwarta forma pozwalała zobaczyć skąpane w słońcu pomieszczenia. Nieliczne, neutralne meble zachęcały do relaksu. Gonzalo musiał przyznać, że jego były szwagier ma styl. Jasne, lekkie przestrzenie, które projektował, zdawały się pasować do jego elegancji i dyskrecji.

Goście zaproszeni na otwarcie zebrali się na jednym z najwyższych położonych tarasów, powstałym po wyburzeniu fragmentu ściany wychodzącej na plac. Z ogromnego balkonu, na którym odbywało się przyjęcie, roztaczał się widok na znaczną część starówki, wysokie wieże katedry i dachy starych kamienic dzielnicy El Raval. Mały oddział nienagannie ubranych kelnerów stapał się z białymi ścianami, czekając na znak gospodarza, by rozpocząć paradę z tacami kanapek i kieliszków szampana. W tle rozbrzmiewała przyjemna muzyka; Gonzalo wsłuchał się w nią uważnie i rozpoznał jeden z utworów sakralnych Bacha. Bardzo typowe dla Luisa.

Jego były szwagier wybrał na tę okazję garnitur w neutralnym kolorze i zrezygnował z krawata; wygląd odzwierciedlał skromność Luisa, który nie popadał w pychę mimo płomiennych pochwał pod adresem budynku i jego twórcy. Nazwanie gmachu imieniem Alda Rossiego, genialnego włoskiego architekta, było przejawem megalomanii, na jaki Luis nigdy by się nie zdobył.

– Gonzalo, co za niespodzianka!

Gonzalo nie dostrzegł nic podejrzanego w szczerze zdziwionym spojrzeniu Luisa ani w jego mocnym, przyjacielskim uścisku dłoni.

– Przeczytałem w gazecie, że otwierasz ten budynek, i pomyślałem, że to dobra okazja, żeby cię zobaczyć.

Były szwagier powoli skinął głową, jednak w jego oczach pojawił się cień

podejrzliwości, który nadał jego spojrzeniu niemal nieuchwytny pytający, nieufny wyraz.

– Dopiero co przylecieliśmy. Spędzę tu dzień, a wieczorem wracamy do Londynu. – Liczba mnoga obejmowała mającą niemal dwa metry wzrostu blondynkę o talii osy, ubraną w elegancką perłową sukienkę i buty w tym samym kolorze. Luis delikatnie pociągnął ją za rękę i przedstawił Gonzalowi. Nazywała się Erika i była jego angielską narzeczoną. – Pobieramy się za miesiąc – powiedział. Zabrzmiało to dziwnie, jak alibi.

Gonzalo zamienił z dziewczyną kilka grzecznościowych zdań po angielsku, wzniesli toast, po czym kobieta dyskretnie się oddaliła.

– Liczyłem na to, że będziemy mogli spokojnie porozmawiać – odważył się zasugerować Gonzalo, wycofując się w kąt dużego tarasu.

Luis posłał mu uprzejmy uśmiech i podał kieliszek z szampanem, który przechwycił z jednej z tac. Był miły dla każdego, kto obok niego przechodził.

– Sam widzisz, że to nie miejsce ani czas na taką rozmowę. Prawdę mówiąc, mam dość napięty grafik.

Gonzalo dopił szampana i poszukał papierosa. Ostatnie dni były najbardziej stresujące i najczarniejsze w całym jego życiu, mimo to starał się zachować spokój. Czasami miał wrażenie, że trwa pogrążony w długim, dręczącym koszmarze – to uczucie nierealności pomagało mu lepiej znieść całą sytuację.

– Obaj wiemy, że powinieneś wygospodarować dla mnie trochę czasu. Chyba że wolisz poświęcić go policji.

Luis był na tyle taktowny, że nie uraczył go parodią zdziwienia ani żadnym wybełkotanym z głupia frant zdaniem. Zacisnął nieco prawą pięść, nie była to jednak groźba, ale odruchowa reakcja. Eleganckie, przyjacielskie ostrzeżenie. W taki sposób załatwiał sprawy.

– Przypuszczam, że powinienem ci powiedzieć, co teraz czuję albo myślę.

Gonzalo dopalił papierosa.

– Mało mnie interesuje, co możesz teraz czuć czy myśleć. Czekam na ciebie za dziesięć minut na placu po drugiej stronie ulicy. Jeżeli się nie pojawisz, pójdę na policję.

Wkrótce po tym siedzieli naprzeciwko siebie w cuchnącej knajpie; z głębi dobiegały dźwięki automatów do gry. Wyróżniali się niczym dwie ekstrawaganckie plamy spośród drobnych przestępców z okolicy, którzy

zwykle siedzieli przy tym zatłuszczonym barze.

– Nie rozumiem cię – powiedział wreszcie Luis, nie spuszczać wzroku z Gonzala. Jego sympatyczne spojrzenie stało się pochmurne, głębokie i tajemnicze.

– Ja powinienem powiedzieć to samo. Widziałem nagranie. Byłeś na parkingu w dniu, w którym zaatakował mnie Atxaga, i ukradłeś mi laptop Laury. Miałem to pod nosem, od samego początku. Było tak oczywiste, że nie potrafiłem tego dostrzec. Zorientowałem się dopiero, kiedy kilka razy odsłuchałem wiadomość od Siaki.

Na twarzy Luisa pojawił się uśmiech.

– To było sprytne posunięcie, użycie nazwiska Alda Rossiego. Przytomny z niego chłopak i bardzo inteligentny, ale nigdy nie wpadłby na to, żeby dać ci tę wskazówkę, gdybym mu jej nie zapisał. Miałem nikłą nadzieję, że kiedy każę mu zadzwonić i wspomnieć nazwisko włoskiego mistrza, wreszcie zdołasz skojarzyć fakty.

– Chciałeś, żebym cię znalazł?

Luis wzruszył ramionami, jakby nie chodziło o niego. Od jakiegoś czasu zadawał sobie pytanie, jak i kiedy skończy się ta jego desperacka ucieczka, ile czasu zajmie ludziom, którzy zamordowali jego syna i zniszczyli mu małżeństwo, odkrycie, że to on, a nie Laura, torturował i zabił Zinowiewa.

– Nie jestem mordercą, mimo wszystko. Nie mam wystarczająco twardego charakteru. Cierpienia – te, które zadaję, i te, których doświadczam – nie stanowią dla mnie pocieszenia. Przypuszczam, że szukam sposobu, żeby z tym wszystkim skończyć.

Gonzalo próbował sobie wyobrazić, przez co musiał przejść ten człowiek od śmierci syna. Jeszcze był w żałobie, kiedy postanowił wyjechać do Londynu, gdzie zamknął się w ramionach swojej ładnej narzeczonej, żeby spróbować zapomnieć o kobiecie, którą kochał. Teraz widział prawdziwe oblicze mężczyzny ukrytego za maską zwycięzcy: zżerał go smutek, a być może także wstyd, czuł się samotny, niezdolny do naprawienia wyrządzonej krzywdy.

– Kiedy Alcázar poszedł do mieszkania Laury, żeby oskarżyć ją o zamordowanie Zinowiewa, wiedziała, że to ty. Postanowiła cię chronić.

– Sam jej to powiedziałem. Chciałem, żeby zobaczyła, w co zamienił mnie jej upór, jej egoizm. Chciałem ją oskarżyć, że zrobiła ze mnie potwora. Przez kilka godzin czekałem na nią z zakrwawionymi rękami na starej kanapie; na

stole leżała gwoździarka. Kiedy weszła do mieszkania, nie musiałem jej tłumaczyć, co zrobiłem.

W rozproszonym świetle baru w pamięci Luisa odżyły wspomnienia tamtej przerażającej sceny, tego, co powiedział Laurze.

– Powiedziałem jej, że oddam się w ręce policji, ale ona przekonała mnie, żebym tego nie robił. Jej umysł zaczął pracować na pełnych obrotach, uznała, że powinienem wyjechać z kraju, wrócić do Londynu, udawać, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. Zabójstwo Zinowiewa mogło uchodzić za porachunki mafiosów, nikogo by to nie zdziwiło... Laura wiedziała, jak funkcjonują umysły śledczych i sędziów. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że lepiej niż ja rozumiała, iż wcześniej czy później zostanę złapany. Jeżeli nie przez policję, to przez Matrioszkę. Wiedziała, że nie zniosę więzienia i że nigdy nie będę w stanie stawić czoła tym ludziom... Zapewniła mi więc idealne alibi... Kiedy dowiedziałem się o jej samobójstwie, zrozumiałem, że nikt już nie będzie chciał wyrównywać ze mną rachunków. Wzięła wszystko na siebie... Ale pojawiłeś się ty ze swoimi podejrzeniami, znalazłeś jej laptop i postanowiłeś zażądać wznowienia śledztwa.

Gonzalo powoli zamrugnął oczami, obserwował Luisa, jakby chciał go zahipnotyzować, jednak jego spojrzenie nieuchronnie rozbijało się o łagodne oblicze, doskonałe maniery, opanowanie i czarujący uśmiech. Były szwagier zamienił się w cienką linię na tle żółtej ściany spelunki, przybrał bezbronny wygląd, którego sam nie był świadomy. Uprzejmy, dobrze wychowany, wrażliwy, był jednocześnie tym drugim mężczyzną, który jak gdyby nigdy nic opowiadał o morderstwach, torturach, ofiarach. Prawdopodobnie nawet sam Luis nie rozumiał powodu, dla którego tak postąpił, wszystko wydarzyło się bardzo szybko, a kiedy opuścił go szalony impuls, który pomieszał mu zmysły, Zinowiew był już kupą mięsa w jego drżących dłoniach. Jego umysł okryła czarna, nieprzenikniona zasłona, nie dopuszczał litości, nie chciał wyjaśnień. Myślał tylko o tym, by skrzywdzić zabójcę swojego syna, wyrwać mu po kawałku życie w jak najbardziej bolesny sposób. Nie mógł, nie potrafił albo nie chciał przerwać orgii, która trwała godzinami. Za każdym razem, kiedy ochrypły, głęboki głos Zinowiewa, krzycząc, błagał o litość, coś kazało Luisowi traktować go jeszcze okrutniej.

– Dlaczego ukradłeś mi laptop Laury? Bałeś się, że coś mogłoby cię obciążyć?

Luis ze spokojem przygładził włosy, jakby w tym decydującym momencie

liczyły się jedynie dyscyplina i samokontrola.

– Kiedy dowiedziałem się, że planujesz wnieść o ponowne otwarcie śledztwa w sprawie Zinowiewa i Laury, domyśliłem się, że jakimś sposobem laptop trafił w twoje ręce. Wystarczyło cię śledzić, czekać. Nie miałem zamiaru utrudniać śledztwa, chociaż istniała możliwość, że w końcu odkryjesz, iż Laura nie zabiła tego człowieka. Mimo to postanowiłem zaryzykować. Musiałem się dowiedzieć, kim jest współnik Zinowiewa, osoba, która pojechała z nim nad jezioro w dniu, kiedy zginął mój syn. Musiałem zamknąć krąg. A ta informacja była w laptopie. Pomyślałem, że jeśli będę ci wysyłał dokumenty, dotrzymasz słowa i doprowadzisz śledztwo do końca, ale nagle zorientowałem się, że Alcázar i twój teść przekonali cię, żebyś się wycofał. Postanowiłem więc przystąpić do działania.

– Co zrobisz ze Siaką?

– Jeszcze nie podjąłem decyzji. Potrzebuję twojej pomocy, dlatego kazałem mu nagrać tę wiadomość na twojej sekretarce... Jak myślisz, co powinienem zrobić?

Odpowiedź Gonzala była kategoryczna.

– Zamordowałeś jednego człowieka i porwałeś drugiego. Jeżeli zabijesz Siakę, oni wygrają. Bez jego zeznań wszystkie dowody zebrane przez Laurę będą miały charakter poszlakowy. Nasze słowo przeciwko ich słowu. Nigdy nie stanie się zadość sprawiedliwości. Musisz go wypuścić, zwrócić mi laptop i oddać się w ręce policji.

Luis ostrożnie przesunął palcami po wierzchu dłoni wzdłuż żył i kłykci. Wiedział, że znalazł się w punkcie, z którego nie ma powrotu. Może wrócić do Londynu ze śliczną Eriką, ożenić się i zacząć nowe, uporządkowane i szczęśliwe życie. Ale i tak mu się nie uda, jak nie udało mu się z Laurą. Lata spędzone z Robertem były ładną fikcją. Ładną i niepowtarzalną.

Już nigdy niczego nie poczuje, absolutnie niczego. Zrozumiał to, kiedy torturował Siakę. Nie zachował się wobec niego tak jak wobec Zinowiewa – bestialsko, prymitywnie, impulsywnie. Stał się bardziej wyrafinowany, zasmakował w grze, zwodzeniu przeciwnika, dawaniu i odbieraniu nadziei, napawaniu go przerażeniem po to, by chwilę później ofiarować mu coś w rodzaju litości. Jego prawdziwą naturę pozwolił mu odkryć brak usprawiedliwień. Wreszcie się wyzwolił; nie robił tego z zemsty za śmierć Roberta czy Laury, przynajmniej już nie po tym pierwszym impulsie, który był niczym kruchy szkielet. Robił to dla siebie samego i chociaż z całą pewnością

nie czerpał przyjemności z zadawania bólu temu chłopakowi, nie doświadczał też najmniejszych wyrzutów sumienia. Po prostu potrzebował tego rodzaju sprawiedliwości i uniwersalnego porządku, w którym wszystko ma swój kontrapunkt.

Pokręcił głową.

– Jeżeli zrobię to, o co mnie prosisz, jeden z morderców mojego syna pozostanie na wolności. Zawrze układ z sędzią, dostanie nową tożsamość, pozwolą mu wyjechać... A ja będę musiał pójść do więzienia, bo wyjdzie na jaw, że zabiłem Zinowiewa.

– To niewykluczone – przyznał Gonzalo.

– I po co to wszystko? Myślisz, że rzeczywiście będzie warto? Spełni się pragnienie twojej siostry, Matrioszka zostanie rozbita, a Alcázar i twój teść zapłacą za swoje intrygi z ostatnich lat? Czy też wszyscy pozostaną bezkarni?

– Dzięki dowodom z laptopa Laury i zeznaniom Siaki żaden z nich nie pozostanie bezkarny, zapewniam cię.

– Nawet jeżeli każdy spłaci swój dług, czy nie pojawi się tysiąc kolejnych Matrioszek? Czy Laura nie walczyła ze złem? Mając absurdalną nadzieję, że je pokona? Nigdy nie zrozumiała, że nie można pokonać tego, co mieszka w każdym z nas. Bo wychodzi na to, że zło tkwi na samym dnie naszej natury, nie sądzisz? Umarła po nic, podobnie jak mój syn, a ty mnie prosisz, żebym też na darmo rzucił się na ten ołtarz ofiarny. Świat się nie zmieni, nigdy.

Co mówił jego ojciec? Jak brzmiało to nieme zdanie, które Gonzalo musiał sobie przypomnieć we śnie, żeby ocalić Laurę, i które zawsze zbyt późno wychodziło z jego ust?

– Skałę zaczyna drążyć pierwsza kropla, która na nią spadnie.

Luis spojrział na niego spod oka.

– Dość banalne stwierdzenie. Dobre może dla ludzi cierpliwych, ale my nie mamy wieczności, żeby czekać, aż upadnie cała ta konstrukcja.

– To zdanie mojego ojca. Każdy wybiera bitwy, w których walczy i zwycięża.

Luis odchrząknął, wstał i poprosił o rachunek.

– A jaką bitwę ty postanowiłeś stoczyć?

Gonzalo zadumał się na chwilę. Pomyślał o śnie, tak żywym, który wracał natrętnie przez całe jego życie.

– Tę samą, co moja siostra...

– I co zamierzasz?

– Mogę ci pomóc, Luisie. Potrzebujesz dobrego adwokata. Moglibyśmy znaleźć wiele okoliczności łagodzących, ale musisz z tym skończyć. Przyszedłem, żeby pójść z tobą na policję. Jeżeli nie zrobisz tego dobrowolnie, złożę doniesienie i sami po ciebie przyjdą.

Luis powiedział kelnerowi, żeby zatrzymał hojny napiwek. Jak zwykle uśmiechał się beztrzesko, pewny siebie, niegroźny.

– Przykro mi to słyszeć. Widzisz, ja inaczej patrzę na pewne sprawy. Wysłuchałem cię i chociaż rozumiem twoje racje, moje są zupełnie inne. Jednocześnie sędzę, że popełniłeś poważny błąd w obliczeniach – ledwo mnie znasz, a zjawiałeś się tutaj, żeby mi grozić. Nie mogę na to pozwolić. Tak naprawdę jest jeszcze jeden powód, dla którego kazałem Murzynowi zostawić ci wiadomość.

Przez większość czasu Siaka trwał w lunatycznym stanie, jak płód zanurzony w formalinie, oderwany od rzeczywistości, którą stanowiło to ogromne pomieszczenie, raz zamieniane w salę tortur, a kiedy indziej w pokój z widokiem na morze sprzyjającym melancholii. Po przebudzeniu chłopak zorientował się, że Luis zdarł z niego ubranie i skropił jego ciało wodą. Drżał, zimno przenikało mu aż do kości. Osunął się na podłogę i usiadł oparty plecami o ścianę, trzymając w górze twarz.

W tej pozycji nieco łatwiej mu się oddychało; pewnie miał złamany nos. Dotknął policzków spuchniętych jak piłki tenisowe i przygryzł wargi, żeby nie krzyknąć z bólu. Użalenie się nad samym sobą było stratą czasu i energii, a potrzebował ich, żeby przeżyć. Od momentu, w którym dosięgnął go pierwszy cios, jego los był przesądzony. Widział jedynie dwie możliwości, by ująć z tego z życiem: albo on skończy z Luisem, albo ten szalenciec wykończy jego. Ta myśl, szukanie sposobu na zaatakowanie go przez zaskoczenie, prześladowała Siakę, przewiercała jego głowę jak wbijane młotkiem dłuto – układał szalone plany, rezygnował z nich i wymyślał je od nowa. Będzie miał tylko jedną szansę.

Tymczasem musiał wytrzymać – poddanie się nie wchodziło w grę. Znał już sposób działania i myślenia Luisa, wiedział, że będzie martwy w momencie, kiedy zacznie błagać, by darował mu życie. Tak postąpił z Zinowiewem, torturował go, znęcał się nad nim, dopóki ten nie zaczął błagać, by skrócił jego męki. Dopiero wówczas pozwolił mu umrzeć i mógł się poczuć wielkoduszny.

Wybaczyć mu i dokonać egzekucji. Ale Siaka nie zamierzał umierać, dlatego nie zamierzał też błagać. Musiał jedynie opróżnić głowę z myśli, odurzyć się bólem i nie pozwolić, by Luis wykorzystał jego słabości, opowiadając mu o wakacjach z Laurą, wspominając Roberta, żeby go zmiękczyć, żeby wycisnąć z niego łzy i wyciągnąć słowa „wybacz mi”.

Nie, powinien otulić się bólem, jak nauczył się to robić, będąc dzieckiem, kiedy został porwany przez partyzantkę i zmuszony do przejścia szkolenia w jej szeregach; w ten sam sposób znosił gwałty Zinowiewa i makabryczne numerki, które musiał pokazywać zdegenerowanym, bogatym klientom. Wyłącznie dzięki temu przeżył – przestając myśleć. I tylko w ten sposób zdoła wyjść z tego cało.

Usłyszał odgłos otwieranego zamka i jego ciało przygotowało się na kolejny taniec.

Luis pojawił się w progu i obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Następnie na moment skupił wzrok na Siace, obdarzając go przyjacielskim uśmiechem.

– Ktoś chce się z tobą przywitać.

Odwrócił się i wepchnął do środka Gonzala.

Prawnik ostrożnie wszedł do pokoju. Ścisnęło mu się serce na widok kupy nieszczęścia, w jaką zamienił się Siaka. Z pogardą spojrzął na Luisa.

– Jak mogłeś w ogóle zrobić coś takiego?

Luis przyjrzał się uważnie Siace, jakby widział go pierwszy raz, po czym pokiwał głową.

– Nie mam zbyt dużo czasu, Gonzalo. A muszę być pewien twojej lojalności.

Podszedł do Siaki, wyjął pistolet i wycelował w głowę chłopaka.

– Ten skurwiel zdradził twoją siostrę, zaufała mu, a on nie zawahał się wykorzystać tego zaufania, porwał mojego syna i oddał go temu mordercy. A ty przejmujesz się jego losem. Co z ciebie za brat?

Gonzalo się wystraszył.

– Co zamierzasz zrobić?

Siaka powoli wstał, spoglądając uważnie na lufę pistoletu. Niespodziewanie podniósł wzrok na twarz Luisa i powiedział wyzywająco:

– Mecenas ma rację. Jeżeli mnie zabijesz, Matrioszka wygra. Odnoszę jednak wrażenie, że masz to gdzieś mimo całej tej gadaniny o tym, jak bardzo kochałeś Laurę i swojego syna. Tak więc jeżeli zamierzasz mnie zabić, zrób to wreszcie, ale nie oczekuj, że padnę przed tobą na kolana.

Palec Luisa napiął się na cynglu, kurek powoli odskoczył.

– Luisie, nie rób tego...

– Nie zrobię, chyba że ty mi powiesz, żebym to zrobił.

– Zwariowałeś? Nie każę ci zabić człowieka.

Kurek uderzył w próżnię z pełnym rozczarowania trzaśnięciem. Nie było wystrzału ani kuli. Luis uderzył Siakę w twarz kolbą i wściekły odwrócił się w stronę Gonzala, mierząc w niego z broni.

– Następnym razem padnie strzał. Ponownie zadam ci to samo pytanie. A jeśli udzielisz przeczącej odpowiedzi, zadam je jemu, mierząc w ciebie. Będę pytał was na zmianę, dopóki któryś z was nie postanowi, że drugi ma zginąć.

Gonzalo oniemiały z przerażenia spojrzął na Luisa, który teraz był dla niego obcym człowiekiem.

– Dlaczego to robisz?

Luis uśmiechnął się złośliwie i wzruszył ramionami.

– Kiedyś twoja siostra opowiedziała mi o pewnej kobiecie i o jej córce, które poznał w młodości wasz ojciec. Na pewno wiesz, o kim mówię. Twój ojciec znalazł się w obliczu nierozwiązywalnej dychotomii: bohater i jego cnoty versus człowiek i jego potrzeby. Zwyciężył potwór, twój ojciec podjął decyzję – przeżyć... Ja także wybrałem bitwę, w której chcę walczyć, i robię to na swój sposób. Widziałem, jak patrzyłeś na mnie w barze. Ty jesteś szlachetnym prawnikiem, dobrym synem Elíasa Gila, a ja okrutnym, sadystycznym szaleńcem. Twoja sprawa jest dobra, moja zła... Brzydzę się twoją hierarchią wartości, mecenasie! Zamierzam ci udowodnić, że nie jesteś lepszy ode mnie. Ani lepszy od swojego ojca. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin poprosisz mnie, żebym zastrzelił Siakę, albo on poprosi, żebym zastrzelił ciebie.

Miranda uwielbiała tańczyć przy muzyce grupy Compay Segundo y sus Muchachos. Było w niej coś, co przenikało do jej wnętrza i odrywało ją od zmartwień. Dopóki w sali nie zapaliły się światła, mogła zamknąć oczy i marzyć, że nadal jest małą dziewczynką, uczeptioną matczynej spódnicy, że kręci się w kółko w ich starym domu w Hawanie, pośród wiszących na sznurach spranych bawełnianych prześcieradeł i przenikającego wszystko zapachu juki i pumeksu.

W takim właśnie stanie kruchego szczęścia znajdowała się, kiedy wyszła z dyskoteki, spocona, zmęczona, ale czując w piętach mrowienie lekkości. Oparła się o maskę zaparkowanego samochodu, żeby rozprostować palce. Nie miała już dwudziestu lat, ciasne buty na szpilkach zadawały jej katusze. Poszukała w tandetnej torebce z cekinów paczki papierosów.

– Chcesz ogień?

Kiedy usłyszała ten głos pieszczący jej kark, miała ochotę wybuchnąć płaczem. Powoli poszukała wzrokiem ratunku. Była na parkingu sama, światła dyskoteki wydawały się latarnią morską nieosiągalną dla rozbitka. Wiedziała, że choćby krzyczała, nikt nie zjawi się na czas, żeby jej pomóc.

Floren Atxaga także o tym wiedział, ale na wszelki wypadek postanowił nie ryzykować. Nie chciał, żeby jakiś intruz pokrzyżował mu plany. Prawą ręką chwycił Mirandę za włosy i pociągnął ją do tyłu. Lewą wylał jej na twarz butelkę kwasu.

Mężczyzna był wysoki i przystojny, wyglądał jak wytwór agencji reklamowej. Alcázar dobrze go pamiętał.

– Co za spotkanie, Luisie.

Wpadli na siebie w holu kancelarii Gonzala. W pierwszej chwili były mąż Laury nie poznał inspektora, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Zaraz jednak go sobie przypomniał i serdecznie uścisnął mu rękę, dodając w prezencie szeroki, orzeźwiający uśmiech.

– Witam, inspektorze.

Alcázar poczuł ukłucie zazdrości na widok tego sprężystego, opalonego ciała. Luis należał do gatunku, który nie wydawał się ludzki. Ani grama tłuszczu, ani jednej niedoskonałości na skórze, ani jednego odstającego włosa. To było deprymujące. Dla własnej satysfakcji były inspektor nie wyprowadził go z błędu. Przynajmniej to dawało mu pewną przewagę.

– Co cię tu sprowadza?

Luis odpowiedział podejrzenie szybko, że jest przejazdem w Barcelonie i zajrzał, żeby się przywitać z Gonzalem. Niestety, jego asystentka powiedziała, że nie ma go w biurze.

To niedobrze, pomyślał Alcázar. Pożegnał się z Luisem i podszedł do biurka Luisy. Nie musiał się przedstawiać, dobrze się znali i nie darzyli zbyt dużą sympatią.

– Czego chciał?

Luisa spojrzała na korytarz, którym oddalał się Luis.

– To ciacho? Żeby poszła z nim do łóżka, ale dałam mu kosza.

– Bardzo śmieszne... Czego chciał?

Luisa rzuciła mu przebiegłe spojrzenie. Może porównywała jego pulchne ciało, pomarszczoną skórę, powolny oddech bawołu z doskonałą równowagą osobnika o kocich ruchach, który zostawił za sobą w powietrzu zapach perfum.

– To tajemnica między klientem a adwokatem.

Alcázar spuścił dłonie na biurko Luisy, jakby rzucił na nie zdechłą rybę.

– Nie mam czasu na głupoty, ślicznotko. Gdzie jest twój szef?

– Nie ma go tutaj.

Alcázar zmarszczył usta, jego wąsy podniosły się, odsłaniając żółty kiel.

– Od jak dawna tu nie zagląda?

– Od kilku dni.

– Dzwonił do ciebie, miałaś od niego jakieś wiadomości?

Poważne spojrzenie Alcázara zaczynało niepokoić Luisę, dała więc spokój żartom.

– Nie. Szczerze mówiąc, nie ma zwyczaju znikać bez uprzedzenia. Przynajmniej dzwoni do mnie, żeby poinformować, że nie przyjdzie albo że się spóźni... Coś się dzieje?

Alcázar bez ceregieli minął biurko Luisy i wszedł do gabinetu Gonzala, nie zważając na protesty asystentki.

– Powiedziałam panu, że go nie ma.

Gabinet rzeczywiście był pusty. W powietrzu unosiło się jednak coś, co wychwyciły czujniki na wąsach Alcázara.

– On tu był – powiedział, podkreślając zaimbek.

– Ma pan na myśli przystojniaka?

Alcázar przytaknął. W pokoju unosił się zapach perfum Luisa.

– Nie było mnie tylko przez chwilę – wystraszyła się Luisa. – Poszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, zastałam go tutaj. Siedział na krześle Gonzala, grzecznie przeprosił, powiedział, że drzwi były otwarte, że miał nadzieję z nim porozmawiać... Odniosłam dziwne wrażenie...

– Jakie wrażenie?

Luisa wykonała ręką ruch, jakby odpędzała jakąś absurdalną myśl.

– To nic takiego, ale wydawało mi się, że myszkował w gabinecie. Gonzalo w szczególny sposób układa papiery, a kiedy weszłam, były lekko poruszone.

Alcázar odnotował w myślach, że może powinien porozmawiać z byłym mężem Laury. Ale nie po to tu przyszedł.

– Gonzala nie ma w mieszkaniu, nie zajrzał też do szpitala, żeby odwiedzić syna. Lola mówi, że nie widziała go od dwóch dni.

Luisa pokiwała głową, po czym w zamyśleniu zmarszczyła czoło.

– To nie moja sprawa, ale ma przyjaciółkę, Tanię.

Alcázar napiął szczęki. Już to sprawdził, Gonzalo nie pojawił się ani we Flighcie, ani w księgarni Anny, ani w studiu Tani.

– Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć. Floren Atxaga zaatakował w nocy swoją byłą żonę. Oszpecił jej twarz kwasem przed dyskoteką. – Luisa zrobiła wystraszoną minę, Alcázar nie dał jej jednak dojść do słowa. – Wylize się z tego, ale jej twarz już nie. Przed odejściem Atxaga zostawił jej wiadomość dla Gonzala. Powiedział, że jego nie zeszpeci, ale dokończy to, co zaczął na parkingu. To mało prawdopodobne, ale istnieje możliwość, że pojawi się tutaj; na wszelki wypadek umieściłem w holu uzbrojonego ochroniarza. Będziesz musiała zachować czujność... Przestań się trząść... Słyszysz mnie?

– Myśli pan, że ten skurwysyn dorwał Gonzala?

Alcázar na razie odrzucał taką możliwość.

– Groźby padły ubiegłej nocy, a wygląda na to, że Gonzalo zniknął kilka dni temu. Myślisz, że rozpoznasz Atxagę, jeżeli się tu pojawi? Mogę poprosić, żeby przesłano ci faksem jego zdjęcie.

Luisa energicznie pokręciła głową.

– Nie trzeba, rozpoznałabym go od razu. Widziałam kilka razy nagranie z napadu. – Zaskoczona szybkością swojego języka, straciła pewność siebie i pożałowała tego, co powiedziała.

Alcázar spojrział na nią badawczo.

– Z jakiego powodu tyle razy oglądałaś nagranie?

Luisa próbowała uniknąć tego osaczającego spojrzenia, ale Alcázar nie pozwolił jej przed nim uciec. Naciskał na nią, aż powiedziała mu prawdę.

– Gonzalo poprosił, żebym dyskretnie zdobyła dla niego kopię. Miał obsesję na punkcie laptopa swojej siostry, myślał, że znajdzie odpowiedź na nagraniu.

– Nic tam nie ma, sam dokładnie je przejrzałem.

– Możliwe, ale myślę, że Gonzalo coś znalazł... Ostatni raz oglądał je właśnie dwa dni temu, tu, w swoim gabinecie.

– Gdzie je trzyma?

- W sejfie.
- Znasz szyfr?

Luisa przytaknęła. Gonzalo nie miał pamięci do sekwencji liczb; znał tylko numer swojego telefonu i dowodu osobistego, wybrał więc łatwą do zapamiętania datę: 23.06.1967.

Alcázar pokręcił głową zrezygnowany. Dzień, w którym Elías Gil zniknął nad jeziorem.

Wstukał kod na elektronicznym wyświetlaczu i otworzył drzwiczki. W środku znalazł dokumenty, umowy, nie było jednak żadnego nagrania.

- Było tu, widziałam, jak je chowa.
- Kto wchodził tu od tamtej pory?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę. Woń perfum Luisa zaczynała się już rozpraszać, wymieszana z zapachem tytoniu, którym było przesiąknięte ubranie inspektora.

Portier stawiał przeszkody; grzecznie poprosił, żeby jeszcze raz pokazał mu policyjną legitymację, którą Alcázar zbyt szybko machnął mu przed nosem.

– Daj mi wreszcie ten klucz, jeżeli nie chcesz mieć nieprzyjemności – odparł inspektor z wyuczoną stanowczością, mającą na celu przełamywanie oporu.

Wystraszony portier wręczył mu zapasowy komplet kluczy do mieszkania.

Wewnątrz panowała cisza, wydawało się, że już zawsze tak będzie. To, co zostało powiedziane w tym mieszkaniu, to, co wydarzyło się w tych ścianach, znikало dla oczu i uszu obcych ludzi.

Gonzalo był człowiekiem metodycznym, wręcz aseptycznym. Każdy przedmiot miał swoje miejsce, nic nie było zbędne. W rzeczywistości jednak w mieszkaniu panował nietrwały porządek, charakterystyczny dla połowicznych rozwiązań. Brakowało osobistych pamiątek, na półkach stało zaledwie kilka książek i zdjęć, meble czekały jeden z dala od drugiego na przytulniejszą aranżację. Równie dobrze mogłaby to być kryjówka zbiega, mieszkanie służące do tajnych spotkań albo rzadko używane biuro – wszystkie pełnią swoje role tymczasowo. Niedokończony obraz, pierwszy szkic – nowego życia? Zamierzał się tu przeprowadzić na stałe? Sam czy z Tanią? Od śmierci Laury minęło trochę ponad sześć miesięcy, Alcázar mógł się przez ten czas przekonać, jak bardzo Gonzalo przypomina siostrę, choć na pozór

wydawali się tak różni.

Pomyślał, że w innych okolicznościach łatwo znalazłby wspólny język z Gonzalem, znacznie łatwiej niż z popędliwą, bojowo nastawioną Laurą. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że oboje byli dziećmi Eliása Gila. Może Gonzalo wydawał się bardziej łagodny i życzliwy, tak jak jego matka, ale pod tą patyną dało się dostrzec Gila. Stary „Cyklop” byłby dumny ze swojej latorośli. Tak samo upartej jak on. Mecenas nie znosił, kiedy próbowano nim manipulować czy sprawować nad nim kontrolę, zarówno Alcázar, jak i Agustín González popełnili błąd, lekceważąc jego możliwości.

Po ponownym przejrzeniu nagrania z dnia, w którym został napadnięty Gonzalo, inspektor zrozumiał, że ten błąd w szacunkach może ich bardzo drogo kosztować. Nie ulegało wątpliwości, że to Luis ukradł laptop. W jakim celu? Odpowiedź była tutaj, mrugała na automatycznej sekretarce Gonzala. Chciał dorwać Siakę. Po wysłuchaniu wiadomości Gonzalo musiał odkryć byłego szwagra na nagraniu. A skoro rano Luis ukradł płytę z gabinetu prawnika, niemal pod jego nosem (co doprowadzało Alcázara do szału), to znaczy, że znał szyfr do sejfu. Wydawało się logiczne, jak go zdobył – podał mu go Gonzalo – i albo inspektor się mylił, albo adwokat nie zrobił tego dobrowolnie. Mieli umowę, Alcázar był przekonany, że Gonzalo jej nie złamie, chyba że ktoś go do tego zmusi. Ochrona i uniewinnienie Javiera w zamian za Siakę, laptop i zapomnienie o Matrioszce.

Jednak pojawienie się Luisa było zmienną, która modyfikowała całe równanie. Jego postępowanie wydawało się pozbawione logiki. Z jednej strony ukradł laptop i porwał Siakę, uniemożliwiając śledztwo w sprawie Matrioszki. A z drugiej bez wahania wysyłał raporty prokuratorowi i dawał Gonzalowi do zrozumienia, że ma świadka Laurę.

Gonzalo się nie mylił. Laura nie mogła zabić Zinowiewa, teraz prawnik miał na to dowody. Był tak uparty, że prawdopodobnie próbował przekonać Luisa, żeby oddał się w ręce policji. Alcázar wyobrażał sobie, że jest do tego zdolny, i miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Ten człowiek jeszcze nie wiedział, w jakim świecie żyje, był przeklętym idealistą – pewnie odwołał się do poczucia lojalności Luisa, do pamięci o Laurze, do tysiąca sentymentalnych sztuczek.

Ale Luis bardzo przeżył śmierć swojego syna i nie istniały kłamstwa ani podstępny, które mogłyby temu zaradzić. Ten elegancki facet zamierzał rozbić bank, a Alcázar nie wiedział, w jaki sposób to zrobić.

Mógł usiąść i czekać – sytuacja rozwijała się pomyślnie dla niego. Na pewno to właśnie doradziłyby mu bez wahania Agustín Gonzalez – pozwolić, żeby się nawzajem zniszczyli, a potem pozamiatać resztki na śmietniczkę. Kogo obchodzi, że Luis zamorduje Siakę i Gonzalę? Leży to w interesie Matrioszki. Wystarczy, że zaczeka i dyskretnie naśle kogoś na Luisa za kilka miesięcy, kiedy wszystko ucichnie. Pechowy wypadek, którego nikt nie skojarzy ze śmiercią Siaki i Gonzalę.

Wobec tego dlaczego wybrał numer Anny Achmatowej i powiedział jej, że muszą porozmawiać?

– Za pół godziny w księgarni – brzmiała jej oschła odpowiedź.

Alcázar przez kilka sekund trzymał w dłoni telefon, kręcąc głową. Pomyślał o Cecilii, o tym, jak musiał ją podmywać, kiedy szła do ubikacji, bo już sobie sama nie radziła. „Czasami zaskakuje mnie czułość, jaką masz w sobie”, powiedziała mu kiedyś. Alcázar pamiętał własne dłonie umazane odchodami, silny smród powoli rozkładających się wnętrzności żony, wstręt, który musiał przezwyciężać za każdym razem, kiedy prowadził ją do łazienki, i miłość, jaką do niej czuł, kiedy patrzył, jak wydała marne resztki. To prawda, że wewnątrz jednego człowieka mieszczą się wszyscy inni. Jak w matrioszkach, które tak lubiła Laura. Należało być wystarczająco cierpliwym i odważnym, by dotrzeć do ostatniej z możliwości. Pomyślał o wyspie koralowej w okolicach Miami widniejącej na folderze, z którym się nie rozstawał. Uśmiechnął się – w sumie ciągnąca od morza wilgoć zawsze przyprawiała go o bóle w kościach. Poza tym nigdy nie przepadał za jankesami.

Anna Achmatowa wysłuchiwała nieporuszona wyjaśnień Alcázara. W tle rozbrzmiewały cicho tony requiem. Anna powiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „zamknięte”, po czym poprowadziła Alcázara na zaplecze.

Inspektor nigdy wcześniej tu nie był. Pomieszczenie dzieliło się na magazyn wypełniony kartonami książek i część mieszkalną. Anna usiadła na fotelu na biegunach z ręcznie wydzierganą poduszką, okrytym koronkową narzutą. Obrazek dobrotliwej staruszki byłby wiarygodny, gdyby nie wyciągnęła davidoffa, którego zapaliła zapałką niczym kierowca tira. Papierosy wydzielały silny, słodkawy zapach.

– Po co mi to wszystko opowiadasz?

Anna Achmatowa miała lekką słabość do Alcázara. Przed trzydziestu

czterema latami, kiedy mogła jeszcze sądzić, że na zawsze uciekła Igorowi, inspektor bardzo jej pomógł. Ale po latach zawiązką kazał sobie zapłacić za tamtą przysługę. Był jednym z wielu mężczyzn, którzy marnują życie z winy wygórowanych ambicji, którzy stają się podli z powodu wysokiego mniemania o własnych słabościach, afiszują się nimi, jakby chodziło o wojenne blizny. Pod jego pozornym cynizmem i nieskrywaną zachłannością, pod jego pozornym brakiem skrupułów, z którym się obnosił, kryło się jednak szczere uczucie, a przynajmniej daleki dowód na to, jakim mógł być człowiekiem. Tego popołudnia w mężczyźnie, który przed nią siedział, dwie natury nie do pogodzenia toczyły ostatnią bitwę; z jakiegoś znanego tylko jemu powodu na pole swojej walki wybrał właśnie Annę.

– Myślę, że wiem, gdzie jest Siaka i kto ma laptop Laury.

Anna Achmatowa uniosła brodę i z wyższością spojrzała na Alcázara.

– Wobec tego wiesz też, co masz robić.

Inspektor przytaknął, choć w rzeczywistości nie usłyszał jej słów, pogrążony we własnych myślach.

– To nie takie proste. Podejrzewam, że syn Elíasa dowiedział się tego wcześniej. Ten głupiec próbował działać na własną rękę i czuję, że jest teraz z tym chłopakiem.

– W takim razie zajmij się także i nim – powiedziała Anna bez wahania.

– A co z twoją córką? Nie obchodzi cię, co czuje do tego mężczyzny?

Anna Achmatowa wygładziła rękaw szkarłatnej koszuli. Z guzika na mankiecie zwisała niemal niewidoczna nitka. Nawinęła ją na mały palec i urwała gwałtownym szarpnięciem.

– Uczucia mojej córki to nie twoja sprawa. Powinieneś raczej martwić się o siebie – jeżeli ten czarnoskóry chłopak będzie zeznawał w procesie, ty i Agustín González macie najwięcej do stracenia. To wam powinno najbardziej zależeć na tym, żeby zniknął.

Alcázar podszedł do półki i z roztargnieniem pogładził grzbiet książki.

– Ile ma lat? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To on, prawda? Igor nadal decyduje o twoim życiu. Boisz się go, nienawidzisz, a jednocześnie stałaś się jego żywym obrazem. On decyduje, kto ma żyć, a kto umrzeć. To on podjął decyzję o porwaniu Roberta, on kazał go zabić i wrzucić jego ciało do tego samego jeziora, nad którym wszystko się wydarzyło, on uknuł, jak zemścić się na Laurze, a teraz przyszła kolej na

Gonzala. I przypuszczam, że następnymi w kolejce będą jego dzieci i żona. Tak naprawdę projekt ACAS-y to tylko jeszcze jeden sposób na to, żeby się zemścić, żeby odebrać Elíasowi Gilowi ostatnią rzecz, jaka po nim została, ten absurdalny dom z pustym grobem, zniszczyć go, zrównać z ziemią, pogrzebać pod tonami piachu, po którym on, Igor Stern, przespaceruje się triumfalnie po raz ostatni i będzie mógł wygarnąć duchowi Elíasowi Gila, że koniec końców to on zwyciężył. Nadal żyje, prawda? To on jest Matrioszką.

– Uważaj, co mówisz.

Ale inspektor nie zamierzał się hamować. Zbyt długo chodziła mu po głowie ta myśl.

– Wykorzystałaś mnie tamtej nocy, tyle że byłem wtedy za młody i za bardzo arogancki, żeby zdać sobie z tego sprawę. Kiedy znalazłem cię nad jeziorem w koszuli poplamionej krwią Elíasowi, nie rozumiałem jeszcze, że stoicie przed tym samym dylematem: wzajemna miłość czy nienawiść. Elías wyznawał te same zasady, co ty – nie liczą się normy ani prawda czy kłamstwo, nie liczy się moralność ani dobro czy zło, to tylko dogmaty, które należy przewyciężyć, żeby osiągnąć względny spokój. Wiedziałaś od początku, że był podwójnym agentem, że współpracował z moim ojcem. I że Igor Stern żyje, bo mój ojciec nie dotrzymał swojej części umowy, którą zawarł z Elíasem. Zdradzenie towarzyszy na nic się zdało. Pojechałaś nad jezioro, żeby mu o tym powiedzieć, Igor Stern wykorzystał cię, żeby skonfrontować Elíasowi z tą straszliwą prawdą. Miałaś go oskarżyć przed jego rodziną, obalić mit bohatera. Stern chciał widzieć, jak rozpada się na kawałki. Nie przypuszczałaś jednak, jakie skutki będzie miało wyjawienie prawdy. Zawsze myślałem, że mojego ojca i Gila łączy coś, z czego ja zostałem wykluczony, przyjaźń, której nigdy nie rozumiałem, a którą mój ojciec uparcie podtrzymywał mimo ryzyka, jakie stanowiło przyjaźnienie się z komunistą. Nie wiedziałem, dlaczego go chroni. Może dlatego, że przyjaźń jest warta więcej niż sztandary. To byłoby jednak zbyt poetyckie, a mój ojciec bynajmniej nie miał duszy poety. Nie mogłaś podejrzewać, że echo twoich słów trzydzieści cztery lata później rozbrzmi w uszach twojej córki. Ani że fala uderzeniowa dosięgnie także nas. Przebiegli ludzie nigdy nie narzucają swojej woli. Przekonują innych, że działają *motu proprio*. Najwierniejszy niewolnik to taki, który czuje się wolny. Dużo nad tym myślałem, dziwi mnie, że nie zorientowałem się wcześniej; Igor stoi za nami wszystkimi, manipuluje nami, jakbyśmy byli marionetkami, każe nam wierzyć, że jesteśmy panami naszych decyzji. Minęło

wiele lat, tyle, że wydaje się niemożliwe, by nadal toczył swoją wojnę z Eliášem, wojnę, w której my wszyscy jesteśmy pionkami, zbędnymi figurami.

– Kompletnie oszalałeś!

– Nikogo nie szanuje... poza tobą. Jesteś żywym dowodem jego zwycięstwa. Ale teraz ty także się go boisz. Nie ze względu na siebie, ale na swoją córkę. Nigdy jej nie chciał, traktuje ją jak coś obcego. To za jej pośrednictwem sprawuje nad tobą władzę, prawda? Miecz Damoklesa wiszący nad głową Tani robi z ciebie marionetkę w jego rękach. Wiesz o tym, wiesz, że nie zawaha się, by ci ją odebrać, jeżeli w ten sposób może skrzywdzić Gilów.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała Anna Achmatowa.

– Wiesz doskonale. Jakże absurdalna jest ta historia o zadawnionych urazach podtrzymywanych przez tylu starców: ciebie, Esperanę, mnie, Wieliczkę... Igora Sterna. Nasz czas minął, ale nie chcemy wypuścić deski nienawiści, bo w przeciwnym razie utoniemy, nawet jeżeli, aby utrzymać się na powierzchni, będziemy musieli utopić tych, którzy odziedziczyli wyłącznie naszą truciznę.

Przysunął się do Anny i pogłaskał ją po policzku.

– Czas podnieść kotwice, Anno. Musisz z nim porozmawiać. To wszystko musi się skończyć.

Anna Achmatowa spojrzała na Alcázara z wesołym błyskiem w oku. Po długiej chwili milczenia z rezygnacją pokręciła głową.

– Nie wiesz, o co prosisz. Naprawdę nie masz najmniejszego pojęcia.

27.

BARCELONA, CZERWIEC 1967 ROKU

Letnia burza przepływała nad doliną niczym statek z czarną banderą, szukając miejsca, w którym mogłaby wylądować swój gniew. O pomost nad jeziorem uderzały już niczym śrut pierwsze krople deszczu i chociaż chłopiec spoglądał z niepokojem na coraz ciemniejsze niebo, jego ojciec siedział nieporuszony, nie spuszczać wzroku z wędki.

– Skup się na tym, co jesteś w stanie kontrolować, i zapomnij o reszcie – powiedział synowi, szturchając go lekko łokciem, żeby nie poluźniał żyłki.

Chłopiec chciał zatrzymać to zdanie w pamięci, żeby spróbować je potem odszyfrować, ale z czasem zapomni te słowa, jak zapominał wszystko inne. Pozostanie mu jedyne mgliste wrażenie, że czasami podczas wypraw na ryby ojciec starał się powiedzieć mu coś ważnego.

Kiedy Elías Gil uznał wreszcie, że nie ma sensu czekać, aż jakaś ryba złapie przynętę, obydwoj byli przemoknięci do suchej nitki, a burza szalała z wściekłością w całej dolinie, ograniczając widoczność do kilku metrów. Nieporuszony zebrał sprzęt wędkarski, po czym ruszyli w stronę domu, pozwalając, by siekł ich deszcz. Gonzalo od czasu do czasu podnosił głowę i spoglądał na ociekający wodą profil ojca; Elías patrzył przed siebie, lekko marszcząc czoło, z garbatego nosa zwisały mu krople, które spadały na pierś wyzierającą z rozpiętej koszuli. „To prawdziwy mężczyzna”, powiedziała kiedyś na widok Elíasa jakaś kobieta z miasteczka; chłopiec zaczął myśleć, że inni nimi nie są. Co prawda dla niego ojciec nie był mężczyzną, ale jednookim gigantem, jak Cyklop, z którym musiał zmierzyć się Odyseusz – pani w szkole pokazywała im go w ilustrowanych książkach, opowiadając o miejscu zwanym Itaką.

Mimo burzy i nieudanego połowu chłopiec czuł ulgę. Po sposobie, w jaki ojciec ścisnął go za rękę, wnioskował, że dziś jest w dobrym humorze.

Płynąca z jego dłoni siła była opiekuńcza, nie groźna. Modlił się, żeby trwało to jak najdłużej.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytał Elías, nie zatrzymując się ani nie spoglądając na syna.

Chłopiec odwrócił wzrok, zawstydzony. Nie miał pojęcia, w jaki sposób patrzy na ojca ani czy jest on właściwy. Wiedział za to, że czasami robi mu się ciepło na sercu, a kiedy indziej kurczy się z zimna. Tego ranka, mimo że burza targała brzoza, a ścieżka zamieniała się w błotnisty strumień, czuł, że jest mu ciepło. Rzadko się tak działo, a było to niesamowite doznanie.

– Wystraszyłeś się tego, co zaszło wczorajszej nocy?

Gonzalo pokręcił głową, a wraz z nią odstającymi uszami i przyklejoną do czoła grzywką. Nie wiedział, czy wciąż jest wystraszony, miał jednak nadzieję, że Laura nie będzie już więcej ukrywała go w studni, kiedy z szopy dochodzą krzyki i hałas rozbijanych przedmiotów. Miał też nadzieję, że już więcej nie zsika się w łóżko. Nagle Elías przystanął i głęboko westchnął. Deszcz spływał po czarnej powierzchni jego opaski, a Gonzalo wyobraził sobie, że wilgoć przesiąka przez materiał i wypełnia po brzegi pusty oczodół. Wyglądało to tak, jakby ojciec płakał, choć w rzeczywistości jedynie się rozlewał.

– Nie widziałeś tego, co widziałeś. Nie słyszałeś tego, co słyszałeś. Musisz bardzo szybko zapominać, żebyś mógł pamiętać inne rzeczy, rozumiesz?

Gonzalo powiedział, że tak, chociaż oczywiście nie rozumiał ani słowa. Będzie musiał dodać to zdanie do poprzedniego i zastanowić się nad nimi, zanim rozmyją się w jego pamięci.

Elías z niedowierzaniem spojrzał na syna, po czym wybuchnął śmiechem, ostrym jak brzytwa.

– Jesteś jeszcze za mały, żeby wbijać ci do główki takie myśli. Głupiec ze mnie.

Jedyną rzeczą, którą Gonzalo zapamiętał z ubiegłej nocy, były łyzy płynące mu z oczu w ciemnościach studni oraz towarzyszące im straszliwe poczucie osamotnienia i strach, że jego siostra o nim zapomni, że nie zobaczy jej głowy w otworze ani nie poczuje, że jej ręce ciągną go w górę, jak bywało do tej pory.

Ale Laura zawsze w końcu się pojawiała. Kochał swoją siostrę najbardziej na świecie, nawet bardziej niż ulubione zabawki, bardziej niż ojca i dużo bardziej niż matkę. Bardziej niż poranne kąpiele na golasa w jeziorze

i bardziej niż robienie figur ze śniegu. Jego miłość do Laury była porównywalna jedynie z radością, jaką czuł, kiedy w niektóre ranki otwierał ze strachem oczy, macał prześcieradło i odkrywał, że tym razem się nie zsikał.

Chroniła go, choć Gonzalo nie rozumiał dokładnie, przed czym. Ale kiedy ojciec zaczynał krzyczeć i szybko, nerwowo wymachiwać rękami, kiedy stukanie w maszynę do pisania nabierało prędkości rozpędzonego pociągu, pojawiała się i niosła go na rękach do studni, całowała go w usta i szeptała mu uspokajające słowa, obiecując, że po niego wróci.

Tego ranka Laura nie wyszła z pokoju, siedziała zamknięta do obiadu, a kiedy matka kazała Gonzalowi po nią pójść, zastał ją skuloną na podłodze między łóżkiem a oknem. Południowe słońce oświetlało połowę jej twarzy, druga, zasłonięta zmierzwionymi włosami, pozostawała w cieniu.

– Nie patrz tak na mnie – skarciła Gonzala. Zbity z tropu chłopiec zadał sobie pytanie, dlaczego wszyscy krytykują jego sposób patrzenia, co jest złego w tym, że patrzy, żeby widzieć.

– Masz siniaka na policzku. I zadrapania na szyi.

Laura odruchowo zakryła twarz rękami. Miała trzynaście lat, ale czasami wydawała się Gonzalowi znacznie starsza, tak stara, jak ich matka. Zwłaszcza kiedy nerwowo dotykała włosów i unikała jego wzroku.

– Przewróciłam się, zrywając jeżyny.

W takie dni Gonzalo czuł, że jego siostra jest kimś innym, kogo nie zna, i że wszyscy w domu zachowują się inaczej. Matka była dla niej miłsza, ale w sposób przypominający ten, w jaki podejmowała ciastkami czy kawą przyjaciół Eliása. Laura odnosiła się do niej niemal agresywnie, czym w normalnych okolicznościach zasłużyłaby sobie na porządną reprimendę ze strony ojca. On jednak na nią nie patrzył, wręcz przeciwnie – starał się jej unikać.

Coś mówiło chłopcu, że nie powinien zatrzymywać tych obrazów w pamięci.

Dobłą stroną burzy jest spokój, jaki po niej następuje. To właśnie pomyślał Wasilij Wieliczko, kiedy wysiadł z samochodu i spojrzął z szosy na zielone góry i widoczne w głębi jezioro, w którym odbijało się bezchmurne niebo. Na spokojnie płynące strużki błota przypominające powolną odwilż na Syberii, zwiastowaną przez topniejące sopte, które zwisały z sufitu baraku, a któregoś

ranka zaczynały skapywać na drewniane prycze. Niedające się z niczym porównać doznanie: że przeżyło się kolejną zimę w gułagu.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – Odwrócił się w stronę drzwi samochodu. Anna wystawiła głowę za okno i beztrudno paliła, opierając brodę na przedramieniu. Łapczywie pożerała wzrokiem otoczenie.

– To będzie miła niespodzianka – powiedziała, chowając głowę do środka i głaszcząc twarzyczkę śpiącej na jej kolanach Tani. Córka dostała mdłości z powodu tych wszystkich zakrętów i była bardzo blada.

Wieliczko z powrotem usiadł za kierownicą.

– Nie widzieliśmy go od ponad dwudziestu lat. Nie jestem pewien, czy warto, Anno – powiedział, poprawiając lusterko wsteczne. – Najprawdopodobniej nawet nas nie pamięta.

Anna zmarszczyła ładne usta i oparła głowę o siedzenie, spoglądając na rude włosy córki. Była lustrzanym odbiciem Martina. Anglik z pewnością oddałby wszystko, żeby móc ją tylko zobaczyć.

– Ważne, że my pamiętamy jego.

Wiadomość o tym, że śliczna rosyjska pisarka wynajęła na wakacje dom na północnym brzegu jeziora, obiegła dolinę lotem błyskawicy. Podinspektor Alcázar dowiedział się o tym pierwszy i od razu złożył jej wizytę.

– Nieczęsto odwiedzają nas obywatelki ZSRR.

Musiał się zdobyć na duży wysiłek, by oderwać wzrok od jej obfitego biustu i perłowoszarzych oczu – nie wiedział, czy z niego kpią, czy nim gardzą, czy też przyglądają mu się z odrobiną ironii. Nie przywykł do obcowania z kobietami tej klasy. Anna Achmatowa miała trzydzieści pięć lat, pochodziła z zachodniej Syberii, była z zawodu pisarką, pracowała jako attaché kulturalny w radzieckim konsulacie, wzięła ślub cywilny z Anglikiem Martinem Balerym, z którym rozwiodła się rok później, i miała trzyletnią córkę, Tanię Balery Achmatową.

– Zdjęcie nie oddaje całej prawdy – powiedział Alcázar, zwracając jej paszport. – W rzeczywistości jest pani znacznie piękniejsza.

Bez wątplenia była piękna. Każdy normalny mężczyzna żywił w sercu nadzieję, że ją w sobie rozkocha albo uwiedzie. Wywoływało to jednak gniew niektórych cnotliwych parafian. Co prawda od początku lat czterdziestych wiele się zmieniło, mimo to Hiszpania nadal miała upodobanie do polowań na czarownice. Urągająco ładna radziecka pisarka, ponadto rozwódka samotnie wychowująca córkę – Alcázar czuł się tak, jakby ktoś wysłał mu bombę

owiniętą w ozdobny papier z dużą kokardą.

– A pan jest...? – zapytał, zwracając się do mężczyzny, który trzymał się dyskretnie na uboczu. Mógł być ojcem Anny albo jej kochankiem.

Wasilij Wieliczko nienawidził psów na usługach władzy; dla własnej higieny psychicznej wypierał fakt, że przez większość życia sam był jednym z nich. Nawet podczas lat spędzonych w gułagu, do którego trafił po wyzwoleniu obozu jenieckiego w Polsce, starał się utrzymać pośród więźniów dyscyplinę i wierność partii. Ale on był człowiekiem ideowym, niezachwianie wierzył w sprawę – sprawę nie ludzi, a właśnie idei – i z dumą twierdził, że tym różni się od osób takich jak ten wąsaty policjant ze śmiesznym tupecikiem, który teraz żądał od niego wyjaśnień. Wasilij poznał dużo podobnych mu ludzi, najemników służących samym sobie. Podał mu paszport i wyprostowany czekał, aż dostanie go z powrotem.

– To mój brat, nie mówi dobrze po hiszpańsku – wytłumaczyła go Anna.

– Nazwisko się nie zgadza.

– Ale serce tak, i to się liczy – wtrącił oschle Wieliczko.

Alcázar wyczuł, że będzie miał problemy z tym typem. Na szczęście powiedział, że nie zamierza tu zostać. Musiał się zająć swoim interesem w Barcelonie, przyjechał tylko po to, żeby się upewnić, że jego „siostrze” i „siostrzenicy” niczego nie zabraknie.

– Udanych wakacji. Mam nadzieję, że napisze pani o nas same miłe rzeczy – powiedział podinspektor, uznając formalności za załatwione i obiecując sobie, że wkrótce znów zobaczy się z tą kobietą, tym razem w mniej oficjalnych okolicznościach.

Przed wyjazdem Wasilij Wieliczko jeszcze raz spróbował przekonać Annę, że to, co zamierza, jest szaleństwem, choć po tylu nieudanych podejściach robił to bez wiary w sukces.

– Przyjechaliśmy tutaj, żeby zacząć od początku. A ty chcesz kopać pod sobą dołki. Proszę, wróć ze mną do Barcelony, wychowajmy Tanię i zostawmy za sobą przeszłość.

Anna spojrzała na swojego drogiego Wasilija tęsknym wzrokiem, jakim patrzymy na bukiet zwiędłych kwiatów, które kiedyś były żywe. Mężczyzna, który troszczył się o nią przez całe jej dzieciństwo, nadal był zamknięty w gułagu, a przynajmniej została tam jego dusza, nieświadom, że przestała być małą dziewczynką i nie tylko nie potrzebuje już jego opieki, ale teraz to ona powinna zaopiekować się nim.

– Nie mogę wyjechać. Muszę wypełnić moją część umowy.

Wasilij spojrział na Annę z rezygnacją.

– Jesteś tu nie tylko z powodu tego, co obiecałaś Igorowi Sternowi w zamian za paszporty. Cokolwiek byś mówiła, chodzi o osobiste porachunki, o coś, co chcesz zrobić ty sama, prawda?

Anna Achmatowa wyjrzała przez okno domu, który nie brał jej jeszcze za właścicielkę. Okolica była jak chmura, na której musiała postawić stopy.

– Jestem to winna mojej matce. I jestem to winna samej sobie.

– Anno, pomyśl o Tani. Twoja matka należy do przeszłości, jak Nazino i Elías Gil. Przyszłością jest twoja córka, nadzieja na inne życie.

Na twarzy Anny pojawił się uśmiech. Jak naiwni są ludzie tacy jak Wasilij. Nieważne, ile razy życie da im w kość, zawsze będą myśleli, że może być inne, a tym samym lepsze.

Laura jęknęła, kiedy dotknęła swojego boku. Gonzalo to zauważył i przestał ją ścigać z rękami rozłożonymi jak skrzydła samolotu.

– Boli cię?

Laura wykrzywiła usta w podkówkę.

– Bardzo głęboko.

Myślała, że to się więcej nie powtórzy, nigdy. Ostatnim razem Elías ukląkł na podłodze i objął ją za nogi, moczając je łzami. Prosił ją o wybaczenie tyle razy, że Laura straciła rachubę i w końcu zaczęła mimowolnie głaskać go po szpakowatych włosach i płakać razem z nim. Mimo wszystko go kochała, w miarę, jak dorastała i powtarzały się takie sceny, uzmysławiała sobie, że nie może zapobiec temu, by to uczucie rosło. Dlatego chciała mu wierzyć. Przez kilka lat, co najmniej dwa, dotrzymywał słowa i Laura myślała, że to wszystko jest już za nimi, ukryte w jakiejś części jej umysłu, do której nigdy nikogo nie dopuści. Ale znów się powtórzyło, tym razem z brutalnością, która odebrała jej możliwość reakcji.

Teraz Elías nie prosił jej o wybaczenie ani nie opowiadał jej tych straszliwych historii z przeszłości, jakby rozumiał, że posunął się za daleko i że Laura nigdy tego nie zapomni. Spędzał noce zamknięty w szopie, a kiedy Esperanza próbowała skłonić go do wyjścia, okropnie się kłócili. Bili się, wyzywali, niszczyli. Jediną obsesją Laury stało się trzymanie Gonzala z dala od tego wszystkiego. Ostatnio zauważyła zmianę w podejściu Elíasa do jej

młodsze brata. Gonzalo był tak niewinny, tak czysty i tak podziwiał ojca, że ten czuł się brudny i nikczemny, walczył z pokusą, by wyprowadzić chłopca z błędu, jakby nie znosił podziwu i szacunku, jakimi darzył go syn, jego niewinności.

– Zabierz go z moich oczu – ostrzegał nieraz Laure, kiedy alkohol zaczynał plątać mu język i mącić zielonkawę spójnienie jedyne oka.

Laura nie zamierzała pozwolić, by jej brata spotkała jakakolwiek krzywda. Ona mogła znieść wiele rzeczy, czasami strasznych, bo była taka jak ojciec, także posiadała ten monstrualny dar obojętności na własne cierpienie, pogardy dla najmniejszej szansy na szczęście. W wieku trzynastu lat rozumiała już świat, w którym przyszło jej żyć, i rządzące nim zasady. Ale Gonzalo był jak Esperanza: oddany, milczący, spokojny i posłuszny, niezdolny przyjąć do wiadomości, że nawet jeżeli usuwasz się na bok, życie nie zapomina, że jesteś, i daje ci to jasno do zrozumienia, często w niesprawiedliwy sposób. Nie był przygotowany do tej walki o przeżycie; nigdy nie będzie. Uwielbiał ojca i tak powinno pozostać. Niewiedza była dla niego najlepszą obroną.

To ona pierwsza zobaczyła tę kobietę przy furtce do ogrodu, zanim Gonzalo uczeplił się jej spódnicy, a psy zaczęły szczeleć. Nieznajoma przyglądała się jej taksującym, poważnym spojrzeniem. Potem podniosła wzrok na dom, zobaczyła coś, co wywołało na jej twarzy uśmiech, i odeszła ścieżką prowadzącą do szosy. Minutę później Laura usłyszała oddalający się warkot silnika. Przez jedno z okien na piętrze wyglądała Esperanza, trzymała się mocno parapetu, z uwagą wpatrując się w ścieżkę, na której zniknęła kobieta. Laura nigdy nie widziała w jej oczach tego cienia gniewu.

Dwie minuty później z szosy wyjechał, terkocząc, stary renault ojca. Gonzalo wybiegł za nim jak piesek – Laura nie zdążyła mu w tym przeszkodzić. Potykając się, pędził za samochodem, aż wreszcie stanął wyczerpany, żeby złapać oddech, podczas gdy rura wydechowa renaulta zniknęła, zostawiając za sobą gęstą chmurę dymu.

Młodość urąga starości jedynie w przypadku tych, którzy nie przeżyli wystarczająco dużo. Mimo to kiedy Elías stanął przed Anną, nagle poczuł ze zdwojoną siłą wszelkie dolegliwości związane z wiekiem. Nie został ślad po dziewczynce, którą niósł na rękach podczas długich dni marszu przez step, a to oznaczało, że nie został też ślad po chłopaku, który wtedy się nią zajmował.

Elías dzień po dniu tracił grunt.

– A więc jesteś pisarką – powiedział, spoglądając na małą biblioteczkę, którą Anna urządzała na parterze domu, obok salonu. – Jakiego rodzaju pisarką?

Anna zastanowiła się przez chwilę nad odpowiedzią, po czym rzuciła mu ponure spojrzenie.

– Z tych co piszą.

– I chcesz mnie przekonać, że przyjechałaś tu tylko po to, żeby napisać książkę?

– Nie chcę cię o niczym przekonywać.

Elías stał przy drzwiach prowadzących do ogrodu, za nim lśniła w słońcu trawa. Annie mignęła Tania biegnąca za motylami.

– Czego chcesz? Po co przyjechałaś? – zapytał wrogo po długiej chwili milczenia.

W Annie wezbrał gniew, ale jedynie błysnął w jej oczach.

– Nie cieszysz się zbyt, że mnie widzisz, prawda?

Elías stał wyprostowany przy drzwiach.

– To, co widzę, jest inne niż to, co zapamiętałem. Nie jestem głupcem, zdaję sobie sprawę, jaką darzysz mnie pogardą. Przypuszczam, że przez wszystkie lata, które spędziłaś u boku Sterna, w końcu zaraził cię swoim jadem. Nic z tego, co mógłbym powiedzieć na swoją obronę, nie zmieni twojego zdania, więc lepiej nie marnować śliny.

– Chciałabym usłyszeć twoją wersję tego, co tam się stało. Inną niż ta, którą znam – o tchórze, który zabił moją matkę i oddał mnie bandzie okrutników, żeby ocalić własne życie.

Dom musiał stać długo zamknięty, zanim go wynajęła. Stare sosnowe meble pokrywał kurz, w kątach sufitu i załomach belek wisiało kilka pajęczyn. Jedna z nich oblepiła częściowo włosy Elíasa lepką siecią. Włożył rękę do kieszeni spodni i poczuł znajomy dotyk medalionu Iriny. Zastanawiał się, czy pokazać go Annie. W końcu należał do niej.

– Na pewno czytałaś raport, który Wasilij sporządził w trzydziestym czwartym roku.

– Czytałam. Ale nie usłyszałam tego z twoich ust.

Wspomnienia to nie klasyczne obrazy w barokowych ramach ani zdjęcia ozdabiające półki w mieszkaniu. Wspomnienia to rozległe puste przestrzenie, które często przemierza się w milczeniu. Po co je przywoływać? Jego relacja

z tego, co się wydarzyło, zabrzmiałaby równie fałszywie jak to, co opowiedział jej Stern. Zazwyczaj wierzymy w to, co najlepiej pasuje do naszego charakteru. A Anna była zimna i obojętna.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Zapaliła jednego ze swoich słodkawych papierosów. Rzuciła zapalniczkę na komodę, ze złością zaciągnęła się dymem i poirytowana spojrzała na Elíasa.

– Słyszałam, że nie jesteś specjalnie rozmowny, ale myślałam, że po tak długiej podróży zasłużę sobie na nieco więcej uwagi z twojej strony. Jak chcesz... Ja za to, owszem, mam ci coś do powiedzenia.

Otworzyła szufladę i rzuciła mu kopertę.

– Co to jest?

– Przyjaciele ślą ci pozdrowienia. Otwórz.

Anna wyszła do ogrodu i zostawiła go samego. W kopercie były zdjęcia przedstawiające kilkanaścioro mężczyzn i kobiet. Na odwrocie każdego widniała data – data śmierci – i miejsce, w którym zostali schwytani: A.S., Paryż 1947, S.M., Lyon 1947, W.B., Tuluza 1948, G.T., Arles 1948... Madryt, Londyn, Marsylia, Berlin... 1949, 1950, 1952, 1958, 1962, 1963, 1965... Wszystkich wydał Elías, osobiście przekazał ich nazwiska Ramónowi Alcázarowi Suñerowi. Nie było żadnej wzmianki o kilkudziesięciu innych, którym uratował życie dzięki dostarczonym przez przyjaciela informacjom o obławach czy zasadzkach na przywódców partii, związków zawodowych, organizacji studenckich. Ani o tych, którzy dzięki jego wpływom w ostatniej dekadzie zdołali wyjechać z Hiszpanii pod fałszywymi nazwiskami. To nie wyrównywało szali, doskonale o tym wiedział. Klina nie wybija się klinem – to wymysł. On odpowiadał za śmierć wszystkich tych towarzyszy, agentów NKWD, hiszpańskich i francuskich działaczy sprzeciwiających się dyktaturze Franco, anarchistów, dawnych związkowców. Odpowiadał także za śmierć hiszpańskich policjantów, infiltrowanych agentów, których NKWD unieszkodliwiło dzięki informacjom przekazanym przez Ramóna, myśląc, że pochodzą one od Elíasa. Śmierć białych i czarnych pionków, których przednia straż po jednej i drugiej stronie mogła się pozbyć, by obronić najważniejsze figury.

Dopiero po kilku minutach wyszedł do ogrodu z pęczkiem ofiar w dłoni. Paliły go, krzyczały, wyzywały go, gryzły w palce. Anna Achmatowa jak gdyby nigdy nic biegła po trawniku za córką. Wreszcie świeciło słońce

właściwe tej porze roku, powietrze było przesycone kolorami. Piękna, idylliczna scenka, czerwcowy dzień spędzany na wsi.

Na widok Elíasa Anna powiedziała córce, żeby pobawiła się sama po drugiej stronie domu. W oczach dziewczynki pojawiły się łzy, ale posłuchała matki.

– Co to ma być? – zapytał Elías, mierząc w nią fotografiami, które ścisnął w dłoni.

Anna starannie dobrała słowa.

– Myślę, że wiesz, co to oznacza. Od czterdziestego siódmego roku kolaborowałaś z frankistowską policją, choć nadal utrzymywałaś kontakty z partią i nieoficjalnie wciąż dla niej pracowałaś... Ale spokojnie, nie wiedzą o tym, jeszcze nie.

Groźba powoli przedostawała się do umysłu Elíasa. Usiadł na ściętym pniaku kilka metrów od Anny i przez dłuższy czas ze spuszczoną głową trwał w milczeniu. Nie wyglądał na pokonanego, wydawało się raczej, że porządkuje sobie wszystko w myślach i rozważa kolejny krok. Anna zdała sobie sprawę z błędu w kalkulacjach – nie udało jej się wyprowadzić go z równowagi. Jednak pozostał jej jeszcze cios, po którym powinien zgiąć się w pół i paść na ziemię.

– Twój hiszpański przyjaciel okłamywał cię przez wszystkie te lata. Nadaremnie dopuściłeś się tych zdrad: Igor Stern nadal żyje i przesyła ci pozdrowienia.

Elías Gil przyjrzał się córce Iriny z ogromną uwagą, próbując dociec, czy to, co widzi na jej twarzy, to pogarda, obojętność, nienawiść, czy po prostu zmęczenie. Nie było na niej śladu szacunku, cienia sympatii czy wahania. Ona już go osądziła i uznała za winnego. Ta prawda uderzyła w niego z taką siłą, że poczuł świdrowanie w żołądku i odruchy wymiotne, nad którymi z trudem zdołał zapanować. Potrzebował minuty, by przestać się pocić i poskładać swoje ciało, które nagle się rozczłonkowało, jakby ktoś usunął z niego szkielet.

– Co to jest? Szantaż?

Anna Achmatowa powoli pokręciła głową.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Chce się jutro z tobą zobaczyć.

– Igor? Jest tutaj, w Barcelonie?

– Nigdy nie oddalił się zbyt daleko od miejsca, w którym chciał, żebyś się znalazł. – Anna zastanowiła się nad tym, co zamierzała powiedzieć, jakby jej

samej własne słowa wydawały się pozbawione logiki. – Ma na twoim punkcie obsesję. Mówi, że jesteś jedynym człowiekiem, którego nie mógł pokonać.

Elías wybuchnął gorzkim śmiechem, niemal zawył, zrywając się na nogi.

– Dostał mój płaszcz i dostał ciebie. Czego więcej chce ten skurwysyn?!

Anna Achmatowa nie dała się zbić z tropu tym wybuchem gniewu.

– Chce ciebie.

Elías uspokoił się na widok małej rudowłosej dziewczynki o dużych oczach. Kogoś mu przypominała.

– I nasyła na mnie ciebie, bo wie, że możesz wyrządzić mi największą krzywdę. A ty, Anno, z przyjemnością uczestniczysz w jego grze.

Anna Achmatowa z czułością spojrzała na córkę i przypomniała sobie noc sprzed trzech lat, podczas której poczęła ją z Martinem. Nigdy nie zdołała wystarczająco podziękować temu wątlemu, na wpół obłąkanemu rudzielcowi za to, że w tamtym hotelu w Paryżu zaryzykował własne życie, by pomóc jej uciec ze szponów Igora, kiedy była jeszcze nastolatką. Ten biedny, bredzący żebrak zdołał ją doprowadzić do dworca północnego i wsadzić w pociąg jadący do Hawru. Jednak Igor szybko ją odnalazł. Wiele lat później spotkała Martina we Frankfurcie. Odbudował swoje życie u boku kanadyjskiego dyplomaty, z którym miał potajemny romans. Wyglądał na zadowolonego. Znow próbował jej pomóc, wystarał się u kochanka o wizę, dzięki której mogła wyjechać do Kanady. Ta przygoda trwała kilka lat, Anna myślała, że dzięki Martinowi znow może marzyć o normalnym życiu.

Zaczęła pracować w sklepie z ubraniami w Ontario, poznała francuskojęzycznego Kanadyjczyka, z którym miała romans. Wszystko jednak skończyło się brutalnie pewnego wieczoru, kiedy chłopak nie przyszedł, żeby zabrać ją do kina, a zamiast niego w drzwiach jej mieszkania pojawił się Igor Stern. To wtedy w Kanadzie, gdzie spędziła dwa lata, Martin opowiedział jej o Elíasie i Irinie. Wspominał także z nostalgią Claude'a i Michaela, zwłaszcza tego ostatniego, wielką miłość jego życia. Martin darzył Igora głęboką nienawiścią, Anna wiedziała, że to przede wszystkim z tego powodu tak bardzo stara się jej pomóc. Chciał go w jakiś sposób pokonać, odebrać mu to, co Igor uważał za swoją własność.

Może właśnie dlatego, kiedy przed trzema laty spotkali się ponownie, tym razem w Moskwie, zgodził się pierwszy i ostatni raz pójść do łóżka z kobietą, młodszą od niego prawie o dwadzieścia lat. Martin towarzyszył swojemu przyjacielowi w dyplomatycznej podróży do kilku krajów. Tamtego wieczoru

umówił się z nią w hotelu Lenin. Wydał się Annie starszy i bardziej zmęczony. Wyznał jej, że umiera, ale nie robił z tego dramatu. Dużo wypili, za dużo, i kiedy odprowadził Annę do jej mieszkania w pobliżu Teatru Bolszoi, a ona pocałowała go w usta, nie zdziwił się ani nie zaprotestował. Uległ jej z przyjemnością, ale bez ciekawości i namiętności. Rozlał się w niej z powstrzymywaną czułością. Dwa miesiące później zmarł w pobliżu Turkmenistanu, w wagonie pierwszej klasy kolei transsyberyjskiej, przemierzając w zupełnie inny sposób zaśnieżone tereny, które trzydzieści lat wcześniej odebrały mu wszystkie młodzińcze nadzieje. Nigdy się nie dowiedział, że zostawia córkę, a tym samym jest jedyną osobą, którą zdołała pokonać Igora Sterna.

Anna bez wątpienia zawdzięczała Martinowi wszystko, co było najlepsze w jej życiu. Wasilijowi zawdzięczała miłość i lojalność. Ale do Elíasy Gila czuła to samo, co do Igora Sterna: głębokie, intensywne obrzydzenie. Obaj byli wściekłymi psami, którym zależało wyłącznie na tym, by się wzajemnie unicestwić, i w tym celu bez wahania wykorzystywali wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu. Nie było w nich nic poza śmiercią i zniszczeniem.

– Chciałabym móc zabić was obu jedną kulą – powiedziała.

Igor tryskał wigorem, który zaczynał sprawiać wrażenie udawanego. W wieku pięćdziesięciu trzech lat chciał za wszelką cenę zachować młodzińczy wygląd – nosił rozszerzane spodnie, obcisłe koszule z szerokim kołnierzem i grube baki. Jego skóra nabrała miodowego odcienia, a maniery stały się do tego stopnia wysublimowane, że elegancja, z jaką podnosił widelec czy wycierał sobie kąciki ust różkiem serwetki, wydawała się odziedziczona, a nie wyuczona. Świadom wrażenia, jakie robi na Elíasie, złożył dłonie i wychylił do przodu głowę. Był tak pewien siebie i maski, za którą się ukrywał, że odnosił się do swojego starego wroga niemal po ojcowsku.

– Widzę, że czas nie potraktował cię tak, jak na to zasługujesz, Elíasie – powiedział z dobrotliwym uśmiechem.

– Do tej pory nieźle mi szło.

Nie byli sami w hotelowym salonie. Dwóch ludzi Igora pilnowało ich z pewnej odległości, nie spuszczać z nich wzroku. Stern stał się szanowanym człowiekiem – na tym właśnie polega ciche zwycięstwo banitów: prawdziwym sukcesem nie było bogactwo ani wpływ, jaki mógł teraz

wywierać na polityków, wojskowych czy policjantów, ale szacunek, łoża w teatrze Liceu, apartament w luksusowym hotelu w każdej stolicy zarezerwowany przez cały rok, towarzystwo ludzi z wyższych sfer i ze świata kultury. Zbierał zdjęcia aktorów, muzyków, pisarzy, naukowców, arystokratów i duchownych, jakby kolekcjonował wypchane głowy zwierząt upolowanych na safari. Już bardzo rzadko schodził do maszynowni swojego imperium – do świata spekulacji, narkotyków, prostytucji i nielegalnego hazardu – powodowany tęsknotą za swoimi korzeniami.

– Myślałeś, że się nie dowiem, iż sprzedałeś się Ramónowi Alcázarowi za tak niską cenę jak moja głowa? – Elías wyczuwał targający Igorem gniew, choć jego twarz przypominała oblicze bodhisattwy wznoszącego się ponad ziemskie sprawy.

Igor posiadał wrodzony instynkt samozachowawczy, którego Elías nigdy nie potrafił docenić. Negocjował, z kim było trzeba, z jednakową łatwością podejmował i łamał zobowiązania, a jego lojalność nie wychodziła poza własny interes. Nigdy nie ustępował, ale potrafił sprawić, by inni, usatysfakcjonowani, uwierzyli, że się wycofał. Igor pracował także dla kilku wpływowych ludzi frankistowskiej dyktatury, ważnych przedsiębiorców, którzy dzięki niemu zarabiali wielkie pieniądze; robił to na długo przed tym, zanim Elías zaproponował Ramónowi Alcázarowi tamten układ.

– Nie miej mu tego za złe. Nie wiedział, czym się zajmuję, i zapewniam cię, że starał się dotrzymać umowy. Gdyby jego przełożeni w Paryżu nie ostrzegli mnie na czas, twój kolega palnąłby mi w łeb. – Nagle Igor przybrał władczy ton. – Skoro tak ci zależało, żebym nie żył, powinienesz być spróbować mnie zabić sam.

– Zdjęcia. Co za nie chcesz?

Elías poczuł ołowiany ciężar spojrzenia Igora, które wgniało mu twarz.

– Pamiętam, że kiedyś trudniej cię było przekonać.

Igor lubił tę zabawę, czuł się tak, jakby otwierał szafę pełną kostiumów i przymierzał je jeden po drugim. Tego nauczyła go władza i pieniądze: bycia człowiekiem, jakiego wymagają okoliczności. Zastanawiał się, jaką rolę powinien odegrać teraz. Instynkt podpowiadał mu, żeby wreszcie zdjął maskę i bezlitośnie zmiądzzył Elías. Wystarczy jeden telefon do Moskwy, a przed wpływem dwudziestu czterech godzin Gil wyruszy na Kreml w skrzyni. Nie powinien jednak ujawniać własnej pozycji i pokazywać swoich kart. On także od wielu lat prowadził podwójną grę, o której z pewnością wiedziały obie

strony. Tolerowały to, bo był użyteczny, mogły wykorzystywać go dla swoich interesów w roli tarana albo konia trojańskiego. Zaczynały się go także bać, a to nie było mu na rękę.

Przez wszystkie te lata Igor Stern bardzo dbał o pozory, starając się przekonać obie strony, że jest nuworyszem, bezmózgim głupcem, który marzy jedynie o tym, by wydawać pieniądze na kochanki i luksusowe dziwki, jak jakiś prosty aktorzyzna z Lazurowego Wybrzeża. Tak dobrze odegrał swoją rolę, że kiedy wreszcie odkryli jego farsę, znajdował się już poza zasięgiem ich macek, był zbyt wpływowy, zbyt bogaty i znał zbyt wiele sekretów. Szach mat? Nie w tej partii, która nigdy się nie skończy.

Nie po to czekał przez te wszystkie lata, żeby tak po prostu wydać im Elíasa, pozwalając przy okazji, by pozbyli się także i jego. Zaplanował coś lepszego, godnego walki, którą obaj toczyli od tak dawna.

– Nie muszę ci tłumaczyć, co oznaczałoby dla ciebie i twojej rodziny ujawnienie tego, co wiem, prawda?

– Od kiedy lubisz pytania retoryczne?

Igor parsknął śmiechem, bez potrzeby poprawiając łańcuszek zegarka.

– Odkąd jestem wyrafinowanym dekadentem. W ciągu tych lat przeczytałem kilka książek i poznałem kilka osób – i jedno, i drugie nauczyło mnie, że istnieje wysublimowana przyjemność płynąca z elegancji brutalnych słów, w które ubieramy to, co czujemy. Aria operowa nie różni się zbyt od okrzyku wojennego, wyraża tę samą desperacką siłę i często mówi o tych samych rzeczach: o strachu, o odwadze, o bohaterstwie. Ale to, co na scenie jest *bel canto*, na błotnistym polu bitwy, wstrząsanym wybuchami i usianym trupami, zamienia się w barbarzyństwo. To właśnie oznacza bycie cywilizowaną istotą i przyznaję, że ma to wiele zalet. Nauczyłem się na przykład, że prawdziwy ból zadaje się igłą, nie siekierą.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– Do miejsca, w którym jesteśmy. Tu właśnie chciałem się znaleźć od pierwszego dnia, kiedy zobaczyłem cię w tym cuchnącym wagonie i zmusiłeś mnie, żebym wyłupił ci oko z powodu głupiego płaszcza. Chciałem być twoim przyjacielem, Elíasie. Szanowałem cię w takim samym stopniu, w jakim tobą gardziłem, i wiem, że ty odczuwasz to samo. Pociąg i wstręt, szlachetność i nikczemność. Chcesz być tym, kim jestem ja, a jesteś tym, kim ja chcę być. Mogliśmy być braćmi i żadna z tych rzeczy nie byłaby konieczna, ale przyroda rozdziela rodzeństwo, żeby je ze sobą skonfrontować, jak wilczki z jednego

miotu. Nieuchronnie rozszarpią się na strzępy. Znów stoimy naprzeciw siebie.

Igor Stern wstał z krzesła. Ochroniarze postawili uszy jak dobermany, ale on wskazał im ruchem dłoni, że mogą się odprężyć; nie czuł się zagrożony.

– Ponieważ nie możemy być ani wrogami, ani przyjaciółmi, będziesz dla mnie pracował. Zostaniesz moim podwładnym, a w zasadzie moim niewolnikiem. Oddasz mi swoją prawość, uznanie, jakim darzy cię rodzina i inni, swoje medale... Oddasz mi wszystko, będziesz czołgał się w chlewie nie dla ideałów, ale dlatego, że ja tak chcę; jedynie po to, żeby uczynić mnie bogatszym, bardziej wpływowym. A zrobisz to, żebym nie odebrał ci jedynej rzeczy, jaka się dla ciebie liczy – uznania historii, tej absurdalnej nieśmiertelności, do której dążą głupcy tacy jak ty. Słyszałem, że masz bardzo ładną córkę. Ile ma lat? Trzynaście? Wiem też, że masz pięcioletniego synka. Co pomyśli o swoim wielkim bohaterze, kiedy dorośnie i pozna prawdę?

Elías powoli wycofywał się w stronę drzwi prowadzących na korytarz. Oszacował, że obaj ochroniarze są w zasięgu strzału, zanim wyciągnął automatycznego colta 45 i dwukrotnie strzelił do każdego z nich.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że kiedy odwrócił się, celując z broni do Igora, ten nadal stał z otwartymi ustami.

– Martin miał rację. Powinienem był cię zabić gołymi rękami, kiedy miałem taką okazję w Paryżu.

Włożył lufę w usta Igora Sterna i pomyślał o Irinie, o nocach, w czasie których kochali się w ciszy, otoczeni obcymi ludźmi. Pomyślał o wyczerpującym marszu z Anną na plecach, o agonii Claude'a, o krzykach torturowanego Martina, o Michaelu wykrwawiającym się u jego stóp. Ale najdotkliwsze ze wszystkiego było wspomnienie bólu wywołanego kawałkiem drewna rozsadzającym mu gałkę oczną, bólu, który pozostał na zawsze wytatuowany w jego mózgu, który dręczył go niczym fala, zalewał go z różną intensywnością, ale zawsze wracał. Ten ból sprawiał czasem, że stawał się nieludzki, zamieniał go w oszalałą bestię, zdolną torturować najbliższe mu istoty, zwyrodnialca, dla którego nie istniały inne ograniczenia niż te, które sam sobie narzucił.

Pociągnął za spust. Kawałki mózgu Igora Sterna rozprysły się w promieniu kilku metrów.

Elías mógł w końcu zawyc z radości.

28.

BARCELONA, LISTOPAD 2002 ROKU

Zgodnie z listą pasażerów Luis powinien w tym momencie lecieć do Londynu, aby poślubić ślicznotkę, która na próżno czekała na niego do ostatniej chwili na lotnisku. Tymczasem zamiast relaksować się w fotelu pierwszej klasy i dziękować za szczęście, jakie go spotkało, wystawił do wiatru ten dar niebios i jechał wynajętym mercedesem wzdłuż wybrzeża. Alcázar podążał za nim w bezpiecznej odległości i słuchał wiadomości radiowych, kręcąc głową z dezaprobatą. Starcia nad jeziorem między policją a grupami ekologów były coraz bardziej brutalne. Rannych zostało dwóch agentów, a jedna z koparek spłonęła, trafiona koktajlem Mołotowa. Roboty na razie przebiegały zgodnie z planem. Alcázar podejrzewał, że informacje te nie ucieszą Agustína Gonzáleza. Firmy należące do ACAS-y nie potrzebowały takiego rozgłosu. Bogacze lubią politykę faktów dokonanych, chcą, by wszystko szło jak po maśle, a tymczasem wokół projektu zagospodarowania terenów nad jeziorem stale narastały problemy. Jednym z nich, i to wcale nie tym najmniejszym, kazano się zająć Alcázarowi.

Agustín González podzielał zdanie Anny. Należało zlikwidować przeciek, jaki stanowili Siaka i laptop Laury. Alcázar ostrzegł go, że prawdopodobnie z chłopakiem jest jego zięć, jednak odpowiedź prawnika nie pozostawiała miejsca na wątpliwości:

– Chwasty wyrywa się z korzeniami.

Te słowa sprawiły, że Alcázar wrócił myślami do ubiegłego wieczoru, do swojego spotkania z Anną. Nie chciała porozmawiać z Igorem Sternem. Kiedy nalegał, zamknęła mu usta delikatnym pocałunkiem. Stali w ciemnej uliczce, jej twarz unosiła się niepewnie w kręgu światła rzucanego przez latarnię.

– Mimo wszystko pozostałeś tym biednym chłopakiem, który nigdy nie zdołał dorównać ojcu. Mogłeś być cudownym mężczyzną, Albercie – nigdy nie

zwracała się do niego po imieniu – mężczyzną, którego kochała twoja żona, Cecilia. Ale już za późno na nostalgię.

Wypowiedziała te słowa bez uszczypliwości, z prawdziwą czułością. Sprawily one jednak, że poczuł się przeraźliwie samotny i bezbronny. W tym właśnie momencie, kiedy czcigodna staruszka, trzymając go za ramię, zapalała zapalką davidoffa, zrozumiał, co oznaczał ten pocałunek.

Nie było żadnego Igora Sterna.

Poza godzinami otwarcia Flight zamieniał się w ciche mauzoleum. Światło paliło się tylko na zapleczu, gdzie Wasilij przygotowywał ulubioną potrawę Tani – kotlety wieprzowe z pyzami i kiszoną kapustą, a do tego dobre czerwone wino. Dla jego sfatygowanego żołądka było to zbyt ciężkie danie, ale rozkoszował się samym jego widokiem i apetytem pochłaniającej je dziewczyny.

– Chcesz dokładkę?

Tania nie była w stanie przełknąć już nic więcej; ku rozczarowaniu Wasilija rozparła się na krześle i z zadowoleniem poklepała po udach.

– Napiłabym się mocnej kawy.

Wasilij podał kawę; obok postawił butelkę wódki i dwie szklaneczki. Tania spojrzała na niego zdziwiona.

– Żadnego mocnego alkoholu. To zalecenie lekarza, gdybyś nie pamiętał.

Wieliczko zmarszczył swój szeroki nos i warcząc, kłapnął zębami.

– Dziś rano znowu srałem krwią. Umiem zinterpretować to, co widzę. Trochę wódki mnie nie wskrzesi, ale też nie przyspieszy tego, co nieuniknione.

Tania wyciągnęła rękę nad kwiecistym obrusem i ścisnęła pomarszczone palce Wieliczki. Nagle zdała sobie sprawę, że jest staruszkiem, który przeżył więcej, niż kiedykolwiek przeżyje ona.

– Ile masz lat, wujku?

Wieliczko potarł kłykiem białą, gęstą brew.

– Nie wiem. Rodziłem się kilka razy. – Wybuchnął śmiechem, który przeszedł w kaszel. Złagodził go łykiem wódki.

Tania otarła kciukiem kroplę, która została mu na wargach. Czuła się bezpiecznie w otaczającym ich kręgu światła utworzonym przez świece pośrodku pogrążonego w mroku baru. Ciemność pozwalała jej uciec przed badawczym spojrzeniem wujka. Jednak nie do końca.

– Zjadłaś moje jedzenie, wypiałaś moją kawę i moją wódkę, myślę więc, że zasługuję, żebyś powiedziała mi, co cię gryzie.

– Oboje wiemy, co mnie gryzie.

Staruszek bardzo powoli wstał z krzesła i zaczął zbierać naczynia. Tania złapała go za rękę.

– Musisz mi pomóc. Ciebie posłucha.

Wieliczko uwolnił się od jej uścisku i poczłapał w stronę zlewu.

– Anna Achmatowa słucha wyłącznie pisarzy klasycznych ze swojej księgarni, najchętniej tych martwych. Żywi ją złością, bo kwestionują to, co mówi; cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Powinnaś o tym wiedzieć.

– Ale ty jesteś dla niej jak brat.

Wieliczko oparł dłonie na marmurowej ladzie i ze smutkiem pokręcił głową.

– Mieszka sto metrów ode mnie, a w ciągu ostatniego roku nie raczyła mnie ani razu odwiedzić.

– Nadal nie rozumiem tego waszego absurdalnego sporu. Nigdy nie chcieliście mi powiedzieć, co się wydarzyło.

– Właśnie ci to powiedziałem. Twoja matka nie lubi, kiedy ktoś jej się sprzeciwia czy wygarnia prawdę.

– Jaką prawdę jej wygarnąłeś, że tak się obraziła?

Wasilij zaczął ustawiać szklanki na suszarce, do góry dnem. Po chwili poprzesuwał je, jakby nie podobało mu się ich rozmieszczenie.

– Kiedy zginął ten biedny chłopiec, Roberto, powiedziałem jej, co o tym myślę. Nie wybaczyła mi tego i nigdy nie wybaczy. Twoja matka jest taka sama jak on, wiesz? Taka sama jak Stern. Gdyby nie była pewna mojej lojalności, a przede wszystkim tego, że niedługo umrę, osobiście by mnie uciszyła.

– Nie mów tak.

Wieliczko walnął pięścią w marmur.

– Tak właśnie mówię, oczywiście, że tak mówię! A jeżeli nie jesteś w stanie się z tym pogodzić, lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. Nikt, rozumiesz, nikt nie zna twojej matki lepiej niż ja. Znam jej zalety i znam jej wady, w ciągu ponad sześćdziesięciu lat dane mi było oglądać dowody i jednych, i drugich. Widziałem ją, kiedy była małą, brudną dziewczynką z sierocińca, i widziałem, jak zajmuje tron po Igorze Sternie, jak zamienia się w Matrioszkę. Twoja matka mnie nie posłucha, Taniu. Zresztą nie wiem, czy

chcę ci pomóc.

– Przysięgła mi, że sprawa z tym chłopcem to był wypadek, że nie kazała Zinowiewowi go porwać, a tym bardziej zabić.

Wasilij Wieliczko podniósł głowę, pragnąc, żeby pękła. Wrócił do stolika, wypełnił szklankę wódką, posyłając do diabła lekarzy i zgage. Szklanka zadrzała w jego dłoni, część zawartości wylała się na blat.

– A ty jej uwierzyłaś, bo tak było łatwiej. Ty jesteś czystą, nieskalaną duszą, prawda?

Tania nie miała ochoty dłużej go słuchać. Nigdy nie chciała nic wiedzieć o interesach matki, dlatego tak wcześniej wyprowadziła się z domu i dlatego zawsze toczyły ze sobą sekretny pojedynek, zawsze się ścierały. Ona nie miała nic wspólnego ze śmiercią Laury i jej synka, nie wiedziała nic o Matrioszcze ani o Igorze.

– Za dużo wypiełeś, wujku.

Staruszek chwycił butelkę i z zaskakującą siłą cisnął nią w ścianę.

– Mógłbym wypić cały alkohol z tego baru, ale nie zmieniliby to tego, co wiem ja i co wiesz ty. Jak myślisz, skąd się wzięły pieniądze na ten bar, na księgarnię twojej matki, na twoje studia i twoje buntownicze eskapady? To Matrioszka nas utrzymuje, jej śmierdzące interesy, które ukrywamy za maską prawości, wspomnień, nostalgii. Wszyscy o tym wiemy, wszyscy się na to godzimy. W noc świętojańską sześćdziesiątego siódmego podjęliśmy pewną decyzję. Nigdy się z niej nie wycofaliśmy. Ty złamałaś tę umowę.

– Ta umowa nigdy mnie nie dotyczyła!

– Od początku okłamywałaś Gonzala. Dlaczego nie powiedziałaś mu, kim jesteś, kim jest twoja matka i czym się zajmuje?

Tania uporczywie kręciła głową.

– Ja nie jestem moją matką. Nie mam nic wspólnego z jej obsesyjną nienawiścią do Elíasa Gila. Na Boga! Była wtedy małą dziewczynką. Nawet nie pamięta twarzy babci Iriny. Zresztą sam napisałeś w raporcie, że Elías próbował je ratować, dopóki było to możliwe.

Wasilij Wieliczko ochłonał. Spoglądał na odłamki szkła rozrzucone po podłodze i tworzące się maleńkie kałuże wódki. W destylowanym morzu dogorywała mrówka.

– Nie rozumiesz tego, nigdy nie rozumiałaś. Uraza, która zrobiła z twojej matki tego, kim jest, nie sięga Nazino. Może tam zaczęła się w niej wykluwać, ale narastała w cieniu Igora. Rzeczywiście przez wiele lat broniła się, by nie

pożarło jej to zło, którego w niej nie było. Z moją pomocą, a potem Martina, uciekała, opierała się, walczyła. Jestem pewien, że twoja matka pokonałaby Sterna, że nie zamieniłaby się w twór uformowany według jego widzimisię. Twoje narodziny dały jej siłę, by uciec, kolejny raz. Ale tamtej nocy sześćdziesiątego siódmego roku umarła prawdziwa Anna Achmatowa, a jej miejsce zajęła Matrioszka. Wszystko z winy Elíasa Gila. Zastanawiający paradoks, nie sądzisz? Elías i Igor nienawidzili się przez całe życie, toczyli swoją wojnę, gdziekolwiek się spotkali. Ale kilka godzin po tym, jak Elías zabił Igora strzałem w twarz, tam nad jeziorem przypieczętował jego ostateczne zwycięstwo. U tamtej Anny mógłbym się wstawić za tobą i za Gonzalem, a także za Laurą i jej synem, ale uwierz mi, że dla kobiety, którą jest teraz twoja matka – twardej jak gład – słowa są dymem, który rozwiewa się przy pierwszym dmuchnięciu. Uprzedzałem cię, ostrzegałem, że wcześniej czy później tak się stanie. Anna nigdy na to nie pozwoli, nigdy nie pogodzi się z tym, że jesteś z synem Elíasa. Myślałaś, że możesz wymienić z nim kilka niewinnych, żartobliwych uwag, pomyszkować w jego życiu bez większych konsekwencji. Flirtowałaś z nim z typową dla siebie zuchwałością, przekonana, że jesteś bezpieczna, chroniona, mimo wszystko. I ciągnęłaś to, obojętna na niebezpieczeństwo, jakie groziło nie tobie, lecz jemu. Zawlokłaś go do łóżka... Naprawdę liczyłaś na to, że Anna będzie patrzyła na to z założonymi rękami?

– Musisz z nią porozmawiać, proszę – błagała Tania. – Ona wie, gdzie on jest, może mi go zwrócić. Nie będzie stanowił żadnego niebezpieczeństwa, żadnego zagrożenia. Wyjedziemy stąd, daleko, na zawsze.

Wasilij schylił się i zaczął zbierać kawałki butelki.

– Trochę na to za późno. Twoja matka już wydała rozkazy.

Granatowy mercedes Luisa zjechał z drogi krajowej na lokalną. Wiła się wzdłuż urwistego wybrzeża, przecinając małe letniskowe miejscowości, które w listopadzie były jak zwinięte w kulkę, śpiące jeże. Kiedy samochód zatrzymał się przed stojącym na skałach niedokończonym domem otoczonym sosnowym laskiem, była już noc.

Na ostatnim odcinku Alcázar musiał jechać ze zgaszonymi światłami i zachować sporą odległość, żeby Luis nie odkrył, że jest śledzony. Zresztą droga wiodła i tak tylko do tego domu, wzniesionego na surowej skale, na

szczybie pagórka. Z zewnątrz był wykończony, przypominał katedrę z żelaza, szkła i kamienia. Trzy nałożone na siebie piętra o różnych powierzchniach nadawały mu wygląd gigantycznych schodów. Z olbrzymich okien roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na morze. Luksusowe marzenie, niedokończone być może z powodu zmęczenia marzącego. Luis był architektem z wybujałą wyobraźnią, obrzydliwie bogatym. Alcázar gwizdnął z podziwem. Nigdy nie potrafił do końca zrozumieć, jak Laura była w stanie godzić życie policjantki z całym tym przepychem.

Mercedes stał zaparkowany przed gankiem. Inspektor nie dostrzegł wewnątrz domu żadnych świateł ani ruchu. Istniała szansa, że pójdzie mu łatwo. Otworzył schowek i wyjął nieoznakowanego glocka. Nigdy nikogo nie zabił. Nie oznaczało to jednak, że nie strzeli z zimną krwią, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mocniej zacisnął dłoń na kolbie; upewnił się, że nie drży. Nie waliło mu też serce, nie naglił go pośpiech. Wreszcie myślał z zimną trzeźwością. Znał to wrażenie, napięte mięśnie, wstrzymywany oddech, wyostrzony wzrok i słuch. Rytuał myśliwego, zanim wybuchnie niczym niszcząca siła.

Musiał przyznać, że jest do tego stworzony.

Wysiadł z samochodu z bronią w kieszeni marynarki; nie trzymał palca na spuście, ale pistolet był odbezpieczony, kula czekała w komorze.

– Zrób to szybko i dobrze – powiedział do siebie, szukając pośród gruzu i materiałów budowlanych otworu, którym mógłby dostać się do domu.

Księżyc rzucał smugę światła na ścianę między oknami parteru. Alcázar przez dłuższą chwilę obserwował dom, aż odkrył poluzowane deski, przez które dostał się do łazienki. Płytki były już ułożone, ale wannę wypełniał pył, w którym leżał martwy ptak. Szkoda, pomyślał inspektor, z podziwem obrzucając wzrokiem eleganckie wyposażenie zostawione na pastwę losu.

Parter był przestronny, Alcázar oszacował, że musi mieć jakieś sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Podłogę częściowo pokrywał parkiet, w innych miejscach był jeszcze tylko cement. Nie skończono malować ścian, zwisały z nich kable do kinkietów i gniazdek. Za jedną z kolumn dostrzegł słaby blask. Podszedł powoli, próbując omijać gruz. Zobaczył żelazny, obudowany bazaltem kominek, w którym trzaskały suche drwa. Po prawej stronie stał duży fotel, a na podłodze butelka alkoholu. W fotelu siedział Luis, patrzył na ogień, odwrócony plecami do Alcázara.

– Co z pana za policjant, inspektorze? Na pewno nie z gatunku tych dyskretnych – powiedział, nie odwracając głowy. Przybity, obserwował

ogień, na zasepioną twarz opadały mu kosmyki potarganych włosów. W tym niedokończonym domu zamierzał dzielić życie z Laurą i Robertem. W tle ryczało morze, jakby ścieżką dźwiękową tego spotkania miały być odgłosy burzy.

– Czekales na mnie?

Na twarzy Luisa pojawił się uśmiech, niewidoczny w panującym półmroku.

– Od dnia, w którym zabiłem Zinowiewa. Nie dość, że jest pan mało dyskretny, to jeszcze niezwykle powolny.

Sylwetka Luisa odsunęła się od ognia i wyrosła prowokująco przed inspektorem. Pokazał mu puste ręce, żeby udowodnić, że nie stanowi zagrożenia. Ale je stanowił, niebezpieczeństwo przebijało z jego dziwnego, świdrującego wzroku.

Alcázar nie dał się omotać temu spojrzeniu, które chciało opleść go jak powój. Ostrożnie obszedł Luisa, uważnie go obserwując.

– Skoro już tu jestem – zaczął pokrętnie – może mi powiesz, gdzie są Siaka i Gonzalo? Czy mam to z ciebie wyciągnąć?

Luis zawahał się, zanim odpowiedział. Instynktownie skierował wzrok w stronę schodów; ten drobiazg nie umknął Alcázarowi.

– Głowią się teraz nad grą, którą im zaproponowałem. Wkrótce podejmą decyzję. – Było oczywiste, że Luis nie zamierza odpierać żadnych oskarżeń. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że pragnie mówić. – Ona nie wierzy, że byłby pan do tego zdolny...

– Zdolny do czego? I kim jest „ona”?

– Do zabicia Siaki i Gonzala. Dlatego zadzwoniła do mnie, żeby mnie ostrzec, że pan tu za mną przyjedzie.

Alcázar zrozumiał, że mówi o Annie. Przelotny pocałunek, jej ironiczne słowa na pożegnanie. Jaką głupotą było podejrzenie, że to Igor jest Matrioszką. Przez te wszystkie lata Anna Achmatowa musiała mieć z niego niezły ubaw, utrzymując go w przekonaniu, że na szczycie organizacji, dla której pracował, stoi mężczyzna. Niby dlaczego mężczyzna? Bo Alcázar był człowiekiem starej daty, myślał naiwnie, że pewne rzeczy mogą robić tylko mężczyźni.

Luis spojrział na zegarek. Ile czasu potrzebują ci dwaj na górze, żeby podjąć decyzję?

– Myśli pan, że w jaki sposób dotarłem do Zinowiewa? Nigdy by mi się to nie udało, gdyby nie jej pomoc. Nie dowiedziałbym się też, że zdradził pan

Laurę, przyjmując łapówki od ludzi, których starała się zniszczyć.

Alcázar przez dłuższą chwilę przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie, zadając sobie pytanie, co też musi dziać się w jego głowie, że tak dziwnie i nerwowo ją wykręca.

– Laura się dowiedziała?

– Że był pan skorumpowanym policjantem? Odkryła to niedługo przed popełnieniem samobójstwa – przytaknął Luis.

– Mogła na mnie donieść.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Kiedy był pan chroniony parasolem najbardziej wpływowego prawnika w tym kraju? Na co zdałyby się te zarzuty? Zresztą dzięki Siace Laura odkryła, że wielokrotnie ratował ją pan przed gniewem Matrioszki. W rzeczywistości nieświadomie chronił ją pan przed Anną. Mimo wszystko wolą trzymać pana z dala od niektórych spraw.

Alcázar przypomniał sobie poranek w barze na plaży, kiedy pojechał zawiadomić Laurę, że Zinowiew nie żyje, a ona zostanie oskarżona o jego zamordowanie. To, jak na niego spojrzała. Laura już wtedy o wszystkim wiedziała. Wiedziała, że to Luis zabił Zinowiewa, wiedziała o związku Alcázara z Matrioszką. Wiedziała też, kim naprawdę jest Anna Achmatowa? Albo przynajmniej podejrzewała, że to ona stoi na czele organizacji? Możliwe.

Luis domyślił się pytania, które torowało sobie drogę w myślach inspektora.

– Miała wobec pana dług od tamtej nocy nad jeziorem w sześćdziesiątym siódmym roku. Nigdy mi o tym nie opowiedziała, ale musiało chodzić o coś ważnego, skoro nie chciała zawieść pańskiego zaufania nawet po tym, jak zginął nasz syn. Zawsze się zastanawiałem, jakiego rodzaju dług mógł związać Laurę tak mocno z osobą taką jak pan.

Alcázar podszedł do jednego z dużych okien wychodzących wprost na morze. W oddali widać było światła Barcelony zataczające szeroki łuk, na horyzoncie mrugały niczym małe, bijące serca migacze statków towarowych dopływających do portu. Laura opowiedziała mu kiedyś, że jej ojciec uwielbiał łowić ryby w jeziorze i że często zabierał ze sobą Gonzala, który nie odstępował go na krok. Z kolei ją nudziło to czekanie, nie lubiła mu towarzyszyć podczas tych wypraw.

– Jak to możliwe, że Anna zadzwoniła, żeby uprzedzić cię, że za tobą jadę? Ostatecznie to ona odpowiada za śmierć twojego syna.

Luis gwałtownie zaprotestował.

– Anna nie kazała Zinowiewowi zabić mojego syna, nie kazała mu go też porwać. Działał na własną rękę. Już ci powiedziałem – to dzięki niej mogłem go upolować, nie zrobiła nic, żeby powstrzymać mnie przed jego zabiciem.

Alcázar spojrział na Luisa z pogardą.

– Najzwyczajniej w świecie cię wykorzystała, tak właśnie robi z nami wszystkimi. Ona zleciła porwanie, teraz rozumiem dlaczego. Skłoniła cię, żebyś zabił Zinowiewa, przekonując, że jest winien śmierci twojego syna. W ten sposób upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu: usunęła Rosjanina, który stał się zbyt nieostrożny i niebezpieczny, i wyeliminowała Laurę, która była coraz bliższa zdemaskowania interesów Matrioszki. Wystarczyłoby jej, gdyby twoja była żona została oskarżona o zabójstwo Zinowiewa i trafiła do więzienia, ale pojawiłeś się ty. Samobójstwo Laury było Annie bardzo na rękę. A teraz zwabiła nas wszystkich do tej pułapki na myszy, żeby zamknąć potrzask.

– Wszystko to brzmi bardzo melodramatycznie, jak libretto jakiejś rosyjskiej opery.

– Nie wierzysz mi? Sprawi, że się nawzajem pozabijamy, a jej zostanie już tylko sprzątnięcie krwi. A od tego ma Agustína Gonzáleza.

– Nieważne, czy panu wierzę, inspektorze. Ważne jest to, co się teraz wydarzy.

– A co takiego się wydarzy?

– Powiedziała mi, że wysłała tu pana po to, żeby mnie pan zabił.

Oszalał, nie miał żadnego kontaktu z rzeczywistością. Alcázar zdał sobie z tego sprawę na widok jego ust wykrzywionych w ironicznym grymasie w momencie, kiedy Luis wykonał ruch, jakby miał się na niego rzucić. Inspektor wyciągnął glocka i wycelował w pierś napastnika.

– Nie bądź dupkiem, stary. Zrobiłeś już wystarczająco dużo strasznych rzeczy.

Luis błyskawicznie skoczył na Alcázara, zdołał dosięgnąć pięścią jego twarzy, ale cios nie był na tyle mocny, by powalić go na podłogę. Wzięty z zaskoczenia inspektor zachwiał się, jednak nie stracił równowagi.

– Dostyc tego! – krzyknął do Luisa, celując w niego z pistoletu. Ten jednak nie odpuścił, uśmiechał się z obłędem w oczach, jakby chciał, żeby do niego strzelił... Ale czy nie chciał tego także Alcázar? Wycelował w kolano i pociągnął za spust, kiedy Luis znów próbował go zaatakować. Mężczyzna

runął na podłogę, wyjąc z bólu i trzymając się za zakrwawioną nogę.

Alcázar wyciągnął kajdanki i przykuł go do ciężkiej obudowy kominka.

– Powiesz mi teraz, gdzie są Murzyn i mecenas?

– Pierdol się – wycedził Luis przez zęby, powstrzymując ochotę, by rozpłakać się jak mały chłopiec. – Dzwon na pogotowie, okulawiłeś mnie.

– Dasz sobie radę. W więzieniu nie będziesz musiał dużo biegać, spacerniak jest mały.

W tym momencie z piętra dobiegł głuchy odgłos wystrzału.

– Co to, kurwa, było?

Siaka i Gonzalo spojrzeli po sobie, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Obaj wyszli z tego bez zadraśnięcia; broń, którą Luis zostawił na stole, leżała teraz na podłodze. Perwersyjna gra wymyślona przez tego szaleńca udającego mściciela dobiegła końca.

– Prawie na styk – powiedział Gonzalo, spoglądając na zegarek. Luis ostrzegł ich, że dokładnie za dziesięć minut wróci do pokoju. Do tego czasu musi się rozlec strzał, a jeden z nich ma leżeć martwy. Jeżeli tak się nie stanie, po upływie ustalonego czasu Luis zabije ich obu.

– Trzeba było zaoszczędzić kulę. Przynajmniej moglibyśmy się bronić, kiedy pojawi się w drzwiach.

Strzał oddał Siaka. Kula trafiła w ścianę kilka centymetrów od Gonzala.

– Myślałem, że do mnie strzelisz – szepnął Gonzalo.

– I strzeliłem, tyle że spudłowałem.

Gonzalo nie wiedział, czy Siaka spudłował przypadkowo, czy celowo. Chwilę wcześniej obaj wpatrywali się jak zahipnotyzowani w pistolet, nie rozmawiali ani nie patrzyli na siebie ze strachu, co może się wydarzyć. Kiedy wreszcie Siaka chwycił broń i spojrział na Gonzala pustym wzrokiem, adwokat pomyślał, że jednak popełnił błąd, nie ulegając szantażowi Luisa. Uznał, że przekonania służą wyłącznie temu, żeby umierać bardziej świadomie.

Ale specjalnie czy nie, Siaka spudłował i obaj nadal żyli.

– Co teraz zrobimy? – zapytał.

Siaka podszedł do drzwi i przez chwilę nasłuchiwał. Gonzalo widział, jak napina mięśnie i przygotowuje się do walki. Był żołnierzem nawykłym do bólu, do jego zadawania i znoszenia. Walka, przemoc stanowiły jego naturalne środowisko. Luis torturował go, bił i kopał przez wiele dni, był tak osłabiony,

że nie miał żadnej szansy, by go pokonać, mimo to w jego spojrzeniu malowała się zaciekłość i determinacja. Gonzalo taki nie był; nie wytrzymałby nawet jednej dziesiątej tego, co zniósł ten chłopak, strach przykuwał go do podłogi, jakby stopy przeszły mu gwoździe.

– Nie mogę tego zrobić. Nie mogę się z nim zmierzyć.

Siaka rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Każdy może zrobić wszystko; widziałem to na własne oczy, wystarczy dać się ponieść desperacji, a strach zamieni się w gniew, zapewniam cię. Pomyśl o swoich dzieciach, o tej rudej dziewczynie, o której mi opowiadałeś. Pomyśl o czymś, dzięki czemu zależy ci na życiu, i walcz o to zażarcie. Walcz, Gonzalo.

Kroki po drugiej stronie drzwi stały się głośniejsze; kilka sekund później przekręciła się gałka. Skrzydło podwójnych drzwi uchyliło się lekko, wpuszczając do środka strażkę światła z korytarza.

Wzrok Alcázara od razu przyciągnął Gonzalo stojący żałośnie na środku pokoju. U jego stóp leżał pistolet. Prawnik ukradkiem zerkał w prawo, co zaalarmowało inspektora; zdążył dostrzec postać, która rzucała się na niego z nogą od stołu w dłoni. Uskoczył na bok i z łatwością uniknął uderzenia, odwzajemniając się napastnikowi mocnym ciosem pięścią, który trafił go w żebra.

Zanim ten zdążył zareagować, Alcázar wymierzył mu silnego kopniaka, który sprawił, że zgiął się w pół z głośnym jękiem.

– Wystarczy! – krzyknął Gonzalo.

Alcázar znów skupił uwagę na prawniku.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

Gonzalo podniósł z podłogi pistolet i mierzył w Alcázara z nadzieją, że ten się nie domyśli, iż broń jest pusta.

– Odsuń się od niego!

Alcázar obojętnie spojrział na Siakę, który czołgał się jak zdeptana dżdżownica.

– Nie zrobię ci krzywdy, Gonzalo. Przyszedłem ci pomóc. Opuść broń.

– Powiedziałem, żebyś się od niego odsunął!

Alcázar zaczynał tracić cierpliwość. Parsknął ze złością i dotknął skroni lufą swojego glocka.

– Bo co? Co zrobisz? Oplujesz mnie? Wiem doskonale, że w magazynku był tylko jeden nabój, i wygląda na to, że go zmarnowaliście. Mnie za to zostało jeszcze sześć i wykorzystam je, jeżeli nie przestaniesz grać mi na nerwach. Zaczynam mieć was coraz bardziej dosyć.

Gonzalo musiał pogodzić się z rzeczywistością. Alcázar podszedł i wyjął mu z rąk pistolet. Obejrzał go, żeby się upewnić, iż faktycznie nie ma w nim naboju, po czym wetknął go sobie za pasek. Usiadł na krześle i patrzył, jak Siaka z pomocą prawnika usiłuje wstać z podłogi.

– Oni cię przysłali, żebyś z nami skończył?

Liczba mnoga rozśmieszyła Alcázara.

– Nie ma żadnych „ich”. Nigdy nie było. Jest tylko ona. Urocza staruszka, Anna Achmatowa, nie będzie najlepszą teściową. – Inspektor zaryzykował żart. – Matka Tani jest Matrioszką. Tak, to ona wysłała mnie, żebym skończył z wami wszystkimi, z tobą, z nim – wskazał pistoletem Siakę – i z twoim obłąkanym eksszwagrem, który teraz wykrwawia się na parterze.

– Nie musisz tego robić. Luis ma laptop.

– Wiem. Przejrzałem nagranie z monitoringu z dnia napaści po tym, jak natknąłem się na niego w twoim biurze. I odsłuchałem wiadomość, którą Siaka zostawił ci na sekretarce. Powinieneś był poprosić mnie o pomoc, zamiast zgrywać bohatera. – Alcázar spojrział na prawnika z pewną sympatią i cmoknął. – Zawsze chciałeś być taki jak twój ojciec i twoja siostra, prawda? Macie to we krwi, jesteście jak samobójcze ćmy, które rzucają się na rozżarzone żarówki, bo nie znoszą ciemności. Wolicie umrzeć, niż pogodzić się z istnieniem nocy.

Nie ćmy, ale rozżarzone do białości motyle. To motyle przypominali Gonzalo i Laura, kiedy byli mali i biegali jedno za drugim, bawiąc się w lotników w blasku słońca zachodzącego nad domem nad jeziorem, które rozświetlało ich włosy i uśmiechnięte dziecięce twarze. Dzielne istoty, które nie chciały się pogodzić z tym, co istniało poza nimi i ich zabawami.

– Nie odchodź, latajmy dalej – prosił ją Gonzalo, kiedy w drzwiach prowadzących na ganek pojawiało się rozwścieczone oko Elíasa i ojciec przyzywał jego siostrę.

Zapomniał o tym? Nie, nie zapomniał, wspomnienie wciąż tam było, w głębi jego umysłu, jak skamieniały ślad innego życia, którego nie zasypały do końca liczne warstwy ziemi. Jak odważne spojrzenie Laury głaszczącej go po policzkach.

- Idź do studni, żeby cię nie złapał.
- Nie, nie do studni. Nie do ciemności.

Chciał się dalej bawić, latać ze swoją siostrą, ścigać jej jasny koński ogon, turlać się z nią po ziemi w należącej do matki kurtce republikańskiego lotnika, obcierać sobie na sosnowych szpilkach kolana i łokcie, które potem by mu opatrywała. Chciał biec do jej pokoju, obudzony koszmarem, w którym nie pamiętał słowa, zdania, jakie powinien wypowiedzieć, żeby ją ocalić, aż w końcu było za późno. I czuć ulgę, widząc ją śpiącą we własnym łóżku; rozkładała ramiona, nie otwierając oczu, żeby przygarnąć go do swojego snu. Leżeli razem, stopieni w jedno. Rozżarzone robaczki świętojańskie, które świecą do końca swoich dni. Zawsze myślał, że chce być wychudzonym wilkiem jak jego ojciec, buntowniczy duch ścigający jakiś absurdalny ideał wolności. Teraz jednak rozumiał, że zawsze był jednym z tych świetlików, dlatego od pierwszego spotkania zafascynowała go Tania ze swoimi płonącymi skrzydłami Feniksa, odradzająca się z samej siebie, wymyślająca się na nowo, żeby być kimś, kim chciała być. Bo taka była Laura.

Wtedy, stojąc na wprost lufy pistoletu Alcázara, przypomniał sobie tamtą noc, ujrzał ją bez laserunku, jego umysł nie chciał go już dłużej okłamywać i pozwolił, żeby runął mur, kamień po kamieniu. Zobaczył szopę, płaczącą Laurę leżącą na podłodze z zadartą spódnicą. I siebie stojącego w drzwiach.

- Powiedziałaś mi, żebyś został w studni.

Ale on się bał, bał się ciemności. Wtedy ujrzał swojego ojca pochylonego nad maszyną do pisania. Jak brzmiało to zdanie? Jak brzmiało? Gonzalo wyszeptał sam do siebie: skałę zaczyna drążyć pierwsza kropla, która na nią spadnie. Elías Gil odwrócił głowę, jego oko szukało go w ciemności, aż znalazło w kącie szopy.

- Byłeś tam, na komisariacie. Rozmawiałeś z moją matką, opowiadałeś jej, co się wydarzyło. Próbowwała podrapać ci twarz, ale złapałeś ją za nadgarstki. A potem jej zagroziłeś. Powiedziałeś, że jeżeli tknie Laurę palcem, osobiście się nią zajmiesz, i że wszyscy dowiedzą się, jakim to bohaterem jest Elías Gil.

Alcázar przełknął ślinę. Błyszczały mu źrenice, wydawały się mikroskopijne pod jego gęstymi brwiami. Były jak twarde, dalekie jądra rozszerzającego się wszechświata, ośrodek głębokiego smutku. Inspektor przypomniał sobie gorzkie, przeterminowane cukierki, którymi częstował Laurę, to, jak się razem śmiali, chwile, gdy niemal dawał się porywać jej entuzjazmowi i ufności, że zdoła pokonać Matrioszkę. Ona wierzyła w ludzką

dobroć, myślała, że może pokonać zło i niemal przeciągnęła go na swoją stronę. Po śmierci Cecylii Laura była jedyną osobą wnoszącą trochę przyzwoitości do jego życia. A on ją zdradził.

– Za późno, żeby otwierać tamte drzwi, mecenasie.

Podszedł do Siaki i przyłożył mu pistolet do skroni. Gonzalo próbował go powstrzymać.

– Pozwól mu odejść. Nic nie powie, ja też nie. Przysięgam.

Siaka oparł głowę o ścianę i wyprostował plecy. Przełknął ślinę i wytrzymał spojrzenie Alcázara.

Widział już zbyt wielu takich jak on. Tchorzy, którzy są odważni jedynie z pistoletem w dłoni. Słabeuszy, którym dodaje siły strach innych. Od dziecka doświadczał tego na własnej skórze. Był zmęczony. Laura miała rację, zawsze ją miała; można ich zwyciężyć, niekoniecznie pokonać, wystarczy stawić im czoła. Po kolei, jednego po drugim, całkowicie ich obnażyć, aż staną nadzy na wprost swoich słabości chorych, niepełnych istot. Wystarczy zacząć, być pierwszym. Inni pójdą w twoje ślady. Ona już to zrobiła. Teraz była jego kolej.

– Niech pan nie słucha mecenasa, inspektorze. Jeżeli nie pociągnie pan za spust i nie strzeli mi zaraz w głowę, obiecuję, że poczołgam się do biura prokuratora i opowiem mu wszystko, absolutnie wszystko, co wiem o Matrioszce. Zacznę od pana. Lepiej więc od razu z tym skończyć.

Alcázar wysłuchał chłopaka, nie okazując najmniejszych emocji czy zdumienia.

– Masz rację, synu. Nie można już nic zmienić.

Wystrzał huknął w pokoju i odbił się echem w całym domu razem z rozpaczliwym krzykiem Gonzala. Siaka osunął się na podłogę, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

29.

JEZIORO. NOC ŚWIĘTOJAŃSKA 1967 ROKU

Elías nie miał pojęcia, jak długo ukrywał się niczym zwierzę na pustkowiu, zanim wreszcie zdecydował się podejść do domu, depcząc porastające ścieżkę maki. Nocne powietrze było łagodne i chłodne, ale on i tak pocił się przez wszystkie pory skóry, a serce waliło mu tak głośno, że bał się, iż może go zdradzić.

Z okna dobiegały wesołe dźwięki uwertury *Rok 1812* Czajkowskiego odtwarzanej na gramofonie. Anna tańczyła w blasku świec, kręcąc się w kółko po salonie z córką na rękach. Dziewczynka śmiała się jak szalona, wirując w ramionach matki. Jej śmiech nie od razu dotarł do Elíasa. Przez krótką chwilę, kiedy w oszołomieniu obserwował niezauważony Annę i jej córkę, zastanawiał się, czy krew, którą ma na koszuli i na dłoniach, jest prawdziwa, czy tylko mu się przyśniło, że zabił Igora i jego ochroniarzy na oczach kilkunastu osób.

Spojrzał na swoje drżące palce. Policja, z synem Ramóna na czele, już go pewnie szuka. Tym razem przyjaciel nie będzie mógł mu pomóc, jak robił to wcześniej.

Muzyka ucichła. Kiedy Elías ponownie spojrzał w okno, napotkał oczy zaczerwienionej na twarzy Anny, która uważnie się w niego wpatrywała. Schyliła się, powiedziała coś córce i dziewczynka zniknęła na prowadzących na piętro schodach. Anna wahała się przez chwilę, zaraz jednak podeszła do drzwi i stanęła na wprost Elíasa z założonymi rękami, blokując mu przejście. Mężczyzna zauważył, jak zmienił się wyraz jej twarzy, gdy zobaczyła jego zakrwawioną koszulę i dłonie; brutalnie uprzedził pytanie, które zadawała mu bez słów.

– Zabiłem go – powiedział bez cienia dumy czy poczucia winy w głosie.

Anna spojrzała na niego tak, jakby ją zemdliło; dotknęła delikatnie brzucha,

jednak szybko się opanowała i zmierzyła go pytającym wzrokiem.

– Czego ode mnie oczekujesz?

W tym momencie w oddali rozległy się wybuchy pierwszych petard. Była noc świętojańska, noc czarownic, magii, noc, w czasie której ogień i księżyc wszystko oczyszczają. Oboje jednocześnie podnieśli głowy ku rozgwieżdżonemu niebu i obserwowali eksplozję rozchodzących się jak fale kolorów, które rozświetlały nieruchomą powierzchnię jeziora. Kiedy zniknął blask, znów spojrzeli na siebie w milczeniu. Światło padające z domu zaznaczało sylwetkę Anny stojącej w drzwiach, jej twarz pozostawała jednak w mroku. Oblicze Eliása częściowo oświetlał księżyc. Oboje przypominali zjawy. Byli jednak prawdziwi. Eliás wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć twarzy Anny, ale kobieta odsunęła się z obrzydzeniem.

– Nie waż się mnie dotykać.

Eliás, zdezorientowany, potarł czoło.

– Teraz jesteś wolna.

Anna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, jak na szaleńca. Wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał tak, jakby wydobywał się z głębin, jakby trudno mu było wydostać się na powierzchnię. Pokręciła głową, szczerze zdumiona.

– Mówisz poważnie? Chcesz, żebym uwierzyła, że zabiłeś go dla mnie?

– Dla ciebie, dla Iriny, dla Claude’a, dla Michaela, dla Martina, dla siebie.

Śmiech Anny stał się nerwowy, niemal histeryczny. Nienawidziła tego człowieka, Boże, jak ona go nienawidziła. Prawie tak bardzo jak Igora Sterna.

– Oczekujesz, że rzucę ci się w ramiona? Oczekujesz, że oddam ci cześć, że ucałuję ci stopy jako mojemu wybawcy? Spóźniłeś się, spóźniłeś się o trzydzieści cztery lata – wycedziła przez zęby, nie będąc w stanie powstrzymać bolesnego płaczu, w który przeszły jej ostatnie słowa; chciała zatamować płynące łzy, gwałtownie trąc zaczerwienione oczy wierzchem dłoni.

Ludzie, którzy mają się za prawych, starają się nie robić niczego ryzykownego, a jeżeli mogą, nie robią w ogóle nic. Ulegają sile bezwładności, rozgrzeszają się ze swoich drobnych nałogów i eksponują swoje cnoty, bijąc się mocno w piersi. Wszyscy mają odwagę osądzać, wszyscy czują się bezpieczni w swoim skrzydlatym zaprzęgu przyzwoitości i prawości. Ale w kraju barbarzyńców stworzonym przez Igora Sterna cywilizowane zasady nie miały żadnego zastosowania, tak że Anna już dawno temu przekroczyła

Rubikon. Tak, Igor oddał jej wątpliwą przysługę, przekazując jej swoje imperium, a wraz z nim najgorszą część samego siebie. Gdyby nie ugryzła jabłka z drzewa poznania, gdyby trochę dłużej opierała się jego woli. Było już jednak za późno; zasmakowała władzy, dominacji, wiedziała, jak absurdalnie cienka jest linia oddzielająca to, co naiwnie nazywamy dobrem i złem.

– Gdzie byłeś, kiedy miałam trzy, pięć, osiem, dziesięć, dwanaście lat? Gdzie byłeś, kiedy nocami krzyczałam ze strachu za każdym razem, kiedy Igor oddawał mnie w ręce swoich ludzi, żeby mnie gwałcili, żeby mnie poniżali? Gdzie byłeś, kiedy chowałam się pod łóżkiem, drżąc z zimna, żeby mnie nie znalazł, kiedy wróci pijany? Nie pomogłeś mi, kiedy próbowałam uciec, nie ochroniłeś mnie przed światem. Nauczyłam się robić to sama, uczyłam się szybko, aż wreszcie zrozumiałam, że jestem jego tworem i przestanę cierpieć dopiero wtedy, kiedy zaakceptuję własną naturę.

A kiedy to rozumiała, przestała się opierać, pozwoliła, by jego dłonie kształtowały jej duszę, zamknęła oczy i obojętna na wszystko zaczęła spadać w przepaść. Odkryła, że w ciemności nie żyje się tak źle. Stała się uległą, usługną dziewczyną, pokazała, że jest przebiegła i ma talent do manipulowania mężczyznami, cierpliwie się uczyła, słuchała i milczała.

– Czego się nauczyłam? Poznałam dokładniej, niż chciałam, i znacznie dokładniej, niż potrzebowałam, ludzką naturę.

Z biegiem lat czuła się coraz bardziej osamotniona, coraz bardziej odizolowana od tego, co dzieje się poza murami świata Igora Sterna, świata burdeli, brudnych interesów, handlu narkotykami i bronią. Dorastała pod rządami sztywnych norm i uznała je za własne, czym zyskała szacunek Igora i jego ludzi. Czy kiedykolwiek zachowywał się jak ojciec, czy przynajmniej ją kochał, choćby na swój dziki, chory sposób? Nigdy, chociaż czasami potrafił stworzyć fikcję bajki, w której księżniczki siadały przy niej w łoży operowej, Paryż był pocztówką oglądaną o świcie z limuzyny jadącej wzdłuż Sekwany, a morza cichły zasłuchane w pieśń weneckiego gondoliera.

W końcu Anna zaczęła podziwiać strach i szacunek, jakie budził Igor, zawsze nierozzerwalnie ze sobą połączone, bliskie uznania, którym darzyli go nawet wrogowie. Stał się dandysem, nigdy nie podnosił głosu ani nie spierał się o szczegóły swoich operacji. Ale kiedy podjął jakąś decyzję, musiała zostać wykonana skrupulatnie i bezzwłocznie – wszyscy o tym wiedzieli. Nic ani nikt nie był w stanie go poruszyć. A czyż nie jest to cecha bogów?

– Nigdy nie byłam dziewczynką, którą wydawało ci się, że pamiętasz;

a jeśli nią byłam, szybko przestałam.

Jej ton był oschły, zmiękczał go jednak cień niepokoju. „Spójrz na mnie – mówiły jej zaczerwienione od łez oczy – bo już nigdy nie zobaczysz u mnie oznak słabości, ani ty, ani nikt inny”. Spowijała ich noc, we wsi płonęły ogniska, do miejsca, w którym stali, docierał tylko ich słaby blask. To powinna być piękna noc, w czasie której pary dają się ponieść namiętności, a ziemia i niebo zdają się bliżej siebie niż kiedykolwiek. Wystrojone rodziny ściągały na zabawę na placu, dziadkowie wynosili krzesła i gitary, grano na bębnach i fletach pasterskich, śmiano się, pito i zapominano. Jednak ta radość przesiąkała jakimś złem, w miarę jak muzyka wypełniała dolinę, wznosiła się nad jezioro i spowijała Elíasa i Annę.

Przez moment trwali w milczeniu, po czym Anna wyciągnęła szyję i wyprostowała plecy – odzyskała kontrolę.

– Myślisz, że śmierć Igora spłaca wszystkie długi? Nie, oczywiście, że nie. Ty i Stern macie te same korzenie: władzę, dumę i próżność. Jednak ty czynisz z nich cnotę i przynajmniej pod tym względem Igor był od ciebie uczciwszy; sprawowanie kontroli nad innymi stało się jego obsesją, jego najbardziej ekscytującym eksperymentem, szczycił się, że zna wszystkie zakamarki ludzkiej duszy, ale ty kilka razy mu się postawiłeś. Jak podczas tej absurdalnej sprzeczki o płaszcz, kiedy straciłeś oko. Ciągłe opowiadał tę historię, z podziwem, jakby to był wyczyn godny jego samego, jego syna, jego brata. Na tym polega paradoks: im bardziej cię podziwiał, tym bardziej cię nienawidził. Stawał się coraz gorszy, im bardziej wierzył w twoją legendę bohatera, bo chciał być taki jak ty, cieszyć się uznaniem sobie równych. A przecież obaj jesteście przykładem takiej samej symbiozy. Ty udajesz, że obchodzą cię zasady, ale bez wahania je łamiesz, kiedy jest ci to na rękę – tak było z moją matką, pozwoliłeś jej utonąć, żeby ocaleć. Oddałeś mnie Igorowi, żeby uratować własne życie, bez zmruczenia oka sprzedałeś swoich towarzyszy hiszpańskiej policji, żeby dokonać zemsty na Igorze... Nigdy nie miał o to do ciebie pretensji, bo na twoim miejscu zrobiłby dokładnie to samo. Drażniło go natomiast twoje tchórzostwo, to, że nie chciałeś zaakceptować swojej natury. Ty odwoływałeś się do etyki, żeby torturować i zabijać, a on nazywał to po prostu pragmatyzmem. Był przekonany, że ludzka natura musi być zepsuta, ty zaś ukrywałeś to pod odrażającą maską idealizmu. Nie, Elíasiu. Nie jesteś lepszy od niego, może nawet jesteś gorszy. Zjawiasz się w moim domu, pokazujesz mi swoje ubranie poplamione krwią Igora i myślisz, że cię

rozgrzeszę, że potwierdzę twoją szlachetność.

Anna Achmatowa mierzyła teraz Elíasa spokojnym, uważnym spojrzeniem.

– Kusząca wizja, prawda? Padniemy sobie w ramiona, udając, że nie jesteśmy tymi, którymi jesteśmy. Wybaczmy sobie wszystko w imię przeszłości, która nie była jednakowa dla każdego z nas. Ale nie oszukuj się: jesteś tchórzem. Zabiłeś Igora przy wszystkich tych ludziach, w środku dnia, bo wolisz, żeby zapamiętano cię jako mordercę radzieckiego mafiosa niż jako zdrajcę i w gruncie rzeczy człowieka na glinianych nogach. Myślałeś, że cię wyda, że ujawni raport Wieliczki, twój udział w morderstwach zleconych przez Berię i w jego podejrzanych operacjach z czasów wojny; najbardziej jednak przerażało cię, że wyjdzie na jaw twoja współpraca z Ramónem Alcázarem, tym twoim zaprzyjaźnionym komisarzem z brygady polityczno-społecznej. Że ujawni nazwiska wszystkich towarzyszy z partii, którzy z twojej winy zginęli, uciekli albo trafili do więzienia. A do tego twoja próżność wielkiego człowieka nie mogła dopuścić. Domagasz się miejsca w historii i w pamięci twojego syna. Liczysz na to, że kiedy umrzesz, ludzie będą cię darzyli podziwem. Tak naprawdę do tego właśnie się wszystko sprowadza – do zwykłego narcyzmu.

Zamilkła, by starannie dobrać następne słowa; musiały być odpowiednio ciężkie, żeby zmiażdżyły Elíasa.

– Igor Stern nie żyje... Ale ja tak i wiem to, co wiedział on.

Elías Gil szybko oddychał. Znów czuł klucie w pustym oczodole, robaki, które przeżerały tę ciemność, wciskały się do jego mózgu, przyprawiając go o utratę zmysłów. Przycisnął dłonią skroń, jakby zaraz miała pęknąć mu głowa.

– Nie gróż mi, Anno. Nie zasługuję na to, to niesprawiedliwe. Nie możesz pamiętać, jak to było.

Anna Achmatowa pozwoliła sobie na nieoczekiwany gest. Wyciągnęła palce i pogładziła opaskę na oku Elíasa.

– Wiele razy byłam tam, gdzie to się stało. Ciekawe: wszystko zarosło trawą, ludzie nie pamiętają, jakby nic się nie wydarzyło. Masz rację, nie mogę tego pamiętać... Ale pamiętam wszystko, co nastąpiło później.

Elías odruchowo chwycił Annę za nadgarstek i odsunął jej palce. Przez całe swoje życie walczył z Igorem Sternem, ale nigdy nie był w stanie go pokonać. Myślał, że kiedy go zabije, zdoła mu wydrzeć Annę, ale Igor kpił z niego nawet po śmierci. Anna wymykała mu się niczym obca osoba, którą faktycznie była. Czuł, jak pali go płynąca przez czubki jej palców nienawiść.

– Co zamierzasz? Czego ode mnie chcesz?

Było to straszliwie naiwne pytanie, oczekiwał jednak, że udzieli na nie choćby hipotetycznej odpowiedzi. Anna poruszyła palcami, jakby były czułkami meduzy schwytej w zaciśniętą pięść Elíasa.

– Sprawiasz mi duży zawód... Czego oczekujesz? Zakładasz, że co zrobię? Twoim zdaniem dlaczego pojawiłam się po tylu latach? Z powodu nostalgii, z ciekawości? Nie bądź nedorzeczny.

– Doniesiesz na mnie.

Anna rzuciła mu badawcze spojrzenie.

– Może zaczekam, aż dorośnie twój syn, żeby powiedzieć mu prawdę. Może jak cień będę ciążył nad życiem twojej córki, czekając na właściwy moment, żeby na nią spaść... A może nie uczynię żadnej z tych rzeczy, pójdę dalej własną drogą i zapomnę o Gilach, jeżeli coś dla mnie zrobisz.

Twarcz Anny przypominała teraz jezioro. Spokojne, pozbawione głębin i niebezpiecznych miejsc.

– Czego chcesz?

– Dwóch rzeczy, które słusznie mi się należą.

– Do diabła, przestań bawić się w zagadki!

– Chcę, żebyś mi oddał medalion mojej matki. Nigdy do ciebie nie należał. Ona także nie.

Elías Gil spojrzał na nią ze zdumieniem. Poczł powiew zimna rodem z Syberii, Syberii, która żyła w jego wnętrzu i wyglądała na świat przez balkon jego pustego oczodołu.

– A druga rzecz?

Anna zrobiła krok w stronę krawędzi snopa światła padającego z drzwi domu. W oddali księżyc odbijał się w tafli jeziora.

– Twoje życie, które powinieneś był stracić w tamtej rzece. Chcę, żebyś się utopił w jeziorze, w którym łowisz z synem ryby.

Zaskoczony Elías zmierzył ją pełnym bólu spojrzeniem.

– Uratowałem ci życie w tamtej rzece.

– Żeby odebrać mi je trochę dalej – odparła niewzruszona.

Elíasa ogarnęło przeogromne zmęczenie. Zamknął oczy i stał bez ruchu, owładnięty nagłą niemocą.

– Nie! – odmówił.

Anna przyjęła jego odpowiedź z uśmiechem. Spodziewała się jej.

– Wiesz, co to będzie oznaczać dla ciebie i dla twojej rodziny, tak długo,

jak będę żyła?

Elías zacisnął mocno pięści; dostrzegł już zarys innego rozwiązania.

– Jak długo będziesz żyła...

Rzucił się na nią, chwycił ją za gardło, uniósł w górę i rzucił brutalnie na podłogę, starając się przygwoździć ją kolanami i przytrzymać wolną ręką. Anna nie należała do potulnych kobiet, zaczęła się wić, wierzgać, bezlitośnie go gryźć. Musiał ją mocno uderzyć, żeby przestała stawiać opór. Wtedy zacisnął obie dłonie na jej tchawicy. Był wściekły, oszalały, złość, którą gromadził przez całe życie, napływała desperackimi falami do jego rąk i krzyczała: Zabij ją! Ocal siebie!

– Mamo?

Głos dziewczynki rozległ się za jego plecami. Odwrócił głowę i zobaczył, że stoi w oświetlonych drzwiach. Jej czerwone włosy opadały na piegowate, kościste ramionka, a rozszerzone strachem oczy wyglądały jak z miedzi. Elías zobaczył w nich siebie zamienionego w to, czego tak bardzo nienawidził; zobaczył, jak leży na torach, umierający i pokonany, patrząc na gasnące skórzane oko majestatycznego łosia powalonego strzałami kilka metrów od niego, na płynącą z jego pyska krew, tworzącą na śniegu rzekę. Zobaczył wyciągniętą do siebie dłoń Iriny i usłyszał jej słowa: „Wstań”.

Wspomnienia kotłowały się zaciekle, opierały jak Anna. Zaskoczony tym, co robi, rozluźnił uścisk i przyjrzał się wypustkom, w których nie rozpoznawał własnych palców. Anna zadała mu cios kolanem, upadł na bok niczym duże, ścięte drzewo, które wystarczy pchnąć, żeby zwało się na ziemię. Jego ciałem wstrząsnął szloch. Anna z trudem zdołała wstać, powlokła się do Tani, wzięła ją szybko na ręce, weszła do domu i zamknęła drzwi i okna.

Elías nadal leżał, teraz na plecach. Niebo patrzyło na niego zalane gwiazdami, spowite mglistym blaskiem. W tym błysku Elías Gil dostrzegł stracone szanse.

– Tchórz – wycedził przez zęby. – Pierdolony tchórz!

Jeżeli oczekiwał jakiejś odpowiedzi od tego miliona gwiazd migoczących nad jego poczuciem winy, to jej nie dostał.

Mały Gonzalo maskował strach przed wybuchami petard nerwowym uśmiechem. Przy każdej eksplozji coraz mocniej przytulał się do siostry, a Laura, która wiedziała o jego panicznym lęku, uznała, że to nie jest dobry

moment, żeby kpić z brata. Nie mówiąc nic, co mogłoby go zawstydzić, objęła go za plecy i zasugerowała, że powinni wracać do domu. Chciała umożliwić Gonzalowi godne opuszczenie imprezy, na której inni chłopcy z doliny spędzą większą część nocy, skacząc przez ogniska, odpalając petardy i biegając między stołami, przy których dorośli doczekają świtu pośród śmiechów, plotek i muzyki.

Z łagodnie nachylnego zbocza roztaczał się widok na całą dolinę i domy otaczające jezioro. Nie było ich dużo, może trzy, cztery w promieniu kilku kilometrów. Laura zapytała Gonzala, czy poznaje ich dom, a chłopiec wskazał ten na południowym krańcu, nieco bardziej oddalony od jeziora niż pozostałe. Paliło się w nim światło, z daleka wyglądał jak unosząca się w ciemnościach lampa gazowa. Laura przytaknęła, jej uwaga była jednak skupiona na ścieżce biegnącej równoległe do wschodniego brzegu jeziora – reflektory samochodu i odległy warkot silnika zmierzały wprost do ich domu. Rozpoznała odgłos starego renaulta ojca, spojrzała w stronę, z której jechał, i zobaczyła dom wynajęty przez tę kobietę z córką, o których mówiło całe miasteczko.

Widziała ją dotąd tylko z daleka i wydała jej się bardzo ładna, w każdym razie inna niż kobiety, z jakimi zwykle miała do czynienia. Kiedy spacerowała z córką po miasteczku, dzieciaki śledziły je z bezpiecznej odległości, postrzegając dziewczynkę jak jarmarczną atrakcję. Uwagę wszystkich przykuwały jej czerwone włosy i szare błyszczące oczy. Kilka dni wcześniej Laura zobaczyła kobietę w pobliżu pomostu, obserwowała ojca i Gonzala łowiących ryby. Zadała sobie pytanie, co tu robi, na wpół ukryta za czarnymi sosnami; odniosła wrażenie, że jest w tej cudzoziemce coś niedobrego.

Narobiła hałasu, żeby zasygnalizować swoją obecność. Kobieta odwróciła głowę, zobaczyła ją z daleka. Uśmiechnęła się nieśmiało, wzięła córkę za rękę i oddaliła się ścieżką w przeciwną stronę. Kiedy Laura podeszła do miejsca, skąd nieznajoma szpiegowała jej ojca i brata, zobaczyła, że dziewczynka rysowała coś na ziemi, grzebiąc w pokrywających ją sosnowych igłach. Spojrzała przez gałęzie na spokojne, siedzące postacie ojca i brata, którzy jej nie zauważyli, i z jakiegoś powodu postanowiła zachować w tajemnicy to, co widziała. Instynktownie wyczuwała, że odkąd ta kobieta i jej córka pojawiły się w dolinie, ojciec stał się bardziej nerwowy i nieprzewidywalny, jak w najgorszych okresach. Nowością było to, że także matka wyglądała na zdenerwowaną, kiedy o nich wspomiano.

To, że ojciec jechał teraz od strony domu, który wynajęła ta kobieta, nie

mogło oznaczać niczego dobrego. Niezdecydowana, obciągnęła wypłowiałą wełnianą koszulę. Nie miała innego wyjścia niż zejść z boczem, które na ostatnim odcinku stawało się bardziej zarośnięte chaszczami, i zaklinać los, żeby ojciec na nią nie czekał.

Wzięła Gonzala za rękę i ruszyła dalej, zapierając się piętami i podskakując, żeby się nie przewrócić. Gonzalo robił to samo, naturalnie jak górska kozica, pośród śmiechów, które Laura kazała mu stłumić, przykładając palec do zamkniętych ust. Chłopiec posłuchał, zdziwiony tą nagłą zmianą nastroju siostry.

Laura obejrzała brata, zanim podniosła deski ogrodzenia, by się upewnić, że ojciec nie będzie miał powodów do gniewu. Oczywiście nie potrzebował powodów, wystarczył byle pretekst, żeby wybuchnął, ale Laura starała się zawsze minimalizować niebezpieczeństwo, że czymś go sprowokuje. Podciągnęła skarpetki, poprawiła spódnicę i rękawem koszuli przetarła buty swoje i Gonzala.

– Posłuchaj uważnie, co ci powiem: jeżeli na ciebie spojrzę i wskażę ci studnię, pójdziesz tam bez szemrania, zgoda?

Gonzalo stanowczo pokręcił głową. Bał się studni, a tej nocy dodatkowo nerwy szarpały mu wybuchające petardy. Ale Laura nie pozwoliła mu nawet zaprotestować. Chwyciła go za ramiona i gwałtownie nim potrząsnęła.

– Bez szemrania, Gonzalo!

Tak mocno złapała go za dłoń, że aż jęknął z bólu. Była tak wystraszona, że nie zdawała sobie sprawy, że ścisła brata nie po to, by go chronić, ale żeby móc się czegoś uczepić; czegoś, dzięki czemu nie czułaby się tak samotna, kiedy szli powoli w stronę uchylonych drzwi domu. Przynajmniej światła w szopie są zgaszone, pomyślała, szukając pocieszenia w najmniejszym szczególe, który zaprzeczyłby temu, co podpowiadała jej intuicja. Po prawej stronie, między rozwieszonym praniem, dostrzegła cień matki. Zawołała ją, ale to nie matka wyszła, potykając się i zrywając ze sznurka prześcieradło. Ojciec wstał i rzucił jakieś przekleństwo; zaplątany w prześcieradło wyglądał jak duch. Byłaby to komiczna scena, gdyby nie butelka, którą trzymał w prawej dłoni, i jego koszula poplamiona zaschniętą krwią. Księżyc oświetlał go od tyłu, przez co błyszczał fosforyzującym blaskiem.

– Gigantyczny świetlik – powiedział Gonzalo. Laura zatkała mu usta. Ale ojciec już ich zobaczył, szedł do nich chwiejnym krokiem, starając się utrzymać równowagę.

– Idź do studni – szepnęła.

– Nie chcę.

Musiła wbić mu paznokcie w dłoń, żeby jej posłuchał. Poczowała lekką ulgę, kiedy zniknął za domem. Gdy odwróciła się w stronę wiszącego prania, zobaczyła ogromne łapsko ojca chwytające ją za włosy.

– Ciii, nie krzycz; nie chcemy obudzić matki, prawda?

Laura mechanicznie pokręciła głową.

– Tej nocy mam ochotę popisać, słuchając, jak recytujesz Majakowskiego. Powtórzmy razem to, czego się nauczyłaś. – Elías miał ciężki oddech, jego język potykał się o słowa, nie pozwalając mu ich dokończyć.

Laura wiedziała, że jeśli pozwoli, by do jej oczu napłynęły łzy, będzie jeszcze gorzej. Ojciec nie znosił słabości, jej błagania tylko go rozsierdzały. Najlepiej było siedzieć spokojnie, zamienić się w kamień i czekać, aż minie burza. Taka taktyka niemal zawsze skutkowałą, on krzyczał, pił i pisał, czasami walił głową w ścianę albo obrzucał ją wyzwiskami. Nieraz jednak nie wystarczyło zamienić się w posąg. W zielonym oku ojca zobaczyła, że to będzie jedna z tych nocy, kiedy nic i nikt nie zapobiegnie temu, co miało się wydarzyć.

Nie potrafiła przypomnieć sobie pierwszego razu. Czasami myślała, że już urodziła się z tym piętnem, przez lata uważała za normalne, że ojciec ją krzywdzi, do czasu, aż zaczęła dostrzegać milczące poczucie winy w uciekającym spojrzeniu matki i obłudne wyrzuty sumienia u ojca, który następnego dnia był dla nich obu okrutny i daleki. Kiedy jedyny raz opowiedziała matce, co się dzieje w szopie, Esperanza uderzyła ją z taką wściekłością, że z nosa popłynęła jej krew. Zaczęła ją wyzywać od dziwek, ciągnąć za włosy. Laura myślała, że matka ją zabije. Aż wreszcie się uspokoiła; stanęła nieruchomo, spoglądając na garść włosów, które wyrwała córce. Wyprostowała plecy i zacisnęła szczęki.

– Kłamiesz. A jeżeli usłyszę, że powtarzasz komukolwiek to kłamstwo, osobiście wyrzucę cię z tego domu.

Laura miała wtedy jedenaście lat; pomyślała, że to wszystko jej wina, bo w takim przekonaniu utwierdzali ją ojciec i matka. Tak bardzo przerażała ją myśl, że mogliby przestać ją kochać, że matka spełni swoją groźbę i wyrzuci ją z domu, że już nigdy więcej nie wspomniała ani słowem o tym, co się dzieje w szopie.

Ale nadal się działo, chociaż nie zawsze i nie w taki sam sposób, jednak

koszmar nigdy do końca nie zniknął, mijały miesiące, lata, a potwór, który brał w posiadanie jej ojca, zawsze po nią wracał.

Gonzalo wiedział, że jego siostra się wścieknie, jeżeli odkryje, że jej nie posłuchał. Ale tej nocy był tak wystraszony, że nie miał odwagi czekać sam w wilgotnej, ciemnej studni. Pchnął więc niedomknięte drzwi domu, starając się nie robić hałasu. Matka cierpiała na migreny, trzeba było się poruszać bezszelestnie, po ciemku, jak duchy w opuszczonym klasztorze.

– Wytarłeś buty?

Głos matki sprawił, że Gonzalo znieruchomiał na środku przedpokoju. Odwrócił głowę i zobaczył, że siedzi przed wygaszonym kominkiem, spoglądając na okopconą obudowę i stos suchych drewn. Gładziła leżącą na kolanach kurtkę republikańskiego lotnika; w palcach trzymała jakiś medalion. Musiała wcześniej płakać, zdradzały to zaczerwieniony nos i podrażnione oczy. Kosmyk włosów wymknął jej się spod wsuwki i spłynął na ramiona niczym szary wodospad.

– Tak, mam – powiedział Gonzalo i pokazał jej buty, trzymając je w obu dłoniach, jakby to były świeżo upolowane króliki. Esperanza posłała mu nieobecny uśmiech i wyciągnęła rękę, żeby do niej podszedł. Chłopiec bez obawy podbiegł do jej kolan i pozwolił, by pogłaskała go po ogolonej głowie i odstających uszach. Kochał matkę, choć rzecz jasna nie tak bardzo jak Laurę.

– Gdzie jest twoja siostra?

– W szopie, z ojcem.

Spojrzenie Esperanzy było jak rysa, która powstaje na zamarznętej tafli jeziora pod ciężarem kroków tuż przed tym, zanim lód pęknie. Chłopiec nie rozumiał, dlaczego nagle mocno go przytuliła. Pochyliła się, przełożyła jego rączkę przez rękaw kurtki, potem drugą, zapięła suwak i powiedziała z uśmiechem:

– В первом раскрывающемся списке, падает, начинает вырваться из камня.

Gonzalo zrozumiał zaledwie parę słów. Matka rzadko mówiła do niego po rosyjsku.

– Что означает?

– Można to przetłumaczyć mniej więcej tak, że po pierwszej kropli ze skały tryska cały wodospad. To fragment starego wiersza, który recytowaliśmy

razem z twoim ojcem.

Gonzalo nie pojął, co próbuje powiedzieć mu matka. Esperanza pogładziła naszywkę na kurtce i pocałowała syna, jakby nagle się zorientowała, że Gonzalo jest jeszcze małym chłopcem.

– Już późno. Idź do swojego pokoju.

– Mogę spać w kurtce?

Esperanza skinęła głową.

Tej nocy głupie ćmy obijały się samobójczo o małą lampę oświetlającą szopę. Gonzalo stał w oknie, wydawało mu się, że słyszy, jak skwierczą ich skrzydełka. Nie chciało mu się spać i chociaż pocił się w grubej ocieplanej kurtce, nie zamierzał jej zdejmować. Przez chwilę oglądał medalion z zamazanym zdjęciem kobiety trzymającej na kolanach dziewczynkę. Matka zostawiła go w wewnętrznej kieszeni. Gonzalo pomyślał, że musi być dla niej ważny, odłożył go więc tam z powrotem.

Spoglądając na ostatnie sztuczne ognie, zaczął powtarzać rosyjskie zdanie, którego nauczyła go matka. Niełatwo było mu zapamiętać ten trudny język, w którym od czasu do czasu rozmawiali rodzice, zwłaszcza, kiedy się kłócili. Za to Laura uczyła się bardzo szybko. Chciał jej zrobić niespodziankę, jednak po kilku minutach zapomniał niemal wszystkie słowa.

Bał się, co powie siostra, kiedy wyjdzie z szopy i odkryje, że nie ma go w studni. Nie lubił być sam w domu, kiedy ojciec zamykał się z Laurą. Słyszał, jak krzyczy i ciska o ściany przedmiotami, w domu zaś było na odwrót – panował spokój, jakby matka i wszystkie meble chciały się stać niewidzialne albo odsunąć na bok, przykleić do ściany, żeby ich nie zobaczyć.

Teraz jednak Gonzalo miał na sobie kurtkę matki i był pewien, że siostrze przejdzie złość, kiedy go w niej zobaczy. Także ojcu poprawi się humor, jeżeli uda mu się wyrecytować to rosyjskie zdanie, zanim zupełnie wyleci mu z głowy. Jego dziecięcym sercem zawładnęła nieprzeparata potrzeba, by wyjść przez okno, spuścić się na ziemię po pniu wielkiej brzozy i pobiec do szopy. Nieważne, że matka kategorycznie zabraniała mu się do niej zbliżać, kiedy w środku był ojciec. Coś podpowiadało mu, że jest potrzebny siostrze.

Zahaczył ręką o ostatnią gałąź i porządnie się poharatał. Najbardziej martwiło go jednak to, że mógł rozedrzeć kurtkę. Z ulgą przekonał się, że jest cała. Podszedł boszo do szopy, nie czując kłujących igieł. Mógł z zamkniętymi oczami poruszać się po całym terenie: po domu, spichlerzu, szopie, koło studni, strumienia i po drewnianym moście przerzuconym nad parowem,

prowadzącym do sosnowego lasu. Zakradł się do okna i stanął na palcach, żeby zajrzeć do środka. Nad jego głową krążyły oszalałe ćmy, nie mogąc się zdecydować, gdzie polecieć.

Zobaczył ojca pochylonego nad maszyną do pisania. Słyszał stukanie w klawisze i świst wałka. Poszukał wzrokiem Laury – stała kilka kroków za Elíasem, sztywno wyprostowana, zaciskając mocno pięści. Słaba żarówka oświetlała część jej twarzy. Na jej widok Gonzalo śmiertelnie się wystraszył, zrobił krok w tył i niemal się przewrócił. Twarz Laury była posiniaczona i zakrwawiona.

Drzwi do szopy były uchylone. Ujrzał w snopie światła powiększony cień ojca. Usłyszał jego przepity głos, którym zwracał się do Laury po rosyjsku. O coś ją pytał, a ona odpowiadała zmienionym tonem, który nie był jej, ale jakby pożyczony, tak cicho mówiła. Gonzalo wszedł do szopy na czworakach i ukrył się w miejscu, do którego nie sięgało światło żarówki. Wtedy ujrzał, jak ojciec ciska maszyną do pisania o ścianę z taką siłą, że masa perłowa pokrywająca klawisze odpadła, rozbijając się na tysiąc kawałeczków. W kostkę chłopca wbił się odłamek „ñ”. Następnie Elías z krzykiem przyskoczył do Laury, zatrzymał się w odległości dwóch centymetrów od jej twarzy i rozdarł jej koszulę. Guziki wystrzeliły w powietrze, odsłaniając jej małe piersi. Potem podniósł ją i brutalnie rzucił na podłogę.

– Jak idzie dalej wiersz? Uczyłem cię go tysiąc razy!

Nie pamiętała. Laura nie pamiętała wiersza, desperacko próbowała sobie przypomnieć ciąg dalszy – bezskutecznie. Ojciec ją ponaglał, strach sprawił, że słowa wyleciały jej z głowy. Poczula na twarzy piekący ból, zobaczyła, jak tryska z niej krew i płynie po podłodze szopy w postaci krętego strumyka. Starła się nie słuchać ojca, nie myśleć o tym, co się zaraz wydarzy, kiedy każe jej stanąć na czworakach i rozstawić nogi. W tym momencie, skupiona na odgłosie skapującej na kamień krwi, zobaczyła skulone ciało Gonzala. Poczula, jak w jej żyłach mrozi się krew, która jeszcze nie zdążyła wyciec.

Chłopiec patrzył na nią wystraszony, nie rozumiejąc, co się dzieje. Laura próbowała wyciągnąć do niego rękę, chciała go uspokoić, ale ojciec szarpnął ją za nogę i kazał jej się odwrócić.

– Skałę zaczyna drażnić pierwsza kropla...

Elías Gil zapuścił wzrok w ciemność, z której dobiegł głos. Wyostrzył spojrzenie rozhisteryzowanego, oszalałego oka i odkrył drżący cień swojego synka. Puścił Laurę i ruszył w jego stronę.

– Zostaw go, jego zostaw – błagała Laura, ale Elías nie zwracał na nią uwagi. Chwytał Gonzala za rękę i pociągnął go w stronę światła.

Chłopiec zaczął rozpaczliwie płakać, patrząc to na ojca, to na siostrę, nie rozpoznając żadnego z nich. Chciał się uwolnić z uścisku dłoni Elíasa, ten jednak trzymał go coraz mocniej.

– Co powiedziałaś? Powtórz!

Ale przerażony chłopiec nie mógł wydusić z siebie ani słowa, a im głośniej płakał, tym silniejszy był kłujący ból w głowie Elíasa: stała się jak rozpalony piec.

– Gdzie się tego nauczyłeś? Tych słów...!

Powinien się uspokoić, ale nie potrafił. Pusty oczodół pulsował jak serce mięsożernej rośliny, zaślepiony nienawiścią, przepełniony gniewem.

– Do diabła, przestań ryczeć; nie zniosę tego płaczu.

Ale chłopiec nie przestawał. Płakał dalej, a jemu pękała głowa. Nie powinno go tu być, jego syn nie powinien zapamiętać go w taki sposób. Żadne z nich nie powinno. Odwrócił się w stronę Laury, która wstała i szarpała go, próbując mu wyrwać Gonzala. Dlaczego? To jego syn, nie robi mu krzywdy... Nie...

Przez minutę spoglądał na Gonzala, jakby był ostatnim błyskiem światła, jaki miało zobaczyć jego jedyne, zielone oko, zanim na zawsze się zamknie. Potem spróbował dotknąć pleców, ale jego palce natrafiły na drewniany trzonek noża. O kurwa, nóż w jego plecach, wbity aż po rękojeść. Odwrócił się powoli i spojrzał na zeszywniałą Laurę. Patrzyła na niego z nienawiścią, która nagle stała się zimna i oschła, jak ta, którą widział w oczach Anny Achmatowej. Były do siebie bardzo podobne, chociaż się nie znały; obie przypominały mu Irinę. Obie mogłyby być ich córkami.

Oddychał z trudem. Nie umierał, jeszcze nie. Nóż nie miał długiego ostrza, córka nie miała siły, żeby wbić go głębiej. Ale wykrwawi się, jeżeli nie pojedzie do szpitala.

– Nie dotykaj go. Jego nie.

Elías zamrugnął powieką i dysząc, upadł między rodzeństwem. Laura obeszała go ze strachem, jakby bała się, że dosięgnie ją łapa tego rannego, ale nie pokonanego niedźwiedzia, i mocno przytuliła Gonzala, próbując go uspokoić.

Jak to się dzieje, że człowiek przestaje być człowiekiem i zamienia się w zwyrodnialca? W którym momencie stracił busolę i bezpowrotnie się zagubił? Na Nazino, w pociągu, który wiozł go z Moskwy do Tomska,

w Hiszpanii podczas wojny domowej, we Francji, a może podczas walk z Niemcami? A może potwór zawsze mieszkał w jego wnętrzu i czekał cierpliwie, aż nadejdzie właściwy moment, żeby pożreć pancerz, który krył go przed oczami innych. Bo tylko zwyrodnialec, potwór, może ranić z takim okrucieństwem to, co najbardziej kocha.

Chciałby mieć dziennik okrętowy, żeby móc dotrzeć do celu podróży, nie będąc zależnym od kapryśnej woli losu, który pastwił się nad nim, aż zrobił z niego kogoś innego. Kiedyś taki nie był, zaślepienie i poczucie winy odbierały mu rozum. Nie pamiętał już twarzy ani głosów swoich przyjaciół, bardzo rzadko śniły mu się noce spędzone z Iriną, jej głos, dotyk jej skóry. Z trudem przypominał sobie, kim jest ten zgorzkniały, oszalały mężczyzna, który codziennie patrzył na niego z lustra. Może więc dobrze, że to się tak skończy. Że wymaże się ze wspomnień syna, żeby pamiętał go nie takim, jakim jest teraz, ale takim, jakim chciał być.

Uśmiechnął się, kiwając głową. Powiedział coś po rosyjsku i zastygł w bezruchu, klęcząc z pochyloną głową, zgiętymi w łokciach rękami i dłońmi na podłodze. Nie umrę, pomyślał. Ból się oddalał, falą, która wcześniej go zalała. Wreszcie mógł się odprężyć i unosić na spokojnej powierzchni oceanu. Było mu dobrze, całkiem dobrze.

Po tym, jak Laura wbiła ojcu nóż w plecy, Gonzalo pobiegł po matkę i zacinając się, opowiedział jej, co się stało. Kiedy weszli do szopy, Laura siedziała na podłodze z wyciągniętymi nogami, oparta plecami o ścianę. Elías leżał na boku u jej stóp. Jeszcze oddychał, choć jego twarz przybierała barwę wrześniowych oliwek.

– Pomóż mi go podnieść – rozkazała Esperanza córce, ale dziewczynka się nie ruszyła; wydawała się nieobecna, drapała podłogę złamanym paznokciem i lekko uderzała głową w ścianę. Matka wymierzyła jej mocny policzek i potrząsnęła nią za ramiona.

– Pomóż mi go przenieść!

Laura zamrugała oczami, wystraszona, jakby gwałtownie wyrwano ją z sennego koszmaru. Zobaczyła leżące na podłodze ciało ojca, ze zdumieniem przyjrzała się krwi, popatrzyła na matkę, potem na brata, a wreszcie bez słowa wykonała polecenie Esperanzy.

Elías był ciężki jak wór kamieni, kobiecie i dziewczynce niełatwo było przenieść go na tylne siedzenie starego renaulta. Esperanza usiadła za kierownicą i włączyła silnik.

– Idź do domu i połóż Gonzala do łóżka, zaraz wrócę. Jeżeli przyszedłby ktoś i pytał o ojca, ani słowa, zrozumiałaś? – Musiała powtórzyć pytanie stanowczym tonem, żeby wyciągnąć z Laury niepewne potwierdzenie.

Gonzalo patrzył na światła oddalającego się samochodu, aż zniknęły za zakrętem ścieżki prowadzącej nad jezioro. Księżyc przeciskał się przez korony drzew; w jego blasku chłopiec dostrzegł Laurę stojącą nieruchomo na ganku. Teraz, kiedy zniknęło ciało ojca i ucichł hałas silnika, znów przypominała jego siostrę. Wystarczyło nie patrzeć jej w oczy, żeby tak myśleć.

– Nic się nie wydarzyło. Rozumiesz?

Gonzalo potwierdził ruchem głowy. Umysł pięcioletniego chłopca dopiero zaczynał zbierać wspomnienia. Uznał, że tej nocy faktycznie nigdy nie było.

30.

BARCELONA, LISTOPAD 2002 ROKU

Z tarasu niewykończonego domu widać było gęsty las, który dochodził niemal do samego morza. Alcázar zakładał, że Siaka dotarł już do biegnącej za drzewami drogi. Starał się o tym nie myśleć, żeby nie żałować swojej decyzji. Dając mu uciec, pozwolił umknąć ostatniej szansie na to, że jakimś sposobem wszystko dobrze się dla niego skończy. Rozpiął kieszeń kurtki i wymacał paczkę papierosów. Zaproponował jednego mecenasowi. Gonzalo z przyzwyczajenia chciał odmówić, jednak w głębi duszy uśmiechnął się do siebie z ironią. Jakież absurdalne gesty oporu wymyśla człowiek, by wierzyć, że wciąż walczy z samym sobą. Wziął papierosa i głęboko się zaciągnął.

– Myślałem, że zabijesz Siakę – powiedział, spoglądając w tym samym kierunku co inspektor. Morze było spokojne, ale narastał szmer przypływu uderzającego o klify. Niebo jak zwykle o zmierzchu zaczynało przybierać wieczorny kolor, barwiąc ich twarze na żywe odcienie: pomarańczowe, czerwone, żółte i fioletowe.

Alcázar palił powoli, smakując tytoń jak więzień skazany na śmierć.

– Też tak myślałem – przyznał – ale już ci powiedziałem, że nie jestem mordercą; nigdy nikogo nie zabiłem, nie zacznę teraz.

Nie powiedział Gonzalowi, że kiedy strzelał do Siaki, dopiero w ostatnim ułamku sekundy przesunął broń tak, by kula ledwie musnęła mu policzek, pokrywając twarz gipsowym pyłem ze ściany. Dopiero w ostatniej chwili poczuł, że wystarczy już tych wszystkich absurdalnych śmierci.

– Mam nadzieję, że zrozumiał przesłanie. „Biegnij i nie oglądaj się za siebie”.

Gonzalo odwrócił głowę i spojrzał w głąb domu. Luis nadal siedział przykuty kajdankami do kominka na parterze, wydawał już z siebie tylko ciche jęki, jakby śnił. Nogawka jego spodni miała teraz szarawy kolor od

zaschniętej krwi i moczu.

– Co zrobisz z Luisem?

Alcázar wzruszył ramionami. Gonzalo mógłby zabrać go do szpitala i zostawić przed drzwiami oddziału ratunkowego. To, co zechce wyjawić albo zrobić, za kilka godzin straci jakiegokolwiek znaczenie.

– To jedyna rzecz, jakiej potrzebuję – powiedział, przesuwając kciukiem po gładkiej powierzchni laptopa Laury. Jego wrogość zamieniła się w smutną rezygnację, która zaniepokoiła Gonzala. Znał to uczucie, ogarniało ono tych, którzy zamierzali porzucić walkę. Żołnierzy, którzy postanowili zdezerterować albo zmienić stronę, a także tych, którzy podjęli decyzję, by podczas kolejnego kontrataku rzucić się z odsłoniętą pierśią na wroga, bo nie mieli już siły dalej walczyć.

– Co się teraz stanie?

Inspektor dopalił papierosa i patrzył na powoli dogasającego rozżarzonego peta. Na jego twarzy malował się dziwny spokój.

– To, co musi się stać. Czy nie tak było od początku? Każdy krok, który zrobiliśmy, wierząc, że zależy od nas, że jest aktem naszej woli, był jedynie krokiem tańca, który prowadziła Anna. – Alcázar uśmiechnął się z ironią, przypomniawszy sobie, jak rozmawiał z Achmatową o Igorze, jakby ten nadal żył i był papieżem Matrioszki. Myślał o tym, jak długo zna już Annę, o jej miłych, ale nieprzejednanych słowach, które nie dopuszczały żadnych pęknięć ani wątpliwości, o jej nieugiętej woli przebijającej z szarego spojrzenia. To zawsze ona stała za każdą podjętą decyzją, za każdą śmiercią.

Odwrócił się w stronę Gonzala i spojrzał na niego z pewnym szacunkiem. Mecenas był jednak zbyt poważny, żeby mógł obdarzyć go prawdziwą sympatią. Jedną z cech, które Alcázar podziwiał u Laury, była radość, jaką tryskała na początku, kiedy spotkali się po latach, pierwszy raz od tamtej nocy nad jeziorem. Jej uśmiech czynił wszystko możliwym. Sprawiał, że człowiek czuł się lepszy. Cecilia była taka sama.

– Jeżeli głębiej się nad tym zastanowić, to dobrzy ludzie śmieją się więcej niż reszta. Nie wiem, dlaczego tak jest, w każdym razie inni pamiętają w nich właśnie tę radość i ten śmiech. Ty jesteś jak twój ojciec. Nigdy się nie śmiejesz, jesteś zbyt świadom wszystkiego.

Alcázar spojrzał na zegarek.

– Daj mi dwie godziny. Tyle wystarczy, żeby złożyć wizytę zaprzyjaźnionemu z Laurą prokuratorowi. Potem zabierz swojego byłego

szwagra do szpitala i pojedź spotkać się z teściem. Opowiedz mu, co się stało, i przekonaj go, że nie miałeś nic wspólnego z ucieczką Siaki ani z zabraniem przeze mnie laptopa Laury. Okłam go, powiedz, że ci groziłem, mów, co tylko zechcesz.

– Bez zeznań Siaki dowody znajdujące się w tym komputerze nie mają żadnej wartości.

Alcázar głęboko westchnął. Pomyślał, że w listopadzie bardzo wcześnie się ściemnia. Cecilia wolała lato, lubiła oglądać z okna niekończący się zmierzch. On także. Stawał za nią, przywierał do jej głowy i w zamyśleniu głaskał ją po karku. Odchyłała nieco szyję, wiążąc jego dłoń między fałdami skóry, zamykała oczy i mówiła, że życie jest piękne. Owszem, jest. Kiedyś było.

– Jego zeznania są już niepotrzebne. Myślę, że prokurator będzie wolał moje.

Gonzalo zamrugał oczami.

– Pójdiesz do więzienia albo spotka cię coś jeszcze gorszego.

– Coś jeszcze gorszego... Strach ma tę zaletę, że kiedy się od niego uwolnisz, czujesz, że tak naprawdę nigdy nie zginał ci karku. Jestem zmęczony i stary, mam dość bycia wykorzystywanym i manipulowanym. W ten czy inny sposób mój los jest już przesądzony, ty zaś masz tylko jedno do zrobienia i na tym powinieneś się teraz skupić. Zadbaj o bezpieczeństwo swojej rodziny. Zaopiekuj się synem i córką, nie pozwól, żeby Matrioszka wyrządziła im krzywdę.

Gonzalo patrzył, jak oddalają się ogromne siwe wąsy Alcázara, jego łysa głowa wciśnięta w ramiona i dłonie w kieszeniach spodni.

– Zrobiłbyś to?

Inspektor odwrócił głowę i spojrzał na niego, unosząc brew.

– Czy zrobiłbym co?

– Chodzi o tamten wieczór na falochronie, kiedy zagroziłeś, że porwiesz moją córkę, jeżeli nie zejdziesz z drogi tobie i mojemu teściowi... Zrobiłbyś jej krzywdę?

Spojrzenie Alcázara było tak zimne, że aż raniło.

Dwie godziny później Luis był już niemal nieprzytomny. Gonzalo obejrzał jego zranione kolano. Nie wyglądało dobrze – eksszwagier mógł zapomnieć o wspinaczce, nartach, jeździe na koniu czy na motorze. Jego doskonałe ciało

rzymskiego patrycjusza do końca życia będzie musiało się wspierać na kuli. Uwolnił go z kajdanek kluczykiem, który dostał od Alcázara, i wziął pod pachy, żeby pomóc mu wstać. Przy pierwszym ruchu Luis zaklął przez zaciśnięte zęby.

– Potrzebuję kluczyków od twojego samochodu.

– Wydasz mnie policji?

Gonzalo nie zastanawiał się, co z nim robi.

– Na razie zawiozę cię do szpitala... Chociaż może powinienem cię tu zostawić, żebyś się wykrwawił. Jesteś chorym skurwysynem.

Luis odgarnął z czoła kosmyk włosów, jakby w absurdalny sposób wciąż przejmował się swoim wyglądem. Spojrzał na Gonzala z resztką powstrzymanego gniewu.

– Nie powinieneś był pozwolić odejść Murzynowi. Nie powinieneś był też pozwolić, żeby ten inspektor odjechał jak gdyby nigdy nic. Oni ją zdradzili.

Gonzalo chwycił kajdanki, jakby to był kastet, powstrzymując chęć walenia nimi w ładną twarz swojego ekszwagra, aż zespecą się jego idealne rysy.

– A ty? Ty jej nie zdradziłeś? Nie ty pchnąłeś ją do samobójstwa?

Chwycił Luisa za kłapy marynarki i kopnął w postrzelone kolano. Mężczyzna zawył i zwałił się na podłogę jak przegniłe drzewo. Gonzalo bez cienia współczucia patrzył, jak wiję się z bólu. Wargi i reszta ciała drżały mu z wściekłości, starej i zaschniętej, która wychodziła teraz z niego i odżywała pod wpływem zetknięcia z powietrzem.

– Co zrobiłeś po śmierci Roberta? Oskarżyłeś ją, zniszczyłeś od środka, bo wiedziałeś, jak to zrobić, bo w głębi duszy jesteś padlinożercą, który żywi się mięsem najsłabszych. A potem? Wyjechałeś do Londynu, rozwiodłeś się i pozwoliłeś, by wciągnęła ją spirala destrukcji, z daleka rozkoszowałeś się karą, jaką jej wymierzyłeś, przekonany, że na nią zasłużyła. Za kogo ty się, kurwa, uważasz, za Boga? Jesteś dupkiem, tchórzliwym draniem! Nie mów mi o sprawiedliwości, bo jeżeli cię posłucham, jedyną sprawiedliwą rzeczą, jaka przychodzi mi teraz do głowy, jest rozłupanie ci głowy żelaznym prętem. Tak więc zamknij tę swoją pierdoloną gębę, jeśli nie chcesz, żebym pożałował mojej decyzji.

Luis wił się jak przepołowiona dżdżownica, ale nie otworzył już ust. Po wściekłym spojrzeniu Gonzala, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widział, domyślił się, że bez wahania spełni swoją groźbę.

Powoli pokonali kilka metrów dzielących ich od samochodu. Luis był za

ciężki dla Gonzala, który parskął jak zmęczony koń. Po nieskończonej ilości postojów wreszcie zdołał usadzić eksszwagra na fotelu obok kierowcy. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, z odtwarzacza popłynęła muzyka. Nokturn Chopina.

Co za wyczucie, pomyślał Gonzalo, ruszając.

Piętnaście minut później szosą Ronda de Dalt dotarł do szpitala Vall d'Hebron. Wjechał na parking przed oddziałem ratunkowym przeznaczony dla karettek, a kiedy ochroniarz przyszedł zwrócić mu uwagę, powiedział, że przywiózł mężczyznę rannego od postrzału. Strażnik natychmiast przekazał wiadomość przez krótkofalówkę i polecił Gonzalowi, żeby nie ruszał się do przyjazdu policji.

Nigdzie się nie wybierał. Powie całą prawdę, niezależnie od tego, jak dziwaczna i niewiarygodna mogłaby się wydawać. Może Alcázar podpisuje właśnie teraz zeznania przed zaprzyjaźnionym z Laurą prokuratorem i sędzią śledczym, przedstawivszy im tę samą wersję, którą on postanowił opowiedzieć policji. Alcázar udzielił mu dobrej rady: żeby zaopiekował się rodziną, dziećmi, i to właśnie zamierzał zrobić. Nie pozwoli, żeby Anna Achmatowa manipulowała nimi według swojego widzimisie.

Przyszło dwóch ratowników z noszami i lekarz dyżurny. Zajęli się Luisem, a Gonzalo odsunął się na bok, żeby im nie przeszkadzać.

– Opowiedziała mi kiedyś, co robił jej wasz ojciec, kiedy była dziewczynką – rzucił Luis, chwytając go za nadgarstek. Gonzalo nie dosłyszał jego słów pośród krzyków ratowników i jęków bólu eksszwagra... Albo nie chciał ich usłyszeć.

Oślepiło go słońce, kiedy wyszedł z komisariatu. Puste ulice pachniały wilgocią. Właśnie przestało padać, w powietrzu unosił się chłód poranka. Gonzalo żałował, że nie ma papierosa. Powieki ciążyły mu po wielogodzinnych zeznaniach. W kieszeni pogniecionej marynarki trzymał wezwanie do sądu, w zasadzie w roli świadka. Policjanci pilnowali szpitalnej sali, w której Luis dochodził do siebie po operacji. Zaczekają, aż wybudzi się z narkozy, by oficjalnie go poinformować, że został zatrzymany i oskarżony o morderstwo, tortury, uprowadzenie i próbę zabójstwa. Czy to satysfakcjonowało Gonzala? Bynajmniej. Nigdy nie sądził, że odkryje, iż jego siostra jest niewinna, tylko po to, żeby okazało się, że mordercą jest jej mąż.

Nic nie było takie, jak myślał.

Z okna samochodu, który stał z włączonym silnikiem po drugiej stronie ulicy, spoglądały na niego czyjeś oczy. Gonzalo nie krył, że bardzo się ucieszył na widok Tani. Może po złożonych przez niego i Alcázara zeznaniach nie powinien pokazywać się przed komisariatem w towarzystwie córki Anny Achmatowej, ale był wyczerpany i musiał choćby przez kilka minut odpocząć w ciepłym uśmiechu tej rudowłosej kobiety, w której – już nie miał co do tego wątpliwości – powoli się zakochał.

Kiedy Gonzalo wsiadł do samochodu, Tania nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Pogłaskała go po obwisłej brodzie, bladej i pokrytej zarostem.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Pocałowała go w spieczone usta – chciała zabawić tam dłużej, uspokoić je, ale Gonzalo na razie zamknął dla niej te drzwi. Pomyślała ze smutkiem, że to było nieuniknione, nieufność musiała wyrosnąć między nimi jak cień. Od niej zależało, czy nie zamieni się w mur. Najlepszym rozwiązaniem była szczerza rozmowa, bez owijania w bawełnę.

– Alcázar zadzwonił do mojej matki, żeby opowiedzieć jej, co się stało i co zamierza zrobić. Jeżeli się nie mylę, właśnie kończy składać zeznania. Teraz policja ma już pewnie nakaz sądowy i przeszukuje gabinet twojego teścia... Niewykluczone, że twój także.

Gonzalo chciał zadzwonić do Luisy, ale uznał, że to nie jest konieczne; jeżeli Tania ma rację, jego asystentka na pewno już o wszystkim wie. Sama się z nim skontaktuje, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Co z twoją matką?

Tania zdjęła mu okulary i zaczęła je czyścić. Gonzalo dopiero teraz zdał sobie sprawę, jakie były brudne. Na chwilę jej twarz stała się rozmazana, jednak głos docierał do niego wyraźnie.

– Nic na nią nie mają. Moja matka nigdy nie dałaby się złapać z powodu jakiegoś dokumentu czy podpisu, który w jakikolwiek sposób mógłby ją pogrążyć. Stern dobrze ją wyszkolił. Oficjalnie jest tylko staruszką prowadzącą małą księgarnię. Oczywiście poniesie pewne konsekwencje; objęte śledztwem firmy należące do konsorcjum ACAS-y reprezentowane przez twojego teścia natychmiast wycofają się z inwestycji nad jeziorem.

– To oznacza, że...

– ...że roboty staną w miejscu. I tak było już za dużo hałasu wokół tej

sprawy: sprzeciw ekologów, interwencja policji, protesty okolicznych mieszkańców. Postawienie Agustína Gonzáleza w stan oskarżenia będzie gwoździem do trumny. Wspólnicy mojej matki nie lubią rozgłosu. Wrócą do swoich nor i zaczekają na inną okazję. W tym kraju nigdy ich nie brakuje.

Gonzalo miał w głowie co innego – choć myślał, że jego arogancki teść wreszcie dostanie za swoje, nie była mu niemiła, martwił się, jak to wpłynie na życie Loli i dzieci. Jego żona już pewnie o wszystkim się dowiedziała albo zaraz się dowie, będzie go potrzebowała, powinien być przy niej, żeby ją uspokoić. On tymczasem dawał się głaskać Tani, pragnął pójść do jej mieszkania i kochać się z nią, dopóki nie zaśnie wyczerpany w jej ramionach, wdychając zapach jej włosów.

Tak naprawdę jednak myślał o czymś zupełnie innym. Myślał o Laurze, o swojej matce i o tym pustym grobie porośniętym trawą, w którym zapuszczały korzenie chwasty. Jeżeli jezioro nie zostanie osuszone, prawdopodobnie nigdy się nie dowie, co zrobiono tamtej nocy z ciałem jego ojca: czy wrzucono je do wody, jak utrzymywała matka, czy gdzieś wywieziono, jak zawsze twierdził Alcázar. Pomyślał, że może tak jest lepiej. Zostawić w spokoju te wody i sekrety, które kryją. I może lepiej byłoby, gdyby wysiadł teraz z tego samochodu, pożegnał się na zawsze z Tanią, zapomniał o tym pięknym motylu, który obiecująco trzepotał skrzydłami na jej karku, i wrócił do Loli i dzieci, obiecał im, że się wszystkim zajmie, wejdzie w rolę, jakiej od niego oczekują, że poprowadzi kancelarię Agustína i nieustraszenie stawi czoła Annie Achmatowej, aż ją zdemaskuje, jak zrobiła Laura.

Zapomni o urazach, żeby zmierzyć się z kolejnymi, wybierze stronę, po której będzie walczył, i pozostanie jej wierny.

Wziął okulary z rąk Tani i założył je, żeby przywrócić jej twarzy rysy. Spojrzał na nią ze źle ukrywanym niepokojem i pokręcił głową.

– Nie wiem, czy mogę ci ufać, Taniu. Nie wiem, co jest w tobie prawdziwe. Jesteś jej córką.

Tania wysłuchiwała go w milczeniu. Potem powiedziała tylko:

– A ty jesteś synem Elíasa Gila i Esperanzy. A mimo to doszliśmy tu, gdzie jesteśmy, i musimy przeżyć naszą własną historię.

Przez kolejnych dwadzieścia minut Tania opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o Matriosce, wszystko, czego była pewna, co podejrzewała i czego tylko się domyślała. Próbowwała go też przekonać, że Anna nie darzyła nienawiścią jego i jego siostry, że zawsze starała się trzymać ich z daleka od

swojej walki i porachunków z Elíasem i że nie miała nic wspólnego ze śmiercią Roberta.

– Ona nigdy by do tego nie dopuściła. Tamten morderca działał na własną rękę, przestraszył się, że Laura depte mu po piętach, i stracił zimną krew.

– Jesteś tego bardzo pewna.

– Dla Laury i dla ciebie, dla Alcázara i dla Agustína Gonzáleza Anna Achmatowa jest Matrioszką. Ale dla mnie jest moją matką, znam ją lepiej niż ktokolwiek inny. Nie dopuściłaby się takiego okrucieństwa.

– To okrucieństwo niewiele się różni od wszystkich innych, które badała Laura i których dowody zgromadzone są w jej laptopie, a za które odpowiada twoja matka, ta poważana staruszka: handlu narkotykami i bronią, dziecięcej prostytutce, wymuszeń, łapówek...

Twarz Tani zasnuł cień.

– Osądzasz mnie przez pryzmat mojej matki. Albo starasz się osądzić ją przez pryzmat mnie. Też mogłabym powiedzieć, że twój ojciec był mordercą, oprawcą, zdrajcą... i gwałcicielem własnej córki.

Gonzalo dał sobie chwilę, żeby uporządkować myśli. Nikt nigdy wcześniej nie wyraził tego w tak brutalny sposób, nawet Alcázar w tamtym niedokończonym domu po tym, jak uwolnił Siakę, ani Luis w szpitalu.

Te wszystkie sny o siostrze w szopie wcale nie były snami. Przez lata nie chciał przyjąć do wiadomości tego, o czym w głębi duszy wiedział – jakim człowiekiem był jego ojciec, co się wydarzyło tamtej nocy i podczas wielu wcześniejszych. Cała ta historia o frankistowskiej policji, którą wmówiła mu matka, wszystko, co zbudował na fundamencie wymyślonych albo pożyczonych wspomnień, było jak zamek z piasku, który zburzyło to jedno słowo, wypowiedziane przez Tanię bez złośliwości, ale i bez owijania w bawełnę. Może ten mężczyzna, mitologiczna postać wymyślona przez niego i innych, był po części prawdziwy, jednak istniał także mężczyzna z tamtej nocy. Udawanie przez wszystkie te lata, że jest inaczej, nie miało sensu. To mu się nie przyśniło. Wydarzyło się naprawdę. I jego siostra nigdy o tym nie zapomiała.

Jej dziecięce ciało przez lata doświadczało tyle bólu, że żyjąca w niej wystraszona dziewczynka krzyczała za każdym razem, kiedy kobieta, którą się stała, widziała inne dzieci doznające tych samych cierpień, błagała ją, żeby coś zrobiła, żeby nie pozwoliła, by to się działo. A on, ślepy idiota, głupiec, nie rozumiał, że chciała sama dźwigać ten ciężar, by go chronić, że tamtej nocy zabiła ojca, bo nie zamierzała pozwolić, by z winy Elíasa spadł mu choćby

jeden włos z głowy. Nie rozumiał, że wszystkie te lata pełnego goryczy milczenia miały uwolnić go od wszelkiego grzechu, od poczucia winy, mógł ją do woli osądzać, gardzić nią za tamten artykuł, w którym opowiedziała przynajmniej część prawdy.

Kiedy dotarło do niego, jaki był dla niej niesprawiedliwy i że już nie zdoła tego naprawić, aż się skurczył. Niezależnie od tego, ile Matrioszek upadnie, ile Ann, Alcázarów, Agustínów Gonzálezów trafi do więzienia, nic nigdy nie naprawi tego afrontu, tej straszliwej niesprawiedliwości, jaką odpowiedział na jej miłość. Pomyślał o Javierze, o tym, że niemal go stracił; pomyślał o Loli, o tym, jak nawzajem okradli się z najlepszych lat życia, bo nie potrafili sobie wybaczyć; pomyślał o małej Patricii, zawsze kręcącej się w pobliżu basenu, jak świecące robaczki świętojańskie, które czekają na nadejście poranka. Wybuchnął płaczem.

Płakał jak dziecko, które także i on od tak dawna w sobie nosił, ukryte za nogami siostry, zatykające sobie uszy, żeby nie słyszeć krzyków ojca, odgłosu ciosów spadających na Laurę, szloch matki tchórzliwie chowającej się w ciemnym pokoju. Opłakiwał niepokieszony siostrę, jej malutkiego synka utopionego w jeziorze, wszystkie dzieci, które podzieliły los Siaki, i te, którym nigdy nie uda się z tego wyrwać, które padną po drodze.

Płakał, bo nigdy więcej nie będzie mógł latać w kurtce Esperanzy, goniąc błyszczący koński ogon Laury, bo więcej nie usłyszy, jak się śmieje, jak z niego kpi, jak się na niego obraża, jak śpiewa.

Tania pozwoliła, by położył głowę na jej kolanach, głaskała posiwiałe włosy tego mężczyzny, który dorastał w kłamstwie, bez poczucia winy. Poczula, że kocha go, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochała. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, co będzie trzeba, żeby go chronić. Wszystko, co będzie trzeba.

Drzewa otaczające dom starców były nagie, a ścieżki, ławki i altanę na dziedzińcu pokrywała warstwa złota. Przez weekend szalała burza, która zerwała ostatnie liście trzymające się gałęzi od początku jesieni. Dni stały się nieprzyjemne, mimo to Esperanza nie chciała zrezygnować z porannego spaceru do kamiennej ławki przy promenadzie, z której roztaczał się widok na morze. Wiatr wiał mocno, targając siwe włosy, które opadały jej na twarz. Otulona kurtką, mała i nieruchoma, zlewała się z mgłą.

Czasami zastanawiała się nad różnymi rzeczami, ważnymi albo nieistotnymi,

nie przywoływała jednak tych myśli, same zjawiały się bez uprzedzenia, a potem tak samo odchodziły. Kiedy indziej, jak tego ranka, nie myślała o niczym, miała w głowie pustkę i była za to wdzięczna. Mogła tak siedzieć godzinę, niemal nie mrugając oczami, wpatrując się w szarość, otwierającą się od czasu do czasu, by odsłonić widoczny w oddali zarys statku czy skały, na której nieprzerwanie obracało się światło stojącej przy wjeździe do portu latarni. Nie widziała mew, ale słyszała ich krzyki, a także szum fal, które podczas przyływu niemal lizały jej stopy. Czuła wilgoć i zimno przenikające przez materiał kurtki, jej skóra pod grubym, czarnym wełnianym swetrem była lodowata. Nie przejmowała się tym, podobnie jak nie zwracała już uwagi na mrowienie w dłoniach i stopach, zwiastujące odrętwienie, z którego coraz trudniej było jej wyjść.

Była stara, a starzy ludzie cierpią na różne schorzenia, od któregoś z nich w końcu trzeba umrzeć. Tak rozumowała i tego skrycie pragnęła – żeby pewnego dnia, kiedy będzie tu siedziała, z dala od myśli i wspomnień, sama, jej serce powiedziało „dość” i żeby jej życie, długie, pełne przygód, niespokojne i naznaczone zbyt wielką winą, po cichu zgasło. Zrobiła już wszystko; uporządkowała swoje rzeczy, ale nie sumienie, poukładała zeszyty, schowała listy do Elíasa na dnie szuflady, gdzie znajdzie je Gonzalo, kiedy nastanie ta chwila. Ubiegłej nocy, gdy deszcz uderzał w szybę jej okna, a pioruny z trzaskiem rozdzierały ciszę, próbowała nawet pogodzić się z tym, którego nazywają Bogiem. Dziwnie było zwracać się do czegoś czy kogoś, o kim nigdy poważnie nie myślała. Nie umiała znaleźć słów, poczuła wstyd na myśl o sarkastycznym śmiechu, jakim zareagowałby siedzący na krześle przy jej łóżku Elías, gdyby słyszał ją mówiącą wszystkie te rzeczy.

Widziała go jakby we śnie, jak siedzi z nogą założoną na nogę, widziała uważne, lekko kpiące spojrzenie jego jedyne oka, jego krzywy uśmiech, papierosa w kąciку ust. Nie zwracając uwagi na tę zjawę, dalej próbowała znaleźć sposób na nawiązanie kontaktu z tym rzekomym stwórcą, który powinien nadać sens wszystkiemu, co się robi w życiu, tym i tamtym drugim, jeżeli istnieje. Powiedziała mu o swoim strachu, o rzeczach, które człowiek jest w stanie robić z miłości, dopóki nie odkryje, że miłość i niewolnictwo to nie jedno i to samo, choć czasami tak właśnie możemy je odbierać.

Powinna poprosić o wybaczenie za to, że kochała Elíasa niewyobrażalną miłością? Czy to uczucie mogło usprawiedliwić znowę milczenia? Czy Laura to rozumiała? Zrozumie Gonzalo? Czy jej dzieci kiedykolwiek będą w stanie

jej wybaczyć?

Bóg nie miał odpowiedzi na te pytania. Esperanza podziękowała mu za jego wyrozumiałe milczenie. Próbowała przypomnieć sobie jedną z modlitw, których nauczono ją, kiedy była małą dziewczynką, starą kołysankę o dzieciątku Jezus, które bawiło się z innymi dziećmi i zsyłało pulchne, zabawne aniołki, żeby nocami strzegły ich snów. Potem przez wiele godzin leżała w łóżku z otwartymi oczami, patrząc na siedzącego na krześle Elíasa. Kiedy za oknem zaczęło świtać, wstał i pocałował ją w usta.

– Nie ma nieba ani piekła, Esperanzo. Jest tylko ocean – powiedział, zanim się rozplątał.

Siedziała więc tu teraz, czekając, aż nadejdzie chwila, gdy stopi się z tym oceanem. Była przekonana, że nastąpi to tego dnia. Wiedziała to, bo tak sobie postanowiła. Dziś przestanie się opierać śmierci. Łagodnie się jej podporządkuje.

Na początku nie zorientowała się, że ktoś usiadł na drugim końcu ławki. Dotarło to do niej, kiedy usłyszała głos:

– Witaj, Katerino. Minęło dużo czasu.

Esperanza nie musiała odwracać głowy. Zaciśnęła usta i powoli pokręciła głową na znak dezaprobaty.

– Późno się zjawiasz – powiedziała po rosyjsku.

Anna Achmatowa uśmiechnęła się wyzywająco. Uważnie jej się przyglądała. Minęły trzydzieści cztery lata, od kiedy Esperanza stanęła w drzwiach jej domu, zostawiwszy w samochodzie ранego Elíasa, jednak wciąż pozostała tą samą arogancką osobą. Nie miała zamiaru błagać, nawet o taką przysługę jak ta, o którą poprosiła ją tamtej nocy. Esperanza nienawidziła jej, jeszcze zanim ją poznała, od momentu, w którym Elías pokazał jej medalion Iriny. I ta nienawiść blokowała im drogę jak suchy konar.

– Wciąż nie myślisz logicznie – skarciła ją jak pobłażliwa siostra.

Esperanza zareagowała ostro, wyprostowała plecy i wykonała ręką ruch mający być ostrzeżeniem.

– Oszczędź sobie tych bredni; obie wiemy, po co przyszedłeś, ale jeżeli oczekujesz ode mnie więcej, niż mogę ci dać, to znaczy, że niczego się nie nauczyłeś przez te wszystkie lata.

Anna Achmatowa uśmiechała się, zadowolona, że udało jej się wyprowadzić Esperanzę z równowagi. Nie przyjmowała do wiadomości jej obiekcji – bohaterskie czasy się skończyły. Nie była już kobietą, która tamtej

nocy wygłosiła napuszoną mowę o tym, że należy chronić historyczną i polityczną pamięć o Elíasie, o tym, jaka szkoda zostanie wyrządzona minionym i przyszłym pokoleniom, jeżeli wyjdzie na jaw, jakim człowiekiem stał się bohater, któremu zaufało tylu ludzi. Polityka okazała się grą o władzę, w historii nie ma miejsca na współczucie, jest tylko walec niekwestionowanych faktów. Ona musiała ratować obie.

Tamtej nocy Anna postanowiła jej pomóc, dała się przekonać tej płomiennej mowie, jednak z biegiem czasu, kiedy odkryła, co Elías robił Laurze i co zatajała Esperanza, zdała sobie sprawę, że żona Elíasa próbowała ocalić nie pamięć o swoim mężu, ale fikcję własnego idealnego życia. Nie godziła się na nic, co nie byłoby całkowitym zaufaniem, bezwarunkową miłością i totalnym podziwem. Zzerała ją myśl, że nie zasługiwała na żadną z tych rzeczy.

– Zawsze o tym wiedziałaś, a przynajmniej to podejrzewałaś. Miałaś świadomość, co się dzieje w szopie, kiedy wpadał w szal i się upijał, ale nie chciałaś przyjąć tego do wiadomości, bo wtedy musiałabyś zareagować. – Anna się zawahała, ale z niechęcią kontynuowała: – Tamtej nocy, kiedy powiedziałaś, że to był straszliwy wypadek, że Elías nie chciał zrobić tego, co zrobił, że twoja córka się wystraszyła i że nie możesz pozwolić, by spadła na nią cała wina, tak naprawdę mnie okłamałaś. Nie obchodziło cię poczucie winy Laury ani to, co się wydarzyło. Zależało ci wyłącznie na własnej renomie, na tym, co powiedzą inni, kiedy się dowiedzą, że matka przez tak długi czas przyzwalała na to, by jej córka była bita i gwałcona przez swojego ojca.

Anna dodała, że prościej było udawać, że chodzi o wyrównanie rachunków z policją albo z bandziorami Sterna. Cała dolina wiedziała już wtedy o strzelaniu w hotelu i o tym, że Elías szuka policja. Kiedy wyszłaby na jaw kryminalna przeszłość Igora, Gil zyskałby jeszcze większą sławę jako zabójca mafiosa zamordowany przez frankistowską policję – pamięć o wielkim człowieku przetrwałaby nienaruszona, wręcz umocniona. A ona, Esperanza, zostałaby strażniczką jego dziedzictwa. Rosjanka, która z miłości przyjechała do Hiszpanii, poświęcająca się matka, współczesna Dolores Ibárruri, która przez kolejne dekady będzie podtrzymywać legendę męża. W takim przeświadczeniu dorastał Gonzalo, pośród prawd, które starannie dla niego selekcjonowała, i tak myśleli wszyscy, oprócz Laury.

Przez jakiś czas jej przerażona córka godziła się na to milczenie, być może sparaliżowana klątwą, jaką nałożyła na nią matka, na morderczynię własnego

ojca. Dziewczynka uczestniczyła w sieci milczenia potajemnie utkanej przez Esperanę i Annę, czuła się w nią schwyтана, dusiła się w tym kłamstwie, które z czasem przybrało postać jedynej możliwej prawdy. Kiedy z rzadka wspominała o tym matce albo próbowała otworzyć oczy bratu, Esperanza wyzywała ją od wariatek i fantastek. Widziała jego zwłoki? Wie, gdzie jest pochowany? I podtrzymała wersję, której chcieli słuchać jej zwolennicy: frankistowska policja zabiła wielkiego człowieka i pozbyła się ciała.

Jedynym świadkiem prawdy była Laura.

– W klasycznym dramacie szala waha się między zemstą, zapomnieniem i potrzebą zadośćuczynienia. Ty wybrałaś zapomnienie. Dlatego nigdy nie wybaczyłaś córce, że wiele lat później napisała o Elíasie ten artykuł, który ujawniał jego związki z hiszpańską policją od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku... Tak naprawdę jednak nie tego najbardziej się bałaś, prawda?

– Nie masz prawa mnie osądzać.

– Czyżby? A ja myślę, że mam. Tym artykułem Laura dawała ci ostatnią szansę, żebyś pogodziła się z rzeczywistością. Chciała ci wybaczyć, potrzebowała tego, wystarczyłoby, żebyś powiedziała publicznie prawdę, wyjawiała ją światu, a przede wszystkim Gonzalowi. Ale ty zasklepiłaś się w swoim pancerzu wyschniętej, upartej staruchy, którą jesteś. Wołałaś wyrzec się córki. Sprawiałaś, że cała jej nienawiść, jej wściekłość i ból skoncentrowały się na interesach, które prowadziłam ja, na dziedzictwie Igora. Próbowałam jej pomóc, wierz mi, chciałam ją chronić, bo znałam jej historię, źródło jej niszczycielskiego, mesjanistycznego gniewu. Ale posunęła się za daleko i kiedy Zinowiew poczuł się przyparty do muru, zareagował jak jeden z jego psów do walki, zbuntował się i ją zniszczył...

Twarz Anny oblał rumieniec, wyglądała, jakby się wstydziała. Własne słowa doprowadziły ją do wniosku, którego wołałaby nie formułować. Była tak samo winna jak Esperanza, nie miało sensu temu zaprzeczać.

– Chcę w miarę możliwości naprawić szkodę, jaką obie wyrządziłyśmy.

– Bardzo chwalebne – powiedziała oschle Esperanza – chociaż już na to trochę za późno.

Anna Achmatowa wstała i założyła włosy za uszy. Beznamiętnie popatrzyła na szare morze, po czym z niepokojem spojrzała na osiemdziesięcioletnią staruszkę, która choć ledwo trzymała się przy życiu, wciąż nie chciała zrezygnować z absurdalnej godności.

– Zostawię w spokoju Gonzala i jego rodzinę. Nie obchodzi mnie, co może zeznać w sprawie Matrioszki. Niczego na mnie nie znajdą, jestem tylko biedną starą księgarką. Oczywiście wilki zażądają zemsty – oddam im Alcázara i Agustína Gonzáleza. Myślę, że tak będzie sprawiedliwie.

Esperanza popatrzyła na nią z ironią.

– A od kiedy to interesuje cię sprawiedliwość?

Anna udała, że jej nie słyszy. Przejął ją chłód, jakby Esperanza zaraziła ją swoją powolną agonią. Chciała jak najszybciej odejść.

– Ale mam jeden warunek. Ty musisz go wypełnić. Od ciebie zależy, czy twój syn i jego rodzina będą mogli dalej żyć.

Minęły trzy tygodnie, odkąd Alcázar złożył zeznania przeciwko Matrioszce, a sędzia nakazał jego aresztowanie, bez możliwości zwolnienia za kaucją. Agustín González także został postawiony w stan oskarżenia, ale na razie uniknął więzienia w zamian za astronomiczną kaucję, wykorzystał też ostatnie naboże przyjaźni i odwzajemnionych przysług. Teść Gonzala wiedział, że teraz został już sam i że jego koniec jest tylko kwestią czasu. Świadoma niepewnej sytuacji Lola przeprowadziła się z Patricią do posiadłości w Estremadurze, gdzie jej ojciec czekał na rozwój wydarzeń.

Gonzalo bardziej przejmował się losami Alcázara. Oczywiście nie czuł do niego sympatii, jednak ostatecznie inspektor ocalił mu życie. Mógł przecież zabić Siakę, pozbyć się laptopa i wyjechać z kraju na jedną z tych wysp koralowych na Florydzie, o których opowiadał mu za każdym razem, kiedy odwiedzał go w więzieniu. A jednak wybrał samobójstwo, bo składając zeznania, podpisał na siebie wyrok. Wiedział o tym; podczas każdych kolejnych odwiedzin Gonzalo miał wrażenie, że wygląda coraz gorzej, jest coraz bardziej nerwowy i zmęczony.

– Któregoś dnia pojawi się ktoś na spacerunku i zniemacka poderżnie mi gardło. Nie pozwolą mi posunąć się za daleko.

– W takim razie dlaczego to zrobiłeś?

Alcázar nie odpowiedział. Powody, dla których człowiek robi to, co robi, są wyłącznie jego sprawą.

Ostatnim razem, kiedy widział inspektora za szybą w sali odwiedzin, zauważył, że schudł i ku zdziwieniu Gonzala zgolił wąsy. Wydawał się teraz zupełnie innym człowiekiem: gruba zajęcza warga, którą ukrywał przez

wszystkie te lata, nadawała mu niemal bezbronny wygląd. Gonzalo już miał odejść, kiedy inspektor powiedział:

– Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie. Nigdy nie skrzywdziłbym twojej córki ani nie pozwoliłbym, żeby zrobił to ktokolwiek inny. Chciałbym, żebyś to wiedział.

Dwa dni później strażnik z pawilonu inspektora znalazł go zadźganego nożem w kącie celi, skulonego jak szczur między ścianą a pryczą.

Na kilka następnych dni policja przydzieliła Gonzalowi ochronę. Natomiast policjant, który dotąd pilnował pokoju Javiera, nie miał już za zadanie czuwać nad jego bezpieczeństwem.

– Myślę, że przez resztę życia będę miał serce jak ze szkła. Przy każdym oddechu będę drżał na myśl, że może się stłuc – powiedział Javier na powitanie. Został warunkowo wypisany do domu. Gonzalo pomógł mu się ubrać i spakować walizkę.

Javier spojrzał na kobietę czekającą w korytarzu. Widział ją przez niedomknięte drzwi.

– Ładna – przyznał.

Gonzalo potwierdził skinieniem głowy.

– Pomyślałem, że już czas, żebyście się poznali. Tania to wyjątkowa kobieta, pod wieloma względami. Sądzę, że się dogadacie.

Javier zmarszczył czoło, spoglądając na plecy stojącego przed drzwiami policjanta.

– Powiedz jej, że może mnie odwiedzać w niedziele w poprawczaku. Będziemy mieli dziewięć długich lat, żeby się poznać.

Spojrzenie Gonzala otoczyło Javiera ochronnym płaszczem. Nie dało się naprawić siedemnastu lat przez kilka tygodni, wiedział, że wciąż dzieli ich duży dystans, ale chciał udowodnić synowi, że się zmienił i jest gotów zachowywać się jak ojciec.

– To nie będzie konieczne. Załatwiliśmy już wszystko z twoim dziadkiem. Musisz tylko trzymać się wersji wydarzeń, którą uzgodniliśmy, zgoda? Carlos żądał od ciebie pieniędzy, ty odmówiłeś, wyciągnął pistolet, broniłeś się, przez przypadek do niego strzeliłeś, a przed śmiercią on postrzelił ciebie. Dowody zmanipulowane przez Alcázara potwierdzą tę wersję. Wyjdiesz z tego bez szwanku.

Javier rzucił mu długie, poważne spojrzenie; Gonzalo nie zrozumiał jego wagi. Chłopak usiadł na łóżku i powoli pokręcił głową.

– To nie takie proste.

Gonzalo czuł pokusę, żeby mu odpowiedzieć. Nie, oczywiście, że to nie jest proste. Sam musiał wiele poświęcić, żeby dotrzeć do tego miejsca, ale to bez znaczenia. Czuł, że w Javierze coś się zmieniło, czyniąc go zupełnie inną osobą: bardziej świadomą siebie samej, bardziej rozważną, bardziej stanowczą. To, przez co przeszedł, zdarło z niego skorupę. Nie miał już przed sobą aroganckiego, udręczonego chłopca, ale mężczyznę, który postanowił ze spokojem mierzyć się z życiem.

– Trzeba z tym skończyć – powiedział Javier. – W którymś momencie trzeba przerwać łańcuch. Zabiłem Carlosa z nienawiści i zazdrości – z nienawiści i zazdrości w stosunku do własnej matki. Tak się stało i to opowiem policji, kiedy wyjdziemy przez te drzwi.

Gonzalo usiadł obok syna, ścisnął go za ramię i ścisząc głos, powiedział:

– Nie musisz tego robić. Jeżeli myślisz, że w ten sposób ukarzesz mnie i matkę, zgoda, weźmiemy na siebie część winy. Ale ty nie musisz przez to przechodzić; na pewno istnieje inny sposób.

Javier wzruszył ramionami i spojrzał ojcu w oczy. Odziedziczył wrodzoną dumę po matce i nieufność po dziadku, ale w końcu był jego synem, niezależnie od tego, do kogo należało nasienie. Miał marzycielskie spojrzenie Gilów, kryła się w nim niezłomna wiara, że jeżeli będzie się starał, zdoła zmienić przeznaczenie.

– Nie ma innego sposobu, tato. Obaj o tym wiemy.

– Oszukał cię; ten pierdolony skurwysyn cię wykorzystał, posłużył się tobą i uwiódł twoją matkę, żeby cię skrzywdzić. Nie jesteś mu nic winien. Nic.

– Własne nikczemności są łatwiejsze do zaakceptowania niż cnoty innych. To próbujesz mi powiedzieć?

Gonzalo przyglądał mu się przez chwilę, po czym dodał lodowatym tonem:

– To moja wina; powinienem był uważniej słuchać twojego wołania o pomoc. Ale byłem zbyt wściekły na twoją matkę, na twojego dziadka, na ciebie. A tak naprawdę byłem ślepy, dlatego się nie zorientowałem. Żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła, gdybym zrobił to, co powinienem był zrobić. Teraz mogę wszystko naprawić, synu. Nie chcę, żebyś poszedł do więzienia. Nie mógłbym sobie tego wybaczyć.

Javier ze smutkiem spojrzał na ojca. Nie sposób utrzymać pokrywkę na

kipiącym garnku, nawet gdyby się na niej usiadło. Milczenie i kłamstwa można było znosić tylko do pewnego czasu. Javier nie był apostrofem w niczym życiu, nie chciał, żeby stało się z nim to samo, co z jego rodzicami; nie zamierzał przez resztę życia płacić za to milczenie, czekając na moment, w którym ktoś zażąda, żeby zrewanżował mu się za przysługę.

– Nie chcę zawdzięczać niczego dziadkowi, temu inspektorowi, matce... Ani tobie, tato.

Gonzalo docenił szczerłość syna, ale nie pochwalał szaleństwa, które zamierzał popełnić.

– Zawsze coś komuś zawdzięczamy. Nasze życia są ze sobą związane. Podejmujemy decyzje z myślą o nas samych, ale dotyczą one wiele innych osób, a rzadko bierzemy to pod uwagę.

Javier gwałtownie zaprzeczył.

– Nie chcę być taki jak ty ani taki jak mama. Nie chcę zgnić od środka przez milczenie. To moja decyzja i musisz ją zaakceptować.

– Wiesz, co się stanie, jeśli cię zamkną? Twoje życie się zatrzyma, jakby te lata nigdy nie istniały. Kiedy wyjdiesz, będziesz niekompletny, będziesz czuł, że czegoś ci brakuje, że jesteś dziurawy. Pomyśl o tym.

Javier wzruszył ramionami. Nie chciał o tym myśleć. Za bardzo go to przerażało. Zamilkł na chwilę i dostrzegł, że Tania patrzy na niego z korytarza. Uśmiechnęli się do siebie, kobieta nieśmiało pomachała mu ręką.

– Zacznę od nowa, kiedy wyjdę, z dala od was.

– Pozwól, żebym ci pomógł, proszę!

Javier uśmiechnął się bez cienia zgryźliwości. Żegnaj elitarny uniwersytecie, na którym chciał go widzieć dziadek, żegnajcie przyjaciele, którzy zaczną plotkować, rozpuszczając całą tę historię w kwasie swoich języków. Także jego matka i ojciec będą musieli zmierzyć się ze wstydem i nagonką ze strony opinii publicznej. Świat się dowie, jak pachną wnętrza rodziny doskonałej, surowo i obłudnie ich osądzi. Przy odrobinie szczęścia zapomni o nich i może z biegiem lat on sam zdoła wybaczyć swoim rodzicom, a jego rodzice będą mogli wybaczyć jemu.

Dwa miesiące później, mając na uwadze, że w chwili popełnienia przestępstwa Javier był nieletni, i po uwzględnieniu niektórych okoliczności łagodzących sąd skazał go za popełnienie morderstwa na osiem lat pobytu

w ośrodku wychowawczym.

Kiedy został odczytany wyrok, Gonzalo zupełnie się załamał. Nie słyszał nawet płaczu siedzącej w ławce za nim Loli. Agustín González wolał nie pojawiać się w sądzie, żeby nie nagłaśniać sprawy medialnie i nie zaszkodzić wnukowi. Gonzalo ledwo zdążył uściskać syna i wymienić z nim kilka niezręcznych zdań, zanim policja wyprowadziła go z sali w kajdankach. Widok zakutych nadgarstków Javiera był ponad jego siły.

– Oboje wiemy, że mogło się skończyć znacznie gorzej – próbował pocieszyć Lolę, kiedy godzinę później siedzieli w kawiarni naprzeciwko sądu. Już nie kryli się z tym, że palą. Chociaż ich palce na chwilę splotły się na stole, zrobiły to bez nacisku, jak dwie góry wspomnień, które zderzają się i zaraz rozdzielają, nie mając zamiaru złać się w jedno.

– Co teraz zrobimy? – zapytała mechanicznie Lola, bawiąc się saszetką z cukrem, która w końcu pękła, a jej zawartość wysypała się na spodek filiżanki z kawą. Postarzała się, jej ładne oczy okalały duże cienie. Kąciki ust opadły ze zmęczenia, a czoło przecinała głęboka zmarszczka.

– Zaopiekujemy się Patricią, zajmiemy interesami twojego ojca, czekając na wynik procesu. Będiesz dalej pracowała w agencji i odwiedzała w niedziele swojego syna, robiła dobrą minę do złej gry, żeby pokazać mu, że walczysz o uratowanie świata, by po wyjściu z poprawczaka znalazł go takim, jaki był.

Lola przesunęła wierzchem dłoni filiżankę, kreśląc łuk na miążkim cukrze.

– Mam na myśli nas, Gonzalo. Co się stanie z nami?

Nic, pomyślał, to, co miało się stać, już się stało. Został smutny i uciążliwy epilog papierów rozwodowych, ugód i podpisów. Potem przyjdzie czas na cywilizowaną koegzystencję ze względu na Patricię. Zaczną się beznamiętne dyskusje dotyczące jej wychowania, praktycznych kwestii, które z czasem ostatecznie ich od siebie oddalą.

Lola domyśliła się, co chce jej powiedzieć Gonzalo, i ogarnęło ją poczucie porażki.

– Mielibyśmy jakiegokolwiek szanse, gdyby nie było Tani?

Widziały się tylko raz, wymienily zaledwie kilka napiętych słów powitania, ale żadna z nich nie zapomniała tej drugiej.

– Nie potrzebujemy pretekstów. My nie.

Gonzalo chciał jak najszybciej zakończyć to spotkanie i wrócić do siebie. Jego wynajęte mieszkanie już nieco bardziej przypominało dom. Tania przeprowadziła się do niego wbrew woli matki. Wyglądało na to, że są

skazane na wieczne kłótnie, ale on się tym nie przejmował. Anna i Gonzalo zawarli układ, o którym Tania nic nie wiedziała.

Kiedy zakończy spotkanie z żoną, będzie mógł wypełnić swoją część umowy.

– Mam dla ciebie wiadomość od ojca – powiedziała Lola, widząc, że Gonzalo szykuje się do wyjścia.

– Co to za wiadomość?

– Wstrzymano prace nad jeziorem. Ostatecznie projekt nie zostanie zrealizowany. Wycofali się inwestorzy z ACAS-y.

Chociaż nie znał szczegółów sprawy, nie był specjalnie zaskoczony.

– I co to oznacza?

– Mój ojciec jest gotów sprzedać ci działkę, już jej nie potrzebuje. Odstąpi ci ją za symboliczną cenę, jeśli twoje zeznania podczas procesu, jeżeli w ogóle do niego dojdzie – podkreśliła – będą niezbyt agresywne.

Gonzalo wybuchnął śmiechem.

– Ładnie powiedziane. Ale tak naprawdę teraz, kiedy umarła moja matka, już nie jestem zainteresowany tym domem.

Było to tylko w połowie prawdą. Esperanza rzeczywiście zmarła na zawał na początku grudnia.

Śmierć nastąpiła z powodu zaprzestania walki, taką diagnozę postawił lekarz z ośrodka. Jego matka po prostu kazała swojemu sercu, żeby przestało bić. Zamiast testamentu czy ostatniej woli zostawiła różne papiery, które przekazano Gonzalowi w kartonowym pudełku i które leżały teraz na dnie szafy w jego mieszkaniu obok jej książek i zeszytów z zapiskami. Nie miał jeszcze ochoty ich przeglądać.

– Nie rozumiem też, co oznacza dla twojego ojca „niezbyt agresywne”. Tak naprawdę nie wiem nic, czego nie wiedzieliby już prokurator, sędzia, a teraz także prasa. Myślę, że twój ojciec wyjdzie z tego obronną ręką. Zna ten system na wylot, to jego gra i założę się, że z przyjemnością stoczy tę ostatnią bitwę. Stanie na wysokości zadania, czego nigdy nie mógł powiedzieć o mnie.

– Ale jest jeszcze przecież ta kobieta, prawda? Ta staruszka i organizacja, którą kieruje. Ona może wyrządzić nam krzywdę, nie tylko mojemu ojcu, ale także mnie i naszym dzieciom.

Gonzalo nie czuł satysfakcji na widok smutnej rezygnacji malującej się w oczach Loli. Nie chciał, żeby musiała się płaszczyć, błagać. Spojrzał na zegarek. Spóźni się, a Tania, która umówiła go we Flichcie ze swoją matką,

ostrzegła, że Anna nie znosi czekać.

– Nie tknie żadnego z was, poza twoim ojcem. Masz moje słowo.

– Jak możesz być tego taki pewien?

„Bo chcąc nie chcąc, stałem się jednym z nich. Tania jest w ciąży, spodziewa się mojego dziecka. A Anna to mimo wszystko przywiązana do tradycji staruszka, marzy o domu pełnym dzieci, które przed pójściem do łóżek przybiegną, by powiedzieć jej dobranoc; wnuków i prawnuków, których będzie mogła rozpuszczać; o wielkich wigiliach i dobrym zięciu, któremu pewnego dnia przekaze swój tron. Choć niezbyt jej się to uśmiecha, tym zięciem będę ja”.

Kusiło go, żeby tak właśnie odpowiedzieć Loli, bo taka była prawda. Ale nawet on nie potrafił przyjąć jej jeszcze do wiadomości. Włożył rękę do kieszeni i poczuł między palcami metalową powierzchnię medalionu Iriny.

Podniósł głowę w stronę stojącego na półce telewizora. Był styczeń, w wiadomościach zapowiadano nawałnicę, spadek temperatur i obfite opady śniegu na nisko położonych obszarach. Zima pokazywała swoje surowe oblicze.

– Bo mam coś, dzięki czemu mogę spłacić dług, jaki u niej zaciągnęliśmy.

Gonzalo nie dotarł na spotkanie, które miało zamknąć przeszłość i otworzyć drzwi do niepewnej, ale możliwej przyszłości.

Ledwo postawił stopę na chodniku, zobaczył Tanię stojącą przy samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Nie spodobało mu się, że pali; pomyślał o swoim dziecku rosnącym w jej nadal płaskim, gładkim brzuchu. Ścisnął w dłoni medalion Iriny i przeciął ulicę, zdecydowany wreszcie zamknąć tę sprawę.

– Hej, mecenasie. Chyba nie myślisz, że o tobie zapomniałem?

Gonzalo poczuł dreszcz. Nie teraz, pomyślał, rozpoznawszy głos Atxagi.

Ale terażniejszość jest zawsze bardziej uparta niż przyszłość.

Przez ułamek sekundy Gonzalo miał wrażenie, że wszystko dzieje się w tym samym momencie. Głos Atxagi, dźwięk przełykanej ze strachu śliny, krzyk Tani, oślepiający błysk. Wybuch w jego skroni i czas stapiający się z ciemnością.

Kiedy leżał na ulicy i uciekało z niego życie, stwierdził, że prezenter pogody miał rację.

Zaczynał padać śnieg.

Epilog

LUTY 2010 – STYCZEŃ 2014 ROKU. BARCELONA

Kobieta, z którą umówiłem się przez telefon, miała miły głos, nie byłem jednak przez to mniej zdenerwowany. Tamtego ranka starannie się ogoliłem, poszukałem w szafie przyzwoitej koszuli i krawata ze szkolnych lat. Można powiedzieć, że prezentowałem się względnie dobrze, nie potrafiłem jednak pozbyć się wrażenia, że wyglądam śmiesznie. Kiedy stałem w deszczu przed lokalem ze spuszczoną żaluzją, w którym się umówiliśmy, uchylając się przed drutami śmiertelnych parasoli, zadawałem sobie pytanie, co tutaj robię, w co zamierzam grać. Gdybym miał dokonać wyboru pomiędzy Hemingwayem albo Fitzgeraldem, zdecydowanie wolę walki z samym sobą od prawdziwych pól bitewnych.

Zaczynałem się już zastanawiać, czy odwrót nie będzie zwycięstwem (ostatecznie dotrzymałem słowa i przyszedłem na spotkanie). Wtedy ją zobaczyłem. Wiedziałem, że to ona, jeszcze zanim zdjęła z głowy czerwony kaptur nieprzemakalnego płaszcza i spojrzała na mnie swoimi niesamowitymi szarymi oczami, których do tej pory nie zapomniałem. Wątpię, żebym jeszcze kiedyś je zobaczył.

– Ty jesteś pisarzem? – zapytała z powagą, dopuszczając możliwość, że mogła się pomylić. Kiedy przytaknąłem, nie potrafiła ukryć pewnego rozczarowania, jakby podejrzewała, że nie stanę na wysokości zadania.

Bezceremonialnie zmierzyła mnie wzrokiem.

– Ile masz lat?

Zawahałem się, przez co wyszedłem na krętacza. Pamiętam jej wyprofilowane brwi, jakby wryte dłutem, i kroplę deszczu spływającą po nosie. Musiała mieć wtedy około pięćdziesięciu lat, należała jednak do gatunku kobiet bez wieku, o których marzy się przez całe życie.

– Przez telefon wydawałeś się starszy – powiedziała; zabrzmiało to jak wyrzut, jakbym specjalnie mówił poważniejszym głosem.

Poszukała w torebce klucza i pochyliła się, żeby otworzyć kłódkę. Wtedy zobaczyłem pod jej ufarbowanymi na czarno włosami tatuaż. Wyglądał jak wypłowiałe skrzydła motyla, ale nie miałem odwagi ją o to zapytać. Schyliłem się i pomogłem jej podnieść zaluzję. Zaskrzypiała jak zardzewiały most zwodzony średniowiecznego zamku.

– To był Flight?

Pachniało odchodami i stęchlizną. Zachowało się zaledwie kilka zakurzonych stolików i połamanych krzesel. Lada barowa była zniszczona, a podłoga pokryta deskami, rozbitym szkłem i śmieciami.

– Sprzedam lokal – powiedziała tonem usprawiedliwienia. – Od śmierci Wasilija nikt się nim nie zajmował, a ja nie mogę go prowadzić.

– Kiedy umarł Wieliczko?

Rozpięła płaszcz przeciwdeszczowy; woda kapała na zakurzoną podłogę, tworząc błotniste ślady. Jej szczupła postać w czerwonym okryciu kontrastowała wyraźnie z szarością lokalu.

– W marcu dwa tysiące trzeciego roku. Kilka miesięcy po tym, jak Instytut Historii Rosji i Stowarzyszenie Memoriał dołączyły jego raport do opublikowanego przez siebie opracowania na temat Nazino. Dla niego to był jego osobisty sukces. Myślę, że żył do czasu, aż prawda nie ujrzała światła dziennego, po czym uznał, że może odejść.

Czytałem niedawno te raporty i relacje z tego, co wydarzyło się na wyspie Nazino w 1933 roku. Dokumentacja gromadzona od czasów nastania głośności dzięki raportowi komisarza politycznego Wasilija Wieliczki trafiła w moje ręce za pośrednictwem zaprzyjaźnionego księgarza Alfonsa. Od razu ten temat wydał mi się wart głębszego przestudiowania i pomyślałem, że może mógłbym napisać na jego podstawie powieść. Ale szybko straciłem zapał, brakowało bowiem źródeł pisanych, a tym bardziej świadectw. Zamieściłem więc w Internecie ogłoszenie z prośbą o informacje.

Dwa tygodnie później zadzwoniła ona.

Przez nieco ponad dwie godziny opowiedziała mi większość tego, co tutaj opisałem. Teraz rozumiem, że tak naprawdę opowiedziała to nie mnie.

Krażyła po Flighcie z malującą się na twarzy smutną melancholią – a to postawiła filiżankę, a to podniosła z podłogi stare zdjęcie albo odkurzyła jakąś makietę – i mówiła, mówiła bez przerwy. Czasami bezwiednie robiła to po rosyjsku, a ja, chociaż jej nie rozumiałem, nie chciałem przerywać tego strumienia myśli i historii, które w tamtej chwili zdołały mnie jedynie

oszołomić, byłem bowiem przekonany, że słucham czegoś niepowtarzalnego, a jednocześnie sfrustrowany, bo wiedziałem, że nie będę potrafił właściwie oddać tych wydarzeń.

Tak właśnie się czułem, kiedy patrzyłem na nią, słuchając jej opowieści. Czasami miałem wrażenie, że jest zirytowana albo wściekła, jakby wszystko, o czym mówiła, wydarzyło się przed kilkoma dniami czy kilkoma miesiącami, jakby nadal było świeże w jej pamięci. Kiedy indziej zaś traciła werwę, wzruszała się, niemal płakała. Zawsze niemal...

Nie zadawałem jej praktycznie żadnych pytań. Chociaż kłębiły mi się w głowie. Wyartykułowałem tylko jedno, bardzo głupie:

– Skoro Gonzalo wiedział, czym zajmuje się Anna, jak mógł być gotów w tym uczestniczyć? To było to, z czym walczyła jego siostra.

A może wcale nie było takie głupie. Na moment w oczach kobiety pojawił się błysk zadowolenia.

– Nigdy się tego nie dowiemy.

– To niezbyt precyzyjna odpowiedź.

Uśmiechnęła się do mnie, szczerze rozbawiona moją naiwnością. Myślę, że właśnie w tym momencie postanowiła naprawdę mi zaufać (bo na pewno nie ufała mojemu talentowi). Otworzyła torebkę i podała mi kopertę z listem.

– Przeczytaj go, a potem zdecyduj, czy chcesz opowiedzieć tę historię. Nie będę się sprzeciwiać, ale postawię ci jeden warunek. Jeżeli ją opiszesz, musi pojawić się w niej ten list, w całości.

Nie lubię, jak mi się stawia warunki, ale myślę, że gdyby poprosiła mnie wtedy, żebym rzucił się pod pierwszy przejeżdżający autobus, zrobiłbym to. Tak wielka była jej siła oddziaływania. Obiecałem, że się zastanowię. Skinęła głową i z nostalgią ostatni raz obrzuciła spojrzeniem lokal Wieliczki.

– Przeprowadziłam cię tutaj, bo chciałam, żebyś zobaczył, jak postaci zmieniają się w historii. – Zanim się zorientowałem, wyjęła mały aparat i z zaskoczenia zrobiła mi zdjęcie. – Do mojej prywatnej galerii – powiedziała z odrobiną złośliwości; przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Po powrocie do domu przeczytałem list. W kopercie znajdował się także artykuł z 1988 roku opublikowany w magazynie, którego nazwy nie ujawnię, autorstwa Laury G.M., zatytułowany *Milion kropli*. Przeczytałem go z uwagą. Była to pełna pasji i smutku mowa oskarżycielska przeciwko tworzeniu mitu Elíasa Gila. Obnażał jego publiczną działalność i choć w żadnym momencie nie wspominał o jego życiu prywatnym, wydawało się oczywiste, że spowija

je cień. Nie mogłem uwierzyć, że osoby, które znały dobrze drogę życiową Elíasa – Gonzalo i Esperanza – nie potrafiły czytać między wierszami. Na końcu Laura oskarżała Gila, że przez ponad trzydzieści lat był podwójnym agentem. Dlatego została odrzucona przez tych, którzy nadal podziwiali Elíasa. W tym przez Esperanzę.

List, który dała mi kobieta, został napisany przez Esperanzę w 2002 roku, niedługo przed jej śmiercią. Adresatem był duch Elíasa Gila. Odszyfrowanie jej drobnego pisma zajęło mi kilka godzin.

Ukochany.

Ukochany duchu.

To będzie mój ostatni list, oboje o tym wiemy. Nie piszę go z własnej woli, ale dlatego, że Anna Achmatowa postawiła mi taki warunek, jeśli ma zostawić w spokoju naszego syna.

Zawsze chciałam cię zapytać, czy mnie kochasz, czy kiedykolwiek mnie kochałeś przez te ponad trzydzieści lat, które spędziliśmy razem; nigdy nie otrzymałam jednoznacznej odpowiedzi, co samo w sobie było odpowiedzią, tyle że nigdy nie chciałam przyjąć jej do wiadomości. Prawda jest taka, że tego, kto kocha, nie będąc kochanym, strasznie łatwo jest zranić, jakby mógł oddychać, żyć, czuć jedynie za pośrednictwem tej drugiej osoby, nieustannie się bojąc, że w każdej chwili ukochana istota może wykorzystać swoją przewagę i postanowi odejść, zostawiając kochanka zamienionego w popiół. Tak czułam się u twojego boku przez całe życie, jak kupka popiołu rozwiewana przez kapryśny wiatr. Jak bezdomna, która zebrze o twoją pieśczętę, o jedno mrugnięcie okiem, o zwykłe słowo. Rzadko je dostawałam.

Nie mam o to do ciebie pretensji i nigdy nie będę miała. Sama postanowiłam zgasnąć, żebyś ty mógł błyszczeć, sama wybrałam los przyszytego do ciebie cienia. I na swój sposób, niemal bez twojego pozwolenia, czasami byłam przy tobie bezgranicznie szczęśliwa, z tym upajającym połączeniem pożądania i lęku, z tym słodko-kwaśnym uczuciem zazdrości, która zawsze triumfowała; nigdy nie zaznałam spokoju, ty nigdy mi go nie dałeś ani ja nigdy cię o niego nie poprosiłam. Pogodziłam się z tym, że zawsze będę musiała walczyć z niewidzialnym wrogiem, który każdej nocy spał między nami, z Iriną. A potem z jej córką Anną. Myślałam, że je pokonam, czas był moim sprzymierzeńcem.

Tyle razy pragnęłam, żebyś był już stary i zmęczony, by móc wyjść ci naprzeciw z otwartymi ramionami i cię chronić... Spotkało mnie z twojej strony tyle samo krzywd, ile dobra. Nie byłeś świadom ani jednego, ani drugiego.

Miłość jest osobistą decyzją każdego z nas. I boli. To nic nowego. Gdybym pogodziła się z tym, że nigdy nie będziesz do końca mój, nawet wtedy, kiedy chciałeś być, gdybym powiedziała „żegnaj”, kiedy pojawił się cień wątpliwości, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Kto wie, może trafiłabym na paryskie sceny, a może wcześniej wróciłby po mnie któryś z tych republikańskich pilotów? Dlaczego nigdy nie potrafiłam cię zdradzić, kiedy trwała wojna i byliśmy rozdzieleni? Dlaczego nie pozwoliłam sobie nawet na jedno, choćby najmniejsze marzenie, gdy byłeś tak daleko? Tak się nie stało. Podejrzewam, że musiałam do końca wbić gwóźdź, jak mówi przysłowie z moich rodzinnych stron.

Ale ten koniec nadszedł zbyt późno, tamtego wieczoru, kiedy pierwszy raz zobaczyłam uchylone drzwi szopy, a nasza córka miała zaledwie osiem lat. Leżała w kącie z posiniaczoną twarzą i rękami, przesywała ściany wzrokiem w upartym milczeniu, którego nie zdołałam złamać. Poczułam się tak, jakbyś przebił mi pięścią plecy i wyrwał serce, mimo to nadal żyłam, podczas gdy ty przyglądałeś się, jak bije w twojej dłoni. Pamiętam, że wybiegłam z szopy i zwymiotowałam, wstrząsana gwałtownymi torsjami.

Dlaczego cię wtedy nie zostawiłam? Dlaczego nie zabrałam dzieci, nie uciekłam z tego domu i tego życia? Wmawiałam sobie tysiące razy, że Gonzalo był zaledwie niemowlęciem, że byłam cudzoziemką w obcym kraju i ledwo umiałam się dogadać, że nie miałam dokąd iść. Znalazłam tysiąc wymówek, choć tak naprawdę nie mogłam ani nie chciałam uwierzyć, że to się rzeczywiście działo. Mój umysł uparcie nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co było oczywiste. Ofiarowałam życie, lojalność, miłość człowiekowi, którego nie znałam, potworowi? Niemożliwe.

Wtedy popadłam w najgorszą perwersję, jakiej może się dopuścić matka. Stałam po twojej stronie i choć starałam się chronić Laurę, w głębi duszy czułam do niej rosnącą nienawiść, obarczyłam ją winą za to, co w tobie rozbudziła, za bycie żywym dowodem mojej porażki.

Zniszczyłam życie mojej córki, bo nie chciałam pogodzić się z tym, że

moje było jedną wielką farsą i straszliwym błędem.

Tamtej nocy, kiedy włożyłam cię do samochodu, by zawieźć do szpitala, błagałam Boga, żebyś nie umarł, żebyś nie zostawiał mnie samej z tym ciężarem na sumieniu. Byłam zrozpaczona, pamiętam, że samochód prawie wypadł z drogi, bo oślepiały mnie łzy.

Wtedy ty, mężczyzna, dla którego poświęciłam swoje życie i sprzedałam niewinność swojej córki, wybełkotałeś tamte słowa. Na zawsze pozostaną wyryte w moim sercu, Elíasie. Na zawsze.

Powiedziałeś: „Zabierz mnie do niej. Zabierz mnie do Anny”.

Nikt nie wie, jak wielki ból zadała mi twoja prośba. Umierałeś, wykrwawiałeś się przy mnie, ja ściszałam cię za rękę, a ty prosiłeś, żebym zabrała cię do miejsca, którego nigdy nie chciałeś opuścić. Do tamtej rzeki, na tamte stepy, na tamtą barkę.

Zrobiłam to. Zaparkowałam samochód na poboczu. Pamiętam, że wraz z nadejściem świtu gasły ostatnie świętojańskie ogniska. Przyglądałam ci się długo, a potem przyłożyłam dłoń do twoich ust i nosa. Przyciskałam ją, przyciskałam tak długo, aż twoje piękne, intensywnie zielone oko zgasło, nie stawiając oporu.

Zabiorę cię do niej, powiedziałam. Do Iriny. Zostaniesz z nią na zawsze.

Nie wiem, gdzie jest dobro, a gdzie jest zło, Elíasie. Wiem, że osądzą nas przyszłe pokolenia i że nie będą dla nas wyrozumiałe. Dlaczego miałyby być? Czyżbyśmy zasługiwali na ich wybaczenie, na ich litość? Czyżbyśmy tego potrzebowali?

Owszem, przynajmniej ja. Straciłam swoją córkę, odrzuciłam ją dla ciebie, dla wymyślonej pamięci, w której miałeś ocaleć. Mogłeś być dobrym człowiekiem, Elíasie. A ja może mogłam być dobrą kobietą. Staraliśmy się, nie szcędziliśmy wysiłków, prawda? Znieśliśmy więcej, niż nasze dzieci będą kiedykolwiek w stanie zrozumieć. Dotarliśmy do granicy cierpienia i wytrzymaliśmy. Ale prawda jest taka, że zgubiliśmy gdzieś busolę, zboczyliśmy z drogi i nie potrafiliśmy na nią wrócić.

Nadchodzi czas szyderstw, sprawiedliwości, uraz. Będzie nas nienawidził twój syn, którego tak starałam się przed tobą chronić, będzie nas nienawidziła twoja córka, będą nas nienawidzili nasi towarzysze walki, nasze ofiary; będzie nas nienawidził Czas i będzie nas nienawidziła Historia.

Ale kto wie, z czasem nasze nazwiska pokryje kurz, nasz syn się zestarzeje i może bez urazy opowie o nas naszym wnukom. Dla świata będziemy zapomnieniem. Kroplą pośród miliona kropli. Stopimy się z tym ogromem zwanym ludzkością.

Teraz rozumiem, że właśnie tym byliśmy. Nie bohaterami, nie nikczemnikami, ale zwykłymi ludźmi. Mężczyzną i kobietą. I przeżyliśmy.

Bóg dobrze wie, że przeżyliśmy tam, gdzie wielu zginęło.

Dwa lata później, w marcu 2012 roku, opublikowałem tę opowieść. Przeszła bez rozgłosu, zasilając zasoby paru zaprzyjaźnionych księgarni. Wzbudziła letnie emocje, kilka pozbawionych cierpkości protestów i kilka pochwał, raczej życzliwych niż entuzjastycznych.

Nigdy nie miałem żadnych wieści od Tani Achmatowej, żadnej opinii na temat tego, co zrobiłem z opowiedzianą przez nią historią. Próbowałem ją namierzyć – na próżno. Odnalazłem za to Luisa, byłego szwagra Gonzala. Odsiedział dziesięć lat w więzieniu i choć miał już za sobą część kary, nie sposób było przeprowadzić z nim rzeczową rozmowę. Przez całe spotkanie tarł kolano postrzelone przez Alcázara, rzucając nieskładne zdania i komentarze, które nie miały nic wspólnego z powodem mojej wizyty. Wzruszyło mnie natomiast, że nad jego pryczą wisiało wymięte zdjęcie Roberta.

Z tego, co wiem, Agustín González nie trafił do więzienia. Przedłużał proces, wyłączając kolejnych świadków, i w końcu został uwolniony od zarzutu prania pieniędzy i współpracy ze zorganizowaną grupą przestępczą. Słyszałem, że zmarł w 2008 roku w Bangkoku, w łóżku luksusowej prostytutki, o czterdzieści lat młodszej od niego. Jego córka, Lola, ani jego wnuki, Patricia i Javier, nie zgodziły się ze mną porozmawiać. Javier sumiennie odbył karę, a po wyjściu na wolność wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Patricia jest na pierwszym roku prawa, jak chciałby jej ojciec, i zamierza odbyć praktykę w kancelarii prowadzonej przez Luisę w budynku, w którym wcześniej pracowała jako asystentka Gonzala. Lola ponownie wyszła za mąż, za zamożnego młodego Australijczyka. Mieszkają w posiadłości w Estremadurze, którą zostawił jej w spadku ojciec.

Poznałem byłą żonę Atxagi, Mirandę. Jest pogrążoną w depresji alkoholiczką, sprzedaje się za cztery euro na ulicy. Ma kompletnie

zmasakrowaną twarz, nie odważyłem się wspominać o przeszłości, która staje jej przed oczami za każdym razem, kiedy spojrzy w lustro. Zaprosiłem ją na obiad i dałem pięćdziesiąt euro. Odszedłem, czując się jak ostatni łajdak. Floren Atxaga zginął w więzieniu, co ciekawe, tym samym, w którym zamordowano Alcázara, tyle że w innym pawilonie. Według strażnika, z którym rozmawiałem i który pamiętał Atxagę, znaleźli go powieszzonego na kratkach celi. Nikt po nim specjalnie nie płakał.

Odwiedziłem groby Gonzala i jego matki oraz kolumbarium, w którym spoczywają prochy Roberta i Laury. Jednak w martwych rzeczach nie sposób znaleźć emocji. Jest w nich tylko cisza.

Jak cisza, którą zastałem w ruinach domu nad jeziorem, opanowanych już bezpowrotnie przez chwasty i korzenie, które rozsadziły ściany i dach. Zbiornik wodny, który okoliczni mieszkańcy nazywają „jeziorem”, wciąż tam jest; zastanawiam się, czy na jego dnie spoczywa ciało Elíasa. Czy kiedykolwiek tam było? Chciałbym móc porozmawiać z Alcázarem i jego ojcem; może tylko oni jedni wiedzieli, co faktycznie stało się pod koniec tamtej nocy z jego zwłokami.

Nie dowiedziałem się niczego o Annie Achmatowej. Byłem w miejscu, gdzie powinna znajdować się księgarnia Karamazow, ale teraz jest tam drogeria, a obecni właściciele nigdy nie słyszeli o Rosjance. Co ciekawe, kiedy zapytałem przyjaciela, który pracuje w katalońskiej policji, czy słyszał o czymś takim jak Matrioszka, spojrział na mnie ze zdziwieniem i powiedział, że zna dziesiątki mafijnych organizacji działających w Barcelonie, ale żadna z nich tak się nie nazywa, a już na pewno na czele żadnej nie stoi ani nie stała kobieta.

Pomyślałem, że tak skończy się ta historia, podobnie jak niemal wszystkie. Esperanza miała rację w swoim liście. Wszystko zamienia się w popiół i zapomnienie, jeżeli umiemy cierpliwie czekać.

Jednak któregoś dnia 2014 roku, kolejne dwa lata później, kiedy ta opowieść była już dla mnie niemal równie mglista jak dla jej bohaterów, dostałem poleconą przesyłkę z jakiegoś miejsca w azjatyckiej części Rosji.

Otworzyłem ją i znalazłem zdjęcie ładnego, mniej więcej dwunastoletniego chłopca. Stał obok Tani, pozowali przy zardzewiałym krzyżu na jakiejś łące. Na cementowej podstawie widniał napis:

Nazino 1933–1934. Ku pamięci niedowiarków, którzy byli świadkami

tego, co niepojęte.

Oprócz zdjęcia w kopercie był srebrny medalion. Serce zabiło mi mocniej. Z tyłu było wyryte imię Iriny. Mogłem go dotknąć, pogłodzić własnymi palcami, miałem wrażenie, że czuję dotyk palców Elíasa, Esperanzy, Anny i samej Iriny. Ogarnęło mnie dziwne wzruszenie.

Otworzyłem go. W środku znajdowało się zdjęcie Gonzala i Laury zrobione, kiedy byli mali – dwójka dzieciaków szczerzących w uśmiechu zęby, jego z szerokimi odstępami, jej w aparacie. Niewinnych, czystych, mających jeszcze przed sobą całą miłość.

Wewnątrz medalionu Tania kazała wyryć dwa zdania:

Skalę zaczyna drążyć pierwsza kropla.

Ocean zaczyna tworzyć pierwsza kropla.

Podziękowania

Historia taka jak ta opowiedziana w tej książce nie może się zrodzić wyłącznie w wyobraźni autora. Wiele osób pomogło mi nadać jej sens i do nich kieruję podziękowania. Dziękuję stowarzyszeniu „Pamięć” i Robertowi de Torcatis z Perpignan, za skontaktowanie mnie z tyloma osobami, które przeżyły ucieczkę z Hiszpanii; dziękuję Gildasowi Girodeau, który sprawił, że spojrzałem inaczej na plażę Argelès, a także za podróż w przeszłość na zamku w Collioure; dziękuję Carlosowi Pujolowi za skonfrontowanie niektórych rodzinnych wspomnień z moją opowieścią i dokładne umiejscowienie w Barcelonie wydarzeń z tamtej epoki; dziękuję Alfonsowi Cerverze za jego klarowne wyjaśnienia dotyczące znaczenia pamięci i za nasze rozmowy o godności i utopii; dziękuję Alfonsowi z księgarni Maite za naprowadzenie mnie na ślad tragedii z Nazino.

Przede wszystkim jednak składam ogromne podziękowania wszystkim tym anonimowym ludziom, którzy w ten czy inny sposób przeżyli to, co tu opowiedziałem; dziękuję za przerwanie milczenia i podzielenie się ze mną swoimi doświadczeniami. Słowa nie zawsze oddają sprawiedliwość, ale im dedykuję ten mój mały sukces, z nadzieją, że nie zawiodłem ich oczekiwań.

Najbardziej osobiste podziękowania kieruję do swojego ojca.

Barcelona, luty 2014

-
- 1 Friedrich Nietzsche, *Zmierzch bożyszcz, czyli jak filozofuje się młotem*, tłum. Paweł Pieniążek, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2005, s. 5 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
 - 2 Po hiszpańsku „nadzieja”.
 - 3 CEDA (Confederación Española de Derechas Autónomas) – Hiszpańska Konfederacja Prawicy Autonomicznej, federacja katolickich i konserwatywnych partii powstała w 1933 roku.
 - 4 José Sanjurjo, Emilio Mola i Francisco Franco – hiszpańscy generałowie, twórcy planu zbrojnego powstania przeciw rządowi Frontu Ludowego w lipcu 1936 roku, które dało początek hiszpańskiej wojnie domowej. Francisco Franco w latach 1939–1975 sprawował w Hiszpanii władzę jako dyktator wojskowy.
 - 5 Federico García Lorca – hiszpański poeta rozstrzelany przez zwolenników Franco na początku wojny domowej.
 - 6 José Antonio Primo de Rivera – hiszpański polityk, założyciel narodowo-syndykalistycznej partii Falanga Hiszpańska.
 - 7 Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu: W stronę Swanna*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2000, s. 81.
 - 8 Dolores Ibárruri – hiszpańska działaczka, przewodnicząca Komunistycznej Partii Hiszpanii i obrończyni praw kobiet.
 - 9 Santiago Carrillo – hiszpański polityk, komunista, w latach 1960–1982 sekretarz generalny Komunistycznej Partii Hiszpanii.
 - 10 PSUC (Partit Socialista Unificat de Catalunya) – Zjednoczona Partia Socjalistyczna Katalonii.
 - 11 CNT (Confederación Nacional del Trabajo) – Krajowa Konfederacja Pracy.
 - 12 FAI (Federación Anarquista Ibérica) – Iberyjska Federacja Anarchistyczna.
 - 13 POUM (Partido Obrero de Unificación Marxista) – Robotnicza Partia Zjednoczenia Marksistowskiego.
 - 14 Hiszpańskie jednostki wojskowe sformowane w 1911 roku w Afryce Północnej z miejscowej ludności i hiszpańskich oficerów.
 - 15 Pomyłka autora: Gienrich Jagoda i Matwiej Berman zostali skazani na śmierć w 1938 roku, a więc później, niż toczy się akcja rozdziału.
 - 16 José Calvo Sotelo – hiszpański prawicowy polityk, zamordowany przez republikanów; jego zabójstwo stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny domowej.
 - 17 *Las Meninas* – znany obraz autorstwa Diego Velázquez, hiszpańskiego malarza okresu baroku.
 - 18 Lew Tołstoj, *Anna Karenina*, tłum. Kazimiera Iłakowiczówna, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960, s. 5.
 - 19 SEU (Sindicato Español Universitario) – Hiszpański Uniwersytecki Związek Zawodowy, narodowo-syndykalistyczna organizacja studencka stworzona w 1933 roku przez Falangę w celach propagandowych.
 - 20 Miejsca bitew z czasów hiszpańskiej wojny domowej.
 - 21 William Szekspir, *Romeo i Julia*, tłum. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1994, s. 7.
 - 22 Enrique Líster – hiszpański polityk i wojskowy, działacz Komunistycznej Partii Hiszpanii.